

**DAN BROWN**

**Kod Leonarda da Vinci**

## **FAKTY**

Zakon Syjonu – Prieuré de Sion – tajne stowarzyszenie działające w Europie, założone w roku 1099, naprawdę istnieje. W 1975 w Bibliotece Narodowej w Paryżu odkryto zwoje pergaminu, *Les Dossiers Secrets*, ujawniające tożsamość wielu członków Prieuré de Sion, m.in. sir Isaaca Newtona, Botticellego, Victora Hugo oraz Leonarda da Vinci.

Opus Dei, papieska prałatura personalna, to żarliwie religijne stowarzyszenie katolików, które niedawno było na cenzurowanym po doniesieniach prasowych o indoktrynacji, stosowaniu przymusu oraz niebezpiecznych praktyk umartwiania ciała. Niedawno, kosztem 47 milionów dolarów, ukończono budowę siedziby Opus Dei przy Lexington Avenue 243 w Nowym Jorku.

Wszystkie opisy dzieł sztuki, obiektów architektonicznych, dokumentów oraz tajnych rytuałów zamieszczone w tej powieści odpowiadają rzeczywistości.

## PROLOG MUZEUM LUWROU W PARYŻU, 22.46.

Mecenas sztuki i kustosz, Jacques Saunière, przeszedł chwiejnym krokiem pod przypominającym wejście do skarbcza łukowatym sklepieniem Wielkiej Galerii Luwru. Po kilku krokach rzucił się do przodu, starając się złapać w ręce najbliższy obraz, który pojawił się w jego polu widzenia – płótno Caravaggia. Chwył mocno dłońmi pozłacaną ramę, pociągnął dzieło wielkiego mistrza ku sobie i zerwał je ze ściany. Siedemdziesięciosześcioletni Saunière upadł bez sił na podłogę, przykryty olejnym obrazem.

Tak jak się spodziewał, tuż obok z hukiem opadła stalowa krata, barykadując wejście do sali. Parkiet zatrzęsł się od impetu uderzenia. Gdzieś daleko rozległ się dzwonek alarmu.

Kustosz leżał tak przez chwilę, próbując złapać oddech i ocenić sytuację. Jeszcze żyje. Wyczołgał się spod płótna i potoczył wzrokiem po ogromnej przestrzeni sali, szukając miejsca, gdzie mógłby się ukryć.

Nagle zmoził go dochodzący z bliska głos.

– Nie ruszaj się.

Stojąc na czworakach, kustosz zamarł w miejscu i powoli odwrócił głowę.

Zaledwie parę metrów dalej, za żelaznymi sztabami opuszczonej kraty majaczyła górująca nad wszystkim sylwetka napastnika. Był szeroki w barach i wysoki, skórę miał białą jak duch i rzadzące białe włosy. Różowe tęczęwki oczu naznaczone były pośrodku czerwienią. Albinos wyciągnął z marynarki pistolet i wymierzył w starca przez kraty, celując wprost i bez wahania.

– Nie powinieneś być uciekać. – Miał trudny do rozpoznania akcent. – Teraz mów, gdzie to jest.

– Już mówiłem – wymamrotał kustosz, klęcząc bezbronny na podłodze Wielkiej Galerii. – Nie mam pojęcia, o czym mówisz!

– Łiesz. – Mężczyzna patrzył na niego bez ruchu, tylko jego niesamowite oczy rzucały groźne błyski. – Ty i twój zakon jesteście w posiadaniu czegoś, co nie należy do was.

Kustosz poczuł przyływ adrenaliny. Skąd on może to wiedzieć?

– Dzisiaj prawowici strażnicy przejmą nad tym pieczę. Powiedz, gdzie to jest ukryte, a ocalisz życie. – Mężczyzna wycelował broń w głowę kustosza. – Czy jest to tajemnica, za którą jesteś gotów umrzeć?

Saunière'owi zabrakło powietrza.

Mężczyzna przekreślił głowę w bok, patrząc na niego przez muszkę pistoletu.

Saunière uniósł ręce w geście obrony.

– Czekaj – powiedział powoli. – Powiem ci to, co chcesz wiedzieć. – Kilka następnych słów kustosz wypowiedział bardzo starannie. Cwiczyl to kłamstwo tyle razy, zawsze modląc się, żeby nie musiał go nigdy wypowiedzieć.

Kiedy skończył, jego dręczyciel uśmiechnął się chytrze.

– Tak. To samo powiedzieli mi pozostali.

Saunière skulił się w sobie. Pozostali?

– Ich też znalazłem – pochwalił się olbrzym. – Całą trójkę. Potwierdzili to, co mi właśnie powiedziałeś.

To niemożliwe! Prawdziwa tożsamość kustosza, jak i tożsamość jego trzech senezalów, była tajemnicą niemal tak świętą jak odwieczny sekret, którego strzegli. Saunière zdał sobie teraz sprawę z tego, że jego senezale, trzymając się ustalonej procedury, wypowiedzieli przed śmiercią to samo kłamstwo. To była część uzgodnionego protokołu.

Napastnik znów wymierzył w niego broń.

– Kiedy ciebie już nie będzie, ja zostanę jedynym człowiekiem na świecie, który zna prawdę.

Prawda. W jednej chwili kustosz zrozumiał prawdziwą groźbę sytuacji. Jeżeli ja umrę, prawda odejdzie wraz ze mną na zawsze. Instynktownie próbował podnieść się i uciec.

Rozległ się huk wystrzału i kustosz poczuł rozchodzące się po ciele fale gorąca, kiedy kula utkwiała gdzieś w jego brzuchu. Upadł do przodu... Walczył z bólem. Powoli przetoczył się na plecy i spojrzał przez kraty na człowieka, który na niego napadł.

Mężczyzna mierzył teraz w jego głowę.

Saunière zamknął oczy, myśli mu wirowały, w sercu mieszał się strach i żal.

Tępe uderzenie iglicy pistoletu przetoczyło się echem przez korytarz.

Kustosz otworzył oczy.

Mężczyzna spojrzał na swoją broń z niemal rozbawionym wyrazem twarzy. Sięgnął po kolejny nabój, ale potem jakby się nad czymś zastanowił i uśmiechnął się spokojnie, patrząc na brzuch Saunière'a.

– Nie mam tu już nic do roboty.

Kustosz spojrzał w dół i zobaczył otwór po kuli w swojej białej lnianej koszuli. Otaczał go niewielki krąg krwi kilka centymetrów poniżej mostka. Mój żołądek. Okrutnym zrządzeniem losu kula ominęła serce. Jako weteran *la guerre d'Algérie* kustosz widział już cierpienie ludzi, którzy umierają powoli. Będzie to trwało jakieś piętnaście minut. Kwasy żołądkowe przedostaną się do wnętrza klatki piersiowej, powoli zżerając ciało od środka.

– Ból jest dobry, *monsieur* – powiedział mężczyzna.

I oddalił się.

Jacques Saunière, teraz sam w wielkiej sali, raz jeszcze obrócił głowę w kierunku żelaznej bramy. Był w pułapce, a krata nie podniesie się jeszcze, co najmniej przez dwadzieścia minut. Zanim ktoś do niego dotrze, będzie martwy. Mimo to strach, który go teraz opanował, był silniejszy niż strach przed śmiercią.

Muszę przekazać tajemnicę.

Podniósł się z trudem, mając w oczach postaci trzech zamordowanych braci. Myślał o pokoleniach, które były przed nimi... O misji, którą im powierzono.

Nieprzerwany łańcuch wiedzy.

I nagle, mimo wszystkich środków ostrożności... Mimo zabezpieczeń... Jacques Saunière został jedynym łącznikiem, samotnym strażnikiem jednej z największych tajemnic w historii ludzkości.

Drżący, zdołał stanąć na nogach.

Muszę znaleźć jakiś sposób...

Był uwięziony we wnętrzu Wielkiej Galerii i wiedział, że na całym świecie jest tylko jedna, jedyna osoba, której może przekazać kaganiec wiedzy. Spojrzał w górę i powiódł wzrokiem po ścianach swojego wspaniale wyposażonego więzienia. Kolekcja najsłynniejszych obrazów świata – postacie na obrazach uśmiechały się do niego jak starzy przyjaciele.

Zaciskając powieki z bólu, zebrał wszystkie siły i myśli. Miał przed sobą dramatyczne zadanie, któremu musi poświęcić każdą pozostałą sekundę życia.

## ROZDZIAŁ 1

Robert Langdon budził się powoli.

W ciemności dzwonił telefon – dźwięk dzwonka był przytłumiony i obcy. Pomacał ręką w ciemności, szukając lampy przy łóżku, i nacisnął włącznik. Mrużąc oczy, rozejrzył się dookoła i zobaczył, że jest w wypełnionej miękkimi pluszami renesansowej sypialni umeblowanej fotelami i kanapami w stylu Ludwika XVI, ściany zdobią ręcznie malowane freski, a pośrodku stoi gigantyczne mahoniowe łóżo z czterema filarami.

Gdzie ja jestem?

Na zakardowym szlafroku zwisającym z filara łóżka były wyhaftowane słowa: HOTEL RITZ PARIS.

Powoli mgła zaczęła opadać.

Langdon podniósł słuchawkę.

– Halo?

– *Monsieur* Langdon? – odezwał się głos w słuchawce. – Mam nadzieję, że pana nie obudziłem.

Skołowany Langdon spojrział na budzik stojący przy łóżku. Było wpół do pierwszej w nocy. Spał od godziny, ale czuł się tak, jakby rok leżał w trumnie.

– Tu recepcja, *monsieur*. Przepraszam, że o tej porze zawracam panu głowę, ale ma pan gościa. Twierdzi stanowczo, że sprawa jest bardzo pilna.

Langdonowi kręciło się w głowie i wciąż nie mógł się dobudzić. Jakiego gościa? Skupił teraz wzrok na pogniecionym druku leżącym na nocnym stoliku.

### AMERYKAŃSKI UNIWERSYTET W PARYŻU MA ZASZCZYT ZAPROSIĆ PAŃSTWA NA SPOTKANIE Z ROBERTEM LANGDONEM PROFESOREM SYMBOLIKI RELIGIJNEJ Z UNIWERSYTETU HARVARDA

Langdon jęknął. Ilustrowany slajdami wykład na temat symboliki pogańskiej ukrytej w kamieniach katedry w Chartres, który wygłosił tego wieczoru, chyba poruszył jakieś konserwatywne struny wśród słuchaczy. Pewnie jakiś naukowiec religioznawca poszedł za nim do hotelu, a teraz próbuje rzucić mu rękawicę.

– Bardzo mi przykro – powiedział Langdon – ale jestem bardzo zmęczony i...

– *Mais, monsieur* – mówił dalej recepcjonista z naciskiem, obniżając głos do nerwowego szeptu. – Pański gość to ktoś bardzo ważny.

Langdon nie miał, co do tego wątpliwości. Jego książki poświęcone obrazom o treści religijnej i symbolice kultu uczyniły z niego, bez jego udziału, postać dobrze znaną w świecie sztuki, a w zeszłym roku jego obecność w mediach wzrosła stokrotnie, po tym jak zaangażował się w szeroko komentowany incydent w Watykanie. Od tej pory pod jego drzwiami stała niekończąca się kolejka ważnych w swoim mniemaniu historyków i tak zwanych znawców sztuki.

– Proszę łaskawie powiedzieć tej osobie – powiedział Langdon, starając się nie dać wyprowadzić z równowagi – żeby zostawiła swój numer telefonu i nazwisko, a ja oddzwonię, zanim we wtorek wyjadę z Paryża, dobrze? Dziękuję bardzo.

Odłożył słuchawkę, zanim recepcjonista zdolał zaprotestować.

Langdon usiadł na łóżku i spojrział na leżący na stoliku przewodnik dla gości hotelowych, na którego okładce widniał slogan: ZAŚNIJ JAK DZIECKO W MIEŚCIE ŚWIATEŁ. SPĘDŹ NOC W PARYSKIM HOTELU RITZ. Odwrócił się i rzucił zmęczone spojrzenie w olbrzymie lustro po drugiej stronie pokoju. Z kryształowej ramy patrzył na niego obcy mężczyzna – wymięty i znużony.

Potrzebujesz wakacji, Robercie.

Miał bardzo ciężki rok, i nie musiał potwierdzać tego w lustrze. Jego zazwyczaj przenikliwe niebieskie oczy były dziś rozkojarzone i zapadnięte. Mocno zarysowaną szczękę i podbródek z dołkiem pokrywał ciemny twardy zarost. Na skroniach było widać pierwsze przebliski siwizny, która coraz głębiej wciniała się w jego gęste czarne włosy. Chociaż koleżanki na uniwersytecie twierdziły, że siwizna ładnie akcentuje jego profesorski wygląd, Langdon miał o tym własne zdanie.

Niechby tak teraz zobaczył mnie redaktor *Boston Magazine*...

W ubiegłym miesiącu, ku wielkiej konsternacji Langdona, *Boston Magazine* umieścił go na liście dziesięciu najbardziej intrygujących osób w mieście – wątpliwy zaszczyt, który jego uniwersyteccy koledzy pocztyli za okazję, by dać mu kuksańca w bok. Dzisiaj, pięć tysięcy kilometrów od domu, ta wątpliwa sława znów go dopadła.

– Panie i panowie, nie muszę przedstawiać naszego dzisiejszego gościa... – obwieściła prowadząca spotkanie w wypełnionej po brzegi sali na Amerykańskim Uniwersytecie w Paryżu w Pavillon Dauphin. – Jest autorem licznych książek: *Symbolika tajnych sekt*, *Sztuka iluministów*, *Zaginiony język ideogramów* czy *Ikonografia w religii*. Wymieniam tylko ze względów formalnych, bo wielu z was korzysta z jego podręczników podczas zajęć.

Obecni na sali studenci z entuzjazmem kiwali głowami.

– Miałam zamiar przedstawić go dzisiaj, opowiadając o jego frapującym życiorysie zawodowym. Tymczasem... – spojrzała rozbawiona na Langdona, który siedział pośrodku podium. – Ktoś z widowni podrzucił mi właśnie, by tak rzec... znacznie bardziej intrygującą prezentację.

Podniosła do góry egzemplarz *Boston Magazine*.

Langdon aż się wzdrygnął. Skąd ta baba to wzięła?

Prowadząca zaczęła czytać wyjątki z tego niedorzecznego artykułu, a Langdon czuł, że zapada się coraz głębiej w krzesło. Pół minuty później część widowni śmiała się bez żenady, a nie wyglądało na to, że ta kobieta zamierza skończyć.

– „A to, że pan Langdon odmawia publicznych wypowiedzi na temat swojej niezwyklej roli w zeszłorocznym watykańskim konklawe, na pewno dodaje mu punktów na naszym urzędzeniu do oceny intrygujących osobowości”. – Kobieta podpuszczała widownię. – Chcielibyście państwo usłyszeć coś jeszcze?

Rozległ się aplauz słuchaczy. Niech ktoś ją powstrzyma, Langdon modlił się w duchu, kiedy prowadząca znów sięgnęła do artykułu.

– „Chociaż profesor Langdon nie jest może typem hollywoodzkim, tak jak niektórzy nasi młodszy nominowani, ten czterdziestokilkuletni nauczyciel akademicki to nie tylko naukowiec i wykładowca. Jego zniewalającą obecność podkreśla głos – niezwykle niski baryton, o którym studentki mówią «aksamit dla uszu»”.

Widownia wybuchła śmiechem.

Langdon zmusił się do niezręcznego uśmiechu. Wiedział, co zaraz usłyszy – jakiś śmieszny kawałek o „Harrisonie Fordzie w tweedach od Harrisa” – a ponieważ tego wieczoru uznał, że w końcu może włożyć tweedowy garnitur od Harrisa i golf od Burberry’ego, postanowił wkroczyć do akcji.

– Dziękuję pani, Monique – powiedział, wstając trochę za wcześnie i powolutku wypychając ją delikatnie z podium. – Redaktorzy *Boston Magazine* mają niezwykły talent literacki. – Zwrócił się do słuchaczy, wzdychając z zażenowaniem. – A jeżeli znajdę osobę, która przyniosła tutaj ten artykuł, postaram się w konsulacie, aby ją deportowano.

Wśród słuchaczy znów rozległy się śmiechy.

– Cóż, proszę państwa, jak wiecie, mam tu dziś mówić o sile symboli...

Dźwięk telefonu hotelowego znów zakłócił ciszę.

Langdon jęknął, nie dowierzając, że to prawda, i podniósł słuchawkę.

– Tak?

Tak jak się tego spodziewał, to znów był recepcjonista.

– Jeszcze raz proszę o wybaczenie, panie Langdon. Dzwonię, żeby pana poinformować, że pański gość jest już w drodze do pokoju. Pomyślałem, że lepiej pana uprzedzić.

Langdon był już teraz zupełnie rozbudzony.

– Posłał pan kogoś do mojego pokoju?

– Przepraszam, *monsieur*, ale taki człowiek jak ten pan... Moje kompetencje nie sięgają aż tak daleko, żeby go powstrzymać.

– Kto to taki?

Recepcjonista już się rozłączył.

Niemal natychmiast ktoś zaczął walić ciężką pięścią w drzwi.

Langdon niepewnie zsunął się z łóżka, poczuł, że jego stopy toną głęboko w pluszowym dywanie. Włożył szlafrok hotelowy i podszedł do drzwi.

– Kto tam?

– Pan Langdon? Muszę z panem porozmawiać. – W angielszczyźnie człowieka stojącego za drzwiami słychać było silny akcent francuski, głos był zdecydowany, władczy. – Jestem porucznik Jérôme Collet. Direction Centrale Police Judiciaire.

Langdon stanął jak wryty. Centralne Biuro Śledcze? DCPJ było mniej więcej tym, czym w Stanach Zjednoczonych FBI.

Nie zdejmując łańcucha, Langdon uchylił lekko drzwi. Twarz patrząca na niego z drugiej strony należała do szczupłego mężczyzny o nieokreślonych rysach. Był wysoki, chudy, miał na sobie wyglądający na służbowy mundur.

– Mogę wejść? – spytał agent.

Langdon wahał się chwilę, niepewny, co ma zrobić, podczas gdy nieruchome oczy nieznanego przyglądały mu się badawczo.

– A o co właściwie chodzi?

– Mój przełożony prosi, by użyczył nam pan swojej prywatnej wiedzy.

– Teraz? – wydusił z siebie Langdon. – Jest już po północy.

– Czy to prawda, że dziś wieczór miał pan umówione spotkanie z kustoszem Muzeum Luwru?

Langdon poczuł nagłą falę niepokoju. Rzeczywiście, miał się spotkać z niezwykle cenionym w świecie historyków sztuki Jacques'em Saunière'em, umówili się na drinka wieczorem po wykładzie, ale Saunière się nie pojawił.

– Tak. Skąd pan o tym wie?

– Znaleźliśmy pańskie nazwisko w jego kalendarzu.

– Mam nadzieję, że nie stało się nic złego.

Agent westchnął złowieszczo i wsunął przez uchylone drzwi zdjęcie zrobione polaroidem.

Kiedy Langdon zobaczył zdjęcie, poczuł, że cały sztywnieje.

– Zrobiono je mniej niż godzinę temu. W Luwrze.

Kiedy Langdon przyglądał się temu dziwacznemu obrazowi, jego pierwsze uczucia – wstręt i wstrząs – ustąpiły miejsca nagłej wzbierającej fali gniewu.

– Kto mógł to zrobić?!

– Mieliśmy nadzieję, że pan nam pomoże odpowiedzieć na to pytanie, zważywszy na pańską wiedzę z dziedziny symboli i na planowane na dziś wieczór spotkanie.

Langdon przyglądał się zdjęciu, jego przerażenie mieszało się ze strachem. To było odrażające i dziwaczne, miał nieprzyjemne uczucie, że już to kiedyś widział. Ponad rok temu Langdon otrzymał fotografię ciała i podobną prośbę o pomoc. Dwadzieścia cztery godziny później omal nie stracił życia w murach Watykanu. To zdjęcie było zupełnie inne, a jednak w scenariuszu wydarzeń wyczuwał coś niepokojąco podobnego.

Agent spojrzął na zegarek.

– Mój *capitaine* czeka, proszę pana.

Langdon prawie go nie słyszał. Oczy miał wciąż utkwione w zdjęciu.

– Ten symbol i sposób, w jaki ciało jest tak dziwnie...

– Ułożone – podsunął mu agent.

Langdon przytaknął i oderwawszy oczy od fotografii, poczuł chłód na całym ciele.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, kto mógł mu zrobić coś takiego.

– Pan nie rozumie, panie Langdon – powiedział agent z ponurym wyrazem twarzy. – To, co widać na zdjęciu... – Przerwał. – *Monsieur Saunière* sam to sobie zrobił.

## ROZDZIAŁ 2

Kilometry dalej olbrzymi albinos o imieniu Sylas, kulejąc, wchodził do frontowej bramy luksusowej rezydencji z piaskowca przy rue la Bruyère. Kolczasty pas *cilice*, który nosił zaciśnięty na udzie, wpinał mu się w mięśnie, ale jego dusza śpiewała z radości, że przysłużył się Panu.

Ból jest dobry.

Wszedłszy do rezydencji, zlustrował korytarz swoimi czerwonymi oczami. Pusto. Wszedł cicho po schodach, nie chcąc obudzić żadnego ze współbraci. Drzwi do jego sypialni były otwarte – tutaj nie używa się kluczy. Wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

Pokój miał spartański wystrój – zwykła drewniana podłoga, sosnowa toaletka, w rogu materac, który służył mu za łóżko. W tym tygodniu był tu gościem, ale przez wiele lat, dzięki błogosławieństwu Pana, miał swój kąt w podobnym sanktuarium w Nowym Jorku.

Pan dał mi schronienie i cel w życiu.

Dziś wieczór Sylas nareszcie poczuł, że zaczął spłacać swój dług. Pospiesznie podszedł do toaletki, znalazł telefon komórkowy w dolnej szufladzie i wybrał numer.

– Tak? – odezwał się w słuchawce męski głos.

– Wróciłem, Nauczycielu.

– Mów – rozkazał głos, w którym było słycać zadowolenie, że są jakieś wiadomości.

– Całej czwórki już nie ma. Trzech seneszałów... i wielkiego mistrza.

Nastąpiła chwila ciszy, jakby na modlitwę.

– W takim razie rozumiem, że masz tę informację?

– Cała czwórka była zgodna. Niezależnie od siebie.

– I uwierzyłeś im?

– Taka zbieżność nie może być przypadkowa.

Po drugiej stronie słuchawki słycać było pełen ekscytacji oddech.

– Doskonale. Bałem się, że przywiązanie bractwa do tajemnic, z którego słynie, weźmie górę.

– Perspektywa śmierci to bardzo silna motywacja.

– A więc, mój uczniu, powiedz mi to, co muszę wiedzieć.

Sylas zdawał sobie sprawę, że informacja, którą wydobyl ze swoich ofiar, będzie zaskoczeniem.

– Cała czwórka potwierdziła istnienie *clef de voûte*... Legendarnego zwornika, klucza sklepienia.

Usłyszał w telefonie, że rozmówca na chwilę wstrzymał oddech, a kiedy znów się odezwał, w jego głosie wyczuwało się oczekiwanie.

– Klucz sklepienia. Właśnie tak, jak przewidywaliśmy.

Zgodnie z legendą bractwo jest w posiadaniu kamienną mapy – *clef de voûte*... czyli zwornika lub klucza sklepienia. Jest to rzeźbiona kamienna tablica, która wskazuje ostatnie miejsce ukrycia największej tajemnicy bractwa... Informacji o takim znaczeniu, że dla jej ochrony istnieje całe bractwo.

– Kiedy już zdobędziemy klucz – powiedział Nauczyciel – będziemy tylko o krok od sukcesu.

– Jesteśmy bliżej, niż się wydaje, Nauczycielu. Klucz jest tutaj, w Paryżu.

– W Paryżu? To nie do wiary. To byłoby zbyt proste.

Sylas opowiadał o wydarzeniach tego wieczoru... O tym, jak jego cztery ofiary na chwilę przed śmiercią w desperackim wysiłku odkupienia swojego bezbożnego życia wyznały mu tajemnicę. Wszyscy powiedzieli dokładnie to samo – że klucz jest przemyślnie ukryty w pewnym konkretnym miejscu w jednym z najstarszych kościołów Paryża – w kościele du Saint-Sulpice.

– Pośród murów domu Bożego – oburzył się Nauczyciel. – Jakże nas przedrzeźniają.

– I tak było przez wieki.

Nauczyciel umilkł, jakby chciał się przez chwilę nacieszyć momentem triumfu. W końcu odezwał się znnowu.

– Oddałeś wielką posługę Bogu. Czekał na tę chwilę wieki. Teraz musisz zdobyć ten klucz. Natychmiast. Dziś w nocy. Chyba rozumiesz, o jaką stawkę gramy.

Sylas wiedział, że jest to stawka zawrotna, ale to, co polecał mu Nauczyciel, wydawało się niewykonalne.

– Ale kościół... przecież to jest forteca. Zwłaszcza w nocy. Jak tam wejść?

Pewnym tonem człowieka o ogromnych wpływach Nauczyciel wyjaśnił, co trzeba zrobić.

Kiedy Sylas odłożył słuchawkę, przeszedł go dreszcz oczekiwania.

Godzina – powiedział do siebie, wdzięczny, że Nauczyciel dał mu czas, by odbyć niezbędną pokutę, zanim wejdzie do domu Bożego. Muszę oczyścić duszę z moich dzisiejszych grzechów. Grzechy, które popełnił dzisiaj, uświęcał cel. Działania wojenne skierowane przeciwko wrogom Boga prowadzono od wieków. Odkupienie było pewne.

Mimo to Sylas wiedział, że odpuszczenie grzechów wymaga poświęceń.

Zaciągnął zasłony na oknach, rozebrał się do naga i ukląkł na środku pokoju. Spojrzał w dół, na *cilice* – kolczasty pas zaciśnięty wokół uda. Wszyscy prawdziwi wyznawcy Drogi nosili ten skórzany pasek nabity ostrymi metalowymi kolcami, wrzynającymi się w ciało, jako codzienne przypomnienie cierpień Chrystusa. Ból, który sprawiał kolczasty pas, pomagał również powstrzymać pokusy cielesne.

Chociaż Sylas miał dziś na sobie *cilice* dłużej niż przepisane dwie godziny, wiedział, że dzisiejszy dzień nie jest dniem zwykłym. Ujął w dłonie pas i zapiął go o jedną dziurkę dalej, krzywiąc się, kiedy kolce wbijały mu się w skórę. Powoli wypuścił powietrze i cieszył się każdą sekundą oczyszczającego rytuału bólu.

– Ból jest dobry – szeptał, powtarzając świętą mantrę ojca José Marii Escrivy, Nauczyciela wszystkich Nauczycieli. Chociaż Escriva zmarł w 1975 roku, jego mądrość żyła, a jego słowa wciąż szeptało tysiące wiernych sług na całym świecie, kiedy klęczeli na podłodze i odprawiali uświęconą praktykę umartwiania ciała.

Sylas przeniósł teraz uwagę na kawałek ciężkiej liny z węzłami, zwiniętej w słoneczko na podłodze tuż obok niego. Dyscyplina. Na węzłach widać było zakrzepłą krew. Sylas chciał szybko doznać oczyszczających skutków bólu cielesnego i zmówił krótką modlitwę. Potem chwycił koniec liny, zamknął oczy i uderzył się mocno ponad ramieniem, czując, jak węzły przecinają mu skórę na plecach. Znów uderzył się biczem po plecy i węzły przecięły skórę do krwi. Dalej smagał się biczem, i jeszcze, i jeszcze.

*Castigo corpus meum.*

W końcu poczuł, że krew płynie ciepłym strumieniem.

## ROZDZIAŁ 3

Rzeźkie kwietniowe powietrze wpadało z łopotem przez otwarte okno Citroëna ZX, kiedy samochód przejeżdżał obok budynku Opery Paryskiej i przecinał na ukos plac Vendôme. Robert Langdon, siedząc na fotelu pasażera, czuł, jak miasto przemyka obok niego, a on próbował zebrać myśli. Dzięki szybkiemu prysznicy i goleniu zdołał odzyskać jako taki wygląd, ale nie udało mu się uciszyć lęków. Miał wciąż w pamięci przerażający obraz ciała kustosa Luwru.

Jacques Saunière nie żyje.

Langdon nie potrafił się wyzbyć głębokiego poczucia straty po śmierci kustosa. Saunière miał wprawdzie opinię odludka, ale i powszechne uznanie, i szacunek za bezgraniczne oddanie sztuce. Jego książki na temat tajnych kodów ukrytych w płótnach Poussina i Teniersa były ulubionymi lekturami Langdona, z których często korzystał na zajęciach ze studentami. Cieszył się na dzisiejsze spotkanie i był głęboko rozczarowany, że kustosz się nie zjawił.

Raz jeszcze przemknął mu przez głowę obraz jego ciała. Jacques Saunière sam to sobie zrobił? Langdon odwrócił się i wyjrzał przez okno, próbując wyprzeć ten obraz z pamięci.

Za oknami miasto kładło się spać – uliczni sprzedawcy popychali wózki z kandyzowanymi owocami, kelnerzy ciągnęli worki ze śmieciami po krawężnikach, para spóźnionych kochanków obejmowała się i przytulała, żeby nie zmarznąć w podmuchach wiatru, w których czuło się zapach kwitnącego jaśminu. Citroën władczo przepływał przez ten chaos, a podwójny dźwięk syreny przecinał ruch uliczny jak ostry nóż.

– *Le capitaine* był zadowolony, kiedy się dowiedział, że jest pan wciąż jeszcze w Paryżu – powiedział agent, przerywając milczenie po raz pierwszy od chwili, kiedy wyszli z hotelu. – Szczęśliwy zbieg okoliczności.

Langdon był daleki od poczucia szczęścia, a koncepcja zbiegu okoliczności nie budziła jego zaufania. Będąc człowiekiem, który spędził całe życie na badaniu ukrytych powiązań bardzo odrębnych znaków i ideologii, postrzegał świat jako sieć głęboko powiązanych ze sobą historii i wydarzeń. Powiązania mogą być niewidoczne – mówił często podczas zajęć uniwersyteckich z wiedzy o symbolach – ale zawsze gdzieś są, ukryte pod powierzchnią zjawisk.

– Przypuszczam – powiedział Langdon – że na uniwersytecie powiedziano panu, gdzie się zatrzymałem.

Kierujący samochodem potrząsnął głową.

– Nie, dowiedzieliśmy się z Interpolu.

Z Interpolu – pomyślał Langdon. Oczywiście. Zapomniał o tej z pozoru niewinnej prośbie, którą musi spełnić każdy gość hotelowy w Europie – musi pokazać paszport podczas meldowania się w hotelu. Było to coś więcej niż tylko prosta formalność – takie były przepisy prawa. Każdego wieczoru, w całej Europie, funkcjonariusze Interpolu mogą wskazać dokładnie i bez cienia wątpliwości, kto gdzie dzisiaj śpi. Znalezienie Langdona w Ritzu prawdopodobnie zajęło im jakieś pięć sekund.

Kiedy Citroën przyspieszał, przecinając miasto w kierunku południowym, za oknami pojawiła się nagle oświetlona wieża Eiffla, strzelając ku niebu gdzieś daleko po prawej stronie. Patrząc na nią, Langdon pomyślał o Vittorii, przypomniał sobie rzuconą rok temu żartem obietnicę, że co pół roku będą się znów spotykać w jakimś romantycznym miejscu na ziemi. Wieża Eiffla, jak podejrzewał, pewnie by się znalazła na jej liście. Smutno mu się zrobiło na myśl, że ostatni raz pocałował Vittorię na gwałnym lotnisku w Rzymie ponad rok temu.

– Wspiął się pan na nią? – zapytał agent, rzucając mu spojrzenie przez ramię.

Langdon podniósł głowę, pewien, że się przesłyszał.

– Przepraszam pana?

– Jest śliczna, prawda? – Agent wskazał ręką przez przednią szybę na wieżę Eiffla. – Wspiął się pan na nią?

Langdon wzniosł oczy do góry.

– Nie, nie byłem na wieży.

– Jest symbolem Francji. Uważam, że jest doskonała.

Langdon kiwnął głową, ale myślami wciąż był nieobecny. Specjaliści od symboli często podkreślają, że Francuzi – znani z postawy macho, flirtowania i stynący z niewielkich wzrostem, niepewnych siebie przywódców, takich jak Napoleon i Pepin Mały – nie mogliby wybrać trafniejszego symbolu narodowego niż trzystumetrowy fallus.

Kiedy dotarli do skrzyżowania, przy rue de Rivoli, było czerwone światło, ale Citroën ani na sekundę nie zwolnił. Agent nacisnął gaz i przemknął jak burza przez skrzyżowanie, a potem przyspieszył w kierunku obsadzonej drzewami części rue Castiglione, która służyła jako północny wjazd do słynnych ogrodów Tuileries – paryskiej wersji nowojorskiego Central Parku. Większość turystów błędnie tłumaczy nazwę Jardines de Tuileries, myśląc, że pochodzi od tysięcy kwitnących tu tulipanów, a tymczasem jest to dosłowne odniesienie do czegoś znacznie mniej romantycznego. Na terenie parku znajdowała się kiedyś ogromna zanieczyszczona kopalnia odkrywkowa, która dla paryskich przedsiębiorców budowlanych była źródłem gliny do wyrobu słynnych paryskich czerwonych dachówek, czyli *tuiles*.

Wjechawszy do opuszczonego parku, agent sięgnął dłonią pod deskę rozdzielczą samochodu i wyłączył syrenę. Langdon wypuścił z płuc powietrze, rozkoszując się ciszą. Strumień przytłumionych lamp halogenowych przesunął się przed samochodem, nad wysypaną białym żwirem drogą prowadzącą przez park, a opony obracające się na żwirze intonowały hipnotyczny rytm. Langdon zawsze uważał Tuileries za ziemię uświęconą. Były to ogrody, w których Claude Monet eksperymentował z formą i z kolorem i zainspirował narodziny impresjonizmu. Dziś w nocy jednak panowała tu aura niesamowitości.

Citroën skręcił teraz ostro w lewo, zmierzając w kierunku zachodnim, ku głównemu bulwarowi parku. Objechał okrągły staw, a potem przejechał na ukos przez opuszczoną drogę i wyjechał na szeroki prostokąt trawy tuż za nią. Langdon widział teraz koniec ogrodów Tuileries, wyjazd z nich akcentował ogromny kamienny łuk.

Arc du Carrousel.

Wprawdzie nie z powodu orgiastycznych rytuałów, które kiedyś odbywały się przy Arc du Carrousel, ale fanatycy sztuki oddawali cześć temu miejscu. Z esplanady na końcu Tuileries można było zobaczyć cztery największe muzea sztuki... jedno w każdym punkcie wyznaczonym przez kompas.

Z prawych okien samochodu, wyglądając na południe przez Sekwanę i Quai Voltaire, Langdon widział ostro oświetloną fasadę starej stacji kolejowej – teraz czcigodne Musée d'Orsay. Spojrzał w lewo i zobaczył szczyt dachu ultramodernistycznego Centrum Pompidou, w którym mieściło się muzeum sztuki nowoczesnej. Langdon wiedział, że z tyłu za nim, na zachód, wyrasta nad linią drzew starożytny obelisk Ramzesa, który wskazuje na Musée du Jeu de Paume.

A jednak to właśnie na wprost, ku wschodowi, pod kamiennym łukiem, Langdon widział teraz monolit renesansowego pałacu, który stał się najbardziej słynnym muzeum sztuki w świecie.

Musée du Louvre.

Langdon po raz kolejny poczuł zachwyt, kiedy jego wzrok na próżno próbował ogarnąć całą potężną bryłę i fasadę Luwru. Po drugiej stronie zapierającego dech w piersiach ogromnego placu imponujący fronton muzeum wyrastał w górę jak cytadela na tle paryskiego nieba. Luwr, który ma kształt ogromnej podkowy, jest najdłuższym budynkiem w Europie, dłuższym niż trzy wieże Eiffla, gdyby je położyć na ziemi jedną za

drugą. Nawet ponad dziewięć kilometrów kwadratowych otwartej przestrzeni między skrzydłami budowli nie robiło takiego wrażenia jak majestat szerokości jej fasady. Langdon kiedyś przeszedł wzdłuż całej długości murów Luwru, pokonując pięć kilometrów.

Mimo że według szacunków turyście, który chciałby dokładnie obejrzeć wszystkie sześćdziesiąt pięć tysięcy trzysta dzieł sztuki znajdujących się w tym budynku, zajęłoby to jakieś pięć tygodni, większość zwiedzających wybiera skróconą wersję, którą Langdon nazywał „Sprintem przez Luwr” – biegiem przez muzeum, żeby zobaczyć trzy najsłynniejsze dzieła – *Mona Lisę*, *Wenus z Milo* i *Nike*. Art Buchwald chwalił się kiedyś, że udało mu się zobaczyć wszystkie trzy w pięć minut i pięćdziesiąt sześć sekund.

Kierowca podjechał i trzymając w dłoni małą krótkofalówkę, wypowiedział kilka słów po francusku, co brzmiało jak wystrzał z karabinu maszynowego.

– *Monsieur Langdon est arrivé. Deux minutes.*

Z głośnika krótkofalówki przez trzaski dobiegło nieczytelne potwierdzenie jego meldunku.

Agent schował aparat i teraz zwrócił się do Langdona.

– Spotka się pan z kapitanem przy głównym wejściu.

Kierowca zignorował znaki zakazu wjazdu samochodów na plac przed Luwrem, ryknął silnikiem i przejechał Citroënem przez krawężnik. Główne wejście do Luwru górowało w oddali, otoczone siedmioma trójkątnymi fontannami, z których tryskały podświetlane strumienie wody.

*La pyramide.*

Nowe wejście do paryskiego Luwru zyskało niemal tak wielką sławę jak samo muzeum. Kontrowersyjna, modernistyczna szklana piramida, zaprojektowana przez urodzonego w Ameryce chińskiego architekta I. M. Pei, wciąż wywoływała niepochlebne opinie tradycjonalistów, którzy mieli poczucie, że niszczy dostojeństwo renesansowego podwórca. Goethe pisał, że architektura to zamrożona muzyka, a krytycy dzieła Pei mówili, że piramida to jak zgrzytanie paznokciami o tablicę. Postępowi wielbicieli utrzymywali, że przezroczysta piramida wysokości dwudziestu jeden metrów jest imponującym połączeniem starożytnej formy i współczesnej metody – symbolicznym łącznikiem między tym, co nowe, a tym, co stare – pomaga Luwrowi przekroczyć próg nowego tysiąclecia.

– Podoba się panu nasza piramida? – spytał agent.

Langdon zmarszczył czoło. Przez cały pobyt w Paryżu wydawało mu się, że Francuzi uwielbiają pytać o to Amerykanów. Było to oczywiście podchwytliwe pytanie. Jeżeli się powiedziało, że piramida się podoba, zyskiwało się opinię Amerykanina bez odrobiny gustu, a jeżeli się mówiło, że się nie podoba, Francuzi czuli się dotknięci.

– Mitterrand był bardzo odważnym człowiekiem – odparł Langdon wymijająco.

Nieżyjący już prezydent Francji, który zamówił budowlę, jak mówiono, cierpiał na „kompleks faraona”. Był osobiście odpowiedzialny za zapełnienie Paryża egipskimi obeliskami, sztuką starożytną i dziełami sztuki z Nilu. François Mitterrand przejawiał upodobanie do egipskiej kultury, które było tak przemożne, że Francuzi mówili o nim Sfinks.

– Jak się nazywa kapitan? – spytał Langdon, zmieniając temat.

– Bezu Fache – odparł kierowca, podjeżdżając do głównego wejścia do piramidy. – My nazywamy go le Taureau.

Langdon spojrzał na niego przez ramię, zastanawiając się, czy każdy Francuz nosi przedziwne przydomki wzięte ze świata zwierząt.

– Nazywacie waszego zwierzchnika Byk?

Agent, zdziwiony, uniósł brwi.

– Mówi pan po francusku lepiej, niż się pan do tego przyznaje, *monsieur* Langdon.

Mój francuski jest do niczego – pomyślał Langdon – ale moja wiedza zodiakalna jest całkiem niezła. Taurus zawsze był Bykiem. Astrologia jest wszędzie taka sama.

Agent zatrzymał samochód między dwoma fontannami przed olbrzymimi drzwiami z boku piramidy.

– Tam jest wejście. Powodzenia, *monsieur*.

– Pan nie wchodzi?

– Miałem rozkaz zostawić pana tutaj. Mam inne sprawy do załatwienia.

Langdon westchnął ciężko i wyszedł z samochodu. To nie mój cyrk.

Agent dodał gazu i samochód odjechał.

Langdon stał przed wejściem do piramidy i patrzył w kierunku oddalających się tylnych świateł Citroëna. W tej chwili zdał sobie sprawę, że mógłby jeszcze zmienić decyzję, wyjść z dziedzińca, złapać taksówkę i pojechać do hotelu, prosto do łóżka. Coś mu jednak mówiło, że to chyba głupi pomysł.

Kiedy szedł w kierunku rozświetlonych mgieł unoszących się z fontanny, miał dziwne uczucie, że wchodzi przez wymyślony próg do innego świata. Cały wieczór wydał mu się jak ze snu. Dwadzieścia minut temu leżał w łóżku w pokoju hotelowym. Teraz stał naprzeciw przezroczystej piramidy wybudowanej przez Sfinksa, czekając na policjanta, którego nazywano Bykiem.

Tkwiąc we wnętrzu obrazu Salvadora Dali i nie mogąc się ruszyć – pomyślał.

Podszedł do głównego wejścia, do ogromnych drzwi obrotowych. Korytarz za nimi był słabo oświetlony i pusty.

Mam zapukać?

Zastanawiał się, czy któryś z poważanych harwardzkich egiptologów pukał kiedykolwiek do frontowych drzwi piramidy i oczekiwał odpowiedzi. Podniósł dłoń, żeby uderzyć w szkło, ale gdzieś z ciemności poniżej wyłoniła się sylwetka człowieka, który zaczął wspinać się po kręconych schodach. Mężczyzna był potężnie zbudowany, zwalisty, ciemnowłosy, wyglądał niemal jak neandertalczyk, miał na sobie dwurzędowy garnitur, który ciasno opinał jego szerokie ramiona. Poruszał się na trochę krzywych, potężnie umięśnionych nogach, mając wyraźne poczucie władzy. Mówił coś do telefonu komórkowego, ale kiedy się pojawił na górze, wyłączył telefon. Dał Langdonowi znak, żeby wszedł do środka.

– Nazywam się Bezu Fache – oznajmił, kiedy Langdon przepchnął się przez obrotowe drzwi. – Jestem kapitanem policji i pracuję w Centralnym Biurze Śledczym. – Jego gardłowy, niski głos współgrał z sylwetką... przypominał pomruki nadciągającej burzy.

Langdon wyciągnął rękę w geście powitania.

– Robert Langdon.

Olbrzymia dłoń Fache’a owinięła się wokół dłoni Langdona i ścisnęła ją z siłą imadła.

– Widziałem fotografię – powiedział Langdon. – Pański agent powiedział, że Jacques Saunière sam to zrobił...

– Panie Langdon – powiedział Fache, a jego hebanowe oczy zawisły na oczach Langdona. – To, co pan widział na fotografii, to tylko początek tego, co zrobił Saunière.



## ROZDZIAŁ 4

Kiedy kapitan Bezu Fache szedł, wyglądał jak rozwścieczony wół – szerokie ramiona odchyłał do tyłu, a podbródek mocno przyciskał do klatki piersiowej. Ciemne włosy miał gładko przyczesane i posmarowane brylantyną, co uwydatniało jeszcze zrośnięte krzaczaste brwi i nos, który zdawał się go wyprzedzać, jak bukszpryt wyprzedza okręt wojenny. Jego ciemne oczy ognistym spojrzeniem jakby wypalały ziemię, po której kroczył, a bijąca z nich inteligencja zapowiadała nieustępliwość we wszystkim, czego się tknął.

Langdon schodził za kapitanem w dół po słynnych marmurowych stopniach do głęboko w ziemi zatopionego atrium pod szklaną piramidą. U stóp schodów przeszył między dwoma uzbrojonymi policjantami z karabinami maszynowymi. Sygnał był jasny – tej nocy nikt tu nie wchodzi ani stąd nie wychodzi bez błogosławieństwa kapitana Fache'a.

Langdon, schodząc pod poziom ulicy, czuł rosnący niepokój. Obecność Fache'a nie była ani miła, ani przyjazna, a atmosfera panująca w samym Luwrze o tej porze przypominała atmosferę pogańskiej świątyni. Schody, jak wejście do kina, były oświetlone małymi punktowymi lampkami zatopionymi po bokach stopni. Langdon słyszał echo swoich kroków odbijające się od szkła nad głową. Kiedy spojrział w górę, zobaczył prześwitujące przez szkło oświetlone strumienie wody bijącej z fontanny po przezroczystym dachu.

– Podoba się to panu? – spytał Fache, wskazując w górę gestem szerokiego podbródka.

Langdon westchnął, zbyt zmęczony, żeby podjąć grę.

– Tak, wasza piramida jest wspaniała.

– Blizna na twarzy Paryża – jęknął Fache.

Pierwsze starcie. Langdon wyczuł, że jego dzisiejszego gospodarza trudno będzie zadowolić. Zastanawiał się, czy Fache miał pojęcie o tym, że ta piramida, na wyraźne życzenie prezydenta Mitterranda, została zbudowana z sześciuset sześćdziesięciu sześciu bloków szkła – a to dziwne żądanie było stałym gorącym tematem rozmów ludzi rozkochanych w konspiracji, którzy utrzymywali, że 666 to liczba szatana.

Langdon postanowił nie podejmować tego tematu.

Kiedy schodzili coraz niżej do podziemnego foyer, z półcieni zaczęła się wylaniać potężniejąca podziemna przestrzeń. Zlokalizowana dziewiętnaście metrów pod poziomem ulicy, nowa sala Luwru o powierzchni ponad sześciu kilometrów kwadratowych rozciągała się we wszystkie strony jak niekończąca się grotta. Zbudowana z marmuru o ciepłym kolorze ochry, współgrającym kolorystycznie z miodowym odcieniem kamiennej fasady Luwru, ta podziemna sala zazwyczaj wibrowała światłem słońca i głosami turystów. Tej nocy jednak była opuszczona i ciemna, a cała przestrzeń emanowała atmosferą podziemnej krypty i chłodu.

– Gdzie są strażnicy muzeum? – spytał Langdon.

– *En quarantaine* – odburknął Fache takim tonem, jakby Langdon chciał swoim pytaniem zakwestionować wiarygodność jego ekipy dochodzeniowej. – Rzecz jasna, pozwolenie na wejście uzyskał tu ktoś, kto nie powinien był się tu znaleźć. Wszyscy nocni strażnicy Luwru są w skrzydle Sully'ego, gdzie ich przesłuchujemy. Teraz aż do rana za bezpieczeństwo muzeum odpowiadają moi agenci.

Langdon skinął głową, przyspieszając kroku, żeby nie zostawać w tyle za Fache'em.

– Czy znał pan dobrze Jacques'a Saunière'a? – spytał kapitan.

– Właściwie wcale go nie znałem. Nigdy się nie spotkaliśmy.

Fache wyglądał na zdziwionego.

– Mieliście się pierwszy raz spotkać dzisiaj wieczorem?

– Tak. Zaplanowaliśmy spotkanie w recepcji Amerykańskiego Uniwersytetu zaraz po moim wykładzie, ale się nie pojawił.

Fache zapisał coś w notesie. Kiedy szli dalej, Langdon kątem oka zobaczył mniej znaną piramidę Luwru – *la pyramide inversée* – ogromne, odwrócone do góry nogami okno dachowe, które zwisało z sufitu jak stalaktyt. Fache poprowadził Langdona krótkimi schodami w górę aż do wejścia do łukowatego tunelu, nad którym widniał napis: DENON. Skrzydło Denona było najslawniejsze z trzech głównych części Muzeum Luwru.

– Kto poprosił o spotkanie? – spytał nagle Fache. – Pan czy on?

Pytanie wydawało się dziwne.

– Poprosił pan Saunière – odparł Langdon, kiedy wchodzili do tunelu. – Kilka tygodni temu jego sekretarka skontaktowała się ze mną przez e-mail. Napisала, że kustosz dowiedział się, że w tym miesiącu będę miał wykład w Paryżu, i chce ze mną coś omówić.

– Co?

– Nie wiem. Przypuszczam, że kwestie związane ze sztuką. Mieliśmy wspólne zainteresowania.

Fache spojrział na niego sceptycznie.

– Nie przypuszczał pan, o czym będzie rozmowa?

Nie. Kiedy go poproszono o spotkanie, był ciekaw, ale nie czuł się na tyle swobodnie, żeby żądać szczegółów. Powszechnie uwielbiany Jacques Saunière bardzo pilnie strzegł swojej prywatności i spotykał się z ludźmi rzadko; Langdon był wdzięczny za samą możliwość poznania go.

– Panie Langdon, czy mógłby pan przynajmniej spróbować zgadnąć, na czym ofercie morderstwa mogło zależeć, co Saunière chciał z panem omówić tego wieczoru, kiedy go zabito? To może nam pomóc.

Obcesowość tego pytania była dla Langdona dosyć krepująca.

– Naprawdę nie potrafię sobie wyobrazić. Nie pytałem. Czuję się zaszczycony, że w ogóle się ze mną skontaktował. Zawsze podziwiałem prace pana Saunière'a. Często korzystam z jego tekstów podczas zajęć na uczelni.

Fache odnotował to w swoim notesie.

Byli już w połowie drogi przez tunel wejściowy do skrzydła Denona, gdzieś na końcu Langdon widział dwie stojące obok siebie windy, teraz nieruchome.

– Mieliście panowie wspólne zainteresowania? – spytał Fache.

– Tak. Szczerze mówiąc, prawie cały ubiegły rok poświęciłem na opracowanie książki pokrewnej dziedzinie wiedzy, w której pan Saunière był niezaprzeczalnie ekspertem. Spodziewałem się, że będę mógł zasięgnąć u niego języka.

Fache podniósł wzrok.

– Przepraszam?

Widać zwrot, którego Langdon użył, był niezrozumiały.

– Cieszyłem się, że będę się mógł dowiedzieć, co myśli na ten temat.

– Rozumiem. A cóż to za temat?

Langdon zawahał się, niepewny, jak to ująć.

– W zasadzie rzecz jest poświęcona artystycznym wyobrażeniom Wielkiej Bogini – pojęciu świętości kobiecej oraz związanej z nim sztuce i symbolice.

Fache przyglądał swoje czarne włosy wielką jak kotlet dłonią.

- A Saunière był biegły w tej materii?
- Jak nikt na świecie.
- Rozumiem.

Langdon wyczuł, że Fache nie rozumie, o czym mowa. Jacques Saunière był uważany za najpoważniejszego znawcę wyobrażeń Wielkiej Bogini. Nie tylko miał osobiste zacięcie i pasję do znalezisk archeologicznych związanych z kultem płodności i Wielką Boginią, z Wicca i sakralnością kobiecą, ale w ciągu dwudziestu lat pracy na stanowisku kustosza Luwru pomógł muzeum w zgromadzeniu największej na świecie kolekcji sztuki związanej z kultem Wielkiej Bogini: labrysów – toporów z najstarszej greckiej świątyni kapłanek delfickich, setek egipskich zapinek Angh, przypominających stojące anioły, grzechotek *sistrum*, używanych w starożytnym Egipcie do odpędzania złych duchów, niezwykłego zbioru statuetek boga Horusa pielęgnowanego przez boginię Izydę.

– Może Jacques Saunière wiedział o istnieniu pańskiej pracy? – zasugerował Fache. – I poprosił pana na spotkanie, żeby zaproponować pomoc?

Langdon potrząsnął głową.

– Prawdę mówiąc, nikt jeszcze nie wie o mojej książce. Nie jest skończona i nie pokazywałem jej nikomu oprócz mojego wydawcy.

Fache zamilkł. Langdon nie wspomniał, dlaczego nie pokazał jeszcze rękopisu nikomu innemu. W trzystustronicowym szkicu pod roboczym tytułem *Symbole zatraczonej świętości żeńskiej* proponował doprawdy niekonwencjonalne ujęcia ikonografii religijnej, które zapewne wzbudzą spory.

Teraz, kiedy Langdon zbliżał się do nieczynnych w tej chwili ruchomych schodów, przystanął, zdając sobie sprawę, że Fache'a nie ma przy nim. Obrócił się i zobaczył, że stoi kilka metrów dalej, koło windy technicznej.

– Pojedziemy tą windą – powiedział Fache, kiedy otworzyły się jej drzwi. – Na pewno pan wie, że galeria jest dosyć daleko.

Chociaż Langdon zdawał sobie sprawę, że podróż windą przyspieszy długą drogę na drugie piętro do skrzydła Denona, nie ruszał się z miejsca.

– Coś nie tak? – Fache przytrzymał drzwi lekko zniecierpliwiony.

Langdon wypuścił powietrze z płuc i spojrzał tęsknym wzrokiem na ruchome schody. Nie, wszystko w porządku – skłamał sam przed sobą i podreptał do windy. Jako chłopak Langdon kiedyś wpadł do nieczynnej studni i omal nie stracił życia w płytkiej wodzie, zanim go ktoś uratował. Od tego czasu cierpiał na dręczącą fobię zamkniętych przestrzeni – wind, metra, kortów do gry w squasha. Winda to zupełnie bezpieczne urządzenie – powtarzał sobie, ale nie mógł w to uwierzyć. To małe, metalowe pudło wiszące w zamkniętym szybie! Wstrzymał oddech i wszedł do windy, czując dobrze znane uczucie przyływu adrenaliny, kiedy drzwi się za nim zamknęły.

Dwa piętra. Dziesięć sekund.

– Więc pan i Saunière – powiedział Fache, kiedy winda ruszyła – nigdy się nie spotkaliście? Nigdy z sobą nie rozmawialiście i nie korespondowaliście? Nie wymienialiście poczty elektronicznej?

Kolejne dziwne pytanie. Langdon potrząsnął przecząco głową.

– Nie. Nigdy.

Fache przekrzywił głowę, jakby odnotowując ten fakt w pamięci. Milcząc, patrzył wprost przed siebie na chromowane drzwi.

Kiedy jechali do góry, Langdon starał się skupić myśli na czymkolwiek, byle nie na czterech ścianach, które go otaczały. W odbiciu błyszczących drzwi windy ujrzał spinkę do krawata kapitana policji – srebrny krzyż z trzynastoma wtopionymi w niego kawałkami czarnego onyksu. Zauważył to z niejakim zdziwieniem. Ten symbol znany był jako *crux gemmata* – krzyż z trzynastoma klejnotami – ideogram chrześcijański, symbolizujący Chrystusa i jego dwunastu apostołów. Langdon jakoś nie spodziewał się, że kapitan francuskiej policji będzie tak otwarcie manifestował swoje przywiązanie do Kościoła. Z drugiej jednak strony byli we Francji, a chrześcijaństwo w tym kraju to religia tak powszechna, jak powszechne jest prawo do narodzin.

– To *crux gemmata* – powiedział nagle Fache.

Zdziwiony Langdon podniósł wzrok i zobaczył, że Fache patrzy na niego w odbiciu chromowanych drzwi windy.

Winda zatrzymała się i drzwi się otworzyły.

Langdon szybko wyszedł do holu, chcąc jak najszybciej znaleźć się w szerszej przestrzeni, którą tworzyły słynne wysokie sufity galerii Luwru. Świat, w którym się znalazł, był jednak zupełnie różny od tego, czego się spodziewał.

Zdziwiony Langdon zatrzymał się w pół kroku.

Fache odwrócił się i rzekł przez ramię:

– Rozumiem, panie Langdon, że nigdy nie widział pan Luwru po zamknięciu?

Chyba nie – pomyślał Langdon, próbując zorientować się w ciemnościach.

Zazwyczaj starannie oświetlone, teraz galerie były zadziwiająco ciemne. Zamiast płaskich, białych elementów oświetlenia, które schodzą od sufitu po ścianach w dół, teraz świeciły przytłumione małe żarówki zatopione w podłodze, raz po raz rozświetlane plamami czerwonego światła rozlewającymi się pod stopami.

Kiedy Langdon spojrzał w mroczny korytarz, zdał sobie sprawę, że powinien był się tego spodziewać. W zasadzie wszystkie większe galerie sztuki nocą wykorzystywały czerwone oświetlenie techniczne – umieszczone strategicznie bardzo nisko, nieinwazyjne lampki, które pozwalały obsłudze galerii rozpoznawać korytarze i przejścia, utrzymując jednocześnie obrazy we względnej ciemności, aby spowodować efekt blaknięcia spowodowany zbytnią ekspozycją na promienie światła. Tej nocy muzeum niemal osaczało i przytłaczało ciemnością. Wszędzie czaiły się długie cienie, a to, co na co dzień jawiło się przed oczami jako pnące się w górę, potężne sufity, teraz wydawało się nisko wiszącą czarną pustką.

– Tędy – powiedział Fache, skręcając ostro w prawo i mijając połączone ze sobą galerie.

Langdon szedł za nim, powoli przyzwyczajając wzrok do ciemności. Z lewej i z prawej strony materializowały się z półcieni wielkoformatowe płótna olejne, jak odbitki wyłaniające się z wywoływacza w jakiejś ogromnej ciemni... Kiedy przechodzili przez kolejne sale, śledziły ich oczy postaci przedstawionych na obrazach. Langdon czuł na języku znany smak muzealnego powietrza – suchą, pozbawioną jonów esencję, w której czuło się ledwo wyczuwalny akcent węgla. Produkt przemysłowych regulatorów wilgotności zaopatrzonych w filtry węglowe, które pracowały dwadzieścia cztery godziny na dobę, by przeciwdziałać korozyjnemu wpływowi dwutlenku węgla wydychanego przez zwiedzających.

Umocowane wysoko na ścianach i dobrze widoczne kamery przemysłowe posyłały zwiedzającym bardzo jasny komunikat: Widzimy cię. Niczego nie dotykaj.

– Są prawdziwe? – spytał Langdon, gestem głowy wskazując kamery.

Fache pokręcił głową.

– Oczywiście, że nie.

Langdon nie był zdziwiony. Podgląd wideo w muzeum tej wielkości byłby ogromnie kosztowny i nieskuteczny. Gdyby chciał podglądać setki metrów kwadratowych galerii, Luwr musiałby zatrudnić setki techników tylko po to, by monitorować obraz. Większość wielkich muzeów korzystała teraz z systemu „bezpieczeństwa przez zatrzymanie”. Zamiast nie wpuszczać złodziei do środka, należy ich tam zatrzymać.

Urządzenia służące do tego celu włączano po zamknięciu muzeum, gdyby jakiś intruz zdjął ze ściany obraz, podzielone na sektory wyjścia odcięłyby tę galerię, zamykając się wokół niej, a złodziej znalazłby się za kratami, nim pojawiłaby się policja.

Dźwięk głosów odbijał się echem w wyłożonym marmurem korytarzu wyżej przed nimi. Wydawało się, że odgłosy dochodzą z wielkiej niszy leżącej po prawej stronie. Jaskrawe światło wylewało się na korytarz.

– Biuro kustosa – powiedział kapitan.

Kiedy razem z Fache'em podeszli do niszy, Langdon zajął w głąb krótkiego korytarza, do luksusowo urządzonego gabinetu Saunière'a – ściany wyłożone emanującym ciepło drewnem, obrazy starych mistrzów i olbrzymie, liczące ponad sto lat biurko, na którym stała półmetrowej wysokości figurka rycerza w pełnej zbroi. Po pomieszczeniu kręciło się kilku tajniaków, rozmawiając przez telefon i notując coś w notesach. Jeden siedział przy biurku Saunière'a i pisał coś na laptopie. Wyglądało na to, że osobiste biuro Saunière'a stało się na tę noc tymczasowym punktem dowodzenia DCPJ.

– *Messieurs* – zawołał Fache i obecni odwrócili się w jego kierunku. – *Ne nous dérangez pas sous aucun prétexte. Entendu?*

Wszyscy kiwnęli głowami, że rozumieją.

Langdon nieraz już wywieszał na klamkach drzwi pokoi hotelowych tabliczki z napisem NE PAS DERANGER, więc złapał sens rozkazów kapitana. Fache'owi i Langdonowi miano nie przeszkadzać pod żadnym pozorem.

Zostawiając za sobą małe zgromadzenie agentów, Fache poprowadził Langdona dalej ciemnym korytarzem. Trzydzieści metrów przed nimi wylaniało się z ciemności wejście do cieszącej się największą popularnością części Luwru – la Grande Galerie – wydającego się nie mieć końca pawilonu, w którym mieściły się najcenniejsze dzieła sztuki włoskich mistrzów. Langdon już się zorientował, że właśnie tutaj leżało ciało Saunière'a; na zdjęciu z polaroidu widać było jak na dłoni słynny parkiet Wielkiej Galerii.

Kiedy podeszli, Langdon zobaczył, że wejście blokuje potężna stalowa krata, która wyglądała jak krata w średniowiecznym zamku, opuszczana przed niedobitkami obcych wojsk.

– Nowe środki bezpieczeństwa – wyjaśnił Fache, kiedy zbliżali się do kraty.

Nawet w ciemności zapora ze stali wyglądała tak, jakby mogła powstrzymać czołg. Langdon podszedł i zajął przez stalową kratownicę do słabo oświetlonych pomieszczeń Wielkiej Galerii.

– Pan pierwszy, panie Langdon – powiedział Fache.

Langdon odwrócił się do niego. Pierwszy dokąd?

Fache wskazał gestem na podłogę u podstawy stalowej kraty.

Langdon spojrzał w dół. Nie zauważył tego w ciemności. Była uniesiona na blisko sześćdziesiąt centymetrów, tak że pod spodem powstało wąskie, niewygodne przejście.

– Ten obszar jest wciąż niedostępny dla ochrony Luwru – powiedział Fache. – Ekipa Police Technique et Scientifique właśnie skończyła pracę. – Wskazał ręką na otwór pod kratą. – Niech się pan prześlizgnie pod spodem.

Langdon spojrzał na wąską przestrzeń u swoich stóp, w którą miał się wczołgać, a potem na masywną żelazną bramę. On chyba żartuje. Stalowa krata wyglądała jak gilotyna, gotowa w każdej chwili zmiażdżyć intruza.

Fache mruknął coś pod nosem po francusku i spojrzał na zegarek. Potem ukląkł i przesunął pod kratą najpierw masywne ramiona, a potem resztę ciała. Wstał po drugiej stronie i spojrzał na Langdona przez stalowe sztaby.

Langdon westchnął. Położył się na brzuchu, dłonie oparł płasko na wypolerowanym parkiecie i podciągnął się do przodu. Kiedy się przesunął pod spodem, wewnętrzna część kołnierza z tyłu jego tweedowej marynarki od Harrisa zahaczyła o pręt kraty, a on przywalił w nią tyłem głowy.

Bardzo sprytnie, Robercie – pomyślał, grzebiąc się i ślizgając pod kratą na drugą stronę. Kiedy wstał, zrodziło się w nim podejrzenie, że to będzie bardzo długa noc.

Murray Hill Place – nowa kwatery główna i centrum konferencyjne Opus Dei – mieści się przy Lexington Avenue numer 243 w Nowym Jorku. Kosztowała nieco ponad czterdzieści siedem milionów dolarów, ma ponad tysiąc trzysta metrów kwadratowych powierzchni i kształt wieżowca zbudowanego z czerwonej cegły i wapienia z Indii. Zaprojektowała ją firma architektoniczna Nay & Pinska, w budynku jest ponad sto sypialni, sześć jadalni, biblioteki, pokoje wypoczynkowe, sale konferencyjne i biura. Na drugim, ósmym i szesnastym piętrze znajdują się kaplice zdobione rzeźbionym kamieniem i marmurem. Piętro siedemnaste to piętro wypoczynkowe. Mężczyźni wchodzi do budynku przez główne drzwi przy Lexington Avenue. Kobiety – od strony bocznej uliczki i są „akustycznie i wizualnie oddzielone” od mężczyzn przez cały czas przebywania w budynku.

Trochę wcześniej tego samego wieczoru w ciszy i spokoju swojego mieszkania z widokiem na światła Nowego Jorku biskup Manuel Aringarosa zapakował małą torbę podróżną i włożył zwykłą czarną sutannę. Kiedy indziej nie zapominałby o purpurowym pasie biskupim, ale dziś wieczór będzie podróżować publicznymi środkami lokomocji i wolał nie przyciągać uwagi swoją godnością. Tylko bystry obserwator mógłby dostrzec pierścien z czternastokaratowego złota z purpurowym ametystem, wielkimi diamentami i ręcznie wykonaną ozdobą w kształcie laski biskupiej. Zarzucił sobie torbę podróżną na ramię, odmówił w ciszy modlitwę i wyszedł z mieszkania, potem zjechał do holu na dole, gdzie czekał kierowca, który miał odwieźć go na lotnisko.

Teraz, siedząc w fotelu samolotu, który odbywał regularny lot do Rzymu, Aringarosa wyglądał przez okno i obserwował ciemne wody Atlantyku. Słońce już zaszło, ale Aringarosa wiedział, że jego gwiazda wschodzi. Dzisiejszej nocy wygramy bitwę – pomyślał zdumiony, że zaledwie kilka miesięcy temu czuł się bezradny w rękach tych, którzy grozili, że zniszczą jego imperium.

Jako prałat Opus Dei, biskup Aringarosa spędził ostatnie dziesięć lat swojego życia, niosąc dobrą nowinę Dzieła Bożego – Opus Dei. Kongregacja założona w 1928 przez hiszpańskiego księdza José Maria Escriva de Balaguer propagowała powrót do tradycyjnych wartości katolickich i zachęcała swoich członków do poświęcania całego życia i pracy Bogu.

Konserwatywna i zainspirowana tradycyjnymi wartościami chrześcijaństwa filozofia Opus Dei oraz sam ruch ma swoje początki w Hiszpanii, jeszcze w czasach sprzed reżimu Franco, ale od chwili publikacji w 1934 roku uduchowionego dzieła José Marii Escrivy zatytułowanego *Droga*, zawierającego 999 punktów medytacji służącej wdrażaniu Dzieła Bożego w codziennym życiu – przesłanie Escrivy rozprzestrzeniło się w całym świecie. Teraz, kiedy ponad cztery miliony egzemplarzy *Drogi* krąży po wszystkich kontynentach w tłumaczeniu na czterdzieści dwa języki, Opus Dei wyrasta na ruch ogólnoswiatowy. Jego bursy, ośrodki naukowe, a nawet uniwersytety można odnaleźć niemal w każdej większej metropolii Europy i obu Ameryk. Opus Dei jest najszybciej rozwijającą się i finansowo najlepiej prosperującą organizacją katolicką na świecie. Niestety, o czym przekonał się Aringarosa, w czasach cynizmu religijnego, kultów i kaznodziei telewizyjnych, rosnące bogactwo i wpływy Opus Dei prowokowały przeróżne podejrzenia.

– Dla wielu Opus Dei jest ideologicznym praniem mózgow – oskarżają często dziennikarze. – Dla innych jesteście ultrakonserwatywnym tajnym stowarzyszeniem katolickim. Kim właściwie jesteście?

– Opus Dei nie jest ani jednym, ani drugim – tłumaczył cierpliwie biskup. – Należymy do Kościoła katolickiego. Jesteśmy zgromadzeniem katolików, którzy wybrali możliwie najbardziej rygorystyczne przestrzeganie doktryny katolickiej.

– Czy Dzieło Boże musi zawierać takie elementy jak śluby czystości, płacenie dziesięciny oraz pokutę za grzechy przez samobiczowanie i noszenie *cilice*?

– Mówi pan tylko o pewnym niewielkim procencie wyznawców Opus Dei – odpowiadał Aringarosa. – Jest przecież wiele poziomów, na których można się zaangażować duchowo. Istnieją tysiące zwyczajnych członków Opus Dei, którzy są w związkach małżeńskich, mają rodziny i szerzą Dzieło Boże w swoich społecznościach. Inni wybierają życie w ascezie, w murach naszych domów zakonnych. Są to wybory osobiste, ale wszyscy w Opus Dei mamy jeden cel – ulepszenie świata poprzez czynienie Dzieła Bożego. Jest to z pewnością cel wzniosły.

Rzadko jednak udawało się kogoś przekonać argumentami zdroworozsądkowymi. Media zawsze dążyły w kierunku skandalu, a w szeregach Opus Dei, tak jak w większości ponad miarę rozrośniętych organizacji, było kilka zbłąkanych dusz, których zachowanie rzucało cień na wszystkich pozostałych. Dwa miesiące przed tym wywiadem grupę Opus Dei na uniwersytecie na środkowym zachodzie Stanów przyłapano na podawaniu nowo przyjętym do organizacji meskaliny, by wzbudzić w nich stany euforyczne, które neofici mieli postrzegać jako doświadczenie religijne. Jakiś student uniwersytetu zapinał na udzie nabijany ostrymi kolcami pas *cilice* na dłużej niż zalecane dwie godziny dziennie i nabawił się śmiertelnej infekcji. Nie tak dawno temu w Bostonie rozczarowany życiem młody bankier zapisał Opus Dei oszczędności całego życia, a potem popełnił samobójstwo.

Zbłąkane owieczki – pomyślał Aringarosa, ogarniając ich serdeczną, współczującą myślą.

Największe zakłopotanie organizacji wzbudził, rzecz jasna, szeroko komentowany w mediach proces szpiega FBI, Roberta Hanssena, który prócz tego, że był prominentnym członkiem Opus Dei, był też, jak się okazało, dewiantem seksualnym, a podczas procesu sądowego ujawniono dowody na to, że zainstalował ukryte kamery we własnej sypialni, by jego koledzy mogli się przyglądać, jak uprawia seks z żoną.

– A takie zachowanie trudno nazwać rozrywką żarliwego katolika – powiedział sędzia podczas rozprawy.

To przykre, ale wydarzenia te zainspirowały powołanie do życia nowej grupy, która obserwuje działalność Opus Dei, znanej jako Sieć Świadomości Opus Dei. Bardzo popularna strona internetowa tej grupy przekazywała przerażające historie opowiedziane przez byłych członków Opus Dei, którzy ostrzegali, czym grozi wstąpienie do organizacji. Media mówiły teraz, że Opus Dei to „mafia Boga” i „sektę Chrystusa”.

Boimy się tego, czego nie rozumiemy – myślał Aringarosa, zastanawiając się, czy ci krytycy mają w ogóle pojęcie, ile istnień ludzkich wzbogaciło Opus Dei. Organizacja miała pełne poparcie i błogosławieństwo Watykanu. Opus Dei to osobista prałatura papieża.

Jednak całkiem niedawno zagroziła Opus Dei siła nieskończenie potężniejsza niż media... Niespodziewany wróg, przed którym Aringarosa nie potrafił się nigdzie ukryć. Pięć miesięcy temu zatrzęsły się podstawy władzy organizacji, a Aringarosa wciąż nie mógł się po tym ciosie podnieść.

– Nie wiedzą, z kim wszczynają wojnę – szeptał do siebie Aringarosa, wyglądając przez okno samolotu w nieprzeniknioną ciemność oceanu. Przez chwilę jego wzrok spoczął na powierzchni okna i ujrzał odbicie swojej twarzy – o ciemnej cerze, pociągłej, z wydatnym płaskim i krzywym nosem, który kiedyś, gdy był młodym misjonarzem, złamała w Hiszpanii brutalna pięść. Teraz jednak nikt nie zważał na jego fizyczne niedoskonałości. Aringarosa żył zanurzony w świecie ducha, a nie ciała.

Kiedy odrzutowiec przeleciał nad linią brzegową Portugalii, telefon komórkowy w kieszeni sutanny Aringarosa zaczął bezgłośnie wibrować. Mimo że przepisy linii lotniczych zakazują korzystania z telefonów komórkowych w czasie lotu, Aringarosa odebrał telefon, ponieważ wiedział, że jest to rozmowa, której nie może zignorować. Tylko jeden człowiek miał numer tego telefonu, ten sam człowiek, który przestał telefon Aringarosie.

Podekscytowany biskup odezwał się cicho.

– Tak?

– Syłas zlokalizował klucz sklepienia – powiedział jego rozmówca. – Jest w Paryżu. W murach kościoła Saint-Sulpice.

Aringarosa uśmiechnął się.

- Jesteśmy więc blisko.
- Możemy go zdobyć natychmiast. Ale potrzebujemy twoich wpływów, księżu biskupie.
- Oczywiście. Powiedz, co mam zrobić.

Kiedy Aringarosa wyłączył telefon, serce biło mu jak młotem. Raz jeszcze spojrzął w pustkę, w ciemność nocy, czując się jak pyłek w lawinie wydarzeń, które zaczęły się toczyć z jego woli.

Siedemset kilometrów dalej albinos o imieniu Sylas stał pochylony nad miednicą i ścierał sobie krew z pleców, patrząc, jak w wodzie wirują czerwone wzory. *Pokrop mnie hiżopem, a stanę się czysty, obmyj mnie, a nad śnieg wybieleję* – modlił się słowami psalmu.

Sylas czuł radosne podniecenie – po raz pierwszy od czasów, kiedy skończyło się jego poprzednie życie. Zaskoczyło go to i podekscytowało zarazem. Przez ostatnie dziesięć lat wyznawał Drogę, oczyszczając się z grzechów... Odbudowując życie... Wymazując akty przemocy z poprzedniego życia. Dziś wieczorem to wszystko powróciło jednak jak fala. Nienawiść, którą tak bardzo chciał pogrzebać, została wezwana do apelu. Był zdziwiony tym, jak szybko wróciła przeszłość. A wraz z nią oczywiście jego umiejętności. Trochę przykurzone, ale użyteczne.

Słowo Jezusa to słowo pokoju... Nieuciekania się do przemocy... słowo Miłości. Tego uczono Sylasa od początku i te nauki zachowywał w sercu. Ale wrogowie Chrystusa próbują teraz zniszczyć właśnie te nauki i tę prawdę. Ci, którzy grożą Bogu siłą, będą zwalczani siłą. Niewzruszoną. Jak skała.

Przez dwa tysiąclecia żołnierze Chrystusa bronili wiary przeciwko tym, którzy próbowali ją zniekształcić. Dziś Sylasa wezwano do boju.

Osuszył rany i włożył habit sięgający do kostek. Prosty, uszyty z ciemnej wełny, podkreślał biel jego skóry i włosów. Zawiązał mocniej węzeł na sznurze wokół pasa, założył kaptur na głowę i pozwolił swoim czerwonym oczom podziwiać to odbicie w lustrze. Kości zostały rzucone.

## ROZDZIAŁ 6

Prześlizgnąwszy się pod stalową kratą do Wielkiej Galerii, Robert Langdon miał poczucie, jakby się nagle znalazł u wylotu długiej, głębokiej doliny. Po obu stronach galerii nagie ściany piętrzyły się w górę na ponad dziesięć metrów i znikły gdzieś w ciemnościach. Rzednący blask czerwonych lampek oświetlenia technicznego rozpraszał się, pnąc się ku sufitowi, a lampki rzucały nienaturalne, rudawe światło na imponującą kolekcję obrazów Leonarda da Vinci, Tycjana i Caravaggia, wiszących na umocowanych u sufitu sznurach. Martwe natury, sceny religijne i krajobrazy wisiały tuż obok portretów szlachty i mężów stanu.

Chociaż w Wielkiej Galerii znajdowały się najsztywniejsze dzieła sztuki malarstwa włoskiego, wielu odwiedzających miało uczucie, że jednak największe wrażenie robi na nich jej słynny parkiet. Ułożony z ukośnych dębowych klepek w zadziwiający wzór geometryczny, stwarzał efemeryczne złudzenie optyczne – złudzenie wielowymiarowej sieci, tak że zwiedzającym wydawało się, że płyną przez galerię po ruchomej, zmieniającej się z każdym krokiem powierzchni wody.

Kiedy wzrok Langdona zaczął błądzić po intarsjowanej podłodze, jego oczy nagle zatrzymały się na przedmiocie leżącym kilka metrów na lewo, otoczonym ze wszystkich stron taśmą policyjną, przedmiocie, którego nie powinno tam być. Odwrócił się do Fache'a.

– Czy tam na podłodze, to jest... Caravaggio?

Fache skinął głową, nawet nie patrząc.

Obraz, jak oceniał Langdon, był wart powyżej dwóch milionów dolarów, a tu wałał się na podłodze jak stary plakat.

– A cóż to płótno robi na podłodze?

Fache spojrzął na niego niechętnie, najwyraźniej nieporuszony tym faktem.

– To jest miejsce zbrodni, panie Langdon. Niczego nie dotykaliśmy. Płótno zerwał ze ściany kustosz Luwru. Właśnie tak włączył system alarmowy.

Langdon odwrócił się i znów spojrzął na stalową kratownicę oddzielającą korytarz od głównej sali, próbując sobie wyobrazić, co się tu wydarzyło.

– Kustosza napadnięto w jego biurze, uciekł do Wielkiej Galerii i włączył system bezpieczeństwa, zrywając ten obraz ze ściany. Krata natychmiast opadła, odcinając tu wszelki dostęp. To jest jedyne wejście i wyjście z galerii.

Langdon nie zrozumiał od razu.

– To znaczy, że kustoszowi udało się uwięzić napastnika tutaj, w Wielkiej Galerii?

Fache potrząsnął głową.

– Brama systemu alarmowego oddzieliła Saunière'a od napastnika. Zabójca był po jej drugiej stronie, w holu, i strzelił do Saunière'a przez kraty. – Fache wskazał palcem na pomarańczowe oznaczenie zwisające z jednej ze sztab na bramie, pod którą właśnie przeszli. – Ekipa daktyloskopijna znalazła osad po prochu i ślad wystrzału. Strzelił przez sztaby. Saunière zmarł tutaj sam.

Langdon przypomniał sobie fotografię ciała Saunière'a. Podobno zrobił to sobie sam. Wyjrzał na olbrzymi pawilon rozciągający się przed nimi.

– Więc gdzie jest jego ciało?

Fache poprawił spinkę do krawata w kształcie krzyżyka i ruszył do przodu.

– Jak pan prawdopodobnie wie, Wielka Galeria jest dosyć długa.

Jej dokładna długość, o ile Langdon dobrze pamiętał, wynosiła około trzystu metrów, a to długość trzech pomników Waszyngtona ułożonych wzdłuż jeden za drugim. Szerokość była równie zdumiewająca, mogły się w niej zmieścić bez trudu dwa pociągi pasażerskie. Pośrodku olbrzymiego pawilonu stały co kilkanaście metrów jakieś posągi i kolosalnej wielkości porcelanowe urny, służące jako gustowne oznaczenie linii środkowej, rozdzielające kierunki ruchu zwiedzających.

Fache teraz się nie odzywał. Stawiając energiczne kroki, maszerował prawą stroną z wrokiem utkwionym gdzieś przed siebie. Langdon czuł, że to trochę jak profanacja przebiegać obok tyłu wybitnych dzieł sztuki, nie zatrzymując się nawet na chwilę, aby spojrzeć.

Inna rzecz, że przy tym oświetleniu i tak nic nie dałoby się zobaczyć – pomyślał.

Stłumione karmazynowe światło przywiodło niestety wspomnienia z niedawnych przeżyć Langdona w pomieszczeniach Tajnych Archiwów Watykańskich, oświetlanych podobnie nieinwazyjnym światłem. Dziś wieczór była to druga niepokojąca paralela z przygodą w Rzymie, która niemal nie skończyła się dla niego tragicznie. Znów przypomniał sobie Vittorię. Zniknęła z jego snów. Nie pojawiała się tam już od miesiąca. Langdon nie mógł uwierzyć, że Rzym był zaledwie rok temu; czuł, jakby minęły całe dziesięciolecia. Inne życie. Ostatni list od Vittorii otrzymał w grudniu – a właściwie pocztówkę – pisała, że wybiera się na morze niedaleko Jawy, by dalej prowadzić badania nad dynamiką stanów nieuporządkowanych... Coś na temat wykorzystywania satelitów do śledzenia migracji ogromnych morskich płaszczyk. Langdon nigdy się nie oszukiwał, że takie kobiety jak Vittoria Vetra mogłyby prowadzić szczęśliwe życie u jego boku na kampusie uniwersyteckim, ale ich spotkanie w Rzymie rozbudziło w nim tęsknoty, których nigdy nawet sobie nie wyobrażał. Jego kawalerskie życie i zwyczajne przyjemności, które takie życie dawało, zostało nagle zepchnięte z prostych torów i pojawiła się niespodziewana pustka – chociaż przez rok rana trochę się zablizniła.

Szli dalej szybkim krokiem, a Langdon wciąż nie widział ciała.

– Jacques Saunière dotarł aż tutaj?

– Pan Saunière został trafiony w brzuch. Umierał bardzo powoli. Może piętnaście lub dwadzieścia minut. Bezsprzecznie był człowiekiem o wielkiej sile fizycznej i duchowej.

Langdon odwrócił się, nie dowierzając.

– Ochrona dotarła tu dopiero po piętnastu minutach?

– Ależ skąd. Ochrona Luwru natychmiast zareagowała na alarm. Okazało się, że Wielka Galeria jest odcięta. Słyszeli przez bramę, że ktoś tam jest, porusza się na końcu korytarza, ale nie widzieli kto. Krzyczeli, ale nie było odpowiedzi. Uznali, że to może być tylko przestępca, i postępowali zgodnie z procedurą. Zadzwonili do Centralnego Biura Śledczego. Byliśmy na stanowiskach w piętnaście minut. Kiedy dotarliśmy na miejsce, unieśliśmy kratownicę, by można się było pod nią przecisnąć, i posłałem sześciu uzbrojonych agentów do środka. Przeczesywali całą długość galerii, żeby przyskrzynić intruza.

– I co?

– Nie znaleźli nikogo. Oprócz... – pokazał palcem jakieś miejsce dalej w wielkim holu. – Niego.

Langdon podniósł wzrok i powiódł za wyciągniętym palcem Fache'a. Na początku sądził, że Fache wskazuje na wielką marmurową rzeźbę stojącą pośrodku. Po chwili jednak zaczął rozróżniać kształty. Coś leżało tuż za rzeźbą. Stojąca trzydzieści metrów dalej pojedyncza lampa na przenośnym statywie była skierowana na podłogę, tworząc rażąco białą plamę jaskrawego światła pośrodku ciemnoczerwonej galerii. W kręgu światła, jak owad pod mikroskopem, leżało nagie ciało kustosza rozciągnięte na parkiecie Luwru.

– Widział pan zdjęcie – powiedział Fache – więc to nie powinno pana dziwić.

Kiedy podchodzili do ciała, Langdon poczuł nagły chłód. Przed jego oczami rozciągał się jeden z najdziwniejszych widoków, jakie kiedykolwiek zdarzyło mu się oglądać.

Marmurowo białe ciało Jacques'a Saunière'a leżało na parkiecie w takiej samej pozycji, w jakiej widział je na fotografii. Kiedy Langdon stał, mrużąc oczy w ostrym świetle lampy, przypomniał sobie i uzmysłowił ku swojemu zdziwieniu, że zmarły poświęcił ostatnie minuty życia na ułożenie ciała w ten dziwny sposób.

Saunière wyglądał na człowieka niezwykle sprawnego fizycznie jak na swój wiek... I cała jego muskulatura była teraz wyraźnie widoczna. Rozebrał się do naga, poskładał ubranie starannie na podłodze i położył się na plecach w samym środku szerokiego pawilonu, dokładnie na długiej osi pomieszczenia. Ramiona i nogi miał rozrzucone na boki jak dziecko, które robi orła na śniegu. Albo może lepiej – jak człowiek, którego rozciągnęła i podzieliła na ćwiartki jakaś niewidoczna siła.

Tuż pod mostkiem Saunière'a krwawy ślad oznaczał miejsce, gdzie kula przebiła skórę. Rana była mała i prawie nie krwawiła, widać było tylko plamkę zaschniętej krwi.

Lewy palec wskazujący Saunière'a również był zakrwawiony, bo jak widać, moczył go w ranie, by stworzyć najbardziej niepokojący aspekt swego makabrycznego łoża śmierci; posługując się krwią jak atramentem i własnym ciałem jak płótnem, Saunière narysował na swojej skórze symbol – pięć prostych linii, które się ze sobą przecinały, tworząc pięcioramienną gwiazdę.

Pentagram.

Gwiazda wyrysowana krwią, której środek wyznaczał pępek Saunière'a, nadawała ciału złowieszczą, cmentarną aurę. Fotografia, którą przedtem oglądał, mroziła krew w żyłach, ale teraz, patrząc na tę scenę własnymi oczami, Langdon czuł pogłębiający się niepokój.

Sam to sobie zrobił.

– Panie Langdon? – Znów spoczęły na nim ciemne oczy Fache'a.

– To jest pentagram. – Głos Langdona rozległ się dudniącym echem w pustej przestrzeni. – Jeden z najstarszych symboli świata. Rysowano go już cztery tysiące lat przed Chrystusem.

– I co on oznacza?

Langdon zawsze się wahał, kiedy zadawano mu tego typu pytanie. Opowiedzieć komuś, co symbol „oznacza”, to tak jak opowiedzieć, jakie uczucie powinna wzbudzać w nim piosenka... A przecież u każdego jest inne. Biała szpiczasta czapka Ku-Klux-Klanu wzbudzała w Stanach Zjednoczonych poczucie nienawiści i rasizm, ale to samo przybranie głowy w Hiszpanii symbolizowało głęboką wiarę religijną.

– Symbole mają różne znaczenie w różnych okolicznościach – powiedział Langdon. – Pentagram jest przede wszystkim pogańskim symbolem religijnym.

Fache skinął głową.

– Kult diabła.

– Nie – skorygował Langdon, natychmiast zdając sobie sprawę, że powinien lepiej dobrać słowa.

Obecnie termin „pogański” stał się niemal synonimem kultu diabła – a to wielkie nieporozumienie. Słowo to pochodzi od łacińskiego *paganus*, co oznacza mieszkańca wsi. „Poganie” to w dosłownym znaczeniu nieuczenni ludzie ze wsi, wyznający pradawny rolniczy kult Natury i trzymający się z dala od Kościoła, który uczynił ze słowa „wieśniak”, *paganus*, synonim grzesznej, zbłąkanej duszy.

– Pentagram – tłumaczył Langdon – to przedchrześcijański symbol, który wiąże się z kultem przyrody. Starożytni dzielili świat na dwie części – męską i żeńską. Ich bogowie i boginie zmierzali ku równowadze mocy. *Yin* i *yang*. Kiedy między pierwiastkiem męskim i żeńskim panowała równowaga, świat żył w harmonii. Kiedy zaś równowaga była zachwiana, świat pogrążał się w chaosie. – Langdon wskazał brzuch Saunière'a. – Ten pentagram przedstawia żeńską połowę wszechrzeczy – pojęcie, które historycy religii zwa „sakralnością żeńską” albo „boską boginią”. Saunière, jak niewielu, znał to pojęcie.

– Saunière narysował sobie symbol bogini na brzuchu?

Langdon musiał przyznać, że to wydaje się dziwne.

– W bardzo szczególnej wykładni pentagram symbolizuje Wenus – boginię kobiecej miłości cielesnej i urody.

Fache rzucił spojrzenie na nagiego mężczyznę i sapnął.

– Wczesne religie odwoływały się do boskiego porządku przyrody. Bogini Wenus i planeta Wenus były jednym i tym samym. Bogini miała swoje miejsce na nocnym niebie i znano ją pod wieloma imionami – Wenus, Gwiazda Wschodu, Isztar, Astarte – wszystkie te określenia żeńskiej mocy łączyły się z Naturą lub Matką Ziemią.

Fache sprawiał teraz wrażenie jeszcze bardziej skłopotanego, jakby z dwojga złego wołał koncepcję kultu diabła.

Langdon postanowił, że nie będzie się dzielił z Fache'em wiedzą o najbardziej zadziwiającej właściwości pentagramu – o graficznych źródłach jego związku z Wenus. Gdy w młodości studiował astronomię, ze zdziwieniem się dowiedział, że raz na osiem lat planeta Wenus przemierza po ekliptyce nieboskłonu linię idealnego pentagramu. Starożytni byli tak zdumieni tym zjawiskiem, że Wenus i jej pentagram stały się symbolem perfekcji, piękna oraz cyklicznych cech miłości cielesnej. W hołdzie magii Wenus starożytni Grecy zastosowali ośmioletni cykl w organizacji igrzysk olimpijskich. W dzisiejszych czasach rzadko kto zdaje sobie sprawę, że czteroletni cykl współczesnych igrzysk nadal odzwierciedla połowiczne cykle wędrówki Wenus. A prawie nikt nie wie, że pięcioramienna gwiazda miała być oficjalnym znakiem olimpiady, ale w ostatniej chwili zmodyfikowano ją – zamieniając jej pięć wierzchołków na pięć przenikających się pierścieni, aby lepiej odzwierciedlić ducha igrzysk, łączność i harmonię.

– Panie Langdon – powiedział nagle Fache. – Rzecz jasna, że pentagram zapewne odnosi się również do diabła. Pokazują to wasze amerykańskie horrory filmowe.

Langdon zmarszczył brwi. Dzięki ci, Hollywood. Pięcioramienna gwiazda stała się teraz najprawdziwszym symbolem kiczu w satanistycznych obrazach o seryjnych mordercach, zazwyczaj wysmarowana krwią na ścianie jakiegoś opuszczonego mieszkania wraz z innymi domniemanymi symbolami demonów. Langdon, oglądając ten symbol w takim kontekście, czuł gniew i zniechęcenie, ponieważ rzeczywiste początki i pochodzenie pentagramu są bardziej boskie niż diaboliczne.

– Zapewniam pana – powiedział – że mimo tego, co ogląda pan na filmach, interpretacja historyczna pentagramu jako symbolu szatana jest nietrafna. Pierwotnym przesłaniem pentagramu jest kobiecość, ale jego symbolika została zniekształcona w ciągu tysięcy lat. I to przy użyciu przemocy.

– Obawiam się, że nie chwytam.

Langdon spojrział na krzyżek Fache'a, niepewny, jak ubrać w słowa swoją następną myśl.

– Chodzi o Kościół, panie kapitanie. Symbole są bardzo odporne, ale Kościół katolicki w pierwszych latach swojego istnienia zniekształcił pentagram. Rzym chciał wykorzystać religie pogańskie i nawrócić masy na chrześcijaństwo, a Kościół rozpetał kampanię pomówień przeciwko pogańskim bogom i boginiom, pokazując ich uświęcone symbole jako symbole zła.

– Proszę mówić dalej.

– To rzecz bardzo zwyczajna w czasach niepokojów – kontynuował Langdon. – Nowa, wyłaniająca się władza przeważnie przejmuje istniejące symbole i z czasem degraduje je, by zatrzeć ich znaczenie. W zmaganiach między symbolami pogańskimi a symbolami chrześcijańskimi poganie przegrali; trójząb Posejдона stał się widłami diabła, szpiczasty kapelusz mądrej starej kobiety stał się symbolem wiedzy, a pentagram Wenus znakiem szatana. – Langdon przerwał. – Niestety, armia Stanów Zjednoczonych również sprofanowała

pentagram; jest teraz naszym najważniejszym symbolem wojny. Malujemy go na wszystkich odrzutowcach bojowych i zawieszamy na ramionach generałów. – To wyczerpuje kwestię o bogini miłości i piękna.

– Interesujące. – Fache wskazał głową na ciało ułożone w kształt orła na śniegu. – A jeżeli chodzi o sposób ustawienia rąk i nóg. Jak pan to interpretuje?

Langdon wzruszył ramionami.

– Taki układ tylko wzmacnia odniesienie do pentagramu i do sakralności kobiecej.

Fache zachmurzył się.

– Mógłby pan wyrazić to jaśniej?

– Powtórzenie. Powtórzenie symbolu jest najprostszym sposobem podkreślenia jego znaczenia. Jacques Saunière ułożył swoje ciało na kształt znaku pięcioramiennej gwiazdy. – Jeśli jeden pentagram coś znaczy, dwa znaczą jeszcze więcej.

Fache powiódł wzrokiem po pięciu wierzchołkach, które tworzyły ramiona, nogi i głowa Saunière'a, i znowu przyczesał dłonią czarne, błyszczące włosy.

– Interesująca analiza. – Przerwał. – A jego nagość? – Kiedy wymówił to słowo, aż się wzdrygnął, widać było, że odstręcza go widok starzejącego się męskiego ciała. – Dlaczego zdjął ubranie?

Cholernie dobre pytanie – pomyślał Langdon. Cały czas się nad tym zastanawiał, od chwili kiedy pierwszy raz zobaczył zdjęcie zrobione polaroidem. Domyślał się, że naga postać ludzka to jeszcze jeden sposób pokazania Wenus – bogini ludzkiej cielesności. Choć współczesna kultura wymazała wiele skojarzeń między Wenus a zjednoczeniem kobiety i mężczyzny, to analityczne oko etymologa wciąż potrafi dostrzec każdy najmniejszy ślad oryginalnego znaczenia Wenus, na przykład w słowie „weneryczny”. Langdon postanowił jednak nie zagłębiać się w ten temat.

– Panie Fache, z pewnością nie potrafię wyjaśnić panu, dlaczego Saunière narysował ten symbol na swoim ciele ani dlaczego w ten sposób się położył, ale mogę powiedzieć jedno, że ktoś taki jak Jacques Saunière na pewno uważał pentagram za znak bogini. Korelacja między tym symbolem a świętością kobiecą jest dobrze znana zarówno historykom sztuki, jak i specjalistom od symboliki.

– Rozumiem, w porządku. A pisanie własną krwią?

– Widać nie miał nic innego, czym mógłby napisać to, co chciał napisać.

Fache milczał chwilę.

– Sądzę, że pisał krwią, żeby policja mogła zastosować pewne procedury daktyloskopijne.

– Nie rozumiem.

– Niech pan spojrzy na jego lewą dłoń.

Langdon powędrował wzrokiem wzdłuż sinobiałego ramienia kustosa do lewej dłoni, ale nic tam nie znalazł. Niepewny, okrążył ciało i przykucnął, teraz odnotowując ze zdziwieniem, że kustosz ściska w ręce sporej wielkości pisak.

– Saunière trzymał go, kiedy znaleźliśmy ciało – powiedział Fache, zostawiając Langdona i odchodząc na kilka metrów do przenośnego stołu usłanego przyrządami daktyloskopijnymi, kablami i najprzeróżniejszą elektroniką. – Jak panu mówiłem – kontynuował, szukając czegoś na stole – niczego nie dotykaliśmy. Zna pan ten rodzaj pisaka?

Langdon przyklęknął i pochylił się, żeby zobaczyć oznaczenie firmowe. STYLO DE LUMIERE NOIRE.

Zdziwiony, podniósł wzrok.

Tak zwany pisak znaków wodnych lub czarnego światła to specjalistyczny marker, używany przez pracowników muzealnych, konserwatorów zabytków i policję ścigającą fałszerstwa, do niewidzialnego znakowania przedmiotów. Był napełniony atramentem opartym na alkoholu, niekorodującym i fluorescencyjnym, widocznym jedynie w świetle ultrafioletu. Pracownicy muzealni nosili takie pisaki przy sobie podczas codziennych obchodów i oznaczali nimi ramy obrazów kwalifikujących się do konserwacji.

Kiedy Langdon wstał, Fache podszedł do reflektora i wyłączył światło. Cała galeria nagle pogrążyła się w ciemności.

Langdon przez chwilę nic nie widział i czuł rosnącą niepewność. Sylwetka Fache'a pojawiła się oświetlona jaskrawym fioletem. Podszedł bliżej, trzymając w ręku przenośne źródło światła, które otaczało go fioletową aurą.

– Jak pan wie – powiedział Fache, którego oczy błyszczały w fioletowym świetle – policja na miejscu zbrodni wykorzystuje oświetlenie czarnym światłem do poszukiwania śladów krwi i innych dowodów sądowych. Proszę więc wyobrazić sobie nasze zdziwienie... – Nagle skierował światło na ciało.

Langdon spojrział w dół i, zaskoczony, cofnął się o krok.

Serce mu zabiło, kiedy dotarł do niego dziwny widok, jaśniejący tuż przed nim na parkiecie. Ostatnie słowa kustosa muzeum, wypisane jego ręką świetlistym pismem, widniały teraz tuż obok jego ciała. Kiedy Langdon przyglądał się pobłyskującemu tekstowi, poczuł, że mgła spowijająca cały ten wieczór zagęszcza się.

Langdon jeszcze raz przeczytał napis i spojrział na Fache'a.

– Cóż to, u diabła, ma znaczyć?!

Oczy Fache'a płonęły biało.

– To jest właśnie pytanie, *monsieur*, na które pan musi nam odpowiedzieć.

Niedaleko stamtąd, w biurze Saunière'a, porucznik Collet, który wrócił do Luwru, pochylił się nad konsolą radiową ustawioną na ogromnym biurku kustosa. Gdyby nie spojrzenie dziwacznej, podobnej do robota figurki przedstawiającej średniowiecznego rycerza, która wpatrywała się w niego z narożnika biurka Saunière'a, Collet czułby się komfortowo. Poprawił słuchawki AKG i sprawdził poziom sygnału na wejściu systemu zapisu na twardym dysku. Wszystko działało. Mikrofony funkcjonowały bez zarzutu, a sygnał audio był krystalicznie czysty.

*Le moment de vérité* – pomyślał filozoficznie.

Z uśmiechem na twarzy zamknął oczy i zagłębił się w fotel, ciekaw dalszej części toczącej się w Wielkiej Galerii rozmowy, którą zaczął nagrywać.



## ROZDZIAŁ 7

Skromne mieszkanko w murach kościoła Saint-Sulpice mieściło się na drugim piętrze samego kościoła, na lewo od balkonu dla chóru. Dwupokojowe, z kamienną podłogą i spartańskim umeblowaniem, już od ponad dziesięciu lat było domem dla siostry Sandrine Bieil. Klasztor nieopodal był jej oficjalnym miejscem zameldowania, gdyby ktoś chciał wiedzieć, ale wolała ciszę i spokój kościoła i urządziła się na górze całkiem wygodnie; miała łóżko, telefon i dwupalnikową kuchenkę.

Jako kościelna *conservatrice d'affairs*, siostra Sandrine była odpowiedzialna za wszystkie niereligijne aspekty funkcjonowania kościoła – utrzymanie budynku, zatrudnianie dodatkowego personelu i przewodników, bezpieczeństwo po zamknięciu bram i dostawy produktów takich jak wino i opłatki komunijne.

Już spała, kiedy obudził ją natarczywy dźwięk telefonu. Zmęczona, podniosła słuchawkę.

– *Soeur Sandrine. Eglise Saint-Sulpice.*

– Witam, siostrze – w telefonie odezwał się po francusku męski głos.

Siostra Sandrine usiadła na łóżku. Która godzina? Chociaż rozpoznawała głos przełożonego, od piętnastu lat nigdy nie budził jej w środku nocy. Opat był człowiekiem bardzo religijnym, który szedł do domu i kładł się spać zaraz po wieczornej mszy.

– Proszę mi wybaczyć, jeżeli siostrę obudziłem – powiedział opat, a w jego głosie słychać było nutę zdenerwowania i niepewności. – Muszę siostrę prosić o przysługę. Właśnie miałem telefon od bardzo wpływowego amerykańskiego biskupa. Może siostra o nim słyszała? Manuel Aringarosa.

– Prałat Opus Dei? – Oczywiście, że słyszałam. Kto w Kościele o nim nie słyszał?

Konserwatywne rządy Aringarosy w ostatnich latach jeszcze przybrały na sile. Wyniesienie do łask nastąpiło nagle, w roku 1982, kiedy papież Jan Paweł II niespodziewanie wyniósł Opus Dei do papieskiej prałatury personalnej, oficjalnie sankcjonując praktyki religijne stowarzyszenia. Co dziwne, wyniesienie Opus Dei nastąpiło w tym samym roku, w którym ta bogata organizacja religijna miała ponoć przekazać miliard dolarów Watykańskiemu Instytutowi Studiów Religijnych – znanemu powszechnie jako Bank Watykański – ratując go od upokarzającego bankructwa. Drugi krok, który wywołał niejakie zdziwienie, to umieszczenie założyciela Opus Dei na „szybkiej ścieżce” do wyniesienia na ołtarze, skracającej często stuletni czas oczekiwania na kanonizację do zaledwie dwudziestu lat. Siostra Sandrine miała odczucie, że dobre notowania Opus Dei w Rzymie są trochę podejrzane, ale przecież nikt nie kwestionował decyzji Rzymu.

– Biskup Aringarosa prosił mnie o przysługę – oznajmił opat nerwowym głosem. – Jeden z członków Opus Dei jest dziś wieczór w Paryżu...

Kiedy siostra Sandrine słuchała tej dziwnej prośby, czuła się coraz bardziej zagubiona.

– Proszę mi wybaczyć, ale czy ten gość z Opus Dei nie mógłby poczekać do rana?

– Niestety, chyba nie. Wylatuje porannym samolotem. Zawsze marzył o tym, by zobaczyć kościół Saint-Sulpice.

– Ale kościół jest znacznie bardziej interesujący w ciągu dnia. Promienie słońca, które prześwietlają przez oculus, gęstniejące cienie na gnomach, dzięki temu Saint-Sulpice jest unikalny.

– Zgadza się z siostrą, ale proszę o osobistą przysługę. Proszę go oprowadzić. Będzie tam około... Powiedzmy, około pierwszej. To jest za dwadzieścia minut.

Siostra Sandrine zmarszczyła brwi.

– Oczywiście. Z przyjemnością.

Opat podziękował jej i odłożył słuchawkę.

Zdziwiona obrotem spraw siostra Sandrine została jeszcze chwilę pod ciepłą kołdrą, próbując strząsnąć z siebie pajęczynę snu. Jej sześćdziesięcioletnie ciało nie budziło się już teraz tak szybko jak kiedyś, chociaż dzisiejszy telefon na pewno wystrzył jej zmysły. Opus Dei zawsze wprowadzało ją w zakłopotanie. Oprócz tego, że jego członkowie trzymali się ściśle arkanów i rytuału umartwiania ciała, ich poglądy na kobiety były w najlepszym razie średniowieczne. Zszokowała ją wiadomość, że członkinie Opus Dei zmuszono do sprzątania męskiej części bursy za darmo, podczas gdy mężczyźni byli na mszy; że kobiety spały na gołych deskach, podczas gdy mężczyźni mieli słomiane maty; że zmuszano je do dodatkowych ćwiczeń ciała, do dodatkowych umartwień... A wszystko to jako dodatkowa kara za grzech pierworodny. Wydawało się, że Ewa, która ugryzła jabłko z drzewa wiadomości, zaciągnęła dług, który kobiety mają spłacać po wieczne czasy. To smutne, że kiedy większa część Kościoła katolickiego powoli zmierza we właściwą stronę w kwestiach praw kobiet, Opus Dei jest zagrożeniem dla postępu, wręcz chce odwrócić bieg historii. Mimo to siostra Sandrine wiedziała, że ma polecenie, które musi wykonać.

Spuściła nogi z łóżka i powoli wstała, jej białe stopy zmroził chłód kamiennej podłogi. Chłód przeniknął całe jej ciało, poczuła nagły strach.

Kobieca intuicja?

Siostra Sandrine, pokorna służka Boga, nauczyła się znajdować uspokojenie w pocieszających głosach, które przemawiają w jej duszy. Dziś w nocy te głosy były jednak tak ciche jak pusty kościół wokół niej.

## ROZDZIAŁ 8

Langdon nie mógł oderwać oczu od jaśniejącego purpurą tekstu napisanego pisakiem na parkiecie. Ostatni przekaz od Jacques'a Saunière'a w niczym nie przypominał przedśmiertnego przesłania i przekraczał granice wyobraźni Langdona. Brzmiał on:

13-3-2-21-1-1-8-5

Miano czorta li dolina na video.

Chociaż Langdon nie miał najmniejszego pojęcia, co to mogło oznaczać, zrozumiał przeczcucie Fache'a, że pentagram ma coś wspólnego z kultem szatana.

Miano czorta?

Saunière wręcz przywołuje postać szatana. Równie dziwny jest ten ciąg liczb.

– Część tego ciągu wygląda jak szyfr numeryczny.

– Tak – powiedział Fache. – Nasi kryptografowie już nad tym pracują. Uważamy, że te liczby mogą stanowić klucz i dać odpowiedź, kto go zabił. Może to numer do jakiejś centrali telefonicznej albo identyfikator ubezpieczenia zdrowotnego. Czy te liczby mają dla pana jakieś znaczenie symboliczne?

Langdon raz jeszcze spojrzął na liczby, czując, że musiałby posiedzieć nad nimi kilka dobrych godzin, aby wyciągnąć z tego jakiś symboliczny sens. O ile Saunière w ogóle pisał z taką intencją. Dla Langdona te liczby wyglądały na zupełnie przypadkowe. Był przyzwyczajony do progresywnie rosnących ciągów symbolicznych, które miały choć cień sensu, ale wszystko tutaj – pentagram, tekst, liczby – wydawało mu się zupełnie rozbieżne na poziomie najbardziej podstawowym.

– Wysunął pan wcześniej przypuszczenie – powiedział Fache – że to, co Saunière tutaj zrobił, było próbą przesłania nam jakiejś wiadomości... O kulcie Wielkiej Bogini czy coś w tym guście... Jak ta wiadomość wpisuje się w pańską hipotezę?

Langdon wiedział, że pytanie jest retoryczne. Ten dziwny komunikat najwyraźniej nie pasował do żadnego scenariusza Langdona dotyczącego kultu Wielkiej Bogini.

*Miano czorta li dolina na video.*

– Ten tekst wydaje mi się jakąś wskazówką – ciągnął Fache. – Może oskarżeniem. Zgodzi się pan z tym?

Langdon próbował sobie wyobrazić ostatnie minuty życia kustosa Luwru w pułapce, samotnie umierającego w Wielkiej Galerii muzeum. To wydawało się logiczne.

– Przypuszczam, że może to być oskarżenie wysunięte pod adresem mordercy.

– Oczywiście moim zadaniem jest przypisać tej osobie nazwisko. Pozwoli pan, że spytam, panie Langdon. Pańskim zdaniem, oprócz tych liczb, co jest w tej wiadomości najdziwniejsze?

Najdziwniejsze? Umierający mężczyzna zabarykadował się w galerii, narysował na swoim ciele pentagram i wypisał na podłodze tajemnicze oskarżenie. Co w tym scenariuszu nie jest dziwne?

– Słowa „czort” i „dolina”? – zaproponował nieśmiało pierwszą myśl, która mu przyszła do głowy. Langdon był niemal pewien, że wzmianka o czorcie i jakiejś dolinie raczej nie były ostatnimi myślami umierającego człowieka. „Czort” i „dolina” – to bardzo dziwny zestaw słów.

– Czort i dolina? – W głosie Fache'a słychać było teraz ton zniecierpliwienia. – Nie wydaje się, by zestaw słów, których użył Saunière, był tu kwestią podstawową.

Langdon nie wiedział, co dla jego rozmówcy jest kwestią podstawową, ale zaczął podejrzewać, że Fache'owi z czortem byłoby całkiem po drodze.

– Saunière był Francuzem – odezwał się Fache sucho. – Mieszkał w Paryżu. A jednak uważał, że tę wiadomość należy napisać...

– Po angielsku – powiedział Langdon, zdając sobie teraz sprawę, o co chodziło kapitanowi.

Fache skinął głową.

– *Précisément*. Ma pan jakiś pomysł dlaczego?

Langdon wiedział oczywiście, że Saunière mówi bezbłędnie po angielsku, ale powód, dla którego wybrał ten język, żeby napisać ostatnie w życiu słowa, był dla Langdona absolutnie zagadkowy. Wzruszył ramionami.

Fache pokazał raz jeszcze na pentagram na brzuchu Saunière'a.

– To nie ma nic wspólnego z kultem szatana? Wciąż jest pan tego pewien?

Langdon nie był już niczego pewien.

– Nie wydaje się, by była jakaś zbieżność między symbolem a tekstem. Przykro mi, ale nie mogę panu więcej pomóc.

– Może to coś nam wyjaśni. – Fache cofnął się do ciała i znów podniósł latarkę świecącą czarnym światłem, a jej promień zatoczył szerszy krąg. – A teraz?

Ku zdziwieniu Langdona wokół ciała kustosa zajaśniał kształt koła. Widocznie Saunière położył się i obrysował kilkoma ruchami dłoni, tak że łuki połączyły się w kształt okręgu.

Jeden błysk i wszystko stało się jasne.

– *Człowiek witruwiański* – Langdona wprost zatkało. Saunière stworzył replikę najszynniejszego szkicu Leonarda da Vinci w naturalnych wymiarach.

*Człowiek witruwiański*, rysunek Leonarda da Vinci, który uważano za anatomicznie najbardziej poprawny w jego czasach, stał się współczesną ikoną kultury, na całym świecie pojawiał się na plakatach, podkładkach pod myszy komputerowe i T-shirtach. Ten wysoko ceniony rysunek przedstawiał figurę nagiego mężczyzny wpisaną w koło i kwadrat – z rękami i nogami ułożonymi w kształt pozbawionego piór orła z rozpostartymi skrzydłami.

Da Vinci. Langdon zdumiał się. Nie sposób zaprzeczyć, że intencje Saunière'a były jasne. W ostatnich chwilach życia kustosz Luwru zdjął z siebie ubranie i ułożył ciało tak, by tworzyło wyraźny obraz *Człowieka witruwiańskiego* Leonarda da Vinci.

Okrąg był brakującym ogniwem. Kobięcy symbol ochrony – okrąg wokół nagiego ciała mężczyzny – dopełniał intencji przekazu Leonarda da Vinci – harmonii między pierwiastkiem męskim i kobiecym. Teraz rodziło się więc pytanie, dlaczego Saunière chciał odtworzyć ten słynny rysunek?

– Panie Langdon – powiedział Fache. – Taki człowiek jak pan niewątpliwie jest świadom, że Leonardo da Vinci interesował się czarną magią.

Langdon był zdziwiony, że Fache ma taką wiedzę o malarzu; tu z pewnością należało szukać wyjaśnienia podejrzliwości kapitana w odniesieniu do kultu szatana. Da Vinci nigdy nie był wygodnym tematem dla historyków, zwłaszcza związanych z tradycją chrześcijańską. Mimo całego geniuszu tego renesansowego wizjonera był on jawnym homoseksualistą i czcicielem Natury. Ponadto przedziwna ekscentryczność

artysty wytwarzała wokół niego aurę demoniczności – da Vinci ekshumował zwłoki, by studiować na nich anatomię człowieka; pisał tajemnicze dzienniki nieczytelnym pismem wspak; wierzył, że ma alchemiczną moc zamieniania ołowiu w złoto, a nawet że potrafi oszukać Boga i stworzyć eliksir życia; wśród jego wynalazków były też przerażające, niewyobrażalne dotąd maszyny wojenne i narzędzia tortur.

Niezrozumienie rodzi nieufność – pomyślał Langdon.

Nieliczone prace Leonarda da Vinci, zapierające dech w piersiach dzieła sztuki o tematyce chrześcijańskiej utrwaliły tylko opinię, że artysta to duchowy hipokryta. Przyjmował setki lukratywnych zleceń papieskiego Rzymu, malował sceny biblijne, lecz traktował je nie jako wyraz własnych przekonań religijnych, ale jako usługę – sposób zdobywania środków na rozrzutny styl życia. Niestety, Leonardo da Vinci był również zartownisiem, który często robił kawały tym, którzy go żywili. W treść wielu obrazów o tematyce religijnej wplatał ukryte symbole, które nie miały nic wspólnego z chrześcijaństwem, były holdem dla jego własnych przekonań i subtelnym graniem na nosie Kościołowi. Langdon wygłosił kiedyś wykład w Galerii Narodowej w Londynie na temat: „Sekretne życia Leonarda: symbolika pogańska w sztuce chrześcijańskiej”.

– Rozumiem pańskie obawy – powiedział teraz Langdon – ale Leonardo da Vinci w gruncie rzeczy nigdy nie oddawał się praktykom czarnoksięskim. Był człowiekiem niezwykle uduchowionym, choć w nieustannym konflikcie z Kościołem. – Kiedy Langdon wypowiedział te słowa, dziwna myśl przemknęła mu przez głowę. Spojrzał raz jeszcze na litery wypisane na podłodze. *Miano czorta li dolina na video*.

– Tak? – odezwał się Fache.

Langdon dokładnie ważył słowa.

– Pomyślałem, że duchowo i intelektualnie Saunière’a i Leonarda wiele łączyło, między innymi troska, że Kościół usunął ze współczesnej religii sakralność kobiecą. Może naśladując rysunek Leonarda da Vinci, Saunière chciał dać wyraz łączącemu go z artystą niezadowoleniu, że współczesny Kościół demonizuje Wielką Boginię.

Spojrzenie Fache’a spoważniało.

– Uważa pan, że Saunière określa Kościół „mianem czorta”?

Langdon musiał przyznać, że może posunął się zbyt daleko, a jednak pentagram na jakimś poziomie uprawniał taką myśl.

– Chcę tylko powiedzieć, że pan Saunière poświęcił życie badaniu historii Wielkiej Bogini, a nikt nie zrobił więcej, by wymazać tę historię z pamięci ludzkości niż Kościół katolicki. Wydaje się rozsądne, że Saunière, żegnając się ostatecznie ze światem, mógł chcieć wyrazić swoje rozczarowanie.

– Rozczarowanie? – powtórzył Fache, teraz wyraźnie zły. – W tym przekazie słychać raczej wściekłość, nie rozczarowanie, nie sądzi pan?

Langdon powoli zbliżał się do kresu swojej cierpliwości.

– Panie kapitanie, poprosił mnie pan, żebym się podzielił swoimi wrażeniami i wyczuciem na temat tego, co Saunière chciał przekazać. I to właśnie czynię.

– Że jest to oskarżenie Kościoła? – Fache zacisnął zęby i mówił, prawie nie otwierając ust. – Panie Langdon, widziałem już niejedną śmierć w pracy zawodowej i coś panu powiem. Kiedy człowieka morduje inny człowiek, to na pewno jego ostatnią myślą nie jest wypisanie jakiegoś przedziwnego duchowego credo, którego nikt nie zrozumie. Sądzę, że mordowany człowiek myśli tylko o jednym. – Syczący szept Fache’a ciął powietrze jak nóż. – *La vengeance*. Uważam, że Saunière napisał to, co napisał, żeby nam powiedzieć, kto go zabił.

Langdon spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– Przecież to nie ma żadnego sensu.

– Nie?

– Nie – odparował Langdon zmęczony i sfrustrowany. – Powiedział pan, że Saunière’a napadł ktoś w jego biurze, ktoś, kogo on sam zaprosił.

– Tak.

– Wynika stąd rozsądny wniosek, że kustosz znał swojego napastnika.

Fache skinął głową.

– Proszę mówić dalej.

– A więc jeżeli Saunière znał osobę, która go zabiła, co tu ma być oskarżeniem? – Pokazał na podłogę. – Kod numeryczny? *Miano czorta? Dolina na video?* Pentagram na brzuchu? To jest zbyt głęboko zaszyfrowane.

Fache zmarszczył brwi, taka myśl nigdy nie przyszła mu do głowy.

– Ma pan rację.

– W tych okolicznościach – ciągnął Langdon – powiedziałbym, że jeżeli Saunière chciał przekazać panu, kto go zabił, powinien był napisać czyjeś nazwisko.

Kiedy Langdon wymawiał te słowa, przez usta Fache’a przemknął chytry uśmieszek. Uśmiechnął się po raz pierwszy tego wieczoru.

– *Précisment* – powiedział. – *Précisment*.

Obserwuję pracę mistrza, mówił do siebie w rozbawieniem porucznik Collet, dostrajając swój sprzęt audio i słuchając głosu Fache’a przez słuchawki. *Le agent supérieur*. Wiedział, że to właśnie takie momenty jak ten wyniosły kapitana na szczyty francuskich stróżów prawa.

Fache robi to, czego nikt inny nie ośmieliłby się zrobić.

W dzisiejszym świecie prawniczym odeszła już w zapomnienie subtelna sztuka *cajoler*, wymaga wyjątkowego spokoju w sytuacji napięcia. Bardzo nieliczni mieli zimną krew potrzebną dla tego rodzaju działań, a Fache sprawiał wrażenie, jakby był wprost do tego stworzony. Jego opanowanie i cierpliwość niemalże przekraczały granice możliwości człowieka.

Tego wieczoru wydawało się, że jedyną emocją, która rządzi Fache’em, jest nieustępliwość w dążeniu do rozwiązania, jakby to aresztowanie było jego sprawą osobistą. Odprawa, którą odbył z agentami godzinę temu, była krótka i bezdyskusyjna jak nigdy.

– Ja wiem, kto zamordował Jacques’a Saunière’a – powiedział. – A wy wiecie, co zrobić. Dzisiejszej nocy nie życzę sobie żadnych błędów.

Jak dotąd żadnych błędów nie było.

Collet nie był wprawdzie w pełni przekonany co do dowodów, które utwierdzały Fache’a w przekonaniu, że ich podejrzany jest winny, ale wiedział, że lepiej nie kwestionować instynktu Byka. Niekiedy wydawało się, że intuicja Fache’a jest niemal nadprzyrodzona. Bóg szepcze mu na ucho – orzekł kiedyś jeden z agentów po szczególnie imponującym pokazie szóstego zmysłu Fache’a. Collet musiał przyznać, że jeśli jest w tym ręka Boga, to Bezu Fache musi być na czele jego listy. Kapitan uczęszczał na mszę i do spowiedzi z regularnością neofity – znacznie częściej, niż wynikałoby to z jego obowiązków urzędnika państwowego, który chodzi do kościoła w dni świąteczne w imię dobrych relacji publicznych. Kiedy przed kilkoma laty papież odwiedził Paryż, Fache wykorzystał wszystkie swoje wpływy, by uzyskać zaszczyt audiencji. Zdjęcie z papieżem wisiało teraz w jego gabinecie. Papieski Byk – mówili o nim za plecami agencji.

Collet widział w tym ironię losu, że jednym z bardzo nielicznych wystąpień publicznych Fache’a w ostatnich latach była jego ostra reakcja na skandal pedofilii wśród księży katolickich. „Ci księża powinni zawisnąć dwa razy! – mówił Fache. – Raz za zbrodnie przeciwko dzieciom. I drugi raz za zbrukanie dobrego imienia Kościoła katolickiego”. Collet miał dziwne wrażenie, że drugi zarzut wzbudzał większy gniew Fache’a.

Rzucając spojrzenie na swój laptop, Collet poświęcił się teraz drugiej części zadania, które mu zlecono na dzisiejszy wieczór – skupił się na systemie śledzenia GPS. Obraz na ekranie pokazywał szczegółowy plan piętra skrzydła Denona, był to schemat strukturalny załadowany do komputera z bazy danych biura ochrony Luwru. Prześledził oczami labirynty galerii i korytarzy, a potem znalazł to, czego szukał.

Gdzieś w głębi, w samym sercu Wielkiej Galerii zapalał się i gasł mały czerwony punkcik. *La marque*.

Fache trzymał dzisiaj swoją ofiarę na krótkiej smyczy. Mądrze. Robert Langdon udowodnił, że jest graczem o pokerowej twarzy.

## ROZDZIAŁ 9

Aby się upewnić, że nikt nie przerwie jego rozmowy z panem Langdonem, Bezu Fache wyłączył telefon komórkowy. Niestety, był to dość drogi model wyposażony w nadajnik i odbiornik radiowy, który wbrew jego rozkazom odezwał się teraz głosem jednego z agentów.

– *Capitaine?* – Telefon zatrzeszczał jak krótkofalówka.

Fache poczuł, że zęby zaciskają mu się z wściekłości. Nie wyobrażał sobie niczego tak ważnego, by Collet mógł przerwać mu *surveillance cachée* – zwłaszcza w tak znaczącym momencie.

Spojrzał na Langdona spokojnie i przepraszająco.

– Przepraszam na chwilę. – Wyciągnął telefon z futerału na pasku i nacisnął przycisk przekazu radiowego. – *Oui?*

– *Capitaine, un agent du Département de Cryptographie est arrivé.*

Gniew Fache'a opadł. Kryptograf? Mimo że moment był fatalny, wiadomość chyba była dobra. Znalazłszy zaszyfrowany tekst Saunière'a na podłodze, Fache przesłał przez Internet fotografię miejsca zbrodni do Wydziału Kryptografii, w nadziei że ktoś będzie mógł mu pomóc i dowie się wreszcie, co takiego chciał przekazać Saunière. Jeżeli teraz pojawił się specjalista od łamania kodów, to być może znaczy, że wiadomość Saunière'a została rozszyfrowana.

– Jestem teraz zajęty – odpowiedział przez radio Fache, nie pozostawiając cienia wątpliwości, że ktoś przekroczył swoje uprawnienia. – Każ kryptografowi czekać w punkcie dowodzenia. Porozmawiam z nim, kiedy skończę.

– Z nią – poprawił go głos. – To agentka Neveu.

Fache'owi z każdą chwilą ta rozmowa mniej się podobała. Sophie Neveu okazała się największą pomyłką DCPJ. Młoda paryska *déchiffreuse*, która studiowała kryptografię w Anglii, w Royal Holloway, została podrzucona Fache'owi dwa lata temu w programie ministerstwa angażowania do pracy w policji większej liczby kobiet. Stałe dążenie ministerstwa do poprawności politycznej, dowodził Fache, jedynie osłabia siły policji. Kobiety nie tylko nie miały odpowiedniej siły fizycznej do pracy w policji, ale ich obecność niebezpiecznie rozpraszała mężczyzn pracujących w terenie. Fache słusznie się obawiał, że Sophie Neveu rozprasza uwagę policjantów znacznie bardziej niż inne kobiety w jego wydziale.

Miała trzydzieści dwa lata i była nieustępliwa i uparta jak osioł. Jej niezachwiana wiara w nowe metody kryptograficzne, których nauczyła się w Wielkiej Brytanii, bezustannie irytowała weteranów francuskiej kryptografii stojących wyżej od niej w hierarchii służbowej. Lecz dla Fache'a większe znaczenie miała niezaprzeczalna i jakże uniwersalna prawda, że w pomieszczeniach biurowych wypełnionych mężczyznami w średnim wieku atrakcyjna młoda kobieta zawsze odciąga uwagę od tego, co mają właśnie do zrobienia.

Głos mężczyzny w radiu powiedział:

– Agentka Neveu uparła się, że musi natychmiast z panem porozmawiać, panie kapitanie. Próbowałem ją powstrzymać, ale idzie do pana do galerii.

Fache nie mógł uwierzyć własnym uszom.

– To niedopuszczalne! Powiedziałem chyba jasno...

Przez chwilę Robert Langdon był przekonany, że Bezu Fache ma wylew. Kapitan urwał w pół zdania, szczeka mu opadła, a oczy wyszły na wierzch. Jego porażające spojrzenie utkwilo w czymś poza ramieniem Langdona. Zanim zdążył się odwrócić i zobaczyć, co to jest, usłyszał melodyjny kobiecy głos.

– *Excusez-moi, messieurs.*

Langdon odwrócił się i zobaczył zbliżającą się do nich młodą kobietę. Szła korytarzem, stawiając długie, niemal taneczne kroki... W jej sposobie poruszania się była niezamierzona pewność siebie. Ubrana swobodnie, w kremowy irlandzki sweter sięgający do kolan, narzucony na czarne legginsy, atrakcyjna trzydziestolatka. Gęste włosy koloru burgunda spadały jej luźno na ramiona, podkreślając ciepły wyraz twarzy. Ta zdrowa kobieta, emanująca naturalną pięknnością i budzącą zaufanie szczerością, w niczym nie przypominała zwiewnych, wiecznie odchudzających się blondynek, które zdobiły sale wykładowe Harvardu.

Ku zdumieniu Langdona kobieta podeszła wprost do niego i wyciągnęła rękę w uprzejmym geście.

– *Monsieur Langdon, nazywam się Sophie Neveu, jestem agentką z Wydziału Kryptografii DCPJ.* – W jej słowach, wypowiedzianych pewnym głosem, brzmiał ledwie dostrzegalny francuski akcent. – Miło mi pana poznać.

Langdon ujął delikatną dłoń Sophie w swoją i od razu był pod wrażeniem jej silnego spojrzenia. Oczy miała oliwkowo-zielone – patrzyła na niego pewnie i odważnie.

Fache wziął głęboki oddech, z pewnością przygotowując się do udzielenia jej srogiej reprimendy.

– Panie kapitanie – powiedziała, odwracając się do niego szybko i przerywając mu, nim zdążył zacząć. – Pan wybacz to najście, ale...

– *Ce n'est pas le moment* – wycedził Fache.

– Sophie mówiła dalej po angielsku, jak gdyby w geście uprzejmości w stosunku do Langdona – ale pański telefon komórkowy był wyłączony.

– Wyłączyłem go nie bez powodu – syknął Fache. – Rozmawiam teraz z panem Langdonem.

– Rozszyfrowałam kod numeryczny – powiedziała po prostu.

Langdon poczuł szybsze bicie serca. Złamała kod?

Fache miał niepewną minę, nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Zanim wyjaśnię – powiedziała Sophie – mam pilną wiadomość dla pana Langdona.

Twarz Fache'a wyrażała teraz głębokie zaniepokojenie.

– Dla pana Langdona?

Skinęła głową i zwróciła się do Langdona.

– Musi się pan skontaktować z ambasadą amerykańską, panie Langdon. Mają dla pana wiadomość ze Stanów.

Langdon zareagował zdziwieniem, a jego ciekawość, co oznacza kod, ustąpiła miejsca fali niepokoju. Wiadomość ze Stanów? Próbował sobie wyobrazić, kto chce się z nim skontaktować. Tylko kilkoro znajomych z uniwersytetu wiedziało, że jest w Paryżu.

Szeroka szczeka Fache'a zacisnęła się, kiedy usłyszał tę wiadomość.

– Z ambasady Stanów Zjednoczonych? – dociekał podejrzliwie. – Skąd mogli wiedzieć, że pana Langdona trzeba szukać akurat tu?

Sophie wzruszyła ramionami.

– Pewnie zadzwonili do hotelu pana Langdona, a recepcjonista powiedział im, że pan Langdon został zabrany przez agenta DCPJ.

Fache nie był przekonany.

– I ambasada skontaktowała się z Wydziałem Kryptografii DCPJ?

– Nie, panie kapitanie – powiedziała Sophie pewnym głosem. – Kiedy zadzwoniłam do dyżurnego DCPJ, starając się skontaktować z panem, mieli wiadomość czekającą na pana Langdona i poprosili mnie, żebym ją przekazała, jeżeli mi się uda do pana dotrzeć.

Fache zmarszczył brwi i widać było, że nie bardzo wie, o co chodzi. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Sophie już zwróciła się do Langdona.

– Panie Langdon – powiedziała, wyciągając karteczkę papieru z kieszeni. – To jest numer, pod którym w ambasadzie może pan odebrać wiadomość. Prosimy, żeby pan zadzwonił jak najszybciej. – Wręczyła mu paperek, nie spuszczać z niego wzroku. – Powinien pan zatelefonować, kiedy będę wyjaśniała kod kapitanowi Fache'owi.

Langdon spojrzął na karteczkę. Był na niej paryski numer telefonu, a tuż obok numer wewnętrzny.

– Dziękuję – powiedział zaniepokojony. – Gdzie znajdę tu telefon?

Sophie sięgnęła do kieszeni swetra po swój telefon komórkowy, ale Fache powstrzymał ją gestem dłoni. Wyglądał teraz jak Wezuwiusz, który za chwilę wybuchnie i plunie lawą. Nie spuszczać oczu z Sophie, wyjął swój własny telefon i podał go Langdonowi.

– To jest bezpieczna linia, panie Langdon. Proszę dzwonić.

Langdon nie mógł zrozumieć, dlaczego Fache jest tak rozgniewany na młodą kobietę. Poczł się trochę niepewnie, ale wziął od kapitana telefon. Fache natychmiast odprowadził Sophie kilka kroków dalej i zaczął ją rugać przyciszonym głosem. Czując do niego coraz większą niechęć, Langdon odwrócił się, żeby nie patrzeć na tą dziwną konfrontację, i włączył telefon. Patrząc na karteczkę, którą dała mu Sophie, wybrał numer. W słuchawce usłyszał dźwięk dzwonka.

Jeden dzwonek... Dwa dzwonki... Trzy dzwonki... W końcu uzyskał połączenie.

Langdon oczekiwał, że zgłosi się ktoś z centrali ambasady, ale zamiast tego usłyszał automatyczną sekretarkę. A co dziwniejsze, głos na taśmie był znajomy. To był głos Sophie Neveu.

– *Bonjour, vous êtes bien chez Sophie Neveu* – powiedział głos kobiety. – *Je suis absente pour le moment, mais...*

Zakłopotany i niepewny, Langdon zwrócił się z powrotem do Sophie.

– Przepraszam, panno Neveu? Sądziłem, że dała mi pani...

– Nie, to jest właściwy numer – przerwała szybko Sophie, jakby oczekując, że nie będzie wiedział, co robić. – Ambasada ma system automatycznego przekazywania wiadomości. Musi pan wystukać kod dostępu i odebrać wiadomość.

Langdon był jeszcze bardziej zdziwiony.

– Ale...

– To jest ten trzycyfrowy numer na karteczce, którą panu dałam.

Langdon otworzył usta, żeby wyjaśnić tę dziwną pomyłkę, ale Sophie posłała mu uciszające spojrzenie, które trwało tylko sekundę. W jej zielonych oczach był krystalicznie czysty komunikat.

Nie zadawaj pytań. Zrób, co ci mówię.

Niepomiernie zdziwiony, Langdon wystukał numer wewnętrzny zapisany na karteczce. 454.

Głos Sophie na taśmie sekretarki natychmiast zamilkł, a Langdon usłyszał elektroniczny komunikat po francusku: „Masz jedną nową wiadomość”.

Prawdopodobnie 454 to kod zdalnego dostępu Sophie, dzięki któremu mogła odbierać wiadomości, kiedy była poza domem.

Odbieram wiadomości tej kobiety?

Langdon usłyszał teraz, że taśma się przewija. W końcu stanęła i maszyna włączyła się ponownie. Langdon słuchał wiadomości z taśmy. Znow usłyszał głos Sophie.

– Panie Langdon – zaczynała się wiadomość przekazywana pełnym przerażenia szeptem. – Proszę nie reagować na tę wiadomość. Proszę spokojnie odsłuchać. Jest pan w niebezpieczeństwie. Musi pan wykonać dokładnie wszystkie moje polecenia.

## ROZDZIAŁ 10

Sylas siedział za kierownicą czarnego audi, które załatwił mu Nauczyciel, i spoglądał przez szybę na wspaniałą kościół Saint-Sulpice. Dwie wieże kościelne, oświetlone od spodu przez reflektory zatopione w ziemi, wznosiły się jak dwie nieruchome strażniczki ponad długim masywem kościoła. Po obu stronach ocienione rzędy wysmukłych wsporników wysuwały się delikatnie poza gładź muru jak żebra na kształtnej klatce piersiowej.

Poganie wykorzystali dom Boży, by ukryć tam swój klucz. Raz jeszcze bractwo dało dowód legendarnej już umiejętności tworzenia iluzji i pozorów. Sylas cieszył się, że znajdzie klucz i odda go Nauczycielowi, tak że będą mogli odzyskać to, co bractwo przed wiekami ukradło wiernym.

Jakże potężne będzie teraz Opus Dei.

Sylas zaparkował audi na opuszczonym o tej porze placu Saint-Sulpice, wziął głęboki oddech, mówiąc sobie, że musi teraz oczyścić umysł. Ma bowiem do wykonania ważne zadanie. Jego szerokie ramiona i plecy wciąż bolały od biczowania, które zadał sobie dziś po południu, ale ból się nie liczył w porównaniu z tym, ile cierpień zaoszczędziło mu w życiu Opus Dei.

A jednak wciąż nawiedzały go wspomnienia.

Uwolnij nienawiść – rozkazał sobie Sylas. – I odpuść swoim winowajcom.

Spojrzał wzwyż, po kamiennych ścianach wież kościelnych Saint-Sulpice, i poczuł dobrze sobie znane emocje, które były jak rzeczny prąd... Siłę, która często przenosiła go w czasie, by znów zamknąć w więzieniu, które było jego światem w młodości. Wspomnienia czyściła przychodziły tak, jak przychodziły do niego zawsze, podobne do nawałnicy zmysłów... Smród śmierdzącej kapusty, odór śmierci, moczu i odchodów ludzkich. Okrzyki tych, którzy stracili nadzieję, ginące w wyjąłym wietrze Pirenejów i stłumiony szloch tych, o których zapomniano.

Andora – pomyślał i poczuł, jak mięśnie mu tężeją.

Nie do wiary, ale to właśnie w nagim i zapomnianym przez Boga i ludzi zakątku świata między Francją i Hiszpanią, drząc z zimna w kamiennej celi i czekając jedynie na śmierć, Sylas został zbawiony. Wtedy nie zdawał sobie z tego sprawy.

Rozbłysk światła przyszedł długo po odgłosach burzy.

Nie nazywał się wtedy Sylas, chociaż nie pamiętał, jak dali mu na imię rodzice. Wyniósł się z domu, kiedy miał siedem lat. Jego wiecznie pijany ojciec, ordynarny robotnik z doków, wściekły, że na świat przyszedł syn albinos, bił regularnie matkę, obwiniając ją za wygląd chłopca. Kiedy on próbował bronić matki, również dostawał cięgi.

Pewnego wieczoru, po kolejnej straszliwej awanturze, matka już się nie podniosła. Chłopiec stał nad leżącą bez życia matką i czuł nieznosny ciężar winy, że do tego dopuścił.

To moja wina!

Jak gdyby jakiś demon kierował jego duszą i ciałem – chłopiec poszedł do kuchni i chwycił w rękę nóż rzeźnicki. Jak zahipnotyzowany ruszył do sypialni, gdzie ojciec leżał na łóżku odurzony alkoholem. Bez słowa dźgnął go w plecy. Ojciec krzyknął z bólu i próbował się przetoczyć, ale syn znowu uderzył nożem, jeszcze raz i jeszcze raz, aż w mieszkaniu zrobiło się cicho.

Chłopiec uciekł z domu i okazało się, że ulice Marsylii są równie nieprzyjazne. Jego dziwny wygląd zrobił z niego odludka wśród innych młodych uciekinierów i był zmuszony żyć w samotności, w piwnicy opuszczonej fabryki, jadł kradzione owoce i surowe ryby z doków. Jego jedynymi towarzyszami były zniszczone kolorowe czasopisma, które znajdował w śmieciach i na których nauczył się czytać. Z czasem wyrósł i zrobił się bardzo silny. Kiedy miał dwanaście lat, jakaś uliczna dziewczyna – dwa razy starsza od niego – wyśmiewała go i chciała mu ukraść jedzenie. Niewiele brakowało, a byłby ją zabił. Kiedy policja odciągnęła go od niej, dostał ultimatum – wyjedzie z Marsylii albo pójdzie do zakładu poprawczego.

Chłopak przeniósł się do Tulonu, również na wybrzeżu Francji. Z czasem spojrzenia pełne współczucia, które mu rzucano na ulicy, zamieniły się w spojrzenia pełne strachu. Chłopiec wyrósł i był teraz silnym młodym mężczyzną. Kiedy ludzie mijali go na ulicy, słyszał, że szepta sobie na ucho. Duch – mówili, patrząc z przerażeniem na jego białą skórę. Duch o oczach diabła!

I czuł się jak duch... przezroczysty... miotany wiatrem od portu do portu.

Ludzie jakby patrzyli przez niego na wylot.

Kiedy miał osiemnaście lat, w pewnym mieście portowym próbował ukraść skrzynkę wędzonej szynki z jakiejś ładowni i złapało go dwóch członków załogi. Marynarze, którzy wzięli się do bicia, śmierzdzieli piwem, jak jego ojciec. Wspomnienia strachu i nienawiści wypłynęły na powierzchnię jak potwór morski z otchłani. Młody człowiek gołymi rękami ukrcił kark jednemu i tylko przyjazd policji uratował drugiego od podobnego losu.

Dwa miesiące później zakuty w kajdany wylądował w więzieniu w Andorze.

Jesteś biały jak duch – wyśmiewali się z niego współwięźniowie, kiedy strażnicy wprowadzali go do środka, nagiego i zziębniętego. *Mira el espectro!* Może duch przejdzie przez te ściany!

Przez dwanaście następnych lat jego ciało i dusza robiły się coraz bielsze, aż przekonał się, że jest przezroczysty.

Jestem duchem.

Jestem lekki jak piórko.

*Yo soy un espectro, pálido como un fantasma... cominando este mundo a solas.*

Duch obudził się pewnej nocy, słysząc wrzaski innych współwięźniów. Nie wiedział, co to za niewidzialna siła trzęsie podłogą, która była jego posłaniem, nie wiedział, co za mocarna dłoń wrzusa zaprawę i kamienie w jego celi, ale zerwał się na równe nogi, a wtedy ogromny głąz zwałił się tam, gdzie spał. Spojrzał na górę, w kierunku miejsca, skąd spadł kamień, i zobaczył otwór w trzęsących się murach, a za nim widok, którego nie widział od ponad dziesięciu lat. Księżyc.

Kiedy ziemia jeszcze drżała, duch przecisnął się przez wąski tunel i wychodził na chwiejnych nogach na otwartą przestrzeń, i toczył się po nagim zboczu góry, ku lasom.

Uciekał całą noc, zawsze w dół, w delirium głodu i wyczerpania.

O świcie, niemal balansując na skraju świadomości, znalazł się na przecince leśnej, tam gdzie przez las biegły tory kolejowe. Szedł wzdłuż torów jakby we śnie. Zobaczył pusty wagon towarowy, wczłgał się do środka, szukając schronienia i odpoczynku. Kiedy się obudził, pociąg był w ruchu. Jak długo? Jak daleko? W brzuchu czuł coraz większy ból. Czy ja umieram? Znowu zasnął. Tym razem obudził się, bo ktoś na niego krzyczał, bił go i wyrzucał z pociągu. Zakrwawiony i brudny, błąkał się na skraju niewielkiego miasteczka, na próżno szukając jedzenia. W końcu – kiedy jego organizm był tak osłabiony, że nie mógł już zrobić kroku – położył się na skraju drogi i odpłynął.

Światło stawało się powoli coraz mocniejsze, a Duch zastanawiał się, jak długo już nie żyje. Dzień? Trzy dni? To nie miało znaczenia. Łóżko było miękkie jak puch, a w powietrzu unosił się słodki zapach świec. Był tam Jezus i patrzył prosto na niego. Tu jestem – powiedział Jezus. Głąz został odwalony, a ty narodziłeś się na nowo.

Spał i budził się. Jego myśli kłębiły się jak we mgle. Nigdy nie wierzył w niebo, a jednak Jezus nad nim czuwał. Przy łóżku pojawiło się jedzenie i Duch je zjadł, a jedząc, czuł niemal, że mięśnie materializują się na jego kościach. Znowu spał. Kiedy się obudził, Jezus wciąż się do niego uśmiechał i przemawiał. Jesteś uratowany, mój synu. Błogosławieni niech będą ci, którzy idą za mną.

Znowu spał.

Wybudził Ducha z pół snu, pół jawy jakiś wrzask. Jego ciało wyskoczyło z łóżka, a on ruszył chwiejnym krokiem wzdłuż korytarza w kierunku, skąd dochodziły krzyki. Wszedł do kuchni i zobaczył, jak jakiś duży mężczyzna bije mniejszego. Nie wiedząc dlaczego, Duch chwycił olbrzyma i rzucił nim o ścianę. Mężczyzna uciekł, pozostawiając Ducha nad ciałem młodego mężczyzny w księżej sukience, z rozwalonym nosem. Podniósł zakrwawionego księdza i zaniósł na leżankę.

– Dziękuję, mój przyjacielu – powiedział ksiądz łamaną francuszczyzną. – Pieniądze z datków kościelnych są pokusą dla złodziei. We śnie mówiłeś po francusku. Znasz też hiszpański?

Duch potrząsnął głową.

– Jak się nazywasz? – mówił dalej ksiądz niezdatną francuszczyzną.

Duch nie mógł sobie przypomnieć imienia, które dali mu rodzice. A w więzieniu słyszał tylko szyderstwa i okrzyki strażników.

Ksiądz uśmiechnął się.

– *No hay problema*. Ja się nazywam Manuel Aringarosa. Jestem misjonarzem z Madrytu. Przysłano mnie tutaj, żebym wybudował kościół dla Obra de Dios.

– Gdzie ja jestem? – W głosie Ducha nie było słycać emocji.

– W Oviedo. Na północy Hiszpanii.

– Jak się tu dostałem?

– Ktoś cię zostawił na moim progu. Byłeś chory. Nakarmiłem cię. Jesteś tutaj już od wielu dni.

Duch przyglądał się dłuższą chwilę swojemu opiekunowi. Minęły lata od chwili, kiedy ktoś okazał mu życzliwość.

– Dziękuję ci, ojcze.

Ksiądz dotknął swoich zakrwawionych warg.

– To ja powinienem ci dziękować, przyjacielu.

Kiedy Duch obudził się rano, świat wydawał się bardziej przejrzysty i materialny. Spojrzał na krzyż wiszący na ścianie nad swoim łóżkiem. Chociaż Jezus do niego już nie przemawiał, czuł w sercu miłość i znajdował pocieszenie w jego obecności. Usiadł i ze zdziwieniem zobaczył artykuł wycięty z gazety na stoliku przy swoim łóżku. Artykuł był po francusku i sprzed tygodnia. Kiedy czytał to, co w nim opisywano, poczuł nagły strach. Była tam mowa o trzęsieniu ziemi w górach, które zniszczyło więzienie i dzięki któremu na wolność wydostało się wielu niebezpiecznych przestępców.

Serce zaczęło mu walić jak młotem. Ksiądz wie, kim jestem! To, co teraz czułem, były to emocje, których dawno nie doznawałem. Wstyd. Poczucie winy. Również strach, że go złapią. Wskoczył z łóżka. Dokąd mam uciekać?

– Dzieje Apostolskie – powiedział głos od drzwi.

Duch odwrócił się przestraszony.

Młody kapłan uśmiechał się, wchodząc do środka. Miał niezręcznie zabandażowany nos i podawał mu Biblię.

– Znalazłem ci tu Pismo Święte po francusku. Zaznaczyłem rozdział.

Niepewny, Duch wziął Biblię i otworzył na rozdziale, który zaznaczył ksiądz.

Dzieje Apostolskie 16.

Wersety opowiadały o więźniu imieniem Syłas, który leżał nagi i pobity w celi, śpiewając hymn na chwałę Boga. Kiedy Duch doszedł do wersetu 26, wstrzymał oddech ze zdumienia.

*...Nagle powstało silne trzęsienie ziemi, tak że zachwiały się fundamenty więzienia. Natychmiast otwarto wszystkie drzwi...*

Podniósł szybko oczy na księdza. Ksiądz uśmiechnął się ciepło.

– Od teraz, mój przyjacielu, jeżeli nie masz innego imienia, będę cię nazywał Syłas.

Duch przytaknął bezwiednie. Syłas. Znowu dano mu ciało. Nazywam się Syłas.

– Czas na śniadanie – powiedział ksiądz. – Będziesz potrzebował dużo siły, jeżeli masz mi pomagać zbudować ten kościół.

Siedem tysięcy metrów powyżej poziomu Morza Śródziemnego samolot Alitalii, lot 1618, wpadł w turbulencję i pasażerowie nerwowo zaczęli się kręcić w fotelach. Biskup Aringarosa prawie tego nie zauważył. Myślami był w przeszłości i rozmyślał nad Opus Dei. Nie mógł się doczekać wiadomości o tym, co się dzieje w Paryżu, i żałował, że nie może zadzwonić do Sylasa. Ale nie mógł. Nauczyciel tego dopilnował.

– To dla twojego własnego bezpieczeństwa, księżo biskupie – wyjaśnił Nauczyciel, mówiąc po angielsku z francuskim akcentem. – Znam się na tyle na sprzęcie elektronicznym, by wiedzieć, że takie rozmowy można przechwytywać. A gdyby się tak stało, to mogłoby cię zniszczyć.

Aringarosa wiedział, że Nauczyciel ma rację. Robił wrażenie człowieka szczególnie ostrożnego. Nie zdradził Aringarosie swojej tożsamości, a jednak dowiódł, że warto mu być posłusznym. W końcu w jakiś sposób zdobył tajne informacje. Nazwiska czterech najwyższej rangi członków bractwa! Był to dowód mistrzostwa Nauczyciela, który przekonał biskupa, że zasługuje on na tę niezwykłą nagrodę, którą, jak twierdził, jest zdolny zdobyć nawet spod ziemi.

– Księżo biskupie – powiedział Nauczyciel. – Wszystko przygotowane. Aby mój plan się powiódł, musisz pozwolić, żeby Syłas przez kilka najbliższych dni odpowiadał tylko na moje telefony. Nie możecie z sobą rozmawiać. Ja się będę z nim kontaktował przez bezpieczne linie.

– Potraktujesz go z szacunkiem?

– Człowiek szczerzej wiary zasługuje na najwyższy szacunek.

– Doskonale. W takim razie rozmawiać. Nie będę z nim rozmawiać, dopóki się to nie skończy.

– Robię to, aby chronić księdza tożsamość, tożsamość Sylasa i moją inwestycję.

– Twoją inwestycję?

– Księżo biskupie, jeżeli przez nieumiejętność trzymania się z boku wyłąduje ksiądz w więzieniu, nie dostanę swojego honorarium.

Biskup uśmiechnął się.

– To prawda. Nasze pragnienia są wspólne. Boże, prowadź.

Dwadzieścia milionów euro – pomyślał biskup, wyglądając przez okno samolotu. W amerykańskich dolarach to mniej więcej to samo. Drobiazg za coś tak wielkiego.

Poczuł pewność, że Nauczyciel i Syłas nie zawiodą. Pieniądze i wiara to potężne bodźce.



## ROZDZIAŁ 11

– *Une plaisanterie numérique?* – Bezu Fache był wściekły, patrzył na Sophie Neveu, nie mogąc uwierzyć w to, co słyszy. Żart liczbowy? – To jest pani profesjonalna ocena kodu Saunière'a? Jakiś matematyczny dowcip?

Fache nie mógł pojąć, jak ta kobieta ma czelność mu to mówić. Nie tylko wtargnęła tu bez pozwolenia, ale jeszcze próbuje go przekonać, że Saunière w ostatnich chwilach życia miał natchnienie do matematycznych kawałów.

– Ten kod – Sophie wyjaśniała mu szybko po francusku – jest prostacki aż do absurdu. Jacques Saunière wiedział, że od razu to odkryjemy. – Wyciągnęła kartkę papieru z kieszeni swetra i podała ją Fache'owi. – To jest odczyt.

Fache spojrział na papier.

1 - 1 - 2 - 3 - 5 - 8 - 13 - 21

– Co to jest? – prychnął. – Pani tylko ustawiła te liczby w kolejności rosnącej!

Sophie miała tyle tupetu, że uśmiechnęła się z satysfakcją.

– Właśnie.

Fache mówił teraz ciszej i głosem tak niskim, że przypominał grzmot wodospadu.

– Agentko Neveu, nie mam pojęcia, dokąd pani zmierza, ale radzę, żeby się pani pospieszyła. – Rzucił zniecierpliwione spojrzenie na Langdona, który stał tuż obok z telefonem przyciśniętym do ucha, wciąż słuchając wiadomości z automatycznej sekretarki, nagranej w ambasadzie amerykańskiej. Twarz Langdona poszarzała, z czego Fache wywnioskował, że wiadomości nie są dobre.

– Panie kapitanie – powiedziała Sophie tonem niebezpiecznie wyzywającym. – Tak się składa, że sekwencja liczb, którą ma pan w ręku, jest jednym z najsłynniejszych ciągów rosnących w historii matematyki.

Fache nie wiedział, że istnieje coś takiego jak rosnące ciągi matematyczne, które można nazwać słynnymi, a już na pewno nie podobał mu się ton wyższości w głosie Sophie.

– To jest ciąg Fibonacciego – stwierdziła, wskazując brodą na kartkę papieru w dłoni Fache'a. – Każdy wyraz jest równy sumie dwóch wyrazów poprzedzających.

Fache przyjrzał się liczbom. Każdy wyraz rzeczywiście był sumą dwóch poprzednich, ale Fache wciąż nie mógł sobie wyobrazić, jakie by to mogło mieć znaczenie w kontekście śmierci Saunière'a.

– Matematyk Leonardo Fibonacci stworzył ten ciąg liczbowy w trzynastym wieku. Rzecz jasna, to nie może być przypadek, że wszystkie liczby, które Saunière napisał na podłodze, należą do słynnego ciągu Fibonacciego.

Fache przyglądał się dłuższą chwilę młodej kobiecie.

– Dobrze, jeżeli nie ma w tym żadnego przypadku, to może powiedziałaaby mi pani, dlaczego Jacques Saunière postanowił tak postąpić. Co nam chce powiedzieć? Co to oznacza?

Wzruszyła ramionami.

– Absolutnie nic. O to właśnie chodzi. To jest zwykły żart kryptograficzny. Tak jakby wziąć słowa z jakiegoś słynnego wiersza i pomieszać je w dowolnej kolejności, żeby zobaczyć, czy ktoś się zorientuje, co te słowa mają ze sobą wspólnego.

Fache zrobił krok naprzód, groźnie przybliżając twarz do twarzy Sophie.

– Liczę, że ma pani jakieś bardziej przekonujące wyjaśnienie niż to.

Kiedy i Sophie zbliżyła się o pół kroku do niego, miała na twarzy wyraz powagi.

– Panie kapitanie, zważywszy na to, jaką stawkę ma pan dzisiaj na szali, pomyślałam sobie, iż zechce pan docenić tę wiedzę, że Jacques Saunière być może gra z panem w jakąś grę. Jak widać, pan jej nie docenia. Poinformuję dyrektora Wydziału Kryptografii, że już nie potrzebuje pan naszych usług.

Z tymi słowami na ustach odwróciła się na pięcie i odmaszerowała w tym samym kierunku, z którego przyszła.

Fache, oniemiały, patrzył, jak Sophie znika w ciemności. Czy ona zwariowała? Sophie Neveu właśnie przed chwilą na nowo zdefiniowała pojęcie samobójstwa zawodowego.

Fache zwrócił się do Langdona, który wciąż stał z telefonem przy uchu, z jeszcze większym niepokojem na twarzy, słuchając uważnie wiadomości. Ambasada Stanów Zjednoczonych. Bezu Fache pogardzał wieloma rzeczami... Ale niewiele było takich, które wzbudzały w nim większą złość niż Ambasada Stanów Zjednoczonych.

Fache i ambasador nieraz kruszyli kopie w sprawach państwowych wspólnych dla Francji i Stanów, a ubitą ziemią, na której spotykali się najczęściej, było stosowanie prawa wobec Amerykanów odwiedzających Francję. DCPJ niemal codziennie zatrzymywało Amerykanów przyjeżdżających na wymianę studencką za posiadanie narkotyków, biznesmenów ze Stanów za kontakty z niepełnoletnimi prostytutkami, a turystów amerykańskich za kradzieże w sklepach i niszczenie cudzej własności. W świetle prawa ambasada amerykańska mogła interweniować i prosić o ekstradycję winnych obywateli Stanów Zjednoczonych, a kiedy wracali do domu, dostawali tylko lekko po palcach.

Ambasada prosiła o ekstradycję niemal zawsze.

*L'émasculation de la Police Judiciaire* – tak to nazywał Fache. *Paris Match* wydrukował ostatnio komiks przedstawiający Fache'a jako psa policyjnego, który próbuje ugryźć amerykańskiego kryminalistę, ale nie może go dosięgnąć, ponieważ jest przypięty łańcuchem do ściany ambasady amerykańskiej.

Nie dzisiaj – powiedział sobie Fache. Stawka jest zbyt wysoka.

Kiedy Robert Langdon wyłączył telefon, wyglądał blado i niepewnie.

– Wszystko w porządku? – spytał Fache.

Langdon słabo potrząsnął głową.

Złe wiadomości z domu – wyczuł Fache, zauważywszy – odbierając telefon komórkowy – że Langdon się spocił.

– Wypadek – mamrotał Langdon, patrząc na Fache'a z dziwnym wyrazem twarzy. – Przyjaciół... – zawahał się. – Muszę lecieć do domu pierwszym porannym samolotem.

Fache nie miał żadnych wątpliwości, że szok na twarzy Langdona nie jest udawany, a jednak wyczuwał tam i inne emocje, jakby jakiś cień lęku odbijał się w oczach Amerykanina.

– Bardzo mi przykro – powiedział Fache, przyglądając się Langdonowi uważnie. – Chciałby pan może usiąść? – Wskazał gestem dłoni na ławkę pod ścianą galerii.

Langdon skinął głową jakby wciąż nieobecny i zrobił kilka kroków w kierunku ławki. Przystanął i z każdą chwilą wyglądał coraz gorzej.

– Właściwie to chciałbym pójść do toalety.

Fache zmarszczył się w sobie, bo zdał sobie sprawę, że będzie opóźnienie.

– Do toalety. Oczywiście. Zróbmy krótką przerwę. – Wskazał gestem długi korytarz w kierunku, z którego przyszli. – Toalety są obok biura kustosza.

Langdon zawahał się przez chwilę i pokazał przeciwny kierunek, ku drugiemu końcowi Wielkiej Galerii.

– Chyba z tej strony, bliżej, w końcu korytarza też są toalety.

Fache zdał sobie sprawę, że Langdon ma rację, że w samym końcu Wielkiej Galerii są jeszcze dwie toalety.

– Mam z panem pójść?

Langdon potrząsnął głową, już kierując się w głąb galerii.

– Nie trzeba. Chciałbym przez kilka chwil być sam.

Fache'owi nie za bardzo się podobało to, że Langdon będzie sam szedł w głąb korytarza, ale pocieszał się, że Wielka Galeria kończy się ślepo, a jedyne wyjście jest po drugiej stronie – krata, pod którą się niedawno przeciskali. Chociaż francuskie przepisy wymagają schodów przeciwpożarowych dla tak wielkich powierzchni, to dostęp do nich został automatycznie odcięty, kiedy Saunière uruchomił system ochrony. To prawda, że system został teraz zresetowany, a schody odblokowano, ale to nie miało żadnego znaczenia – gdyby ktoś otworzył drzwi zewnętrzne, uruchomiłby alarm przeciwpożarowy, a drzwi przeciwpożarowe były i tak strzeżone przez agentów DCPJ. Langdon nie miał szans wyjść z Luwru bez wiedzy Fache'a.

– Muszę wrócić na chwilę do biura Saunière'a – powiedział Fache. – Proszę tam przyjść, panie Langdon. Musimy jeszcze coś omówić.

Langdon bez słowa pomachał mu ręką, znikając w ciemności.

Fache odwrócił się na pięcie i wściekły poszedł w przeciwną stronę. Dotarł do stalowej kratownicy, prześlizgnął się pod nią i wydostawszy się z Wielkiej Galerii, pomaszzerował wzdłuż holu i wpadł jak burza do centrum dowodzenia w gabinecie Saunière'a.

– Kto pozwolił Sophie Neveu wejść do tego budynku?! – wrzasnął.

Pierwszy odpowiedział Collet.

– Powiedziała strażnikom na zewnątrz, że złamała kod.

Fache rozejrzał się dookoła.

– Już poszła?

– A nie ma jej z panem?

– Wyszła.

Fache rozejrzał się po ciemnym korytarzu. Widać z tego, że Sophie nie była w nastroju, żeby się zatrzymywać i rozmawiać z pozostałymi policjantami, gdy wychodziła z Luwru.

Przez chwilę Fache rozważał, czy nie połączyć się przez radio ze strażnikami przy wejściu, nie kazać im zatrzymać Sophie i przywleć ją tutaj, zanim opuści muzeum. Ale zreflektował się. Podszeptowała mu to tylko jego duma... Chciał mieć ostatnie słowo. Starczy już rozrywek na ten wieczór.

Policzę się z agentką Neveu później – powiedział sobie, ciesząc się w duchu, że będzie mógł ją wywalić z pracy.

Postanowił na razie zapomnieć o Sophie i przez chwilę przyglądał się miniaturowemu rycerzowi stojącemu na biurku Saunière'a. Potem zwrócił się do Colleta.

– Macie go?

Collet skłonił się dwornie i odwrócił laptopa w kierunku Fache'a. Czerwona plamka była wyraźnie widoczna na schemacie planu piętra, świeciła metodycznie i gasła w pomieszczeniu oznaczonym jako TOILETTES PUBLIQUES.

– Dobrze – powiedział Fache, zapalając papierosa i wchodząc na sztywnych nogach do korytarza. – Muszę zadzwonić. Niech pan uważa, żeby Langdon nie ruszał się nigdzie oprócz toalety.

## ROZDZIAŁ 12

Robert Langdon, przedzierając się na koniec Wielkiej Galerii, nie wiedział, co myśleć. W głowie wciąż brzmiała mu wiadomość od Sophie. Podświetlone znaki na końcu korytarza, na których widniały międzynarodowe symbole postaci oznaczające toalety, poprowadziły go przez labirynt między poprzecznymi ściankami, na których wisiały grafiki włoskie, oddzielającymi toalety od reszty pomieszczeń.

Langdon znalazł drzwi wejściowe do męskiej toalety, wszedł i zapalił światło. Było pusto.

Podszedł do umywalki, obmył sobie twarz wodą i próbował oprzytomnieć. Rażące fluorescencyjne światła jarzeniówek odbijały się od kafelków. Śmierdziało amoniakiem. Kiedy wycierał twarz ręcznikiem, drzwi do toalety zaskrzypiały. Odwrócił się.

Weszła Sophie Neveu; w jej zielonych oczach zobaczył lęk.

– Dzięki Bogu, że pan przyszedł. Nie mamy zbyt wiele czasu.

Langdon stał przy umywalkach, patrząc w bezbrzeżnym zdziwieniu na Sophie Neveu, kryptografa z DCPJ. Zaledwie parę minut temu słuchał jej wiadomości telefonicznej, myśląc, że pani kryptograf, która dopiero co zjawiła się na scenie, musi być szalona. Niemniej im dłużej słuchał, tym bardziej wyczuwał, że Sophie Neveu mówi szczerze. „Proszę nie reagować na tę wiadomość. Proszę spokojnie odsłuchać. Jest pan w niebezpieczeństwie. Musi pan wykonać dokładnie wszystkie moje polecenia”.

Pełen niepewności, Langdon postanowił robić dokładnie to, co mu radziła Sophie. Powiedział Fache’owi, że wiadomość telefoniczna ma związek z wypadkiem, któremu uległ znajomy w kraju. Potem spytał, czy może skorzystać z toalety na końcu Wielkiej Galerii.

Sophie stała teraz przed nim, wciąż nie mogąc złapać oddechu – obeszła prawie cały Luwr dookoła, by się tu znaleźć. W świetle jarzeniówek Langdon patrzył zdziwiony, jaką siłą promieniowała ta dziewczyna o niespodziewanie łagodnych rysach. Tylko jej wzrok był ostry, a ten kontrast przywołał na myśl wielowarstwowy portret Renoira... Zawołowany, acz wyraźny. Była tam i odwaga w ruchach pędzlem, i jakaś zasłona tajemnicy.

– Chciałam pana ostrzec, panie Langdon... – zaczęła Sophie, wciąż łapiąc oddech – że jest pan *sous surveillance cachée*. Pod specjalną obserwacją. – Jej słowa wypowiedziane po angielsku z lekkim francuskim akcentem odbijały się echem od ścian, a głos wydobywał się jak z jakiejś pustej przestrzeni.

– Ale... dlaczego? – spytał Langdon.

Sophie wyjaśniała mu już przez telefon, ale chciał to usłyszeć z jej ust.

– Ponieważ – powiedziała, podchodząc do niego bliżej – głównym podejrzanym o morderstwo według Fache’a jest właśnie pan.

Langdon przygotował się na te słowa, ale brzmiały one wciąż bardzo zabawnie. Zgodnie z tym, co mówiła Sophie, Langdona wezwano dziś w nocy do Luwru nie jako specjalistę od symboli, ale jako podejrzanego i był on obecnie, chcąc nie chcąc, celem jednej z ulubionych metod śledczych DCPJ – *surveillance cachée* – zręcznej sztuczki policyjnej polegającej na tym, że spokojnie zaprasza się podejrzanego na miejsce zbrodni i przesuwa tam w nadziei, że w nerwowej atmosferze przypadkiem sam się pogrąży.

– Niech pan sprawdzi lewą kieszeń marynarki – powiedziała Sophie. – Znajdzie pan tam dowód, że naprawdę jest pan pod obserwacją.

Langdon poczuł rosnącą niechęć i strach. Mam sprawdzać własne kieszenie? Zabrzmiało to tak, jakby chciała mu pokazać jakąś tanią sztukę magiczną.

– No, proszę...

Nie mogąc opanować ciekawości, Langdon sięgnął dłonią do lewej kieszeni swojej tweedowej marynarki – do tej, której nigdy nie używał. Pomacał palcami w środku, ale niczego nie znalazł. A czego się, u diabła, spodziewałeś? Zaczął się zastanawiać, czy może mimo wszystko Sophie jest jednak szalona. Potem wyczuł palcami coś, czego tam nie miało być. Coś małego i twardego. Chwycił maleńki przedmiot w dwa palce, wyciągnął go z kieszeni i przyglądał mu się zdziwiony. Był to metaliczny krążek w kształcie guzika, wielkości mniej więcej baterii do zegarka. Nigdy go przedtem nie widział. Co to...?

– Pluskwa do namierzania obiektów przez system GPS – powiedziała Sophie. – W trybie ciągłym przekazuje swoje położenie satelicie, którego może monitorować DCPJ. Korzystamy z takich pluskwów, żeby mieć podgląd naszych podejrzanych. Namierza z dokładnością do pół metra na całej kuli ziemskiej. Mają pana na elektronicznej smyczy. Agent, który przyjechał po pana do hotelu, wsunął to panu do kieszeni, zanim pan wyszedł z pokoju.

Langdon przypomniał sobie pokój hotelowy... Szybki prysznic, potem się ubierał, a kiedy wychodzili z pokoju, agent DCPJ uprzejmie podawał mu tweedową marynarkę. „Na dworze jest chłodno, panie Langdon – powiedział agent. – Wiosna w Paryżu nie zawsze jest taka jak w amerykańskich piosenkach”. Langdon podziękował mu i włożył marynarkę.

Oliwkowe spojrzenie Sophie było intensywne.

– Nie powiedziałam panu o pluskwie wcześniej, bo nie chciałam, żeby pan zaczął przeszukiwać kieszenie w obecności Fache’a. On nie może wiedzieć, że pan to znalazł.

Langdon nie miał pojęcia, co odpowiedzieć.

– Namierzają pana przez GPS, bo myślą, że będzie pan chciał uciec. – Przerwała. – Tak naprawdę mieli nadzieję, że pan ucieknie, to dałoby im dodatkowy argument do ręki.

– Czemu miałbym uciekać?! – oburzył się Langdon. – Jestem niewinny!

– Fache widzi to inaczej.

Rozwścieczony Langdon podszedł do kosza na śmieci, żeby wyrzucić pluskwę.

– Nie! – Sophie chwyciła go za rękę i powstrzymała. – Jeżeli pan ją wyrzuci, sygnał przestanie się przemieszczać i będą wiedzieli, że znalazł pan pluskwę. Fache pozwolił panu pójść do toalety samemu jedynie dlatego, że może bez przerwy monitorować pana położenie. Jeżeli zorientuje się, że pan odkrył jego działania... – Sophie nie dokończyła myśli. Zamiast tego wyciągnęła metaliczny krążek z dłoni Langdona i wsunęła go z powrotem do kieszeni jego tweedowej marynarki. – Ta pluskwa zostaje z panem. Przynajmniej na razie.

Langdon był zagubiony.

– Jakim cudem Fache mógł uwierzyć, że zabiłem Jacques’a Saunière’a?!

– Ma dosyć przekonujące poszlaki, żeby pana podejrzewać – mówiła Sophie z chmurnym wyrazem twarzy. – Istnieje pewien dowód, którego pan jeszcze nie widział. Fache to przed panem starannie ukrywa.

Langdon patrzył bez słowa.

– Przypomina pan sobie tekst, który Saunière napisał na podłodze?

Langdon skinął głową. Cyfry i słowa były wyryte w jego pamięci.

Sophie ściszyła teraz głos i mówiła szeptem.

– Niestety to, co pan zobaczył, to nie jest pełna wiadomość. Była jeszcze jedna linijka, którą Fache sfotografował, a potem wytarł do czysta, zanim pan przyszedł.

Chociaż Langdon wiedział, że ślad pisaka wodnego można łatwo usunąć, nie mógł sobie wyobrazić, dlaczego Fache miałby usuwać dowody.

– Ostatnia linijka tej wiadomości – powiedziała Sophie – coś, o czym miał pan nie wiedzieć. – Przerwała. – Przynajmniej do momentu, kiedy Fache z panem nie skończy.

Wyciągnęła z kieszeni swetra wydruk komputerowy zdjęcia i zaczęła go rozwijać.

– Dziś wieczór Fache załadował obraz z miejsca zbrodni do naszej wewnętrznej sieci i przesłał do komputera Wydziału Kryptografii, mając nadzieję, że zorientujemy się, co chciał powiedzieć Saunière. Oto zdjęcie całej wiadomości. – Podała kartkę Langdonowi.

Langdon patrzył na fotografię, nie mogąc wyjść ze zdumienia. W zbliżeniu widać było jaśniejącą na parkiecie Luwru wiadomość. Ostatnia linijka uderzyła go jak cios prosto w splot słoneczny.

13-3-2-21-1-1-8-5

Miano czorta li dolina na video.

PS. Znajdź Roberta Langdona.

## ROZDZIAŁ 13

Przez kilka sekund Langdon wpatrywał się w komputerowy wydruk fotografii z postscriptum Saunière'a. *PS. Znajdź Roberta Langdona.* Czuł, jakby podłoga kołysała się pod jego nogami. Saunière zostawił postscriptum, a w nim moje nazwisko? W najśmielszych snach Langdon nie potrafił sobie wyobrazić dlaczego.

– Teraz już pan rozumie – powiedziała Sophie, nie spuszczać z niego wzroku – dlaczego Fache kazał panu tutaj przyjechać i dlaczego jest pan jego głównym podejrzanym.

Jedyne, co Langdon rozumiał w tej chwili, to zadowolenie, z jakim Fache przyjął sugestię Langdona, że Saunière mógł przecież oskarżyć zabójcę, wskazując jego nazwisko.

Znajdź Roberta Langdona.

– Dlaczego Saunière miałby to napisać? – dociekał Langdon, a jego niepewność zaczęła się przeradzać w złość. – Dlaczego miałbym chcieć zabić Jacques'a Saunière'a?

– Fache musi jeszcze znaleźć motyw, ale nagrywał całą dzisiejszą rozmowę z panem w Luwrze, sądząc, że coś wyjdzie na jaw.

Langdon otworzył usta, ale nie mógł wydusić z siebie ani słowa.

– Ma przy sobie miniaturowy mikrofon – wyjaśniła Sophie. – Jest połączony z przekaźnikiem w kieszeni, który przekazuje sygnał radiowy do punktu dowodzenia.

– To niemożliwe – wymamrotał Langdon. – Mam alibi. Poszedłem od razu po wykładzie do hotelu. Można przecież zapytać w recepcji.

– Fache już to zrobił. Jego raport powiada, że wziął pan klucz do pokoju z recepcji około dziesiątej trzydzieści. Niestety, zabójstwa dokonano bliżej jedenastej. Mógł pan bez problemu wyjść z hotelu niezauważony.

– To jakieś szaleństwo! Fache nie ma żadnych dowodów.

Sophie zrobiła wielkie oczy, jakby chciała powtórzyć za nim „żadnych dowodów”.

– Panie Langdon, pańskie nazwisko jest umieszczone na podłodze tuż obok ciała, a w kalendarzu Saunière'a jest napisane, że miał się pan z nim spotkać mniej więcej o tej godzinie, o której popełniono morderstwo. Fache ma dostatecznie dużo dowodów, aby pana zaarrestować i przesłuchać.

Langdon nagle zrozumiał, że będzie potrzebował dobrego adwokata.

– Ja tego nie zrobiłem.

Sophie westchnęła.

– To nie amerykańska telewizja, panie Langdon. We Francji prawo chroni policję, nie przestępców. Niestety, w tym wypadku trzeba również wziąć pod uwagę, co powiedzą media. Jacques Saunière był postacią wybitną i kochaną przez paryżan, a jego śmierć znajdzie się na pierwszych stronach gazet i we wszystkich porannych programach telewizyjnych i wiadomościach radiowych. Fache'a będą naciskać, żeby wydał oświadczenie, a zaprezentuje się znacznie lepiej, mając podejrzanego w areszcie. To, czy pan jest winny, czy nie, nie ma znaczenia, bo będzie pan przecież przetrzymywany przez DCPJ do momentu, aż policja ustali, co się naprawdę stało.

Langdon czuł się jak zwierzę w potrzasku.

– Czemu pani mi o tym wszystkim mówi?

– Ponieważ, panie Langdon, ja wierzę, że pan jest niewinny. – Sophie odwróciła na chwilę wzrok, a potem spojrzała mu prosto w oczy. – A także dlatego, że to częściowo moja wina, że pan się znalazł w takich tarapatach.

– Co takiego? Pani wina, że Saunière chciał mnie zrobić?

– Saunière nie chciał pana zrobić. To pomyłka. Ta wiadomość na podłodze była przeznaczona dla mnie.

Całą minutę zajęło Langdonowi przetrawienie tej informacji.

– Mogłaby pani powtórzyć?

– To nie była wiadomość dla policji. Napisał ją dla mnie. Chyba był zmuszony robić wszystko w takim pośpiechu, że nie zdawał sobie sprawy z tego, jak to będzie wyglądało w oczach policji. – Przerwała. – Kod numeryczny jest bez znaczenia. Saunière napisał go, żeby się upewnić, że do śledztwa zostaną zaangażowani kryptografowie, żeby mieć pewność, że ja się dowiem, co się z nim stało, najszybciej, jak to możliwe.

Langdon czuł, że szybko traci kontakt z rzeczywistością. Kwestia, czy Sophie Neveu zwariowała, czy nie, czeka jeszcze na rozstrzygnięcie, ale przynajmniej wie teraz, dlaczego próbuje mu pomóc. *PS. Znajdź Roberta Langdona.* Widać Sophie uważa, że kustosz zostawił jej zaszyfrowane postscriptum po to, żeby znalazła Langdona.

– Ale dlaczego myśli pani, że ta wiadomość jest dla pani?

– *Człowiek witruiński* – powiedziała głucho. – Ten szkic zawsze był moją ulubioną grafiką Leonarda da Vinci. Dziś wykorzystał ten fakt, żeby przykuć moją uwagę.

– Chwileczkę. Mówi pani, że kustosz wiedział, jaką grafikę lubi pani najbardziej?

Sophie skinęła głową.

– Przepraszam. Mówię to wszystko jakoś bezładnie. Jacques Saunière i ja...

Głos Sophie się załamał, a Langdon usłyszał tam nagle nutę melancholii, zobaczył bolesną przeszłość, która pulsuje tuż pod powierzchnią. Sophie i Jacques Saunière musieli być jakoś blisko związani. Langdon przyglądał się pięknej kobiecie stojącej przed nim, wiedząc doskonale, że starzejący się mężczyźni we Francji często znajdowali sobie młode kochanki. Ale Sophie Neveu nie pasowała jakoś do obrazu „utrzymanki”.

– Pokłóciliśmy się dziesięć lat temu – powiedziała Sophie, teraz szeptem. – Od tego czasu prawie w ogóle nie rozmawialiśmy. Dziś wieczór, kiedy Wydział Kryptografii dostał telefon, że Saunière został zamordowany, a ja zobaczyłam zdjęcie jego ciała i tekst na podłodze, zdałam sobie sprawę, że chciałam mi przesłać wiadomość.

– Z powodu *Człowieka witruińskiego*?

– Tak. I liter PS.

– *Postscriptum*?

Sophie potrząsnęła przecząco głową.

– P.S. to moje inicjały.

– Ale pani się nazywa Sophie Neveu.

Odwróciła wzrok.

– P.S. to przezwisko, które mi nadał, kiedy z nim mieszkaliśmy. – Zarumieniła się. – Oznaczało *Princesse Sophie*. Księżniczka Sophie.

Langdon nie wiedział, jak zareagować.

– To głupie, wiem – powiedziała. – Ale to było przecież lata temu. Kiedy byłam małą dziewczynką.

– Znała go pani, kiedy była małą dziewczynką?

– Całkiem dobrze – powiedziała, a w jej oczach zaśniły łzy. – Jacques Saunière był moim dziadkiem.

## ROZDZIAŁ 14

– Gdzie jest Langdon? – zapytał ostro Fache, zaciągając się po raz ostatni papierosem, kiedy wszedł z powrotem do punktu dowodzenia.

– Wciąż w toalecie, panie kapitanie. – Porucznik Collet oczekiwał, że to pytanie padnie.

Fache mruknął coś niechętnie.

– Widzę, że mu się nie spieszy.

Kapitan patrzył nad ramieniem Colleta na plamkę oznaczającą czujnik GPS, a Collet niemal słyszał trybiki kręcące się w głowie szefa. Fache walczył z pokusą sprawdzenia, co robi Langdon. W idealnym modelu obserwacji daje się podmiotowi tyle czasu i wolności, ile to tylko możliwe, łudząc go fałszywym poczuciem bezpieczeństwa. Langdon musiał wrócić z własnej woli. Z drugiej jednak strony nie było go już prawie dziesięć minut.

Za długo.

– Czy to możliwe, że Langdon robi nas w konia? – spytał Fache.

Collet potrząsnął głową.

– Ciągłe widzimy niewielkie ruchy wewnątrz męskiej toalety, więc wciąż ma przy sobie czujnik GPS. Może źle się poczuł? Gdyby znalazł pluskwę, na pewno by ją wyciągnął i wyrzucił, próbowałby uciec.

Fache spojrzął na zegarek.

– W porządku.

Fache był wciąż czymś zaniepokojony. Cały wieczór Collet wyczuwał u swojego przełożonego jakieś niezwykle napięcie. Fache zwykle był dosyć chłodny i zachowywał dystans, kiedy działał pod presją, a dziś wydawał się zaangażowany emocjonalnie, jakby ta cała sprawa dotyczyła go osobiście.

Nic dziwnego – pomyślał Collet. Fache rozpaczliwie potrzebuje tego aresztowania. Niedawno Rada Ministrów i media stały się otwarcie bardziej krytyczne wobec agresywnej taktyki Fache'a, jego starć z ambasadami potężnych sojuszników Francji i przesadnych wydatków na nowe technologie. Dzisiejsze, wspomagane najnowszą elektroniką, znaczące aresztowanie Amerykanina bardzo by się przydało, żeby uciszyć krytyków i pomogłoby mu utrzymać się na posadzie jeszcze przez parę lat, do lukratywnej emerytury. Bóg jeden wie, że on potrzebuje tej emerytury – pomyślał Collet. Fascynacja Fache'a technologią i elektroniką zaciążyła nie tylko na jego życiu zawodowym, ale i osobistym. Szeptano, że kilka lat temu Fache zainwestował wszystkie oszczędności życia w szaleństwo technologiczne i splukał się do suchej nitki. A Fache jest mężczyzną, który nosi garnitury tylko z najlepszych materiałów.

Dzisiejsza noc jeszcze się jednak nie skończyła. Dziwna interwencja Sophie Neveu, dość nietrafiona, była tylko małą przeszkodą. Jej już nie było, a Fache miał wciąż wszystkie karty w ręku. Musiał jeszcze tylko poinformować Langdona, że jego nazwisko zostało również wypisane na podłodze przez ofiarę. *P.S. Znajdź Roberta Langdona.* Reakcja Amerykanina na ten dowód na pewno będzie interesująca.

– Panie kapitanie? – Jeden z agentów DCPJ zawołał do niego teraz z drugiej strony gabinetu. – Lepiej, żeby pan odebrał ten telefon. – Trzymał słuchawkę i wyglądał na zaniepokojonego.

– Kto dzwoni? – spytał Fache.

Agent zmarszczył czoło.

– Dyrektor naszego Wydziału Kryptografii.

– No i?

– To dotyczy Sophie Neveu, panie kapitanie. Coś tu nie gra.

## ROZDZIAŁ 15

Był już czas.

Wychodząc z czarnego audi, Sylas czuł się silny. Powiew nocnej bryzy poruszał jego luźną zakonną szatą. Wieje wiatr nowych czasów. Wiedział, że jego zadanie będzie wymagało więcej finezji niż siły fizycznej, i zostawił broń w samochodzie. Trzynastostrzałowy pistolet marki Heckler Koch USP 40 również dostał od Nauczyciela.

Na broń siejącą śmierć nie ma miejsca w domu Pana.

Plac przed wspaniałym kościołem był o tej porze całkiem pusty, widział tylko po drugiej stronie Saint-Sulpice kilka nastoletnich dziwek pokazujących swoje wdzięki kierowcom samochodów i turystom wracającym nocą do hoteli. Ich kuszące ciała wznieciły w lędźwiach Sylasa dobrze znaną tęsknotę. Instynktownie naprężył mięśnie uda, tak by nabijany kolcami pas *cilice* wpił się boleśnie w ciało.

Pożądanie natychmiast się ulotniło. Od dziesięciu lat Sylas był wierny przyrzeczeniu i odmawiał sobie wszelkich uciech cielesnych, nawet tych, których mógł sam sobie dostarczyć. To właśnie była Droga. Wiedział, że wiele poświęca, by oddać się bez reszty Opus Dei, ale otrzymał znacznie więcej w zamian. Śluby czystości i wyrzeczenie się wszelkich dóbr osobistych nie wydawały mu się wielkim poświęceniem. Zważywszy na biedę, z której wyszedł, i horror seksu więziennego, była to upragniona odmiana.

Teraz, wróciwszy do Francji po raz pierwszy od czasu, kiedy go aresztowano i odesłano do więzienia w Andorze, Sylas czuł, że kraj rodzinny poddaje go próbie, wyciąga przemocą wspomnienia z jego nawróconej duszy. Zostałeś na nowo narodzony – napominał się. Jego służba Bogu dzisiaj wymagała popełnienia grzechu morderstwa, a była poświęceniem, które Sylas będzie musiał znieść w milczeniu i po wieczne czasy zachować w sercu. „Miarą twej wiary jest miara bólu, który potrafisz znieść” – powiedział mu Nauczyciel. Sylasowi ból nie był obcy i bardzo chciał pokazać Nauczycielowi, ile jest wart, temu, który zapewniał go, że to siła wyższa zleca mu wszystko, co ma zrobić.

– *Hago la obra de Dios* – szepnął Sylas, idąc w kierunku wejścia do kościoła.

Zatrzymał się na chwilę w cieniu ogromnych drzwi i wziął głęboki oddech. Dopiero teraz naprawdę i do końca zdał sobie sprawę z tego, co ma zrobić i co czekało go w środku.

Klucz sklepienia. Zaprowadzi nas do ostatecznego celu.

Podniósł białą jak kreda pięść i zastukał w drzwi trzy razy.

Po chwili poruszyła się zasława na olbrzymich drewnianych wrotach.

## ROZDZIAŁ 16

Sophie zastanawiała się, kiedy Fache się zorientuje, że nie wyszła z budynku. Widząc, że Langdon jest naprawdę przytłoczony tempem wydarzeń, Sophie zadawała sobie pytanie, czy dobrze zrobiła, zapędzając go do narożnika w męskiej toalecie Luwru.

Co jeszcze mogłabym zrobić?

Wyobraziła sobie ciało swojego dziadka, nagie na podłodze, z rozrzuconymi kończynami. Kiedyś był dla niej całym światem, a dziś była zdziwiona, że nie czuje niemal żadnego smutku po jego śmierci. Jacques Saunière był dla niej teraz kimś zupełnie obcym. Ich związek obumarł w jednej chwili pewnego marcowego wieczoru, kiedy miała dwadzieścia dwa lata. Dziesięć lat temu. Sophie wróciła do domu kilka dni wcześniej z uczelni w Anglii i przez przypadek była świadkiem czegoś, co nie było przeznaczone dla niej. Był to obraz, w który do dziś wzbierała się uwierzyć.

Gdybym nie widziała tego na własne oczy...

Była zbyt zszokowana i zaskoczona, żeby wytrzymać bolesne próby wyjaśnień, i natychmiast wyprowadziła się od dziadka, zabierając pieniądze, które udało jej się zaoszczędzić, i wynajęła z koleżankami małe mieszkanie. Przynajmniej sobie, że nigdy z nikim nie będzie rozmawiać o tym, co widziała. Dziadek próbował na wszelkie sposoby skontaktować się z nią, posyłał jej pocztówki i listy, błagał Sophie, żeby się z nim spotkała i pozwoliła mu wyjaśnić. Jak można to wyjaśnić?! Sophie nigdy nie odpowiedziała na żaden list. Odezwiała się do niego tylko jeden raz – zakazała mu do siebie dzwonić lub próbować się z nią spotkać w jakimś miejscu publicznym. Obawiała się, że jego wyjaśnienia będą jeszcze bardziej przerażające niż sam incydent.

To nie do wiary, ale Saunière nigdy się nie poddał i Sophie miała teraz stos korespondencji, która przychodziła przez całe dziesięć lat. Listy były nieotwarte i czekały na lepsze czasy w szufladzie jej garderoby. Musiała oddać dziadkowi sprawiedliwość, że ani razu nie złamał zakazu i nigdy nie zadzwonił.

Dopiero dzisiaj po południu.

– Sophie? – Jego głos w telefonie brzmiał zadziwiająco staro, kiedy odsłuchiwała wiadomość z automatycznej sekretarki. – Postępowałem zgodnie z twoim życzeniem tak długo... I z bólem do ciebie dzwonię, ale muszę z tobą porozmawiać. Zdarzyło się coś strasznego.

Stojąc w kuchni swojego paryskiego mieszkania, Sophie poczuła dreszcz i chłód przeszedł jej po plecach, kiedy usłyszała go po tych wszystkich latach. Jego łagodny i kochany głos otworzył tamę i falę wspomnień z dzieciństwa.

– Sophie, posłuchaj, proszę. – Mówił do niej po angielsku, czyli tak jak zawsze, kiedy była małą dziewczynką. Ćwicz francuski w szkole. Ćwicz angielski w domu. – Nie możesz gniewać się na mnie do końca życia. Nie czytałaś listów, które ci przez te wszystkie lata posyłałem? Czy jeszcze nie rozumiesz? – Przerwał. – Musimy natychmiast porozmawiać. Proszę, spełnij to jedno życzenie swojego dziadka. Zadzwoń do mnie do Luwru. Natychmiast. Oboje jesteśmy w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Sophie spojrzała na swoją automatyczną sekretarkę. W niebezpieczeństwie? O czym on mówi?

– Księżniczko... – Jego głos załamywał się z emocji, z emocji, których Sophie nie potrafiła nazwać. – Wiem, że nie wszystko ci mówiłem, i wiem, że zapłaciłem za to utratą twojej miłości. Ale to było dla twojego bezpieczeństwa. Teraz musisz poznać prawdę. Proszę cię bardzo, muszę ci powiedzieć prawdę o twojej rodzinie.

Sophie nagle usłyszała bicie własnego serca. O mojej rodzinie? Rodzice Sophie zmarli, kiedy miała cztery lata. Ich samochód zjechał z mostu do rwącej rzeki. Babcia i młodszy brat również byli w samochodzie i cała rodzina Sophie w jednej chwili została starta z powierzchni ziemi. Miała pudełko z wycinkami z gazet, w których to wszystko opisano.

Jego słowa odbiły się w całym jej ciele echem nagłej tęsknoty. Moja rodzina! W tej ulotnej chwili Sophie zobaczyła obrazy z tego snu, który w dzieciństwie tylekroć ją budził. Moja rodzina żyje! Wracają do domu! Ale, tak jak w jej śnie, obrazy rozplynęły się we mgle.

Twoja rodzina nie żyje, Sophie. Oni już nie wrócą.

– Sophie... – powiedział dziadek, nagrywając się na automatyczną sekretarkę. – Czekałem całe lata, żeby ci powiedzieć. Czekałem na właściwy moment, a teraz zabrakło mi czasu. Zadzwoń do mnie do Luwru. Jak tylko odsłuchasz tę wiadomość. Będę tu czekał całą noc. Boję się, że może oboje jesteśmy w niebezpieczeństwie. Jest jeszcze tyle rzeczy, które muszę ci powiedzieć.

Na tym skończyła się wiadomość.

Sophie stała przez kilka minut w ciszy, drżąc. Rozważywszy wiadomość, którą zostawił dziadek, uznała, że jest tylko jedna możliwość, przejrzała jego prawdziwy zamiar.

Chciał ją złapać na haczyk.

Oczywiście dziadek rozpaczliwie chciał ją zobaczyć. Chwytał się wszelkich sposobów. Jej niechęć do tego człowieka była teraz jeszcze głębsza. Zastanawiała się, czy może jest śmiertelnie chory i postanowił spróbować ją skłonić, żeby przyszła go odwiedzić ostatni raz. Jeżeli tak, to dobrze wybrał. Moja rodzina.

Stojąc teraz w ciemności męskiej toalety Luwru, Sophie słyszała echa wiadomości telefonicznej, którą odsłuchiwała tego popołudnia. Sophie, może oboje jesteśmy w niebezpieczeństwie. Zadzwoń do mnie.

Nie zadzwoniła. Nawet nie miała zamiaru. Teraz jednak jej sceptycyzm mocno osłabł. Dziadek nie żył, zamordowany w murach swojego muzeum. Zostawił na podłodze zakodowaną wiadomość.

Zakodowaną dla niej. Tego była pewna.

Mimo że nie rozumiała znaczenia tej wiadomości, Sophie była pewna, że jej tajemnicza forma jest dodatkowym dowodem, że słowa te przeznaczone są dla niej. Pasja i zdolności do kryptografii Sophie były efektem jej dorastania u boku Jacques'a Saunière'a – miłośnika kodów, gier słownych i zagadek. Ileż niedziel spędziliśmy razem, rozwiązując kryptogramy i krzyżówki w gazecie. W wieku dwunastu lat Sophie potrafiła już rozwiązać krzyżówkę z *Le Monde* bez żadnej pomocy, a dziadek wykształcił ją w krzyżówkach po angielsku, zagadkach matematycznych i kodach podstawiania liter. Sophie była niezamordowana. W końcu zamieniła tę pasję w zawód i została specjalistką od łamania kodów w policji kryminalnej.

Dziś w nocy Sophie jako kryptograf musiała przyznać, że wzbudziła jej szacunek skuteczność, z jaką dziadek posłużył się prostym kodem, aby połączyć dwie osoby zupełnie sobie obce – Sophie Neveu i Roberta Langdona.

Pozostawało tylko pytanie w jakim celu.

Niestety, pełne zdziwienia spojrzenie Langdona powiedziało jej, że Amerykanin ma niewiele większe pojęcie niż ona, dlaczego dziadek ich połączył.

Spróbowała raz jeszcze.

– Pan miał się dzisiaj spotkać z moim dziadkiem. Po co?

Langdon teraz już naprawdę niczego nie rozumiał.

– Jego sekretarka umówiła nas na spotkanie i nie podała żadnego konkretnego powodu, a ja nie pytałem. Zakładałem, że słyszał o moim wykładzie o pogańskiej ikonografii w katedrach Francji i zainteresował go ten temat, pomyślał więc, że byłoby miło spotkać się przy drinku.



Sophie nie kupiła tego. To ogniwo było za słabe. Dziadek wiedział więcej o pogańskiej ikonografii niż ktokolwiek w świecie. Poza tym bardzo dbał o swoją prywatność, nie był typem, który wdałby się w pogawędkę z jakimś amerykańskim profesorem, chyba że miałby naprawdę ważny powód.

Sophie wzięła głęboki oddech i próbowała dalej.

– Dziadek dzwonił do mnie dzisiaj po południu i powiedział, że oboje jesteśmy w niebezpieczeństwie. Czy może to coś panu mówić?

Błękitne oczy Langdona zachmurzyły się i wyraźnie się zmartwił.

– Nie, ale zważywszy na to, co się stało w Luwrze...

Sophie skinęła głową. Zważywszy na wydarzenia dzisiejszej nocy, byłaby idiotką, gdyby się nie przestraszyła. Była już zupełnie wyzuta z pomysłów i uczuć, podeszła do małego okienka na końcu toalety i milcząco, wyjrzała na zewnątrz przez siatkę taśmy alarmowej zatopionej w szkle. Byli wysoko – przynajmniej dwanaście metrów.

Westchnęła, podniosła oczy do góry i wyjrzała na imponującą panoramę ulic Paryża. Po lewej, po drugiej stronie Sekwany, widniała oświetlona wieża Eiffla. Wprost przed nią Łuk Triumfalny. A po prawej, wysoko na szczycie Montmartre'u, zobaczyła wdzięczną arabską kopułę kościoła Sacré-Coeur, której wypolerowany kamienny dach lśnił biało jak sanktuarium niewinności.

Tutaj, w najbardziej na zachód wysuniętym krańcu skrzydła Denona, obwodnica północ-południe place du Carrousel biegła niemal równoległe do budynku, a od zewnętrznych ścian Luwru dzielił ją tylko wąski chodnik. Gdzieś daleko w dole, przed skrzyżowaniem, stały, czekając na zmianę świateł, olbrzymie ciężarówki, które nocą przetaczają się przez Paryż, a ich reflektory wydawały się mrugać na Sophie przewrotnie i szyderczo.

– Nie wiem co powiedzieć – odezwał się Langdon, podchodząc do niej z tyłu. – Pani dziadek próbuje pani z pewnością coś powiedzieć. Przykro mi, że nie mogę się bardziej przydać.

Sophie odwróciła się od okna, wyczuwając w głębokim głosie Langdona szczery żal. Mimo że sam ma tyle kłopotów, widać było, że chce jej pomóc. Odzywa się w nim nauczyciel – pomyślała. Przeczytała wcześniej wszystkie informacje w DCPJ na temat ich świadka. Miała przed sobą nauczyciela akademickiego, który nie znośił czegoś nie rozumieć.

To jest nasza wspólna cecha – pomyślała.

Jako specjalistka od łamania kodów Sophie zarabiała na życie, wyluskując znaczenie z danych, które na pozór nie mają żadnego związku. Teraz domyślała się, że Robert Langdon, świadom tego, czy nie, ma informację, której ona bardzo potrzebuje. *Princesse Sophie, znajdź Roberta Langdona*. Czy ta wiadomość mogłaby być jaśniejsza? Sophie musiała spędzić z Langdonem więcej czasu. Mieć czas, żeby pomyśleć. Żeby tę tajemnicę rozwiązać razem z nim. A niestety czasu było coraz mniej.

Sophie spojrzała na Langdona i wykonała jedyny możliwy w tym momencie ruch.

– Bezu Fache za chwilę pana aresztuje. Ja mogę pana wyprowadzić z muzeum. Ale musimy zacząć działać natychmiast.

Langdon zrobił wielkie oczy.

– Chce pani, żebym uciekał?

– To najmądrzejsze, co może pan teraz zrobić. Jeżeli pozwoli pan Fache'owi się zaaresztować, spędzi pan kilka najbliższych tygodni we francuskim więzieniu, podczas gdy DCPJ i ambasada amerykańska będą się spierać, czy sądzić pana we Francji, czy w Stanach. Ale jeżeli uda nam się pana stąd wyprowadzić i dotrze pan do ambasady, wtedy pański rząd będzie mógł chronić pańskie prawa, a tymczasem zdołamy udowodnić, że nie ma pan nic wspólnego z tym morderstwem.

Langdon w najmniejszym stopniu nie wyglądał na przekonanego.

– O tym proszę zapomnieć! Fache ma uzbrojonych strażników przy każdym wyjściu! Nawet jeśli uciekniemy i nikt nas po drodze nie zastrzeli, to sama ucieczka mocno mnie obciąży. Musi pani powiedzieć Fache'owi, że wiadomość na podłodze była dla pani i że moje nazwisko tam wypisane nie jest żadnym oskarżeniem.

– Na pewno to zrobię – powiedziała Sophie, a mówiła coraz szybciej – ale kiedy już pan będzie bezpieczny za drzwiami ambasady amerykańskiej. To tylko około półtora kilometra stąd, a mój samochód jest zaparkowany tuż przed muzeum. Zmaganie się z Fache'em stąd jest zbyt ryzykowne. Czy pan tego nie rozumie? Fache próbuje udowodnić, że pan jest winny, to dzisiaj jego misja. Nie aresztował pana jeszcze dlatego, by pana dalej obserwować, w nadziei, że zrobi pan coś, co wzmocni jego pozycję.

– Właśnie. Na przykład, że ucieknę.

W kieszeni swetra Sophie zaczęła dzwonić komórka. Prawdopodobnie Fache. Sięgnęła do kieszeni i wyłączyła telefon.

– Panie Langdon – powiedziała pospiesznie. – Muszę panu zadać ostatnie pytanie. – Od odpowiedzi może zależeć cała pańska przyszłość. – Napis na podłodze rzecz jasna nie jest dowodem pańskiej winy, ale Fache powiedział naszej ekipie, że jest pewien, że pan to zrobił. Czy mogłby mieć jakikolwiek inny powód, który przekonałby go, że jest pan winien?

Langdon milczał chwilę.

– Nie ma żadnego takiego powodu.

Sophie westchnęła. To znaczy, że Fache kłamie. A dlaczego? Tego sobie Sophie nie potrafiła wyobrazić, ale w tej chwili przecież nie o to chodziło. Fakty są takie, że Bezu Fache jest zdecydowany, żeby wsadzić Roberta Langdona za kratki jeszcze dziś w nocy, za wszelką cenę. Sophie potrzebowała Langdona dla siebie i ten właśnie dylemat pozwolił jej wyciągnąć jeden jedyny logiczny wniosek.

Muszę zawieźć Langdona do ambasady amerykańskiej.

Odwracając się teraz do okna, Sophie spojrzała przez siatkę alarmową zatopioną w grubym szkle, popatrzyła w dół i zakreśliła jej się w głowie, bo do chodnika było ponad dwanaście metrów. Skok z tej wysokości oznaczałby dla Langdona w najlepszym wypadku połamane nogi.

Niemniej jednak Sophie podjęła decyzję.

Roberta Langdona czeka ucieczka z Luwru, czy tego chce, czy nie.

## ROZDZIAŁ 17

– Co to znaczy nie odpowiada? – Fache nie mógł uwierzyć. – Dzwonisz na jej telefon komórkowy, tak? Wiem, że ma go przy sobie. Collet od kilku minut próbował dodzwonić się do Sophie.

– Może się jej baterie wyczerpały. Albo wyłączyła.

Fache nie mógł dojść do siebie od chwili, kiedy skończył rozmowę z dyrektorem Wydziału Kryptografii. Odłożywszy słuchawkę, podeszedł do Colleta i zażądał, żeby połączył go z agentką Neveu. Colletowi się nie udało, a Fache chodził od ściany do ściany jak lew w klatce.

– Po co kryptografia dzwoniła? – spytał teraz nieśmiało Collet.

Fache odwrócił się.

– Żeby nam powiedzieć, że nie znaleźli żadnych odniesień do czortów i dolin.

– Tylko po to?

– Nie. Chcieli nam także powiedzieć, że właśnie udało im się dojść do ciągu Fibonacciego, ale podejrzewają, że ten ciąg nie ma żadnego znaczenia.

Collet nie bardzo rozumiał.

– Ale przecież już posłali agentkę Neveu, żeby nam to powiedziała.

Fache potrząsnął głową.

– Nie posłali Neveu.

– Co takiego?

– Dyrektor mówi, że zgodnie z moim poleceniem nakazał przez pagery całej swojej ekipie przyjrzeć się obrazom i fotografiom, które im przesłałem. Kiedy przysła agentka Neveu, rzuciła tylko okiem na fotografię Saunière'a i na kod, i wyszła z biura bez słowa. Dyrektor powiedział, że nie dziwiło go jej zachowanie, ponieważ – co rozumiałe – była bardzo poruszona tymi fotografiami.

– Poruszona? Nie widziała nigdy zdjęcia umarlaka?

Fache przez chwilę się nie odzywał.

– Nie wiedziałem o tym, chyba nie wiedział też dyrektor, dopóki ktoś z pracowników nie poinformował go, że Sophie Neveu jest chyba wnuczką Jacques'a Saunière'a.

Collet nie mógł wykrztusić słowa.

– Dyrektor mówił, że nigdy nie wspominała mu o Saunière, a on podejrzewał, że chyba dlatego, że nie chciała, by ją traktowano inaczej, bo ma takiego sławnego dziadka.

Nic dziwnego, że poruszyło ją to zdjęcie. Colletowi trudno było sobie wyobrazić taki nieszczęsny zbieg okoliczności. Młoda kobieta jest wzywana, by odcyfrować kod napisany przy ciele zamordowanej osoby z jej rodziny. Niemniej jej działania nie miały sensu.

– Ale ona oczywiście rozpoznała te cyfry jako ciąg Fibonacciego, bo przysła tutaj i powiedziała nam o tym. Nie rozumiem, dlaczego miałaby wychodzić, nie mówiąc nikomu, że domyśliła się, co to jest.

Colletowi przychodził do głowy tylko jeden scenariusz, który mógłby wyjaśnić te dziwaczne okoliczności. Saunière musiał napisać kod liczbowy na podłodze, mając nadzieję, że Fache poprosi kryptografów do pomocy w śledztwie, a zatem wciągnie w nie jego wnuczkę. Czy reszta przekazu Saunière'a też miała jakiś związek z wnuczką? A jeśli tak, co ten komunikat dla niej znaczy? I jak w tym wszystkim mieści się Langdon?

Zanim Collet miał szansę nad tym pomyśleć, ciszę pustego muzeum przerwał nagle głośny dźwięk alarmu. Brzmiało to tak, jakby dzwonki dzwoniły gdzieś wewnątrz Wielkiej Galerii.

– *Alarme!* – wrzasnął jeden z agentów, patrząc na podgląd na komputerze w centrum ochrony Luwru. – *Grande Galerie! Toilettes messieurs!*

Fache podbiegł do Colleta.

– Gdzie jest Langdon?

– Wciąż w toalecie! – Collet wskazał palcem gasnące i zapalające się światelko na schemacie swojego laptopa. – Musiał wybić okno!

Collet wiedział, że Langdon daleko nie ucieknie. Chociaż paryskie przepisy przeciwpożarowe wymagały, żeby okna w budynkach publicznych mieszczące się powyżej piętnastu metrów nad poziomem ulicy można było zbić w razie pożaru, to próba wydostania się z drugiego piętra Luwru bez pomocy bosaka i drabiny byłaby samobójstwem. Ponadto od zachodniego końca skrzydła Denona nie było ani trawy, ani drzew, żeby można było zamortyzować upadek. Tuż pod oknem toalety biegła dwupasmówka place du Carrousel.

– Jezus, Maria! – krzyknął Collet, wlepiając oczy w ekran komputera. – Langdon wchodzi na parapet!

Ale Fache już biegł. Wyszarpnąwszy swój rewolwer Manurhin MR-93 z kabury pod marynarką, kapitan wybiegł na korytarz jak wystrzelony z procy.

Collet z niedowierzaniem patrzył na ekran. Zobaczył, że mrugające światelko dotarło na parapet, a potem zrobiło coś zupełnie niespodziewanego. Przesunęło się poza granicę budynku.

Co się dzieje? – zastanawiał się. Czy Langdon jest na parapecie, czy...

– *Jesu!*

Collet zerwał się na równe nogi, kiedy migające światelko wystrzeliło dalej za ścianę. Sygnał przez chwilę był niepewny, a potem mrugająca kropeczka zatrzymała się nagle około dziesięciu metrów poza granicą budynku.

Collet pomanipulował myszą i klawiszami, wywołał mapę Paryża i skalibrował na nowo GPS. Zogniskował pole widzenia i teraz zobaczył dokładną lokalizację sygnału.

Już się nie ruszał. Leżał martwo na środku place du Carrousel.

Langdon skoczył.

## ROZDZIAŁ 18

Fache biegł pędem przez Wielką Galerię, kiedy nagle odezwał się głos z radia Colleta, przekrzykując odległy dźwięk alarmu.

– Skoczycy! – wrzeszczał Collet. – Widzę sygnał przy place du Carrousel. Za oknem łazienki. Nie rusza się! Jezus, Langdon chyba popełnił samobójstwo!

Fache słyszał, co mówi, ale jego słowa przecież były bez sensu. Biegł dalej. Wydawało się, że galeria nie ma końca. Kiedy przebiegał obok ciała Saunière'a, skupił wzrok na ściankach działowych na końcu skrzydła Denona. Alarm słychać było teraz znacznie głośniej.

– Proszę poczekać! – znów słychać było głos Colleta przez radio. – Rusza się! Mój Boże, on żyje! Langdon się rusza!

Fache wciąż biegł, za każdym krokiem coraz mocniej przeklinając długość tego holu.

– Langdon porusza się coraz szybciej! – Collet wciąż wrzeszczał przez radio. – Biegnie w dół Carrousel. Nie... Nabiera prędkości. Porusza się za szybko!

Kiedy Fache dobiegł do ścianek działowych, prześliznął się między nimi, zobaczył toalety i pobiegł prosto do nich.

Głosu z krótkofalówki prawie nie było już słychać, bo alarm był taki głośny.

– On musi być w samochodzie! Chyba jest w samochodzie! Nie potrafię...

Dźwięki dzwonek alarmowych połknęły głos Colleta, kiedy Fache w końcu wpadł do męskiej toalety z wyciągniętą bronią.

Mrużąc oczy, jakby chciał w ten sposób przytłumić przesywający czaszkę dźwięk alarmu, przeskakiwał oczami całą przestrzeń.

Ubikacja była pusta. W łazience nie było nikogo. Wzrok Fache'a spoczął natychmiast na rozbitym oknie po drugiej stronie toalety. Podbiegł do otworu okiennego i spojrzął w dół przez parapet. Langdona nigdzie nie było widać. Fache nie mógł sobie wyobrazić, żeby ktokolwiek zaryzykował tego typu numer. Z pewnością, jeżeli z tak wysoko spadł, będzie ciężko ranny.

W końcu alarm się wyłączył i znów było słychać głos Colleta w krótkofalówce.

– ...Porusza się w kierunku wschodnim... Coraz szybciej... Przekracza Sekwanę pont du Carrousel!

Fache odwrócił się w lewo. Jedynym pojazdem na pont du Carrousel była ogromna ciężarówka z przyczepą, która jechała na południe, oddalając się od Luwru. Ciężarówka była przykryta od burty do burty plastikową plandeką, przypominającą z daleka ogromny hamak. Fache poczuł dreszcz strachu. Ta ciężarówka kilka chwil temu prawdopodobnie zatrzymała się na czerwonym świetle tuż pod oknem toalety.

To szalone ryzyko – powiedział sobie Fache. Langdon nie mógł wiedzieć, co ciężarówka wiezie pod winylową plandeką. A gdyby wiozła stal? Albo cement? Albo nawet śmieci? Skoczyć z dwunastu metrów? To by było szaleństwo.

– Kropka zakręca! – krzyknął Collet. – Skręca w prawo, w Port des Saints-Pères!

I rzeczywiście, ogromny tir, który przejechał most, teraz zwalniał i zakręcał w prawo, w Port des Saints-Pères. Niech i tak będzie – pomyślał Fache. Nie mogąc wyjść ze zdumienia, przyglądał się, jak ciężarówka znika za rogami. Collet już zawiadomił przez radio agentów dyżurujących przed Luwrem, podrywając ich ze stanowisk i posyłając w wozach patrolowych, żeby ścigali tira, cały czas nadając informacje na temat zmieniającego się położenia ciężarówki, jakby to było jakieś dziwaczne poszukiwanie skarbu.

To koniec – Fache nie miał wątpliwości. Jego ludzie otoczą ciężarówkę w ciągu kilku minut. Langdon nie ma szansy, żeby im się wymknąć.

Schował broń z powrotem do kabury, wyszedł z toalety i wezwał Colleta przez radio.

– Sprowadź mój samochód. Chcę tam być, kiedy będziemy go aresztować.

Kiedy Fache biegł z powrotem przez całą Wielką Galerię, zastanawiał się, czy Langdon w ogóle przeżył ten upadek.

Prawdę mówiąc, i tak go to nie obchodzi.

Langdon uciekł. A więc jest winien.

Zaledwie piętnaście metrów od toalet Langdon i Sophie stali w ciemnościach Wielkiej Galerii, przyciśnięci plecami do jednej ze ścianek działowych, które zasłaniały toalety przed wzrokiem zwiedzających. Ledwo zdążyli się ukryć, a już po chwili Fache przebiegł tuż obok z wyciągniętym pistoletem i zniknął za drzwiami toalety.

Ostatnie sześćdziesiąt sekund minęło jak mgnienie oka.

Langdon stał wewnątrz toalety, nie chcąc uciekać z miejsca zbrodni, której nie popełnił, podczas gdy Sophie patrzyła kątem oka na okno z grubego szkła i przyglądała się siatce drutów alarmu, która była w nim zatopiona. Potem spojrzała w dół na ulicę, jakby mierząc wysokość upadku.

– Gdyby pan dobrze wycelował, mógłby się pan stąd wydostać – powiedziała.

– Dobrze wycelować? – Niepewny, wyjrzał z okna na ulicę.

Na dole ogromny, osiemnastokółowy tir zmierzał powoli w kierunku światła, po czym zatrzymał się przed skrzyżowaniem. Nad burtami ciężarówki rozciągnięta była błękitna gruba folia pokrywająca luźno jej ładunek. Langdon miał nadzieję, że Sophie nie myśli tego, co wydawało się, że myśli.

– Sophie, ja na pewno nie skoczę...

– Proszę wyjąć z kieszeni pluskwę.

Wciąż nie mogąc wyjść ze zdumienia, Langdon pogrzebał w kieszeni i znalazł małego metalowy krążek. Sophie wzięła go od niego i podeszła do umywalki. Chwyciła kostkę mydła, położyła pluskwę na jej powierzchni i kciukiem wcisnęła metalowy krążek mocno w mydło. Kiedy krążek zagłębił się w miękkiej powierzchni, ścisnęła mydło palcami i zatkała dziurę, zatapiając na dobre urządzenie wewnątrz kostki.

Podawała mydło Langdonowi i spod umywalk wyciągnęła ciężki cylindryczny kosz na śmieci. Zanim Langdon zdążył zaprotestować, Sophie ruszyła z koszem przed sobą i jak taranem uderzyła nim w okno. Dno kosza wybiło dziurę w samym środku okna i szkło posypało się na dół.

Nad nimi wybuchły alarmy. Było tak głośno, że wydawało się, że im zaraz bębni popękają.

– Mydło! – krzyknęła Sophie, którą ledwo było słychać w tym hałasie.

Langdon wsunął jej kostkę mydła w dłoń. Trzymając je w ręce, wyjrzała przez wybite okno na ulicę i zmierzyła wzrokiem osiemnastokółowego tira stojącego na światłach tuż pod nimi. Cel był olbrzymi – plandeka była szeroka i nieruchoma – w odległości mniej niż trzy metry od ściany budynku. Kiedy światła uliczne miały się zmienić, Sophie wzięła głęboki oddech i wyrzuciła mydło wielkim łukiem w ciemność.

Mydło pofrunęło w kierunku ciężarówki, wylądowało na samej krawędzi plandeki i ześliznęło się w kierunku przedziału ładunkowego w chwili, gdy światła zmieniły się na zielone.

– Gratuluję – powiedziała Sophie, odciągając Langdona w kierunku drzwi. – Właśnie uciekł pan z Luwru.

Uciekli z toalety i stali w cieniu, kiedy Fache właśnie przebiegł tuż obok.

Teraz, kiedy alarm przeciwpożarowy już się wyłączył, Langdon usłyszał syreny samochodów DCPJ wyjeżdżających z Luwru. Exodus policyjny. Fache również odjechał i Wielka Galeria była już pusta.

– Około piętnastu metrów stąd, na tyłach Wielkiej Galerii, są schody przeciwpożarowe. Strażnicy wychodzą teraz z budynku, więc możemy tamtędy się wydostać.

Langdon postanowił, że cały wieczór nie powie już ani słowa. Sophie Neveu niewątpliwie przewyższała go inteligencją i bystrością umysłu.

## ROZDZIAŁ 19

Kościół Saint-Sulpice jest, jak mówią, najbardziej ekscentryczną budowlą historyczną w całym Paryżu. Postawiono go na ruinach starożytnej świątyni egipskiej poświęconej bogini Izydzie. Kościół jest architektonicznie bardzo podobny do Notre Dame, a jego fundamenty naśladują katedrę Notre Dame co do centymetra. Sanktuarium Saint-Sulpice było miejscem chrztu markiza de Sade i Baudelaire'a, jak również ślubu Victora Hugo. Seminarium przykościelne ma dobrze udokumentowaną historię nieortodoksyjności, a kiedyś bywało miejscem spotkań wielu tajnych stowarzyszeń.

Tej nocy pnąca się ku niebu nawa kościoła Saint-Sulpice stała cicha jak wnętrze grobowca, a jedynym świadectwem życia był delikatny zapach kadzidła, który wisiał w powietrzu po wieczornej mszy. Sylas wyczuł niepewność w zachowaniu siostry Sandrine, kiedy wprowadzała go do sanktuarium. Nie był tym zdziwiony. Przywykł do tego, że ludzie czują się niepewnie, kiedy się pojawia.

– Jest pan Amerykaninem – powiedziała.

– Francuzem z urodzenia – odparł Sylas. – Wstąpiłem do Opus Dei w Hiszpanii, a teraz studiuje w Stanach Zjednoczonych.

Siostra Sandrine przytaknęła. Była niewysoką kobietą o spokojnych oczach.

– I nigdy nie widział pan Saint-Sulpice?

– Zdaję sobie sprawę, że to niemal grzech.

– Kościół jest znacznie piękniejszy za dnia.

– Z pewnością. Niemniej jestem bardzo wdzięczny, że siostra daje mi sposobność zwiedzenia świątyni dzisiaj w nocy.

– Zażądał tego mój opat. Na pewno ma pan bardzo wpływowych przyjaciół.

Nawet nie wiesz jak wpływowych – pomyślał Sylas.

Idąc za siostrą głównym przejściem przez środek kościoła, Sylas dziwił się, że kościół taki jak Saint-Sulpice jest tak surowy w wystroju. Inaczej niż w Notre Dame, gdzie wszystkie ściany są ozdobione kolorowymi freskami, ołtarz pełen złocen i drewna, w Saint-Sulpice było chłodno i surowo, ściany robiły wrażenie niemal nagich, tak jak w ascetycznych katedrach Hiszpanii. Brak typowego wystroju sprawiał, że wnętrze wyglądało jeszcze potężniej i wydawało się jeszcze obszerniejsze, a kiedy Sylas podniósł wzrok na pnącą się w górę żebrowaną powierzchnię sklepienia, wyobraził sobie, że stoi pod stępką przewróconego do góry dnem olbrzymiego statku.

Obraz współgra z rzeczywistością – pomyślał. Statek bractwa miał się wywrócić na dobre. Zniecierpliwiony, bo chciał jak najszybciej zabrać się do pracy, Sylas czekał, kiedy siostra zostawi go w spokoju. Była niewysoka, drobna, Sylas bez trudu mógłby ją uziemić, ale przyrzekł sobie, że nie będzie używał siły, chyba że okaże się to absolutnie konieczne. Ta kobieta nosi szaty zakonne i nie jest winna, że bractwo wybrało właśnie jej kościół jako miejsce ukrycia klucza sklepienia. Nie powinna być karana za nie swoje grzechy.

– Niezręcznie się czuję, siostrze, że musiała siostra wstać w środku nocy z mojego powodu.

– Nic nie szkodzi. Przyjechał pan do Paryża na krótko. A nie zobaczyć Saint-Sulpice to byłaby szkoda. Czy interesuje pana bardziej architektura, czy historia kościoła?

– Prawdę mówiąc, siostrze, moje zainteresowania są czysto duchowe.

Siostra Sandrine zaśmiała się, rozbawiona.

– To się rozumie samo przez się. Zastanawiałam się tylko, skąd zacząć oprowadzanie po kościele.

Sylas czuł, że jego oczy bezwiednie wędrują w kierunku ołtarza.

– Nie musi siostra mnie oprowadzać. Już i tak nadużyłem siostry gościnności. Sam wszystko sobie obejrzę.

– To żaden problem – powiedziała. – W końcu już się obudziłam.

Sylas stanął w miejscu. Doszli teraz do pierwszej ławki, a ołtarz był zaledwie piętnaście metrów dalej. Zwrócił się potężnymi ramionami ku niewysokiej kobiecie i poczuł, że siostra Sandrine kurczy się w sobie, kiedy patrzy wprost w jego czerwone oczy.

– Proszę mi nie poczynać tego za obcesowość, ale nie nawykłem wchodzić tak po prostu do domu Pana i zwiedzać. Czy mógłbym się trochę pomodlić w ciszy, zanim zacznę oglądać kościół?

Siostra Sandrine zawahała się.

– Och, oczywiście. Poczekam z tyłu.

Sylas położył miękko, ale ciężką dłoń na jej ramieniu i spojrzał na nią z góry.

– Siostrze, czuję się winny, że przeze mnie siostra nie śpi. Nie chciałbym siostry męczyć. Proszę wrócić do łóżka. Nacieszę się tą świątynią sam, a potem sam wyjdę.

Robiła wrażenie zaniepokojonej.

– Na pewno nie będzie się pan czuł opuszczony?

– Nie. Z pewnością nie. Modlitwa przynosi radość, kiedy człowiek jest sam.

– Jak pan sobie życzy.

Sylas zdjął rękę z jej ramienia.

– Spokojnych snów, siostrze. Niech Pan będzie z tobą.

– I z tobą. – Siostra Sandrine ruszyła w kierunku schodów. – Wychodząc, proszę dobrze zamknąć drzwi.

– Na pewno.

Sylas patrzył jak siostra znika i wchodzi po schodach. Potem odwrócił się i ukląkł w pierwszej ławce, czując, jak *cilice* wpija się w jego udo.

Dobry Boże, Tobie składam w ofierze pracę, którą mam dziś wykonać...

Przyczajona w cieniu na balkonie chóru wysoko nad ołtarzem siostra Sandrine przez balustradę przyglądała się mnichowi w habicie, który klęczał samotnie w ławce przed ołtarzem. Nagły lęk, który zrodził się w jej duszy, sprawiał, że z trudem trwała w miejscu. Przez krótką chwilę zastanawiała się, czy ten tajemniczy gość będzie wrogiem, przed którym ją ostrzegano, i czy dziś w nocy będzie musiała wykonać polecenia, które nosiła w sobie od tylu lat. Postanowiła schować się w ciemności i obserwować każdy ruch człowieka w habicie.

## ROZDZIAŁ 20

Wyłoniwszy się z cienia, Langdon i Sophie przeszli cicho jak duchy przez Wielką Galerię, kierując się ku wyjściu, na schody przeciwpożarowe.

Kiedy tak szli przez ciemność, Langdon miał ochotę spróbować złożyć wszystkie elementy układanki. W prawdziwy niepokój wprawił go świeżo odkryty aspekt tej dziwnej tajemnicy. Kapitan francuskiej policji usiłuje mnie wrobić w morderstwo.

– Myśli pani – szepnął – że Fache sam napisał to zdanie na podłodze?

Sophie nawet się nie odwróciła.

– To niemożliwe.

Langdon nie był taki pewien.

– Wygląda na to, że bardzo mu zależy, żebym okazał się winny. Może pomyślał, że to mu ułatwi śledztwo.

– Ciąg Fibonacciego? PS? Leonardo da Vinci i symbolika Wielkiej Bogini? To musiał być mój dziadek.

Langdon wiedział, że Sophie ma rację. Symbolika wszystkich znaków i sugestii była zbyt perfekcyjnie dobrana – pentagram, *Człowiek witruiwiański*, Leonardo, Wielka Bogini, a nawet ciąg Fibonacciego. Spójny układ symboli, tak nazwaliby to specjaliści od ikonografii. Wszystko ściśle powiązane jak w porządnym marynarskim węźle.

– I ten telefon dzisiaj po południu – dodała Sophie. – Powiedział, że musi mi coś opowiedzieć. Jestem pewna, że wiadomość, którą zostawił w Luwrze, to ostatni wysiłek, żeby przekazać mi coś bardzo ważnego, coś, co według niego pan mógłby mi pomóc zrozumieć.

Langdon zmarszczył czoło. *Miano czorta li dolina na video*. Żałował, że nie rozumie tego przekazu, zarówno z uwagi na bezpieczeństwo Sophie, jak i jego własne. Wszystko układało się coraz gorzej od chwili, kiedy pierwszy raz rzucił okiem na zaszyfrowane słowa. Sfingowany skok z parapetu łazienki w Luwrze nie przysporzy mu popularności ani sympatii Fache'a. Miał dziwne wrażenie, że kapitan francuskiej policji nie dostrzeże niczego zabawnego w pościgu i aresztowaniu kostki mydła.

– Do drzwi mamy już niedaleko – powiedziała Sophie.

– Co pani myśli o takiej hipotezie, że liczby stanowią klucz do zrozumienia dalszej części wiadomości? – Langdon pracował kiedyś nad zbiorem manuskryptów Bacona, które zawierały szyfry epigraficzne, w których z kolei pewne wiersze kodowe stanowiły wskazówki, jak odcyfrować inne wiersze tekstu.

– Cały wieczór myślę o tych liczbach. Sumy, różnice, iloczyny. Niczego nie widzę. Z matematycznego punktu widzenia są zupełnie przypadkowe. Kryptograficzny bełkot.

– A jednak stanowią część ciągu Fibonacciego. To nie może być przypadek.

– I nie jest. Dziadek posłużył się liczbami Fibonacciego, żeby pomachać do mnie nimi jak flagą – podobnie jak tym, że napisał swoją wiadomość po angielsku albo że ułożył ciało na obraz swojego ulubionego dzieła sztuki, albo że narysował na swojej skórze pentagram. To wszystko miało przykuć moją uwagę.

– Pentagram ma dla pani jakieś znaczenie?

– Tak. Nie miałam jeszcze okazji panu tego powiedzieć, ale w dzieciństwie, kiedy dorastałam u boku dziadka, pentagram to był nasz specjalny symbol. Graliśmy dla zabawy w tarota i moja symbolika kart zawsze wskazywała po rozdaniu na pentagramy. Jestem pewna, że odpowiednio przekładał kartę na kupce, ale pentagramy to taki nasz mały prywatny żart.

Langdon poczuł chłód na plecach. Grali w tarota? Średniowieczna włoska gra w karty była tak przepełniona ukrytymi symbolami herezji, że Langdon w swojej nowej pracy poświęcił tarotowi cały rozdział. Dwadzieścia dwie specjalne karty tarota noszą takie nazwy jak na przykład Papież, Cesarz czy Gwiazda. Tarot wymyślono po to, by przekazywać w sekrecie pewne ideologie zakazane przez Kościół. Obecnie mistyczne cechy tarota służą współczesnym wróżbitom i przepowiadaczom przyszłości.

W tarocie boska żeńskość to pentagramy – pomyślał Langdon, zdając sobie sprawę z tego, że jeżeli Saunière układał wnuczce dla zabawy pentagramy z kart to rzeczywiście mógł być ich prywatny żart odpowiedni do sytuacji.

Dotarli do schodów przeciwpożarowych i Sophie otworzyła je ostrożnie. Nie usłyszeli żadnego alarmu. Tylko drzwi wychodzące na zewnątrz były podłączone do systemu alarmowego. Sophie poprowadziła Langdona wąskimi metalowymi schodami na parter, a idąc w dół, bezwiednie przyspieszyli.

– Czy dziadek, kiedy mówił pani o pentagramie – spytał Langdon, biegnąc za nią – wspominał o kulcie Wielkiej Bogini czy o jakichś przejawach niechęci Kościoła katolickiego?

Sophie potrząsnęła głową.

– W tym, co mówił, bardziej interesowała mnie matematyka, złota proporcja, fi, ciąg Fibonacciego i tak dalej.

– Dziadek uczył panią, co to jest liczba fi?

– Oczywiście. Boska proporcja. Kiedyś żartował, że ja też jestem po trosze boska... – dodała zażenowana. – Rozumie pan, chodziło o pisownię mojego imienia.

Zastanowił się chwilę. No tak, s-o-PHI-e.

Ciągle byli w drodze na dół. Langdon znów skupił się na liczbie fi. Zaczynał sobie zdawać sprawę, że wskazówki Saunière'a są znacznie bardziej spójne, niżby się na pierwszy rzut oka wydawało.

Leonardo da Vinci... liczby Fibonacciego... pentagram.

To nie do wiary, ale wszystkie te trzy elementy połączyła jedna koncepcja, tak podstawowa dla historii sztuki, że Langdon nieraz poświęcał całe zajęcia temu tematowi.

Fi.

Nagle poczuł się, jakby wrócił do Harvardu i prowadził zajęcia na temat symboliki w sztuce. Stoi przed studentami i pisze kredą na tablicy swoją ulubioną liczbę.

1,618

Zwrócił się do zaciekawionych studentów.

– Kto może powiedzieć, co to za liczba?

Wysoki student matematyki w tyle sali podniósł rękę w górę.

– To jest fi.

– Bardzo dobrze, Stettner – powiedział Langdon. – Przedstawiam państwu liczbę fi.

– Nie mylić z pi – dodał Stettner, śmiejąc się. – Jak mówimy my, matematycy, fi jest o wiele bardziej odłotowa niż pi!

Langdon roześmiał się, ale chyba nikt inny nie zrozumiał dowcipu.

Stettner usiadł.

– Fi – mówił dalej Langdon – jeden, przecinek, sześćset osiemnaście, jest w sztuce liczbą niezwykle ważną. Kto powie dlaczego? Stettner próbował się zrehabilitować.

– Jest ładna?

W sali rozległy się śmiechy.

– Rzeczywiście – powiedział Langdon. – Stettner znowu ma rację. Uważa się ogólnie, że fi jest najpiękniejszą liczbą we wszechświecie. Śmiechy nagle umilkły, a Stettner poczerwieniał z dumy.

Langdon wsunął slajd do projektora i wyjaśniał dalej, że liczba fi wywodzi się z ciągu Fibonacciego – jest to ciąg rosnący słynny nie tylko dlatego, że suma stojących obok siebie wyrazów jest równa następnemu wyrazowi, ale dlatego, że ilorazy czynników sąsiadujących mają zadziwiającą cechę, a mianowicie są zbliżone do liczby 1,618 – czyli liczby fi!

Pomimo pozornych mistycznych początków matematycznych liczby fi, wyjaśniał Langdon, prawdziwie zaskakującym aspektem fi jest jej rola jako fundamentalnego klocka, którym posługuje się natura. Rośliny, zwierzęta, nawet ludzie, wszystko ma w sobie cechy wymiarów, które są zgodne z przedziwną ścisłością stosunku fi do jedności.

– Wszechobecność fi w przyrodzie – powiedział Langdon, gasząc światła – z pewnością i bezsprzecznie wychodzi poza ramy przypadku, a starożytni przypuszczali, że liczba musiała być zamierzona przez samego stwórcę wszechświata. Pierwsi naukowcy głosili, że jest to boska proporcja.

– Chwileczkę – powiedziała młoda kobieta w pierwszym rzędzie sali wykładowej. – Studiowałam biologię i nigdy nie widziałam w przyrodzie tej boskiej proporcji.

– Nie? – uśmiechnął się Langdon. – Badała pani kiedyś związki między pszczołami płci żeńskiej i męskiej w społeczności ula?

– Oczywiście. Pszczół płci żeńskiej jest zawsze więcej niż pszczoł płci męskiej.

– A czy wie pani, że jeśli podzielimy liczbę pszczoł płci żeńskiej przez liczbę pszczoł płci męskiej jakiegokolwiek ula na świecie, zawsze otrzymamy ten sam wynik?

– Naprawdę?

– Tak jest. Otrzymamy fi.

Dziewczyna nie mogła w to uwierzyć.

– Nie może być!

– A właśnie że może! – odparł Langdon, uśmiechając się i wsuwając w projektor slajd z fotografią ułożonej w spiralę muszli morskiej. – Poznaje to pani?

– To nautilus – powiedziała studentka biologii. – Głównóg. Mięczak, który pompuje gaz do swojej podzielonej na komory muszli, żeby utrzymywać się w odpowiedniej pozycji w wodzie.

– Słusznie. A czy może pani zgadnąć, jaki jest stosunek matematyczny średnicy każdej spirali do następnej?

Dziewczyna niepewnie przyglądała się koncentrycznym łukom spirali nautilusa. Langdon skinął głową.

– Tak, fi. Boska proporcja. Jeden, przecinek, sześć, jeden, osiem do jednego.

Dziewczyna była zdumiona.

Langdon przeszedł do następnego slajdu – zbliżenia główki kwiatu słonecznika z nasionami.

– Nasiona słonecznika rosną w dwóch przeciwnych sobie spiralach. Czy ktoś potrafi powiedzieć, jaki jest stosunek średnicy obrotu jednej spirali do następnej?

– Fi? – spytałi wszyscy chórem.

– Bingo. – Langdon zmieniał szybko slajdy. – Spiralnie układające się płatki szyszki sosny, układ liści na łodygach roślin, segmentacja owadów – wszystko to wykazywało zadziwiające posłuszeństwo boskiej proporcji.

– To nie do wiary! – powiedział ktoś głośno.

– Tak – zauważył ktoś inny. – Ale co to ma wspólnego ze sztuką?

– Właśnie! Dobre pytanie. – Langdon podciągnął w górę kolejny slajd. Bładożółty pergamin z rysunkiem słynnej nagiej postaci męskiej piórka Leonarda da Vinci. – *Człowiek witruwiański*, nazwany tak na cześć Marka Witruwiusza, genialnego rzymskiego architekta, który słał boską proporcję w swoim traktacie *O architekturze*.

Nikt nie rozumiał boskiej struktury ludzkiego ciała lepiej niż Leonardo da Vinci. On ekshumował nawet zwłoki, żeby zmierzyć dokładne proporcje budowy kostnej człowieka. On pierwszy wykazał, że ludzkie ciało jest dosłownie zbudowane z elementów, których stosunki proporcjonalne zawsze równają się fi.

Studenci na sali popatrzyli na niego z powątpiewaniem.

– Nie wierzycie mi? – zapytał wyzywająco Langdon. – Następnym razem jak pójdziecie pod prysznic, weźcie ze sobą miarkę. Kilku członków drużyny piłkarskiej zachichotało.

– Nie tylko wy, smutasy – powiedział w ich stronę Langdon. – Wszyscy. Chłopaki. I dziewczyny też. Spróbujcie zmierzyć odległość od czubka głowy do podłogi. Potem podzielcie ją przez odległość od pępka do podłogi. Zgadnijcie, co wam wyjdzie.

– Chyba nie fi?! – powiedział jeden z futbolistów z niedowierzaniem.

– Tak, właśnie fi. Jeszcze jeden przykład? Zmierzcie odległość między ramieniem a czubkiem palców, a potem podzielcie przez odległość między łokciem a czubkiem palców. Znowu fi. Dać wam jeszcze jeden przykład? Od biodra do podłogi podzielone przez odległość od kolana do podłogi. Jeszcze raz fi. Stawy dłoni. Palce u nóg. Odległość między kręgami. Fi, fi, fi. Przyjaciele, każdy z was jest żywym hołdem złożonym boskiej proporcji.

Mimo panujących ciemności Langdon czuł, że wszyscy są zaskoczeni. Poczł falę dobrze sobie znanego wewnętrznego ciepła. Właśnie dlatego pracował ze studentami.

– Przyjaciele, jak widzicie, ten chaos w otaczającym nas świecie ma swój wewnętrzny porządek. Kiedy starożytni odkryli fi, byli pewni, że natknęli się na element budulcowy, którym posługiwał się sam Bóg, konstruując świat. I właśnie dlatego czcili Matkę Naturę. Można też zrozumieć dlaczego. Rękę Boga widać wszędzie w przyrodzie, a nawet teraz, do dzisiaj istnieją pogańskie religie oddające cześć Matce Ziemi. Wielu z nas bije pokłony Naturze, tak jak kiedyś czynili to pogaanie, nawet o tym nie wiedząc. Pierwszy maja jest doskonałym przykładem. Jest to święto wiosny... Ziemia wraca do życia, żeby znów wydać plony. Tajemnica i magia zawarta w boskiej proporcji została w nią wpisana na początku czasu. Człowiek postępuje według praw natury, a ponieważ sztuka jest próbą, którą podejmuje, chcąc naśladować piękno ruchów dłoni Twórcy, obiecuję wam, że podczas naszych zajęć w tym semestrze zobaczymy jeszcze niejedną przykład boskiej proporcji.

Przez następne pół godziny Langdon pokazywał studentom slajdy dzieł sztuki Michała Anioła, Albrechta Dürera, Leonarda da Vinci i wielu innych, wykazując zamierzoną i rygorystyczną wierność wszystkich tych artystów pędzla i piórka złotej proporcji w planach kompozycyjnych. Langdon odkrywał przed nimi fi w wymiarach architektury rzymskiego Panteonu, egipskich piramid, a nawet budynku ONZ w Nowym Jorku. Okazało się, że fi jest obecne w strukturach sonat mozartowskich, Piątej Symfonii Beethovena, jak również w kompozycjach Bartoka,

Debussy'ego i Schuberta. Na liczbie fi, mówił dalej Langdon, opierał się nawet Stradivarius, aby obliczyć dokładne miejsce i położenie otworów rezonansowych w pudle swoich słynnych skrzypiec.

– Na koniec – powiedział Langdon, podchodząc do tablicy – powrócimy jeszcze na chwilę do symboli. – Nakreślił pięć połączonych ze sobą linii, które utworzyły pięcioramienną gwiazdę. – Jest to symbol jednego z najbardziej imponujących obrazów, jakie ujrzycie w tym semestrze. Zwany jest formalnie pentagramem, a starożytni nazywali go *pentaculum* – jest to symbol przez wiele kultur uważany za magiczny i boski. Czy ktoś mógłby powiedzieć dlaczego?

Stettner podniósł rękę.

– Ponieważ w pentagramie linie dzielą się na części, które są zgodne z boską proporcją.

Langdon z zadowoleniem kiwnął głową.

– Dobrze. Tak. Stosunki części linii w pentagramie są wszystkie równe fi, a ten symbol jest ostatecznym wyrazem złotej proporcji. I właśnie dlatego pięcioramienna gwiazda była zawsze oznaką piękna i doskonałości, które kojarzono z kultem Wielkiej Bogini i świętością kobiecą.

Obecne na sali studentki uśmiechnęły się i wyprężyły dumnie.

– Jeszcze jedno, moi kochani. Dzisiaj tylko dotknęliśmy tematu Leonarda da Vinci, ale w tym semestrze będziemy go znacznie częściej odwiedzać. Leonardo, co jest dobrze udokumentowane, był gorącym zwolennikiem starożytnego kultu Wielkiej Bogini. Następnym razem pokażę wam jego fresk *Ostatnia Wieczera*, który jest jednym z najbardziej zdumiewających hołdów oddanych sakralności kobiecej, jakie istnieje w sztuce.

– Pan profesor z nas żartuje, prawda? – powiedział ktoś. – Przecież *Ostatnia Wieczera* przedstawia Chrystusa wśród apostołów.

Langdon mrugnął okiem.

– Są tam symbole ukryte w takich miejscach, o jakich wam się nawet nie śniło.

– Chodźmy – szepnęła Sophie. – Co się stało? Już prawie jesteśmy. Szybciej!

Langdon spojrział w górę i czuł, że przestaje myśleć o niebieskich migdałach. Zdał sobie sprawę, że stoi nieruchomo na schodach, sparaliżowany nagłym olśnieniem.

*Miano czorta li dolina na video?*

Sophie patrzyła na niego z dołu.

To nie może być aż tak proste – pomyślał Langdon.

Ale wiedział, że jest.

Tam gdzieś, w podziemiach Luwru... Kiedy obrazy fi i Leonarda da Vinci przesuwają mu się przed oczami, Robert Langdon nagle niespodziewanie rozszyfrował kod Saunière'a.

– Miano czorta – powiedział – li dolina na video to najprostszy kod, jaki sobie można wyobrazić!

Sophie stała kilka stopni poniżej i patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc. Kod? Cały wieczór myślała nad tymi słowami i nie dostrzegła w nich żadnego kodu. Zwłaszcza prostego.

– Sama to pani powiedziała – w głosie Langdona było słychać podekscytowanie. – Liczby Fibonacciego mają znaczenie tylko wtedy, kiedy się je odpowiednio ułoży. W przeciwnym razie to matematyczny bełkot.

Sophie nie miała pojęcia, o czym on mówi. Liczby Fibonacciego? Była pewna, że jej dziadek miał jedynie zamiar wciągnąć w śledztwo Wydział Kryptografii. Czy mogłyby służyć jakiemuś innemu celowi?

Wsunęła rękę do kieszeni i wyciągnęła wydruk, a potem jeszcze raz przyjrzała się wiadomości pozostawionej przez dziadka.

13-3-2-21-1-1-8-5

Miano czorta li dolina na video.

Co z tymi liczbami?

– Ułożony losowo ciąg Fibonacciego jest wskazówką – powiedział Langdon, biorąc kartkę do ręki. – To sugestia, jak rozszyfrować resztę wiadomości. Zapisał ciąg liczbowy, nie trzymając się żadnego porządku, żeby nam powiedzieć, że to samo podejście trzeba zastosować do tekstu. *Miano czorta li dolina na video*. Te słowa nic nie znaczą. To po prostu litery wypisane w niewłaściwym porządku.

Sophie wystarczyła chwila, by przyswoić sobie rozumowanie Langdona i wszystko stało się śmiesznie proste.

– Sądzi pan, że ta wiadomość to... *une anagramme*? Jak litery, z których trzeba ułożyć słowa do krzyżówki?

Langdon widział sceptycyzm na twarzy Sophie i rozumiał jej wątpliwości. Mało kto wie, że anagramy, choć są współczesną rozrywką, mają bogatą historię symboliki sakralnej.

Mistyczne nauki kabały posługiwały się bardzo często anagramami – przestawiano litery ze słów hebrajskich, by uzyskać nowe znaczenia. Francuscy królowie epoki renesansu byli do tego stopnia przekonani, że w anagramach jest moc magiczna, że mianowali na swoim dworze królewskich anagramatyków, by wspomagać się przy podejmowaniu decyzji analizą słów w ważnych dokumentach. Rzymianie powiadali, że badanie anagramów to *ars magna* – „wielka sztuka”.

Langdon spojrział na Sophie, ona na niego i teraz ich oczy się spotkały.

– To, co miał na myśli pani dziadek, mieliśmy cały czas przed oczami, zostawił nam aż nadto wskazówek.

Bez słowa Langdon wyciągnął z kieszeni marynarki pióro i poprzestawiał litery w linijce.

Miano czorta li dolina na video.

I okazało się bezbłędnym anagramem słów:

To Leonardo da Vinci i Mona Liza.



## ROZDZIAŁ 21

*Mona Liza.*

Przez króciutką chwilę Sophie, stojąc na stopniu schodów przeciwpożarowych, zapomniała zupełnie o tym, że ma wraz z Langdonem wyjść z Luwru.

Jej szok mógł się równać tylko zawstydzeniu i zażenowaniu, że nie odszyfrowała wiadomości sama. Obszerna wiedza Sophie na temat skomplikowanej analizy szyfrów sprawiła, że pominęła proste gry słowne, a jednak wiedziała, że anagram powinna była zobaczyć. W końcu anagramy to dla niej nic nowego.

Kiedy była dziewczynką, dziadek często posługiwał się grami anagramowymi w ćwiczeniach ortograficznych. Kiedyś napisał angielskie słowo „planets” i powiedział Sophie, że przy użyciu tych liter można stworzyć aż dziewięćdziesiąt dwa słowa angielskie różnej długości. Sophie trzy dni nie rozstawała się ze słownikiem, aż w końcu wszystkie je znalazła.

– Nie potrafię sobie wyobrazić – powiedział Langdon, patrząc na wydruk – jak pani dziadek mógł stworzyć tak skomplikowany anagram kilka minut przed śmiercią.

Sophie знаła wyjaśnienie, a kiedy zdała sobie z tego sprawę, poczuła się jeszcze gorzej. Powinnam była to zobaczyć! Teraz przypominała sobie, jak dziadek – miłośnik gier słownych i sztuki – zabawiał się sam i towarzystwo jako młody człowiek, tworząc anagramy z nazw słynnych dzieł sztuki. Kiedyś nawet jeden z anagramów wpędził go w kłopoty. Udzielając wywiadu amerykańskiemu miesięcznikowi poświęconemu sztuce, dał wyraz swojej niechęci wobec modernistycznego ruchu kubistów, wzmiankując, że dzieło Picassa *Panny z Awinion* to idealny anagram *no i z pana winny*. Zwolennicy Picassa nie bardzo się ubawili.

– Dziadek prawdopodobnie stworzył anagram Mona Lizy bardzo dawno – powiedziała Sophie, spoglądając na Langdona. – A dzisiaj tylko się nim posłużył.

Głos dziadka wołał do niej skądś z daleka ze ściśle określonym zamiarem.

Leonardo da Vinci!

*Mona Liza!*

Dlaczego jego ostatnie słowa przeznaczone dla niej odnosiły się do słynnego obrazu? Sophie nie miała pojęcia, ale widziała tylko jedną możliwość. Bardzo niepokojącą.

To nie były jego ostatnie słowa...

Czy miała pójść i obejrzeć *Mona Lizę*? Czy dziadek zostawił jej tam wiadomość? Ta myśl wydawała się niepozabawiona podstaw. W końcu słynny obraz wisiał w Salle des Etats – małej salce, do której dostęp był tylko z Wielkiej Galerii. Sophie zdała sobie sprawę, że drzwi otwierające się na tę salkę mieściły się zaledwie dwadzieścia metrów od miejsca, gdzie znaleziono zwłoki dziadka.

Mógł dotrzeć do *Mona Lizy*, zanim umarł.

Sophie spojrzała znów w górę na schody przeciwpożarowe i poczuła się wewnętrznie rozdarta. Wiedziała, że powinna jak najszybciej wyprowadzić Langdona z Luwru, a jednak instynkt pchał ją ku czemuś zupełnie innemu. Sophie przypominała sobie swój pierwszy pobyt w Luwrze i w skrzydle Denona i rozumiała, że jeżeli dziadek miał jej przekazać jakąś tajemnicę, to nie mógł znaleźć lepszego pośrednika niż *Mona Liza* Leonarda da Vinci.

– Już niedaleko, tylko kilka kroków – szepnął dziadek, ściskając maleńką dłoń Sophie, kiedy prowadził ją przez puste już sale muzealne po zamknięciu Luwru.

Sophie miała sześć lat. Czuli się malutka i nic nieznacząca, kiedy patrzyła w górę na olbrzymie przestrzenie wysokich sufitów, w dół na podłogę, od której kręciło się jej w głowie, przerażało ją to puste muzeum, chociaż nie mówiła o tym dziadkowi. Zaciśnęła mocno usta i puściła jego rękę.

– Tędy, w tamtą stronę, Salle des Etats – powiedział dziadek, kiedy zbliżali się do najstynniejszej części Luwru. Dziadek był podekscytowany tą wizytą, ale Sophie chciała już iść do domu. Widziała zdjęcia *Mona Lizy* w książkach i wcale się jej nie podobała. Nie mogła zrozumieć, dlaczego wszyscy tak bardzo się nią zachwycają.

– *C'est ennuyeux* – narzekała Sophie.

– To nudne – poprawił ją po angielsku. – Francuski w szkole. Angielski w domu.

– *La Louvre, c'est pas chez moi* – upierała się.

Zaśmiał się, a w jego głosie słychać było zmęczenie.

– No cóż, porozmawiajmy po angielsku, może to cię rozbawi.

Sophie wyduła usta i szła dalej. Kiedy weszli do Salle des Etats, powiodła oczami po ścianach wąskiego pokoju i skierowała wzrok w najbardziej oczywiste honorowe miejsce – na ścianie po prawej stronie, w samym środku, za przezroczystą szybą ochronną z pleksiglasu, wisiał tylko jeden portret. Dziadek zatrzymał się w drzwiach do salki i wskazał dłonią obraz.

– Patrz, Sophie. Mało kto ma okazję być z nią sam na sam.

Tłumiąc strach, Sophie przeszła powoli przez małą salę. Wiele już słyszała o *Mona Lizie* i teraz czuła się tak, jakby podchodziła do jakiejś królowej. Stała przed szybą z pleksiglasu, wzięła oddech, wstrzymała go i spojrzała w górę, ogarniając wzrokiem cały obraz.

Nie była pewna, co miała czuć, ale na pewno nie to. Nie falę zdumienia. Nie zdziwienie, które przyszło wraz z pierwszym spojrzeniem. Słynna twarz wyglądała tak samo jak w książkach. Sophie stała przed płótnem w milczeniu przez całe wieki, czekając, żeby coś się wydarzyło.

– No i, co sądzisz? – szepnął jej do ucha dziadek, podchodząc z tyłu. – Piękna, prawda?

– Jest za mała.

Saunière uśmiechnął się.

– Ty też jesteś mała, a jesteś piękna.

Nie jestem piękna – pomyślała Sophie. Nie mogła patrzeć na swoje rude włosy i piegi i nie mogła znieść myśli, że jest większa od chłopców w klasie. Spojrzała raz jeszcze na *Mona Lizę* i potrząsnęła głową.

– Jest jeszcze gorsza niż w książkach. Jej twarz jest... *brumeux*.

Dziadek znów ją skorygował, przechodząc na angielski, a Sophie poddała się, wiedząc, że nie będą mogli dalej rozmawiać, dopóki nie nauce się, jak powiedzieć po angielsku, że twarz *Mona Lizy* jest zamglona.

– Ten styl malowania nazywa się *sfumato* – powiedział. – Bardzo trudno tak malować. Leonardo da Vinci był w tym najlepszy.

Ale Sophie obraz się nie podobał.

– Wygląda, jakby coś wiedziała... Jak dzieciaki w szkole, kiedy mają jakąś tajemnicę.

Dziadek zaśmiał się głośno.

– Trochę dlatego jest taka sławna. Ludzie lubią się domyślać, dlaczego się uśmiecha.

– A ty wiesz, dlaczego się uśmiecha?

– Może. – Dziadek puścił do niej oko. – Kiedyś ci o tym opowiem.

Sophie tupnęła nóżką.

– Mówiłam ci, że nie lubię sekretów i tajemnic.

– Księżniczko – uśmiechną się. – Życie jest pełne sekretów. Nie można wszystkiego wiedzieć od razu.

– Wracam na górę – oświadczyła Sophie zdecydowanie, stojąc wciąż na stopniu.

– Do *Mona Lizy*? – Langdon skulił się w sobie. – Teraz?

Sophie raz jeszcze rozważyła ryzyko.

– Ja nie jestem podejrzana o morderstwo. Zaryzykuję. Muszę zrozumieć, co dziadek chciał mi powiedzieć.

– A co z ambasadą?

Sophie czuła się winna, że zrobiła z Langdona uciekiniera, a teraz chce go opuścić, ale wiedziała, że nie ma wyboru. Wskazała dłonią drzwi i prowadzące do nich metalowe schody.

– Trzeba iść przez te drzwi, potem za podświetlonymi znakami do wyjścia. Dziadek kiedyś mnie tędy sprowadzał. Po znakach dojdzie się do wyjścia awaryjnego. Otwiera się tylko w jedną stronę – na zewnątrz. – Dała Langdonowi kluczyki do samochodu. – Mój samochód to czerwony smart car. Stoi na parkingu dla pracowników. Tuż za filarem. Wie pan, jak dojechać do ambasady?

Langdon kiwnął głową, wpatrując się w kluczyki.

– Proszę posłuchać – powiedziała Sophie teraz już cichszym i łagodniejszym głosem. – Sądzę, że dziadek mógł mi zostawić wiadomość gdzieś obok *Mona Lizy*, jakąś wskazówkę, kto go zabił. Albo dlaczego jestem w niebezpieczeństwie. Albo co się stało z moją rodziną. Muszę tam iść i sprawdzić.

– Jeżeli chciał powiedzieć, dlaczego jest pani w niebezpieczeństwie, mógł przecież napisać to na podłodze, tam gdzie umarł. Po co te skomplikowane kalambury?

– Myślę, że dziadek nie chciał, żeby ktokolwiek się dowiedział. Nawet policja.

Bezspornie, dziadek Sophie zrobił wszystko, co było w jego mocy, żeby tajna wiadomość dotarła wprost do niej. Zapisał ją za pomocą kodu, umieścił w niej tajne inicjały Sophie i kazał jej znaleźć Roberta Langdona. To było mądre posunięcie, zważywszy na to, że Amerykanin – specjalista od symboli – rozszyfrował jego kod.

– Może brzmi to dziwnie – powiedziała Sophie – ale uważam, że dziadek chce, żebym dotarła do *Mona Lizy*, zanim ktokolwiek inny tam dotrze.

– Ja też wracam.

– Nie! Nie wiemy, jak długo Wielka Galeria będzie pusta. Pan musi uciekać.

Langdon przez chwilę się wahał, jakby jego akademicka ciekawość walczyła o lepsze ze zdrowym rozsądkiem i pchała go z powrotem w łapy Fache'a.

– Proszę iść. Teraz. – Sophie uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. – Zobaczymy się w ambasadzie, panie Langdon.

Langdon wyglądał na rozczarowanego.

– Dobrze, ale pod jednym warunkiem – odparł poważnie.

Zatrzymała się w miejscu zdziwiona.

– Co to za warunek?

– Że przestaniesz do mnie mówić pan.

Sophie zobaczyła ślad uśmiechu na jego twarzy i poczuła, że sama się też uśmiecha.

– Powodzenia, Robercie.

Kiedy Langdon zszedł na dół, w jego nozdrza uderzył wyraźny zapach pokostu lnianego i pyłu gipsowego. Tuż przed nim oświetlony znak SORTIE/EXIT i strzałka wskazywały drogę wyjścia w kierunku długiego korytarza.

Langdon wszedł do holu.

Po prawej stronie otwierały się pogrążone w półcieniach pracownie konserwatorskie, z których wyglądały na niego grupy rzeźb w różnych stadiach renowacji. Po lewej zobaczył kilka pracowni malarskich, które przypominały mu wnętrza sal uniwersyteckich, gdzie uczono grafiki i malarstwa – szeregi palet, obrazy, sztalugi, narzędzia do produkcji ram do obrazów – linia produkcyjna sztuk graficznych.

Idąc wzdłuż korytarza, Langdon zastanawiał się, czy to sen i czy za chwilę obudzi się zdziwiony w swoim łóżku w Cambridge. Cały wieczór właściwie robił wrażenie dziwnego snu. Za chwilę wyjdę z Luwru na ulicę... jako uciekinier.

Sprytny anagram i wiadomość od Saunière'a wciąż kołatały mu się w głowie i Langdon zastanawiał się, co Sophie znajdzie przy *Mona Lizie*... Czy w ogóle coś znajdzie. Wydawała się taka pewna, że dziadek chciał, żeby podeszła do słynnego obrazu jeszcze raz. To była przekonująca interpretacja, ale Langdon nie mógł się pozbyć wrażenia, że wciąż go coś dręczy. Jakiś paradoks.

*PS. Znajdź Roberta Langdona.*

Saunière napisał nazwisko Langdona na podłodze, polecając Sophie, by go odnalazła. Ale dlaczego? Czy tylko po to, żeby pomógł jej rozszyfrować anagram?

To mało prawdopodobne.

Saunière nie miał żadnych podstaw przypuszczać, że Langdon był jakoś szczególnie biegły w anagramach. Przecież się nie znali. A co ważniejsze, Sophie powiedziała bez wahania, że to ona powinna była rozszyfrować ten anagram bez niczyjej pomocy. To Sophie zobaczyła ciąg Fibonacciego i niewątpliwie Sophie, gdyby dać jej trochę więcej czasu, rozszyfrowałaby wiadomość – bez pomocy Langdona.

Sophie miała złamać i rozszyfrować anagram bez niczyjej pomocy. Langdon coraz mocniej utwierdzał się w swoim mniemaniu, ale ta konkluzja otwierała ogromną lukę w rozumieniu logiki myślenia i działania Saunière'a.

Dlaczego ja? – zastanawiał się Langdon, idąc dalej korytarzem. Dlaczego ostatnim życzeniem Saunière'a było, żeby jego wnuczka, z którą nie widział się tyle lat, znalazła właśnie mnie? Cóż jest takiego, co ja wiem, a Saunière podejrzewał, że wiem?

Langdon zatrzymał się nagle w pół kroku. Z rozszerzonymi oczami macał ręką w kieszeni i w końcu wyrwał z niej wydruk komputerowy. Wpatrywał się w ostatnią linię wiadomości Saunière'a.

*PS. Znajdź Roberta Langdona.*

Zatrzymał wzrok na pierwszych dwóch literach.

*PS.*

W jednej chwili zadziwiająca mieszanka symbolów zaczęła nabierać sensu. Uderzyło to w niego jak piorun; wszystkie jego dokonania w dziedzinie symboliki i historii nagle wydały mu się niczym. To, co Jacques Saunière zrobił dziś wieczór, w jednej chwili stało się zupełnie jasne.

Myśli kłębiły mu się pod czaszką, kiedy próbował złożyć w całość następstwa tego odkrycia. Odwrócił się gwałtownie i spojrzał w tył, w kierunku, skąd przyszedł.

Mam czas?

Wiedział, że to nie gra roli.

Bez chwili wahania puścił się biegiem z powrotem w kierunku schodów.

## ROZDZIAŁ 22

Sylas, klęcząc w pierwszej ławce, udawał, że się modli, a tak naprawdę wodził oczami dookoła, próbując się zorientować w układzie architektonicznym świątyni. Saint-Sulpice, podobnie jak większość kościołów, zbudowano na planie olbrzymiego krzyża. Dłuższa, centralna część kościoła – nawa główna – prowadziła bezpośrednio do ołtarza i była przecięta w poprzek nawą poprzeczną, zwaną transeptem. Miejsce, gdzie krzyżowały się nawa i transept, znajdowało się wprost pod główną kopułą kościoła i uważano je za serce świątyni... Punkt najbardziej uświęcony i mistyczny, najważniejszy.

Nie dzisiaj – pomyślał Sylas. Saint-Sulpice kryje swoje sekrety gdzie indziej.

Obrócił głowę w prawo, spojrzął na południowe ramię transeptu, w kierunku otwartej przestrzeni podłogi – tam gdzie kończyły się ławki, w kierunku miejsca, które opisywały jego ofiary.

To tam.

Zatopiony w szarej granitowej podłodze, błyszczał pośród kamieni cienki, wypolerowany pasek mosiądzu... Złota linia przecinająca kościół w poprzek. Na linii zaznaczone były kreski, takie jak na linijce. Był to gnomon, jak powiedziano Syłasowi, przedchrześcijańskie urządzenie astronomiczne podobne do zegara słonecznego. Turyści, naukowcy i historycy z całego świata przyjeżdżali do Saint-Sulpice, żeby przyjrzeć się tej słynnej linii.

Linia róży.

Sylas powoli wiódł wzrokiem po ścieżce z mosiądzu, która prowadziła go przez całą przestrzeń posadzki od lewej strony do prawej, potem ugiwała się przed nim pod dziwnym kątem, niezgodnie z symetrią kościoła. Przecinając główny ołtarz, Syłasowi wydała się jak cięta rana pięknej twarzy. Mosiężny pasek dzielił na pół barierkę, do której wierni podchodzą podczas komunii, a potem szedł przez całą szerokość kościoła, w końcu docierając do narożnika w północnym ramieniu transeptu, do podnóża bryły najmniej oczekiwanej we wnętrzu kościoła.

Do kolosalnego egipskiego obelisku.

Tutaj błyszcząca linia róży załamywała się pod kątem dziewięćdziesięciu stopni i biegła dalej w górę, po fasadzie obelisku, wznosząc się dziesięć metrów wwyż, ku samemu szczytowi piramidy, i tam się kończyła.

Linia róży – pomyślał Sylab. Bractwo ukryło klucz sklepienia na linii róży.

Kiedy Sylas tego wieczoru powiedział Nauczycielowi, że klucz znajduje się w kościele Saint-Sulpice, Nauczyciel przyjął to z niedowierzaniem. Ale kiedy dodał, że wszyscy bracia opisali mu dokładnie to samo miejsce w kościele, odnosząc je do mosiężnej linii przebiegającej przez Saint-Sulpice, Nauczyciel zamilkł na chwilę ze zdziwienia, ponieważ nagle wszystko zrozumiał.

– Mówisz o linii róży!

Nauczyciel szybko opowiedział Syłasowi o dziwactwie architektonicznym kościoła – pasku z mosiądzu, który dzieli świątynię wzdłuż idealnie wyznaczonej osi północ-południe. Był to jakiś starożytny zegar słoneczny, pamiątka po pogańskiej świątyni, która kiedyś tu stała. Promienie słońca świeca przez oculus – małe okrągłe okno umieszczone w szczycie kopuły – codziennie przesuwają się trochę dalej po tej linii, odmierzając upływ czasu od przesilenia zimowego do przesilenia letniego.

Ten pasek, biegnący z północy na południe, zwany był linią róży. Od wieków symbol róży wiązał się z mapami, z prowadzeniem wędrowców we właściwym kierunku. Róża kompasowa – umieszczana dawniej prawie na wszystkich mapach – wskazuje północ, wschód, południe i zachód. Róża wiatrów oznaczająca kierunki trzydziestu dwóch wiatrów – ośmiu wiatrów głównych, ośmiu półwiatrów oraz szesnastu wiatrów ćwiartkowych. Kiedy się ją wpisze w okrąg, trzydzieści dwa punkty kompasu przypominają do złudzenia klasyczny trzydziestodwupłatkowy kwiat róży. Róża kompasowa po dziś dzień jest najważniejszym przyrządem nawigacyjnym – strzałka wskazująca w niej kierunek północny ma symboliczny kształt *fleur-de-lis*.

Na globusie linia róży – czyli południk, linia wyznaczająca długość geograficzną – oznacza każdą wyobrażoną linię przeprowadzoną między biegunem północnym i południowym. Istnieje rzecz jasna skończenie wiele linii róży, ponieważ każdy punkt na ziemskim globie ma swoją długość geograficzną, czyli linię przeprowadzoną przez ten punkt, łączącą biegun północny i południowy. Pierwsi nawigatorzy stanęli przed dylematem, którą z tych linii nazwać linią róży – gdzie jest długość geograficzna zero – czyli linia, od której będzie się odmierzało wszystkie inne długości geograficzne na ziemi?

Dzisiaj ta linia przechodzi przez Greenwich pod Londynem.

Ale nie zawsze tak było. Długo przedtem, nim ustalono, że pierwszy południk przejdzie przez Greenwich, linia wyznaczająca długość geograficzną zero na całym świecie przechodziła przez Paryż, właśnie przez kościół Saint-Sulpice. Mosiężna smużka w kościele Saint-Sulpice jest pamiątką po tym pierwszym południku świata i chociaż Greenwich odebrało Paryżowi ten honor w 1884 roku, pierwotna linia róży tu jest widoczna do dziś.

– Legenda mówi więc prawdę – zauważył Nauczyciel. – Według niej klucz sklepienia zakonu ma leżeć „pod znakiem róży”.

Teraz, wciąż klęcząc w ławce, Sylas rozglądał się ostrożnie po kościele i nasłuchiwał uważnie, żeby mieć pewność, że jest sam. Przez ułamek sekundy wydawało mu się, że słyszy jakiś szelest na balkonie chóru. Odwrócił się i patrzył w tym kierunku przez kilka sekund. Nic.

Nikogo nie ma.

Teraz wstał, spojrzął w kierunku ołtarza i przeżegnał się trzy razy znakiem krzyża, a potem odwrócił się w lewo i poszedł wzdłuż linii róży w kierunku obelisku.

W tej samej chwili na międzynarodowym lotnisku imienia Leonarda da Vinci w Rzymie uderzenie opon o płytę pasa startowego obudziło biskupa Aringarosę, który drzemał w fotelu.

Przysnąłem – pomyślał i sam się zdziwił, że jest na tyle spokojny, by móc zasnąć.

– *Benvenuto a Roma* – usłyszał przez interkom.

Aringarosa usiadł, poprawił czarną sutannę i pozwolił sobie na rzadki ostatnio uśmiech. Rad był z tej podróży. Zbyt długo wyczekiwałem na pozycjach obronnych. Ale reguły się zmieniły. Zaledwie pięć miesięcy temu Aringarosa bał się o przyszłość wiary. Teraz, jakby z woli Bożej, rozwiązanie przyszło samo.

Boska interwencja.

Jeżeli dzisiaj w nocy w Paryżu wszystko pójdzie zgodnie z planem, Aringarosa wkrótce będzie w posiadaniu czegoś, co uczyni go najpotężniejszym człowiekiem chrześcijaństwa.

## ROZDZIAŁ 23

Sophie bez tchu dobiegła do ogromnych drewnianych drzwi prowadzących do Salle des Etats – salki, w której mieściła się *Mona Liza*.

Zanim weszła, rzuciła odruchowe spojrzenie w głąb korytarza, gdzie dwadzieścia metrów dalej, w kręgu ostrego światła reflektora, leżało nieruchome ciało dziadka.

Poczuła wyrzuty sumienia – dojmujące i niespodziewane. Głęboki smutek splatający się z poczuciem winy. Przez te dziesięć lat tyle razy wyciągał do niej rękę, a ona trwała niewzruszona – nie otwierała przesyłek, udawała, że nie widzi jego wysiłków, że nie wie, jak bardzo chce się z nią spotkać. Kłamał! Miał przerażające tajemnice! Co miałam robić?

I tak wyrzuciła go z pamięci. Całkowicie i na zawsze.

Teraz dziadek nie żyje, przemawia do niej zza grobu.

*Mona Liza.*

Sięgnęła ku ogromnym drewnianym drzwiom i pchnęła je delikatnie. Wejście odsłoniło się jakby z ziewnięciem. Sophie stała chwilę w progu, wodząc wzrokiem po sporej prostokątnej sali. Tu też świeciły miękkie czerwone, pełgające światła. Sala zwana Salle des Etats była jednym z rzadkich w Muzeum Luwru *culs-de-sac* – ślepych uliczek, jedyną salą odchodzącą w bok od Wielkiej Galerii. Miała tylko jedne drzwi – wejściowe – a naprzeciw nich, dominując nad całą ścianą, wisiało pięciometrowe płótno Botticellego. Na środku stała olbrzymia ośmiorożna kanapa, na której można było usiąść i odpocząć, podziwiając najstynniejsze dzieła Muzeum Luwru.

Jeszcze zanim weszła, wiedziała, że czegoś jej brakuje. Czarnego światła – latarki z ultrafioletowym światłem. Spojrzała do pawilonu na ciało dziadka oświetlone jaskrawą lampą gdzieś w oddali, otoczone policyjną elektroniką. Jeżeli coś tam napisał, z pewnością posłużył się pisakiem.

Wzięła głęboki oddech i pobiegła w kierunku jasno oświetlonego miejsca zbrodni. Nie była w stanie patrzeć na dziadka. Skupiła się wyłącznie na sprzęcie. Znalazła małą latarkę ultrafioletową, wsunęła ją do kieszeni swetra i pospiesznie pobiegła z powrotem w kierunku otwartych drzwi do Salle des Etats.

Skręciła i przeszła przez próg. Wtedy usłyszała niespodziewany odgłos stłumionych kroków, ktoś szedł w jej kierunku z wnętrza sali. Ktoś tam jest! Jakaś zjawą wyłoniła się nagle z czerwonego światła. Sophie odskoczyła w tył.

– Tutaj jesteś! – usłyszała teatralny szept Langdona, a jego postać nagle zmaterializowała się tuż przed nią.

Ulżyło jej, ale nie na długo.

– Robercie, mówiłam, żebyś się stąd wynosił! Jeżeli Fache...

– Gdzie byłeś?

– Musiałam iść po latarkę ultrafioletową – szepnęła. – Jeżeli dziadek zostawił mi wiadomość...

– Sophie, posłuchaj, proszę. – Langdon wziął oddech, a jego błękitne oczy spoczęły na jej twarzy. – Litery P. S. Czy one znaczą dla ciebie coś jeszcze? Cokolwiek?

W obawie, że głosy mogą się odbijać echem od ścian pawilonu, Sophie pociągnęła go w głąb Salle des Etats i zamknęła cicho ogromne podwójne drzwi, odcinając ich od reszty Luwru.

– Mówiłam ci już, że te inicjały oznaczają Princesse Sophie.

– Wiem, ale czy kiedykolwiek gdzieś je widziałaś? Czy dziadek kiedykolwiek posłużył się tymi literami w jakiś inny sposób? Może widziałaś monogram, może w rogu papeterii albo na czymś, co nosił przy sobie.

To pytanie ją zaskoczyło. Skąd Robert mógłby o tym wiedzieć? Sophie rzeczywiście już kiedyś widziała inicjały P. S. Było to coś w rodzaju monogramu. Dzień przed swoimi dziewiętnymi urodzinami. W tajemnicy przed dziadkiem przeczesywała dom, szukając ukrytych prezentów urodzinowych. Nie potrafiła znieść, że ktoś ma przed nią jakieś tajemnice. Co mi dziadek w tym roku kupił? Szperała po szafach i szufladach. Kupił mi lalkę, o którą go prosiłam? Gdzie mógłby ją schować?

Nic nie znalazła w całym domu i zdobyła się na odwagę, żeby wśliznąć się do sypialni dziadka. Ten pokój był dla niej niedostępny, ale teraz dziadek był na dole i spał na kanapie. Popatrzę tylko raz!

Przeszła na paluszkach przez skrzypiącą drewnianą podłogę do jego szafy na ubrania, obejrzała półki na bieliznę. Nic. Potem spojrzała pod łóżko. Także nic. Przeszła do biurka i jedną po drugiej otwierała szuflady, a potem ostrożnie przeglądała ich zawartość. Coś tu musi dla mnie być! Doszła do dolnej szuflady, ale lalki ani śladu. Rozczarowana, otworzyła ostatnią szufladę i odsunęła na bok jakieś czarne ubranie, w którym nigdy dziadka nie widziała. Już miała zamknąć szufladę, kiedy kątem oka dostrzegła złoty błysk gdzieś w tyłu. To coś wyglądało jak zegarek kieszonkowy na łańcuszku, ale wiedziała, że dziadek takiego nie nosił. Serce jej zabiło, kiedy sobie zdała sprawę, co to może być.

Naszyjnik!

Sophie ostrożnie wyciągnęła łańcuszek z szuflady. Ku jej zdziwieniu, na końcu wisiał błyszczący złoty klucz. Ciężki i połyskujący. Patrzyła w niego jak zauroczona. Wyglądał, jak klucz, ale był zupełnie inny niż wszystkie klucze, które kiedykolwiek w życiu widziała. Klucze zazwyczaj były płaskie i miały postrzępione zęby, a ten miał trójkątny trzpień pokryty małymi otworkami. Duża złota główka miała kształt krzyża, ale nie normalnego krzyża. Ten krzyż miał ramiona równej długości, wyglądał jak znak plus. W środku krzyża widniał wygrawerowany dziwny symbol – dwie litery wplecione w jakiś kwiecisty wzór.

– P. S. – szepnęła, czytając złote litery. Co by to mogło być?

– Sophie? – W drzwiach stał dziadek.

Zaskoczona, drgnęła, a klucz z brzękiem upadł na podłogę. Stała ze spuszczoną głową, bojąc się spojrzeć dziadkowi w oczy.

– Ja... szukałam mojego prezentu urodzinowego – powiedziała, zdając sobie sprawę, że nadużyła jego zaufania.

Przez chwilę, która wydawała się wiecznością, dziadek stał w drzwiach, milcząc. W końcu westchnął ciężko.

– Podnieś ten klucz, Sophie.

Sophie pochyliła się i wzięła klucz do ręki.

Dziadek wszedł do sypialni.

– Sophie, musisz się nauczyć szanować prywatność innych. – Ukląkł obok niej i wziął klucz. – Ten klucz jest bardzo szczególny. Gdybyś go zgubiła...

Cichy głos dziadka sprawił, że poczuła się jeszcze gorzej.

– Przepraszam, dziadku. Naprawdę przepraszam. – Zamilkła. – Myślałam, że to jest naszyjnik na moje urodziny.

Patrzył na nią kilka sekund.

– Powiem to jeszcze raz, Sophie, ponieważ to ważne. Musisz się nauczyć szanować prywatność innych.

– Tak, *Grand-père*.

– Porozmawiamy jeszcze kiedyś o tym, innym razem. Teraz trzeba iść do ogrodu i powyrywać chwasty.

Sophie pospiesznie wybiegła z domu i zajęła się swoimi sprawami.

Następnego dnia rano nie dostała prezentu od dziadka. Nie spodziewała się po tym, co zrobiła. Ale dziadek przez cały dzień nawet nie złożył jej życzeń urodzinowych. Zasmucona, wpełzła wieczorem do łóżka. Kiedy już była pod kołdrą, znalazła pod poduszką jakąś kartkę. Na kartce była prosta zagadka. Zanim ją rozwiązała, już się uśmiechała. Wiem, co to jest! Dziadek już to raz zrobił, w zeszłym roku na Boże Narodzenie.

Poszukiwanie skarbu!

Mozoliła się chwilę nad zagadką, ale była pełna zapału i wreszcie ją rozwiązała. Rozwiązanie popchnęło ją do innej części domu, gdzie znalazła inną kartkę i kolejną zagadkę. Tę też rozwiązała i pobiegła po następną kartkę. Biegała jak szalona po domu tam i z powrotem od znaku do znaku, od wskazówki do wskazówki, aż znalazła w końcu taką, która skierowała ją z powrotem do jej własnej sypialni. Sophie pobiegła po schodach, wpadła do swojego pokoju i zatrzymała się w pół kroku. Na środku sypialni stał błyszczący czerwony rower z kolorową wstążeczką przywiązaną do kierownicy. Sophie wydała okrzyk radości.

– Wiem, że prosiłaś o lalkę – powiedział dziadek z uśmiechem. – Ale pomyślałem, że to ci się jeszcze bardziej spodoba.

Następnego dnia dziadek nauczył ją jeździć na rowerze, biegnąc obok niej po chodniku. Kiedy Sophie skręciła niefortunnie i wjechała w gęstą trawę, a potem straciła równowagę, oboje upadli, turlając się i śmiejąc.

– *Grand-père* – powiedziała Sophie, przytulając się do niego. – Naprawdę bardzo cię przepraszam za ten klucz.

– Wiem, kochanie. Już ci wybaczyłem. Nie mogę przecież cały czas gniewać się na ciebie. Dziadkowie i wnuczki zawsze przecież sobie wybaczą.

Sophie wiedziała, że nie powinna pytać, ale nie mogła się powstrzymać.

– A co on otwiera? Nigdy nie widziałam takiego klucza. Jest bardzo śliczny.

Dziadek przez dłuższą chwilę milczał, a Sophie wiedziała, że nie jest pewien, co odpowiedzieć. *Grand-père* nigdy nie kłamie.

– Otwiera skrzynię – powiedział w końcu. – W której chowam wiele tajemnic.

Sophie wykrzywiła usteczką.

– Nie znoszę tajemnic!

– Wiem, ale to są bardzo ważne tajemnice. Kiedyś nauczysz się je cenić tak samo, jak ja je cenię.

– Widziałam na kluczu litery i kwiatek.

– Tak, to moje ulubione kwiaty. *Fleur-de-lis*. Mamy je w ogrodzie. To te białe.

– Znam te kwiatki! Ja też najbardziej je lubię!

– W takim razie zawrzyjmy umowę. – Dziadek uniósł brwi, jak zawsze, kiedy miał przed nią postawić jakieś zadanie. – Jeżeli potrafisz dotrzymać mojej tajemnicy i nigdy więcej nie wspomnisz o tym ani mnie, ani nikomu innemu, obiecuję, że kiedyś dam ci ten klucz.

Sophie nie mogła uwierzyć własnym uszom.

– Naprawdę?

– Przrzekam. Kiedy nadejdzie czas, klucz będzie twój. Jest tam przecież wypisane twoje imię.

– Nie, nieprawda – skrzywiła się Sophie. – Tam jest napisane P. S. A ja się nie nazywam P. S.

Dziadek ściszył trochę głos i rozejrzał się dookoła tak, jakby chciał się upewnić, że nikt nie słucha.

– Dobrze, Sophie. Jeżeli już musisz wiedzieć, P. S. to tajny kod. To są twoje sekretne inicjały.

– To ja mam jakieś sekretne inicjały? – Otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

– Oczywiście. Wnuczki zawsze mają jakieś sekretne inicjały, które znają tylko ich dziadkowie.

– P. S.?

– *Princesse Sophie*. – Połaskotał ją.

Zachichotała.

– Wcale nie jestem żadną księżniczką!

– Dla mnie jesteś. – Mrugnął okiem.

Od tego dnia już nigdy, ani razu, nie wspomnieli o kluczu. A ona została *Princesse Sophie*.

Sophie stała w milczeniu we wnętrzu *Salle des Etats*, starając się przeczekać falę smutku.

– Te inicjały – szeptał Langdon, patrząc na nią dziwnie. – Widziałś je kiedyś?

Sophie słyszała cichy głos dziadka, dobiegający do niej z korytarzy muzealnych. Nigdy nie mów o tym kluczu, Sophie. Ani mnie, ani nikomu. Raz go już zawiodła, nie wybacząc mu. Zastanawiała się, czy ma teraz złamać słowo. *PS. Znajdź Roberta Langdona*. Dziadek chciał, żeby Langdon jej pomógł. Skinęła głową.

– Tak, raz widziałam inicjały P. S. Kiedy byłam mała.

– Gdzie?

Sophie zawała się.

– Na czymś, co było dla niego bardzo ważne.

Langdon spojrzał jej prosto w oczy.

– Sophie, to, co teraz powiesz, ma wielką wagę. Czy inicjałom towarzyszył jakiś symbol? *Fleur-de-lis*?

Sophie w zdumieniu cofnęła się o krok.

– Ale... skąd ty miałbyś o tym wiedzieć?!

Langdon wypuścił z płuc powietrze i jeszcze bardziej ściszył głos.

– Jestem prawie pewien, że twój dziadek był członkiem pewnego tajnego stowarzyszenia. Bardzo starego i bardzo głęboko zakompirowanego bractwa.

Sophie poczuła ściskanie w żołądku. Ona też była tego pewna. Przez dziesięć lat próbowała zapomnieć o incydencie, który potwierdził ten przerażający dla niej fakt. Była świadkiem czegoś, co było w ogóle nie do pomyślenia. Nie do wybaczenia.

– *Fleur-de-lis* – mówił Langdon – stylizowana lilia wraz z inicjałami P. S. to godło bractwa. Ich herb. Ich znak rozpoznawczy.

– A ty skąd o tym wiesz? – Sophie modliła się, żeby Langdon nie powiedział, że on też jest członkiem stowarzyszenia.

– Pisałem o nich – powiedział głosem drżącym z emocji. – Badanie symboli tajnych stowarzyszeń to moja specjalność naukowa. To stowarzyszenie nazywa się *Prieuré de Sion* – Zakon Syjonu. Mają główną siedzibę tutaj, we Francji, a ich członkami są bardzo wpływowi ludzie z różnych krajów Europy. Jest to jedno z najstarszych istniejących tajnych stowarzyszeń na świecie.

Sophie nigdy o nim nie słyszała.

Langdon mówił teraz urywanymi zdaniami, jakby strzelał krótkimi seriami z karabinu maszynowego.

– W szeregach członków zakonu byli wybitni ludzie kultury, tacy jak Botticelli, Isaac Newton, Victor Hugo. – Przerwał, lecz widać było, że wypełnia go akademicka pasja. – I oczywiście Leonardo da Vinci.

Sophie wpatrywała się w niego zdumiona.

– Leonardo da Vinci był członkiem tajnego stowarzyszenia?

– Tak. Przewodniczył zakonowi między rokiem tysiąc pięćset dziesiątym a tysiąc pięćset dziewiętnastym jako jego wielki mistrz. To może ułatwić zrozumienie pełnego emocji stosunku twojego dziadka do prac Leonarda. Łączą ich więzy braterstwa ponad wiekami historii. A wszystko to doskonale współgra z ich fascynacją ikonologią Wielkiej Bogini, pogaństwem, bóstwami żeńskimi i z niechęcią do Kościoła. Zakon ma w swojej historii dobrze udokumentowaną kartę szacunku dla sakralności kobiecej.

– Mówisz, że ta grupa wyznaje pogański kult Wielkiej Bogini?

– Nie tylko. Może ważniejsze jest to, że podobno zakon strzeże pewnej bardzo starej tajemnicy. Tajemnicy, która daje mu niewyobrażalną wręcz władzę.

Pomimo przekonania, dającego się zauważyć w słowach i oczach Langdona, Sophie zareagowała instynktownie gwałtowną niechęcią i niewiarą. Tajny kult pogański? Któremu przewodził Leonardo da Vinci? To brzmiało absurdalnie. Jeżeli jednak nawet odrzucić te rewelacje, to przecież jeszcze dziś kręci się jej w głowie na myśl o tym, co zdarzyło się pewnej nocy dziesięć lat temu, kiedy niefortunnie postanowiła zrobić dziadkowi niespodziankę i była świadkiem czegoś, czego do tej pory nie potrafi zaakceptować. Może potrafi sobie chociaż wyjaśnić?

– Tożsamość żyjących członków zakonu utrzymuje się w ścisłej tajemnicy – mówił dalej Langdon – ale P. S. i *fleur-de-lis*, które widziałś w dzieciństwie, stanowią dowód. Można je odnieść tylko do zakonu.

Sophie zdała sobie teraz sprawę, że Langdon wie znacznie więcej o jej dziadku, niż sobie wyobrażała. Amerykanin miał z pewnością dużo więcej do opowiedzenia, ale nie tu i nie teraz.

– Robercie, nie mogę sobie pozwolić na to, żeby cię złapali. Tyle spraw mamy jeszcze do omówienia. Musisz iść!

Langdon słyszał tylko łagodny pomruk jej głosu. Nie miał zamiaru nigdzie iść. Teraz znów był zagubiony, ale w innym miejscu. W miejscu, gdzie dawne tajemnice wydostają się na powierzchnię. W miejscu, gdzie zapomniane historie wylaniają się z cieni.

Powoli, jakby poruszał się pod wodą, Langdon odwrócił głowę i przez czerwoną poświatę spojrzął na *Mona Lizę*.

*Fleur-de-lis... Kwiat Lizy... Mona Liza.*

To wszystko było ze sobą splecione, jak frazy niemej symfonii, odbijające echem najgłębsze sekrety Zakonu Syjonu i Leonarda da Vinci.

Kilka kilometrów dalej, na brzegu Sekwany, za placem Inwalidów, zaskoczony kierowca osiemnastokątnej ciężarówki stał obok swojego tira, otoczony wianuszkami policjantów mierzących do niego z broni automatycznej. Nagle kapitan DCPJ wydał z siebie gardłowy ryk wściekłości i jednym ruchem ręki cisnął kostkę mydła w mętne nurty rzeki.

## ROZDZIAŁ 24

Sylas patrzył w górę, na egipski obelisk w kościele Saint-Sulpice, zdumiewając się masywnością tego bloku marmuru. Czuł przepelniającą go radość i podniecenie. Rozejrzył się jeszcze raz po kościele, aby się upewnić, że jest sam. Potem ukląkł przy podstawie piramidy, nie z czci, lecz z konieczności.

Klucz sklepienia jest ukryty pod linią róży.

U podstawy obelisku w Saint-Sulpice.

Wszyscy bracia zakonu byli zgodni.

Sylas, teraz na kolanach, sprawdzał dłońmi kamienną podłogę. Nie widział żadnych pęknięć ani oznaczeń, które mogłyby wskazywać na luźną lub ruszającą się kamienną płytę, więc zaczął cichutko stukać kostkami palców po podłodze. Podążając za mosiężną linią w kierunku obelisku, obstukiwał każdą płytę po drodze. W końcu jedna z nich odezwała się dziwnie pusto.

Pod podłogą jest skrytka!

Sylas uśmiechnął się do siebie. Jego ofiary mówiły prawdę.

Wstał i rozejrzył się po świątyni za czymś, co mogłoby posłużyć do rozbicia kamiennej płyty.

Wysoko nad głową Sylasa, na balkonie dla chóru, siostra Sandrine stłumiła westchnienie zdumienia. Jej najciemniejsze i najstraszniejsze lęki właśnie się potwierdziły. Jej gość nie był tym, za kogo się podawał. Tajemniczy mnich Opus Dei przyszedł do kościoła Saint-Sulpice w innym celu.

Po tajemnicę.

Ale nie tylko ty masz sekrety – pomyślała.

Siostra Sandrine Bieil była czymś więcej niż opiekunką kościoła. Była strażniczką. Dziś w nocy tryby starodawnego mechanizmu poszły w ruch. Przybycie tego nieznanego i to, że szukał czegoś u podstaw obelisku, było sygnałem od bractwa.

Było niemym wezwaniem i zdławionym okrzykiem smutku.



## ROZDZIAŁ 25

Ambasada amerykańska w Paryżu to zwarta budowla przy avenue Gabriel, na północ od Champs-Élysées. Otoczone murem budynki stojące na dwunastu tysiącach metrów kwadratowych uważane są za ziemię amerykańską, to znaczy, że wszyscy ci, którzy na niej staną, podlegają takim prawom i takiej ochronie, jakby byli na ziemi amerykańskiej.

Telefonistka, która miała tej nocy dyżur w centrali ambasady, czytała magazyn *Time*, kiedy lekturę przerwał jej dźwięk telefonu.

– Ambasada Stanów Zjednoczonych – powiedziała do słuchawki.

– Dobry wieczór. – Rozmówca mówił po angielsku z wyraźnym francuskim akcentem. – Potrzebuję pani pomocy. – Pomimo uprzejmych słów, jakimi się posługiwał, ton jego głosu był niechętny i oficjalny. – Powiedziano mi, że ma pani dla mnie wiadomość telefoniczną zarejestrowaną w waszym automatycznym systemie. Nazywam się Langdon. Niestety, zapomniałem swojego trzycyfrowego kodu dostępu. Byłbym bardzo wdzięczny, gdyby pani mogła mi pomóc.

Telefonistka milczała zakłopotana.

– Bardzo mi przykro, proszę pana. Pańska wiadomość musi być chyba stara. Ten system wycofano z użycia dwa lata temu ze względów bezpieczeństwa. Poza tym wszystkie kody dostępu są pięciocyfrowe. Kto panu powiedział, że ma pan tu jakąś wiadomość?

– Nie macie żadnego automatycznego systemu odsłuchiwania wiadomości telefonicznych?

– Nie, proszę pana. Wiadomość dla pana zapisano by odręcznie w naszym wydziale obsługi obywateli. Może pan powtórzyć swoje nazwisko?

Ale mężczyzna już odłożył słuchawkę.

Idąc brzegiem Sekwany, Bezu Fache czuł się, jakby mu ktoś przywalił czymś ciężkim w głowę. Był pewien, że Langdon wystukuje numer paryski, wprowadza trzycyfrowy kod, a potem słucha jakiejś wiadomości. Jeżeli jednak Langdon nie zadzwonił do ambasady, to do kogo, u diabła, zadzwonił?

Właśnie w tym momencie, spoglądając na swój telefon komórkowy, Fache zdał sobie sprawę, że wszystkie odpowiedzi ma jak na dłoni. Langdon dzwonił przecież z mojej komórki.

Fache wszedł do menu telefonu komórkowego, odnalazł listę ostatnio wybieranych numerów i zlokalizował rozmowę, którą odbył Langdon.

Numer paryski, a potem cyfrowy kod, 454.

Fache wybrał raz jeszcze ten numer telefonu i poczekał na dzwonek po drugiej stronie.

W końcu odezwał się głos kobiety.

– *Bonjour, vous êtes bien chez Sophie Neveu – oznajmiła taśma. – Je suis absente pour le moment, mais...*

Fache czuł, że krew gotuje mu się w żyłach, kiedy wystukiwał cyfry 4... 5... 4.

Mimo swojej monumentalnej reputacji *Mona Liza* mieści się w ramach o wymiarach siedemdziesiąt osiem na pięćdziesiąt cztery centymetry – jest nawet mniejsza niż plakaty z jej reprodukcją, które można kupić w sklepie z pamiątkami w Luwrze. Wisi na północno-zachodniej ścianie Salle des Etats za sześciocentymetrową szybą ochronną z pleksiglasu. Namalowana jest na desce z topolowego drewna, a jej eteryczność i mglistość spojrzenia przypisuje się mistrzostwu Leonarda da Vinci w stylu malowania zwanym *sfumato*, w którym to formy i kształty wydają się wnikać w siebie nawzajem.

Od czasu kiedy zamieszkała w Luwrze, *Mona Liza* lub inaczej *La Joconde*, jak nazywają ją Francuzi – była już dwa razy łupem złodziei, ostatnio w 1911 roku, kiedy znikła z tak zwanej *salle inpénétrable* Muzeum Luwru – Le Salon Carré. Paryżanie płakali na ulicach i pisali do gazet, błagając złodziei o zwrot obrazu. Dwa lata później *Mona Lizę* odkryto w schowku w skrzyni o podwójnym dnie w pewnym pokoju w hotelu we Florencji.

Langdon, wyjaśnwszy już Sophie, że nie ma zamiaru nigdzie iść, ruszył za nią przez Salle des Etats. *Mona Liza* była jeszcze dwadzieścia metrów przed nimi, kiedy Sophie włączyła ultrafioletową latarkę, a błękitny promień światła omiatał podłogę przed ich stopami. Wodziła promieniem latarki tam i z powrotem po całej podłodze, jak gdyby szukała miny, choć w istocie szukała śladów odbłaskowego atramentu.

Langdon, który szedł obok niej, już czuł, że krew mu szybciej krąży w żyłach. Cieszył się na bezpośrednie spotkanie z wielkim dziełem sztuki. Wysłał oczy, żeby coś zobaczyć za kokonem purpurowego światła emanującego z latarki w dłoni Sophie. Po lewej widział ośmiokątną kanapę, która wyloniła się jak ciemna wyspa na pustej przestrzeni oceanu parkietu.

Langdon widział już teraz panel ciemnej szyby na ścianie. Widział najcenniejszy i najbardziej podziwiany obraz świata wiszący za szkłem swojej celi.

Status *Mona Lizy* jako najśłynniejszego dzieła sztuki świata miał niewiele wspólnego z jej enigmatycznym uśmiechem. Ani też z tajemniczymi interpretacjami, które przydaje jej wielu historyków sztuki i wielbicieli konspiracji i spisków. Całkiem po prostu *Mona Liza* była słynna, ponieważ Leonardo da Vinci twierdził, że to jego największe dokonanie. Brał ze sobą obraz wszędzie tam, gdzie jechał w podróż, a gdy ktoś pytał dlaczego, odpowiadał, że trudno mu się rozstać z tą najbardziej wysublimowaną formą ekspresji kobiecego piękna.

Mimo to wielu historyków sztuki podejrzewało, że uwielbienie Leonarda dla *Mona Lizy* nie odnosi się do maestrii artysty. W rzeczy samej obraz był zadziwiająco zwyczajnym portretem namalowanym w stylu *sfumato*. Wielu twierdziło, że oddanie i cześć Leonarda dla tego dzieła bierze się z czegoś ukrytego znacznie głębiej – była to cześć dla przekazu wpisanego między warstwy farby. *Mona Liza* w gruncie rzeczy była jednym z najlepiej udokumentowanych dowcipów malarza na własny temat. Dobrze udokumentowany *collage* podwójnych znaczeń i aluzji, którymi malarz sam się bawił, odkryto i opisano w większości tomów historii sztuki, niemniej, co dziwne, publiczność wciąż uważała jej uśmiech za przejaw wielkiej tajemnicy.

Nie ma w tym żadnej tajemnicy – pomyślał Langdon, prac do przodu i patrząc, jak przed jego oczami zaczyna się wyłaniać słaby zarys obrazu. Nie ma w tym żadnej tajemnicy.

Langdon całkiem niedawno dzielił się sekretami *Mona Lizy* z dosyć nietypową grupą – z kryminalistami z Essex County. Seminarium więzienne było częścią programu uniwersyteckiego Harvardu, który wychodził poza mury uczelni i podejmował próby edukacyjne w środowisku więziennym – kultura dla skazańców, jak nazywali to koledzy Langdona z uczelni.

Stojąc przy rzutniku slajdów w przyciemnionej bibliotece zakładu karnego, Langdon dzielił się sekretem *Mona Lizy* z tymi więźniami, którym się chciało zjawić na zajęciach, którzy, jak się po chwili okazało, byli bardzo zaangażowani w to, co słyszą – nie przebiegający w słowach, ale inteligentni.

– Możecie zauważyć – mówił do nich Langdon, podchodząc do ekranu, na który rzucił zdjęcie *Mona Lizy* – że tło za jej twarzą jest nierówne. – Langdon wskazał te różnice, które było widać gołym okiem. – Malarz namalował linię horyzontu po lewej znacznie niżej niż po prawej.

– Coś mu się popieprzyło? – spytał jeden z więźniów.

Langdon się zaśmiał.

– Nie. Czasem mu się zdarzało robić takie rzeczy. To jest sztuczka Leonarda. Obniżając linię pejzażu po lewej stronie, sprawił, że *Mona Liza* wygląda na znacznie większą, kiedy patrzymy na nią z lewej strony, niż kiedy patrzymy z prawej. To taki mały żarcik artysty. Historycznie koncepcje mężczyzny i kobiety mają przypisane im strony – kobiety po lewej, mężczyźni po prawej. Ponieważ Leonardo był wielkim zwolennikiem zasad kobiecych, namalował *Mona Lizę* tak, by z lewej strony wyglądała bardziej majestatycznie niż z prawej.

– Słyszałem, że to był pedzio – powiedział niewysoki mężczyzna z kozią bródką.

Langdon zmrużył oczy.

– Historycy by tego tak może nie ujęli, ale owszem, był homoseksualistą.

– To właśnie dlatego interesował się babami?

– Tak naprawdę da Vinci starał się odnaleźć sposób, by wyrazić harmonię i równowagę pomiędzy tym, co męskie, i tym, co kobiece. Był przekonany, że oświecenie duszy ludzkiej jest niemożliwe, jeśli nie będzie w niej zarówno pierwiastka męskiego, jak i kobiecego.

– To znaczy, chodziło mu o laski z kutasami? – zawołał ktoś z tylnego rzędu.

Ta uwaga wzbudziła głośny śmiech wśród obecnych. Langdon zastanawiał się, czy nie skomentować etymologicznie słowa hermafrodyta i jego powiązań i z Hermesem, i Afrodytą, ale coś mu mówiło, że przed tą publicznością będzie to strata czasu.

– Panie Langdon – odezwał się jakiś umięśniony więzień. – Czy to prawda, że *Mona Liza* to portret samego malarza w babskich ciuszkach? Słyszałem, że tak właśnie jest.

– Całkiem możliwe – powiedział Langdon. – Leonardo da Vinci to urodzony żartowniś, a analiza komputerowa *Mona Lizy* i jego autoportretów potwierdza zadziwiającą zbieżność niektórych punktów na ich twarzach. Tak czy owak – ciągnął – jego *Mona Liza* nie jest ani mężczyzną, ani kobietą. Niesie subtelny przekaz androgeniczności. Jest połączeniem obu elementów.

– Czy aby na pewno nie mówi pan tym swoim uczonym harwardzkim językiem, że *Mona Liza* to po prostu szpetna laska?

Teraz Langdon też się zaśmiał.

– Może i racja. Ale tak naprawdę da Vinci zostawił na tym obrazie wyraźną wskazówkę, że postać jest androgeniczna. Czy ktoś z was kiedyś słyszał o egipskim bogu Amonie?

– No jasne! – powiedział mięśniak. – Bóg płodności męskiej!

Langdon był bezgranicznie zdumiony.

– Tak jest napisane na każdym pudełku kondomów Amon. – Umieśniony uśmiechnął się od ucha do ucha. – Tam jest narysowany facet z głową barana i napisane, że to egipski bóg płodności.

Langdon nie znał akurat tej nazwy firmowej, ale rad był, że producenci prezerwatyw wykazują znajomość rzeczy.

– Świetnie. Amona rzeczywiście przedstawia się jako człowieka z głową barana, a jego postać w potocznych wyobrażeniach stała się symbolem wybujałej seksualności.

– Bajerujesz pan!  
– To nie żaden bajer – powiedział Langdon. – A czy wiecie, jaki jest żeński odpowiednik boga Amona? Egipska bogini płodności?  
Po tym pytaniu zapanowała kilkusekundowa cisza.  
– To Izyda, inaczej Izis – powiedział Langdon, biorąc do ręki pisak. – Mamy tu zatem męskiego boga Amona. – Napisał jego imię. – A starożytny piktogram przedstawiający boga rodzaju żeńskiego, boginię Izis, nazywano kiedyś L'IZA.  
Langdon skończył pisać i odsunął się od projektora.

A M O N L ' I Z A

– Czy to wam coś przypomina? – zapytał.  
– Mona Liza... O, w mordę jeża – zdziwił się ktoś.  
Langdon skinął głową.  
– Tak więc, panowie, to nie wszystko, że twarz Mona Lizy ma cechy androgeniczne, jej imię jest anagramem boskiej jedności między tym, co męskie, i tym, co kobiece. I to właśnie, przyjaciele, jest tajemnicą Leonarda da Vinci, zawartą we wszechwiedzącym uśmiechu Mona Lizy.

– Dziadek tu był – powiedziała Sophie, przykłękając nagle zaledwie trzy metry od *Mona Lizy*. Oświetliła latarką ultrafioletową miejsce na parkiecie.

Początkowo Langdon nic nie zauważył. Potem, kiedy ukląkł przy niej, zobaczył maleńką kropelkę wyschniętego płynu, która świeciła w ciemności. Atrament?

Nagle przypomniał sobie, do czego tak naprawdę używano czarnego światła. Krew. Poczuł, że ostrzej widzi i lepiej słyszy. Sophie miała rację. Jacques Saunière rzeczywiście odwiedził *Mona Lizę*, zanim umarł.

– Nie przychodziłby tu bez powodu – szepnęła Sophie, wstając. – Wiem, że zostawił gdzieś dla mnie wiadomość. – Zrobiła szybko kilka kroków w kierunku *Mona Lizy* i oświetliła podłogę tuż przed obrazem. Przeczesała ultrafioletowym światłem pusty parkiet tam i z powrotem.

– Nic tu nie ma!

W tej samej chwili Langdon zobaczył słaby purpurowy odblask na szybie ochronnej przed *Mona Lizą*. Sięgnął dłonią w dół, ujął nadgarstek Sophie i powoli przesunął latarkę tak, żeby świeciła na obraz.

Oboje zamarli.

Na szybie lśniły purpurą cztery słowa napisane wprost na twarzy *Mona Lizy*.

## ROZDZIAŁ 27

Porucznik Collet siedzący przy biurku Saunière'a przycisnął do ucha słuchawkę telefonu, bo nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Czy na pewno dobrze rozumiał Fache'a?

– Kostka mydła? Ale skąd Langdon mógł wiedzieć, że ma pluskwę GPS w kieszeni?

– Sophie Neveu – odparł Fache. – Ona mu powiedziała.

– Co?! Dlaczego?

– To dobre pytanie. Właśnie wysłuchałem nagrania, które potwierdza, że to ona mu dała cynk.

Collet nie wiedział, co odpowiedzieć. Co ta Neveu sobie myśli? Fache miał dowody, Sophie włączyła się w operację specjalną DCPJ? Sophie Neveu nie tylko wyleją z pracy – pójdzie siedzieć.

– Ale panie kapitanie... W takim razie gdzie jest teraz Langdon?

– Słyszeliście jakiś alarm przeciwpożarowy?

– Nie, panie kapitanie.

– I nikt nie wychodził przez kratę z Wielkiej Galerii?

– Nie. Postawiliśmy tam strażnika ochrony Luwru. Zgodnie z pana rozkazem.

– Dobrze. W takim razie Langdon musi wciąż być gdzieś w Wielkiej Galerii.

– W środku? Ale co on tam robi?

– Czy ten strażnik jest uzbrojony?

– Tak jest, panie kapitanie. To jeden z szefów ochrony.

– Poślijcie go do środka – rozkazał Fache. – Może upłynąć kilka minut, zanim sprowadzę ludzi z powrotem do muzeum, a nie chcę, żeby Langdon wyrwał się stamtąd niespodziewanie. – Fache przerwał. – I powiedzcie temu strażnikowi, że agentka Neveu jest prawdopodobnie z Langdonem w środku.

– Myślałem, że Neveu już wyszła.

– Czy ktoś z was widział, jak wychodziła?

– Nie, panie kapitanie, ale...

– No więc nikt nie widział, jak wychodziła. Widziano ją tylko, jak wchodziła.

Collet był zdruzgotany brawurą Sophie Neveu. Ona wciąż jest w Luwrze?

– Niech się pan tym zajmie – rozkazał Fache. – Chcę, żeby Langdon i Neveu byli na muszce, kiedy się tam zjawią.

Kiedy ogromna ciężarówka odjechała, kapitan Fache zebrał swoich ludzi. Robert Langdon pokazał, jaka z niego chytra sztuka, a teraz, kiedy pomaga mu agentka Neveu, zapędzenie go do narożnika może być trudniejsze, niż się wydawało.

Fache postanowił nie ryzykować.

Obstawił pół na pół. Poleciał części swoich ludzi wrócić do Luwru, a pozostałych wysłał, żeby pilnowali jedyne miejsce w Paryżu, gdzie Robert Langdon może znaleźć bezpieczną przystań.

## ROZDZIAŁ 28

W głębi Salle des Etats Langdon przyglądał się w zdumieniu słowom jaśniejącym na powierzchni pleksiglasu. Wydawało się, że słowa te unoszą się w przestrzeni, rzucając postrzępione cienie na tajemniczy uśmiech *Mona Lizy*.

– Zakon Syjonu – szepnął Langdon. – To chyba dowodzi, że twój dziadek był w jego szeregach!

Sophie patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc.

– Wiesz co to znaczy?

– Widzę w tym nawiązanie do przekonań, które stanowią podstawę filozofii zakonu.

Sophie spojrzała zdumiona na płonąca czerwienią wiadomość wypisaną wprost na twarzy *Mona Lizy*.

SEN – ON ZADA KŁAM!

– Sophie – powiedział Langdon – tradycja zakonu, która każe oddawać cześć Wielkiej Bogini, wypływa z potrzeby zaprzeczenia oszustwu, które dokonano się u początków Kościoła rzymskiego, kiedy to zdewaluowano kobiecość, a wyniesiono na piedestał męskość.

Sophie milczała, wpatrując się w napis.

– Zakon uważa, że Konstantynowi i jego męskim następcom udało się nawrócić świat z pogańskiego matriarchatu na chrześcijański patriarchat dzięki kampanii propagandowej, która demonizowała sakralność kobiecą, i usuwała na zawsze Wielką Boginię ze współczesnych religii.

Sophie nie była przekonana.

– Dziadek przysłał mnie tu, żebym się tego dowiedziała. Na pewno chciał mi powiedzieć coś więcej.

Langdon rozumiał, o co jej chodzi. Sophie uważa, że to jest kolejny kod. Ale on jeszcze nie był pewien, czy w przekazie Saunière'a jest jakaś ukryta wiadomość, czy nie. Na razie jego umysł zmagał się z interpretacją tego, co było w nim czytelne, w nadziei, że to go poprowadzi dalej.

Nie sposób zaprzeczyć, że współczesny Kościół czyni wiele dobra dla skołatanego dzisiejszego świata, ale w historii Kościoła jest niejedna karta kłamstwa i przemocy. Krucjata „reedukacji” pogan i niszczenia kultu kobiecości trwała trzy wieki i posługiwała się zarówno metodami misyjnymi, jak i okrucieństwem.

Inkwizycja katolicka opublikowała księgę, którą bez wątpienia można by nazwać najkrwawszą publikacją w historii ludzkości – *Malleus maleficarum*, czyli *Młot na czarownice*, która ostrzegała świat przed „groźbą wolnomyślicielstwa kobiet” i pouczała księży, jak odnajdować takie kobiety, torturować je i eliminować. „Czarownicami” były dla Kościoła kobiety zajmujące się nauką, religią, mistycyzmem, Cyganki, kobiety kochające przyrodę, zielarki i wszelkie kategorie kobiet „podejrzane przynależne do świata natury”. Zabijano również położne za ich heretyckie praktyki wykorzystywania wiedzy medycznej, by zmniejszyć bóle rodzących – cierpienie, które w przekonaniu Kościoła jest stosowną karą Bożą za to, że Ewa zerwała jabłko w raju i dała początek grzechowi pierworodnemu. Podczas trzystu lat polowań na czarownice Kościół spalił na stosie porażającą liczbę pięciu milionów kobiet.

Propaganda i przelew krwi zrobiły swoje, czego widowym dowodem jest dzisiejszy świat.

Kobiety, które kiedyś czczono jako istotną połowę świata duchowego i objawionego, teraz nie mają wstępu do świątyń. Nie ma kobiet rabinów ani kobiet księży katolickich, ani kobiet mułłów islamu. Uświęcany niegdyś akt *hieros gamos* – naturalne cieleśne połączenie mężczyzny i kobiety, dzięki któremu każde z nich stawało się duchową pełnią – przekształcono w akt wstydlawy. Święci mężowie, którzy kiedyś odczuwali potrzebę jedności cieleśnej z ich kobiecymi odpowiednikami, zbliżającej ich do Boga, teraz obawiają się swoich naturalnych popędów seksualnych, uważając je za dzieło szatana, działającego ręką w rękę ze swoim najlepszym współnikiem... z kobietą.

Kościół zdołał nawet zdyskredytować lewą stronę jako kojarzoną z kobiecością. We Włoszech i we Francji słowa oznaczające „lewy” – *gauche* oraz *sinistra* – z czasem zyskały bardzo negatywne konotacje, podczas gdy „prawy” ma w podtekście prawość, zręczność i poprawność. Do dziś dnia ideologie radykalne uważa się za lewicowe, wszystko co nieracjonalne, nieusankcjonowane, dziwaczne, określa się jako lewe, a dla Włochów wszystko, co kojarzy się ze złem, jest *sinistro*.

Dni chwały Wielkiej Bogini są za nami. Wahadło pędzi w przeciwną stronę. Matka Ziemia stała się światem mężczyzny, a bogowie zniszczenia i wojny zbierają żniwo. Dwa tysiąclecia męskie ego szalało bez żadnej przeciwwagi pierwiastka kobiecego. Zakon Syjonu chce się przeciwstawić wyrugowaniu sakralności kobiecej ze współczesnego życia, w przekonaniu że skutkuje ono zjawiskiem, które amerykańscy Indianie Hopi nazywają *koyanisquatsi* – „życie pozbawione harmonii” – sytuacja nierównowagi, której wyrazem są wojny z nadmiaru testosteronu, rozrost społeczeństw mizoginicznych i rosnący brak szacunku dla Matki Ziemi.

– Robercie! – powiedziała Sophie teatralnym szeptem, który przywrócił go do rzeczywistości. – Ktoś tu idzie!

Usłyszał odgłos zbliżających się kroków z korytarza.

– Tutaj! – Sophie wyłączyła ultrafioletową latarkę i rozplynęła się w ciemności przed oczami Langdona.

Przez krótką chwilę nie widział nic. Dokąd?

Kiedy jego oczy przyzwyczyły się do ciemności, zobaczył sylwetkę Sophie biegnącą w kierunku środka sali i chowającą się za ośmiokątną kanapę. Już miał się zerwać i pobiec za nią, kiedy mocny męski głos zatrzymał go w miejscu.

– *Arrêtez!* – rozkazał mężczyzna stojący w drzwiach.

Pracownik ochrony Luwru wchodził teraz do Salle des Etats z pistoletem w dłoni, mierząc wprost w klatkę piersiową Langdona.

Langdon poczuł, że instynktownie podnosi ręce ku sufitowi.

– *Couchez-vous!* – zawołał strażnik. – Na ziemię!

Po paru sekundach Langdon leżał na podłodze twarzą do ziemi. Strażnik podbiegł do niego i stopą rozrzucił mu nogi na boki.

– *Mauvaise idée, Monsieur Langdon* – powiedział, przyciskając pistolet do pleców Langdona. – *Mauvaise idée.*

Leżąc na brzuchu, przyciśnięty do parkietu Muzeum Luwru, z rozpostartymi rękami i nogami, Langdon nie dostrzegał niczego zabawnego w swojej parodystycznej pozycji. Człowiek witruiński. Twarzą do ziemi.

## ROZDZIAŁ 29

W kościele Saint-Sulpice Sylas niósł ciężki żelazny świecznik wotywny z ołtarza do miejsca, gdzie stał obelisk. Świecznik posłużył jako łom. Spojrzał na płytę z szarego marmuru, pod którą prawdopodobnie krył się schowek, i zdał sobie sprawę, że nie zdoła go rozbić, nie robiąc hałasu.

Żelazo i marmur. Będzie pogłos. Odbije się od ścian i sklepień kościoła.

Czy zakonnica go usłyszy? Już powinna spać. Nawet gdyby, Sylas wolał nie ryzykować. Rozejrzał się w poszukiwaniu materiału, którym mógłby owinąć żelazny świecznik, i nic mu się nie rzuciło w oczy oprócz lnianego obrusa leżącego na ołtarzu; nie chciał go jednak wziąć, uważając to za świętokradztwo. Habit – pomyślał. Wiedząc, że jest sam w ogromnym kościele, Sylas rozwiązał sznur przytrzymujący szatę i ściągnął ją z ciała. Rozbierając się, czuł, jak surowa wełna ociera się o świeże rany na plecach.

Nagi, bo miał na sobie tylko przepaskę biodrową, owinął szatą jeden koniec żelaznego świecznika. Potem, mierząc w sam środek marmurowego panelu, uderzył z całej siły. Rozległ się głuchy odgłos. Marmur nie ustąpił. Znów uderzył. Kolejny głuchy odgłos i tym razem coś pękło. Po trzecim uderzeniu płyta była rozbita, a kawałki marmuru spadły na dół, do schowka pod podłogą.

Jest przegroda!

Sylas szybko wyciągnął fragmenty kamienia spod podłogi i spojrzał do schowka. Serce waliło mu jak młotem, kiedy przy nim klęczał. Nagim bladym ramieniem sięgnął w dół.

Najpierw niczego nie poczuł. Dolna część schowka była pusta, wyczuwał tylko gładką powierzchnię kamienia. Potem sięgnął głębiej, zanurzając pod linią róży prawie całe ramię, i na coś natrafił! Gruba kamienna tablica. Chwycił palcami jej krawędź, ścisnął i delikatnie wyciągnął na zewnątrz. Wstał i przyjrzał się dokładnie temu, co znalazł. Zdał sobie sprawę, że trzyma w rękach prymitywnie wyciosaną kamienną tablicę, na której ktoś wygrawerował jakieś słowa. Przez chwilę poczuł się jak współczesny Mojżesz.

Sylas zdumiał się, kiedy przeczytał słowa na tabliczce. Spodziewał się, że klucz sklepienia będzie mapą lub zbiorem skomplikowanych wskazówek, być może nawet zakodowanych, tymczasem na kamieniu znalazł tylko prostą inskrypcję.

Hiob 38,11.

Cytat z Biblii? Sylas wrósł w ziemię – to było tak diabelnie proste. Tajemnicę ukrycia tego, czego szukają, ma objawić cytat z Biblii? Zakon nie waha się przed niczym, żeby sztych z wiernych.

Księga Hioba. Rozdział trzydziesty ósmy, werset jedenasty.

Sylas nie przypominał sobie dokładnie, co mówi werset jedenasty, ponieważ nie znał tej części Biblii na pamięć, ale wiedział, że Księga Hioba opowiada historię o człowieku, którego wiara w Boga wytrzymała kolejne próby. Nie od rzeczy – pomyślał i czuł, że nie może się doczekać tego, co tam znajduje.

Obejrzał się przez ramię i spojrzał w dół, na podłogę, na błyszczącą linię róży. Nie mógł powstrzymać uśmiechu. Na końcu linii, pośrodku głównego ołtarza, na zdobionej złotem podstawie stała otwarta olbrzymia, oprawiona w skórę Biblia.

Na górze, na balkonie dla chóru, siostra Sandrine drżała na całym ciecie. Kilka chwil temu już miała wymknąć się stamtąd i wypełnić dane jej polecenie, kiedy stojący przy ołtarzu mężczyzna nagle zdjął habit. Kiedy zobaczyła jego ciało w kolorze alabastru, zdumiała się i przeraziła. Szerokie, blade jak marmur plecy były poprzecinane czerwonymi krwawymi pręgami. Nawet stąd widziała, że rany są świeże.

Ten człowiek został bezlitośnie wychłostany!

Zobaczyła również zakrwawione *cilice* wokół jego uda – rana, w którą wpijał się pasek z kolcami, krwawiła. Jakież to Bóg chciałby, żeby ludzkie ciało karać w ten sposób? Siostra Sandrine wiedziała, że rytuały Opus Dei miały w sobie coś, czego ona nigdy nie zrozumie. Ale teraz przecież nie o to chodziło. Opus Dei szuka klucza sklepienia. Skąd ten mnich o tym wie, tego siostra Sandrine nie potrafiła sobie wyobrazić, chociaż zdawała sobie sprawę, że nie ma czasu na myślenie.

Zakrwawiony mnich włożył w milczeniu habit, po czym, ściskając w rękach nagrodę, udał się do ołtarza, do Pisma Świętego.

Wstrzymując oddech, w ciszy, siostra Sandrine wyszła z balkonu i pobiegła korytarzem do swojego mieszkania. Osunąwszy się na kolana, sięgnęła pod drewniane łóżko i wyciągnęła zaklejoną kopertę, którą ukryła tam trzy lata temu.

Rozerwała papier i znalazła cztery paryskie numery telefonów.

Drżąc na całym ciecie, zaczęła dzwonić.

Na dole, w kościele, Sylas położył kamienną tabliczkę na ołtarzu i skierował niecierpliwie dłonie ku oprawnej w skórę Biblii. Mokrymi od potu palcami odwracał kartki. Przerzucając Stary Testament, odnalazł Księgę Hioba, a w niej rozdział trzydziesty ósmy. Kiedy przebiegał palcem po kolumnie tekstu, zastanawiał się, co mu będzie dane przeczytać.

Znalazł werset jedenasty i w milczeniu przeczytał tekst. Po chwili, zdezorientowany, przeczytał go jeszcze raz, czując, że coś się fatalnie nie udało. Werset brzmiał:

I RZEKŁEM: „AŻ DOTĄD, NIE DALEJ!  
TU ZAPORA DLA TWOICH NADĘTYCH FAL”.

Pracownik ochrony Luwru, Claude Grouard, aż się gotował z wściekłości, stojąc nad rozciągniętym na podłodze jeńcem tuż przed *Mona Lizą*. Ten skurwiel zabił Jacques'a Saunière'a. Saunière dla Grouarda i podległych mu pracowników ochrony był jak ojciec.

Grouard niczego nie pragnął bardziej, niż pociągnąć za spust i strzelić Robertowi Langdonowi w plecy. Jako jeden z dowódców ochrony, Grouard miał przy sobie naładowaną broń. Ale przecież zabicie Langdona byłoby dla niego aktem litości – oszczędziłoby mu cierpień, jakie czekają go z rąk Bezu Fache'a i francuskiego systemu penitencjarnego.

Grouard wyciągnął z pochewki na pasku swoją krótkofalówkę i próbował wezwać pomoc. Ale krótkofalówka milczała. Dodatkowy system zabezpieczeń elektronicznych w tym pomieszczeniu doprowadzał pracowników ochrony do szału, ponieważ nie mogli się ze sobą porozumieć. Muszę podejść do drzwi. Nie przestając mierzyć do Langdona, Grouard zaczął się powoli wycofywać w kierunku wyjścia. Kiedy zrobił trzeci krok do tyłu, kątem oka zobaczył coś, po czym stanął jak wryty.

Cóż to jest, do cholery?

Jakiś miraż materializował się w środku pomieszczenia. Jakaś sylwetka, która wyłaniała się nie wiadomo skąd. Ktoś tu jeszcze jest? Przez czerwono migoczącą ciemność przemieszczała się jakaś kobieta, szła szybkim krokiem w kierunku ściany po lewej stronie. Tuż przed nią purpurowy promień światła przeczesywał podłogę, przesuując się raz w tył, raz w przód, jakby szukała czegoś, posługując się kolorową latarką.

– *Qui est-là?* – zapytał Grouard, czując, jak adrenalina uderza mu do krwi po raz drugi w ciągu ostatnich trzydziestu sekund. Teraz już nie wie, do kogo mierzyć ani w jakim kierunku iść.

– PTS – odparła spokojnie kobieta, wciąż przesuując promieniem latarki po podłodze.

Police Technique et Scientifique. Grouard aż się spocił. Myślał, że wszyscy agenci już poszli. Rozpoznał teraz purpurowe światło ultrafioletowe, którym posługiwali się członkowie ekipy technicznej, ale nie mógł zrozumieć, dlaczego DCPJ szuka jakichś dowodów i śladów tutaj.

– *Votre nom!* – wrzasnęła, ponieważ instynkt podpowiadał mu, że coś tu jest nie w porządku. – *Répondez!*

– *C'est moi* – odpowiedział spokojny głos po francusku. – Sophie Neveu.

Gdzieś w zakamarkach pamięci Grouarda zapaliło się światełko i rozpoznał nazwisko. Sophie Neveu? Tak się chyba nazywała wnuczka Saunière'a? Przychodziła tu, kiedy była małą dziewczynką, wiele lat temu. To na pewno nie jest ona!

A nawet gdyby to była Sophie Neveu, to przecież nie ma powodu, żeby jej zaufać; Grouard słyszał pogłoski o bolesnym rozstaniu i sporze między Saunière'em i jego wnuczką.

– Pan mnie zna! – zawołała kobieta. – A Robert Langdon nie zabił mojego dziadka. Proszę mi wierzyć.

Grouard, stary wyga ochrony, nie miał zamiaru brać czegokolwiek na wiarę. Potrzebuję kogoś do pomocy! Znow spróbował posłuchać swojej krótkofalówki, ale raz jeszcze usłyszał tylko szum radiowy. Wyjście z sali było jakieś dwadzieścia metrów za nim i Grouard zaczął się powoli cofać w jego kierunku, postanowiwszy celować wciąż w człowieka na podłodze. Kiedy powoli szedł do tyłu, widział, że kobieta po drugiej stronie pomieszczenia powoli podnosi latarkę ultrafioletową i bada dokładnie obraz wiszący po przeciwnej stronie Salle des Etats, na wprost *Mona Lizy*.

Grouard wstrzymał oddech, zdając sobie sprawę, co to za obraz. Cóż, na Boga, ona robi?

Stojąca z drugiej strony pomieszczenia Sophie Neveu poczuła, że zimny pot wystąpił jej na czole. Langdon wciąż leżał rozplaszczony na podłodze. Jeszcze trochę, Robercie. Już niedługo. Wiedząc, że strażnik nie strzeli ani do niej, ani do niego, Sophie teraz skupiła całą uwagę na tym, co musiała zrobić natychmiast, badając cały obszar wokół jednego szczególnego dzieła sztuki – kolejnego obrazu Leonarda da Vinci. Ale latarka ultrafioletowa nie ujawniła niczego dziwnego. Ani na ścianach, ani na podłodze, ani nawet na samym płótnie.

Tu musi coś być!

Sophie czuła niezachwianą pewność, że właściwie odczytała intencje dziadka. O cóż innego mogłoby mu chodzić?

Dzieło mistrza, które badała, było płótnem o wysokości ponad metr pięćdziesiąt. Scena przedstawiała dziwnie upozowaną Marię siedzącą z Dzieciątkiem Jezus, Jana Chrzyciela i anioła Ariela na niebezpiecznej skale. Kiedy Sophie była małą dziewczynką i przychodziła tu do *Mona Lizy*, zawsze musiała też obejrzeć i ten obraz.

*Grand-père*, tutaj jestem! Ale jeszcze niczego nie widzę!

Gdzieś za nią, z tyłu, Sophie usłyszała, że strażnik próbuje raz jeszcze wezwać pomoc przez radio.

Myśl! Myśl!

Wyobraziła sobie wiadomość napisaną na szybie ochronnej osłaniającej *Mona Lizę*. *Sen – on zada kłam!* Obraz rozciągający się przed nią nie miał żadnej szyby ochronnej, na której można by cokolwiek napisać, a Sophie wiedziała, że dziadek nigdy nie zbecześciłby arcydzieła, pisząc na samym obrazie. Zamarła. Przynajmniej nie od frontu. Jej wzrok powędrował w górę po długich kablach, które zwisały z sufitu, podtrzymując płótno.

Czy to możliwe? Chwyliła rzeźbioną drewnianą ramę obrazu z lewej strony i pociągnęła ją do siebie. Płótno było spore, a drewniana poprzeczka usztywniająca z tyłu ramy naprężyła się, kiedy Sophie odciągała je od ściany. Wsunęła głowę i ramiona za obraz i podniosła latarkę ultrafioletową, żeby obejrzeć wszystko dokładnie.

Już po kilku sekundach zdała sobie sprawę, że instynkt źle jej podszeptował. Tył obrazu był gładki i pusty. Nie było tam żadnego napisu, tylko brzozy tylnej części starzejącego się płótna i...

Chwileczkę.

Wzrok Sophie skupił się na ledwo dostrzegalnym metalicznym przeblasku tuż obok dolnej krawędzi ramy obrazu. Między płótnem a ramą tkwił jakiś mały metalowy przedmiot, z którego zwisał błyszczący złoty łańcuszek.

Ku niepomiernemu zdziwieniu Sophie stwierdziła, że łańcuszek jest przytwierdzony do znanego jej złotego klucza. Szeroka rzeźbiona główka klucza miała kształt krzyża i wygrawerowany symbol, który widziała, mając dziewięć lat. *Fleur-de-lis* z literami P. S. Sophie wydało się, że duch dziadka szepcze jej coś do ucha. *Kiedy nadejdzie czas, klucz będzie twój*. Poczuła dławienie w gardle, gdy zdała sobie sprawę, że dziadek w chwili śmierci dotrzymał obietnicy. *Ten klucz otwiera skrzynię* – mówił znow jego głos – *w której chowam wiele tajemnic*.

Sophie zrozumiała w całej rozciągłości, że ten klucz stanowił uwieńczenie gier słownych dzisiejszej nocy. Dziadek miał go przy sobie, kiedy do niego strzelano. Nie chcąc, żeby wpadł w ręce policji, ukrył go za obrazem. Potem wykoncypował przemysłne poszukiwania skarbu, pragnąc się upewnić, że tylko Sophie go znajdzie.

– *Au secours!* – wrzeszczał tymczasem strażnik do mikrofonu krótkofalówki, która jednak milczała.

Sophie wyciągnęła klucz i wsunęła go głęboko do kieszeni wraz z latarką ultrafioletową. Wyjrzała zza ramy obrazu i zobaczyła, że strażnik wciąż desperacko próbuje kogoś wywołać. Przemieszczał się w kierunku wejścia, celując pistoletem wprost w Langdona.

– *Au secours!* – zawołał jeszcze raz, trzymając krótkofalówkę tuż przy ustach.

Nic tylko szum.

Nie może nadawać – zrozumiała Sophie, przypominając sobie, że turyści z telefonami komórkowymi często irytowali się w tej sali, gdy próbowali gdzieś zadzwonić, by się pochwalić, że właśnie oglądają *Mona Lisę*. Dodatkowe obwody elektroniczne w ścianach uniemożliwiały przekazywanie sygnałów radiowych i telefonicznych z tego pomieszczenia. Strażnik był coraz bliżej wyjścia i Sophie wiedziała, że teraz musi działać bez wahania.

Spojrzała w górę, na wielki obraz, za którym była częściowo ukryta. Leonardo da Vinci po raz drugi tego wieczoru przyjdzie jej w sukurs.

Jeszcze parę metrów – mówił sobie Grouard, trzymając broń w wyciągniętej ręce.

– *Arrêtez! Ou je la détruis!* – głos kobiety odbił się echem od ścian pomieszczenia.

Grouard spojrzał w jej stronę i zatrzymał się w pół kroku.

– *Mon Dieu, non!*

Przez czerwonałą poświatę zobaczył, że kobieta zdjęła obraz z zawieszenia i postawiła go na podłodze przed sobą. Płótno miało ponad metr pięćdziesiąt wysokości i prawie w całości zakrywało jej sylwetkę. Grouard najpierw zastanawiał się, dlaczego system alarmowy nie zadziałał po zdjęciu obrazu, ale przecież sensory w kablach, na których wisiały dzieła sztuki, jeszcze nie zostały dzisiaj zresetowane. Co ona robi?!

Kiedy to zrozumiał, krew odpłynęła mu z twarzy.

Płótno zaczęło się wyrzucać w samym środku, a delikatne kontury Marii, Dzieciątka Jezus i Jana Chrzciciela zaczęły się zniekształcać.

– *Non!* – Grouard nie mógł się poruszyć ze strachu, patrząc, jak bezcenne płótno naciąga się coraz bardziej. Kobieta wpychała kolano w sam środek obrazu! – *Non!*

Grouard odwrócił się i wymierzył broń prosto w nią, ale natychmiast zdał sobie sprawę, że to pusta groźba. Wprawdzie obraz to tylko płótno, ale absolutnie nieprzepuszczalne – kamizelka kuloodporna warta sześć milionów dolarów.

Przecież nie mogę strzelać do płótna Leonarda!

– Odłóż broń i radio – powiedziała kobieta spokojnie po francusku. – Albo przebiję to płótno kolaniem. Chyba wiesz, co powiedziałaby na to mój dziadek!

Grouard poczuł, że kręci mu się w głowie.

– Bardzo panią proszę... Nie. To jest *Madonna ze skał!* – Rzucił broń i uniósł ręce nad głowę.

– Dziękuję – powiedziała kobieta. – Teraz rób dokładnie to, co ci powiem, a wszystko będzie dobrze.

Kilka chwil później Langdon, czując, że serce wciąż mu wali jak młot, biegł tuż obok Sophie w dół po schodach przeciwpożarowych na parter. Od chwili gdy zostawili roztrzęsionego strażnika na podłodze Salle des Etats, żadne nie wypowiedziało ani słowa. Langdon ścisnął teraz mocno w dłoniach jego pistolet, ale nie mógł się doczekać, kiedy będzie mógł się pozbyć broni. Była ciężka i niebezpiecznie obca.

Zbiegając w dół po dwa stopnie naraz, Langdon zastanawiał się, czy Sophie ma pojęcie, jak cenne jest płótno, którego omal nie zniszczyła. Jej wybór dzieł sztuki dziwacznie współgrał z przygodami dzisiejszej nocy. Ten obraz, podobnie jak *Mona Lisa*, cieszył się szczególnym zainteresowaniem historyków sztuki z powodu ukrytej symboliki pogańskiej.

– Wybrałaś cennego zakładnika – powiedział, kiedy biegli w dół.

– *Madonna ze skał* – odparła. – Ale to nie ja go wybrałam, to dziadek. Zostawił mi mały prezencik za obrazem.

Langdon posłał jej zdziwione spojrzenie.

– Co!?! Ale skąd wiedziałaś, który to obraz? Dlaczego *Madonna ze skał*?

– *Sen – on zada kłam!* – uśmiechnęła się triumfalnie. – Jednego anagramu wprawdzie nie zdołałam odczytać, Robercie, ale z drugim poszło mi łatwiej.



## ROZDZIAŁ 31

– Oni nie żyją! – mówiła siostra Sandrine niemal bezgłośnie do telefonu w swoim mieszkanku w Saint-Sulpice. Zostawiła wiadomość na automatycznej sekretarce. – Proszę odebrać telefon! Oni wszyscy nie żyją!

Pierwsze telefony z listy numerów, które wykręciła, dały przerażające rezultaty – usłyszała rozhisteryzowaną wdowę, policjanta pracującego do późna na miejscu zbrodni i księdza pocieszającego rodzinę pogrążoną w bólu. Wszystkie te trzy kontakty były martwe. A teraz, kiedy wykręcała czwarty i ostatni numer, numer, który miała wykręcić tylko w razie, gdyby trzy pierwsze były nieosiągalne, dodzwoniła się do automatycznej sekretarki. Komunikat na sekretarce był bez imienia, proszono tylko rozmówcę o zostawienie wiadomości.

– Marmurowa płyta została rozbita! – mówiła błagalnym tonem do telefonu. – Pozostała trójka nie żyje.

Siostra Sandrine nie знаła tożsamości czterech mężczyzn, których ochraniała, te prywatne numery telefonów ukryte pod łóżkiem mogła wykręcić tylko pod jednym warunkiem.

*Jeżeli ktoś kiedyś rozbije marmurową płytę – mówił posłaniec bez twarzy – będzie to oznaczać, że któryś wyższy szczebel został wyłamany. Jeden z nas w obliczu śmierci musiał skłamać. Zadzwoń pod te numery telefonów. Ostrzeż innych. Nie zawieź nas.*

Był to cichy alarm. W pełni bezpieczny w swojej prostocie.

Plan ją zadziwił, kiedy po raz pierwszy o nim usłyszała. Jeżeli dojdzie do ujawnienia tożsamości jednego z braci, będzie on mógł skłamać, a to puści w ruch mechanizm ostrzegający pozostałych. Dziś jednak doszło chyba do ujawnienia niejednego nazwiska.

– Proszę podnieść słuchawkę – szeptała cała w strachu. – Gdzie jesteście?

– Niech siostra odłoży – powiedział niski głos od drzwi.

Odwróciła się przerażona i zobaczyła ogromnego mnicha.

Ścisnął w ręce ciężki żelazny świecznik. Drżąc, odłożyła słuchawkę.

– Oni nie żyją – powiedział mnich. – Wszyscy czterej. I zrobili ze mnie głupca. Powiedz, gdzie jest klucz sklepienia.

– Nie wiem! – powiedziała siostra Sandrine zgodnie z prawdą. – Tej tajemnicy strzegą inni. Inni, którzy już nie żyją.

Mężczyzna zrobił krok do przodu, trzymając oburącz żelazny świecznik.

– Jesteś siostrą w Chrystusie, a jednak służysz im?

– Jezus zostawił nam jedno prawdziwe przesłanie – powiedziała siostra Sandrine, podnosząc dumnie głowę. – A tego przesłania nie widzę w Opus Dei.

W oczach mnicha nagle wybuchła wściekłość. Zamachnął się i uderzył świecznikiem jak pałąk. Kiedy siostra Sandrine padała na podłogę, jej ostatnim uczuciem był wszechogarniający strach przed nieuchronną katastrofą.

Wszyscy czterej nie żyją.

Bezcenna prawda zaginęła na zawsze.

Dźwięk alarmu w zachodnim krańcu skrzydła Denona poderwał do góry gołębie w ogrodach Tuileries, kiedy Langdon i Sophie wypadli z budynku prosto w objęcia paryskiej nocy. Biegając przez plac do samochodu Sophie, Langdon usłyszał syreny policyjne wyjące gdzieś w oddali.

– To ten! – zawołała Sophie, wskazując na dwuosobowy samochodzik o ściętej masce, zaparkowany przed muzeum.

Ona chyba żartuje. Pojazd był najmniejszym samochodem, jaki Langdon widział w swoim życiu.

– Smart car – powiedziała. – Litr na sto.

Langdon ledwo zdążył wskoczyć na siedzenie pasażera, a Sophie już naciskała na gaz i małe smart car przeskoczył przez krawężnik na wstęgę białego żwiru oddzielającą pasy ruchu. Chwytał mocno dłońmi deskę rozdzielczą, kiedy samochód przemknął do następnego krawężnika i spadł wszystkimi czterema kołami na małe rondo Carrousel du Louvre.

Przez chwilę Sophie jakby się zastanawiała, czy nie pojechać skrótem na wprost przez środek ronda. A potem, nie zważając na nic, ruszyła przed siebie, staranować żywoplot i przeciąć krąg szkła w samym środku.

– Nie! – krzyknął Langdon, wiedząc, że żywoplot rosnący wokół Carrousel du Louvre jest tam po to, żeby ukryć niebezpieczną głębię w samym środku trawnika. *La pyramide inversée* – świetlik w dachu podziemi Luwru w kształcie odwróconej piramidy, który Langdon widział wcześniej ze środka pomieszczenia muzeum. Był dostatecznie duży, by połknąć w całości ich autko. Na szczęście Sophie postanowiła pojechać bardziej konwencjonalną drogą, pchnęła kierownicę ostro w prawo i objechała rondo dookoła, zgodnie z przepisami, aż do wyjazdu, potem skrzyła w lewo i włączyła się w pas ruchu prowadzący na północ, a po chwili już przyspieszała w kierunku rue de Rivoli.

Policyjne syreny wyjące na przemian raz wysoko, raz nisko było słychać gdzieś z tyłu coraz wyraźniej i Langdon we wstecznym lusterku widział teraz fioletowoczerwone koguty wozów patrolowych. Silnik ich autka zawył w proteście, kiedy Sophie przycisnęła pedał gazu, żeby jak najszybciej wyrwać się z okolicy Luwru. Pięćdziesiąt metrów przed nimi światła uliczne przy Rivoli właśnie się zmieniały i mieli czerwone. Sophie zakłępała pod nosem i nie zdjęła nogi z gazu. Langdon poczuł, że wszystkie mięśnie mu tężeją.

– Sophie!

Zwalniając tylko nieznacznie, kiedy dojeżdżali do skrzyżowania, Sophie mrugnęła długimi światłami i spojrzała szybko raz w lewo, raz w prawo, a potem wcisnęła pedał gazu do samej podłogi i wycięła ostry zakręt w lewo przez puste skrzyżowanie w kierunku Rivoli. Przez kolejne trzysta metrów znowu przyspieszała, a potem przykleiła się do prawego pasa szerokiego ronda. Już po chwili wyjeżdżali pełnym gazem po drugiej stronie ronda na szeroką kilkupasmową aleję Pól Elizejskich.

Jechali już prosto i Langdon odwrócił się w fotelu, wyciągając szyję, żeby wyjrzeć przez tylne okno na Luwr. Wyglądało na to, że policja ich nie ściga. Morze błękitnych światel gromadziło się tuż przy muzeum.

Czując, że serce mu się powoli uspokaja, Langdon odwrócił się znów do Sophie.

– To było dość interesujące.

Wydawało się, że Sophie go nie słyszy. Wzrok miała przykuty do jezdni, była skupiona na ciągnącym się daleko odcinku Pól Elizejskich, trzykilometrowej przestrzeni eleganckich sklepów i domów mody – z ich powodu Pola Elizejskie nazywano często Piątą Aleją Paryża. Ambasada była tylko o półtora kilometra stąd i Langdon rozsiadł się wygodnie w fotelu.

*Sen – on zada kłam!*

Sophie była naprawdę szybka. Langdon był pod wrażeniem.

*Madonna ze skał.*

Sophie powiedziała, że dziadek zostawił jej coś za obrazem. Ostatnią wiadomość? Langdon wciąż nie mógł wyjść z podziwu, że Saunière ukrył to, co miał do przekazania Sophie, tak błyskotliwie. *Madonna ze skał* to kolejne pasujące do całości ogniwo w łańcuchu połączonych ze sobą symboli, na które natykali się tej nocy. Wydawało się, że Saunière za każdym razem wyraźniej obwieszcza światu swoje uwielbienie dla ciemnej i przewrotnej strony Leonarda da Vinci.

*Madonnę ze skał* zamówiło u artysty stowarzyszenie zwane Bractwem Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny, a obraz miał zająć honorowe miejsce w tryptyku na ołtarzu w kościele bractwa pod wezwaniem świętego Franciszka w Mediolanie. Zakonnicy podali bardzo konkretne wymiary i pożądaną tematykę obrazu – Marię, Jana Chrzciciela, Ariela oraz Dzieciątka Jezus chroniących się w grotcie. Malarz wykonał zamówienie, ale gdy dostarczył pracę, Bractwo Niepokalanego Poczęcia przeraziło się. Obraz był pełen niepokojących szczegółów.

Płótno przedstawiało Marię w błękitnej szacie, siedzącą i otaczającą ramieniem niemowlę, prawdopodobnie Dzieciątka Jezus. Na wprost Marii siedzi Ariel, również z niemowlęciem, najprawdopodobniej Janem Chrzcicielem. Rzecz dziwna, odwrotnie niż zazwyczaj, nie Jezus błogosławi Jana, lecz mały Jan błogosławi Jezusa... A Jezus poddaje się jego woli! Co dziwniejsze – Maria wyciąga rękę na całą długość i trzyma dłoń nad głową małego Jana Chrzciciela w zdecydowanie groźnym geście – jej palce przypominają rozpostarte szpony orła, trzymające jakąś niewidzialną głowę. A w końcu najbardziej rzucający się w oczy i przerażający element – tuż pod wygiętymi palcami dłoni Marii Ariel swoją dłonią robi gest, jakby coś przecinał – jakby podcinał gardło niewidzialnej głowie tkwiącej w szponiastej dłoni Marii.

Studentów Langdona zawsze bawiło to, że Leonardo w końcu ugłaskał bractwo, malując drugą, ugrzeczniejszą wersję *Madonny ze skał*, na której wszystko było ułożone bardziej po bożemu. Ta druga wersja, również zatytułowana *Madonna ze skał*, zdobi teraz londyńskie Muzeum Narodowe; Langdonowi znacznie bardziej podobał się intrygujący oryginał z Luwru.

Kiedy Sophie znów nacisnęła na gaz i autko wystrzeliło przez Champs-Élysées, Langdon znów się odezwał:

– Co z tym obrazem? Co za nim było?

Nie spuszczała oczu z ulicy.

– Pokażę ci, kiedy już będziemy bezpieczni w ambasadzie.

– Pokażesz mi? – Langdon był zdziwiony. – Dziadek zostawił ci jakiś przedmiot?

Sophie skinęła głową.

– Tak, z wygrawerowanym znakiem lilii i literami P. S.

Langdon nie wierzył własnym uszom.

Uda nam się – pomyślała Sophie, kiedy skręcała ostro w prawo obok luksusowego Hôtel de Crillon w kierunku wysadzanej drzewami dzielnicy ambasad i konsulatów. Ambasada amerykańska była o kilometr stąd. Sophie w końcu poczuła, że może zacząć normalnie oddychać.

Przez cały czas, kiedy prowadziła samochód, jej myśli krążyły wokół klucza tkwiącego teraz w kieszeni; nawiedzały ją wspomnienia dnia, kiedy wiele lat temu zobaczyła go pierwszy raz, widziała oczami wyobraźni złotą główkę klucza w kształcie krzyża maltańskiego, jego trójkątny trzpień, wypustki, wygrawerowany znak lilii i litery P. S.

Chociaż przez te wszystkie lata Sophie właściwie w ogóle nie myślała o tym kluczu, to jej zawód i praca związana z wykrywaniem tajemnic i zbieraniem danych nauczyła ją sporo na temat różnych aspektów bezpieczeństwa, tak że teraz szczególnie sposób wykonania klucza nie był już tak tajemniczy. Zmienna matryca. Obróbka laserowa. Nie ma możliwości stworzenia drugiego takiego klucza. Tutaj nie było ząbków, które przesuwają zapadki, w tym kluczu skomplikowany zestaw wyżłobionych laserem dziurek był poddawany badaniu elektronicznego oka skanera.

Jeżeli oko stwierdzi, że sześciokątne otwory są właściwie rozmieszczone na trzpieniu, w odpowiednich względem siebie pozycjach i w prawidłowych odległościach, wtedy zamek się otworzy.

Sophie nawet nie próbowała sobie wyobrazić, co ten klucz mógł otwierać, ale czuła, że Robert mógłby jej to powiedzieć. W końcu to on opisał znak wygrawerowany na kluczu, nigdy w życiu nie widząc go na oczy. Krzyż maltański u góry klucza sugerował, że należy on do jakiejś organizacji chrześcijańskiej, choć Sophie nie widziała jeszcze kościoła, który posługiwałby się kluczem o niepodrabialnym wzorcu z obróbki laserowej.

Poza tym mój dziadek nie był wcale chrześcijaninem...

Sophie przekonała się o tym niezbitcie dziesięć lat temu. Wtedy, jak na ironię, zupełnie inny klucz – znacznie bardziej zwyczajny – odsłonił przed nią jego prawdziwe oblicze.

Było to ciepłe, przyjemne popołudnie. Sophie wylądowała na lotnisku de Gaulle'a w Paryżu i złapała taksówkę do domu. *Grand-père* będzie miał niespodziankę, kiedy mnie zobaczy – mówiła sobie w duchu.

Wróciła właśnie z uczelni w Wielkiej Brytanii na przerwę międzysemestralną kilka dni wcześniej, niż planowała, i nie mogła się doczekać, kiedy go zobaczy i opowie mu o nowych metodach kodowania, które poznawała w Oksfordzie.

Przyjechała do ich paryskiego mieszkania, tam jednak dziadka nie było. Była rozczarowana, ale wiedziała, że przez parę dni jeszcze jej się nie spodziewał, więc prawdopodobnie pracuje w Luwrze. To przecież sobotnie popołudnie – zdała sobie nagle sprawę. Rzadko pracował w weekendy. W weekendy przecież zazwyczaj...

Sophie uśmiechnęła się i pobiegła do garażu. Oczywiście, jego samochodu nie było. Był przecież weekend. Jacques Saunière nie znosił jazdy po ulicach miasta, a samochód miał tylko po to, żeby jeździć w jedno miejsce – do wakacyjnego *château* w Normandii, na północ od Paryża. Sophie, po tylu miesiącach pobytu w Anglii, w murach miasta, nie mogła się doczekać, kiedy odetchnie zdrowym powietrzem Normandii. Chciała zacząć wakacje już teraz, już dzisiaj.

Było jeszcze wcześniej, więc postanowiła pojechać natychmiast i zrobić mu niespodziankę. Pożyczyła samochód od koleżanki i ruszyła na północ, serpentynami przez opuszczone, oświetlone światłem księżycy wzgórze niedaleko Creully. Tuż po dziesiątej wieczór znalazła się na miejscu i skręciła w długi podjazd do domu dziadka. Droga dojazdowa miała ponad półtora kilometra; kiedy była w połowie, zobaczyła dom między drzewami – prawdziwe domiszcze, stary wiejski kamienny pałacyk otoczony drzewami, stojący na zboczu wzgórza.

Sophie spodziewała się, że dziadek już o tej porze będzie spał, i ucieszyła się, kiedy zobaczyła, że dom jest cały rozświetlony. Jej radość zmieniła się jednak w zdziwienie, kiedy przyjechała i okazało się, że na podjeździe parkuje pełno samochodów – mercedesów, BMW, audi i rolls-royce'ów.

Przyglądała się temu zgromadzeniu przez chwilę, a potem wybuchła szczerym śmiechem. Mój dziadek, słynny odludek! Jacques Saunière jak widać, znacznie mniej stronił od ludzi, niż dawał to po sobie poznać. Chyba dzisiaj, jeszcze pod nieobecność Sophie, wydawał jakieś przyjęcie, a sądząc po markach samochodów, zaprosił najbardziej wpływowych paryżan.

Ciesząc się na niespodziankę, jaką mu szykowała, pobiegła do frontowych drzwi. Okazało się jednak, że są zamknięte. Zapukała. Nikt nie odpowiedział. Zaskoczona i zdumiona obeszła dom wokół i spróbowała wejść tylnymi drzwiami. One też były zamknięte. Nikt się nie odzywał. Zbita z tropu, stała chwilę w ciszy i nasłuchiwała. Słyszała tylko, jak chłodny wiatr Normandii, wiejąc przez dolinę, szumi niskimi tonami wśród drzew.

Nie było słyhać muzyki ani żadnych głosów, w ogóle nic.

W ciszy pośród wysokich drzew Sophie pospiesznie podeszła do bocznej ściany domu i wdrapała się na stos drewna do kominka, a potem przylgnęła policzkiem do okna salonu. To, co zobaczyła, nie miało żadnego sensu. Nikogo tam nie było! Wyglądało na to, że całe pierwsze piętro jest puste. Gdzie są ci wszyscy ludzie?

Z bijącym sercem Sophie pobiegła do drewnutni i znalazła zapasowy klucz, który jej dziadek trzymał pod pojemnikiem na chrust i szczapy. Pobiegła do drzwi frontowych, otworzyła sobie i przekroczyła próg. Kiedy weszła do pustego holu, na tablicy kontrolnej systemu alarmowego zaczęło migać czerwone światełko – ostrzeżenie, że osoba, która weszła, ma tylko dziesięć sekund na wczytanie poprawnego kodu, zanim zawyją alarmy. Ma włączony alarm podczas przyjęcia?

Sophie szybko nacisnęła właściwe klawisze kodu i wyłączyła system. Weszła głębiej i okazało się, że cały dom jest pusty. Na górze też nie było nikogo. Zeszła znów do pokoju frontowego i stała przez chwilę w ciszy, zastanawiając się, co się mogło wydarzyć.

Właśnie wtedy do uszu Sophie dobiegł jakiś dźwięk. Przysłumione głosy. Wydało jej się, że dochodzą gdzieś spod jej stóp. Nie potrafiła sobie wyobrazić skąd. Uklękła i przyłożyła ucho do podłogi. Tak. Wyraźnie słyhać było dźwięk gdzieś z dołu. Odgłosy śpiewu czy modlitwy...

Była przerażona. Dotąd nie wiedziała, że w tym domu jest piwnica – i to przeraziło ją najbardziej.

Odwróciła się i powiodła oczami po ścianach pokoju frontowego. Jej oczy spoczęły na jedynym przedmiocie, który wydawał się teraz nie na swoim miejscu – ulubiony antyk dziadka, olbrzymi arras z miasta Aubusson, zwykle wisiał na wschodniej ścianie, tuż obok kominka, ale dziś ktoś go przesunął w bok na mosiężnej listwie, na której wisiał, odsłaniając pustą przestrzeń ściany. Podeszła bliżej i wydało jej się, że zaśpiew staje się głośniejszy. Z wahaniem przyłożyła ucho do drewnianej płyty. Głosy były teraz wyraźniejsze. Tak, to na pewno śpiew – słów nie dało się rozróżnić.

Przestrzeń za tą ścianą jest pusta!

Przebiegła palcami po brzegu płyty i znalazła wgłębienie, akurat na palec. Było dyskretnie wyłobione. Drzwi przesuwne. Z bijącym sercem włożyła palec w puste miejsce i pociągnęła. Bezgłośnie, z precyzją dobrze naoliwionego mechanizmu, ciężka ściana przesunęła się na bok. Gdzieś z ciemności zabrzmiało echo głosów.

Sophie przeszła przez ukryte drzwi i znalazła się na grubo ciosanych kręconych kamiennych schodach, wiodących w dół. Przyjeżdżała do tego domu od dziecka i nie miała zielonego pojęcia, że takie wejście w ogóle istnieje!

Schodząc, poczuła, że robi się coraz chłodniej. Głosy były wyraźniejsze. Męskie i kobiece. Jej pole widzenia było ograniczone do spirali schodów, ale kiedy zrobiła następny krok, otworzyła się przed nią szersza przestrzeń. Zobaczyła kawałek piwnicznej podłogi – kamiennej, oświetlonej pełgającym pomarańczowym blaskiem żywego ognia.

Wstrzymując oddech, ostrożnie zrobiła jeszcze parę kroków, a potem przykucnęła, żeby popatrzeć. Dopiero po kilku sekundach dotarł do niej obraz.

Pomieszczenie było jak grotę – piwnica o surowych ścianach, chyba wykutych w granicie wzgórze, na którym stał dom. Jedyne światło pochodziło z łuczów płonących na ścianach. W blasku płomieni zobaczyła około trzydziestu osób stojących w kręgu w samym środku pomieszczenia.

Ja chyba śnię – powiedziała sobie Sophie. Na pewno. Bo cóż innego mogłoby to być?

Wszyscy obecni w pomieszczeniu mieli na sobie maski. Kobiety były w białych, zwiewnych szatach i złotych butach. Miały maski białe, a w dłoniach trzymały złote kule. Mężczyźni byli ubrani w luźne czarne tuniki i maski mieli czarne. Wyglądali jak ogromne figury szachowe. Wszyscy stojący w kręgu kiwali się rytmicznie w tył i w przód i śpiewali jakby w hołdzie czemuś, co mieli przed sobą na podłodze. Sophie nie mogła dostrzec, co to było.

Zaśpiew miał teraz równiejsze tempo. Potem przyspieszył. Potem zabrzmiał jak grzmot pioruna. Coraz szybciej. Uczestnicy ceremonii zrobili krok w przód i uklękli. I w tej chwili Sophie udało się zobaczyć, co mieli przed sobą. Mimo że, przerażona, cofnęła się natychmiast, poczuła, że ten obraz zapisuje się w jej pamięci na zawsze.

Czując ogarniającą ją falę mdłości, Sophie odwróciła się i trzymając się kamiennej ściany, żeby nie upaść, wspięła z powrotem po schodach. Zamknęła drewniane drzwi w ścianie, potem uciekła z opuszczonego domu i przerażona, zapłakana dojechała jakoś do Paryża.

Tej nocy, kiedy jej życie legło w gruzach pod ciężarem rozczarowania i zdrady, spakowała rzeczy i wyprowadziła się. Na stole w jadalni zostawiła informację:

BYŁAM TAM. NIE PRÓBUJ MNIE SZUKAĆ.

Przy kartce papieru położyła stary zapasowy klucz od domu w Normandii, przechowywany w drewni.

– Sophie! – Głos Langdona przywołał ją do rzeczywistości. – Zatrzymaj się! Stań!

Sophie otrząsnęła się ze wspomnień i natychmiast nacisnęła mocno na hamulec, zatrzymując się z piskiem opon.

– Co takiego? Co się stało?

Langdon pokazał palcem na ciągnącą się przed nimi długą ulicę.

Kiedy Sophie zobaczyła to, co on widział, poczuła nagły chłód. Około stu metrów przed nimi skrzyżowanie blokowało kilka samochodów policyjnych DCPJ, zaparkowanych na ukos – intencje były jasne. Odcięli avenue Gabriel!

Langdon westchnął ponuro.

– Rozumiem, że do ambasady dzisiaj wieczorem nie mamy wstępu?

Dwaj policjanci DCPJ, którzy stali obok samochodów, patrzyli teraz w ich kierunku i na pewno byli ciekawi, dlaczego światła samochodu, które widzieli przed chwilą, nagle zatrzymały się w miejscu.

Dobrze, Sophie, zawróć, bardzo powoli.

Wrzuciła wsteczny bieg, trzema spokojnymi ruchami odwróciła samochód i po tym manewrze pojechała w drugą stronę. Gdy odjeżdżali, usłyszeli za sobą pisk opon. Potem dźwięk policyjnych syren. Klnąc pod nosem, Sophie przycisnęła pedał gazu.

Smart car Sophie rwał przez dzielnicę dyplomatyczną, pruł między ambasadami i konsulatami, a w końcu wypadł z bocznej uliczki, skręcił w prawo i włączył się w gęsty ruch na Champs-Élysées.

Langdon siedział na miejscu pasażera, zaciskając dłonie w pięści, aż kostki mu zbieleły – wykręcony do tyłu, wpatrując się w tylną szybę, żeby się przekonać, czy wozy policyjne siedzą im na ogonie. Nagle zaczął żałować, że zdecydował się na ucieczkę. To przecież nie on się zdecydował, przypomniał sobie. Sophie podjęła za niego decyzję, kiedy wyrzuciła pluskwę GPS z okna toalety w Luwrze. Teraz, kiedy uciekali spod ambasady, klucząc w ruchu ulicznym między samochodami na Polach Elizejskich, Langdon widział przed sobą coraz mniej możliwości. Chociaż wydawało się, że Sophie zgubiła policję, przynajmniej w tej chwili, wątpił, czy jeszcze długo szczęście będzie im sprzyjać.

Siedząca za kierownicą Sophie szukała czegoś jedną ręką w kieszeni swetra. Wyciągnęła maleńki metalowy przedmiot i podała go Robertowi.

– Przyjrzyj się temu, Robercie. To zostawił mi dziadek za *Madonną ze skał*.

Langdon, czując dreszcz emocji, wziął w rękę przedmiot i zaczął mu się uważnie przyglądać. Był dość ciężki i miał kształt krzyża. W pierwszej chwili wydało mu się, że trzyma w ręku pogrzebowe *pieu* – miniaturową wersję ozdoby nagrobnej, którą umieszcza się w ziemi przy grobie, aby oddać pokłód zmarłemu. Spozstrzegł jednak, że trzpień wychodzący z krzyża maltańskiego ma kształt graniastosłupa trójkątnego. Jego powierzchnia jest pokryta miniaturowymi sześciokątnymi wgłębieniami, które wyglądały na precyzyjnie wyżłobione, lecz przypadkowo rozsiane po powierzchni trzpienia.

– To klucz obrabiany laserowo – powiedziała mu Sophie. – Ten wzorec odczytuje skaner.

– Klucz? – Langdon nigdy nie widział niczego takiego.

– Popatrz na drugą stronę – powiedziała, zmieniając pas ruchu i prześlizgując się przez skrzyżowanie.

Kiedy Langdon obrócił klucz, otworzył usta ze zdumienia. Na drugiej stronie delikatnie wygrawerowany na samym środku krzyża widniał *fleur-de-lis* z literami P. S.

– Sophie – powiedział – to jest właśnie znak, o którym ci mówiłem! Oficjalny znak Zakonu Syjonu.

Skinęła głową.

– Mówiłam ci, że widziałam ten klucz bardzo dawno temu. Dziadek przykazał mi nigdy więcej o nim nie wspominać.

Wzrok Langdona wciąż spoczywał na grawerowanym kluczu. Najnowocześniejsza technologia laserowa, której użyto do jego wykonania, i starożytna symbolika stanowiły niezwykle połączenie dawnych i nowych światów.

– Dziadek mówił, że klucz otwiera skrzynię, w której chowa swoje tajemnice.

Langdon poczuł dreszcz na plecach, kiedy sobie wyobraził, jakie to sekrety mógł trzymać pod kluczem Jacques Saunière. Co istniejące kilkaset lat bractwo zamykało tym ultranowoczesnym kluczem, tego nie wiedział. Zakon istniał z jednego jedyne powodu – aby chronić pewną tajemnicę. Tajemnicę, która miała niezwykłą moc. Czy ten niewielki klucz może mieć jakiś związek z tą tajemnicą? Ta myśl nie dawała mu spokoju.

– Wiesz, co się nim otwiera?

Sophie wyglądała na rozczarowaną.

– Miałam nadzieję, że ty to wiesz.

Langdon w milczeniu obracał krzyżyk w rękę i przyglądał mu się z bliska.

– Wygląda na chrześcijański? – spytała Sophie.

Langdon nie był pewien. Główka klucza miała kształt tradycyjnego chrześcijańskiego krzyża o dłuższym pionowym drzewcu, lecz krzyża w planie kwadratu – o wszystkich ramionach tej samej długości – który datował się na dobre tysiąc pięćset lat przed Chrystusem. Taki krzyż nie miał żadnych związków z chrześcijańskim ukrzyżowaniem, które ma dłuższy krzyż łaciński, wymyślony przez Rzymian jako narzędzie tortur. Langdona zawsze dziwiło, że tak niewielu chrześcijan, patrząc na krucyfik, zdaje sobie sprawę, że symbol ich religii jest jednocześnie symbolem historii pełnej przemocy, którą odzwierciedla jego nazwa, bowiem i krzyż, i krucyfik pochodzą od łacińskiego czasownika *cruciare* – torturować.

– Sophie – odezwał się. – Mogę ci tylko powiedzieć, że krzyże takie jak ten, których ramiona mają tę samą długość, uważa się za krzyże pokoju. Ich budowa w planie kwadratu sprawia, że nie nadają się do ukrzyżowania, a równowaga między elementem pionowym a poziomym przekazuje informację o naturalnej jedności pierwiastka męskiego i kobiecego, co w zakresie symboliki jest zgodne z filozofią zakonu.

Spojrzała na niego zmęczonym wzrokiem.

– Nie masz pojęcia, o co tu chodzi, prawda?

Langdon zmarszczył czoło.

– Najmniejszego.

– Trudno. Musimy zjechać z drogi. – Sophie spojrzała w lusterko wsteczne. – Powinniśmy znaleźć jakieś bezpieczne miejsce i wykonypować, co ten klucz otwiera.

Langdon pomyślał z tęsknotą o swoim wygodnym pokoju w hotelu Ritz. To oczywiście nie wchodziło w rachubę.

– A może moi gospodarze na uniwersytecie?

– To zbyt oczywiste. Fache ich na pewno sprawdzi.

– Ty chyba kogoś znasz. Przecież tu mieszkasz.

– Fache przejrzy moje spisy telefonów, sprawdzi pocztę w komputerze i porozmawia z moimi współpracownikami. Wszystkie kontakty są spalone, a hotel nie wchodzi w grę, ponieważ tam żądają dokumentów.

Langdon znów zaczął się zastanawiać, czy nie byłoby dla niego lepiej, gdyby Fache aresztował go od razu w Luwrze.

– Zadzwoń do ambasady i wyjaśnię sytuację, a potem poproszę, żeby ktoś przyjechał i gdzie się z nami spotkał.

– Przyjechał i spotkał się? – Sophie odwróciła się i patrzyła na Langdona, jakby oszalała. – Robercie, ty chyba śnisz. Jurysdykcja waszej ambasady nie rozciąga się nawet na centymetr poza jej mury. Gdyby wysłali kogoś, żeby się z nami spotkał, francuski rząd uznałby takie działanie za pomoc poszukiwanym przestępcom. O tym zapomnij. Wejść do ambasady i poprosić o chwilowy azyl to zupełnie co innego niż poprosić pracowników ambasady, żeby wystąpili przeciwko policji francuskiej w terenie! – Pokręciła głową. – Zadzwoń teraz do ambasady, to ci powiedzą, że aby uniknąć dalszych kłopotów, masz się oddać w ręce Fache’a. Potem przyrzekną ci, że zaczną działać kanałami dyplomatycznymi i będziesz miał uczciwy proces. – Spojrzała na rząd eleganckich sklepów przy Champs-Élysées. – Ile masz przy sobie gotówki?

Langdon sprawdził w portfelu.

– Sto dolarów. Kilka euro. Dlaczego?

– Masz karty kredytowe?

– Oczywiście.

Kiedy Sophie znów nacisnęła na pedał gazu, Langdon miał wrażenie, że obmyśla jakiś plan. Przed nimi, na końcu Champs-Élysées stał Łuk Triumfalny – pięćdziesięciometrowej wysokości hołd Napoleona dla własnej potęgi militarnej – a otaczało go największe rondo we Francji, dziewięć pasów ruchu.

Kiedy dojeżdżali do ronda, Sophie nie spuszczała oczu z lusterka wstecznego.

– Na chwilę ich zgubiliśmy, ale jeżeli zostaniemy w tym samochodzie, nie mamy szans przetrwać nawet pięciu minut.

Więc ukradnij inny samochód – fantazjował w myślach Langdon – bo przecież teraz jesteśmy przestępcami.

– No więc co robimy?

Sophie nacisnęła na gaz i maleńki smart car włączył się w ruch na rondzie.

– Zaufaj mi.

Langdon nie odpowiedział. Dzisiejszej nocy zaufanie nie zaprowadziło go zbyt daleko. Podciągnął lekko rękaw marynarki i odsłonił zegarek, sprawdzając, która godzina – nosił specjalny zabytkowy zegarek z Myszka Miki, który dostał od rodziców, kiedy miał dziesięć lat. I chociaż jego dziecięcy czasomierz często narażał go na dziwne spojrzenia, nigdy w życiu nie miał innego zegarka; film rysunkowy Disneya to jego pierwszy krok do magii formy i koloru, a Myszka Miki służyła jako codzienne przypomnienie, że należy być młodym duchem. W tej chwili ręce Myszkę Miki były ustawione pod dziwnym kątem, wskazując równie dziwną godzinę.

– Druga pięćdziesiąt jeden.

– Interesujący zegarek – powiedziała Sophie, patrząc kątem oka na jego nadgarstek i manewrując małym autkiem wokół szerokiego ronda, po którym samochody poruszały się ruchem odwrotnym do wskazówek zegara.

– To długa historia – powiedział, zasłaniając go rękawem.

– Jakżeby inaczej.

Uśmiechnęła się i zjechała z ronda, kierując się na północ, dalej od centrum miasta. Przejechała dwa zielone światła i przy trzecim skrzyżowaniu skręciła ostro w prawo, na Boulevard Malesherbes. Zostawili za sobą zamożne, obsadzone drzewami ulice dzielnicy dyplomatów i zanurzyli się w ciemniejsze przestrzenie Paryża. Sophie skręciła szybko w lewo i po chwili Langdon zdał sobie sprawę, gdzie są.

Dworzec Saint-Lazare.

Przykryty szklanym dachem dworzec kolejowy przypominał dziwną hybrydę hangaru dla samolotów i szklarni. W Europie dworce kolejowe nigdy nie zasypiają. Nawet o tej porze niedaleko głównego wyjścia czekało na klientów kilka taksówek. Sprzedawcy stali przy swoich straganach na kółkach, oferując kanapki i wodę mineralną, a zaspani młodzi chłopcy i dziewczyny z plecakami wylaniali się ze stacji, przecierając oczy i rozglądając się dookoła, jak gdyby próbowali sobie uzmysłowić, w jakim mieście są dzisiaj. Trochę dalej na ulicy kilku policjantów z komisariatu dworcowego stało na chodniku, tłumacząc coś zagubionym w wielkim mieście turystom.

Sophie ustawiła samochódzik tuż za linią taksówek i zaparkowała w czerwonej strefie, mimo że po drugiej stronie ulicy było mnóstwo pustych, całkowicie legalnych miejsc parkingowych. Zanim Langdon zdążył zapytać, co się dzieje, już jej nie było w samochodzie. Podeszła pospiesznie do okna taksówki, która stała przed nimi, i zaczęła rozmawiać z kierowcą. Langdon wysiadł, żeby rozprostować nogi, i zobaczył, że Sophie wręcza taksówkarzowi spory plik banknotów. Taksówkarz kiwnął głową, a potem, ku zdziwieniu Langdona, ruszył i zniknął gdzieś, zostawiając ich na dworcu.

– Co się stało? – spytał Langdon, podchodząc do Sophie, która stała przy krawężniku, kiedy taksówka zniknęła w głębi ulicy.

Sophie już się kierowała do wejścia na perony.

– Chodź. Kupujemy dwa bilety na najbliższy pociąg wyjeżdżający z Paryża.

Langdon szedł tuż obok niej szybkimi krokami. Podróż, która zaczęła się jako ucieczka do pobliskiej ambasady amerykańskiej, zamieniła się w ewakuację z Paryża. Coraz mniej mu się to podobało.

Kierowca, który odbierał biskupa Aringarosę z międzynarodowego lotniska Leonarda da Vinci, podjechał po niego niewielkim, nierzucającym się w oczy czarnym fiatem sedanem. Aringarosa przypomniał sobie czasy, kiedy baza samochodowa Watykanu składała się z wielkich limuzyn błyszczących chromowanymi maskami chłodnic i powiewających flagami z herbem Stolicy Piotrowej. To już przeszłość. Samochody watykańskie były teraz mniej ostentacyjne, niemal z reguły nieoznakowane. Podobno miało to na celu redukcję kosztów, żeby lepiej służyć diecezjom, ale Aringarosa podejrzewał, że bardziej zaważyły względy bezpieczeństwa. Świat oszalał, w wielu częściach Europy demonstrowanie miłości do Jezusa Chrystusa było jak malowanie tarczy strzeleckiej na dachu swojego auta.

Zawinąwszy sutannę wokół kolan, Aringarosa wsiadł na tylne siedzenie i przygotowywał się na długą jazdę do Castel Gandolfo. Odbędzie tę samą drogę co pięć miesięcy temu.

Zeszłoroczna podróż do Rzymu – westchnął w duchu. Najdłuższa noc jego życia.

Pięć miesięcy temu telefon z Watykanu wezwał Aringarosę w trybie natychmiastowym do Rzymu. Nie było żadnego wyjaśnienia. Bilety czekają na lotnisku. Stolica Piotrowa napracowała się, żeby nie odsłonić ani rąbka tajemnicy, nawet wobec swoich najwyższych dostojników.

Aringarosa podejrzewał, że za tym tajemniczym wezwaniem kryło się życzenie papieża lub oficjeli Watykanu, by podłączyć się do ostatniego publicznego sukcesu Opus Dei – ukończenia budowy światowej siedziby Opus Dei w Nowym Jorku. Magazyn *Architectural Digest* nazwał budynek Opus Dei „świecąca latarnią katolicyzmu, delikatnie wtopioną w nowoczesny pejzaż miasta”, a Watykan przyciągało teraz wszystko, co określano słowem „nowoczesny”.

Aringarosa nie miał wyboru i – acz niechętnie – musiał przyjąć zaproszenie. Nie był zwolennikiem obecnej administracji papieskiej i podobnie jak większość konserwatywnych księży z wielkim niepokojem przypatrywał się nowemu papieżowi, który rozpoczął pierwszy rok swojej posługi. Jego świątobliwość, niezwykle liberał, zapewnił sobie tron Piotrowy podczas jednego z najbardziej kontrowersyjnych i niezwykłych konklawe w historii Watykanu. Teraz, bynajmniej nieonieśmielony tym nieoczekiwanym wyniesieniem, Ojciec Święty postanowił odciąć się od splendorów zwykle kojarzonych z najwyższym urzędem rzymskim w chrześcijaństwie. Przy bardzo niepokojącym poparciu liberałów w kolegium kardynalskim papież deklarował, że jego misją będzie „odnowa doktryny watykańskiej i wprowadzenie katolicyzmu w trzecie tysiąclecie”.

Aringarosa obawiał się, że przekład tego hasła na praktykę może oznaczać, iż papież, tak pewny tego, co robi, chcąc zdobyć serca tych wiernych, w których mniemaniu wymogi prawdziwego katolicyzmu odstają od współczesnego świata, będzie próbował na nowo spisać prawa boskie.

Aringarosa wykorzystywał wszelkie dostępne sobie wpływy polityczne – które były niemałe, zważywszy na poparcie i członkostwo Opus Dei oraz konto bankowe organizacji – by przekonywać papieża i jego doradców, że liberalizacja praw kościelnych nie tylko nie jest świadectwem wiary i odwagi, ale ponadto jest politycznym samobójstwem. Przypominał im, że poprzednia próba złagodzenia praw kościelnych – II sobór watykański, który skończył się fiaskiem – zostawiła po sobie niszczącą spuściznę: coraz mniej ludzi chodzi do kościoła, coraz mniej daje na tacę, nie ma nawet dość księży, żeby obejmować parafie.

Ludzie potrzebują silnej władzy i przewodnictwa Kościoła, nalegał Aringarosa, a nie przyzwolenia na wszystko i przymykania oczu!

Tej nocy, kilka miesięcy temu, kiedy fiat wyjeżdżał z lotniska, Aringarosa był zdziwiony, że nie jadą w kierunku Watykanu, ale na wschód, serpentyną wijącej się w górę drogi.

– Dokąd jedziemy? – spytał kierowcę.

– Na Wzgórza Albańskie – odparł. – Spotkanie jest w Castel Gandolfo.

W letniej rezydencji papieża? Aringarosa nigdy tam nie był ani nigdy nie pragnął tam pojechać. Oprócz tego, że Castel Gandolfo służyło jako letnia rezydencja papieża, gdzie spędzał wakacje, ta szesnastowieczna cytadela była siedzibą Specula Vaticana – Obserwatorium Watykańskiego, jednego z najbardziej technologicznie zaawansowanych obserwatoriów astronomicznych w Europie. Aringarosa czuł się trochę nieswojo zawsze, kiedy Kościół próbował bawić się w naukę. Jakże racje przemawiają za łączeniem nauki i wiary? Nikt, kto ma silną wiarę w Boga, nie może prowadzić w pełni niezależnych prac naukowych. Ani też wiara nie potrzebuje dla siebie żadnego materialnego potwierdzenia.

Niemniej obserwatorium jest tam, gdzie jest – pomyślał, kiedy ujrzał Castel Gandolfo na tle pełnego gwiazd listopadowego nieba. Widziany z drogi dojazdowej zamek przypominał ogromnego kamiennego potwora, który rozważa samobójczy skok w przepaść. Przycupnięty na skraju skały, pochylał się nad kołyską cywilizacji włoskiej – doliną, gdzie klany Curiazi i Orazi walczyły między sobą na długo przed założeniem Rzymu.

Nawet jako sylwetka na tle nieba zamek Castel Gandolfo robił imponujące wrażenie – był przykładem wielokondygnacyjnej architektury obronnej, odzwierciedlającej potęgę płynącą z tego dramatycznego usadowienia na szczycie skały. Aringarosa stwierdził teraz z żalem, że Watykan całkowicie zepsuł budowlę, umieszczając na niej dwie ogromne kopuły z aluminium, w których kryły się teleskopy – kopuły wyrastały ponad poziom dachu, skutkiem czego kiedyś pełna godności budowla wyglądała teraz jak dumny rycerz, któremu założono na głowę dwa śmieszne urodzinowe kapelusiki.

Kiedy Aringarosa wyszedł z samochodu, podbiegł młody jezuita, by go przywitać.

– Witamy, księżo biskupie. Jestem ojciec Mangano, tutejszy astronom.

No i dobrze. Aringarosa mruknął coś w odpowiedzi i poszedł za swoim gospodarzem w kierunku westybulu zamkowego – otwartej przestrzeni na parterze, której ozdobą była mieszanina niezdarne malarskiego renesansowego i astronomicznych fotografii nieboskłonu. Potem Aringarosa ruszył za jezuitą szerokimi marmurowymi schodami, mijając z lewej i z prawej oznaczenia ośrodków konferencyjnych, sal wykładowych i punktów informacji turystycznej. Zdumiewało go, że Watykan, który nie radził sobie z dostarczaniem wiernym niezbędnych wskazówek duchowych, znajduje czas i energię na organizowanie wykładów z astrofizyki dla turystów.

– Proszę mi powiedzieć – Aringarosa zwrócił się do młodego księdza – odkąd to ogon macha psem?

Jezuita spojrział na niego dziwnie.

– Co proszę, księżo biskupie?

Aringarosa machnął ręką, nie chcąc wszczynać dzisiejszego wieczoru tej debaty. Watykan oszalał. Jak leniwy rodzic, któremu łatwiej przychylić się do kaprysów zepsutego dziecka, niż okazać zdecydowanie i wdrażać je do wartości. Kościół wykazuje coraz większy brak zdecydowania, próbując wszelkimi sposobami określić się na nowo – przystosować do kultury, która schodzi na manowce.

Korytarz na najwyższym piętrze był szeroki, wygodnie urządzone i prowadził ku ogromnym dębowym drzwiom, na których widać było mosiężną tabliczkę z napisem:

## BIBLIOTEKA ASTRONOMICZA

Aringarosa słyszał już o Bibliotece Astronomicznej Watykanu, w której, jak się mówiło, jest ponad dwadzieścia pięć tysięcy tomów, a między innymi takie białe kruki, jak rękopisy Kopernika, Galileusza, Keplera, Newtona i Secchiiego. Podobno było to również miejsce spotkań wyższych urzędników papieskich... spotkań, które nie powinny się odbywać w murach Stolicy Piotrowej.

Podchodząc do drzwi, biskup Aringarosa nie miał pojęcia, jakie szokujące wiadomości zostaną mu ogłoszone w murach biblioteki i jaką lawinę groźnych wydarzeń uruchomi to spotkanie.

Dopiero godzinę później, kiedy na chwiejnych nogach wychodził na korytarz, zrozumiał w pełni jego potencjalnie niszczące skutki. Za sześć miesięcy! – myślał wtedy. – Panie, zmiłuj się nad nami!

Teraz, siedząc we wnętrzu fiata, biskup Aringarosa zdał sobie sprawę, że pięści same mu się zaciskają na myśl o tym pierwszym spotkaniu. Rozluźnił dłonie, odetchnął głęboko i rozprężył mięśnie.

Wszystko będzie dobrze – powiedział sobie, kiedy fiat serpentynami wjeżdżał wyżej, w góry. Żałował, że jego telefon nie dzwoni. Dlaczego Nauczyciel nie zadzwonił? Sylas powinien już mieć klucz sklepienia.

Próbując uspokoić nerwy, biskup medytował i modlił się, wpatrzony w purpurowy ametyst swojego pierścienia. Przebiegł opuszką palca po emblemacie wygrawerowanym na pierścieniu i po krawędziach diamentów i uzmysłowił sobie, że władza, którą wkrótce będzie dysponował, jest większa niż ta, którą symbolizuje ten pierścień.



Wnętrze dworca Saint-Lazare wyglądało jak setki podobnych stacji kolejowych w Europie – jak olbrzymia jaskinia w środku miasta, zbiorowisko podejrzanych typów – byli tam bezdomni, trzymający przed sobą tekturki z prośbami, byli studenci o mętnych oczach, śpiący na plecakach, z uszami zaklejonymi słuchawkami odtwarzaczy, oraz grupki ubranych na granatowo bagażowych, palących po kątach papierosy.

Sophie podniosła głowę i spojrzała na ogromną tablicę odjazdów i przyjazdów wiszącą pod sufitem. Białe-czarne klapki spadały jak fale, leciały w dół jedna po drugiej, a na tablicy pojawiały się coraz to nowe informacje. Kiedy tablica wreszcie się uspokoiła i ukazały się aktualne czasy odjazdu pociągów, Langdon spojrzał na to, co było do wyboru. Na samym szczycie listy widniało: LILLE – POSPIESZNY – 3.06.

– Szkoda, że nic nie odjeżdża wcześniej – stwierdziła Sophie – ale ten do Lille musi wystarczyć.

Jak to wcześniej? Langdon spojrzał na zegarek i zobaczył, że jest druga pięćdziesiąt dziewięć. Pociąg odjeżdża za siedem minut, a oni jeszcze nie mają biletów.

Sophie podprowadziła Langdona do kasy biletowej i powiedziała:

- Kup dwa bilety i zapłać kartą kredytową.
- Sądziłem, że karty kredytowe można łatwo namierzyć.
- Właśnie.

Langdon postanowił, że już nie będzie próbował wybiegać przed Sophie Neveu. Podał kasjerce kartę Visa, kupił dwa bilety na pociąg do Lille i wręczył je Sophie.

Sophie wyprowadziła go przed perony, gdzie usłyszeli przez megafony gong zapowiedzi komunikatów dworcowych, a głos dyspozytora oznajmił, że pociąg do Lille jest już gotowy do odjazdu. Przed nimi, wzdłuż peronów, rozchodziło się na różne strony szesnaście torów. Na prawym torze przy trzecim peronie pociąg do Lille posapywał i pogwizdywał, przygotowując się do odjazdu, ale Sophie już wsunęła Langdonowi rękę pod ramię i prowadziła go w zupełnie innym kierunku. Przeszli szybko przez boczną halę dworcową, obok otwartej całą noc kafejki, a w końcu przez boczne drzwi na cichą uliczkę po zachodniej stronie stacji.

Tuż przy drzwiach stała taksówka, której silnik pracował. Kierowca zobaczył Sophie i mrugnął światłami.

Sophie wskoczyła na tylne siedzenie. Langdon usiadł przy niej i zatrzasnął drzwi.

Kiedy samochód ruszył, Sophie wyciągnęła z kieszeni bilety, które właśnie kupili, i podała je na strzępy.

Langdon westchnął. Dobrze zainwestowane siedemdziesiąt dolarów. Dopiero kiedy taksówka włączyła się w sznur samochodów jadących na północ, na rue de Clichy, Langdon poczuł, że naprawdę uciekli. Przez okno z prawej strony widział Montmartre i przepiękną kopułę kościoła Sacré-Coeur. Ten obraz zakłócały migoczące niebiesko światła wozów policyjnych, które płynęły obok nich w przeciwnym kierunku.

Langdon i Sophie schylali się, kiedy samochody policyjne przejeżdżały koło ich taksówki.

Sophie powiedziała taksówkarzowi, żeby możliwie szybko wyjechał z miasta; jej zaciśnięte szczęki i nieruchome spojrzenie mówiło Langdonowi, że próbuje zaplanować następny ruch. Raz jeszcze wziął w rękę klucz w kształcie krzyża i podniósł go do okna, a potem przysunął przed oczy, próbując znaleźć jakieś ślady, które by wskazywały, gdzie ten klucz został wykonany. Kiedy mijali latarnie, przyglądał mu się intensywnie w lepszym świetle, ale nie zauważył żadnych oznaczeń oprócz symboli lili.

– To nie ma sensu – powiedział w końcu.

– Co?

– To, że twój dziadek zadał sobie tyle trudu, by dać ci klucz, z którym nie wiesz, co robić.

– Zgadza się.

– Jesteś pewna, że nie napisał nic więcej z tyłu obrazu?

– Przeszukałam cały teren. Było tam tylko to. Ten klucz wciśnięty za ramię. Zobaczyłam znak zakonu, włożyłam klucz do kieszeni, a potem wyszliśmy.

Langdon zmarszczył brwi, wpatrując się w tępy koniec trójkątnego trzpienia. Nic. Zmrużył oczy, przybliżył klucz do oczu i przyjrzał się dokładnie krawędzi krzyża. Tam też nic nie było.

– Ten klucz chyba ktoś niedawno czyścił.

– Skąd wiesz?

– Czuć go przemysłowym alkoholem.

Odwróciła się do niego.

– To znaczy?

– Pachnie tak, jakby go ktoś wypolerował jakimś środkiem czyszczącym. – Langdon przysunął klucz do nosa i powąchał. – Po drugiej stronie mocniej. – Odwrócił klucz. – Tak, to na pewno środek na alkohol, pachnie, jakby go ktoś przecierał środkiem czyszczącym albo... – Langdon urwał w pół słowa.

– Albo co?

Przekręcił klucz pod kątem i przyjrzał się gładkiej powierzchni na szerokim ramieniu krzyża. Wyglądało na to, że miejscami pobłyskuje... jakby była mokra.

– Przyjrzałaś się dokładnie temu kluczowi z tyłu, zanim włożyłaś go do kieszeni?

– Co takiego? Nie, niezbyt dokładnie. Bardzo się spieszyłam.

– Masz jeszcze przy sobie tę latareczkę?

Sophie sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła latarkę na promienie ultrafioletowe. Langdon wziął ją w rękę i zapalił, a potem skierował promień na tylną stronę klucza.

Powierzchnia klucza natychmiast zaświeciła. Coś tam było napisane. Odręcznie, pospiesznie, ale słowa były czytelne.

– No cóż – powiedział Langdon, uśmiechając się. – Chyba już wiemy, skąd pochodził zapach alkoholu.

Sophie przyglądała się zdziwiona purpurowym literom na tylnej części klucza.

2 4 rue H a x o

– To adres! Dziadek zapisał mi adres!

– Gdzie to jest? – spytał Langdon.

Sophie nie miała pojęcia. Podniecona, pochyliła się w ku kierowcy.

– *Connaissez-vous la rue Haxo?*

Kierowca pomyślał chwilę, a potem kiwnął głową. Powiedział, że to niedaleko stadionu tenisowego w zachodniej części miasta, już na obrzeżach Paryża. Poprosiła, żeby ich tam natychmiast zawiózł.

– Najszybciej się dojedzie przez Lasek Buloński – powiedział kierowca po francusku. – Może być?

Sophie zmarszczyła się. Przyszło jej do głowy kilka przyzwoitych tras, ale postanowiła, że dziś w nocy nie będzie wybredna.

– *Oui*.

A niech tam, zszokujemy naszego gościa z Ameryki. Sophie raz jeszcze spojrzała na tył klucza – co takiego znajdą na rue Haxo pod numerem dwadzieścia cztery? Kościół? Jakąś główną siedzibę zakonu?

Przypomniała sobie znowu obrazy tajnego rytuału, którego była świadkiem w grocie pod podłogą domu dziadka dziesięć lat temu, i westchnęła ciężko.

– Tyle muszę ci jeszcze opowiedzieć, Robercie. – Zamilkła, patrząc mu w oczy, kiedy taksówka ruszyła na zachód. – Ale najpierw chciałabym, żebyś ty opowiedział mi wszystko, co wiesz o Zakonie Syjonu.

## ROZDZIAŁ 36

Bezu Fache stał przed Salle des Etats i patrzył z wściekłością na pracownika ochrony Luwru, który tłumaczył, jak Sophie i Langdon go rozbroili. Dlaczego nie strzelał w ten cholerny obraz!

– Panie kapitanie? – od strony stanowiska dowodzenia zmierzał ku nim porucznik Collet. – Panie kapitanie, właśnie się dowiedziałem. Znalaziono samochód agentki Neveu.

– Udało się jej dotrzeć do ambasady?

– Nie. Na stację kolejową. Kupili dwa bilety. Pociąg właśnie odjechał.

Fache oddalił gestem dłoni strażnika Luwru Grouarda i zaprowadził Colleta do pobliskiej niszy sali muzealnej.

– Dokąd pojechali? – spytał przyciszonym głosem.

– Do Lille.

– Sophie prawdopodobnie robi nas w konia. – Fache wypuścił powietrze z płuc, formułując nowy plan. – Dobrze. Zawiadomcie najbliższą stację, niech zatrzymają i przeszukają pociąg, dla wszelkiej pewności. Zostawcie ich samochód na miejscu, niech go pilnują funkcjonariusze w cywilu, na wypadek, gdyby przyszło jej do głowy po niego wrócić. Wyślijcie agentów, żeby przeszukali ulice wokół stacji – a nuż nasi uciekinierzy ruszyli piechotą. Czy ze stacji jeżdżą jakieś autobusy?

– Nie o tej porze, panie kapitanie. Są tylko taksówki.

– Dobrze. Wypytajcie kierowców. Spytajcie, czy coś widzieli. Potem skontaktujcie się z dyspozytorem firmy taksówkowej i przekażcie mu opisy. Ja dzwonię do Interpolu.

Collet był zdumiony.

– Będzie ich pan szukał otwartymi kanałami?

Fache ubolewał, że musi się narażać na tłumaczenie i zakłopotanie, ale uważał, że nie ma innego wyjścia.

Należy zacisnąć sieć szybko i szczelnie.

Najważniejsza jest pierwsza godzina. W ciągu pierwszej godziny po ucieczce ruchy wszystkich uciekinierów da się przewidzieć. Potrzebują zawsze tego samego. Środka lokomocji. Schronienia. Pieniądzy. Święta trójca. A żeby błyskawicznie odebrać im wszystkie trzy narzędzia, potrzebna jest pomoc Interpolu. Faksując fotografie Langdona i Sophie do odpowiednich instancji nadzorujących podróże, hotele i banki, Interpol nie da im żadnych możliwości – nie będą mogli wyjechać z miasta, nie będą mieli gdzie się ukryć ani pobrać gotówki, nie narażając się na ryzyko rozpoznania. Uciekinierzy zazwyczaj panikują i robią jakieś niemądre posunięcia. Kradną samochód. Napadają na sklep. W desperacji idą do bankomatu. Każdym takim krokiem zdradzają miejsce swojego pobytu.

– Ale tylko Langdona? – upewniał się Collet. – Nie każe pan chyba szukać Sophie Neveu. Jest naszą agentką.

– Oczywiście, że każe szukać i jej! – odparł Fache. – Cóż nam przyjdzie z tego, że namierzemy Langdona, jeśli ona będzie mogła za niego zrobić całą brudną robotę? Mam zamiar sprawdzić wszystkie akta Neveu – jej znajomych, rodzinę, kontakty osobiste – wszystkich, do których mogłaby się zwrócić o pomoc. Nie wiem, co jej strzeliło do głowy i jakie ma zamiary, ale to będzie ją kosztować znacznie więcej niż tylko posadę!

– Chce pan, żebym pracował tu czy w terenie?

– W terenie. Niech pan jedzie na stację kolejową i koordynuje pracę ekipy. Ma pan w rękach wszystkie sznurki, ale niech pan nie robi żadnych ruchów bez porozumienia ze mną.

– Tak jest, panie kapitanie. – Colleta już nie było.

Fache czuł, że cały zeszytniał, stojąc w niszy galerii. Za oknem świeciła szklana piramida, a jej odbłaski falowały w kałużach, w które dmuchał wiatr. Prześliznęły mi się między palcami. Powiedział sobie, że musi się odprężyć.

Nawet dobrze wyszkolony agent może mówić o szczęściu, jeśli uda mu się przetrwać napór wszechstronnych działań Interpolu. A kobieta kryptolog i nauczyciel akademicki?

Wpadną, nim nadejdzie świt.

Zalesiony teren parkowy znany jako Lasek Buloński paryżanie nazywali różnie, ale ci, którzy dobrze znają miasto, mówili, że to „ogród ziemskich rozkoszy”. To określenie nie oznacza jednak równie pochlebnych treści. Każdy, kto kiedyś widział płótna Boscha ilustrujące ziemskie rozkosze, zrozumie aluzję – jego obraz o tym samym tytule, podobnie jak Lasek Buloński, ukazuje świat ciemny i zwyrodniały, jak czyściec dla świrusów i fetyszystów. Wijące się alejki Lasku Bulońskiego roją się nocą od setek błyszczących ciał do wynajęcia, kłębią się od „ziemskich rozkoszy”, które zaspokoją najgłębsze niewypowiedziane pragnienia – mężczyzn, kobiet i wszystkiego, co pomiędzy.

Kiedy Langdon zbierał myśli i układał plan, w jaki sposób opowie Sophie o Zakonie Syjonu, ich taksówka wjechała przez okolony drzewami wjazd na teren lasu i ruszyła na zachód po alejce z kocich łbów. Langdon miał problemy z koncentracją, jako że grupka nocnych rezydentów parku już wylaniała się gdzieś z cieni i eksponowała swój towar w ostrym świetle reflektorów samochodu. Przed nimi dwie półnagie nastolatki rzucały płomienne spojrzenia do wnętrza taksówki. Dalej dobrze naoliwiony czarnoskóry mężczyzna w sznurkowych majteczkach obrócił się do nich tyłem i napinał pośladki. Tuż za nim wspaniała blondyna podnosiła minispódniczkę, by pokazać, że w gruncie rzeczy nie jest kobietą.

O nieba, ratunku! Langdon odwrócił wzrok, nie chcąc już na to patrzeć, i wziął głęboki oddech.

– Opowiedz mi o Zakonie Syjonu – poprosiła Sophie.

Langdon skinął głową i pomyślał, że dość trudno sobie wyobrazić mniej stosowne tło dla legendy, którą miał opowiedzieć. Zastanawiał się, od czego zacząć. Historia bractwa obejmowała przecież tysiąc lat... Była to zadziwiająca kronika tajemnic, szantażu, zdrady, a nawet brutalnych tortur z rozkazu rozsierzonego papieża.

– Zakon Syjonu – zaczął – został założony w Jerozolimie w tysiąc dziewięćdziesiątym dziewiątym roku przez późniejszego francuskiego króla Jerozolimy, Godfryda z Bouillon, po zdobyciu miasta.

Sophie kiwnęła głową i patrzyła na niego uważnie.

– Król Godfryd podobno był w posiadaniu wielkiej tajemnicy, którą przechowywano w jego rodzie od czasów Chrystusa. Obawiając się, by tajemnica nie zesłała do grobu wraz z nim, założył tajne bractwo – Zakon Syjonu – i powierzył mu zadanie ochrony tej tajemnicy, która miała być przekazywana z pokolenia na pokolenie. Kiedy zakon rezydował w Jerozolimie, członkowie bractwa dowiedzieli się, że w ruinach Świątyni Heroda zakopane są pewne dokumenty. Świątynię Heroda zbudowano na ruinach fundamentów Świątyni Salomona. Bracia byli przekonani, że dokumenty te poświadczają wielką tajemnicę Godfryda i są tak doniosłe, że Kościół nie zawaha się przed niczym, by je przejąć.

Sophie patrzyła na niego niepewnie.

– Zakon poprzysiął, że wcześniej czy później – czas nie ma znaczenia – dokumenty te zostaną wydobyte spod gruzów Świątyni i zabezpieczone, tak aby zawarta w nich prawda nigdy nie umarła. W tym celu powołał do życia ramię zbrojne – grupę dziewięciu rycerzy zwanych Zakonem Ubogich Rycerzy Chrystusa i Świątyni Salomona, szerzej znanych w historii pod nazwą templariuszy.

Sophie spojrzała ze zrozumieniem.

Langdon wielokrotnie wykladał historię templariuszy i wiedział, że prawie każdy o nich słyszał, a co najmniej znał nazwę. Naukowcom historia templariuszy jawiła się jako grząski grunt, na którym fakty, legendy i dezinformacje tak się ze sobą spłotyły, że wyłuskanie prawdy było prawie niemożliwe. Ostatnio coraz rzadziej mówił o templariuszach, ponieważ każda wzmianka prowadziła do pytań i dociekań rodem ze spiskowej teorii dziejów.

– Powiadasz – odezwała się Sophie nieco stropiona – że templariusze to odnoga Zakonu Syjonu utworzona dla odzyskania zbioru tajnych dokumentów? Ja sądziłam, że templariuszy powołano do życia po to, żeby chronili Ziemię Świętą.

– To dość powszechne mniemanie. Ale fałszywe. Hasła ochrony pielgrzymów to tylko kamuflaż właściwej misji templariuszy. Ich prawdziwym celem w Ziemi Świętej było odzyskanie dokumentów spod ruin Świątyni.

– I znaleźli te dokumenty?

– Nikt nie wie tego na pewno, ale wszyscy badacze zgadzają się co do jednego – templariusze coś odkryli w ruinach... Coś, co dało im bogactwo i władzę, którą trudno sobie wyobrazić.

Langdon naszkicował jej krótko ogólnie przyjętą wersję historii templariuszy. Znaleźli się oni w Ziemi Świętej podczas drugiej wyprawy krzyżowej i zwrócili się do króla Baldwina II, by zezwolił im na czuwanie nad bezpieczeństwem pielgrzymów na drogach. Ponieważ zaprzysięgli ubóstwo i nie pobierali opłat za swoje usługi, zwrócili się do króla z prośbą o schronienie i uzyskali zgodę na zamieszkanie w budynkach stajni pod ruinami Świątyni. Król Baldwin przystał na prośbę rycerzy zakonnych i templariusze rozgościli się we wnętrzu zrujnowanej Świątyni.

Ten dziwny wybór kwater, wyjaśnił Langdon, nie był przypadkowy. Rycerze byli przekonani, że dokumenty, których szuka zakon, są zakopane głęboko pod ruinami – poniżej Świętego Świętych, miejsca, gdzie jak wierzyli Żydzi, mieszkał sam Bóg. Przez niemal dziesięć lat dziewięciu rycerzy mieszkało w ruinach, prowadząc wykopaliska i przekopując się w tajemnicy przez litą skałę.

– I mówisz, że coś odkryli?

– Z pewnością – odparł Langdon i wyjaśnił, że wprawdzie zabrało im to dziesięć lat, ale rycerze w końcu znaleźli to, czego szukali. Wydobyli skarb ze Świątyni i pojechali do Europy, gdzie ich wpływy w bardzo krótkim czasie stały się niezwykle silne.

Nikt nie wie, czy rycerze dopuścili się szantażu na Rzymie, czy też Kościół po prostu podjął próbę kupienia ich milczenia, ale papież Innocenty II wydał bezprecedensową bullę, która dawała im całkowitą niezależność, stwierdzając, że stanowią „prawo sami dla siebie” – są niezależną od nikogo armią, niepodlegającą ani królom, ani prałatom, żadnej władzy kościelnej, papieskiej ani świeckiej.

Mając teraz *carte blanche* z Rzymu, templariusze zaczęli się rozprzestrzeniać w zadziwiająco tempie, zarówno jeśli chodzi o liczbę braci zakonnych, jak i ich siłę polityczną, przejmując i wykupując ogromne latyfundia w wielu krajach. Zaczęli pożyczać pieniądze podupadłym rodem królewskim, żądając rzecz jasna, procentów – w ten sposób założyli nowoczesny system bankowy i dalej rozszerzali swoje wpływy.

Około roku tysiąc trzzechsetnego dzięki wspomnianej bulli Innocentego II templariusze zgromadzili w swoich rękach taką władzę, że papież Klemens V postanowił coś z tym zrobić. W porozumieniu z królem Francji Filipem IV Pięknym papież nakreślił przemyślny plan operacji, która miała doprowadzić do zniszczenia templariuszy i przejęcia ich skarbu, a tym samym zawładnięcia tajemnicami zakonu. Podczas manewru wojskowego, którego nie powstydziliby się CIA, papież Klemens V wydał tajne rozkazy, na których pieczęć miano złamać jednocześnie w całej Europie w piątek, trzynastego października tysiąc trzysta siódmego roku.

Rankiem w wyznaczonym dniu dokumenty rozpieczętowano i odczytano ich przerażającą treść. W liście papież Klemens oznajmiał, że miał widzenie – nawiedził go sam Bóg i ostrzegł, że templariusze to heretycy winni oddawania czci diabłu, homoseksualizmu, świętokradztwa wobec Krzyża, sodomii i innych grzesznych czynów. Bóg poprosił papieża Klemensa, by ten oczyścił ziemię z szumowin i pojmał templariuszy, a potem torturował ich tak długo, aż wyznają wszystkie winy wobec Chrystusa. Makiaweliczna operacja papieża Klemensa udała się doskonale. Wszystko zagrało jak w zegarku. Tego dnia pojmano rzesze templariuszy, torturowano ich bezlitośnie, a potem palono na stosach jako heretyków. Echa tej tragedii obecne są do dziś w naszej kulturze, a piątek trzynastego jest uznawany za dzień przynoszący pecha.

– I templariusze zostali wyniszczeni? – Sophie była zbita z tropu. – Mnie się wydawało, że bractwo templariuszy istnieje do dzisiaj.

– Istnieją, ale pod innymi nazwami. Mimo fałszywych oskarżeń papieża Klemensa i mimo że robił, co w jego mocy, by zatrzeć po nich wszelki ślad, nie udało się to do końca, bo templariusze mieli potężnych sprzymierzeńców, a niektórzy wymknęli się czystkom watykańskim. Prawdziwym celem działań Klemensa były dokumenty, które templariuszom udało się w końcu odnaleźć, a które podobno stanowiły źródło ich władzy, ale prześliznęły mu się między palcami. Te dokumenty od dawien dawna są zawierzone Zakonowi Syjonu, z którego inspiracji powstałi templariusze, a który zasłona tajemnicy chroni przed kolejnymi atakami Watykanu. Kiedy Watykan był blisko celu, zakonowi udało się wywieźć dokumenty z Paryża pod osłoną nocy i ukryć na galerach templariuszy w porcie La Rochelle.

– I dokąd popłynęły?

Langdon wzruszył ramionami.

– Odpowiedź na tę zagadkę zna tylko Zakon Syjonu. Ich losy są dziś źródłem nieustannych dociekań i spekulacji; prawdopodobnie były wielokrotnie przenoszone i ukrywane w różnych miejscach. Ostatnio mówi się, że są ukryte gdzieś w Wielkiej Brytanii.

Przez tysiąc lat przekazywano sobie z ust do ust i z pokolenia na pokolenie legendy o tej tajemnicy. Cały zbiór dokumentów, jego moc i tajemnica, którą ujawnią, otrzymały wspólną nazwę – Sangreal. Napisano o nim setki książek, jest jedną z nielicznych tajemnic ludzkości, która wciąż i nieodmiennie intryguje historyków.

– Sangreal? Czy to słowo ma coś wspólnego z francuskim *sang* albo z hiszpańskim *sangre*, co znaczy krew?

Langdon skinął głową. Koncepcja krwi leży u podstaw Sangreala, ale nie w ten sposób, jak Sophie sobie to wyobrażała.

– Legenda jest skomplikowana, ale najważniejszą rzeczą, o której trzeba pamiętać, jest to, że zakon pilnie strzeże dowodu, rozmyślnie czeka na właściwy moment w historii, żeby ujawnić prawdę.

– Jaką prawdę? Jaka tajemnica mogłaby być aż tak potężna?

Langdon wziął głęboki oddech i wyjrzał przez okno na wnętrzości Paryża ukryte w ciemności.

– Sangreal to bardzo stare słowo, Sophie. Ewoluuowało przez lata i teraz ma inną, bardziej nowoczesną formę. – Przerwał. – Zaraz się przekonasz, że znasz to pojęcie i sporo o nim wiesz. W gruncie rzeczy chyba każdy kiedyś słyszał o Sangrealu.

– Ja nie słyszałam – zauważyła sceptycznie Sophie.

– Na pewno słyszałaś. – Langdon uśmiechnął się. – Tylko pod inną nazwą, słyszałaś przecież o Świętym Graalu.

## ROZDZIAŁ 38

On chyba żartuje – pomyślała Sophie.

– Święty Graal?

Langdon skinął głową.

– Święty Graal to to samo co Sangreal. Pochodzi od francuskiego *Sangraal*, które potem zmieniło się w Sangreal, a w końcu rozdzieliło na dwa słowa San Greal.

Święty Graal. Sophie była zdziwiona, że sama nie zauważyła związków etymologicznych. Mimo to jeszcze nie widziała sensu w wywodach Langdona.

– Zawsze uważałam, że Święty Graal to kielich. A ty mówisz, że Sangreal to jakieś dokumenty, które zawierają mroczne tajemnice.

– Tak, ale dokumenty Sangreala to tylko połowa skarbu Świętego Graala. Są ukryte razem z samym Graalem... i w nich zapisana jest jego istota. Dokumenty te dały templariuszom wielką władzę, ponieważ na ich stronich znajduje się prawda o samym Graalu.

Prawda o Graalu? Sophie czuła się teraz jeszcze bardziej zagubiona. Sądziła, że Święty Graal to kielich, z którego Jezus pił podczas ostatniej wieczerzy i do którego potem Józef z Arymatei zebrał krew z jego przebitego boku.

– Święty Graal to kielich Chrystusa – powiedziała. – Przecież to zupełnie proste.

– Sophie – szepnęła Langdon, pochylając się w jej stronę – zgodnie z tym, co mówi historia Zakonu Syjonu, Święty Graal to nie jest kielich. Legenda o Graalu... legenda o kielichu... to zmyślnie ułożona alegoria, kielich służy jako metafora czegoś innego, co ma o wiele większe znaczenie. – Zamilkł. – Czegoś, co doskonale współgra z tym, o czym dzisiejszej nocy chciał nam powiedzieć twój dziadek, wraz ze wszystkimi symbolicznymi odniesieniami do sakralności kobiecej.

Sophie, widząc cierpliwy uśmiech Langdona, niepewna, co ma myśleć, wiedziała, że Robert rozumie jej zagubienie.

– Czym więc jest Święty Graal, jeśli nie kielichem?

Langdon spodziewał się, że to pytanie padnie, ale wciąż nie był zdecydowany, co odpowiedzieć. Gdyby udzielił teraz odpowiedzi, nie rysując najpierw właściwego tła historycznego, Sophie byłaby tylko niepomierne zdziwiona – tak jak jego wydawca kilka miesięcy temu, kiedy wręczył mu niezupełnie jeszcze gotowy maszynopis swojej najnowszej książki.

– Że co? Stwierdzasz tu, że... – wydawca zakrztusił się, odstawił kieliszek z winem i spojrzał pustym wzrokiem na swój napoczęty lunch. – Chyba nie mówisz poważnie.

– Całkiem poważnie. Pracowałem nad tym rok. Zbierałem materiały.

Słynny nowojorski wydawca Jonas Faukman szarpał nerwowo swoją kozią bródkę. W długiej karierze zawodowej słyszał o najrozmaitszych szalonych pomysłach na książki, ale ten zdumiał go jak żaden.

– Robercie – powiedział w końcu – nie zrozum mnie źle. Uwielbiam twój styl. Dużo razem przeszliśmy. Ale jeżeli opublikuję coś takiego, będę miał przed swoim biurem pikietę. Poza tym to zniszczy twoją reputację. Jesteś historykiem z Harvardu, na Boga, a nie efemerydą kultury pop. Nie gwiazdą jednego programu, która kombinuje, jak by tu zarobić szybko parę groszy. Gdzie znajdziesz wystarczająco wiarygodne dowody na tę teorię?

Langdon uśmiechnął się spokojnie, wyciągnął z kieszeni tweedowej marynarki kartkę papieru i wręczył ją Faukmanowi. Była to bibliografia – ponad pięćdziesiąt tytułów, książek dobrze znanych historyków, zarówno współczesnych, jak i starych, jeszcze sprzed kilkuset lat, z których wiele to bestsellery naukowe. Wszystkie tytuły oscylowały wokół tej samej tezy, którą postawił Langdon. Faukman przeczytał listę, a na jego twarzy pojawił się taki wyraz, jakby właśnie odkrył, że ziemia jest płaska.

– Znam tych autorów. To są... prawdziwi historycy!

– Jak widzisz, Jonasiu, to nie tylko moja teoria. Tłucze się po świecie już jakiś czas. Ja tylko na niej buduję. Nie ma jeszcze książki, która by zanalizowała legendy o Świętym Graalu z punktu widzenia symboliki. Dowody ikonograficzne, które znajdują na poparcie swojej teorii, są, jak by to powiedzieć, zadziwiająco mocne.

– Boże – Faukman nie odrywał wzroku od listy – wśród autorów jest nawet sir Leigh Teabing, historyk brytyjskiej rodziny królewskiej.

– Teabing większość życia poświęcił na studiowanie i badanie dokumentów związanych ze Świętym Graalem. Miałem okazję go poznać. To on mnie zainspirował do napisania tej książki. Jest to człowiek, który wierzy w to, co mówi, podobnie jak wierzą wszyscy pozostali na tej liście.

– Chcesz powiedzieć, że wszyscy ci historycy są naprawdę przekonani... – Faukman przełknął ślinę, bo nie mógł głośno wypowiedzieć tych słów.

– Święty Graal jest z pewnością najpilniej poszukiwanym skarbem w historii ludzkości. Graal zrodził wiele legend, był u źródeł wojen i stanowił obiekt poszukiwań trwających nieraz całe życie. Czy to naprawdę mógłby być tylko kielich? Gdyby tak, to zapewne także inne relikwie powinny wywoływać podobne albo jeszcze większe zainteresowanie – korona cierniowa, krzyż, na którym ukrzyżowano Chrystusa, fragment inskrypcji z krzyża – a jednak tak nie jest. Przez wieki Święty Graal był w historii czymś szczególnym. Teraz wiesz dlaczego.

– Ale jeżeli napisano o tym tyle książek – kręcił głową Faukman – to dlaczego ta teoria nie jest szerzej znana?

– Te książki nie mogą skutecznie współzawodniczyć z wielowiekową historią, zwłaszcza kiedy tę historię opowiada niekwestionowany bestseller wszech czasów.

Faukman zrobił wielkie oczy.

– Chyba nie powiesz, że *Harry Potter* też jest o Świętym Graalu.

– Miałem na myśli Biblię.

– Przecież wiem – skrzywił się Faukman.

– *Laissez-le!* – Ostre słowa Sophie rozerwały ciszę panującą w taksówce jak wystrzał z pistoletu. – Odłóż to!

Langdon aż podskoczył, kiedy Sophie pochyliła się do przodu nad siedzeniem i zaczęła wrzeszczeć na taksówkarza. Langdon ujrzał, że kierowca trzyma w ręku mikrofon swojej krótkofalówki i coś do niego mówi.

Sophie odwróciła się teraz i wsadziła rękę do kieszeni tweedowej marynarki Langdona. Zanim się zdążył zorientować, o co chodzi, wyrwała stamtąd pistolet i wcisnęła lufę w tył głowy kierowcy. Taksówkarz natychmiast opuścił mikrofon i podniósł wolną rękę do góry.

– Sophie! Co, do cholery... – jąkał się Langdon.

– *Arrêtez!* – rozkazała Sophie taksówkarzowi.

Kierowca, cały roztrzęsiony, posłuchał, zatrzymał samochód i zaciągnął hamulec.

Wtedy dopiero Langdon usłyszał metaliczny głos dyspozytora wydobywający się z głośnika krótkofalówki.

– ...*qui s'appelle agent Sophie Neveu* – trzeszczało radio. – *Et un Américain, Robert Langdon...*

Langdon poczuł, że tężeją mu mięśnie. Już nas znaleźli?

– *Descendez* – poleciła Sophie.

Kierowca wysiadł z rękami nad głową, a potem zrobił kilka kroków w tył.

Sophie opuściła szybę po swojej stronie i mierzyła z pistoletu do zdeorientowanego taksówkarza, stojącego kilka metrów od swojego auta.

– Robercie – powiedziała cicho. – Siadaj za kierownicę. Ty prowadzisz.

Langdon nie zamierzał się kłócić z kobietą wymachującą bronią. Wyszedł z samochodu i wskoczył na siedzenie kierowcy. Taksówkarz, wciąż z rękami w górze, kłął na czym świat stoi.

– Mój drogi – powiedziała Sophie z tylnego siedzenia – chyba już dość się napatrzyłeś na nasz cudowny lasek? Skinął głową.

– To dobrze. W takim razie zmywamy się stąd.

Langdon spojrzął na deskę rozdzielczą samochodu i zawahał się. Cholera. Pomacał ręką, a potem nogą, szukając sprzęgła i dźwigni zmiany biegów.

– Sophie? Może byś ty...

– Jedź! – zawołała.

Tymczasem kilka dziwek już podchodziło, żeby zobaczyć, co się dzieje. Jakaś kobieta naciskała guziczki telefonu komórkowego. Langdon wcisnął sprzęgło i pchnął drążek biegów tam, gdzie spodziewał się znaleźć jedynkę. Dotknął nogą pedału gazu, sprawdzając, jak to działa. Puścił sprzęgło. Samochód wyrwał do przodu z piskiem opon, niemal taranując zbierający się tłumek, gapie w popłochu odskakiwali na boki. Kobieta z telefonem komórkowym przewróciła się, niewiele brakowało, a Langdon byłby ją przejechał.

– *Doucement!* – powiedziała Sophie, kiedy samochód pędził drogą. – Co ty wyrabiasz?

– Próbowałem cię ostrzec – odpowiedział, przekrzykując rżenie skrzyni biegów – ja jeżdżę samochodami z automatyczną skrzynią biegów!

Chociaż spartańskie wnętrze pokoju w budynku z piaskowca przy rue la Bruyère było już świadkiem wielu cierpień, chyba nic nie mogło się równać z bólem i cierpieniem, które teraz targały ciałem Sylasa. Zostałem oszukany. Wszystko stracone. Sylas dał się zwieść. Bracia kłamali – woleli umrzeć, niż ujawnić tajemnicę. Sylas nie miał siły, żeby zadzwonić do Nauczyciela. Nie tylko zabił cztery osoby, które naprawdę wiedziały, gdzie jest schowany klucz sklepienia, ale zabił też zakonnicę w kościele Saint-Sulpice. Ona chciała zmieniać plan Boży! Szydziła z Opus Dei!

Była to zbrodnia w afekcie, ale śmierć tej kobiety bardzo wszystko skomplikowała. Sylas dostał się do Saint-Sulpice dzięki telefonowi biskupa Aringarosy – co teraz pomyśli opat, kiedy odkryje, że zakonnica nie żyje? Chociaż Sylas położył ją z powrotem do łóżka, rany na głowie nie da się ukryć. Próbował też poskładać w całość płytę podłogową, ale i tu ślady były zbyt oczywiste. Będą wiedzieć, że ktoś tam był.

Sylas miał zamiar ukryć się w Opus Dei, kiedy jego misja dobiegnie końca. Biskup Aringarosa mnie ochroni. Trudno mu sobie wyobrazić szczęśliwszą egzystencję, niż życie poświęcone medytacji, modlitwie gdzieś za murami kwatery głównej Opus Dei w Nowym Jorku. Przrzekł sobie, że nigdy już nie wyjdzie na ulicę. Wszystko, czego potrzebował, było w murach sanktuarium. Nikt nie odczuje tego jako straty. Niestety, człowiekowi tak znanemu jak biskup Aringarosa trudno będzie zniknąć.

Naraziłem biskupa. Sylas wpatrywał się tępo w podłogę i zastanawiał, czy nie odebrać sobie życia. W końcu to właśnie Aringarosa podarował mu życie... W tej niewielkiej parafii w Hiszpanii, gdzie go nauczył wszystkiego, dał mu cel istnienia.

– Mój przyjacielu – mówił mu Aringarosa – urodziłeś się jako albinos. Nie pozwól, żeby inni cię za to obwiniali. Czy rozumiesz, że dzięki temu jesteś kimś bardzo szczególnym? Wiesz, że sam Noe był albinosem?

– Noe z arki? – Sylas nigdy o tym nie słyszał.

– Tak, ten Noe z arki – uśmiechnął się Aringarosa. – Był albinosem. Tak jak ty miał skórę białą jak anioł. Pomyśl nad tym. Noe zbawił i uratował życie na naszej planecie. Jesteś przeznaczony do wielkich czynów, Sylasie. Pan nasz nie uwolnił cię z kajdan bez powodu. Masz powołanie. Pan potrzebuje cię, byś wykonywał Jego dzieło.

Z czasem Sylas nauczył się widzieć siebie samego w innym świetle. Jestem czysty. Biały. Nieskazitelny. Jak anioł. Na razie jednak w tym surowym pomieszczeniu w murach Opus Dei słyszał tylko głos swego ojca, rozczarowany głos szepczący mu na ucho gdzieś z głębin przeszłości.

*Tu es un désastre. Un spectre.*

Sylas ukląkł na drewnianej podłodze i modlił się o przebaczenie. Potem zrzucił z siebie habit i znowu sięgnął po dyscyplinę.



Walcząc z drążkiem skrzyni biegów, Langdon z trudem wyprowadził porwaną taksówkę na drugi koniec Lasku Bulońskiego, przy czym tylko dwa razy zgasł mu silnik. Humorystyczny aspekt tej sytuacji nie cieszył ich, niestety, bo dyspozytor przedsiębiorstwa taksówkowego wciąż wywoływał ich przez radio.

– *Voiture cinq-six-trois. Où êtes-vous? Répondez!*

Przy wyjeździe z parku Langdon przełknął swą męską dumę i nacisnął na hamulec.

– Lepiej ty prowadź.

Sophie spadł kamień z serca, kiedy siadała za kierownicą. Parę sekund później samochód z cichym pomrukiem silnika gładko sunął na zachód. Jechali teraz Allée de Longchamp, zostawiając za sobą „ogród ziemskich rozkoszy”.

– W którą stronę do rue Haxo? – spytał Langdon, widząc, że Sophie pruje ponad sto kilometrów na godzinę.

– Taksówkarz mówił, że to niedaleko kortów tenisowych Rolanda Garrosa. Znam tę okolicę.

Langdon znowu wyciągnął ciężki klucz z kieszeni i badał jego wagę na dłoni. Intuicja mówiła mu, że jest to przedmiot niezwykle. Być może nawet klucz do jego wolności.

Wcześniej, opowiadając Sophie o templariuszach, Langdon zdał sobie sprawę, że ten klucz, oprócz tego, że ma wygrawerowany symbol Prieuré de Sion, ma również i inne, bardziej subtelne powiązania z zakonem. Krzyż o równych ramionach symbolizuje równowagę i harmonię, ale jest również oznaką templariuszy. Każdy widział kiedyś obrazy przedstawiające templariuszy w białych tunikach ozdobionych czerwonym krzyżem o równych ramionach. To prawda, że krzyż templariuszy, podobnie jak krzyż maltański, był lekko rozszerzony na końcach, ale ramiona miał równe.

Krzyż w planie kwadratu. Taki jak ten tutaj.

Langdon poczuł, że wyobraźnia zaczyna pracować i zaczął fantazjować, co takiego mogą znaleźć. Święty Graal. Zaśmiał się prawie w głos na tę absurdalną myśl. Panoowało przekonanie, że Święty Graal znajduje się gdzieś w Anglii, w jakimś schowku w komnacie pod podłogą jednego z wielu kościołów templariuszy, tam gdzie go ukryto w czternastym wieku.

W epoce wielkiego mistrza Leonarda da Vinci.

By dokumenty były bezpieczne, zakon musiał je na przestrzeni wieków kilkakrotnie przenosić. Historycy podejrzewają, że Graal, odkąd przybył z Jerozolimy do Europy, zmienił miejsce pobytu co najmniej sześciokrotnie. Ostatni raz „widziano go” w roku 1447, kiedy to opisywany przez wielu naocznych świadków pożar omal nie zniszczył wszystkich dokumentów zakonu – w ostatniej chwili przeniesiono je w bezpieczne miejsce w czterech ogromnych skrzyniach, które musiało dźwigać po sześciu ludzi. Od tamtej pory nikt już nie utrzymywał, że kiedykolwiek widział Graala. Tu i ówdzie szeptano tylko, że jest ukryty gdzieś w Wielkiej Brytanii, w krainie króla Artura i rycerzy Okrągłego Stołu.

Gdziekolwiek by był, ważne są dwa fakty:

Leonardo wiedział, gdzie jest Graal.

Miejsce ukrycia skarbu prawdopodobnie do dziś dnia pozostaje niezmienione.

W związku z tym entuzjaści i poszukiwacze Świętego Graala studiują obrazy i dzienniki Leonarda da Vinci w nadziei, że odkryją jakieś tajne wskazówki odnośnie do miejsca ukrycia skarbu. Niektórzy twierdzą, że górskie zbocze przedstawione jako tło na obrazie *Madonna ze skał* odzwierciedla dokładnie topografię łańcucha górskiego w Szkocji, w którym jest mnóstwo jaskiń i pieczar. Inni znów upierają się, że dziwne rozstawienie postaci apostołów w *Ostatniej Wieczery* stanowi jakiś kod. Jeszcze inni utrzymują, że po prześwietleniu *Mona Lizy* promieniami Roentgena okazało się, że na pierwotnym obrazie ma ona na szyi wisior z wizerunkiem Izdy – który mistrz później postanowił zamalować. Langdon nigdy nie widział dowodu na istnienie takiego wisiora ani też nie mógł sobie wyobrazić, że ta okoliczność mogłaby zawierać wskazówkę prowadzącą ku Świętemu Graalowi, a jednak współcześni fanatycy Graala dyskutują nad tym do upadłego w Internecie.

Wszyscy kochamy spiski i tajemnice.

A tajemnice i spiski ciągle, rzecz jasna, istnieją. Ostatnio ogłoszono kolejne wstrząsające odkrycie. Obraz Leonarda zatytułowany *Hold Trzech Króli* kryje podobno pod warstwami farby jakieś mroczne sekrety. Maurizio Seracini, włoski historyk sztuki, dokonał odkrycia, które *New York Times Magazine* opisał na czołowej kolumnie w artykule zatytułowanym „Leonardo pod przykrywką”. Seracini wykazał ponad wszelką wątpliwość, że tylko utrzymany w szarości i zieleni szkic do *Holdu Trzech Króli*, znajdujący się pod warstwą farby, jest dziełem Leonarda. Już po śmierci mistrza jakiś anonimowy malarz wypełnił kolorami ten szkic, jak się wypełnia kolorowanek. Prawdziwy problem kryje się jednak pod warstwami farby uzurpatora. Zdjęcia wykonane techniką reflektografii w podczerwieni i zdjęcia rentgenowskie pokazują, że malarz pirat, nakładając farby, odszedł od intencji mistrza, jakby chciał zatrzeć jego prawdziwy zamiar. Nie pokazano jeszcze autentycznego kształtu szkicu Leonarda. Ale zakłopotani urzędnicy Galerii Uffizi we Florencji natychmiast kazali przenieść obraz do magazynów po drugiej stronie ulicy. Zwiedzający salę Leonarda w galerii w miejscu, gdzie kiedyś wisiał *Hold Trzech Króli*, znajdują myślący, suchy komunikat:

#### PLÓTNO W PRZYGOTOWANIU DO RESTAURACJI

W dziwacznym półświatku współczesnych poszukiwaczy Świętego Graala Leonardo da Vinci jest największą zagadką. Jego dzieła zdają się wołać wielkim głosem, że jest w nich jakaś tajemnica, która jednak pozostaje nieznana, może ukryta pod warstwą farby, może zaszyfrowana w szczegółach obrazu, a może wcale nie istnieje. Być może mnogość kuszących wskazówek była tylko pustą obietnicą, którą twórca zostawił po sobie, by irytować ciekawskich, jak tajemniczy uśmiezek na twarzy wszechwiedzącej Mona Lizy.

– Czy to możliwe – spytała Sophie, przywołując Langdona do rzeczywistości – że ten klucz otwiera skarbiec, w którym ukryty jest Święty Graal?

– Nie potrafię sobie tego wyobrazić. – Śmiech Langdona zabrzmiał sztucznie, nawet dla jego własnych uszu. – Poza tym mówi się, że Święty Graal jest ukryty gdzieś w Wielkiej Brytanii, nie we Francji.

– A jednak wydaje się, że to jedyny racjonalny wniosek – upierała się Sophie. – Mamy klucz wyposażony w niezwykle zabezpieczenia, opatrzony znakiem Zakonu Syjonu, przekazany przez członka zakonu – bractwa, które, jak mówisz, strzeże Świętego Graala.

Langdon wiedział, że jej wywód jest logiczny, ale instynkt nie pozwolił mu go przyjąć. Mówiono wprawdzie, że zakon zaprzysiągł, iż kiedyś sprowadzi Graala z powrotem do Francji iłoży w miejscu ostatniego pochówku, lecz nie było z pewnością żadnych historycznych dowodów, które mogłyby wskazywać, że to już się stało. Jeżeli nawet zakonowi udało się sprowadzić Graala do Francji, to adres, pod który jadą, rue Haxo 24, niedaleko kortów tenisowych, nie wyglądał na adres jakiegoś szlachetnego miejsca spoczynku.

– Naprawdę, Sophie, nie mam pojęcia, w jaki sposób ten klucz mógłby się wiązać z Graalem.

– Dlatego że Graal podobno jest przechowywany w Anglii?

– Nie tylko dlatego. Miejsce, w którym schowany jest Święty Graal, jest jednym z najpilniej strzeżonych sekretów w historii ludzkości. Członkowie zakonu latami czekają, by dowieść, że są godni zaufania, zanim zostaną wyniesieni na najwyższe szczeble bractwa i dowiedzą się, gdzie znajduje się Graal. Jego tajemnicy strzeże przemyślny system informacji podzielonych na małe fragmenty i chociaż bractwo zakonne jest

bardzo duże, tylko czterech jego członków wie na pewno, gdzie jest Graal – wielki mistrz i jego trzech seneszałe. Prawdopodobieństwo, że twój dziadek był jednym z nich, jest bardzo niskie.

Mój dziadek był jednym z nich – pomyślała Sophie, wciskając pedał gazu. W jej pamięci tkwił pewien obraz, który bez wątplenia potwierdzał status dziadka w bractwie.

– A nawet jeżeli twój dziadek byłby na wyższych szczeblach bractwa, nigdy nie ujawniłby niczego nikomu spoza ścisłego kręgu wtajemniczonych. Jest nie do pomyślenia, że mógłby wprowadzić ciebie w wewnętrzny krąg zakonu.

Ja już tam byłam – pomyślała Sophie, przypominając sobie rytuały w podziemiach domu w Normandii. Zastanawiała się, czy to dobry moment, żeby opowiedzieć o tym Langdonowi. Od dziesięciu lat zwykły wstyd powstrzymywał ją od podzielenia się tym z kimkolwiek. Na samą myśl o tym czuła dreszcz niechęci. Gdzieś w oddali wyły syreny, a ją opadało coraz większe zmęczenie.

– Tam! – powiedział głośno Langdon, zobaczywszy widoczny w pobliżu wielki kompleks kortów tenisowych Rolanda Garrosa.

Sophie, manewrując po wąskich uliczkach, powoli zmierzała w kierunku stadionu. Minąwszy kilka większych skrzyżowań, w końcu znaleźli rue Haxo, skręcili i ruszyli w kierunku zmniejszającej się numeracji. Miał tu swoje siedziby drobny przemysł i biznes.

Numer dwadzieścia cztery – mówił do siebie Langdon i złapał się na tym, że wodzi oczami po horyzoncie linii dachów, szukając wieży kościelnej. Nie bądź śmieszny. Zapomniany kościół templariuszy tutaj, w tej dzielnicy?

– To tam! – powiedziała Sophie, wskazując palcem.

Langdon powiódł wzrokiem po budynku. Co to, na Boga?

Budynek był nowoczesny. Przypominał przysadzistą cytadelę. Na szczycie fasady widniał ogromny neonowy krzyż o równych ramionach. Pod spodem był napis:

### **BANK DEPOZYTOWY ZURYCHU**

Langdon był rad, że nie zdradził się przed Sophie ze swoich nadziei, że znajdą tu kościół templariuszy. Skłonność do doszukiwania się ukrytych znaczeń nawet tam, gdzie ich nie ma, to obciążenie zawodowe specjalistów od symboli. Langdon uzmysłowił sobie teraz, że przecież krzyż pokoju o równych ramionach został przyjęty jako – jakże adekwatny – emblemat neutralnej Szwajcarii.

W końcu tajemnica została rozwiązana. Sophie i Langdon mieli w rękach klucz do skrytki depozytowej w banku szwajcarskim.

Za murami Castel Gandolfo powiew górskiego wiatru bijący do góry wzdłuż skały przepłynął nad szczytem, a potem przemknął równo z wysokim wzgórzem, przyprawiając biskupa Aringarosę, wychodzącego właśnie z fiata, o chłodny dreszcz. Powinienem być włożyć na siebie coś jeszcze – pomyślał, próbując zwalczyć gęsią skórkę. Dzisiaj absolutnie nie może wyglądać na człowieka przestraszonego lub słabego.

Zamek Gandolfo był teraz całkiem ciemny, jedynie na najwyższym piętrze budynku paliły się światła i rzucały niesamowity blask na mury. To biblioteka – pomyślał Aringarosa – nie śpią i czekają. Skulił się przed kolejnym podmuchem wiatru i szedł ku wejściu, nie patrząc już w górę, ku kopułowemu obserwatorium.

Ksiądz, który go przywitał przy drzwiach, wyglądał na zaspanego. Był to ten sam ksiądz, który otwierał Aringarosie pięć miesięcy temu – dziś bez ciepłych, gościnnych gestów.

– Martwiliśmy się o Waszą Świątobliwość, księżo biskupie – powiedział, spoglądając na zegarek. Wyglądał jednak bardziej na wytrąconego z równowagi niż zmartwionego.

– Przepraszam. Tak trudno dzisiaj polegać na liniach lotniczych.

Ksiądz wymamrotał coś niezrozumiałego pod nosem, a potem powiedział:

– Jest ksiądz biskup oczekiwany na górze. Proszę ze mną.

Biblioteka była obszernym kwadratowym pomieszczeniem, wyłożonym od podłogi do sufitu ciemnym drewnem. Na wszystkich ścianach wznosiły się ku górze półki, na których stały stare woluminy. Marmurowa podłoga miała kolor bursztynu, przy ścianie biegł pasek z czarnego bazaltu, miłe wspomnienie po tym, że ta budowla kiedyś była pałacem.

– Witamy, księżo biskupie – powiedział męski głos z końca biblioteki.

Aringarosa próbował zorientować się, kto to mówi, ale światła były przyciemnione – znacznie bardziej, niż kiedy był tu pierwszy raz; wtedy wszystko się skrzyło i jaśniało. Noc naglego przebudzenia. Dzisiaj wszyscy siedzieli w szarościach i półcieniach, jakby wstydzając się tego, co ma za chwilę nastąpić.

Aringarosa szedł powoli, godnie. Odróżnił trzy sylwetki mężczyzn siedzących przy długim stole przy końcu biblioteki. Kontury sylwetki siedzącego w środku rozpoznał natychmiast – był to tłusty sekretarz watykański, który pilnował spraw prawnych Stolicy Piotrowej. Pozostali dwaj byli wysoko postawionymi włoskimi kardynałami.

Aringarosa przemierzył odległość od drzwi do stołu, przy którym siedzieli.

– Uprzejmie przepraszam za tę godzinę i za zmęczenie, jakie zapewne jej towarzyszy – powiedział. – Żyjemy w różnych strefach czasowych.

– Nic nie szkodzi – odpowiedział sekretarz z dłońmi splecionymi na potężnym brzuchu. – Jesteśmy wdzięczni, że ksiądz biskup fatygował się z tak daleka. Z naszej strony to drobiazg, że posiedzieliśmy tu, czekając na Waszą Eminencję. Czy możemy zaproponować kawę albo coś innego do picia?

– Wolałbym, żebyśmy nie udawali, że to wizyta towarzyska. Muszę jeszcze złapać samolot. Możemy więc przystąpić do rzeczy?

– Oczywiście – zgodził się sekretarz. – Ksiądz biskup działa szybciej, niż się spodziewaliśmy.

– Naprawdę?

– Mamy jeszcze miesiąc.

– Niepokoje watykańskie dobiegły moich uszów pięć miesięcy temu – powiedział Aringarosa. – Na co miałem czekać?

– Rzeczywiście. Jesteśmy bardzo radzi, że wszystko tak szybko idzie.

Wzrok Aringarosy powędrował wzdłuż stołu ku ogromnej czarnej teczce.

– Czy jest to, o co prosiłem?

– Tak. – W głosie sekretarza wyczuwał niepewność. – Chociaż muszę przyznać, że jesteśmy trochę zaniepokojeni tą prośbą. To wydaje nam się dosyć...

– Ryzykowne – dokończył za niego jeden z kardynałów. – Czy jest ksiądz biskup pewien, że nie możemy tej sumy przelać do jakiegoś banku? Jest to suma ogromna, przechodząca wszelkie wyobrażenia.

Wolność kosztuje.

– Nie obawiam się o swoje bezpieczeństwo. Bóg jest ze mną. – Kardynałowie nie wyglądali na przekonanych. – Ale kwota jest w takiej postaci, o jaką prosiłem? – upewniał się Aringarosa.

Sekretarz skinął głową.

– Obligacje na okaziciela o dużych nominałach wydane przez Bank Watykański. Wymienialne na gotówkę na całym świecie.

Aringarosa podszedł do końca stołu i otworzył teczkę. Wewnątrz były dwa stopy obligacji, na każdej z nich herb Watykanu i w nagłówku słowo *PORTATORE*, co znaczyło, że każdy, kto okazał taką obligację, mógł ją zamienić na gotówkę.

– Muszę powiedzieć, księżo biskupie, że wszyscy czulibyśmy się zrzętniej i pewniej, gdyby ksiądz poprosił o gotówkę.

Nie uniósłbym takiej ilości gotówki – pomyślał Aringarosa, zamykając teczkę.

– Obligacje można wymienić na gotówkę. Przecież sam ksiądz to powiedział.

Kardynałowie spojrzeli po sobie niepewnie i w końcu jeden z nich się odezwał:

– Tak, ale bardzo łatwo prześledzić, skąd te obligacje pochodzą. Z Banku Watykańskiego.

Aringarosa uśmiechnął się do siebie. Właśnie to był powód, dla którego Nauczyciel zasugerował, żeby Aringarosa pobrał całą kwotę w obligacjach watykańskich. Było to swojego rodzaju zabezpieczenie. Teraz wszyscy tkwimy w tym po uszy.

– Jest to całkowicie legalna transakcja – bronił się Aringarosa. – Opus Dei jest papieską prałaturą personalną, a Jego Świątobliwość może rozporządzać pieniędzmi tak, jak mu się podoba. Nie złamaliśmy tu żadnego prawa.

– To prawda, lecz jednak... – Sekretarz pochylił się do przodu, a krzesło, na którym siedział, zatrzeszczało pod jego ciężarem. – Nie wiemy, co ksiądz biskup zamierza zrobić z tymi pieniędzmi i czy to jest całkowicie legalne...

Nastąpiła dłuższa chwila milczenia.

Wiedzą, że mam rację – pomyślał Aringarosa.

– Rozumiem, że powinienem teraz coś podpisać?

Wszyscy trzej zerwali się, podtykając mu jakiś papier, jakby chcieli, żeby jak najprędzej wyszedł.

Aringarosa przyjrzał się leżącemu na stole dokumentowi. Na pierwszej stronie widniała pieczęć papieska.

– Czy to identyczne z kopią, którą otrzymałem?

– Najzupełniej.

Sam był zdziwiony chłodem emocjonalnym, który czuł, podpisując dokument. A pozostali świadkowie tego aktu chyba odetchnęli z ulgą.

– Dziękujemy, księżo biskupie – powiedział sekretarz watykański. – Kościół nie zapomni waszych zasług.

Aringarosa chwycił teczkę, uniósł ją i poczuł, że w tym ciężarze kryje się obietnica władzy. Wszyscy czterej spoglądali na siebie przez chwilę w milczeniu, jakby oczekując, że ktoś jeszcze coś powie, ale słowa okazały się zbędne. Aringarosa odwrócił się i ruszył ku drzwiom.

- Wasza Eminencjo? – zawołał za nim jeden z kardynałów, zatrzymując go w drzwiach.
- Słucham? – biskup zawahał się i odwrócił.
- Dokąd dalej, jeśli wolno spytać?

Aringarosa zrozumiał, że ciekawość watykańskiego urzędnika jest bardziej natury duchowej niż geograficznej. Nie miał jednak zamiaru o tej porze omawiać kwestii etycznych.

- Do Paryża – powiedział, przekraczając próg Biblioteki Watykańskiej, i wyszedł.

## ROZDZIAŁ 42

Bank Depozytowy Zurychu to bank *Geldschrank*, czynny całą dobę, oferujący pełny zakres anonimowych usług, zgodnie z najlepszą tradycją szwajcarskich kont z dostępem wyłącznie przez numer rachunku – z oddziałami w Zurychu, Kuala Lumpur, w Nowym Jorku i Paryżu. Bank niedawno rozszerzył zakres usług i teraz oferuje skrytki depozytowe sterowane generowanym komputerowo kodem źródłowym z anonimowym zabezpieczeniem w formie cyfrowej.

Fundamentem całej operacji jest jedna z najstarszych i najprostszych ofert – *anonyme Lager* – przechowywanie cennych depozytów tak, by o tym, co zawiera anonimowa skrytka depozytowa, wiedział jedynie klient, który może w skrytce przechowywać wszystko – od papierów wartościowych, akcji do bezcennych dzieł sztuki – może ją też anonimowo opróżniać i wypełniać dzięki najnowszej technologii elektronicznej, która gwarantuje absolutną dyskrecję.

Kiedy Sophie parkowała taksówkę przed frontem banku, Langdon przyglądał się budynkowi przywodzącemu na myśl zły sen architekta i miał wrażenie, że poczucie humoru nie jest zjawiskiem, które w Depozytowym Banku Zurychu ceni się najwyżej. Był to prostopadłościan bez okien, który na pierwszy rzut oka wyglądał na wykonany w całości ze stali. Przypominał ogromną metalową cegłę. Stał nieco oddalony od ulicy, a nad jego frontonem świecił na czerwono trzymetrowej wysokości neon w kształcie równoramiennego krzyża.

Banki szwajcarskie słyną z dyskrecji, dzięki czemu usługi bankowe stały się jednym z najbardziej lukratywnych produktów eksportowych tego kraju. Placówki takie jak ta są dosyć kontrowersyjne z punktu widzenia świata sztuki, ponieważ mogą stanowić doskonałe miejsce przechowywania skradzionych przedmiotów nawet przez lata, aż głośne kradzieże pójdą w zapomnienie. Z uwagi na to, że złożone w banku depozyty są chronione przed zakusami policji przez przepisy prawa cywilnego, a skrytki depozytowe są komputerowo przypisane numerom rachunków, a nie osobom, złodzieje mogą spać spokojnie, wiedząc, że nikt nie skojarzy skradzionego przedmiotu z właścicielem skrytki.

Sophie zatrzymała taksówkę przy imponującej bramie zagrządzającej podjazd do banku – cementową alejką, która schodziła w dół i znikąca gdzieś w głębi budynku. Kamera wideo była wycelowana wprost w nich, a Langdon miał nieodparte wrażenie, że – w odróżnieniu od Luwru – ta była prawdziwa.

Opuściła okno po stronie pasażera i przyjrzała się konsoli stojącej przed podjazdem od strony kierowcy. Polecenia, które można było wybrać na ciekłokrystalicznym ekranie, były w siedmiu językach. Na samej górze listy widniało zdanie instrukcji po angielsku.

### WŁÓŻ KLUCZ

Sophie wzięła usiany otworami złoty klucz i jeszcze raz spojrzała na ekran. Poniżej ekranu widniał trójkątny otwór.

– Coś mi mówi, że będzie pasować – powiedział Langdon.

Sophie przytknęła trójkątny trzpień klucza do otworu i wsunęła go do środka. Klucz wszedł do końca, aż do podstawy uchwytu. Chyba nie trzeba go obracać. Brama natychmiast zaczęła się otwierać. Sophie zdjęła nogę z hamulca i podjechała do drugiej bramy i drugiego ekranu komputerowego. Pierwsza brama zamykała się za nią, odcinając ich, jak odcina się okręt w doku.

Langdonowi nie spodobało się uczucie zamknięcia. Miejmy nadzieję, że druga brama również się otworzy. Na drugim ekranie były takie same wskazówki.

### WŁÓŻ KLUCZ

Kiedy Sophie włożyła klucz, druga brama otworzyła się natychmiast. W chwilę później jechali w dół rampą, wjeżdżając do wnętrza budynku jak do brzucha wieloryba.

Na zadaszonym parkingu, małym i przyciemnionym, były miejsca dla około dwunastu samochodów. Na samym końcu Langdon ujrzał główne wejście do budynku. Przez cementową podłogę prowadził czerwony dywan, zapraszając gości, by przeszli do ogromnych drzwi, które na pierwszy rzut oka wydawały się wykonane z grubej stali.

Przekazują mieszane komunikaty – pomyślał Langdon. – Witamy i nie wchodzić.

Sophie zaparkowała taksówkę na wolnym miejscu parkingowym tuż przy wejściu i wyłączyła silnik.

– Lepiej zostaw broń w środku.

Z przyjemnością – pomyślał Langdon, wsuwając pistolet pod siedzenie.

Sophie i Langdon wysiedli z samochodu i szli po czerwonym dywanie w kierunku stalowych drzwi. Nie było w nich klamki, ale na ścianie obok drzwi zobaczyli kolejny trójkątny otwór. Tym razem nie było już żadnych wskazówek.

– System eliminuje tych, którzy się wolno uczą – powiedział Langdon.

Sophie zaśmiała się nerwowo.

– No, to idziemy.

Włożyła klucz w otwór, a drzwi, cicho mrucząc, otworzyły się powoli do wewnątrz. Wymieniwszy spojrzenia, Sophie i Langdon weszli do środka. Drzwi zamknęły się za nimi z głuchym jęknięciem.

W holu Depozytowego Banku Zurychu wystrój był imponujący, Langdon nigdy jeszcze nie widział czegoś takiego. Podczas gdy większość banków zadowalała się polerowanym marmurem i granitem, tu królował metal i nity.

Kto im to zaprojektował? – pomyślał Langdon. – Potentat przemysłu stalowego?

Sophie wyglądała na przestraszoną, niepewnie wodziła oczami po holu.

Szary metal był wszędzie – na podłodze, na ścianach, drzwiach, kontuarach, nawet fotele wyglądały na wykonane według nowoczesnych koncepcji – z profilowanej stali. Tak czy owak, efekt był imponujący, a przekaz bardzo czysty i jasny. Wchodzisz do wnętrza sejfów.

Kiedy weszli, potężnie zbudowany mężczyzna siedzący za kontuarem podniósł na nich wzrok. Wyłączył mały telewizorek i przywitał ich sympatycznym uśmiechem. Pomimo ogromnych muskułów i dobrze widocznej krótkiej broni pod marynarką w jego dykcji i wymowie wyczuwało się manierę szwajcarskiego boja hotelowego.

– *Bonsoir* – powiedział. – Czym mogę służyć?

Powitanie w dwóch językach było najnowszym trikiem gościnności Europejczyków. Niczego nie przesądzało i otwierało drzwi wszystkim gościom na tyle szeroko, że mogli odpowiedzieć w tym języku, w którym czuli się swobodniej.

Sophie nie odezwała się, tylko położyła na kontuarze przed mężczyzną złoty klucz.

Ten spojrział na klucz i natychmiast się wyprostował.

– Oczywiście. Winda czeka na końcu holu. Zawiadomię kogoś, że państwo jedziecie.

Sophie kiwnęła głową i wzięła klucz.

– Które piętro?

Mężczyzna spojrział na nią dziwnie.

- Pani klucz przekazuje stosowne instrukcje windzie.
- A rzeczywiście. – Uśmiechnęła się.

Pracownik ochrony patrzył, jak dwoje nowo przybyłych udaje się w kierunku windy, kobieta wkłada klucz do otworu, wchodzi do środka i znikają. Kiedy tylko drzwi za nimi się zamknęły, złapał za telefon. Nie dzwonił, żeby zawiadomić kogoś o ich przybyciu; nie było takiej potrzeby. System wywoławczy sejfów już został automatycznie wzbudzony, kiedy klucz klienta znalazł się w otworze zewnętrznej bramy wjazdowej.

Ochroniarz dzwonił do kierownika nocnej zmiany pracowników banku. Słuchał sygnału w telefonie, a jednocześnie znów włączył telewizor i patrzył na ekran. Dziennik telewizyjny, który właśnie oglądał, już się kończył. To jednak nie miało żadnego znaczenia. Przyjrzał się jeszcze raz dwóm twarzom w telewizorze.

- *Oui?* – odezwał się w telefonie głos kierownika.
- Mamy tu pewną delikatną sytuację.
- Co się dzieje?
- Policja francuska ściga dzisiaj dwoje uciekinierów.
- No i?
- Oboje właśnie weszli do naszego banku.
- Kierownik zaklął pod nosem.
- Dobrze. Skontaktuję się natychmiast z panem Vernetem.
- Pracownik ochrony odłożył słuchawkę i znów zadzwonił. Tym razem do Interpolu.

Langdon był zdziwiony, że winda jedzie w dół, a nie w górę. Nie miał pojęcia, ile pięter już zjechali pod poziom ulicy, przy której stał Bank Depozytowy Zurychu, zanim drzwi windy znowu się otworzyły. Za bardzo go to jednak nie obchodziło. Był szczęśliwy, że może już wyjść z ciasnego pomieszczenia.

Ożywiony i uprzejmy pracownik banku, który stał przy windzie, żeby ich przywitać, uśmiechał się do nich uprzejmie. Starszy człowiek o wytwornych manierach, w porządnie odprasowanym flanelowym garniturze, robił wrażenie kogoś dziwnie nie na miejscu – bankier ze starego świata, otoczony najnowszą techniką i elektronicznymi gadżetami.

– *Bonsoir* – powiedział mężczyzna. – Dobry wieczór. Bardzo proszę za mną, *s'il vous plaît*. – Nie czekając na ich odpowiedź, odwrócił się i zważym krokiem ruszył wąskim metalowym korytarzem.

Langdon i Sophie przechodzili różnymi korytarzami, mijając wielkie sale wypełnione świąteczkami komputerów.

– *Voici* – powiedział przewodnik, podchodząc do stalowych drzwi i otwierając je przed nimi. – Proszę bardzo.

Langdon i Sophie weszli do zupełnie innego świata. Niewielki pokój, który rozpościerał się przed nimi, wyglądał jak komfortowo urządzonej salon w staromodnym hotelu. Nie było już metalowych ścian ani nitów, były za to orientalne dywany, meble z ciemnego dębu i miękkie fotele. Na ogromnym biurku na środku pokoju, obok otwartej butelki wody mineralnej Perrier, w której wciąż było widać bąbelki idące od dna, stały dwie szklanki z rżniętego kryształu. Tuż obok dzbanek parującej, aromatycznej kawy.

Jak w zegarku – pomyślał Langdon. – Zaufajcie Szwajcarom.

Mężczyzna uśmiechnął się do nich, jakby się czegoś domyślał.

– Czuję, że to państwa pierwsza wizyta w naszym banku.

Sophie zawahała się, a potem skinęła głową.

– Rozumiem. Klucze często przekazywane są w spadku, a goście, którzy przychodzą do nas po raz pierwszy, są zwykle niepewni, jak wygląda procedura. – Zrobił ręką gest w kierunku stolika z wodą i kawą. – To pomieszczenie jest do państwa dyspozycji tak długo, jak będą państwo mieli ochotę z niego korzystać.

– Mówi pan, że klucze często są dziedziczone? – spytała Sophie.

– Tak jest rzeczywiście. Państwa klucz jest jak numerowane konto w szwajcarskim banku, a takie konta przekazywane są często z pokolenia na pokolenie. Najkrótszy czas wynajmu sejfów dla naszych złotych rachunków wynosi pięćdziesiąt lat. Płatne z góry. Więc oglądamy tutaj całe pokolenia.

– Pięćdziesiąt lat? – odezwał się Langdon zdziwiony.

– To jest minimum – odpowiedział gospodarz. – Można oczywiście zapłacić za znacznie dłuższe okresy wynajmu, ale jeżeli nie ma innych instrukcji, to zawartość takiego sejfów po pięćdziesięciu latach jest automatycznie niszczone. Czy mogą państwa poprowadzić przez kroki procedury dostępu do waszego sejfów?

– Bardzo proszę – Sophie skinęła głową.

Gospodarz wskazał na luksusowy salon gestem dłoni.

– To pomieszczenie służy do tego, byście państwo mogli spokojnie i w atmosferze prywatności przejrzeć zawartość skrytki depozytowej. Kiedy ja wyjdę, możecie tutaj spędzić tyle czasu, ile wam trzeba, aby się przyjrzeć i ewentualnie zmienić zawartość skrytki depozytowej, która zjawi się... tam. – Zaprowadził ich do ściany przy końcu pomieszczenia, gdzie zobaczyli przenośnik taśmowy łagodnym łukiem wcinający się w architekturę salonu, trochę przypominający podajniki bagażu na lotniskach. – Trzeba włożyć klucz tu, w ten otwór... – Mężczyzna wskazał spory panel elektroniczny ustawiony na wprost przenośnika. Na panelu był dobrze im już znany trójkątny otwór. – Kiedy nasz komputer potwierdzi oznaczenia na kluczu, trzeba wprowadzić numer konta, a państwa skrytka depozytowa zostanie w całości i automatycznie wyjęta przez specjalnego robota z sejfów znajdującego się pod poziomem podłogi tak, byście państwo mogli ją obejrzeć. Kiedy już skończycie, trzeba ją umieścić z powrotem na przenośniku, znów włożyć klucz i cały proces powtórzy się w odwrotną stronę. Z uwagi na to, że wszystko jest zautomatyzowane, macie państwo zagwarantowaną absolutną prywatność, taką, że nawet pracownicy banku nie mogą wiedzieć, co znajduje się w skrytce. Gdybyście państwo czegokolwiek potrzebowali, trzeba tylko nacisnąć guzik na biurku na środku pomieszczenia.

Sophie właśnie miała zadać pytanie, kiedy zadzwonił telefon. Mężczyzna był nieco stropiony i zmieszany.

– Bardzo przepraszam. – Podszedł do telefonu stojącego na stoliku tuż obok kawy i wody mineralnej. – *Oui?* – powiedział do słuchawki. Słuchał i marszczył czoło. – *Oui... oui... d'accord* – odłożył słuchawkę, a potem uśmiechnął się do nich niepewnie. – Przepraszam, ale muszę już iść. Rozgoście się tutaj państwo i czujcie się jak u siebie w domu. – Ruszył szybko w kierunku drzwi.

– Bardzo przepraszam – zawołała za nim Sophie. – Czy mógłby nam pan jeszcze coś wyjaśnić? Wspomniał pan, że musimy wprowadzić numer rachunku.

Mężczyzna zatrzymał się przy drzwiach, twarz miał bladą.

– Ależ oczywiście. Tak jak w większości banków szwajcarskich każda skrytka depozytowa ma swój numer, i właśnie on ją wywołuje, a nie nazwisko. Macie państwo klucz, a wasz osobisty numer rachunku znacie tylko wy. Klucz jest zaledwie połową identyfikacji skrytki. Osobisty numer rachunku jest drugą połową. Bo gdybyście na przykład zgubili klucz, każdy mógłby tu wejść i skorzystać z niego.

– A jeżeli osoba, od której otrzymałam klucz... – Sophie zawahała się – nie dała mi numeru rachunku?  
Serce bankiera zabiło mocniej. Wtedy oczywiście nie macie tu nic do roboty! Uśmiechnął się do nich spokojnie.  
– Poproszę, żeby przysłano państwu kogoś do pomocy. Ta osoba wkrótce tu się zjawi.  
Wychodząc, bankier zamknął za sobą drzwi i przekreślił klucz w masywnym zamku, odcinając ich od świata.

Po drugiej stronie miasta Collet stał przy stacji kolejowej Gare du Nord, kiedy zadzwonił telefon. To był Fache.

– Interpol dostał cynk – powiedział. – Niech pan się już nie zajmuje pociągami, Collet. Langdon i Neveu właśnie weszli do paryskiego oddziału Banku Depozytowego Zurychu. Chcę, żeby nasi ludzie pojawili się tam natychmiast.  
– Mamy jakieś nowe wątki na temat tego, co Saunière chciał przekazać agentce Neveu i Robertowi Langdonowi?  
– Jeśli pan ich aresztuje, poruczniku Collet – odpowiedział chłodno Fache – będzie pan mógł zapytać ich osobiście.  
Collet zrozumiał przytyk.  
– Rue Haxo dwadzieścia cztery. Już jadę, panie kapitanie. – Wyłączył telefon i włączył krótkofalówkę, żeby powiadomić swoich ludzi.

André Vernet – prezes paryskiego oddziału Banku Depozytowego Zurychu – mieszkał w komfortowo urządzonej mieszkanie na piętrze, tuż nad bankiem. Pomimo przepychu i wygodnego umeblowania zawsze marzył o tym, by kupić sobie mieszkanie nad brzegiem rzeki, mieszkać nad l'Île Saint-Louis, gdzie mógłby spotykać się z prawdziwymi *cognoscenti*, a nie tutaj, gdzie codziennie miał do czynienia tylko z obrzydliwie bogatymi.

Kiedy pójść na emeryturę – mówił sobie Vernet – wypełnię piwniczkę rzadkimi rocznikami bordeaux, ozdobię salon płótnami Fragonarda, a może Bouchera i będę spędzał całe dnie, polując na stare meble i rzadkie książki w Dzielnicy Łacińskiej.

Dziś w nocy Vernet został obudzony przed sześcioma i pół minutami. Mimo to, kiedy pospieszonym krokiem szedł przez podziemny korytarz banku, wyglądał, jakby jego osobisty krawiec i fryzjer przed chwilą wypuścili go z rąk. W nieskazitelnym jedwabnym garniturze, Vernet prysnął sobie odświeżaczem w usta i poprawił krawat, nie zwalniając kroku. Budzono go o różnych porach, by zajął się klientami z zagranicy, którzy przyjeżdżali z różnych stref czasowych, więc budzenie w środku nocy nie było dla niego niczym nowym. Vernet w swoich zwyczajach odpoczynku nocnego naśladował wojowników z plemienia Masajów – afrykańskiego szczepu słynącego z tego, że potrafią obudzić się z najgłębszego snu i w ciągu kilku sekund być w stanie pełnej gotowości do bitwy.

Gotowość wojenna – pomyślał Vernet, obawiając się, że dziś w nocy to określenie może być nieoczekiwane stosowne. Przybycie klienta ze złotym kluczem zawsze wymagało od niego specjalnej uwagi, ale pojawienie się klienta ze złotym kluczem, którego poszukuje policja kryminalna, to sytuacja niezwykle delikatna. Bank już miał dosyć potyczek z policją na temat prawa klientów do prywatności, kiedy nie było dowodu, że któryś z nich jest przestępcą.

Pięć minut – powiedział sobie Vernet. Muszę wyprowadzić tych ludzi z banku, zanim przyjedzie policja.

Gdyby działał szybko, to katastrofę, która nadchodziła jak tajfun, można byłoby zręcznie zażegnać. Vernet mógłby powiedzieć, że uciekinierzy rzeczywiście weszli do banku tak, jak o tym policji doniesiono, ale z uwagi na to, że nie byli klientami banku i nie mieli numeru rachunku, zawrócono ich. Szkoda, że ten cholerny ochroniarz zadzwonił do Interpolu. Dyskrecja – tego słowa najwyraźniej nie było w słowniku strażnika, któremu płacono piętnaście euro za godzinę.

Przystanął w drzwiach, wziął głęboki oddech i rozluźnił mięśnie. Potem, zmuszając się do uprzejmego uśmiechu, otworzył drzwi i wtargnął do pokoju jak ciepła bryza od morza.

– Dobry wieczór – powiedział, odszukując wzrokiem klientów. – Nazywam się André Vernet. Czym mogę państwu słu... – Reszta słowa utknęła mu gdzieś pod jabłkiem Adama. Kobieta stojąca przed nim była najbardziej nieoczekiwanym gościem, jakiego kiedykolwiek miał.

– Przepraszam, czy my się znamy? – zapytała Sophie. Nie rozpoznawała bankiera, ale przez chwilę wyglądał, jakby zobaczył ducha.

– Nie... – wymamrotał bankier. – Chyba... nie. Nasze usługi są anonimowe. – Wypuścił z płuc powietrze i zmusił się do spokojnego uśmiechu. – Mój asystent powiedział mi, że macie państwo złoty klucz, ale nie macie numeru rachunku. Czy mógłbym zapytać, jak weszliście w jego posiadanie?

– Dał mi go mój dziadek – odparła Sophie, przyglądając się uważnie dyrektorowi banku. Był niespokojny i zdenerwowany, a teraz jego stan ducha jeszcze bardziej się uwidocznił.

– Naprawdę? Pani dziadek dał pani klucz, ale nie dał numeru rachunku?

– Chyba nie miał czasu – powiedziała Sophie. – Zamordowano go dziś wieczór.

– Jacques Saunière nie żyje? – Mężczyzna zrobił krok do tyłu, jakby uderzył go impet słów Sophie. – Ale... jak?! – zapytał z lękiem w oczach.

– Znał pan mojego dziadka? – zdumiała się Sophie.

Dyrektor banku, André Vernet, wyglądał na równie zaskoczonego, opierał się o krawędź stołu, żeby ustać na miejscu.

– Byliśmy starymi przyjaciółmi. Kiedy to się stało?

– Dziś wieczorem. W Muzeum Luwru.

Vernet podszedł do przepastnego skórzanego fotela i opadł bezwładnie na poduszki.

– Muszę państwu zadać bardzo ważne pytanie. – Spojrzał na Langdona, a potem na Sophie. – Czy któreś z państwa miało cokolwiek wspólnego z jego śmiercią?

– Nie! – odparła Sophie. – Absolutnie nie.

Vernet miał ponury wyraz twarzy i przez chwilę milczał, nad czymś się zastanawiając.

– Wasze zdjęcia porzyszył wszędzie Interpol. Dlatego was rozpoznałem. Jesteście poszukiwani za morderstwo.

Ta informacja poraziła Sophie. Fache już zdążył powiadomić Interpol? Okazało się, że kapitan ma silniejszą motywację, niż sądziła. Powiedziała naprędce Vernetowi, kim jest Langdon i co się stało tego wieczoru w Luwrze.

– I pani dziadek, umierając, zostawił pani wiadomość, żeby pani odszukała pana Langdona? – zdumiewał się Vernet.

– Tak. I ten klucz. – Sophie położyła złoty klucz na stoliku do kawy przed Vernetem w ten sposób, że znak zakonu był niewidoczny.

– Zostawił pani tylko ten klucz? – Vernet spojrzął na klucz, ale nie sięgnął po niego. – Nic więcej? Nawet kawałek papieru?

Będąc w Luwrze, Sophie bardzo się spieszyła, ale była absolutnie pewna, że za płótnem Leonarda nie było nic innego. Tylko klucz.

– Nic. Tylko klucz.

– Niestety – westchnął ciężko Vernet. – Ten klucz jest sparowany elektronicznie z dziesięciocyfrowym numerem rachunku, który funkcjonuje jak hasło dostępu. Bez tego numeru pani klucz nie ma żadnej wartości.

Dziesięć cyfr. Sophie niechętnie obliczyła szanse kryptograficzne. Dziesięć miliardów możliwych kombinacji. Nawet gdyby mogła wykorzystać najsilniejsze komputery DCPJ i sprzęgnąć je razem, to na tego typu obliczenia potrzebowałyby tydzień, aby złamać kod.

– Ale zważywszy na okoliczności, na pewno może nam pan jakoś pomóc – powiedziała.

– Przykro mi bardzo. Naprawdę nic nie mogę zrobić. Klienci wybierają swoje numery rachunków przez bezpieczne terminale, to znaczy, że numer rachunku jest znany wyłącznie klientowi i komputerowi. Tak zapewniamy sobie anonimowość. I bezpieczeństwo naszych pracowników.

Sophie doskonale to rozumiała. Duże sklepy postępowały tak samo. PRACOWNICY NIE MAJĄ KLUCZA DO SEJFU. Bank, co rozumiałe, nie chciał narażać się na ryzyko, że ktoś ukradnie klucz, a potem, trzymając pracownika pod lufą pistoletu, wydobędzie od niego numer rachunku.

Siadła obok Langdona, popatrzyła na klucz, a potem na Verneta.

– Czy wie pan może, co mój dziadek przechowywał w pańskim banku?

– Absolutnie nie. Tego nie może wiedzieć nikt oprócz niego, bo taka jest istota banku *Geldschrank*.

– Panie Vernet – drążyła dalej – mamy dzisiaj bardzo mało czasu. Będę z panem szczerą i powiem wprost. – Sięgnęła po złoty klucz i przekreśliła go na drugą stronę, patrząc Vernetowi w oczy, kiedy odsłaniała emblemat Zakonu Syjonu. – Czy ten symbol na kluczu coś panu mówi?



Vernet spojrział na wygrawerowany symbol lilii i nie zareagował.

– Nie, ale wielu naszych klientów każe grawerować na kluczach logo swoich firm lub inicjały.

Sophie westchnęła, nie spuszczać z niego oczu.

– Ten emblemat jest symbolem tajnego stowarzyszenia znanego pod nazwą Zakon Syjonu.

– Nie mam o tym pojęcia. – Vernet nadal nie okazywał żadnej reakcji. – Pani dziadek był moim przyjacielem, ale mówiliśmy głównie o interesach. – Bankier poprawił krawat i widać było, że zaczyna się denerwować.

– Panie Vernet – naciskała Sophie stanowczym tonem. – Dziadek zadzwonił dzisiaj do mnie i powiedział, że jesteśmy w wielkim niebezpieczeństwie. Powiedział, że musi mi coś dać. Dał mi klucz do pana banku. Teraz dziadek nie żyje. Wszystko, co może nam pan powiedzieć, będzie bardzo pomocne.

Na czole Verneta pojawiły się krople potu.

– Musimy się wydostać z budynku. Boję się, że policja będzie tu bardzo szybko. Mój strażnik poczuł się w obowiązku powiadomić Interpol.

Sophie właśnie się tego obawiała. Spróbowała ostatni raz.

– Mój dziadek powiedział, że musi mi powiedzieć prawdę o rodzinie. Czy to coś panu mówi?

– *Mademoiselle*, pani rodzina zginęła w wypadku samochodowym, kiedy była pani jeszcze dzieckiem. Bardzo mi przykro. Wiem, że dziadek bardzo panię kochał. Wspominał mi kilkakrotnie w rozmowie, iż bardzo go boli to, że straciliście ze sobą kontakt.

Sophie milczała.

– Czy zawartość skrytki depozytowej ma coś wspólnego z Sangrealem? – zapytał Langdon.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi. – Vernet rzucił Langdonowi dziwne spojrzenie.

W tej chwili zadzwonił telefon komórkowy i bankier wyciągnął go z etui na pasku.

– *Oui?* – Przez chwilę słuchał bez słowa ze zdziwieniem, a potem zaniepokojeniem. – *La police? Si rapidement?* – Zaklął, wydał kilka szybkich poleceń po francusku, a potem powiedział, że będzie za chwilę w holu. Wyłączył telefon i zwrócił się do Sophie. – Policja zareagowała znacznie szybciej niż zwykle. Już podjeżdżają pod drzwi banku.

Sophie nie miała zamiaru wyjść z pustymi rękami.

– Niech pan im powie, że przyjechaliśmy, ale już nas nie ma. Jeżeli chcą przeszukać bank, proszę zażądać nakazu przeszukania. To im zajmie jakiś czas.

– Proszę posłuchać – powiedział Vernet. – Jacques był moim przyjacielem, a mój bank nie potrzebuje tego rodzaju reklamy; z tych dwóch powodów nie mam zamiaru dopuścić do aresztowania na terenie banku. Proszę mi dać kilka minut, zobaczę, co się da zrobić, żebyście mogli wyjechać z banku niepostrzeżenie. To mogę dla was zrobić, ale nic więcej. – Wstał i podszedł do drzwi. – Proszę tutaj zostać. Wszystko przygotuję i zaraz wracam.

– Ale skrytka depozytowa – powiedziała Sophie. – Nie możemy tak po prostu wyjść.

– Nie mogę państwu pomóc – powiedział Vernet, pospiesznie zamykając za sobą drzwi. – Bardzo mi przykro.

Sophie patrzyła na niego jeszcze przez chwilę, zastanawiając się, czy może numer konta dałoby się odnaleźć w niezliczonych listach i paczkach, które jej dziadek wysyłał przez te wszystkie lata i których ona nie otwierała.

Langdon nagle wstał, a Sophie zobaczyła w jego oczach niespodziewany błysk zadowolenia.

– Śmiejesz się, Robercie?

– Twój dziadek był geniuszem.

– Co takiego?

– Dziesięć cyfr?

Sophie jeszcze nie chwyciła.

– Numer rachunku – powiedział z charakterystycznym półśmiechem na twarzy. – Jestem prawie pewien, że zostawił nam jednak numer rachunku.

– Gdzie?

Langdon wyciągnął wydruk fotografii z miejsca zbrodni i rozłożył go na stoliku. Sophie rzuciła tylko okiem na pierwszą linijkę i zrozumiała.

13-3-2-21-1-1-8-5  
Miano czorta li dolina na video.  
PS. Znajdź Roberta Langdona.

## ROZDZIAŁ 44

– Dziesięć cyfr – powiedziała Sophie, a jej dusza kryptografa zadrżała z radości.

1 3 - 3 - 2 - 2 1 - 1 - 1 - 8 - 5

*Grand-père* zapisał numer rachunku na podłodze w Muzeum Luwru!

Kiedy Sophie po raz pierwszy zobaczyła ciąg Fibonacciego zapisany na parkiecie podłogi Luwru tak, że na pierwszy rzut oka nie można było go odczytać, uznała, że jedynym powodem, dla którego dziadek go tam zostawił, było sprowokowanie DCPJ do wezwania kryptografów i zaangażowania w całą sprawę Sophie. Potem zdała sobie sprawę, że te cyfry są również wskazówką, jak rozszyfrować pozostałe linijki – ciąg rozrzucony... anagram liczbowy. Teraz, zdumiona, zrozumiała, że te cyfry mają kolejne ważne znaczenie. Niemal na pewno są ostatnim kluczem otwierającym tajemniczą skrytkę depozytową dziadka.

– Był mistrzem dwuznaczności – powiedziała Sophie do Langdona. – Uwielbiał wszystko, co ma wiele warstw znaczeń. Kody wplecione w kody.

Langdon ruszył w kierunku ekranu ciekłokrystalicznego ustawionego obok przenośnika taśmowego. Sophie wzięła w rękę wydruk komputerowy i poszła za nim. Pod ekranem była klawiatura podobna do tych, jakie spotyka się w bankomatach. Na ekranie widniało logo banku w kształcie krzyża. Obok klawiatury był trójkątny otwór. Sophie, nie tracąc czasu, włożyła trzpień klucza do otworu. Ekran natychmiast ożył.

NUMER RACHUNKU:

-----

Kursor zapalał się i gasł. Czekał.

Dziesięć cyfr. Sophie odczytywała cyfry z wydruku, a Langdon je wprowadzał.

NUMER RACHUNKU:

1332211185

Kiedy wprowadził ostatnią cyfrę, ekran znów ożył. Pojawił się komunikat w kilku językach. Na samej górze angielski.

### OSTRZEŻENIE

Przed naciśnięciem przycisku potwierdzającego numer rachunku proszę sprawdzić jego zgodność. Ze względów bezpieczeństwa, jeśli komputer nie rozpozna numeru rachunku, nastąpi automatyczne zamknięcie systemu.

– *Fonction terminer* – powiedziała Sophie, marszcząc czoło. – Wygląda na to, że mamy tylko jedno podejście. Zazwyczaj bankomaty pozwalają użytkownikowi na trzy podejścia i dopiero kiedy za trzecim razem PIN jest błędny, bankomat konfiskuje kartę. Ale to oczywiście nie jest zwykła maszyna do wypłacania pieniędzy.

– Numer jest właściwy – potwierdził Langdon, sprawdzając dokładnie cyfra po cyfrze to, co wprowadzili na ekran i porównując z wydrukiem. Wskazał ruchem dłoni na klawisz ENTER. – Wał, Sophie!

Sophie wyciągnęła palec wskazujący w kierunku klawiatury i zawahała się, bo teraz zaczęła ją nękać inna dziwna myśl.

– Śmiało – zachęcał ją Langdon. – Vernet za chwilę tu będzie.

– Nie – cofnęła dłoń. – To nie jest właściwy numer rachunku.

– Ależ jest! Dziesięć cyfr. A cóż innego?

– Cyfry są zbyt przypadkowe.

– Zbyt przypadkowe? Każdy bank radzi klientom, aby wybierali numer PIN przypadkowo, wówczas nikt nie zdoła go odgadnąć. Klienci w tym banku na pewno otrzymywali podobne rady i numery rachunku wybierali jak najbardziej przypadkowo.

Sophie skasowała wszystko, co właśnie wprowadzili na ekran, i spojrzała na Langdona z całkowitą pewnością siebie.

– Wydaje mi się to dziwnym zbiegiem okoliczności, żeby te na pozór przypadkowe cyfry, składające się na numer rachunku, można było znów przekształcić w ciąg Fibonacciego.

Langdon zrozumiał, o co jej chodzi. Sophie wcześniej ustawiła ten numer rachunku w ciąg Fibonacciego. To znaczy, że można to zrobić.

Sophie znów była przy klawiaturze i wprowadzała inny numer, jak gdyby z pamięci.

– Kiedy przypominam sobie, że dziadek tak bardzo kochał kody i symbole, wydaje mi się logiczne, że wybrały taki numer rachunku, który coś dla niego znaczy, coś, co mógłby łatwo zapamiętać. – Skończyła wpisywać cyfry na klawiaturze i uśmiechnęła się nieśmiało. – Coś, co wyglądałoby na przypadkowe... A jednak przypadkowe by nie było.

Langdon spojrzał na ekran.

NUMER RACHUNKU

1123581321

Jeden rzut oka i wiedział, że ona ma rację.

Ciąg Fibonacciego.

1-1-2-3-5-8-13-21

Kiedy ciąg Fibonacciego wtopi się w dziesięciocyfrową liczbę, staje się w zasadzie nierozpoznawalny. Łatwo go zapamiętać, lecz wydaje się zupełnie przypadkowy. Genialny dziesięciocyfrowy kod, którego Saunière nigdy by nie zapomniał. Poza tym wyjaśniałoby to doskonale, dlaczego poprzedzające cyfry zapisane na podłodze muzeum Luwru dały się ułożyć w ten słynny ciąg.

Sophie sięgnęła ręką i nacisnęła klawisz ENTER.

Nic.

Przynajmniej nic, co mogliby zobaczyć.

W tej samej chwili pod ich nogami, w ogromnym podziemnym skarbcu banku, ożyło ramię robota na linii przypominającej linię produkcji samochodów. Potężne ramię zakończone chwytakiem ruszyło na podwójnej szynie podwieszanej u sufitu w poszukiwaniu właściwych współrzędnych. Na betonowej podłodze pod systemem transportowym leżały setki identycznych plastikowych pojemników ułożonych na potężnej siatce... Jak rzędy małych trumien w podziemnej krypcie.

Chwytnak zatrzymał się z cichym poszumem na właściwym miejscu ponad podłogą i zjechał w dół, a elektroniczne oko skanera odczytało kod kreskowy na plastikowym pojemniku. Potem z komputerową precyzją chwytnak zamknął się na solidnym uchwycie plastikowej skrzyni i podciągnął ją prosto w górę. Teraz do działania włączyły się nowe przekładnie, a chwytnak przeniósł skrzynię na sporą odległość, aż do końca pomieszczenia sejfu i zatrzymał się ponad nieruchomym pasem przenośnika taśmowego.

Teraz ramię opuściło się delikatnie nad przenośnikiem, oddało pojemnik i odsunęło się w górę.

Kiedy ramię już było puste, przenośnik ożył i z cichym poszumem ruszył wraz z pojemnikiem...

Sophie i Langdon odetchnęli z ulgą, kiedy zobaczyli, że taśma przenośnikowa ruszyła. Stojąc tuż przy gumowym pasie, czuli się jak zmęczeni podróżni w punkcie odbioru bagażu, oczekujący na tajemniczą walizkę o zagadkowej zawartości.

Przenośnik taśmowy wjechał do pomieszczenia po ich prawej stronie przez wąski otwór poniżej klapy w ścianie. Metalowa kłapa schowała się w ścianę nad przenośnikiem i zobaczyli wielki plastikowy pojemnik wyłaniający się z czeluści banku, leżący na idącym ukosem w górę przenośniku taśmowym. Pojemnik był wykonany z czarnego, grubego, wytłaczanego plastiku, znacznie większy, niż go sobie wyobrażali. Wyglądał jak skrzynia transportowa używana do przewozów lotniczych, lecz bez żadnych otworów wentylacyjnych.

Pojemnik podjechał i zatrzymał się tuż przed nimi.

Langdon i Sophie stali przed nią w milczeniu, przyglądając się tajemniczemu pojemnikowi.

Tak jak wszystko w tym banku, skrzynia była przemysłowa – miała metalowe zapięcia, kod kreskowy przyklejony na wieku i wytłaczany ciężki uchwyt. Sophie przypominała wielką skrzynkę na narzędzia.

Nie tracąc czasu, Sophie odpięła dwa metalowe zapięcia z przodu skrzyni. Potem rzuciła spojrzenie Langdonowi. Razem podnieśli ciężkie wieko i opuścili je w tył.

Zrobili krok do przodu i zajrzeli do wnętrza skrzyni.

Na pierwszy rzut oka Sophie wydawało się, że jest pusta. Potem coś zobaczyła. W głębi skrzyni. Pojedynczy przedmiot.

Wypolerowana drewniana szkatułka miała wymiary pudełka po butach i bogato zdobione zawiasy. Drewno było błyszczące, koloru głębokiej purpury, z wyraźnie odznaczającymi się słojami. Drewno różane – przypominała sobie Sophie. Ulubione drewno jej dziadka. Wieko szkatułki zdobita pięknie intarsjowana róża. Sophie i Langdon spojrzeli na siebie ze zdziwieniem. Pochyliła się i chwyciła szkatułkę, a potem wyciągnęła ją na zewnątrz.

Boże, jakie to ciężkie!

Zaniosła ją ostrożnie i postawiła na dużym stole na środku pokoju. Langdon stanął tuż przy niej i oboje spoglądali na szkatułkę ze skarbem, po którą dziadek ich tam wysłał.

Langdon przyglądał się ze zdumieniem cudownej intarsji ręcznie rzeźbionej z drewna różanego – róży o pięciu płatkach. Widział tego rodzaju różę wielokrotnie.

– Róża o pięciu płatkach – szepnęła – jest symbolem zakonu oznaczającym Świętego Graala.

Sophie odwróciła się i spojrzała na niego. Langdon zgadywał, co ona myśli, i on również myślał o tym samym. Rozmiary szkatułki, waga tego, co zawiera, i symbol zakonu oznaczający Graala wskazywały na jedną niewiarygodną konkluzję. W tej drewnianej szkatułce znajduje się kielich Chrystusa. Langdon raz jeszcze powiedział sobie, że to niemożliwe.

– Ma idealne wymiary... – szepnęła Sophie – na... kielich.

To nie może być kielich.

Sophie przyciągnęła do siebie szkatułkę, zamierzając ją otworzyć. Kiedy ją jednak przesunęła, wydarzyło się coś niespodziewanego. Z wnętrza szkatułki usłyszeli dziwny chłopot.

Langdon aż podskoczył. Czy tam jest jakiś płyn?

– Ty też to słyszałeś...? – Sophie była równie zdumiona.

Langdon skinął głową, zupełnie zagubiony.

– Jakiś płyn.

Sophie sięgnęła ręką i powoli odemknęła maleńki zatrzask, a potem podniosła wieko.

Przedmiot znajdujący się w szkatułce nie przypominał Langdonowi niczego, co by kiedykolwiek w życiu widział. Jednego tylko mogli teraz być pewni ponad wszelką wątpliwość. To z pewnością nie był kielich Chrystusa.

## ROZDZIAŁ 45

– Policja blokuje całą ulicę – powiedział André Vernet, wchodząc do pomieszczenia dla klientów banku. – Wyciągnięcie was stąd będzie trudne.

Kiedy zamknął za sobą drzwi, zobaczył na transporterze taśmowym ciężką plastikową skrzynię i zatrzymał się w pół kroku. Mój Boże! Udało im się dostać do depozytu Saunière'a?

Sophie i Langdon stali przy stole pochyleni nad czymś, co wyglądało jak spora szkatułka na biżuterię. Sophie natychmiast zamknęła wieko i spojrzała na Verneta.

– Okazało się, że jednak mieliśmy numer rachunku – powiedziała.

Vernet nie mógł wydobyć z siebie słowa. To diametralnie zmieniało sytuację. Z szacunkiem odwrócił oczy od szkatułki i spróbował sobie wyobrazić następny ruch. Muszę ich wyciągnąć z banku! Ale policja już ustawiła blokadę i w związku z tym Vernet widział tylko jeden sposób.

– *Mademoiselle* Neveu, czy gdybym mógł wyprowadzić państwa bezpiecznie z banku, będziecie chcieli zabrać ze sobą ten przedmiot, czy też będziecie chcieli go umieścić z powrotem w sejfie bankowym?

Sophie spojrzała na Langdona, a potem z powrotem na Verneta.

– Musimy to zabrać.

– Doskonale. – Vernet skinął głową. – A zatem, niezależnie od tego, co to jest, proponuję, panie Langdon, żeby pan to owinął w marynarkę i nie afiszował się z tym, kiedy będziemy przechodzić przez hol. Wolałbym, żeby nikt tego przy was nie widział.

Kiedy Langdon zdejmował marynarkę, Vernet podszedł pospiesznie do transportera taśmowego, zamknął teraz już pustą plastikową skrzynię i wpisał przez klawiaturę kilka prostych komend. Przenośnik taśmowy znów ożył, a wraz z nim plastikowy pojemnik ruszył z powrotem w kierunku sejfu. Vernet wyciągnął złoty klucz z trójkątnego otworu i wręczył go Sophie.

– Tędy, proszę. Szybko.

Kiedy dotarli na tyły banku, do pomieszczeń, gdzie ładowano ciężarówki, Vernet zobaczył czerwono-fioletowy poblask policyjnych świateł przelazających przez drzwi podziemnego garażu. Zmarszczył czoło. Policja prawdopodobnie blokuje wyjazd na ulicę. Czy uda mi się wykręcić ten numer? Dyrektor banku był cały spocony.

Pokazał gestem ręki jedną z mniejszych opancerzonych furgonetek zaparkowanych w rzędzie. *Transport sûr* był kolejną usługą oferowaną przez Bank Depozytowy Zurychu.

– Proszę wejść do środka, na pakę – powiedział, otwierając masywne tylne drzwi furgonetki i wskazując ręką jej błyszczące stalowe wnętrze. – Ja zaraz przyjdę.

Kiedy Sophie i Langdon wdrapali się do furgonetki, Vernet przeszedł pospiesznie przez cały garaż do biura kierownika odpowiedzialnego za wyjazdy, otworzył sobie drzwi, wziął klucze do furgonetki i znalazł kurtkę od munduru i czapkę kierowcy. Zdjął marynarkę i krawat i zaczął wkładać kurtkę kierowcy. Po chwili zastanowienia włożył pod mundur skórzaną kaburę. Wychodząc, wziął z półki pistolet służbowy kierowcy, włożył magazynek i wsadził broń do kabury, a potem zapiął guziki kurtki. Kiedy wrócił do furgonetki, wcisnął sobie głęboko na czoło czapkę kierowcy i spojrzał na Sophie i Langdona, którzy stali wewnątrz pustej stalowej skrzyni.

– Pewnie będzie wam rażniej z tym – powiedział, sięgając do środka, do włącznika na ścianie i zapalając jedną jedyną żarówkę umieszczoną na suficie pomieszczenia ładowni furgonetki. – Lepiej usiądźcie. Postarajcie się zachowywać bardzo cicho, kiedy będziemy wyjeżdżać przez bramę.

Sophie i Langdon usiedli na metalowej podłodze. Langdon trzymał w dłoniach ich skarb owinięty w tweedową marynarkę. Vernet zamknął dwuczęściowe masywne drzwi i przekręcił klucz, odcinając ich od świata. Potem wsiadł do środka i zapalił silnik.

Kiedy opancerzona furgonetka pięła się w górę, w kierunku rampy wyjazdowej, Vernet czuł, że krople potu zbierają mu się pod czapką kierowcy. Zobaczył, że na zewnątrz jest znacznie więcej świateł samochodów policyjnych, niż się spodziewał. Furgonetka wjechała na rampę, a wtedy brama wewnętrzna otworzyła się do wewnątrz, by go przepuścić. Vernet podjechał jeszcze parę metrów i odczekał, aż brama zamknie się za nim i zadziała następny czujnik. Otworzyła się kolejna brama, a za nią znak do wyjazdu.

Niestety. Samochody policyjne blokowały sam szczyt rampy. Vernet otarł czoło i ruszył do przodu.

Szczupły oficer policji zrobił krok w jego kierunku i gestem ręki kazał mu się zatrzymać kilka metrów od blokady. Przed frontem banku stały cztery patrolowe wozy policyjne.

Vernet zatrzymał furgonetkę. Naciągnął głębiej na oczy czapkę kierowcy i starał się zachowywać tak prostacko, jak tylko pozwalało mu jego wykwintne wychowanie. Nie ruszył się z za kółka, otworzył drzwi i popatrzył w dół na agenta policji o ziemistej cerze i poważnym wyrazie twarzy.

– *Qu'est-ce qui se passe?* – spytał Vernet, naśladowując paryski akcent.

– *Je suis Jérôme Collet* – odpowiedział agent. – *Lieutenant Police Judiciaire*. – Wskazał na pakę furgonetki. – *Qu'est-ce qu'il y a là dedans?*

– Niech mnie szlag trafi, jeżeli wiem – odpowiedział Vernet robociarską francuszczyzną. – Jestem tylko kierowcą.

Na Collecie nie zrobiło to żadnego wrażenia.

– Szukamy dwojga przestępców.

Vernet zaśmiał się głośno.

– No to dobrze trafiliście. Te gnoje, dla których jeżdżę, mają tyle kasy, że na pewno coś przeskrobali.

Agent podetknął mu przed oczy zdjęcie paszportowe Roberta Langdona.

– Czy ten mężczyzna był dzisiaj wieczorem u was w banku?

– Nie mam pojęcia – wzruszył ramionami Vernet. – Ja siedzę tylko w garażu dla furgonetek. Nas nie dopuszczają do klientów. Musi pan iść i zapytać w recepcji.

– Wasz bank żąda nakazu przeszukania. Inaczej nie chcą nas wpuścić.

– No tak, biurokraci. – Twarz Verneta wyrażała niesmak. – O nich szkoda gadać.

– Niech pan otworzy tył. – Collet wskazał na stalowe drzwi furgonetki.

Vernet popatrzył na agenta i zaśmiał się nieprzyjemnie.

– Otworzyć furgonetkę? Myśli pan, że mam klucze? Myśli pan, że mają do nas zaufanie? Powinien pan zobaczyć pasek mojej wypłaty.

Agent przechylił głowę na bok i popatrzył na niego sceptycznie.

– Mówi pan, że nie ma pan kluczy do własnej ciężarówki?

– Do paki nie. – Vernet pokręcił głową. – Tylko do stacyjki. Zanim furgonetka wyjedzie, opieczętowała ją kierownik, który odpowiada za transport. Potem samochód czeka w garażu, a ktoś zawozi klucze tam, dokąd mamy jechać. Dostajemy telefon, że klucze ma już klient odbierający i wtedy wolno mi wyjechać. Ale ani o sekundę wcześniej. Ja nigdy nie wiem, jakie gówno tam wiozę.

– A tę ciężarówkę kiedy opieczętowano?

– Pewnie kilka godzin temu. Jadę aż do St. Thuriau. Klucze do paki już tam są.

Agent nie odpowiedział, przewiercając go wzrokiem, jakby próbował odczytać myśli Verneta.

Za chwilę na czubek nosa Verneta spłynęła kropla potu.

– Mogę? – spytał, ocierając nos rękawem i pokazując ręką na samochód policyjny blokujący wyjazd. – Muszę zdążyć na czas.

– Czy wszyscy kierowcy u was noszą rolexy? – spytał agent, pokazując palcem na nadgarstek Verneta.

Vernet spojrział i zobaczył błyszczący pasek jego absurdalnie drogiego zegarka wystający spod mankietu koszuli. *Merde.*

– Ten chłam? Dałem za niego dwadzieścia euro u jakiegoś Tajwańczyka przy St. Germain des Prés. Możesz go pan ode mnie odkupić za czterdzieści.

Agent nic nie powiedział i w końcu zrobił krok w tył.

– Nie, dziękuję. Szerokiej drogi.

Vernet wziął oddech i długo nie wypuszczał powietrza z płuc. Odetchnął pełną piersią dopiero wtedy, kiedy ciężarówka była dobre pięćdziesiąt metrów od budynku banku. Teraz miał kolejny problem. Ładunek. Dokąd mam ich zawieźć?

## ROZDZIAŁ 46

Sylas leżał wyprostowany na materacu w swojej celi, twarzą do dołu, i czekał, aż rany od bicia na plecach zasklepią się i wyschną. Dzisiejsza druga sesja z dyscypliną skończyła się tak, że teraz czuł się słaby i kręciło mu się w głowie. Powinien jeszcze zdjąć opaskę *cilice* i czuć, jak krew zaczyna mu ściekać po wewnętrznej stronie uda. Uznał, że nie zdejmie jej.

Zawiodłem Kościół.

A co gorsza, zawiodłem biskupa.

Dzisiejszy wieczór miał być zbawieniem dla biskupa Aringarosa. Pięć miesięcy temu biskup wrócił ze spotkania w Obserwatorium Watykańskim, gdzie dowiedział się czegoś, co nim głęboko wstrząsnęło. Już nie był tym samym człowiekiem. Popadł w depresję i dopiero po paru tygodniach podzielił się tymi wiadomościami z Sylasem.

– Ależ to niemożliwe! – krzyknął głośno Sylas. – Nie mogę się z tym pogodzić!

– To prawda – powiedział Aringarosa. – Niewyobrażalna prawda. I to już za sześć miesięcy.

Słowa biskupa przeraziły Sylasa. Modlił się o wybawienie, ale nawet w tych ciemnych dniach i godzinach jego wiara w Boga i Drogę nigdy ani na chwilę się nie zachwiała. Miesiąc później cudem rozeszły się chmury i z nieba zaświeciło światło nowych możliwości. Boska interwencja – tak to nazwał Aringarosa.

Biskup po raz pierwszy wydawał się mieć jakąś nadzieję.

– Sylasie – szeptał. – Bóg zesłał nam wskazówkę i możliwość obrony Drogi. Nasza bitwa, tak jak wszystkie bitwy, będzie wymagała poświęceń. Czy zechcesz zostać żołnierzem Chrystusa?

Sylas upadł na kolana przez biskupem Aringarosą – człowiekiem, który dał mu nowe życie – i powiedział:

– Ja jestem barankiem w ręku Boga. A ty prowadź mnie jak pasterz, tam gdzie dyktuje ci serce.

Kiedy Aringarosa opisał mu możliwości, które się przed nimi otworzyły, Sylas wiedział, że będzie tylko ręką Boga i jego ramieniem. Cud przeznaczenia! Aringarosa skontaktował Sylasa z człowiekiem, który zaproponował plan – z człowiekiem, który nazywał siebie Nauczycielem. Chociaż Nauczyciel i Sylas nigdy się nie spotkali, zawsze kiedy rozmawiali przez telefon, Sylas odczuwał lęk, zarówno przed głębią wiary Nauczyciela, jak i przed zasięgiem jego władzy. Wydawało się, że Nauczyciel to człowiek, który zna wszystkich, który ma oczy i uszy wszędzie. Jak Nauczyciel zbierał informacje, tego Sylas nie wiedział, ale Aringarosa wierzył mu niemal bezgranicznie i kazał Sylasowi również mu wierzyć.

– Rób tak, jak ci rozkazuje Nauczyciel – powiedział biskup Sylasowi – a zwycięstwo będzie nasze.

Zwycięstwo.

Sylas patrzył teraz na gołe deski podłogi i zaczynał się naprawdę bać, że zwycięstwo im umknęło. Nauczyciela wystawiono do wiatru. Klucz sklepienia okazał się ślepą uliczką. A to oszustwo położyło kres wszelkiej nadziei.

Żałował, że nie może zadzwonić do biskupa Aringarosa i ostrzec go, ale Nauczyciel na dziś wieczór odciął wszelkie linie bezpośredniej komunikacji. Dla naszego bezpieczeństwa.

W końcu przemógł potężne zniechęcenie, wstał z trudem i znalazł habit leżący na podłodze. Wyciągnął telefon komórkowy z kieszeni. Ze zwieszoną głową wystukał numer na klawiaturze.

– Nauczycielu – szepnął. – Wszystko stracone.

Sylas opowiedział, jak zostali oszukani.

– Za szybko tracisz wiarę – odparł Nauczyciel. – Właśnie otrzymałem wiadomość. Niespodziewaną i upragnioną. Sekret żyje. Jacques Saunière przekazał informację przed śmiercią. Wkrótce do ciebie zadzwonię. Nasza praca na dziś jeszcze nie jest skończona.

Jazda w słabo oświetlonym pomieszczeniu ładunkowym opancerzonej furgonetki przypominała jazdę policyjną suką. Langdon walczył z dobrze sobie znanym uczuciem lęku, które nawiedzało go w ciasnych pomieszczeniach. Vernet powiedział, że wywiezie nas na bezpieczną odległość poza miasto. Dokąd? Jak daleko?

Zesztywniały mu nogi od siedzenia w kucki na metalowej podłodze i zmienił pozycję ciała, krzywiąc się, kiedy poczuł, że krew znowu zaczyna płynąć w udach i podudziach. W ramionach wciąż ścisnął dziwny skarb, który wydobyli z banku.

– Chyba jesteście już na autostradzie – szepnęła Sophie.

Langdon wyczuwał to samo. Ciężarówka po denerwującej przerwie w podróży na szczycie rampy ruszyła dalej, skręcając przez kilka minut raz w lewo, raz w prawo, a teraz chyba przyspieszała. Pod nimi kuloodporne opony szumiały na gładkiej nawierzchni. Langdon zmusił się do skupienia uwagi na szkatułce z różanego drewna, którą trzymał w rękach. Postawił drogocenne zawiniątko na podłodze, odchylił poły marynarki i wyciągnął szkatułkę, a potem przysunął ją do siebie. Sophie zmieniła miejsce i przybliżyła się do niego, tak że teraz siedzieli obok siebie. Langdon nagle poczuł się tak, jak gdyby byli dwójką małych dzieci, które z roziskrzonymi oczami otwierają prezent gwiazdkowy.

W przeciwieństwie do ciepłych kolorów szkatułki z drewna różanego intarsjowana róża została wyrzeźbiona z drewna o bledszym kolorze, prawdopodobnie jesionowego, o widocznie jaśniejszym konturze, lepiej widocznego w stłumionym świetle wnętrza furgonetki. Róża. Całe armie i religie budowano na fundamencie tego symbolu. Budowano na nim tajne stowarzyszenia. Różokrzyżowcy. Rycerze Różanego Krzyża.

– Śmiało – powiedziała Sophie. – Otwórz.

Langdon wziął głęboki oddech. Sięgnął dłonią w kierunku wieczka, ale zanim je otworzył, raz jeszcze spojrzął z podziwem na delikatną robotę snycerską, a potem odsunął zasuwkę i otworzył wieczko, ujawniając przedmiot leżący w szkatułce.

Miał różne wyobrażenia na temat tego, co mogą znaleźć w środku, ale najwyraźniej żadne nie było trafne. Wewnątrz szkatułki, wyłożonej karmazynowym jedwabiem, jak w ptasim gnieździe leżał przedmiot, którego znaczenia nawet nie starał się zrozumieć.

Zobaczył wyrzeźbiony z polerowanego białego marmuru kamienny cylinder, rozmiarami zbliżony do pojemnika na piłki tenisowe. Cylinder wydawał się jednak bardziej skomplikowany, było to coś więcej niż tylko kamienny walec, bo wyglądał na złożony z wielu części. Pięć marmurowych dysków ustawionych jeden na drugim i połączonych delikatną mosiężną ramką. Wyglądało to jak wieloczęściowy, walcowaty kalejdoskop. Na obu końcach cylinder miał marmurowe czapeczki, zatyczki przykrywające go tak, żeby nie można było zajrzeć do środka. Kiedy usłyszał bulgotanie płynu wewnątrz cylindra, stwierdził, że musi być pusty w środku.

Równie tajemnicza jak konstrukcja cylindra była rzeźba wokół jego obwodu, to właśnie ona przyciągnęła przede wszystkim uwagę Langdona. Na każdym z pięciu dysków wyrzeźbiono starannie ten sam nieskładający się w słowa zestaw liter – cały alfabet. Cylinder z literami przypominał Langdonowi jedną z jego zabawek z dzieciństwa – na grubym pręcie nakładało się beczułki z różnymi literami, które można było ustawiać tak, aby składać z nich słowa.

– Zdumiewające, prawda? – szepnęła Sophie.

– Nie wiem. Cóż to jest?

W oczach Sophie pojawił się błysk rozbawienia.

– Te niezwykle przedmioty robił mój dziadek, to było jego hobby. A wymyślił je Leonardo da Vinci.

Nawet w stłumionym świetle Sophie dostrzegła zdziwienie Langdona.

– Leonardo da Vinci? – wymamrotał, przyglądając się pojemnikowi.

– Tak. To się nazywa krypteks. Dziadek mówił, że plany krypteksu pochodzą z sekretnych dzienników Leonarda da Vinci.

– Do czego to służy?

Zważywszy na wydarzenia dzisiejszego wieczoru, Sophie wiedziała, że jej odpowiedź może przynieść pewne interesujące implikacje.

– Jest to swego rodzaju skarbonka – powiedziała. – Przechowuje się w niej tajne informacje.

Langdon jeszcze szerzej otworzył oczy.

Sophie wyjaśniła mu, że tworzenie modeli wynalazków Leonarda da Vinci było jednym z ulubionych zajęć jej dziadka. Był utalentowanym rzemieślnikiem – całymi godzinami przesiadywał w swoim warsztacie stolarskim i snycerskim. Uwielbiał imitować mistrzów rzemiosła – Fabregógo, jubilerów biegłych w sztuce tworzenia przedmiotów techniką *cloisonné*, czyli emalii komórkowej, oraz przedmiotów mniej artystycznych, ale bardziej praktycznych, takich jak te wykonane według projektów Leonarda da Vinci.

Nawet przelotny wgląd w dzienniki Leonarda da Vinci pokazuje, że luminarz sztuk, słynąc ze swojego geniuszu, rzadko kiedy finalizował swoje zamierzenia. Wykonał on setki projektów wynalazków, których nigdy nie wdrożył. Jednym z ulubionych zajęć Saunière'a było ożywianie co bardziej tajemniczych i dziwnych przeblysków geniuszu umysłu Leonarda da Vinci – zegarów, pomp wodnych, krypteksów; zbudował nawet figurkę średniowiecznego rycerza francuskiego o ruchomych kończynach, który stał teraz dumnie na biurku jego gabinetu. Leonardo zaprojektował rycerza w 1495 roku – był to rezultat jego wcześniejszych studiów anatomicznych i kinetostatycznych – wewnętrzny mechanizm robota miał bardzo dokładnie wymodelowane stawy i ścięgna, został zaprojektowany tak, że mógł wstawać, poruszać rękami i kręcić głową w różne strony dzięki ruchomej szyi, jednocześnie otwierając i zamykając anatomicznie prawidłową szczękę. Ten rycerz odziany w zbroję – takie było najgłębsze przekonanie Sophie – jest najpiękniejszym przedmiotem, jaki jej dziadek kiedykolwiek stworzył... To znaczy zanim zobaczyła krypteks w tej szkatułce z różanego drewna.

– Dla mnie też zrobił taki krypteks, kiedy byłam małą dziewczynką – powiedziała Sophie. – Ale nie widziałam tak dużego i ozdobnego jak ten.

Langdon nie spuszczał oczu ze szkatułki.

– Nigdy nie słyszałem o krypteksach.

Sophie wcale się temu nie dziwiła. Większości projektów wynalazków Leonarda nigdy nie badano ani nie nazwano. Określenie krypteks, prawdopodobnie oryginalny pomysł dziadka, trafnie opisuje to urządzenie, które wykorzystuje wiedzę kryptologiczną, by chronić informacje zapisane na papirusie znajdującym się w środku, który nazywa się kodeks.

Sophie wiedziała, że Leonardo da Vinci był pionierem kryptologii, chociaż rzadko mu to przyznawano. Nauczyciele akademicy Sophie, kiedy przedstawiali metody szyfrowania komputerowego, służące zabezpieczeniu danych, chwalili współczesnych kryptologów takich jak Zimmerman i Schneider, ale nie wspominali, że to właśnie Leonardo przed wiekami wymyślał pierwociny kluczy do szyfrowania. Sophie dowiedziała się o tym oczywiście od dziadka.

Kiedy ich opancerzona furgonetka płuła autostradą, Sophie wyjaśniała Langdonowi, że krypteks stanowił rozwiązanie dylematu, jak wysłać bezpiecznie komunikaty i wiadomości na dalekie odległości. W epoce bez telefonów i e-maila każdy, kto chciał przekazać zastrzeżoną informację komuś gdzieś daleko, musiał ją spisać, a potem zawierzyć posłańcowi, który zawiezie list. Niestety, jeżeli posłaniec podejrzewał, że list może zawierać cenne informacje, bardziej opłacało mu się sprzedać je wrogom, niż dostarczyć list do adresata.

Wiele potężnych umysłów w historii ludzkości pracowało i dochodziło do rozwiązań kryptologicznych, które w jakiś sposób chroniły dane: Juliusz Cezar wypracował schemat pisania kodem zwany skrzynką Cezara; Maria królowa Szkocji stworzyła szyfr polegający na podstawianiu

liter i wysyłała tajne wiadomości z więzienia, gdzie była osadzona, a genialny naukowiec arabski Abu al-Kindi chronił swoje tajemnice za pomocą przemyślnego szyfru podstawiania liter z różnych alfabetów.

Leonardo wprzął w swoje dzieło matematykę i kryptologię, by wypracować rozwiązanie mechaniczne.

Krypteks. Przenośny pojemnik chroniący listy, mapy, diagramy i rysunki, w zasadzie wszystko. Informację raz zamkniętą wewnątrz krypteksu wyciągnąć mógł tylko ktoś, kto znał właściwe hasło dostępu.

– Potrzebne nam hasło – powiedziała Sophie, pokazując na dyski z literami alfabetu. – Krypteks działa na podobnej zasadzie jak zamek rowerowy na kombinację cyfr. Jeśli ustawi się cyfry we właściwym układzie, zamek się otwiera. Ten krypteks ma pięć dysków z literami alfabetu. Kiedy się je przekreśli tak, żeby utworzyły właściwą sekwencję, to wewnętrzne tuleje krypteksu ułożą się w linii prostej i będzie można otworzyć cylinder, pociągając za górną i dolną zatyczkę.

– A co jest w środku?

– Kiedy cylinder się już otworzy, będziesz miał dostęp do środkowej części, gdzie może być ukryty zwój papieru z informacjami, które chcesz utajnić.

– I mówisz, że twój dziadek budował ci takie krypteksy, kiedy byłeś dzieckiem? – Langdon nie dowierzał.

– Tak, tyle że mniejsze. Kilka razy na urodziny dał mi krypteks i do tego zagadkę. Odpowiedź na zagadkę była słowem, które otwierało krypteks i kiedy udało mi się je wymyślić, otwierałam krypteks i znajdowałam kartkę urodzinową.

– Musiałaś się napracować dla tej kartki.

– To nie wszystko. Na kartce była zawsze jeszcze jakaś zagadka albo wskazówka. Dziadek uwielbiał wymyślać złożone i zabawne poszukiwania skarbu. Chodziłam po całym domu od wskazówki do wskazówki i w końcu znajdowałam prawdziwy prezent. Każde takie poszukiwanie skarbu było *preuve de mérite* – próbą charakteru i potwierdzeniem, że zasługuję na nagrodę, ponieważ rozwiązałam zadanie. A zadania nigdy nie były łatwe.

Langdon znów spojrzął na urządzenie, które trzymał w rękach, wciąż sceptyczny.

– Ale dlaczego po prostu tego nie oderwać? Albo nie rozbić? Metal wygląda na delikatny, a marmur jest przecież miękkim materiałem.

– Leonardo był na to za sprytny – uśmiechnęła się Sophie. – Tak zaprojektował krypteks, że gdyby ktoś próbował go otworzyć siłą, informacja uległaby samozniszczeniu. Patrz. – Sophie sięgnęła do szkatułki i ostrożnie wyjęła cylinder. – Informację zapisywało się na zwoju papirusu.

– Nie na pergaminie?

Sophie potrząsnęła głową.

– Na papirusie. Wiem, że zwoje pergaminowe robione na bazie jagnięcej skóry są bardziej trwałe i częściej w tamtych czasach ich używano, ale to musiał być papirus. Im cieńszy, tym lepszy.

– W porządku.

– Przed włożeniem do pustej przestrzeni w krypteksie papirus owijano wokół delikatnej szklanej fiolki – potrząsnęła krypteksem i w środku usłyszeli bulgotanie jakiejś cieczy. – Fiolki z płynem.

– Z jakim płynem?

– Z octem.

Langdon myślał chwilę, a potem kiwnął głową.

– Genialne.

Ocet i papirus – myślała Sophie. Gdyby ktoś próbował siłą otworzyć krypteks, szklana fiolka zbiłaby się, a ocet rozpuściłby papirus. Zanim ktokolwiek zdołałby odczytać utajoną wiadomość, papirus byłby niekształtną kulą roślinnej miazgi.

– Jak widzisz – powiedziała Sophie – znajomość właściwego hasła dostępu jest jedynym sposobem na dotarcie do informacji wewnątrz krypteksu. A przy pięciu dyskach, przy czym każdy ma dwadzieścia sześć liter, mamy dwadzieścia sześć do piątej potęgi. – Szybko oszacowała permutację. – Mniej więcej dwanaście milionów możliwości.

– No, skoro tak mówisz – powiedział Langdon i przez chwilę wyglądał tak, jakby mu dwanaście milionów pytań naraz przelatywało przez głowę. – Jak sądzisz, co znajdziemy w środku?

– Niezależnie od tego, co znajdziemy, najwidoczniej mój dziadek bardzo chciał, żeby tę informację utrzymać w tajemnicy.

Zamilkła i zamknęła wieko szkatułki, przyglądając się różę z pięcioma płatkami, intarsjowanej delikatnie jasnym drewnem. Coś nie dawało jej spokoju.

– Mówiłeś, że róża jest symbolem Świętego Graala?

– Właśnie. W symbolice zakonu róża i Graal to właściwe synonimy.

– To dziwne, ponieważ mój dziadek zawsze mi mówił, że róża oznacza tajemniczość. Wieszal różę na drzwiach swojego gabinetu zawsze wtedy, kiedy miał jakiś telefon czy rozmowę, której miałam nie słyszeć, i nie chciał, żebym mu przeszkadzała. Zachęcał mnie, żebym robiła to samo.

Kochanie – mawiał dziadek – zamiast się zamykać w pokojach, moglibyśmy wieszal różę – *la fleur des secrets* – na swoich drzwiach, kiedy chcemy być sami. W ten sposób nauczymy się szacunku dla siebie nawzajem i zaufania. Wieszanie róży to starożytny rzymski zwyczaj.

– *Sub rosa* – powiedział Langdon. – Rzymianie wieszali różę na drzwiach, jeśli chcieli zaznaczyć, że odbywające się za nimi spotkanie jest tajne. A jego uczestnicy doskonale wiedzieli, że wszystko, co się mówiło pod różą – *sub rosa* – jest tajemnicą.

Langdon wyjaśnił Sophie, że atmosfera tajemniczości wokół róży to nie jedyny powód, dla którego zakon posługiwał się nią jako symbolem Graala. *Rosa rugosa*, jeden z najstarszych gatunków róży, ma pięć płatków i pięciokątną symetrię, jak Wenus prowadząca żeglarzy po morzach i oceanach, a to daje różę ikonograficzne powiązania z kobiecością. Ponadto róża jest ściśle związana z pojęciem „właściwego kierunku” w nawigacji – również życiowej. Róża wiatrów pomaga żeglarzom ustalić właściwy kierunek żeglugi, podobnie jak linie róży, czyli południki na mapach. Z tego właśnie powodu róża jest symbolem, który opowiada o Świętym Graalu na wielu poziomach – na poziomie tajemniczości, kobiecości i przewodnictwa – jest kielichem, w którym kryje się element kobiecy, i gwiazdą prowadzącą ku prawdzie.

Kiedy Langdon skończył, nagle na jego twarzy pojawiło się napięcie.

– Co jest, Robercie?

– *Sub... rosa* – Langdon z trudem wymawiał słowa, wzrok utkwiał w szkatułce, a na jego twarzy widać było mieszaninę strachu i niedowierzania. – To niemożliwe.

– Co?

– Pod znakiem róży – wyszeptał. – W tym krypteksie... Chyba wiem, co w nim jest.



Langdon sam sobie nie mógł uwierzyć, a jednak zważywszy na to, kto dał im ten marmurowy cylinder, w jaki sposób im go przekazał, wraz z tą różą na szkatułce, przychodziła mu do głowy jedynie ta myśl.

Mam w rękach klucz sklepienia.

Legenda mówiła wyraźnie.

Klucz jest zaszyfrowanym kamieniem, który leży pod znakiem róży.

– Co się dzieje, Robercie? – Sophie przyglądała mu się uważnie.

– Czy twój dziadek wspominał ci kiedyś o czymś, co nazywa się *la clef de voûte*? – spytał Langdon, zebrawszy myśli.

– Klucz do sejfu? – przetłumaczyła Sophie.

– Nie, to jest przekład dosłowny. *Clef de voûte* jest pospolitym pojęciem z dziedziny architektury. Słowo *voûte* nie oznacza tutaj sejfu bankowego, ale zwornik w konstrukcji łuku półkolistego. Na przykład w sklepieniach.

– Ale sklepienia nie mają zworników.

– Mają. Każdy półkolisty kamienny łuk musi być u szczytu spięty środkowym kamieniem w kształcie klina – kamieniem, który zamyka konstrukcję łuku i przenosi wszystkie obciążenia. Taki kamień nazywa się w terminologii architektonicznej zwornikiem sklepienia, mówi się też o nim klucz sklepienia. – Langdon przyglądał się Sophie uważnie, próbując dostrzec w jej oczach iskierkę zrozumienia.

Sophie wzruszyła ramionami i spojrzała na krypteks.

– Ale to oczywiście nie jest żaden klucz sklepienia.

Langdon nie wiedział, od czego zacząć. Zworniki jako element techniki kamieniarskiej, stosowane w konstruowaniu kamiennych łuków półkolistych, to jeden z najpilniej strzeżonych sekretów pierwszych bractw mularskich. Wtajemniczenie królewskiego łuku. Architektura. Kamienne zworniki. To wszystko było ze sobą powiązane. Sztuka posługiwania się klinem wykutym ze skały do budowy sklepionych, nakrytych łukiem przejść należy do arsenału wiedzy wolnomularzy, która uczyniła z nich zamożnych rzemieślników, i była pilnie strzeżoną tajemnicą. Kluczowi sklepienia towarzyszy otoczka tajemnicy. Ale kamienny cylinder w szkatułce z różanego drewna to coś zupełnie innego. Klucz sklepienia zakonu – jeżeli rzeczywiście to mieli w rękach – był więc czymś, czego Langdon w ogóle nie mógł sobie wyobrazić.

– Klucz zakonu nie jest moją specjalnością – przyznał Langdon. – Zajmuję się Świętym Graalem przede wszystkim z punktu widzenia symboliki, więc raczej nie przywiązywałem wagi do tego, co mówią rozliczne legendy na temat poszukiwań.

– Poszukiwań Świętego Graala?

– Według legendy zakonu – Langdon starannie dobierał słowa – klucz sklepienia zakonu jest zakodowaną mapą... Mapą, która wskazuje miejsce ukrycia Świętego Graala.

– I sądzisz, że to właśnie jest to? – Oczy Sophie nie wyrażały teraz żadnych uczuć.

Langdon nie wiedział, co powiedzieć. Nawet dla niego brzmiało to niewiarygodnie, a jednak był to jedyny logiczny wniosek, jaki się narzucał. Zaszyfrowany kamień ukryty pod znakiem róży.

Fakt, że projekt krypteksu jest dziełem Leonarda da Vinci – kiedyś wielkiego mistrza Zakonu Syjonu – to kolejna znacząca przesłanka przemawiająca za tym wnioskiem. Projekt byłego wielkiego mistrza... Ożywiony kilka wieków później przez innego członka zakonu. Związek był zbyt oczywisty, żeby go móc odrzucić.

Przez ostatnie dziesięć lat historycy szukali klucza sklepienia w kościołach Francji. Poszukiwacze Świętego Graala, obeznani z tym, co w historii zakonu utajnione i wieloznaczne, doszli do wniosku, że *la clef de voûte* oznacza konkretny zwornik – klin konstrukcyjny – grawerowany szyfrem kamień osadzony u szczytu sklepionej łukowatej konstrukcji w jakimś kościele. Pod znakiem róży. W architekturze nie brak róż. Okna okolone różami. Różane reliefy. I oczywiście mnogość *cinquefoils* – pięciopłatkowych reliefów kwiatowych, które często znajdują się u szczytu łuków na wprost zwornika. Miejsce ukrycia wydawało się przewrotnie proste. Mapa prowadząca do Świętego Graala tkwi wysoko, wtopiona w łuk nakrywający przejście w jakimś zapomnianym kościele, szydząc ze ślepoty wszystkich, którzy odwiedzając kościół, przemierzają się pod nią.

– Ten krypteks nie może więc być kluczem sklepienia – rozmyślała głośno Sophie – nie jest dostatecznie stary. Jestem pewna, że wykonał go mój dziadek. Nie jest częścią starej legendy o Świętym Graalu.

– Prawdę mówiąc – odparł Langdon, czując dreszcz ekscytacji – uważa się, że klucz sklepienia stworzono w zakonie stosunkowo niedawno, w ciągu ostatnich kilku dziesięcioleci.

– Ale jeżeli ten krypteks wskazuje miejsce ukrycia Świętego Graala, dlaczego dziadek dawałby go mnie? – Spojrzenie Sophie wyrażało niedowierzanie. – Nie mam pojęcia, jak go otworzyć ani co z nim zrobić. Nie wiem nawet, czym jest Święty Graal!

Langdon stwierdził ze zdziwieniem, że ona ma rację. Nie miał jeszcze okazji wyjaśnić Sophie, czym naprawdę jest Święty Graal. Ta opowieść będzie musiała poczekać. Na razie całą uwagę skupili na kluczu sklepienia.

Jeżeli to rzeczywiście jest to...

Mając w tle poszum kuloodpornych opon furgonetki pędzącej po autostradzie, Langdon szybko opowiedział Sophie wszystko to, co słyszał na temat klucza sklepienia. Podobno przez całe wieki największy sekret zakonu – miejsce ukrycia Świętego Graala – nie został nigdy nigdzie zapisany. Ze względu na bezpieczeństwo tajemnicy przekazywano ją ustnie każdemu nowemu przychodzącemu seneszałowi podczas sekretnej ceremonii. Ale w pewnej chwili dało się słyszeć, że strategia zakonu zmieniła się. Może z uwagi na nowe możliwości podsłuchu elektronicznego – zakon poprzysiągł nigdy więcej nie mówić o miejscu ukrycia uświęconego skarbu.

– Jak więc przekazywano sobie tę tajemnicę? – spytała Sophie.

– I tu właśnie zaczyna się rola klucza sklepienia – wyjaśniał Langdon. – Kiedy umiera jeden z czterech najważniejszych członków zakonu, trzech pozostałych wybierają z niższych kręgów kandydata do godności seneszała. Nie mówią nowemu seneszałowi, gdzie jest ukryty Graal, lecz poddają go próbie, w której będzie mógł udowodnić, że jest godny dostąpić tajemnicy.

Widząc reakcję Sophie, Langdon przypomniał sobie, co mu mówiła – że dziadek urządzał jej poszukiwania skarbu dla udowodnienia, że zasługuje na nagrodę. Trzeba przyznać, że idea klucza sklepienia jest podobna. Ale tego typu próby były bardzo powszechne w tajnych stowarzyszeniach. Słynęli z tych praktyk zwłaszcza wolnomularze – członkowie tego stowarzyszenia pną się na coraz wyższe szczeble, dowodząc, że potrafią dotrzymać tajemnicy, i latami uczestnicząc w rytuałach i w różnorodnych sprawdzianach cnót. Zadania są coraz trudniejsze, aż do kulminacji, kiedy kandydat godny tego zaszczytu jest wprowadzany w trzydziesty drugi krąg masoński.

– A więc klucz sklepienia jest *preuve de mérite* – powiedziała Sophie. – Kandydat do godności seneszała zakonu otrzymuje informację, jeśli dowiedzie, że jest godzien tego, by ją przechowywać.

– Zapomniałem – przyznał Langdon – że masz sporo doświadczenia w tego rodzaju próbach.

– Nie chodzi tylko o dziadka. W kryptologii znamy to pod nazwą „języka samoautoryzacji”. Innymi słowy, jeżeli jesteś na tyle bystry, żeby odczytać informację, masz prawo wiedzieć, co ona zawiera.

– Sophie – podjął znów Langdon z wahaniem. – Zdajesz sobie sprawę, co z tego wynika? Jeżeli to jest klucz sklepienia i twój dziadek miał do niego dostęp, to znaczy, że był w Zakonie Syjonu kimś bardzo znaczącym. Musiał być jednym z czterech najważniejszych członków.

Sophie westchnęła.

– Był kimś bardzo znaczącym w jakimś tajnym stowarzyszeniu. Tego jestem pewna. Mogę przypuszczać, że chodzi o Zakon Syjonu.

– Wiedziałaś, że jest członkiem tajnego stowarzyszenia?

– Dziesięć lat temu widziałam coś, co nie było przeznaczone dla moich oczu. Od tamtej pory nigdy z dziadkiem nie rozmawiałam. – Zamilkła. – Dziadek był w tym kręgu nie tylko kimś wysoko postawionym... Jestem przekonana, że był na szczycie.

Langdon nie mógł uwierzyć własnym uszom.

– Wielkim mistrzem? Ale... jak to możliwe, żebyś o tym nie wiedziała?

– Wolałabym o tym nie rozmawiać. – Sophie odwróciła spojrzenie pełne determinacji i bólu.

Langdon siedział i milczał jak ogłuszony. Jacques Saunière? Wielkim mistrzem? Pomimo wszelkich zadziwiających reperkusji, jeżeli to prawda, Langdon miał niesamowite wrażenie, że wszystko to układa się w niemal doskonałą całość. Przecież poprzedni wielcy mistrzowie zakonu również byli wybitnymi publicznymi postaciami ze świata sztuki. Dowód na to znaleziono wiele lat temu w paryskiej Bibliotece Narodowej w zbiorze dokumentów znanych jako *Dossiers secrets* – Tajne akta.

Każdy, kto interesuje się historią zakonu i każdy maniak poszukiwania Świętego Graala czytał te akta. Autentyczność dokumentów skatalogowanych pod sygnaturą 4° Im<sup>1</sup> 249 została zweryfikowana przez wielu specjalistów. Potwierdzają one niedwuznacznie to, co historycy podejrzewali już od dłuższego czasu, a mianowicie, że wielkimi mistrzami zakonu byli między innymi Leonardo da Vinci, Botticelli, sir Isaac Newton, Victor Hugo, a ostatnio Jean Cocteau, słynny pisarz i malarz francuski.

Dlaczego by więc nie Jacques Saunière?

Langdon gubił się w domysłach, zwłaszcza gdy sobie uprzytomnił, że dziś wieczór miał się spotkać z Saunière'em. Wielki mistrz zakonu umówił się z nią. Po co? Na pogawędkę o sztuce? Wydało mu się to zupełnie nieprawdopodobne. Poza tym, jeżeli instynkt go nie myli, wielki mistrz Zakonu Syjonu właśnie przekazał legendarny klucz sklepienia, należący od wieków do bractwa, swojej wnuczce, polecając jej równocześnie odnaleźć Roberta Langdona.

Niewyobrażalne!

Langdon daremnie szukał okoliczności, które tłumaczyłyby zachowanie Saunière'a. Jeżeli Saunière obawiał się, że może stracić życie, było przecież trzech seneszałów, którzy też znali tajemnicę, a więc gwarantowali bezpieczeństwo zakonu. Dlaczego Saunière podejmowałby tak ogromne ryzyko przekazywania klucza sklepienia swojej wnuczce, zwłaszcza w sytuacji, kiedy od dziesięciu lat z nią nie rozmawiał? Dlaczego miałby wciągać w całą sprawę Langdona... Człowieka całkowicie obcego?

W tej układance ciągle czegoś brak – pomyślał Langdon.

Wyglądało na to, że na odpowiedzi na piętrzące się pytania trzeba będzie jeszcze poczekać. Usłyszeli odgłos coraz wolniej pracującego silnika i oboje podnieśli głowy. Spod opon dochodził dźwięk miażdżonego żwiru. Dlaczego Vernet już zjeżdża z autostrady? – zastanawiał się Langdon. Obiecał, że wywiezie ich za miasto w bezpieczne miejsce. Ciężarówka zwolniła i jechała teraz w ślimaczym tempie po wybojach i wertepach.

Sophie rzuciła Langdonowi niepewne spojrzenie i szybko zamknęła i zabezpieczyła wieko szkatułki. Langdon włożył marynarkę.

Furgonetka zatrzymała się; wciąż słyszeli odgłos pracującego silnika, a zamki w tylnych drzwiach zaczęły się otwierać. Kiedy drzwi stanęły otworem, Langdon ze zdziwieniem stwierdził, że Vernet zaparkował gdzieś w zalesionej okolicy, z dala od drogi. Nagle go zobaczyli. Na jego twarzy malowało się napięcie. W dłoni trzymał pistolet.

– Bardzo mi przykro – powiedział. – Naprawdę, nie miałem wyboru.

André Vernet wyglądał dziwnie z pistoletem, ale w oczach miał determinację i Langdon wiedział, że niemądrze byłoby poddawać go jakimkolwiek próbom.

– Obawiam się, że muszę nalegać – powiedział Vernet, mierząc do nich z broni, kiedy stali oboje na stalowej podłodze furgonetki. – Niech pani postawi to pudełko.

Sophie trzymała mocno szkatułkę, przyciskając ją do piersi.

– Powiedział pan, że dziadek i pan byliście przyjaciółmi.

– Moim obowiązkiem jest ochraniać majątek pani dziadka – odparł Vernet. – I właśnie to czynię. Proszę postawić pudełko na podłodze.

– Mój dziadek zawierzył je mnie! – zaprotestowała Sophie.

– Nie będę więcej dyskutował – powiedział stanowczo Vernet, podnosząc pistolet.

Sophie położyła szkatułkę przy swoich stopach.

Langdon widział teraz, że lufa pistoletu kieruje się ku niemu.

– Panie Langdon – powiedział Vernet – proszę przynieść pudełko tutaj, do mnie. I proszę pamiętać, że każę to zrobić panu, ponieważ do pana nie zawaham się strzelić.

Langdon przyglądał się bankierowi, nie wierząc w to, co się dzieje.

– Dlaczego pan to robi?

– A jak pan myśli? – odparł nerwowo Vernet, a w jego angielszczyźnie słychać było coraz silniejszy obcy akcent. – Bronię powierzonego mi majątku klienta.

– My teraz jesteśmy pana klientami – powiedziała Sophie.

Twarz Verneta była teraz jak maska, uległa niesamowitej przemianie.

– *Mademoiselle Neveu*, nie wiem, jak zdobyła pani klucz i numer rachunku, ale nie ma żadnych wątpliwości, że nie postępowała pani uczciwie. Gdybym wiedział, jakie zbrodnie na was ciąży, nigdy bym wam nie pomógł opuścić banku.

– Mówiłam już – powiedziała Sophie – że nie mieliśmy nic wspólnego ze śmiercią dziadka!

Vernet spojrział na Langdona.

– A jednak w radiu mówią, że jesteście poszukiwani nie tylko za zabójstwo Jacques'a Saunière'a, ale również za zabójstwo trzech innych osób.

– Co takiego? – Langdon był jak rażony piorunem. Trzy inne morderstwa? Ta liczba zrobiła na nim większe wrażenie niż fakt, że to on jest głównym podejrzanym. Wydawało się nieprawdopodobne, że to może być przypadek. Trzej senezale? Langdon opuścił wzrok i spojrział na szkatułkę z różanego drewna. Jeżeli senezale zostali zamordowani, Saunière nie miał wyboru. Musiał komuś przekazać klucz sklepienia.

– Oddam was w ręce policji i już oni się wami zajmą – powiedział Vernet. – Mój bank i tak jest w to za bardzo zamieszany.

Sophie patrzyła z wściekłością na Verneta.

– Panie Vernet, ani przez chwilę nie miał pan zamiaru oddawać nas w ręce policji. W takim razie zawiózłby nas pan z powrotem do banku. Tymczasem pan trzyma nas na muszce gdzieś w lesie za miastem.

– Pani dziadek korzystał z moich usług z jednego powodu, by jego własność była bezpieczna i by nikt się o niej nie dowiedział. Niezależnie od tego, co zawiera to pudełko, nie mam zamiaru pozwolić, żeby ktoś umieścił je na liście dowodów w śledztwie w sprawie o morderstwo. Panie Langdon, proszę mi je przynieść.

Sophie pokręciła głową.

– Nie rób tego.

Nagle huknął strzał i w ścianę nad nimi uderzyła kula. Dudniący odgłos niemal zatrząsnął furgonetką, łuska spadła na podłogę i uderzyła o metal.

Cholera! – Langdon zamarł w miejscu.

Vernet odezwał się teraz tonem, w którym było więcej pewności siebie.

– Panie Langdon, niech pan podniesie to pudełko.

Langdon podniósł je i trzymał w dłoniach.

– Teraz proszę mi je przynieść. – Vernet mierzył z broni w ten sposób, że nie mógłby nie trafić. Stał na ziemi, tuż za tylnym zderzakiem, a broń miał wymierzoną prosto w Langdona i Sophie stojących w tyle furgonetki.

Trzymając szkatułkę, Langdon szedł powoli przez pakę furgonetki w kierunku otwartych tylnych drzwi.

Muszę coś zrobić! – myślał. Za chwilę mu oddam klucz sklepienia zakonu.

Kiedy Langdon szedł w kierunku otwartych drzwi furgonetki, zdał sobie sprawę, że jest trochę wyżej od Verneta, i zaczął się zastanawiać, czy może w jakiś sposób wykorzystać tę przewagę. Lufa pistoletu Verneta, chociaż unosił go lekko w dłoni, była na poziomie kolan Langdona. Może by go tak solidnie kopnąć? Niestety, kiedy Langdon się zbliżał, Vernet chyba wyczuł zmianę w jego postawie i zrobił kilka kroków do tyłu, ustawiając się jakieś półtora metra dalej, poza zasięgiem rąk i nóg swojej ofiary.

– Proszę położyć pudełko przy drzwiach – odezwał się Vernet rozkazującym tonem.

Nie widząc żadnych innych możliwości, Langdon ukląkł i położył szkatułkę na podłodze przy samej krawędzi, dokładnie na wprost otwartych drzwi.

– Teraz proszę wstać.

Langdon zaczął wstawać, ale kątem oka zobaczył maleńką łuskę po naboju na podłodze tuż obok stalowej futryny drzwi furgonetki.

– Proszę wstać i odsunąć się od pudełka.

Langdon przez chwilę jeszcze zwlekał, wodząc wzrokiem wzdłuż stalowego progu. Potem wstał, niepostrzeżenie przesuwając przy tym dłonią łuskę nad krawędzią podłogi, tak żeby wpadła do wąskiego otworu ramy drzwi furgonetki. W końcu podniósł się i zrobił krok do tyłu.

– Cofnąć się do tylnej ściany i odwrócić plecami do mnie.

Langdon posłuchał.

Vernet czuł, że serce wali mu jak młotem. Celując z pistoletu, który trzymał w prawej ręce, lewą sięgnął po drewniane pudełko. Okazało się, że jest za ciężkie. Musi je wziąć w obie ręce. Rzucił okiem na swoich więźniów i skalkulował ryzyko. Oboje stali dobre trzy metry od niego, całkiem z tyłu przestrzeni ładunkowej furgonetki, obróceniu twarzami do ściany. Vernet podjął decyzję. Szybko położył pistolet na zderzaku, uniósł pudełko obiema rękami i położył je na ziemi, a potem natychmiast chwycił pistolet i znów wymierzył go w kierunku przestrzeni ładunkowej furgonetki. Ani Langdon, ani Sophie nie poruszyli się.

Świetnie. Teraz trzeba tylko zamknąć drzwi i przekręcić klucz. Sięgnął ręką do metalowych drzwi i zaczął je zamykać po łuku. Kiedy były już prawie domknięte, Vernet wyciągnął dłoń, żeby przesunąć zasuwę, która musiała się wpasować w odpowiedni otwór. Drzwi zamknęły się z

hukiem, a Vernet szybko chwycił palcami zasuwę i pchnął ją w lewo. Trzpień przesunął się kilka centymetrów, a potem ze zgrzytem zatrzymał się w miejscu, nie dochodząc do tulei, w którą miał się schować. Co jest? Vernet jeszcze raz pociągnął zasuwę i popchnął, ale nie chciała wejść w tuleję. Mechanizm nie był ustawiony osiowo. Drzwi nie są szczelnie zamknięte! Czując falę paniki, uderzył mocno ramieniem w drzwi od zewnątrz, ale to nic nie dało. Coś je blokuje! Vernet odsunął się o krok, żeby z większym impetem uderzyć ramieniem w drzwi, ale w tej chwili skrzydło drzwi odskoczyło i zdzieliło go w twarz, miażdżąc boleśnie nos, i odrzuciło go do tyłu na ziemię. Pistolet wyleciał łukiem w powietrze, a Vernet obejmował dłońmi twarz i czuł na palcach ciepłą krew płynącą z nosa.

Robert Langdon spadł na ziemię gdzieś niedaleko. Vernet próbował wstać, ale nic nie widział. Kręciło mu się w głowie i mieniło w oczach i jeszcze raz upadł na plecy. Sophie Neveu coś krzyczała. Po kilku chwilach Vernet poczuł, że unosi się nad nim chmura kurzu i spalin. Usłyszał chrzęst opon wyrzucających w powietrze żwir i kiedy udało mu się usiąść, zobaczył, że szeroka furgonetka nie wyrobiła się na zakręcie. Przedni zderzak huknął w drzewo. Silnik zawył, a drzewo trochę się ugięło. Słabszy okazał się zderzak, który puścił i częściowo oderwał się od nadwozia. Opancerzona furgonetka ze zwisającym przednim zderzakiem wyprysnęła do przodu. Kiedy dotarła do drogi otoczonej chodnikiem, ciemność nocy oświetliła tryskająca fontanna iskier, znacząc szlak znikającego w oddali pojazdu.

Vernet odwrócił głowę i spojrzał na ziemię, tam gdzie przed chwilą stała jego furgonetka. Nawet w słabej poświacie księżycy widział, że nic tam nie ma. Drewniana szkatułka zniknęła.

## ROZDZIAŁ 50

Nieoznakowany fiat sedan wyjechał za bramę Castel Gandolfo, a potem, serpentynami wcinającymi się w zbocza Wzgórz Albańskich, ruszył w dół, ku dolinie. Siedzący z tyłu biskup Aringarosa uśmiechał się do siebie, czując w aktówce spoczywającej na kolanach ciężar obligacji na okaziciela, i zastanawiał się, ile czasu upłynie, zanim wspólnie z Nauczycielem przystąpią do wymiany.

Dwadzieścia milionów euro.

Za tę sumę Aringarosa kupi sobie władzę, która znaczy więcej niż pieniądze.

Kiedy samochód sunął z powrotem w kierunku Rzymu, Aringarosa złapał się na tym, że znów zadaje sobie pytanie, czemu Nauczyciel jeszcze się z nim nie skontaktował. Wyciągnął telefon komórkowy z kieszeni sutanny i sprawdził sygnał. Ledwo jedna kreska – bardzo słaby.

– Tutaj nie wszędzie jest zasięg – powiedział szofer, spoglądając w lusterko wsteczne. – Za jakieś pięć minut wyjedziemy z gór i sygnał się poprawi.

– Świetnie, dziękuję. – Aringarosa poczuł nagły przypływ niepokoju. W górach nie ma sygnału. Może Nauczyciel próbuje się z nim skontaktować? A nuż wydarzyło się coś złego.

Aringarosa pospiesznie sprawdził pocztę głosową. Nic. Pomyślał sobie, że przecież Nauczyciel nigdy by nie zostawił nagranej wiadomości, zachowywał wielką ostrożność w kwestiach komunikacji. Nikt lepiej niż on nie rozumiał zagrożeń związanych z posługiwaniem się otwartym tekstem. Podśluch elektroniczny odegrał znaczącą rolę w gromadzeniu tajnych informacji, których tak niezwykle zbiór miał Nauczyciel.

Dlatego stosuje dodatkowe środki ostrożności.

Niestety, środki ostrożności narzucone przez Nauczyciela zabraniały Aringarosie jakiegokolwiek kontaktu telefonicznego. Sam się zgłosił – poinformował go Nauczyciel. Więc proszę się nie oddalać od telefonu. Teraz znów, kiedy Aringarosa się zorientował, że komórka mogła nie działać, ogarnął go lęk na myśl, co Nauczyciel mógł sobie pomyśleć, jeżeli wydzwaniał do niego na próżno.

Będzie myślał, że coś jest nie tak. Albo że mi się nie udało zdobyć obligacji. Biskup poczuł na czole kroplę potu. Albo jeszcze gorzej... że wziąłem pieniądze i zwałem!

## ROZDZIAŁ 51

Nawet przy prędkości zaledwie sześćdziesięciu kilometrów na godzinę zwisający przedni zderzak opancerzonej furgonetki ocierał raz po raz o nawierzchnię pustej podmiejskiej drogi i potwornie zgrzytał, sypiąc pióropuszcami iskier w kierunku maski samochodu.

Musimy zjechać z drogi – pomyślał Langdon. Nie miał pojęcia, dokąd zmierzają. Jedyne działający reflektor furgonetki rzucał karykaturalnie przekrzywiony promień światła w bok, na lasy otaczające drogę poza miastem. Widać opancerzenie tej „opancerzonej furgonetki” obejmujące tylko tą część wozu, w której przewozi się ładunek.

Sophie siedziała na siedzeniu pasażera, wpatrując się nieruchomym wzrokiem w szkatułkę z drewna różanego, którą trzymała na kolanach.

– Jak się czujesz? – spytał Langdon, widząc, jak jest wstrząśnięta.

– Wierzysz mi?

– Chodzi ci o te trzy morderstwa? Oczywiście. Daje nam to odpowiedź na wiele pytań – na przykład dlaczego twojemu dziadkowi tak ogromnie zależało na tym, żeby przekazać dalej klucz sklepienia, wyjaśnia to również, dlaczego Fache z taką zawziętością na mnie poluje.

– Nie, chodzi mi o to, czy Vernet rzeczywiście chce chronić swój bank.

Langdon spojrzał na nią zza kierownicy.

– A czegoż innego miałby chcieć?

– No, na przykład zdobyć klucz sklepienia.

Langdonowi nie przyszło to do głowy.

– Skąd miałby wiedzieć, co jest w szkatułce?

– Przecież była przechowywana w jego banku. Znał mojego dziadka. Może coś wiedział. I postanowił zatrzymać Graala.

Langdon potrząsnął głową. Vernet to nie jest ten typ.

– Z moich doświadczeń wynika, że są dwa powody, dla których ludzie poszukują Graala. Albo są naiwni i wierzą, że szukają zaginionego kielicha Chrystusa...

– Albo?

– Albo znają prawdę i czują się zagrożeni. Było wielu ludzi, którzy chcieli zniszczyć Graala.

W ciszy, która zapadła, słysząc było, jak zderzak szoruje o nawierzchnię drogi. Odjechali już parę kilometrów, a Langdon, obserwując pióropusze iskier wydobywające się spod błotnika, zastanawiał się, czy to jest bezpieczne. Gdyby się natknęli na jakiś samochód, z pewnością przyciągnęliby uwagę kierowcy. Powziął więc decyzję.

– Zobaczę, czy uda mi się trochę przygiąć ten zderzak.

Zjechał na pobocze i zatrzymał furgonetkę.

Nareszcie cisza.

Kiedy przechodził w kierunku maski samochodu, złapał się na tym, że nerwy ma napięte jak struny. Widok otworu kolejnej lufy pistoletu tego wieczoru mocno na niego podziałał. Wciągnął głęboko w płuca rześkie powietrze nocy i spróbował się skoncentrować. Z jednej strony przytłaczała go świadomość, że jest zwierzyną łowną, z drugiej czuł ciężar odpowiedzialności, bo być może Sophie trzyma oto w rękach zaszyfrowane wskazówki wiodące do jednej z najpilniej strzeżonych tajemnic wszech czasów.

Jakby tego było mało, Langdon zdał sobie sprawę, że nie ma żadnej możliwości zwrotu klucza sklepienia zakonowi. Informacja o trzech innych morderstwach prowadziła do nieodpartych wniosków. Ktoś przeniknął do zakonu. Bractwo zostało zdemaskowane. Albo było pilnie śledzone, albo w jego szeregach znajdował się zdrajca. To by wyjaśniało, dlaczego Saunière zechciał złożyć klucz sklepienia w ręce Sophie i Langdona – ludzi spoza bractwa, niezdekonspirowanych. Nie możemy ot, tak sobie oddać go z powrotem bractwu. Nawet gdyby Langdon miał jakiś pomysł na to, jak odszukać któregoś z członków, istniało spore prawdopodobieństwo, że ktoś, kto by się zgłosił po klucz sklepienia, byłby wrogiem zakonu. Na razie jednak wydawało się, że klucz sklepienia jest w rękach Sophie i Langdona, czy tego chcą, czy nie.

Przód furgonetki wyglądał gorzej, niż można się było spodziewać. Lewy reflektor odpadł, a prawy wyglądał jak gąbka oczna zwisająca z oczodołu. Langdon spróbował osadzić reflektor, ale metalowa oprawka zaraz wypadła. Dobre było jedynie to, że przedni zderzak był niemal zupełnie urwany. Langdon kopnął z całej siły w metal i poczuł, że zderzak da się wyłamać.

Kopiąc i szarpiąc pogiętą blachą, przypomniał sobie wcześniejszą rozmowę z Sophie. Dziadek zostawił jej wiadomość telefoniczną, że musi powiedzieć całą prawdę o rodzinie. Wtedy ta informacja nic dla niego nie znaczyła, ale teraz, kiedy za całą historią zaczął dostrzegać Zakon Syjonu, zrozumiał, że wyłaniają się nowe, niezwykle możliwości.

Zderzak złamał się nagle z głośnym zgrzytem. Langdon przerwał na chwilę, żeby złapać oddech. Furgonetka nie będzie teraz przynajmniej działała jak wyrzutnia świątecznych fajerwerków. Chwytał zderzak i pociągnął, by ukryć go w lesie, zastanawiając się, dokąd powinni się teraz udać. Nie mieli pojęcia, jak otworzyć krypteks ani dlaczego Saunière im go dał. Tymczasem od odpowiedzi na te pytania zależało, czy przeżyją tę noc.

Potrzebujemy pomocy – orzekł w myśli Langdon. – Pomocy profesjonalisty.

W świecie specjalistów od Świętego Graala i Prieuré de Sion była tylko jedna osoba, do której mogli się zwrócić. Jego zadanie polegało teraz na tym, by przekonać do tego pomysłu Sophie.

Sophie czekała na Langdona w kabinie opancerzonej furgonetki. Szkatułka z różanego drewna, którą trzymała na kolanach, coraz bardziej jej ciążyła. Po co dziadek mi to dał? Nie miała zielonego pojęcia, co z tym zrobić.

Pomysł, Sophie! Pogłówkuj. Dziadek chce ci coś powiedzieć.

Otworzyła pudełko i rzuciła okiem na tarcze krypteksu. Sprawdzian kompetencji. Czują w tym rękę dziadka. *Klucz sklepienia jest mapą, która poprowadzi tylko tych, którzy na to zasługują.* To brzmiało zupełnie jak słowa dziadka.

Sophie wyciągnęła krypteks z pudełka i przesunęła palcami po dyskach. Pięć liter. Przekreśliła dyski jeden po drugim. Mechanizm działał gładko. Ustawiła je w ten sposób, że wybrane przez nią litery ułożyły się między dwiema mosiężnymi strzałkami, umieszczonymi po obu stronach cylindra, tworząc pięcioliterowe słowo, które Sophie uważała za absurdalnie oczywiste.

G-R-A-A-L

Delikatnie ujęła w dłonie oba końce cylindra i pociągnęła powoli zwiększając siłę. Krypteks ani drgnął. Słyszała, jak w środku bulgocze ocet, i przestała ciągnąć. Potem spróbowała jeszcze raz.

V-I-N-C-I

Znów nic. Krypteks był zamknięty na głucho.

Marszcząc brwi, włożyła go z powrotem do pudełka z różanego drewna i zamknęła wieczko. Spojrzała przez szybę na Langdona i poczuła wdzięczność za to, że jest z nią tej nocy. *PS. Znajdź Roberta Langdona.* Logika polecenia, które wydał jej dziadek, była teraz nie do obalenia. Sophie za mało wiedziała, żeby zrozumieć intencje dziadka, dostała więc Roberta Langdona za przewodnika. Nauczyciela, który zadba o jej

wykształcenie. Pechowo, zamiast być nauczycielem, Langdon stał się celem polowania Bezu Fache'a... i jakiejś niewidzialnej siły, która chce przejąć Świętego Graala.

Bez względu na to, czym okaże się Święty Graal.

Zaczęła się zastanawiać, czy wyjaśnienie tej kwestii jest warte jej życia.

Kiedy furgonetka znów przyspieszyła, Langdon poczuł przypływ zadowolenia na myśl o tym, jak gładko auto przejeżdża do przodu.

– Wiesz, jak dojechać do Wersalu?

Sophie spojrzała na niego kątem oka.

– Chcesz pozwiedzać?

– Nie, ale mam plan. Znam pewnego historyka religii, który mieszka niedaleko Wersalu. Nie pamiętam dokładnie gdzie, ale znajdziemy. Byłem kilka razy w jego posiadłości. Nazywa się Leigh Teabing. Kiedyś był oficjalnym historykiem brytyjskiej rodziny królewskiej.

– I mieszka w Paryżu?

– Pasją życiową Teabinga jest Święty Graal. Kiedy piętnaście lat temu zaczęto szeptać o kluczu sklepienia, Teabing przeniósł się do Francji, żeby szukać go po kościołach i katedrach. Napisał kilka książek o kluczu i o Świętym Graalu. Może będzie nam mógł pomóc to otworzyć i będzie wiedział, co z tym dalej zrobić.

W oczach Sophie ukazał się wyraz niezadowolenia.

– Można mu zaufać?

– W jakiej sprawie? Czy nie ukradnie informacji?

– I czy nas nie wyda.

– Nie zamierzam mówić mu, że szuka nas policja. Mam nadzieję, że nas weźmie pod swoje skrzydła, dopóki nie uda się nam tego wszystkiego rozwikłać.

– Czy nie przyszło ci do głowy, Robercie, że każda stacja telewizyjna we Francji prawdopodobnie właśnie szykuje się do tego, żeby pokazać nasze zdjęcia? Dzięki mediom Bezu Fache zyskuje przewagę nad ściganym. Nie będziemy mogli ruszyć się na krok, bo wszyscy nas rozpoznają.

Fantastycznie – pomyślał Langdon. Będę miał debiut w telewizji francuskiej. Występ w programie „Najgroźniejsi przestępcy Paryża”. Jonas Faukman będzie zadowolony, bo ilekroć Langdon był w telewizji albo pisano o nim w prasie, sprzedaż jego książek rosła.

– Czy to twój naprawdę dobry przyjaciel? – spytała Sophie.

Langdon wątpił, by Teabing w ogóle oglądał telewizję, a zwłaszcza o tej porze, ale nad odpowiedzią na to pytanie warto się było zastanowić. Instynkt mówił mu, że Teabingowi można zaufać bez zastrzeżeń, że jego dom stanie się dla nich bezpieczną przystanią. W zaistniałej sytuacji Teabing prawdopodobnie zrobi wszystko, by im pomóc, nie tylko dlatego, że jest winien Langdonowi przysługę, ale też dlatego, że jest badaczem Świętego Graala, a Sophie twierdziła, że dziadek naprawdę był wielkim mistrzem Priuré de Sion. Gdyby Teabing się o tym dowiedział, wychodziłby ze skóry, by im pomóc rozwikłać zagadkę.

– Teabing może być poważnym sprzymierzeńcem – orzekł Langdon. – Zależnie od tego, co zechcemy mu powiedzieć.

– Fache prawdopodobnie wyznaczy za nas nagrodę pieniężną.

Langdon zaśmiał się głośno.

– Wierz mi, pieniądze to ostatnia rzecz, jakiej ten facet potrzebuje. Leigh Teabing to człowiek tak zamożny, jak zamożne bywają niewielkie państewka. Potomek pierwszego księcia Lancasteru doszedł do pieniędzy na sposób tradycyjny – odziedziczył je po przodkach. Jego posiadłość na przedmieściach Paryża to siedemnastowieczny pałac z dwoma należącego do niego prywatnymi jeziorami.

Langdon poznał Teabinga przed kilkoma laty przez sieć telewizyjną BBC. Teabing zwrócił się do BBC z propozycją nakręcenia historycznego filmu dokumentalnego, który ukazałby szerokiej publiczności telewizyjnej niezwykle historię Świętego Graala. Producenci byli pod wrażeniem wstępnych założeń Teabinga, jego badań i kompetencji, ale obawiali się, że idea, którą prezentował, była tak szokująca i trudna do zaakceptowania, że w rezultacie mogłaby rzucić cień na reputację rzetelnego dziennikarstwa, jaką cieszyła się BBC. W końcu problem wiarygodności został rozwiązany dzięki propozycji Teabinga, by poprosić trzech uznanych w świecie historyków, aby wystąpili w filmie, potwierdzając niezwykłość tajemnicy Świętego Graala wynikami własnych badań naukowych.

Jednym z nich był Langdon.

Sieć BBC opłaciła przelot i koszty związane z pobytem Langdona w paryskiej posiadłości Teabinga. Langdon siedział we wspaniale urządzonej sali Teabinga i patrząc wprost w kamerę, dzielił się z widzami swoją opowieścią – przyznał, że na początku sam był sceptyczny wobec prezentowanej tu historii Świętego Graala, ale potem lata badań naukowych przekonały go do niej. W końcu Langdon przedstawił niektóre wnioski ze swych własnych badań – różne skojarzenia w sferze symboliki wspierające tę pozornie kontrowersyjną tezę.

Kiedy materiał puszczono w Wielkiej Brytanii, pomimo wyborczej obsady i dobrze udokumentowanych faktów jego założenia tak mocno starły się z powszechnie panującą myślą chrześcijańską, że natychmiast natrafił na mur niechęci. Nigdy nie pokazano go w Stanach Zjednoczonych, ale reperkusje i echa tego programu dotarły na drugą stronę Atlantyku. Wkrótce potem Langdon otrzymał kartkę pocztową od starego przyjaciela – katolickiego biskupa Filadelfii. Na kartce widniały tylko trzy słowa: *Et tu, Robert?*

– Czy jesteś pewien, Robercie, że możemy mu zaufać? – spytała powtórnie Sophie.

– Absolutnie. Poznaliśmy się na niwie naukowej. On nie potrzebuje pieniędzy, a ja z kolei wiem, że nienawidzi francuskich władz. Rząd francuski nakłada na niego absurdalne podatki, ponieważ kupił zabytek historyczny, a wraz z nim część dziedzictwa Francji. Nie będzie mu się spieszyło do współpracy z Fache'em.

Sophie wyjrzała przez okno na ciemniejącą szosę.

– Jeżeli do niego pojedziemy, co zechcesz mu powiedzieć?

– Wierz mi – rzucił lekko Langdon – Leigh Teabing wie więcej o Zakonie Syjonu i o Świętym Graalu niż ktokolwiek inny na świecie.

Sophie spojrzała na niego kątem oka.

– Więcej niż mój dziadek?

– Miałem na myśli, że wie więcej niż ktokolwiek spoza bractwa.

– Skąd wiesz, że Teabing nie jest członkiem bractwa?

– Całe życie starał się głosić światu prawdę o Świętym Graalu. A członków bractwa przysięga zobowiązuje do utrzymywania prawdy w tajemnicy.

– Tu mi się szykuje poważny konflikt interesów.

Langdon rozumiał jej niepokój. Saunière przekazał krypteks bezpośrednio Sophie i chociaż nie wiedziała, co zawiera ani co ma z nim zrobić, wahała się, czy wciągać w sprawę kogoś zupełnie obcego. Zważywszy na informację, która mogła być umieszczona w krypteksie, intuicja Sophie prawdopodobnie słusznie ją ostrzegła.

– Nie musimy od razu mówić Teabingowi o kluczu. W ogóle nie musimy mu o tym mówić. W jego domu będziemy mogli się ukryć i spokojnie się nad wszystkim zastanowić, a może rozmowa z nim o Graalu pomoże ci zrozumieć, dlaczego dziadek ci to dał.

– Dlaczego nam to dał – sprostowała Sophie.  
Langdon poczuł przyływ dumy i znów zaczął się zastanawiać, dlaczego Saunière go w to wmieszał.

– Wiesz mniej więcej, gdzie mieszka pan Teabing? – spytała Sophie.  
– Jego posiadłość nazywa się Château Villette.  
Sophie odwróciła się do niego z wyrazem niedowierzania na twarzy.  
– Château Villette?  
– Tak.  
– Fajnych masz przyjaciół.  
– Znasz tę posiadłość?  
– Przejeżdżałam obok niej. Ten pałac leży w krainie wielkich zamków nad Loarą. Dwadzieścia minut drogi stąd.  
Langdon zmarszczył brwi.  
– Tak daleko?  
– Tak, będziesz miał dość czasu, żeby mi powiedzieć, czym naprawdę jest Święty Graal.  
Langdon milczał.

– Powiem ci, jak już będziemy u Teabinga. Specjalizujemy się w odrębnych obszarach tej legendy, będziesz więc miała pełną historię, naświetloną z różnych stron. – Langdon uśmiechnął się do siebie. – Poza tym Graal to całe życie Teabinga, usłyszeć historię Świętego Graala z jego ust to tak jak usłyszeć wykład o teorii względności z ust Einsteina.

– Miejmy nadzieję, że pan Leigh zechce nas przyjąć o tak późnej porze.  
– Tylko dla formalności powiem ci, że to sir Leigh. – Langdon popełnił błąd zapomnienia tylko raz. – Teabing to niezwykle barwna postać. Królowa angielska nadała mu tytuł szlachecki parę lat temu, gdy skończył pisać historię książęcego domu Yorków.

– Żartujesz. Odwiedzimy prawdziwego rycerza, pasowanego przez królową?  
– Jesteśmy wszak na tropie Świętego Graala – uśmiechnął się Langdon. – Któż mógłby się nam przydać bardziej niż najprawdziwszy rycerz?



Olbrzymia posiadłość Château Villette znajdowała się w obrębie Wersalu, dwadzieścia pięć minut drogi na południowy zachód od Paryża. Zaprojektowana przez François Mansarta w 1668 roku na zamówienie księcia Aufflay, mieściła jeden z najznamienitszych zabytkowych pałaców Paryża. Wraz z dwoma prostokątnymi jeziorami i ogrodami, zaprojektowanymi przez Le Nôtre'a, Château Villette był właściwie skromnym zamkiem. Nazywano go pieszczotliwie *le Petite Versailles* – Małym Wersalem.

Langdon nacisnął na hamulec i opancerzona furgonetka zatrzymała się z łoskotem na końcu ponadkilometrowego podjazdu. Za imponującą bramą, będącą elementem zabezpieczenia terenu, rezydencja sir Leigha Teabinga wyłaniała się w pewnej odległości przed nimi pośrodku łąki. Tabliczka na bramy oznajmiała po angielsku: WŁASNOŚĆ PRYWATNA. WSTĘP WZBRONIONY.

Jak gdyby chcąc ogłosić swoje domostwo niezależną brytyjską wyspą, Teabing nie tylko umieścił napisy po angielsku, ale i domofon przy bramie kazał zainstalować po prawej stronie, która wszędzie w Europie poza Anglią była stroną pasażera.

Sophie spojrzała ze zdumieniem na domofon umieszczony po niewłaściwej stronie bramy.

– A jeśli ktoś przyjeżdża sam, bez towarzystwa?

– Nie pytaj. – Langdon omawiał to kiedyś z Teabingiem. – On woli, żeby wszystko było tak jak w domu.

Sophie opuściła szybę.

– Lepiej ty rozmawiaj, Robercie.

Chcąc nacisnąć guzik domofonu, Langdon przechylił się, opierając się o kolana Sophie. Poczł tajemniczy, zmysłowy zapach jej perfum i zdał sobie nagle sprawę, jak blisko siebie się znaleźli. Czekał skrecony w dziwacznej pozycji na pierwszy sygnał z domofonu, podczas gdy z głośnika dochodził dźwięk dzwonka.

W końcu w domofonie coś trzasnęło i ktoś odezwał się zirytowanym głosem po angielsku z wyraźnym akcentem francuskim.

– Château Villette. Kto tam?

– Mówię Robert Langdon – odpowiedział Langdon, leżąc na kolanach Sophie. – Jestem przyjacielem sir Leigha Teabinga. Potrzebuję jego pomocy.

– Mój pan już śpi. Ja też spałem. O co chodzi?

– To sprawa osobista. Coś, co go wielce zainteresuje.

– Jestem pewien, że z przyjemnością przyjmie pana rano.

Langdon przesunął się bliżej mikrofonu.

– To dosyć ważne.

– Podobnie jak zdrowy sen mojego pana. Jeśli jest pan jego przyjacielem, zdaje pan sobie sprawę z jego słabego zdrowia.

Sir Leigh Teabing jako dziecko chorował, a teraz nosił aparat wzmacniający nogi i chodził o kulach, ale podczas ostatniego spotkania z nim Langdon stwierdził, że sir Leigh ma w sobie tyle życia i jest postacią barwną i tak pełną wigoru, że jego choroba jest prawie niezauważalna.

– Bardzo bym prosił powiedzieć mi, że odkryłem nowe informacje na temat Graala. Informacje, które nie mogą czekać do rana.

Nastąpiła długa chwila ciszy.

Langdon i Sophie czekali, a silnik furgonetki pracował hałaśliwie.

Minęła cała minuta.

W końcu ktoś się odezwał.

– Mój dobry człowieku, śmiem twierdzić, że wasz zegarek chodzi według standardowego czasu Harvardu – głos był czysty, a ton niczym niezmacony.

Langdon uśmiechnął się szeroko, rozpoznając klarowny brytyjski akcent.

– Przepraszam cię, Leigh, że pojawiając się o tak nieprzystojnej porze.

– Mój służący poinformował mnie, że nie tylko jesteś w Paryżu, ale że mówisz coś o Graalu.

– Pomyślałem, że to cię wyciągnie z łóżka.

– I nie myliłeś się.

– Mamy jakieś szanse, żebyś otworzył bramę staremu przyjacielowi?

– Ci, którzy szukają prawdy, są więcej niż przyjaciółmi. Są braćmi.

Langdon wznosił oczy w górę i spojrzał na Sophie – znał skłonność Teabinga do wygłaszania wzniosłych kwestii.

– W rzeczy samej, otworzę przed tobą tę bramę, wędrowcze – oznajmił Teabing – lecz najpierw muszę się przekonać, czy serce i zamiary masz czyste. Będzie to próba twojego honoru. Odpowiesz na trzy pytania.

Langdon jęknął, szepcząc Sophie na ucho:

– Wytrzymaj. Mówiłem ci, że ten facet to prawdziwe dziwadło.

– Pierwsze pytanie – obwieścił Teabing herkulesowym tonem. – Mam ci podać herbatę czy kawę?

Langdon znał opinię Teabinga o tym, co Amerykanie nazywają kawą.

– Herbatę – odparł. – Earl Grey.

– Doskonale. Teraz drugie pytanie. Mleko czy cukier?

Langdon zawahał się.

– Mleko – szepnęła mu Sophie do ucha. – Anglicy chyba piją z mlekiem.

– Mleko – odparł Langdon.

Cisza.

– Cukier?

Teabing nie odpowiadał.

– Chwileczkę! – Langdon przypomniał sobie teraz gorzki napój, który zaserwowano mu podczas ostatniej bytności w Château Villette, i zdał sobie sprawę, że pytanie jest podchwytliwe. – Cytryna! – stwierdził. – Earl Grey z cytryną.

– W rzeczy samej – w głosie Teabinga słychać było teraz nieskrywane rozbawienie. – W końcu muszę ci zadać najtrudniejsze pytanie. – Przerwał i po chwili przemówił uroczystym tonem. – W którym roku wioślarz z Harvardu ostatni raz pokonał oksfordczyka podczas regat w Henley?

Langdon nie miał zielonego pojęcia, ale wyobraził sobie tylko jeden powód, dla którego to pytanie zostało zadane.

– Jestem pewien, że taka farsa nigdy się jeszcze nie zdarzyła.

Usłyszeli szcęk zamka i po chwili brama stała już przed nimi otworem.

– Szczerze masz zamiary i czyste serce, przyjacielu. Możesz wjeżdżać.

## ROZDZIAŁ 53

– *Monsieur Vernet* – w głosie kierownika nocnej zmiany Banku Depozytowego Zurychu zabrzmiała ulga, kiedy usłyszał w słuchawce głos przełożonego. – Dokąd pan wyjechał, panie dyrektorze? Tu się roi od policji, wszyscy na pana czekają!

– Miałem mały problem – powiedział prezes banku, a w jego głosie słycać było zmęczenie. – Potrzebuję pilnie pańskiej pomocy.

Ma pan chyba raczej niemały problem – pomyślał kierownik. Policja otoczyła bank szczelnym kordonem i groziła, że kapitan DCPJ we własnej osobie zjawi się zaraz na progu z nakazem przeszukania, którego żąda bank.

– Jak mogę panu pomóc?

– Furgonetka opancerzona numer trzy. Muszę ją odnaleźć.

Zaskoczony i jednocześnie zdziwiony kierownik sprawdził plan wysyłek.

– Jest na miejscu. Na dole, w pomieszczeniu, w którym ładuje się depozyty do ciężarówek.

– Myli się pan. Furgonetkę ukradły dwie osoby ścigane przez policję.

– Co takiego? W jaki sposób stąd wyjechali?

– Nie mogę się wdawać w szczegóły, to nie jest rozmowa na telefon, ale mamy sytuację, która może okazać się niezwykle niekorzystna dla banku.

– Co mam robić, panie prezesie?

– Chciałbym, żeby pan uruchomił transponder alarmowy ciężarówki.

Wzrok kierownika nocnej zmiany przesunął się wzdłuż ścian pomieszczenia i zatrzymał na tablicy kontrolnej LoJack po drugiej stronie. Podobnie jak wiele innych samochodów opancerzonych, każda furgonetka banku była wyposażona w sterowane radiowo urządzenie namierzające, które można było uruchomić zdalnie z siedziby banku. Kierownik włączył ten system bezpieczeństwa tylko raz w długiej historii banku, po porwaniu furgonetki – zadziałał bez zarzutu – namierzył ją i automatycznie przekazał współrzędne władzom. Dziś jednak kierownik miał wrażenie, że prezes chce działać trochę ostrożniej.

– Wie pan, panie dyrektorze, że jeśli uruchomię system LoJack, transponder jednocześnie poinformuje władze o tym, że mamy problem.

Vernet milczał kilka sekund.

– Tak, wiem o tym. Mimo wszystko proszę wykonać moje polecenie. Furgonetka numer trzy. Zaczekam przy telefonie. Proszę mi podać dokładne namiary, jak tylko je pan otrzyma.

– W tej chwili, panie dyrektorze.

Trzydzieści sekund później czterdzieści kilometrów dalej mały transponder ukryty w podwoziu opancerzonej furgonetki ożył z pierwszym mrugnięciem czerwonego światelka.

Kiedy jechali w opancerzonej furgonetce, klucząc między wysokimi topolami, drogą prowadzącą do głównego budynku rezydencji, Sophie poczuła, że opada z niej napięcie. Znaleźć się poza główną drogą – to była prawdziwa ulga i nie przychodziło jej do głowy żadne bezpieczniejsze schronienie niż otoczona wysokim murem prywatna posiadłość należąca do dobrodusznego obcokrajowca.

Skręcili w prowadzący łukiem podjazd i Château Villette ukazało im się z prawej strony. Budynek był trzypiętrowy, długości co najmniej sześćdziesięciu metrów, miał fasadę z szarego kamienia, oświetloną od zewnątrz punktowymi reflektorami. Surowa fasada kontrastowała z nieskazitelnie utrzymanymi ogrodami i stawem pobłyskującym szklistą powierzchnią wody.

W kilku oknach właśnie zapalały się światła.

Zamiast podjechać do drzwi frontowych, Langdon postawił samochód na parkingu otoczonym gęstą roślinnością.

– Nie ma potrzeby ryzykować, że ktoś zauważy nas od strony drogi – powiedział. – Albo że Leigh będzie się zastanawiać, dlaczego przyjechaliśmy rozbitą furgonetką.

Sophie skinęła głową.

– Co robimy z krypteksem? Chyba nie powinniśmy go tu zostawiać, ale jeżeli Leigh go zobaczy, pewnie będzie chciał wiedzieć, co to jest.

– Nie martw się – powiedział Langdon i wysiadłszy z samochodu, zdjął marynarkę. Owinął szkatułkę w tweedowy materiał i niósł zawiniątko na rękach jak niemowlę.

Na twarzy Sophie pojawił się wyraz powątpiewania.

– Subtelne.

– Teabing nigdy sam nie otwiera drzwi, lubi efektowne wejścia. Nim do nas wyjdzie, znajdę jakieś miejsce, żeby to upchnąć. – Langdon przerwał. – Właściwie powinienem cię przed nim ostrzec, zanim ci go przedstawię. Sir Leigh ma poczucie humoru, które ludzie często uważają za... dziwne.

Sophie wątpiła, czy tej nocy jeszcze coś mogłoby ją zadziwić.

Ścieżka do drzwi frontowych była wyłożona kocimi łbami. Wijąc się i kręcąc, doprowadziła ich do solidnych drzwi z rzeźbionego dębowego i wiśniowego drewna, na których zauważyli mosiężną kołatkę z kulką wielkości grejpfruta. Zanim Sophie zdążyła wyciągnąć rękę, drzwi otworzyły się od wewnątrz.

Tuż przed nimi pojawił się nagle nieskazitelnie elegancki lokaj, poprawiając ostatnim gestem biały krawat i smoking, który chyba właśnie na siebie włożył. Miał około pięćdziesięciu lat, szlachetne rysy i surowy wyraz twarzy, z którego wynikało niedwuznacznie, że nie bawi go ich obecność.

– Sir Leigh już schodzi – oznajmił uroczyście po angielsku, z mocnym akcentem francuskim. – Ubiera się. Nie chciałby przyjmować gości w nocnej koszuli. Czy mogę wziąć pańską marynarkę? – Z nieskrywaną niechęcią popatrzył na zwinięty w kłębek tweedowy materiał w rękach Langdona.

– Dziękuję, poradzę sobie.

– Rozumiem, nie wątpię. Proszę tędy.

Lokaj prowadził ich przestronnym korytarzem wyłożonym marmurem do przepięknie umeblowanego gabinetu, oświetlonego miękkim światłem wiktoriańskich lamp z frędzelkami. W pokoju wyczuwało się jakiś antyczny zapach, jakby królewski, były w nim akcenty fajkowego tytoniu, zapach listków herbaty, aromat sherry i bijący od kamiennych murów chłodny oddech ziemi. Na przeciwległej ścianie otoczony z obu stron lśniącoymi koleczkami widniał kominek z surowo ciosanych kamieni, tak przestronny, że mógłby się w nim upiec cały wół. Lokaj podszedł do paleniska, ukląkł i przyłożył zapalną do wcześniej ułożonego stosu z dębowych szczap i bali. Chwilę później w kominku zaczęły strzelać czerwone płomyki ognia.

Mężczyzna wstał i poprawił marynarkę.

– Mój pan pragnie, żebyście się państwo czuli jak u siebie. – Wypowiedziawszy to zdanie, wyszedł z godnością, zostawiając Langdona i Sophie samych.

Sophie zastanawiała się, na którym z antyków ustawionych przy kominku ma usiąść – czy na obciążonej jedwabiem renesansowej sofie, czy na bujanym fotelu, którego rączki zakończone były rzeźbionymi głowami orłów, czy na jednej z kamiennych ław, które wyglądały tak, jakby ktoś przeniósł je wprost z bizantyjskiej świątyni.

Langdon odwinął krypteks z marynarki, podszedł do sofy i wsunął drewniane pudełko głęboko pod spód, tak że w ogóle go nie było widać. Potem strzepnął marynarkę i włożył ją, wygładziwszy klapy, uśmiechnął się do Sophie i usadowił się wprost nad ukrytym skarbem.

A więc na sofie – pomyślała Sophie, siadając tuż obok niego.

Wpatrując się w potężniejące płomienie ognia, ciesząc się ciepłem bijącym z kominka, Sophie pomyślała, że w tym pomieszczeniu dziadek czułby się doskonale. Na ścianach pokrytych ciemnym drewnem wisiały obrazy starych mistrzów, jednego z nich Sophie poznała – był to Poussin – drugi ulubiony malarz dziadka. Na półce nad kominkiem stało alabastrowe popiersie Izdydy strzegące tego pomieszczenia.

Tuż pod egipską boginią, wewnątrz kominka, jego konstrukcje podtrzymywały dwie kamienne postacie gargulców z wyciągniętymi głowami, szeroko otwartymi paszczami, przez które było widać groźne, czarne, puste gardziele. Kiedy Sophie była dzieckiem, gargulce ją przerażały, ale dziadek wyleczył ją z tego strachu, zaprowadziwszy na sam szczyt katedry Notre Dame podczas ulewy.

– Spójrz, księżniczko, na te głupie stworzenia – powiedział, wskazując palcem na końcówki rynien w kształcie gargulców, z których paszcz wypływały strumienie wody. – Słyszysz śmieszne dźwięki w ich gardłach? – Sophie skinęła głową i rozśmieszyl ją ten bulgoczący dźwięk wody, która z chlupotem przelewała się przez ich pyski. – One gulgoczą – powiedział dziadek. – *Gargariser!* Stąd pochodzi ich śmieszna nazwa gargulce.

Sophie nigdy potem już się ich nie lękała.

To wspomnienie wywołało falę bólu, która zalała ją, kiedy zdała sobie sprawę z realności i potworności zabójstwa. Dziadka już nie ma. Wyobraziała sobie krypteks pod sofą i zastanawiała się, czy Leigh Teabing będzie miał jakiś pomysł, jak go otworzyć. Czy w ogóle powinniśmy go o to pytać? Ostatnie słowa dziadka Sophie stanowiły wyraźną instrukcję, żeby odnaleźć Roberta Langdona. Nic nie mówił, żeby wciągnąć w tę sprawę kogokolwiek innego. Ale musimy się gdzieś ukryć – powiedziała sobie Sophie, postanawiając zaufać ocenie Roberta.

– Sir Robert! – dobył się gdzieś z tyłu donośny głos. – Widzę, że waszmość podróżujesz z niewiastą.

Langdon wstał. Sophie również zerwała się na równe nogi. Głos dochodził ze szczytu kręconych schodów, które znikwały w półcieniach podestu. U szczytu schodów, w półcieniu, ujrzeli zbliżającą się ku nim postać, choć na razie widzieli jedynie niejasne zarysy sylwetki.

– Dobry wieczór! – zawołał Langdon, kierując swoje słowa ku górze. – Sir Leigh, chciałbym panu przedstawić Sophie Neveu.

– Jestem zaszczycony. – Teabing wszedł w krąg światła.

– Dziękujemy za gościnę – powiedziała Sophie, widząc teraz, że mężczyzna ma na nogach metalowe obejmy i szyny i że chodzi, podpierając się kulami. Schodził na dół po jednym stopniu. – Zdaję sobie sprawę, że jest dość późno.

– Jest tak późno, moja droga, że już wcześniej – zaśmiał się. – *Vous n'êtes pas Américaine?*

– *Parisienne* – odparła Sophie, potrząsając głową.  
– Mówi pani świetnie po angielsku.  
– Dziękuję za komplement. Studiowałam w Royal Holloway.  
– Tak, to wszystko wyjaśnia. – Teabing schodził ostrożnie w dół poprzez półcień. – Być może Robert mówił pani, że ja pobierałem nauki w pobliskim Oksfordzie. – Teabing spojrział na Langdona z szelmowskim uśmiechem. – Złożyłem, rzecz jasna, papiery również w Harvardzie, na wypadek gdybym się nie dostał do Oksfordu.

Gospodarz ukazał się u stóp schodów i Sophie uznała, że jest takim samym rycerzem jak sir Elton John. Słusznej postury, o rubinowo pałających policzkach, sir Leigh Teabing miał szopę ogniste rudy włosy i jowialne, migdałowe oczy, które iskrzyły się, kiedy mówił. Miał na sobie nienagannie wyprasowane spodnie i obszerną jedwabną koszulę pod elegancką wzorzystą kamizelką. Pomimo aluminiowych obręczy okalających nogi trzymał się dumnie i prosto jak trzcina, a jego godna, nieugięta postawa była owocem szlacheckiego pochodzenia, a nie świadomego wysiłku woli.

Teabing podszedł i wyciągnął rękę do Langdona.  
– Straciłeś na wadze, Robercie.  
– A ty wręcz przeciwnie – uśmiechnął się szeroko Langdon.  
Teabing zaśmiał się serdecznie i poklepał się po okrągłym brzuchu.  
– *Touché*. Moje przyjemności cielesne ostatnimi czasy ograniczają się do kuchni. – Zwracając się teraz do Sophie, ujął delikatnie jej dłoń i pochylając lekko głowę, musnął oddechem jej palce, odwracając oczy.  
– Pani.  
Sophie spojrzała na Langdona, niepewna, czy cofnęła się w czasie, czy znalazła się w domu wariatów.  
Lokaj, który otworzył im drzwi, wszedł z zastawą do herbaty i ustawił ją na stole przed kominkiem.  
– To jest Rémy Legaludec – powiedział Teabing. – Mój służący.  
Szczupły lokaj sztywno skłonił głowę i znów zniknął.  
– Rémy to *Lyonnais* – szepnął Teabing, jakby to była jakaś wstydliva choroba. – Ale sosy wychodzą mu całkiem, całkiem.  
– Sądziłem, że będziesz chciał importować służbę z Anglii – zauważył Langdon, rozbawiony.  
– Dobry Boże, tylko nie to! Nie życzyłbym angielskiego szefa kuchni nikomu oprócz francuskich urzędników skarbowych. – Spojrział teraz na Sophie. – *Pardonnez-moi, Mademoiselle* Neveu. Może pani być pewna, że moja niechęć do Francuzów ogranicza się wyłącznie do polityków i piłkarzy. Wasz rząd kradnie mi pieniądze, a wasza drużyna futbolistów ostatnio potwornie nas upokorzyła.  
Sophie uśmiechnęła się lekko.  
Teabing przyglądał się jej przez chwilę, a potem spojrział na Langdona.  
– Co się stało? Oboje wyglądacie na wstrząśniętych.  
– Mieliśmy bardzo interesujący wieczór, Leigh.  
– Nie wątpię. Zjawiacie się na moim progu bez zapowiedzi w środku nocy i mówicie o Graalu. Przyznaj się, czy naprawdę chodzi o Graala, czy powiedziałeś to tylko dlatego, że wiesz, że jest to jedyny sposób, żeby mnie wyciągnąć z łóżka o tak nieludzkiej porze?  
I jedno, i drugie – pomyślała Sophie, mając w oczach krypteks ukryty pod sofą.  
– Leigh – powiedział Langdon – chcielibyśmy, żebyś nam opowiedział o Zakonie Syjonu.  
Krzaczaste brwi Teabinga uniosły się z zaciekawieniem.  
– Strażnicy. A więc naprawdę chodzi o Graala. Mówisz, że przychodzisz do mnie z jakąś informacją. Czy jest coś nowego, Robercie?  
– Niewykluczone. Nie jesteśmy jeszcze całkiem pewni. Może nam się rozjaśni w głowach, kiedy dowiemy się czegoś od ciebie.  
– Sprytny Amerykanin – pogroził mu palcem Teabing. – Zabawa w ciuciubabkę. Ale dobrze, niech i tak będzie. Jestem do waszych usług.  
Co chcecie wiedzieć?  
– Miałem nadzieję – westchnął Langdon – że zechcesz wyjaśnić pannie Neveu, jaka jest istota Świętego Graala.  
– To ona nie wie? – zdumiał się Teabing.  
Langdon potrząsnął głową.  
Na twarzy Teabinga pojawił się prawie nieprzyzwoity uśmiech.  
– Przeprowadziłeś mi dziewczicę, Robercie?  
Langdon puścił perskie oko do Sophie.  
– Dziewica to pojęcie, którym posługują się entuzjaści Świętego Graala, by opisać kogoś, kto nigdy nie słyszał jego prawdziwej historii.  
Teabing, zachęcony, zwrócił się teraz do Sophie.  
– Co pani wie, moja droga?  
Sophie szybko streściła wszystko, co wyłożył jej wcześniej Langdon – kilka faktów o Zakonie Syjonu, o templariuszach, o dokumentach Sangreala i o Świętym Graalu, który, jak twierdzi wielu, nie jest wcale kielichem... lecz czymś o wiele bardziej znaczącym.  
– To wszystko? – Teabing rzucił Langdonowi zgorzone spojrzenie. – Sądziłem, Robercie, że jesteś dżentelmenem. Ograbiłeś ją ze wszystkiego, co najważniejsze!  
– Wiem, ale myślałem, że może ty i ja moglibyśmy wspólnie... – Langdon urwał, stwierdziwszy chyba, że ta nieprecyzyjna figura stylistyczna prowadzi go za daleko.  
– Jest pani dziewczicą Graala, moja droga. – Teabing patrzył w oczy Sophie roziskrzonym wzrokiem. – I proszę mi wierzyć, że nigdy nie zapomni pani swojego pierwszego razu.

## ROZDZIAŁ 55

Sophie siedziała na sofie obok Langdona, popijała herbatę i pogryzała bułeczkę drożdżową, czując zbawienne działanie kofeiny i posiłku. Sir Leigh Teabing promieniał, przechadzając się niezgrabnie przed olbrzymim kominkiem, a jego metalowe usztywniacze nóg stuknęły o podłogę przed kamiennym paleniskiem.

– A więc, Święty Graal – powiedział Teabing kaznodziejskim tonem. – Większość pyta mnie, gdzie on jest. Obawiam się, że jest to pytanie, na które nigdy nie będę mógł odpowiedzieć. – Odwrócił się i spojrzał wprost na Sophie. – A przecież... o wiele właściwsze byłoby pytanie, czym jest Święty Graal?

Sophie odczuwała u obu jej towarzyszy gęstniejący nastrój radosnego, akademickiego oczekiwania na to, co się za chwilę wydarzy.

– Aby w pełni zrozumieć Graala – kontynuował Teabing – musimy najpierw zrozumieć Biblię. Czy zna pani dobrze Nowy Testament?

Sophie wzruszyła ramionami.

– Właściwie wcale. Wychowywał mnie ktoś, kto uwielbiał Leonarda da Vinci.

Teabing wyglądał na zaskoczonego i zadowolonego zarazem.

– Aha! Oświecona dusza. Doskonale! A zatem pewnie wie pani, że Leonardo był jednym ze strażników tajemnicy Świętego Graala. I że ukrył pewne wskazówki na jego temat w swoich obrazach.

– Tak, mówił mi o tym Robert.

– A poglądy Leonarda na Nowy Testament?

– O tym nie mam zielonego pojęcia.

Oczy Teabinga lśniły, kiedy wskazał dłonią na półkę po drugiej stronie pokoju.

– Robercie, czy byłbyś łaskaw? Na samym dole. *La storia di Leonardo*.

Langdon przeszedł przez pokój, odnalazł sporego formatu album z malarstwem, przyniósł go i ustawił na stole między nimi. Teabing odwrócił książkę w kierunku Sophie i wskazał parę cytatów na okładce.

– To z notatnika Leonarda w związku z jego polemikami i spekulacjami. Sądzę, że ten będzie miał odniesienie do naszej dyskusji.

Sophie odczytała słowa:

*Wielu kupowało i sprzedawało omamy i fałszywe cuda,*

*oszukując głupią tłumacząc.*

LEONARDO DA VINCI

– I ten – powiedział Teabing, wskazując na inny cytat.

*Zaślepie nas ignorancja i wiedzie na manowce.*

*O! Przekłęci śmiertelnicy, otwórzcie wreszcie oczy!*

LEONARDO DA VINCI

Sophie poczuła chłodny dreszcz na plecach.

– Czy Leonardo mówi to o Biblii?

Teabing skinął głową.

– Stosunek Leonarda do Biblii ma bezpośredni związek ze Świętym Graalem. Leonardo namalował prawdziwego Graala, co pokażę pani za chwilę, ale najpierw musimy porozmawiać o Biblii. – Teabing uśmiechnął się. – Właściwie wszystko, co powinna pani wiedzieć o Biblii, można podsumować słowami wielkiego znawcy kanonów doktora Martyna Percy'ego: „Biblia nie przyszła do nas faksem z niebios”.

– Nie rozumiem.

– Biblia jest wytworem człowieka, moja droga. Nie Boga. Biblia nie spadła cudem boskim z nieba. Jest dziełem człowieka, historycznym zapisem burzliwych czasów, który podlegał zmianom przez niezliczone przekłady, dodatki i redakcje. Nigdy w historii ludzkości nie było ostatecznej wersji tej książki.

– Rozumiem.

– Jezus był postacią historyczną o ogromnych wpływach, może najbardziej zagadkowym i inspirującym przywódcą, jakiego kiedykolwiek widział świat. Tak jak Mesjasz, o którego nadejściu mówiły przepowiednie, Jezus wysadzał z tronów władców, inspirował i był natchnieniem dla milionów, tworzył fundamenty nowych filozofii. Jako potomek królewskich rodów króla Salomona i króla Dawida, ma udokumentowane prawo do tronu króla żydowskiego. Zrozumiałe więc, że dzieje jego życia zapisywały tysiące zwolenników w całym kraju. – Teabing zrobił przerwę, łyknął herbaty i odstawił filiżankę na półkę nad kominkiem. – Rozważano włączenie do Nowego Testamentu ponad osiemdziesięciu ewangelii, lecz ostatecznie wybrano i włączono w jego skład stosunkowo niewiele – między innymi ewangelie według świętego Mateusza, Marka, Łukasza i Jana.

– Kto wybierał ewangelie do Nowego Testamentu? – spytała Sophie.

– A otóż właśnie! – Teabing kipił entuzjazmem. – To podstawowy paradoks chrześcijaństwa! Biblia, w takim kształcie, w jakim znamy ją dzisiaj, powstała za sprawą pogańskiego cesarza rzymskiego Konstantyna Wielkiego.

– Sądziłam, że Konstantyn był chrześcijaninem – powiedziała Sophie.

– Skądże – prychnął Teabing. – Całe życie był poganinem, został ochrzczony na łożu śmierci, kiedy był zbyt słaby, by zaprotestować. W czasach Konstantyna oficjalną religią Rzymu był kult słońca – czczono *sol invictus*, innymi słowy niezwykłe słońce, a Konstantyn był jego naczelnym kapłanem. Na jego nieszczęście Rzym ogarniał rosnący zamęt religijny. Trzy wieki po ukrzyżowaniu Jezusa Chrystusa liczba jego wyznawców wciąż wzrastała. Chrześcijanie i poganie wszczynali wojny, a konflikt urósł do takich rozmiarów, że zagrażał rozpadem Rzymu. Konstantyn uznał, że trzeba coś z tym zrobić. W trzysta dwudziestym piątym roku zjednoczył Rzym pod sztandarem jednej religii. Chrześcijaństwa.

– Dlaczego pogański cesarz wybrał na oficjalną religię państwową chrześcijaństwo? – spytała zdumiona Sophie.

– Konstantyn był człowiekiem interesu – zachichotał Teabing. – Widział, że chrześcijaństwo to wielka, potężniejsza siła, i po prostu postawił na faworyta. Historyków do dziś zdumiewa mądrość Konstantyna, z jaką przemienił wielbiących słońce pogan w chrześcijan. Włączając symbole, daty i rytuały pogańskie do budującej się tradycji chrześcijaństwa, stworzył coś w rodzaju religijnej hybrydy, która była do przyjęcia dla obu stron.

– Transmogryfikacja – powiedział Langdon. – Ślady i pozostałości religii pogańskiej w symbolice chrześcijańskiej są niezaprzeczalne. Egipskie kręgi słońca stały się aureolami katolickich świętych. Piktogramy bogini Izdy trzymającej w ramionach swojego cudownie poczętego syna Horusa to pierwsze wzorce naszych obrazów Maryi Dziewicy trzymającej w ramionach Dzieciątka Jezus. A w zasadzie wszystkie elementy

rytuału katolickiego – biskupie nakrycia głowy, ołtarz, Trójca Święta oraz komunia, akt „spożywania Ciała Bożego” – wszystkie te symbole wzięto wprost z wcześniejszych pogańskich obrzędów religijnych.

Teabing jęknął.

– Nie próbuj zaczynać rozmowy ze specjalistą od symboli na temat ikonografii chrześcijańskiej. W chrześcijaństwie nie ma niczego oryginalnego. Wschodni bóg Mitra – zwany Synem Bożym i Światłością Świata – urodził się dwudziestego piątego grudnia, zmarł i został pochowany w skalnym grobowcu, a potem zmartwychwstał po trzech dniach. A propos, dwudziesty piąty grudnia to również dzień urodzin Ozyrysa, Adonisa i Dionizosa. Kiedy urodził się bóg Kryszna, złożono mu dary z mirry, kadzidła i złota. Nawet dzień święty chrześcijaństwa przejęto od pogan.

– Jak to?

– Początkowo – powiedział Langdon – chrześcijanie czcili żydowski szabat – sobotę, lecz Konstantyn przesunął dzień święty tak, by pokrywał się z pogańskim dniem czczenia słońca. – Przerwał i uśmiechnął się szeroko. – Do dziś większość wiernych wychodzi na mszę w niedzielę rano, nie mając pojęcia, że czynią tak, bo kiedyś właśnie w ten dzień poganie oddawali cześć bogu słońca.

Sophie poczuła zawrót głowy.

– A jaki to wszystko ma związek z Graalem?

– Właśnie – powiedział Teabing. – Teraz proszę uważać! Podczas tego łączenia religii Konstantyn wiedział, że musi umocnić tę nową tradycję chrześcijańską, i zwołał słynny sobór powszechny zwany soborem nicejskim pierwszym.

Sophie ta nazwa kojarzyła się tylko z miejscem powstania nicejskiego wyznania wiary.

– Podczas tego soboru – powiedział Teabing – debatowano i rozstrzygano w drodze głosowania wiele elementów chrześcijaństwa – datę obchodzenia świąt Wielkiej Nocy, rolę biskupów, udzielanie sakramentów, no i boskość Jezusa Chrystusa.

– Tego nie rozumiem. Boskość Jezusa?

– Moja droga – oznajmił Teabing. – Aż do tamtej chwili w historii Jezus był postrzegany przez wyznawców jako śmiertelny prorok... Wielki i potężny człowiek, lecz mimo wszystko człowiek. Śmiertelnik.

– A nie Syn Boży?

– Właśnie – powiedział Teabing. – Ustanowienie Jezusa „Synem Bożym” oficjalnie zaproponowano i przegłosowano podczas soboru nicejskiego.

– Chwileczkę. Mówi pan, że świętość Jezusa była wynikiem głosowania?

– I mało co nie przepadł – dodał Teabing. – Niemniej ustanowienie boskości Chrystusa było kluczowym w świetle dalszego zjednoczenia imperium rzymskiego i niezbędnym elementem ustanowienia nowej władzy Watykanu. Ogłaszając Jezusa oficjalnie Synem Bożym, Konstantyn wyniósł go na piedestał i odtąd Jezus istniał poza obszarem świata ludzkiego, był bytem, którego władzy i mocy nikt nie będzie w stanie podważyć. Ten akt nie tylko uciął wszelkie zakusy pogan w stosunku do chrześcijaństwa, ale teraz wyznawcy Chrystusa mogli uzyskać zbawienie jedynie przez oficjalnie ustanowiony, uświęcony kanał – Kościół rzymski.

Sophie spojrzała na Langdona, który powoli skinął głową na znak, że się z tym wszystkim zgadza.

– Chodziło wyłącznie o władzę – kontynuował Teabing. – Jezus jako Mesjasz był niezbędnym elementem funkcjonowania Kościoła i państwa. Wielu badaczy twierdzi, że na wczesnym etapie rozwoju Kościół dosłownie ukradł Jezusa jego pierwotnym wyznawcom, zawłaszczył sobie jego ludzkie przesłanie, okrywając je nieprzeniknioną szatą boskości i wykorzystując do rozszerzenia zakresu swojej władzy. Napisałem na ten temat parę książek.

– I przypuszczam, że głęboko wierzący chrześcijanie przesyłają panu pełne nienawiści e-maile w codziennej poczcie?

– Dlaczego mieliby to robić? – odparł Teabing. – Ogromna większość wykształconych chrześcijan zna historię swojej wiary. Jezus naprawdę był wspaniałym, wielkim i potężnym człowiekiem. Polityczne manewry Konstantyna nie umniejszają jego wielkości. Nikt nie mówi, że Chrystus to jakiś oszust, ani nie zaprzecza, że wędrując po ziemi i nauczając, natchnął miliony do lepszego życia. Mówimy tylko, że Konstantyn wykorzystał wpływy Chrystusa i jego znaczenie. Postępując w ten sposób, ukształtował obraz chrześcijaństwa taki, jaki znamy dzisiaj.

Sophie rzuciła okiem na leżący przed nią album malarstwa, pragnąc jak najszybciej zobaczyć, jak Leonardo da Vinci namalował Świętego Graala.

– Na czym polega manipulacja? – Teabing mówił teraz szybciej. – Konstantyn podniósł status postaci Jezusa prawie cztery wieki po jego śmierci, kiedy istniały już tysiące dokumentów składających się na kronikę jego życia jako śmiertelnika. Konstantyn wiedział, że aby na nowo napisać historię, będzie potrzebował odważnego i silnego uderzenia. Z tego przekonania wywodzi się przełomowy krok w historii chrześcijaństwa. – Teabing przerwał i spojrzął na Sophie. – Konstantyn zamówił i sfinansował nową Biblię, która pomija te ewangelie, które mówią o ludzkich cechach Chrystusa, i wysuwa na pierwszy plan te, które przedstawiały go jako Boga. Wcześniejsze ewangelie zostały zdyskredytowane, a potem zebrane i spalane.

– Interesujące – dodał Langdon – że wszyscy, którzy wybrali zakazane ewangelie i odwrócili się od wersji Konstantyna, zostali nazwani heretykami. Wtedy właśnie powstało słowo „heretyk”. Greckie *heresia* oznacza „wybór”. Ci, którzy „wybrali” pierwotną historię Chrystusa, byli pierwszymi na świecie „heretykami”.

– Na szczęście dla historyków – powiedział Teabing – niektóre ewangelie, których Konstantyn usiłował się pozbyć, jakoś przetrwały. Zwoje znad Morza Martwego odnaleziono w latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku w jaskini niedaleko Qumran, a Zwoje Koptyjskie w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym w Nag Hammadi. Dokumenty te, poza tym, że opowiadają prawdziwą historię Graala, mówią o posłudze Chrystusa w bardzo ludzkich kategoriach. Oczywiście Watykan, pozostając w zgodzie ze swoją tradycją dezinformacji, próbował robić wszystko, by powstrzymać ujawnienie zawartości tych zwojów. Nic dziwnego. Ich treść wydobywa na światło dzienne zadziwiające rozbieżności historyczne i fałszywe, potwierdzając jednoznacznie, że obowiązującą w naszych czasach Biblię złożyli i zredagowali ludzie, którymi kierowały względy polityczne – chcieli wypromować boskość człowieka o imieniu Jezus Chrystus i wykorzystać jego wpływy, by umocnić fundamenty swojej władzy.

– A jednak – wtrącił Langdon – nie należy zapominać, że dążenie współczesnego Kościoła do deprecjacji tych dokumentów bierze się ze szczerej wiary, że ustalony wizerunek Chrystusa jest prawdziwy. W Watykanie znajdziemy osoby głęboko religijne, które wierzą, że te dokumenty są fałszywym świadectwem.

Teabing, chichocząc, przysiadł ostrożnie na fotelu na wprost Sophie.

– Jak pani widzi, nasz pan profesor ma znacznie miększe serce i więcej wyrozumiałości dla Rzymu niż ja. Niemniej ma rację. Dzisiejszy kler wierzy, że te zaprzeczające współczesnym przekonaniom dokumenty są fałszywym świadectwem. To zupełnie zrozumiałe. Biblia Konstantyna była ich prawdą przez wieki. Nikt nie jest głębiej indoktrynowany niż sam indoktrynujący.

– Leigh ma na myśli to – powiedział Langdon – że wierzymy w bogów naszych ojców.

– Mam na myśli to – odparował Teabing – że niemal wszystko, czego nasi ojcowie nauczyli nas o Chrystusie, to nieprawda. Podobnie jak opowieści o Świętym Graalu.

Sophie raz jeszcze spojrzała na cytaty z Leonarda da Vinci. *O! Przekłęci śmiertelnicy, otwórzcie wreszcie oczy!*

Teabing sięgnął po książkę i kartkując ją, powiedział:

– Zanim pokażę pani obrazy Leonarda przedstawiające Świętego Graala, chciałbym, żeby rzuciła pani okiem na to. – Otworzył album na kolorowej grafice obejmującej pełne dwie strony. – Przypuszczam, że rozpoznaje pani ten fresk?

Cóż to za żarty? Sophie patrzyła na najslawniejszy fresk wszech czasów – na *Ostatnią Wieczerę* – legendarne malowidło Leonarda na ścianie kościoła Santa Maria delle Grazie w pobliżu Mediolanu. Blaknący fresk przedstawiał Jezusa i jego uczniów w chwili, kiedy Jezus oznajmiał, że jeden z nich go zdradzi.

– Tak, znam ten fresk.

– A więc może zagra pani ze mną w taką niewinną grę? Proszę zamknąć oczy.

Sophie, niepewna, przytknęła powieki.

– W którym miejscu siedzi Jezus?

– Pośrodku.

– Dobrze, a czym się przełamuje z uczniami i co jedzą?

– Chleb. To jasne.

– Doskonale. A co piją?

– Wino. Piją wino.

– Świetnie. Jeszcze jedno, ostatnie pytanie. Ile kieliszków do wina stoi na stole?

Sophie zawahała się, zdając sobie sprawę, że jest to pytanie podchwytliwe. *A po wieczerzy Jezus wziął kielich wina i dzielił się z nimi wszystkimi.*

– Jeden – powiedziała. – Jeden kielich. – Naczynie Chrystusa. Święty Graal. – Jezus puścił w obieg jedno naczynie z winem, tak jak to robią współcześni chrześcijanie podczas komunii.

Teabing westchnął.

– Proszę otworzyć oczy.

Podniosła powieki. Teabing uśmiechał się przewrotnie. Sophie spojrzała na obraz i spostrzegła ze zdumieniem, że wszyscy przy stole mają przed sobą swój kieliszek wina, łącznie z Chrystusem. Trzynaście naczyń. Poza tym naczynia były małe, bez nóżki, szklane. Na obrazie nie było kielicha. Nie było Świętego Graala.

W oczach Teabinga pojawiły się iskierki.

– Trochę dziwne, nie sądzi pani, zważywszy na to, że zarówno Biblia, jak i powszechnie znana legenda o Graalu wystawiają ten moment jako pojawienie się Świętego Graala. Rzecz dziwna, Leonardo jak się okazuje, zapomniał namalować kielich Chrystusa.

– Zapewne znawcy sztuki to zauważyli.

– Dozna pani szoku, kiedy się dowie, jakie anomalie umieścił tu Leonardo, których większość ekspertów od malarstwa albo nie widzi, albo po prostu nie chce zauważyć. Ten fresk jest w zasadzie pełnym kluczem do tajemnicy Świętego Graala. Leonardo w *Ostatniej Wieczerzy* ujawnia wszystko bez osłonek.

Sophie niecierpliwie przebiegła oczami całe płótno.

– Czy fresk mówi, czym naprawdę jest Graal?

– Nie czym – szepnął Teabing – a raczej kim. Święty Graal nie jest rzeczą. W rzeczywistości jest... osobą.

## ROZDZIAŁ 56

Sophie przyglądała się dłuższą chwilę Teabingowi, a potem zwróciła się do Langdona.

– Święty Graal jest osobą?

Langdon przytaknął.

– A dokładniej kobietą. – Wzrok Sophie znieruchomiał i Langdon wiedział, że się zagubiła. Przypomniawszy sobie własną, bardzo podobną reakcję, kiedy pierwszy raz to usłyszał. Dopiero kiedy zrozumiał symbolikę Świętego Graala, wyjaśniły się wszystkie powiązania związane z kobiecością tego znaku.

Teabing chyba myślał podobnie.

– Może teraz jest odpowiednia chwila, by włączył się specjalista od symboli, Robercie? – Podeszedł do stojącego nieopodal stolika, sięgnął po kartkę papieru i położył ją przed Langdonem.

Langdon wyciągnął pióro z kieszeni marynarki.

– Sophie, znasz współczesne znaki symbolizujące męskość i żeńskość? – Narysował powszechnie znany symbol męski ♂ i symbol żeński ♀.

– Oczywiście – przytaknęła.

– To – powiedział cicho – nie są oryginalne symbole pierwiastka męskiego i kobiecego. Wiele osób błędnie uważa, że symbol elementu męskiego wywodzi się z obrazu tarczy i włóczni, podczas gdy symbol żeński przedstawia lustro odzwierciedlające kobiece piękno. Tymczasem są to starożytne symbole astronomiczne planety boga Marsa i planety bogini Wenus. Pierwotne symbole są znacznie prostsze. – Langdon narysował na kartce papieru inny znak.



– To jest pierwotny znak pierwiastka męskiego – powiedział. – Szczątkowy fallus.

– W samej rzeczy – potwierdziła Sophie.

– Właśnie – dodał Teabing.

Langdon mówił dalej:

– Ten znak nosi nazwę ostrza i reprezentuje agresję, męskość. Do dziś taki symbol fallusa naszywa się na pagony mundurów jako oznaczenie stopni wojskowych.

– Rzeczywiście. – Twarz Teabinga rozciągnęła się w uśmiechu. – Im więcej penisów, tym wyższa ranga. Ci chłopcy nigdy nie dorosną.

Langdon mrugnął okiem.

– Idąc dalej, symbol żeński, jak można się domyślać, jest jego odwrotnością. – Narysował na kartce kolejny symbol. – Ten znak nosi nazwę kielicha.



Sophie podniosła oczy i spojrzała na niego zdziwiona. Widział, że zaczyna kojarzyć.

– Kielich – ciągnął – przedstawia naczynie lub puchar, a co ważniejsze, przypomina kształtem kobiece łono. Ten symbol niesie przesłanie kobiecości, żeńskości i płodności. – Langdon patrzył jej teraz prosto w oczy. – Legenda mówi, Sophie, że Święty Graal jest kielichem, jest pucharem. Ale opisywanie Graala jako kielicha jest tylko alegorią mającą na celu ukrycie prawdziwej natury Świętego Graala. Innymi słowy, legenda posługuje się kielichem jako metaforą czegoś znacznie ważniejszego.

– Kobiety – powiedziała Sophie.

– Właśnie. – Langdon uśmiechnął się. – Tak więc Graal jest starożytnym symbolem kobiecości, a Święty Graal jest obrazem świętości kobiecej i Wielkiej Bogini, choć to znaczenie oczywiście teraz się rozmyło, właściwie Kościół je unicestwił. Siła tkwiąca w kobiecie, jej naturalna zdolność dawania życia były kiedyś uważane za świętość, ale stanowiły zagrożenie dla rosnącej dominacji mężczyzn w Kościele, wobec czego sakralność kobieca została zdemonizowana i nazwana nieczystą. To człowiek, a nie Bóg, stworzył ideę grzechu pierworodnego, zgodnie z którą Ewa zjadła owoc zakazany i spowodowała upadek rodzaju ludzkiego. Kobieta, kiedyś czczona dawczyni życia, stała się wrogiem.

– Powinienem dodać – włączył się Teabing – że koncepcja kobiety dawczyni życia leżała u podstaw starożytnych religii. Narodziny to potężny akt mistyczny. Niestety, filozofia chrześcijańska sprzeniewierzyła się stwórczej mocy kobiety, ignorując biologiczną prawdę i ustanawiając Stwórcą mężczyznę. Księga Rodzaju mówi, że Ewę stworzono z żebra Adama. Kobieta stała się odpryskiem mężczyzny. A zarazem czymś grzesznym. Księga Rodzaju zapoczątkowała kres Wielkiej Bogini.

– Graal – podjął Langdon – jest symbolem zatraconej Wielkiej Bogini. Kiedy nadeszło chrześcijaństwo, stare religie pogańskie nie umarły z dnia na dzień. Legendy rycerskich wypraw w poszukiwaniu utraconego Graala były w istocie historiami zabronionych wypraw w poszukiwaniu zatraconej sakralności kobiecej. Rycerze, którzy twierdzili, że „szukają kielicha”, rozmawiali zakodowanym językiem, by uchronić się przed restrykcjami Kościoła, który już podporządkował sobie kobiety, wygnał Wielką Boginię, palił innowierców i zabronił pogańskiego kultu świętości żeńskiej.

– Daruj – odezwała się Sophie, kręcąc głową – ale kiedy powiedziałeś, że Święty Graal jest osobą, myślałam, że jest jakąś konkretną osobą.

– Bo jest – powiedział Langdon.

– I to nie byle jaką osobą – wyrzucił z siebie Teabing w podnieceniu. – Kobieta, która nosiła w sobie tajemnicę tak potężną, że – ujawniona – groziła zniszczeniem fundamentów chrześcijaństwa!

Sophie ugięła się pod ciężarem tych słów.

– Czy historia zna tę kobietę?

– Jak najbardziej. – Teabing chwycił w dłonie kule i ruszył w kierunku holu. – I jeżeli przejdziemy teraz do mojego gabinetu, drodzy przyjaciele, będę miał zaszczyt pokazać wam obraz Leonarda da Vinci, który ją przedstawia.

Dwa pomieszczenia dalej, w kuchni, lokaj Rémy Legaludec stał w milczeniu przed telewizorem. Właśnie nadawano wiadomości, pokazywano fotografie mężczyzny i kobiety... Tej samej pary, której Rémy przed chwilą podał herbatę.



## ROZDZIAŁ 57

Stojąc przy blokadzie policyjnej ustawionej przez Bankiem Depozytowym Zurychu, porucznik Collet zastanawiał się, dlaczego Fache tak zwleka z nakazem przeszukania. Bankierzy ewidentnie coś ukrywają. Twierdzili, że Langdon i Neveu zjawili się dużo wcześniej i zawrócono ich z banku, ponieważ nie mieli właściwych dokumentów identyfikacyjnych potrzebnych do skorzystania z konta.

Dlaczego więc nie chcą nas wpuścić do środka i nie pozwalają się rozejrzeć?

W końcu odezwał się telefon komórkowy Colleta. Dzwoniono z centrum dowodzenia w Luwrze.

– Macie już nakaz przeszukania? – zapytał zniecierpliwiony Collet.

– Niech pan zapomni o banku, panie poruczniku – powiedział mu agent. – Właśnie dostaliśmy cynk. Mamy dokładne namiary miejsca, gdzie ukrywają się Langdon i Neveu.

Collet usiadł ciężko na masce samochodu.

– Chyba żartujesz.

– Mam tu adres na przedmieściach miasta. Gdzieś w okolicach Wersalu.

– Czy kapitan Fache już wie?

– Jeszcze nie. Jest zajęty jakimiś ważnymi telefonami.

– Już jadę. Niech zadzwoni, kiedy tylko będzie miał wolną chwilę. – Collet zapisał adres i wskoczył do samochodu. Kiedy oddalał się od banku, zdał sobie sprawę, że zapomniał spytać, kto dał cynk DCPJ na temat miejsca pobytu Langdona. Nie żeby to było takie ważne. Collet cudem dostał szansę, by nadrobić swój sceptycyzm i błędne myślenie. Właśnie miał dokonać najdonioślejszego zatrzymania w całej swojej karierze.

Porozumiał się przez radio z samochodami, które jechały za nim.

– Słuchajcie, panowie, żadnych syren. Langdon nie może wiedzieć, że jedziemy.

Czterdzieści kilometrów dalej czarne audi skręciło w wiejską drogę i zatrzymało się w ciemnościach na skraju pola. Sylas wysiadł z samochodu i zajrzał przez pręty ręcznie kutego ogrodzenia otaczającego olbrzymi teren po drugiej stronie. Spojrzał w górę na długie, oświetlone światłem księżyca zbocze prowadzące do pałacu stojącego w oddali.

Wszystkie światła na dole były zapalone. O tej porze? To dziwne – pomyślał Sylas, uśmiechając się do siebie. Informacje, których udzielił mu Nauczyciel, były oczywiście dokładne. Nie opuszczę tego domu bez klucza sklepienia – przyrzekł sobie. Nie zawiodę biskupa ani Nauczyciela.

Sylas sprawdził magazynek z trzynastoma nabojami w swoim pistolecie i wepchnął broń między pręty ogrodzenia, tak żeby upadła miękko na porośniętą mchem trawę po drugiej stronie. Potem, chwyciwszy za górną część prętów ogrodzenia, podciągnął się w górę, przeskoczył i wylądował po drugiej stronie. Nie zważając na falę bólu w miejscu, gdzie założył *cilice*, Sylas podniósł broń i ruszył w długą drogę w górę trawiastego zbocza.

Gabinet Teabinga nie przypominał żadnego z gabinetów, jakie Sophie kiedykolwiek widziała. Sześć lub siedem razy większy niż najbardziej luksusowe biuro w centrum miasta, *cabinet de travail* angielskiego arystokraty stanowił przedziwną hybrydę laboratorium naukowego, biblioteki archiwaliów i zadaszzonego targu staroci. Oświetlona trzema zwisającymi z sufitu kandelabrami podłoga, która wydawała się nie mieć granic, była upstrzona wyspami stołów do pracy zarzuconych książkami, dziełami sztuki, rzeźbami i zadziwiająco mnogością przeróżnej elektroniki – komputerami, projektorami, mikroskopami, kopiarkami i płaskimi skanerami.

– Przerobiłem trochę salę balową – powiedział nieco wstydliwie Teabing, wchodząc. – Mam niewiele okazji do tańca.

Sophie czuła się tak, jakby całą tę noc przebywała w jakiejś strefie mroku, w której nic nie jest tym, czego oczekiwała.

– To wszystko służy do pracy?

– Pogoń za prawdą zawsze była miłością mojego życia. A Sangreal to dama mojego serca, którą przedkładałam ponad wszystkie.

Święty Graal jest kobietą – pomyślała Sophie, a w jej umyśle pojawiła się układanka powiązanych ze sobą koncepcji i przypuszczeń, które na pierwszy rzut oka nie miały sensu.

– Mówił pan, że jest tu obraz tej kobiety, która, jak pan twierdzi, jest Świętym Graalem.

– Tak, ale to nie ja twierdzę, że to Graal. Stwierdził to sam Chrystus.

– Który to obraz? – spytała Sophie, wodząc oczami po ścianach.

– Mmm... – Teabing przez chwilę udawał, że zapomniał. – Święty Graal. Sangreal. Kielich. – Odwrócił się nagle i wskazał na odległą ścianę.

Wisiała na niej dwumetrowa reprodukcja *Ostatniej Wieczery*, ten sam obraz, któremu Sophie jakiś czas temu przyglądała się w albumie. – O jest, tam!

Sophie była pewna, że się pomylił.

– To ten sam obraz, który widziałam przed chwilą.

Teabing puścił do niej perskie oko.

– Wiem, ale w powiększeniu jest znacznie ciekawszy. Prawda?

Sophie spojrzała na Langdona błagalnym wzrokiem.

– Już się w tym wszystkim pogubiłam.

– Okazuje się – uśmiechnął się Langdon – że Święty Graal rzeczywiście pojawia się podczas *Ostatniej Wieczery*. Leonardo umieścił ją na poczesnym miejscu.

– Chwileczkę – powiedziała Sophie. – Mówiliście, że Święty Graal jest kobietą. *Ostatnia Wieczera* to obraz przedstawiający trzynastu mężczyzn.

– Naprawdę? – Teabing uniósł brwi. – Proszę się przyjrzeć z bliska.

Sophie podchodziła niepewnie do obrazu, wodząc oczami po trzynastu postaciach – Jezusa Chrystusa w środku, sześciu uczniów po jego lewej stronie i sześciu po prawej.

– To wszystko mężczyźni – potwierdziła.

– Tak? – powiedział Teabing. – A co powie pani o osobie, która siedzi na honorowym miejscu, po prawej stronie Pana?

Sophie przyjrzała się bliżej postaci po prawej stronie Jezusa i skupiła na niej całą uwagę. Przyglądając się twarzy i ciału tej osoby, stwierdziła ze zdumieniem, że widzi kogoś o łagodnie pofalowanych rudych włosach, delikatnie splecionych dłoniach, dostrzegła też zarys łona. Była to bezsprzecznie... kobieta.

– To kobieta! – wykrzyknęła.

– Cóż za niespodzianka! – Teabing śmiał się serdecznie. – Proszę mi wierzyć, to żaden błąd. Leonardo był biegły w sztuce malarskiego różnicowania płci.

Sophie nie mogła oderwać oczu od kobiety siedzącej obok Chrystusa. *Ostatnia wieczera* miała być spotkaniem trzynastu mężczyzn. Kim jest ta kobieta? Wielokrotnie widziała ten klasyczny obraz, ale nigdy nie zauważyła tej rzucającej się w oczy odmienności.

– Nikt tego nie zauważa – pocieszył ją Teabing. – Nasze przeświadczenie o tym, co przedstawia ta scena, jest tak silne, że nasz umysł odrzuca niezgodności i nie dopuszcza do głosu oczu.

– To zjawisko nazywa się *skitoma* – dodał Langdon. – Mózg człowieka czasami tak reaguje, napotykając bardzo silną symbolikę.

– Kolejny powód, dla którego nie zauważamy tej kobiety – wyjaśniał Teabing – jest taki, że wiele fotografii w albumach pochodzi sprzed tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego czwartego roku, kiedy szczegóły były ukryte pod warstwami brudu i poprawkami malarzy, którzy dość niezręcznie restaurowali obraz w osiemnastym wieku. Dopiero teraz całość odczyszczono i ujawniła się pierwotna warstwa farby nałożonej ręką Leonarda da Vinci. – Wskazał dłonią na fotografię. – *Et voilà!*

Sophie przysunęła się bliżej do obrazu. Kobieta po prawej stronie Jezusa była młoda, miała na twarzy wyraz świętości i powagi, przepiękne, płomiennie rude włosy i ręce złożone w geście spokoju. To jest kobieta, która mogłaby jednym ruchem ręki obalić Kościół?

– Kim ona jest? – spytała Sophie.

– To, moja droga – odparł Teabing – jest Maria Magdalena.

– Ta ładaczniczka?

Teabing wziął krótki oddech, jak gdyby to słowo stanowiło dla niego osobistą zniewagę.

– Magdalena nie była żadną ładacznicą. To nieszczęsne przekłamanie jest pozostałością kampanii oszczerstw, którą wytoczył jej wczesny Kościół. Kościół musiał zhańbić Marię Magdalенę, aby ukryć jej niebezpieczny sekret – jej rolę jako Świętego Graala.

– Jej rolę?

– Jak już wspominałem – wyjaśniał Teabing – wczesny Kościół musiał przekonać świat, że śmiertelny prorok – Jezus jest bytem boskim. A zatem wszelkie ewangelie, które opisują ziemskie aspekty życia Jezusa, musiały być wyłączone z Biblii. Na nieszczęście dla pierwszych jej redaktorów w różnych ewangeliach powracał szczególnie niepokojący ziemski temat. Maria Magdalena. – Przerwał. – A mówiąc dokładniej, jej małżeństwo z Jezusem Chrystusem.

– Co takiego? – Spojrzenie Sophie powędrowało do Langdona, a potem znów do Teabinga.

– Tak mówi zapis historyczny – powiedział Teabing. – I Leonardo był niewątpliwie tego świadom. *Ostatnia Wieczera* właściwie obwieszcza wszystkim, którzy ją oglądają, że Jezus i Magdalena są parą.

Sophie zwróciła wzrok raz jeszcze na fresk.

– Proszę zauważyć, w jakie szaty są ubrani Jezus i Magdalena – Teabing wskazał na dwie postacie w samym środku fresku.

Sophie była jak zahipnotyzowana. Rzeczywiście, ich ubrania miały powtarzające się w odwrotnym układzie kolory. Jezus miał na sobie czerwoną szatę i błękitny płaszcz, a Maria Magdalena miała błękitną szatę i czerwony płaszcz. *Yin i yang*.

– Zapuszczając się głębiej w poszukiwaniu dziwności, zauważymy, że Jezus i jego oblubienica dotykają się biodrami i odchylają od siebie, tak jakby chcieli stworzyć między sobą jasno zarysowaną negatywną przestrzeń.

Sophie zobaczyła ten kontur, nim Teabing zdążył go zarysować – wyrazisty znak ✓ w środkowej części obrazu. Był to ten sam symbol, który Langdon narysował wcześniej na oznaczenie Graala, kielicha i kobiecego łona.

– A wreszcie – powiedział Teabing – jeśli spojrzysz pani na Jezusa i Magdalenę jako na elementy kompozycji, a nie na postacie ludzkie, zobaczy pani jasno inny dość oczywisty kształt. – Przerwał. – Literę alfabetu.

Sophie zobaczyła ją od razu. To oczywiste, jej kształt sam ustawia się człowiekowi przed oczami. Sophie widziała teraz tylko tę literę, nic więcej. Pośrodku obrazu wyraźnie jarzył się zarys ogromnego, idealnie uformowanego M.

– Trochę zbyt doskonale, żeby mogło być przypadkowe, prawda? – stwierdził Teabing.

– Dlaczego została tam umieszczona? – spytała zdumiona Sophie.

Teabing wzruszył ramionami.

– Wyznawcy teorii spiskowej powiedzą, że litera ta oznacza *Matrimonio* albo Marię Magdalenę. Szczerze mówiąc, nikt nie wie na pewno. Z pewnością można powiedzieć tylko tyle, że ukryta litera M to nie żadna pomyłka. Niezliczone prace dotyczące Graala zawierają ukrytą literę M – czasem występuje jako znaki wodne, czasem jako warstwa farby pod zewnętrzną farbą obrazu lub aluzja kompozycyjna. Najbardziej rzucające się w oczy M to oczywiście M umieszczone w malowidle Jeana Cocteau, byłego wielkiego mistrza Prieur de Sion, w kościele Notre Dame w Londynie.

Sophie rozważała tę informację.

– Przyznaję, że ukryte litery M są intrygujące, ale chyba nikt nie twierdzi, iż są dowodem małżeństwa Jezusa i Magdaleny.

– Nie, oczywiście, że nie – powiedział Teabing, podchodząc do stojącego obok stołu z książkami. – Jak już mówiłem, małżeństwo Jezusa i Marii Magdaleny jest odnotowane w zapisach historycznych. – Zaczął przerzucać kolejne książki. – Poza tym obraz Jezusa jako człowieka żonatego ma o wiele więcej sensu niż nasz standardowy biblijny ogłód Jezusa kawalera.

– Dlaczego?

– Ponieważ Jezus był Żydem – wyjaśnił Langdon, podejmując wątek, podczas gdy Teabing szukał jakiejś książki – a zasady współżycia społecznego w tamtych czasach praktycznie zabraniały dorosłemu mężczyźnie pochodzenia żydowskiego pozostawania w stanie bezżennym. Według żydowskich reguł celibat był potępiony, a obowiązkiem ojca było znalezienie odpowiedniej żony dla syna. Gdyby Jezus nie był żonaty, przynajmniej jedna z ewangelii biblijnych musiałaby o tym wspomnieć, uzyskalibyśmy jakieś wyjaśnienie tej nienaturalnej sytuacji.

Teabing odnalazł książkę, której szukał, i wyciągnął ją spośród innych na stole. Była to olbrzymia księga oprawna w skórę, miała wielkość plakatu i wyglądała jak jakiś ogromny atlas. Na okładce widniał tytuł: *Ewangelie gnostyczne*. Teabing otworzył ją z trudem, a Langdon i Sophie podeszli do stołu. Sophie zobaczyła, że księga zawiera fotografie czegoś, co wygląda na fragmenty starożytnych dokumentów w powiększeniu – fragmenty podniszczonego papirusu z odręcznie zapisanym tekstem. Nie rozpoznawała starożytnego języka, ale na przeciwległych stronach widniały ich tłumaczenia.

– Są to fotokopie zwójów z Nag Hammadi i zwójów znad Morza Martwego, o których mówiłem – powiedział Teabing. – Najwcześniejsze pisma chrześcijaństwa. Niestety, niezupełnie zgodne z ewangeliami znajdującymi się w Biblii. – Otworzył księgę gdzieś w środku i wskazał palcem na jakiś fragment. – Na początek zawsze dobra jest Ewangelia Filipa.

Sophie przeczytała wskazany fragment:

*A towarzyszką Zbawiciela jest Maria Magdalena. A Chrystus miłował ją bardziej niż innych uczniów i często całował ją w usta. Pozostali byli tym zgorzeleni i okazywali niezadowolenie. Mówili doń: „Dlaczego miłujesz ją bardziej niż nas?”.*

Te słowa zadziwiły Sophie, jednakże nie stanowiły dla niej ostatecznego dowodu.

– Tu nie ma nic o małżeństwie.

– *Au contraire*. – Teabing uśmiechnął się, wskazując raz jeszcze pierwszy wers. – Powie ci to każdy lingwista zajmujący się językiem aramejskim – słowo „towaryszka” w tamtych czasach znaczyło „małżonka”.

Langdon przytaknął.

Sophie przeczytała raz jeszcze pierwszy wers. *A towarzyszką Zbawiciela jest Maria Magdalena*.

Teabing przerzucał po kolei kartki książki i wskazywał na szereg innych fragmentów, które ku zdumieniu Sophie jasno mówiły o tym, że Maria Magdalena i Jezus żyli w związku pełnym miłości. W miarę czytania tych fragmentów Sophie przypomniała sobie postać rozłószczonego księdza, który kiedyś jeszcze w jej czasach szkolnych zastukał głośno do drzwi domu dziadka.

– Czy to dom Jacques’a Saunière’a? – spytał rozłószczony ksiądz, spoglądając gniewnie na małą Sophie, kiedy otworzyła drzwi. – Chcę z nim porozmawiać o tym artykule. – Ksiądz trzymał w ręku gazetę.

Sophie zawołała dziadka i obaj mężczyźni zniknęli w gabinecie i zamknęli za sobą drzwi. Mój dziadek napisał coś do gazety? Sophie natychmiast pobiegła do kuchni i zaczęła przerzucać poranny dziennik. Na drugiej stronie znalazła nazwisko dziadka i artykuł. Przeczytała go od deski do deski. Nie wszystko zrozumiała, ale wyglądało na to, że rząd francuski pod presją księży zgodził się na zakaz rozpowszechniania amerykańskiego filmu zatytułowanego *Ostatnie kuszenie Chrystusa*, w którym było coś o Jezusie kochającym kobietę o imieniu Maria Magdalena. W artykule dziadka przeczytała, że Kościół jest arogancki i że ten zakaz jest zły.

Trudno się dziwić, że ksiądz się wścieka – pomyślała Sophie.

– To pornografia! Świętokradztwo! – wrzeszczał ksiądz, wylaniając się z gabinetu i sunąc jak burza gradowa w kierunku drzwi wejściowych. – Jak może pan pisać takie rzeczy! Ten Amerykanin, cały ten Scorsese to świętokradca, a Kościół nie pozwoli mu przemawiać do Francuzów! – Wychodząc, ksiądz trzasnął za sobą drzwiami.

Kiedy dziadek wszedł do kuchni, zobaczył Sophie z gazetą i zmarszczył brwi.

– Szybka jesteś.

– Myślisz, że Jezus Chrystus miał dziewczynę? – spytała Sophie.

– Nie, kochanie, napisałem tylko, że nie wolno Kościołowi dyktować nam, nad czym możemy się zastanawiać, a nad czym nie.

– Czy Jezus miał dziewczynę?

– A czy to byłoby złe, gdyby miał? – odpowiedział dziadek pytaniem po chwili milczenia.

Sophie zastanowiła się przez chwilę i wzruszyła ramionami.

– Mnie by to nie przeszkadzało.

– Nie będę pani zanudzał niezliczonymi odniesieniami do związku Jezusa i Magdaleny – mówił sir Leigh Teabing. – Współcześni historycy drążyli ten temat aż do bólu. Chciałbym jednak wskazać na rzecz następującą. – Przeszedł do kolejnego fragmentu. – Jest to urywek z Ewangelii Marii Magdaleny.

Sophie nie wiedziała, że istniała ewangelia spisana przez Magdalenę. Teraz czytała:

A Piotr zapytał: „Czy [Zbawiciel] zaiste mówił na osobności z kobietą, a nie otwarcie z nami? Czy mamy się do niej zwrócić i słuchać jej wszyscy? Czy wolał ją od nas?”

A Lewi odparł: „Piotrze, zawsze łatwo się unosiłeś. Teraz widzę, że walczysz z tą niewiastą, jakbyś był jej wrogiem. Jeżeli Zbawiciel ją wyniósł, kimże zaiste jesteś, abyś miał ją odrzucać? Zapewne Zbawiciel zna ją bardzo dobrze. Dlatego mówił ją bardziej niż nas”.

– Kobieta, o której mówią – wyjaśnił Teabing – to Maria Magdalena. Piotr jest o nią zazdrosny.

– Bo Jezus wolał Magdalenę?

– Nie tylko o to chodzi. Gra idzie o coś znacznie ważniejszego niż uczucia. W tej części ewangelii Jezus już podejrzewa, że wkrótce zostanie ujęty i ukrzyżowany. Daje więc Marii Magdalenie wskazówki, jak dalej prowadzić jego Kościół, kiedy jego już nie będzie. A Piotr wyraża niezadowolenie z tego, że musi grać drugie skrzypce i że kobieta jest od niego ważniejsza. Śmiem twierdzić, że przez Piotra przemawia seksizm.

– Mówimy o świętym Piotrze. Opoce, na której Jezus zbudował swój Kościół – upewniała się Sophie.

– Tak, właśnie, ale z jednym zastrzeżeniem. Według gnostyckich ewangelii to nie Piotrowi Chrystus dał wskazówki odnośnie do ustanowienia Kościoła chrześcijańskiego. Dał je Marii Magdalenie.

– Czy to znaczy, że Kościołowi chrześcijańskiemu miała przewodzić kobieta?

– Taki był plan. Jezus był pierwszym feministą. Chciał, by przyszłość jego Kościoła pozostawała w rękach Marii Magdaleny.

– A dla Piotra to był problem – powiedział Langdon, wskazując na *Ostanią Wieczerzę*. – Tam widzisz Piotra. Widać, że Leonardo jest również świadom tego, co Piotr czuje do Marii Magdaleny.

Sophie zaniemówiła. Na obrazie Piotr pochylał się złowieszczo ku Marii Magdalenie i dłonią jak ostrzem noża mierzył w jej szyję. Ten sam groźny gest co na obrazie *Madonna ze skał!*

– I jeszcze to – powiedział Langdon, wskazując na grupkę uczniów skupionych przy Piotrze. – Trochę złowieszcze, prawda?

Sophie zmrugała oczy i zobaczyła dłoń wyłaniającą się spoza gromadki uczniów.

– Czy w jego dłoni widać sztylet?

– Tak, a co dziwniejsze, jeśli policzysz ręce, przekonasz się, że ta dłoń... nie należy do nikogo. Jest bezcielesna. Anonimowa.

– Darujcie, ale wciąż nie rozumiem, jak w tym wszystkim Maria Magdalena miałaby być Świętym Graalem. – Sophie czuła się przytłoczona coraz to nowymi wątkami.

– Otóż to właśnie! – wykrzyknął Teabing. – Tu mamy sedno sprawy! – Znów odwrócił się do stołu i wyciągnął sporych rozmiarów mapę, a potem rozwinął ją przed Sophie. Było to bardzo rozbudowane drzewo genealogiczne. – Mało kto zdaje sobie sprawę z tego, że Maria Magdalena, oprócz tego, że była prawą ręką Chrystusa, była kobietą wielkiego znaczenia.

Sophie spojrzała na nagłówek drzewa genealogicznego.

## RÓD BENIAMINA

– Maria Magdalena jest tutaj – powiedział Teabing, wskazując punkt w pobliżu wierzchołka drzewa.

– Pochodziła z domu Beniamina? – zdziwiła się Sophie.

– Istotnie – potwierdził Teabing. – Maria Magdalena pochodziła z królewskiego rodu.

– Zawsze sądziłam, że Magdalena była biedna.

Teabing potrząsnął głową.

– Właśnie po to, by zatrzeć wszelkie świadectwa jej potężnych związków rodowych, uczyniono z Magdaleny ładacznicę.

– Co jednak wczesnemu Kościołowi mogło szkodzić, że w żyłach Magdaleny płynie królewska krew?

– Nie chodziło o królewską krew Marii Magdaleny, drogie dziecko, Kościół był zaniepokojony tym, że wiąże się z Chrystusem, w którego żyłach również płynęła królewska krew. Jak wiesz, Ewangelia według Mateusza mówi, że Jezus pochodził z domu Dawida. Był potomkiem króla Salomona, króla Żydów. Wchodząc w potężny dom Beniamina, Jezus złączyłby dwie linie królewskie, tworząc potężną unię polityczną, która miałaby prawo ubiegać się o tron i odnowić dynastię królów, tak jak za czasów Salomona.

Sophie wyczuła, że Teabing zmierza do puenty. Był wyraźnie podekscytowany.

– Legenda o Świętym Graalu jest legendą o krwi królewskiej. Kiedy legenda Graala mówi o „kielichu, w którym jest krew Chrystusa”, mówi tak naprawdę o Marii Magdalenie, która nosiła w swoim łonie królewską dynastię Jezusa.

Wydawało się, że jego słowa odbijają się echem od ścian sali balowej, po czym wracają pełne treści i zapisują się w umyśle Sophie: Maria Magdalena nosiła w swoim łonie królewską dynastię Jezusa.

– Ale jak można mówić o dynastii...? Chyba że... – Urwała w pół słowa i spojrzała na Langdona.

Langdon uśmiechnął się nieznacznie.

– Chyba że mieli dziecko.

Sophie stała jak zamurowana.

– Otóż właśnie – powiedział donośnie Teabing. – To największy kamuflaż w historii ludzkości. Jezus nie tylko był żonaty, ale był również ojcem. Maria Magdalena była Świętym Naczyniem, kielichem, który nosił królewską krew Jezusa Chrystusa. Była łonem, które wydało dynastię, winoroślą, która zrodziła uświęcony owoc!

Sophie czuła dreszcz na plecach.

– Ale jak można było tak ważną sprawę utrzymać w tajemnicy tyle lat?

– Ależ na Boga! – wykrzykiwał Teabing. – Nie zdołano utrzymać jej w tajemnicy! Królewska dynastia Jezusa Chrystusa stała się źródłem legendy, która przetrwała przez wieki – legendy o Świętym Graalu. Historia Magdaleny żyje od stuleci w najróżnorodniejszych metaforach, we wszystkich językach świata. Jej historię można znaleźć wszędzie, jeżeli tylko otworzy pani oczy i zechce ją zobaczyć i usłyszeć.

– A dokumenty Sangreala? – spytała Sophie. – Podobno one zawierają dowody na istnienie dynastii Jezusa.

– Tak jest w istocie.

– A więc cała legenda o Świętym Graalu jest legendą o królewskiej krwi?

– I to najzupełniej dosłownie – powiedział Teabing. – Słowo Sangreal jest inną formą San Greal, czyli Święty Graal. W swojej starszej formie słowo Sangreal dzieliło się w innym miejscu. – Teabing napisał coś na skrawku papieru i podał go Sophie, a ona przeczytała to, co napisał.

S a n g R e a l

Natychmiast skojarzyła. Sang Real to królewska krew.

## ROZDZIAŁ 59

Recepcjonista w głównej siedzibie Opus Dei przy Lexington Avenue w Nowym Jorku zdziwił się, słysząc głos biskupa Aringarosy w słuchawce telefonu.

– Dobry wieczór, Wasza Eminencjo.

– Są dla mnie jakieś wiadomości? – spytał biskup głosem, w którym dało się wyczuć niezwykle jak na niego poruszenie.

– Tak, Wasza Eminencjo. Bardzo się cieszę, że ksiądz biskup zadzwonił. Mój telefon nie zastał księdza w domu. Około pół godziny temu ktoś zostawił dla księdza pilną wiadomość.

– Tak? – Słychać było, że biskup przyjął to z ulgą. – Czy ten, kto dzwonił, zostawił nazwisko?

– Nie, tylko numer telefonu. – Operator przekazał numer.

– Kierunkowy trzydzieści trzy? To Francja, prawda?

– Tak, Wasza Eminencjo, to Paryż. Osoba, która dzwoniła, prosiła o natychmiastowy kontakt.

– Dziękuję. Czekałem na tę rozmowę. – Aringarosa pospieszenie odłożył słuchawkę.

Recepcjonista zastanawiał się, dlaczego w telefonie tak trzeszczało. Z planu codziennych zajęć biskupa wynikało, że w ten weekend będzie w Nowym Jorku, a jemu wydało się, jakby był na antypodach. Wzruszył ramionami i szybko o tym zapomniał. Biskup Aringarosa przez ostatnie kilka miesięcy zachowywał się bardzo dziwnie.

Moja komórka widocznie nie działała – pomyślał Aringarosa, kiedy fiat zbliżał się do zjazdu z autostrady prowadzącego na rzymskie lotnisko Ciampino, obsługujące loty czarterowe. Nauczyciel usiłował się ze mną skontaktować. Pomimo niepokoju spowodowanego tym, że nie mógł odebrać telefonu, biskup czuł się rażniej – Nauczyciel miał tyle pewności siebie, żeby zadzwonić bezpośrednio do głównej siedziby Opus Dei.

Widocznie w Paryżu wszystko poszło dobrze.

Kiedy Aringarosa zaczął wybierać numer telefonu, czuł przyjemny dreszczyk podniecenia, wiedząc, że niedługo będzie w Paryżu. Wylądujemy przed świtem. Aringarosa wyczarterował mały samolot odrzutowy, który czekał na lotnisku i miał go zabrać w krótką podróż do Francji. O tej porze regularni przewoźnicy nie wchodzili w grę, zwłaszcza zważywszy na zawartość walizki.

Usłyszał, że po drugiej stronie aparat zaczyna dzwonić.

Telefon odebrała kobieta.

– Direction Centrale Police Judiciaire.

Aringarosa zawahał się. Tego się nie spodziewał.

– Aa, tak... Oddzwaniam, ponieważ poproszono mnie, żebym zadzwonił pod ten numer.

– *Qui êtes-vous?* – Kobieta chciała znać nazwisko.

Aringarosa przez chwilę zastanawiał się, czy może je ujawnić.

Francuskie Centralne Biuro Śledcze?

– Poproszę o nazwisko, *monsieur* – nalegała kobieta.

– Biskup Manuel Aringarosa.

– *Un moment* – usłyszał w słuchawce szcęknięcie, jakby ktoś przełączał rozmowę na inną linię.

Po dłuższej chwili oczekiwania odezwał się mężczyzna, w jego głosie słychać było ton zatroskania i niepokoju.

– Wasza Eminencjo, cieszę się, że w końcu udało mi się do księdza dotrzeć. Mamy wiele do omówienia.

## ROZDZIAŁ 60

Sangreal... Sang Real... San Graal... królewska krew... Święty Graal.

Wszystko to było ze sobą dziwnie powiązane i poplątane.

Święty Graal to Maria Magdalena... matka założycielka królewskiej dynastii Jezusa Chrystusa. Stojąc w ciszy pośrodku sali balowej i wpatrując się w Roberta Langdona, Sophie poczuła kolejną falę zamętu. Im więcej elementów Langdon i Teabing układali tej nocy na stole, tym bardziej nieprzewidywalna stawała się układanka.

– Jak pani widzi, moja droga – powiedział Teabing, krocząc w kierunku półek z książkami – Leonardo nie jest jedyną osobą, która próbowała powiedzieć światu prawdę na temat Świętego Graala. Królewską dynastię Jezusa Chrystusa szczegółowo opisywali najróżnorodniejsi historycy. – Przejechał palcem po rzędzie kilkunastu książek.

Sophie przechyliła głowę i przesunęła wzrokiem po tytułach:

### ODKRYCIE TEMPLARIUSZY

Sekretni strażnicy tożsamości Chrystusa

### KOBIETA Z ALABASTROWYM DZBANEM

Maria Magdalena i Święty Graal

### WIELKA BOGINI W EWANGELIACH

Powrót do sakralności kobiecej

– A oto prawdopodobnie najlepiej znane dzieło – powiedział Teabing, wyciągając z rzędu książkę w podniszczonej twardej okładce i podając ją Sophie.

Tytuł brzmiał:

### ŚWIĘTY GRAAL – ŚWIĘTA KREW.

Międzynarodowy bestseller – zachęcał na obwolucie wydawca.

– Międzynarodowy bestseller? Nigdy nie słyszałam o tej książce.

– Była pani za młoda. To dzieło wywołało spore zamieszanie w latach osiemdziesiątych. Według mojej oceny autorki, prowadząc analizę, poszli na trochę wątpliwe skróty, ale podstawowe założenie jest trudne do obalenia – trzeba przyznać, że to w końcu dzięki nim myśl o królewskiej linii dynastycznej Chrystusa ujrzała światło dzienne.

– Jak Kościół zareagował na tę książkę?

– Oczywiście świętym oburzeniem. Tego jednak należało oczekiwać. W końcu był to sekret, który Rzym próbował pogrzebać już w czwartym wieku naszej ery. Prawdziwym celem krucjat było zbieranie i niszczenie informacji. Groźba, jaką Maria Magdalena stanowiła dla rządzących wczesnym Kościołem, mogła zrujnować Stolicę Piotrową. Maria Magdalena nie tylko była kobietą, której Jezus pozostawił zadanie ustanowienia Kościoła, ale miała również fizyczny dowód, że nowo ogłoszony bóstwem Chrystus zapoczątkował linię dynastyczną śmiertelników. Kościół, aby bronić się przed potęgą władzy Magdaleny, upowszechnił jej obraz jako ladacznicy i zniszczył dowody jej małżeństwa z Chrystusem, rozbijając w ten sposób wszelkie potencjalne niewypały.

– Dowody historyczne przemawiające za tą tezą są silne, Sophie – potwierdził Langdon.

– Przyznaję – powiedział Teabing – że są to śmiałe stwierdzenia, ale trzeba zrozumieć, że Kościół miał ważne powody, aby rzecz całą trzymać w tajemnicy. Nie przetrwałby, gdyby wiadomość o linii dynastycznej się upowszechniła. Istnienie potomków Jezusa podważyłoby fundamentalne pojęcie jego świętości oraz istotę Kościoła katolickiego, który głosił, że jedynie za jego pośrednictwem rodzaj ludzki może dostąpić zbawienia.

– Różę o pięciu płatkach – powiedziała Sophie, wskazując nagle na grzbiet jednej z książek Teabinga. Ten sam motyw zdobi szkatułkę z drewna różanego.

– Ma dobre oko. – Teabing uśmiechnął się, patrząc na Langdona. – Jest to symbol zakonu oznaczający Graala, Marię Magdalenę. – Zwrócił się do Sophie. – Ponieważ imię Marii Magdaleny znalazło się na indeksie kościelnym, występowała ona pod różnymi symbolami – jako kielich, Święty Graal i róża. – Przerwał na chwilę. – Róża ma związek z pięcioramienną gwiazdą Wenus i różą wiatrów, która prowadzi podróżników. A propos, słowo „róża” ma identyczne brzmienie po angielsku, francusku, niemiecku i w wielu innych językach.

– W tej postaci – dodał Langdon – jest również anagramem słowa Eros, greckiego boga miłości cielesnej.

– Róża zawsze była podstawowym symbolem seksualności kobiety. W archaicznych kultach Wielkiej Bogini pięć płatków przedstawiało pięć etapów życia kobiety – narodziny, pokwitanie, macierzyństwo, menopauzę i śmierć. A w dzisiejszych czasach analogie między kwitnącą różą a kobiecością uważa się za bardziej wizualne. – Spojrzał na Roberta. – Może specjalista od symboliki mógłby to szerzej objaśnić?

Robert się zawahał. Chwilę za długo.

– Na nieba! – ofuknął go Teabing. – Wy, Amerykanie, jesteście tacy pruderyjni. – Spojrzał raz jeszcze na Sophie. – Robertowi nie może przejść przez gardło, że rozkwitająca róża przypomina kobiece narządy płciowe, najsubtelniejszy kwiat, przez który przychodzi na świat cała ludzkość. Gdyby pani widziała obrazy pędzla Georgii O’Keeffe, wiedziałaby dobrze, o czym mówię.

– Tak czy owak – powiedział Langdon, wskazując znów ręką na półkę z książkami – wszystkie te książki zawierają dowody na tą samą tezę historyczną.

– Że Jezus był ojcem – upewniła się Sophie.

– Tak – potwierdził Teabing. – A Maria Magdalena łonem, które nosiło w sobie jego królewską linię. Zakon Syjonu do dziś czci Marię Magdalenę jako Wielką Boginię, Świętego Graala, różę i Boską Matkę.

Sophie znów przebiegło błyskawicą przez myśl wspomnienie podziemnego obrzędu.

– Zakon wierzy – kontynuował Teabing – że gdy Jezus został ukrzyżowany, Maria Magdalena była przy nadziei. Dla bezpieczeństwa nienarodzonego dziecka Chrystusa musiała uciekać z Ziemi Świętej. Z pomocą zaufanego krewnego Jezusa, Józefa z Arymatei, Maria Magdalena w tajemnicy wyjechała do Francji, zwanej wtedy Galią. Tam znalazła bezpieczne schronienie w gminie żydowskiej. To tutaj, we Francji, urodziła córkę i dała jej na imię Sara.

– Znane jest nawet imię dziewczynki? – zdziwiła się Sophie.

– Nie tylko imię. Życie Magdaleny i Sary zostało skrupulatnie opisane przez ich żydowskich opiekunów. Pamiętaj, że dziecko Magdaleny należało do rodu królów żydowskich – Dawida i Salomona. Dlatego Żydzi francuscy uważali Magdalenę za uświęconą przedstawicielkę rodu

królewskiego i czcili ją jako tę, która dała początek królewskiej dynastii. Wielu badaczy tej epoki dokumentowało dzieje Marii Magdaleny we Francji, opisywali również narodziny Sary i sporządzili drzewo rodowe.

– Istnieje drzewo rodowe Jezusa Chrystusa? – Sophie była zdumiona.

– Oczywiście. Jest ono bez wątpienia jednym z fundamentalnych dokumentów Sangreala. Drzewo rodowe potomków Chrystusa.

– Ale cóż z tego, że istnieje drzewo rodowe – rzekła z powątpiewaniem Sophie. – Przecież to nie jest żaden dowód. Historycy nie mogą dowieść jego autentyczności.

– Tak samo jak nie da się dowieść autentyczności Biblii – zachichotał Teabing.

– To znaczy?

– To znaczy, że historię zawsze piszą zdobywcy. Kiedy zderzą się ze sobą dwie kultury, przegranego usuwa się w cień, a zwycięzca pisze historię, gloryfikując własne dokonania i umniejszając znaczenie podbitego wroga. Jak kiedyś powiedział Napoleon: „Czymże jest historia jak nie uzgodnioną bajką?”. – Uśmiechnął się. – Taka jest jej natura, historia przeważnie bywa opowieścią jednostronną.

Sophie nigdy w ten sposób o tym nie myślała.

– Dokumenty Sangreala opowiadają o życiu Chrystusa jakby z przeciwnej strony. W końcu to, czy uwierzmy tej, czy tamtej stronie, jest kwestią naszego osobistego wyboru i dociekań każdego z nas, ale dobrze, że przetrwała informacja. Dokumenty Sangreala zawierają dziesiątki tysięcy stron informacji. Naoczni świadkowie piszą, że skarby Sangreala przenoszono w czterech olbrzymich skrzyniach. W tych skrzyniach złożone są tak zwane dokumenty purystów – tysiące stron niepoddanych żadnym opracowaniom świadectw z czasów przed Konstantynem, spisanych przez pierwszych wyznawców Jezusa, którzy wielbili go jako nauczyciela i proroka – jako człowieka. Mówi się również, że częścią skarbu jest legendarny dokument Q – rękopis, którego istnieniu podobno nie przeczy nawet Watykan. Mówi się, że jest to księga nauk Jezusa, pisana prawdopodobnie jego własną ręką.

– Zapiski samego Jezusa Chrystusa?

– Tak. Dlaczego Jezus miałby nie pozostawić świadectwa swojej posługi? W tamtych czasach większość ludzi dokumentowała swoją działalność. Podobno skarb zawiera też dokument niezwykłej wagi zwany *Dziennikiem Magdaleny*. Jest to jej własna relacja opisująca związek z Chrystusem, jego ukrzyżowanie i jej życie we Francji.

– Czy te cztery skrzynie z dokumentami to skarb, który templariusze odnaleźli pod Świątynią Salomona? – spytała Sophie po dłuższym milczeniu.

– Właśnie. Te dokumenty dały zakonowi olbrzymią władzę. Te dokumenty to cel nieustająco podejmowanych niezliczonych wypraw w poszukiwaniu Graala.

– Ale powiedział pan, że Święty Graal to Maria Magdalena. Jeżeli ludzie szukają dokumentów, dlaczego miałoby się to nazywać poszukiwaniem Świętego Graala?

– Ponieważ w miejscu, w którym ukryto Świętego Graala, znajduje się również sarkofag – wyjaśnił łagodnie Teabing.

Na zewnątrz wiatr wył między koronami drzew.

– Poszukiwanie Świętego Graala – mówił dalej cichym głosem – to w dosłownym znaczeniu poszukiwanie szczątków Marii Magdaleny, by móc przed nimi uklęknąć. To podróż, którą podejmujemy, by się pomodlić u stóp wygnanej, oddać hołd zatraconej sakralności kobiecej.

– Miejsce, w którym ukryty jest Święty Graal, jest więc... grobowcem?

– Tak. – Migdałowe oczy Teabinga zasnęła mgła. – Grobowcem, w którym spoczywa ciało Marii Magdaleny wraz z dokumentami opisującymi prawdziwą historię jej życia. Poszukiwanie Świętego Graala w gruncie rzeczy było zawsze poszukiwaniem Magdaleny – skrzywdzonej królowej, którą złożono w grobowcu wraz z dowodami praw jej rodziny do tronu.

Sophie dała Teabingowi chwilę wytchnienia. W historii dziadka było jeszcze tyle rzeczy, których nie udało jej się połączyć w całość.

– Czy członkowie zakonu – powiedziała w końcu – przez wszystkie te lata dźwigali na barkach brzemień ochrony dokumentów Sangreala i grobowca Marii Magdaleny?

– Tak, ale bractwo miało jeszcze jeden ważny obowiązek – ochrony dynastii jako takiej. Potomkowie Chrystusa byli w ciągłym niebezpieczeństwie. Wczesny Kościół obawiał się, że jeżeli ród się rozrośnie, tajemnica Jezusa i Magdaleny w końcu wyjdzie na jaw i podważy fundamentalną doktrynę katolicką – doktrynę o boskim Mesjaszu, który nigdy nie miał żadnych związków z kobietą. – Przerwał. – Tymczasem jednak dynastia Chrystusa rosła po cichu pod niebem Francji, aż w piątym wieku zdecydowano się na śmiały krok i małżeństwo, które złączyło ją z francuską dynastią królewską, dało początek dynastii Merowingów.

Ta wiadomość zaskoczyła Sophie. Merowingowie to nazwisko rodowe, które zna każdy francuski uczeń.

– Merowingowie byli założycielami Paryża.

– Tak. Dlatego między innymi legenda o Graalu jest we Francji tak żywa. Wiele wypraw w poszukiwaniu Świętego Graala organizowanych w Watykanie to w istocie misje skrytobójcze, które miały zetrzeć z powierzchni ziemi tę linię. Słyszałaś o królu Dagobercie Drugim?

Sophie przypominała sobie jak przez mgłę to imię z jakiejś mrocznej opowieści z lekcji historii.

– Dagobert Drugi był królem z linii Merowingów. Ktoś wbił mu kopię w oko podczas snu?

– Właśnie. Został zamordowany na zlecenie Pepina Grubego, działającego w zmowie z Rzymem. Było to pod koniec siódmego wieku. Po zamordowaniu Dagoberta linia Merowingów została prawie bezpotomna. Na szczęście syn Dagoberta Sigibert zdołał uciec i przedłużył ród, którego kolejnym potomkiem wiele lat później był Godfryd z Bouillon – założyciel Prieuré de Sion.

– Ten sam – powiedział Langdon – który nakazał templariuszom odzyskanie dokumentów Sangreala ukrytych pod Świątynią Salomona i w ten sposób dał Merowingom dowody ich dziedzicznej więzi z Jezusem Chrystusem.

Teabing skinął głową i zamyśliwszy się, westchnął.

– Współczesny Zakon Syjonu ma bardzo ciężkie obowiązki. Spoczywają na ich barkach trzy zadania. Bractwo musi chronić dokumenty Sangreala. Musi chronić grób Marii Magdaleny. I oczywiście musi żywić i chronić linię królewską Chrystusa – tych nielicznych członków dynastii Merowingów, którzy przetrwali do dzisiejszych czasów.

Jego słowa zawisły w potężnej pustej przestrzeni, a Sophie odczuła dziwne drżenie, jak gdyby jej kości i mięśnie zawibrowały jakąś nową prawdą. Potomków Jezusa, którzy przetrwali i do naszych czasów. Znowu usłyszała głos dziadka szepczący jej do ucha. Księżniczko, musisz powiedzieć ci prawdę o twojej rodzinie. Poczula chłód na plecach. Królewska krew. Niewyobrażalne. Księżniczka Sophie.

– Sir Leigh? – Sophie drgnęła na dźwięk słów służącego, które zabrzmiały nagle w domofonie na ścianie. – Czy zechciałby pan pofatygować się na chwilę tu do mnie do kuchni?

Teabing niemal zawył, kiedy usłyszał, że lokaj włącza się w tak niefortunnym momencie. Podszedł do domofonu i nacisnął guzik.

– Rémy, jak wiesz, mam gości i jestem zajęty. Jeżeli będziemy potrzebowali coś z kuchni, sami się obsłużymy. Dziękuję ci bardzo i dobranoć.

– Chciałbym tylko zamienić słowo z panem, zanim pójdę spać. Jeśli pan pozwoli.

Teabing stęknął niechętnie i nacisnął guzik.

– Ale proszę szybko, Rémy.

- To sprawa poufna, proszę pana, nie przeznaczona dla pańskich gości.
- Nie może poczekać do rana? – spytał Teabing z niedowierzaniem.
- Nie, proszę pana. Ta sprawa zajmie panu minutę.
- Czasem zastanawiam się, kto tu komu służy? – Teabing wznosił oczy w górę w geście zniecierpliwienia i jeszcze raz nacisnął guzik. –  
Zaraz tam będę, Rémy. Może ci przynieść coś po drodze?
- Tylko wolność od ucisku, sir.
- Zdajesz sobie sprawę, Rémy, że jedynym powodem, dla którego wciąż dla mnie pracujesz, jest twój *steak au poivre*.
- Podobno, sir. Podobno.



## ROZDZIAŁ 61

Księżniczka Sophie.

Słyszając coraz cichsze, niknące w głębi korytarza odgłosy postukiwania metalowych kul Teabinga, Sophie odczuwała wewnętrzną pustkę. Zmartwiła, odwróciła się i spojrzała na Langdona stojącego pośrodku opuszczonej sali balowej. On kręcił głową, jakby czytał w jej myślach.

– Nie, Sophie – szepnął pocieszająco. – Mnie też przyszła do głowy ta myśl, kiedy zdałem sobie sprawę, że twój dziadek był członkiem zakonu, a ty powiedziałaś, że chciał zdradzić ci sekret rodziny. Ale to zupełnie niemożliwe. – Langdon zamilkł. – Saunière to nie jest merowińskie nazwisko.

Sophie nie była pewna, czy ma czuć ulgę, czy rozczarowanie. Nieco wcześniej Langdon zadał jej dość niespodziewane pytanie, jakby w przelocie – o nazwisko rodowe jej matki. Chauvel. To pytanie teraz nagle nabrało sensu.

– A Chauvel? – spytała zalekniona.

– Przykro mi – pokręcił głową. – Wiem, że to dałoby odpowiedź na kilka pytań. Pozostały tylko dwie linie dynastyczne Merowingów. Ich nazwiska rodowe to Plantard i Saint-Clair. Obie rodziny żyją w ukryciu, prawdopodobnie pod opieką zakonu.

Sophie powtórzyła oba nazwiska bezgłośnie i potrząsnęła głową. W jej rodzinie nie było nikogo o nazwisku Plantard lub Saint-Clair. Nagle poczuła falę zmęczenia. Zdała sobie sprawę, że nie przybliżyła się nawet o krok do zrozumienia prawdy, którą dziadek chciał jej ujawnić, nie była bliżej niej niż w Luwrze. Żałowała, że tamtego popołudnia dziadek w ogóle wspominał o rodzinie. Niepotrzebnie otworzył stare, zabliznione rany, które teraz bolały jeszcze bardziej. Oni nie żyją, Sophie. Oni już nie wrócą. Pomyślała o mamie, która śpiewała jej przed snem, o tacie, który nosił ją na rękach, o babci i młodszym bracie uśmiechającym się do niej roziskrzonymi zielonymi oczami. Wszystko to jej skradziono. Został jej tylko dziadek.

Teraz i on odszedł. Jestem sama.

Sophie odwróciła się cicho z powrotem ku *Ostatniej Wieczerzy* i patrzyła na długie, płomiennorude włosy Marii Magdaleny i na jej spokojne oczy. W wyrazie twarzy tej kobiety było jakieś echo utraty kogoś ukochanego. Sophie też to czuła.

– Robercie? – powiedziała cicho.

Podszedł bliżej.

– Wiem, że Leigh twierdzi, że historia o Graalu jest wszędzie wokół nas, ale ja dziś wieczór usłyszałam o tym po raz pierwszy.

Langdon jakby chciał położyć dłoń na ramieniu Sophie w uspokajającym geście, ale w ostatniej chwili się powstrzymał.

– Na pewno słyszałaś kiedyś tę historię, Sophie. Każdy z nas słyszał. Po prostu nie zdajemy sobie z tego sprawy.

– Nie rozumiem.

– Historia o Graalu jest wszędzie, ale jest ukryta. Kiedy Kościół zabronił mówić głośno o odsuniętej na drugi plan Marii Magdaleny, trzeba było przekazywać dalej jej historię i jej znaczenie bardziej dyskretnymi kanałami... Przez metaforę i symbol.

– Oczywiście. Językiem sztuki.

– To doskonały przykład. – Langdon wskazał na *Ostatnią Wieczerzę*. – To, co do dziś przetrwało i co jest największe w literaturze, sztuce i muzyce, opowiada między wierszami historię Marii Magdaleny i Jezusa.

Langdon opowiedział jej pokrótce o pracach Leonarda da Vinci, Botticellego, Poussina, Berniniego, Mozarta i Victora Hugo, bo wszyscy oni mówili szeptem o wyprawie, której celem jest przywrócenie wartości zniweczonemu pierwiastkowi świętości żeńskiej. Legendy, które przetrwały, takie jak opowieść o sir Gawainie i Zielonym Rycerzu, o królu Arturze, Śpiącej Królownie, to wszystko alegorie Świętego Graala. *Dzwonnik z Notre Dame* Victora Hugo oraz *Zaczarowany flet* Mozarta są wypełnione symboliką masońską i wibrują tajemnicą Graala.

– Kiedy otworzysz oczy na Świętego Graala – powiedział Langdon – zobaczysz Marię Magdalenę wszędzie wokół siebie. W obrazach. W muzyce. W książkach. Nawet w kreskówkach, wesołych miasteczkach i w kinie.

Langdon podniósł w górę rękę i pokazał jej swój zegarek z Myszka Miki, a potem opowiedział, jak Walt Disney, nie czyniąc wokół tego wielkiego szumu, poświęcił całe życie na opowiadanie historii Graala przyszłym pokoleniom. Okrzyknięto go „Leonardem da Vinci współczesności”. Obaj wyprzedzali swoje czasy, byli wyjątkowo utalentowanymi artystami, członkami tajnych stowarzyszeń, a zwłaszcza zaprzysiężonymi kawalarzami. Podobnie jak Leonardo Walt Disney z upodobaniem wplatał w swoje dzieła ukryte przekazy i symbole. Kiedy znowa symboliki oglądał wczesne filmy Disneya, czuje się, jakby zasypywała go lawina aluzji i metafor.

Większość ukrytych przekazów Disneya dotyczyła religii, mitu pogańskiego i historii zdegradowanej Wielkiej Bogini. To nie przypadek, że Disney filmował *Kopciuszkę*, *Śpiącą Królowną* i *Królowną Śnieżkę*, bo wszystkie te historie mówią o uciemieniu sakralności kobiecej. Nie trzeba być biegłym w symbolice, żeby zrozumieć, że Królowna Śnieżka – księżniczka, która zapadła w sen potem, jak ugryzła zatrute jabłko, jest wyraźną aluzją do upadku Ewy w raju. Albo że księżniczka Aurora z *Królowny Śnieżki*, którą pod imieniem Różyczki ukrywano w głębi puszczy, by nie mogła jej dopaść zła czarownica, to dziecięca wersja historii Świętego Graala.

Wbrew pozorom w imperium Disneya zawsze panowało zrozumienie dla potrzeby zabawy i żartu wśród pracowników, a graficy zatrudnieni u Disneya do dziś zabawiają się umieszczaniem ukrytych symboli w filmach i kreskówkach. Langdon pamięta dzień, kiedy jeden z jego studentów przyniósł na zajęcia *Króla Lwa* na płycie DVD i zatrzymał film, a na stop-klatce ukazało się wyraźnie widoczne słowo SEKS, w które układały się płynące w powietrzu pyłki kurzu nad głową Simby. Chociaż Langdon podejrzewał, że jest to raczej sztubacki żart rysownika niż jakaś światła aluzja do pogańskiej seksualności człowieka, rozumiał, że nie należy lekceważyć siły symboliki w wydaniu Disneya. *Mała Syrenka* to zapierająca dech w piersiach panorama symboli duchowych, mających tak specyficzne odniesienie do Wielkiej Bogini, że nie mogły się tam znaleźć przypadkiem.

Kiedy Langdon pierwszy raz zobaczył *Małą Syrenkę*, zaniemówił, zauważywszy, że wiszący na ścianie w podwodnym domu obraz Ariel to dzieło siedemnastowiecznego malarza Georges'a de la Tour, zatytułowane *Pokutująca Magdalena* – słynący jako hołd wygnanej Marii Magdaleny – bardzo wymowne malowidło, zważywszy, że cały ten film to dziewięćdziesięciminutowy kolaż jaskrawych odniesień symbolicznych do utraconej boskości Izidy, Ewy, bogini podmorskiej, którą symbolizują zodiakalne Ryby, no i oczywiście Marii Magdaleny. Imię małej syrenki, Ariel, ma silne powiązania z sakralnością kobiecą, a w Księdze Izajasza jest nazwą świętego obłąkanego miasta. Rzecz jasna, faliste rude włosy małej syrenki też nie są dziełem przypadku.

Usłyszeli szcęk aluminiowych kul Teabinga, którego kroki były niezwykle żwawe. Kiedy ich gospodarz wszedł do gabinetu, miał surowy wyraz twarzy.

– Dobrze byś zrobił, Robercie, gdybyś mi wyjaśnił, o co w tym wszystkim chodzi – powiedział chłodno. – Nie jesteś wobec mnie uczciwy.

## ROZDZIAŁ 62

– Chcą mnie wrobić. Leigh – powiedział Langdon, starając się zachować spokój. – Znasz mnie. Przecież nie mógłbym nikogo zabić.  
– Na miłość boską, Robercie, jesteś w telewizji! Wiesz, że cię szuka policja? – Teabing nie dawał za wygraną.  
– Tak.  
– A więc nadużyłeś mojego zaufania. Jestem zdumiony, że chciałeś mnie narazić na ryzyko, przyjeżdżając tutaj i prosząc, abym bajdurzył o Graalu, gdy ty będziesz się ukrywał w moim domu.  
– Nikogo nie zabiłem.  
– Jacques Saunière nie żyje, a policja twierdzi, że to twoja robota. – Teabing wyraźnie posmutniał. – Saunière tyle robił dla rozwoju sztuki...  
– Sir? – Pojawił się służący, stanął za Teabingiem w drzwiach do gabinetu z rękami splecionymi na piersiach. – Mam ich wyprowadzić?  
– Pozwól, że ja sam to zrobię. – Teabing pokuśtykał przez gabinet, przekręcił klucz w dużych szklanych drzwiach i otworzył je szeroko na ogród. – A teraz do samochodu i żegnam.  
Sophie stała w miejscu.  
– Mamy informacje o *clef de voûte*. Wiemy coś o kluczu sklepienia zakonu.  
Teabing przyglądał się jej przez kilka sekund, a potem prychnął poirytowany.  
– To desperacki wykręt. Robert wie, ile się go naszukałem.  
– Ona mówi prawdę – powiedział Langdon. – Dlatego przyjechaliśmy do ciebie. Żeby porozmawiać z tobą o kluczu sklepienia.  
– Wyjdą państwo, czy mam wezwać policję? – zapytał służący.  
– Leigh – szepnął Langdon – wiemy, gdzie on jest.  
Zaciekłość Teabinga jakby trochę przygasła.  
Rémy maszerował teraz sztywnym krokiem przez pokój.  
– Proszę natychmiast wyjść! Albo wyprowadzę was siłą...  
– Rémy! – Teabing obrócił się, jednym ostrym słowem przyhamowując zapędy służącego. – Mógłbyś nas na chwilę zostawić samych?  
– Sir? – Służący otworzył usta ze zdumienia. – Muszę zaprotestować. Ci ludzie to...  
– Sam się tym zajmę. – Teabing wskazał na hol.  
Po chwili pełnej zdumienia i cizy Rémy wyszedł pokornie, jak pies z podwiniętym ogonem.  
W powiewach chłodnej bryzy, przedostających się przez drzwi otwarte na ogromny ogród, Teabing odwrócił się do Sophie i Langdona z jeszcze niepewnym wyrazem twarzy.  
– Lepiej, żeby coś w tym było. Co wiecie o kluczu sklepienia?

W gęstych zaroślach w ogrodzie przed gabinetem Teabinga Sylas ścisnął mocno w ręce pistolet i patrzył do środka przez szklane drzwi balkonowe. Przed chwilą obszedł dom dookoła i widział, że Langdon i kobieta rozmawiają w przestronnym gabinecie. Zanim zdołał ruszyć i dostać się do środka, zobaczył wchodzącego do pomieszczenia mężczyznę o kulach, który otworzył drzwi na oścież i zażądał, żeby goście natychmiast wyszli. Potem kobieta powiedziała coś o kluczu i wszystko się zmieniło. Podniesione głosy zamieniły się w szept. Nastrój złagodniał. A szklane drzwi szybko zamknięto.

Teraz, skulony w ciemnościach, Sylas ostrożnie zaglądał do środka. Klucz sklepienia jest gdzieś we wnętrzu tego domu. Mówiła mu to intuicja.

Nie wychodząc spoza granicy cienia, Sylas ostrożnie przesunął się bliżej i bliżej szklanych drzwi, bo bardzo chciał usłyszeć, o czym rozmawiają. Da im pięć minut. Jeżeli nie powiedzą, gdzie jest klucz, Sylas będzie musiał wejść i dowiedzieć się tego od nich.

– Wielki mistrz? – Teabing omal nie zadławił się tymi słowami i spojrzał na Sophie. – Jacques Saunière?  
Sophie przytaknęła i zobaczyła w jego oczach bezgraniczne zdumienie.  
– Ale przecież pani nie mogła o tym wiedzieć!  
– Jacques Saunière był moim dziadkiem.  
Teabing zachwiał się, zrobił krok w tył i podparł się na aluminiowych kulach. Spojrzał na Langdona, a ten kiwnął głową.  
– Panno Neveu – zwrócił się Teabing do Sophie – brak mi słów. Jeżeli to prawda, ogromnie pani współczuję. Przyznaję, że dla własnych badań sporządziłem listę paryżan mogących spełniać warunki kandydata na członka zakonu. Jacques Saunière był na tej liście obok wielu innych. Ale wielki mistrz, powiada pani? Trudno to sobie wyobrazić. – Teabing przez chwilę milczał, a potem potrząsnął głową. – To jednak wciąż nie ma sensu. Nawet jeżeli pani dziadek był wielkim mistrzem zakonu i wiedział, gdzie jest klucz sklepienia, nigdy by pani tego nie powiedział. Klucz sklepienia to drogowskaz do największego skarbu bractwa. Nawet będąc wnuczką wielkiego mistrza, nie ma pani podstaw, by posiadać taką wiedzę.  
– *Monsieur* Saunière umierał, kiedy przekazywał tę informację – powiedział Langdon. – Nie miał wielkiego wyboru.  
– On nie musiał dokonywać wyborów – upierał się Teabing. – Istnieje trzech seneszałów, którzy również znają ten sekret. Na tym polega całe piękno ich systemu. Jeden z nich stanie się wielkim mistrzem i wspólnie wprowadzą nowego seneszała, który także pozna tajemnicę klucza.  
– Widzę, że nie słyszał pan wszystkich wiadomości w telewizji – powiedziała Sophie. – Oprócz mojego dziadka zamordowano wczoraj trzech innych znanych paryżan. Wszyscy zginęli w podobny sposób. Wygląda na to, że przed śmiercią ktoś ich przesłuchiwał.  
– Myślicie, że to byli... – Teabing otworzył usta ze zdumienia.  
– Seneszały – powiedział Langdon.  
– Jak to możliwe? Morderca nie mógł przecież znać tożsamości wszystkich czterech najwyższych rangą członków Prieuré de Sion. Przecież ja... ja... próbowałem się tego dowiedzieć przez całe dziesięciolecie i nie udało mi się poznać nazwiska nawet jednego członka zakonu. Wydaje się niepojęte, by ktoś mógł zidentyfikować wszystkich trzech seneszałów i wielkiego mistrza i zabić ich jednego dnia.  
– Informacji zapewne nie zebrano jednego dnia – powiedziała Sophie. – Wygląda mi to na dobrze zaplanowaną akcję *décapiter*. Jest to technika, której używamy w walce ze zorganizowaną przestępczością. Jeżeli DCPJ chce unieszkodliwić jakąś grupę, zakłada podsłuch i śledzi ich miesiącami, identyfikuje głównych graczy, a potem wchodzi do akcji i zgarnia ich w tym samym momencie. Dekapitacja, czyli odgłowienie. Bez kierownictwa grupę ogarnia chaos i wszyscy zaczynają sypać. Być może ktoś cierpliwie śledził poczynania zakonu, a potem zaatakował, mając nadzieję, że czterej wtajemniczeni ujawnią miejsce przechowywania klucza sklepienia.

Teabing nie był przekonany.

– Bracia przecież nigdy nie zdradziliby tajemnicy. Zaprzysięgli jej dotrzymać. Nawet w obliczu śmierci.

– Właśnie – powiedział Langdon. – A to znaczy, że gdyby nikt nikomu nie przekazał informacji i wszyscy zostali zabici...

Teabing podjął jednym tchem:

– Wtedy informacja o miejscu przechowywania klucza sklepienia byłaby utracona na zawsze!

– A wraz z nią informacja o Świątym Graalu – dodał Langdon.  
Teabing zachwiał się, jakby słowa Langdona go przytłoczyły, po czym usiadł ciężko na fotelu i skierował wzrok za okno.  
Sophie podeszła do niego i powiedziała cichym głosem:  
– Zważywszy na szczególne okoliczności, w jakich znalazł się mój dziadek, wydaje się całkiem możliwe, że w skrajnej rozpaczy próbował przekazać tajemnicę komuś spoza bractwa. Komuś, komu zaufał. Komuś z rodziny.  
– Ale kto zdołał zorganizować taki atak... Kto zdołał odkryć aż tyle tajemnic bractwa... – Teabing był błądliwy i przerażony. – To może być tylko jedna siła. Tego rodzaju infiltracja może być dziełem tylko najstarszego wroga zakonu.  
– Kościoła. – Langdon podniósł wzrok.  
– Oczywiście. Rzym od wieków szuka śladów Graala.  
– Uważa pan, że to Kościół zlecił zabicie mojego dziadka? – spytała Sophie nieufnie.  
– Nie pierwszy raz w historii Kościół zabijałby, żeby się chronić – odparł Teabing. – Dokumenty, które towarzyszą Świątemu Graalowi, są dla Kościoła bombą, którą od lat chce rozbroić.  
Langdonowi trudno było przyjąć tezę Teabinga, że Kościół może mordować na prawo i lewo, żeby wejść w posiadanie dokumentów. Po spotkaniu z papieżem i wieloma kardynałami miał przekonanie, że są to ludzie głęboko uduchowieni, którzy nigdy nie dopuściliby się zabójstwa. Bez względu na cel.  
Sophie myślała bardzo podobnie.  
– Czy nie jest to możliwe, że ci członkowie zakonu zginęli z ręki kogoś spoza Kościoła? Kogoś, kto nie rozumie, czym naprawdę jest Świąty Graal. Kielich Chrystusa to w końcu skarb, który pobudza wyobraźnię. Z pewnością poszukiwaczom skarbów niewiele trzeba.  
– Według mnie – powiedział Teabing – człowiek może się posunąć o wiele dalej, by uniknąć tego, czego się boi, niżby zyskać to, czego pragnie. Wyczuwam w tym ataku jakieś szaleństwo i desperację.  
– W twojej argumentacji, Leigh – odpowiedział Langdon – jest pewien paradoks. Dlaczego Kościół katolicki miałby kazać mordować członków zakonu po to, by znaleźć i zniszczyć dokumenty, które i tak uważane są za fałszywe świadectwo?  
– Harvardzkie wieże z kości słoniowej zmiękczyły ci serce, Robercie – zachichotał Teabing. – Tak, oczywiście, księża w Rzymie mają błogosławieństwo silnej wiary, dlatego też ich poglądy wytrzymują najcięższe próby, takie jak próba świadectwa dokumentów, których treść przeczy wszystkiemu, co jest im drogie. Ale co z resztą świata? Co z tymi, którzy nie otrzymali błogosławieństwa niewzruszonej pewności? Co z tymi, którzy przyglądają się okrucieństwu naszego świata i pytają, gdzie jest Bóg? Z tymi, którzy są świadkami skandali w Kościele i pytają, kim są ci ludzie, którzy twierdzą, że mówią prawdę o Chrystusie, ale kłamią, by ukryć molestowanie seksualne dzieci przez księży? Co się stanie z tymi ludźmi, Robercie, jeżeli przekonujące dowody naukowe ujawnią, że wersja historii Chrystusa, którą przedstawia nam Kościół, jest nieprecyzyjna i że najwspanialsza opowieść jest najwspanialszym fałszerstwem?  
Langdon milczał.  
– Powiem ci, co się stanie – ciągnął Teabing. – Watykan stanie w obliczu bezprecedensowego kryzysu wiary.  
Po dłuższej chwili milczenia Sophie powiedziała:  
– A jeżeli rzeczywiście jest to sprawa Kościoła, dlaczego atak nastąpił właśnie teraz? Po tylu latach? Zakon utrzymuje dokumenty w tajemnicy. Nie stanowią one bezpośredniego zagrożenia dla Kościoła.  
Teabing westchnął znacząco i spojrzał na Langdona.  
– Rozumiem, Robercie, że wiesz, jakie jest zagrożenie?  
Langdon poczuł, że brakuje mu powietrza, kiedy o tym pomyślał.  
– Tak.  
– Panno Neveu – powiedział Teabing – przez wiele lat Kościół i zakon przestrzegały pewnego porozumienia. To znaczy, że Kościół nie będzie atakował zakonu, a zakon będzie trzymał dokumenty Sangreala w ukryciu. Ale w historię zakonu niejako wpisane jest ujawnienie tajemnicy. Kiedy nadejdzie pewna konkretna data historyczna, bractwo złamie milczenie i ostatecznie zatriumfuje – ujawni dokumenty Sangreala i wykrzyczy na cały świat prawdziwą historię Jezusa Chrystusa.  
Sophie patrzyła chwilę w milczeniu na Teabinga. W końcu i ona usiadła.  
– I sądzi pan, że ten dzień nadchodzi? I że Kościół o tym wie?  
– To tylko spekulacje – powiedział Teabing – ale z pewnością byłaby to motywacja dla Kościoła, aby zaatakować frontalnie i przejąć dokumenty, zanim będzie za późno.  
Langdon miał nieprzyjemne uczucie, że słowa Teabinga brzmią rozsądnie.  
– Sądzisz, że Kościół mógłby zdobyć dowody świadczące, że ta chwila się zbliża?  
– Dlaczego nie, jeżeli zakładamy, że Kościół potrafił dotrzeć do członków zakonu, to z pewnością poznał również ich plany. A nawet jeżeli nie ma jeszcze konkretnej daty, to przesady z pewnością zrobią swoje.  
– Przesady? – spytała Sophie.  
– W kategoriach prorocтва – powiedział Teabing – jesteśmy obecnie w epoce ogromnej zmiany. Niedawno zaczęło się nowe tysiąclecie, a z nim kończy się trwająca dwa tysiące lat astronomiczna era Ryb – które są również znakiem Jezusa. Każdy znawca symboliki astrologicznej powie, że według koncepcji Ryb wyższa od człowieka władza musi mu nakazywać, co ma robić, ponieważ człowiek nie jest w stanie myśleć niezależnie. Był to więc czas gwałtownie rozwijających się ruchów religijnych. Teraz jednak wchodzimy w erę Wodnika – a jego ideały to samodzielne poznawanie prawdy i myślenie niezależne. Ogromne przesunięcie akcentów ideologicznych, które da się odczuć właśnie teraz.  
Langdon poczuł dreszcze. Prorocтва astrologiczne nigdy go ani nie interesowały, ani nie uważał ich za wiarygodne, ale wiedział, że są tacy w łonie Kościoła, którzy śledzą je bardzo dokładnie.  
– Kościół nazywa ten okres przejściowy końcem dni.  
– Tak jak mówiło się o końcu świata? O apokalipsie? – zauważyła Sophie.  
– Nie – odparł Langdon. – To powszechny błąd w myśleniu. Wiele religii mówi o końcu dni. Odnosi się to nie do końca świata, ale raczej do końca obecnej ery – ery Ryb, która rozpoczęła się w czasach narodzin Chrystusa, trwała dwa tysiące lat i zakończyła się wraz z początkiem nowego milenium. Teraz, kiedy wchodzimy w erę Wodnika, nadchodzi koniec dni.  
– Wielu historyków Graala – dodał Teabing – wierzy, że jeżeli zakon rzeczywiście planuje ujawnienie prawdy, to ten moment historii byłby symbolicznie najważniejszy. Większość naukowców i nauczycieli akademickich badających dzieje zakonu, nie wykluczając mnie, przewidywało, że bractwo otworzy bramy prawdy tak, by ten gest zbiegł się z początkiem nowego tysiąclecia. Tak się oczywiście nie stało. Trzeba jednak pamiętać, że kalendarz rzymski nie zbiega się dokładnie z wyznacznikami astrologicznymi, a zatem w sferze przewidywań jesteśmy w obszarze szarości i półcienia. Nie wiem, czy Kościół ma informacje od kogoś w zakonie, że data zbliża się nieuchronnie, czy też staje się nerwowy z uwagi na przepowiednię astrologiczną. To i tak teraz nie ma znaczenia. I jeden, i drugi scenariusz pokazuje, jakie Kościół mógłby mieć motyw, by przypuścić atak prewencyjny na zakon. – Teabing zmarszczył brwi. – Wiercie mi, jeżeli Kościół znajdzie Świątego Graala, zniszczy go. Dokumenty i szczątki błogosławionej Marii Magdaleny również. – Rzucił na nich ciężkie spojrzenie. – Wtedy, moja droga, wraz ze zniknięciem

z powierzchni ziemi dokumentów Sangreala, utracimy wszystkie dowody. Kościół wygra wielowiekową wojnę o inny kształt historii. Przeszłość zostanie ostatecznie wymazana.

Sophie wyciągnęła powoli z kieszeni swetra klucz w kształcie krzyża i podała go Teabingowi. A on wziął klucz i przyjrzał mu się dokładnie.

– Mój Boże. Pieczęć zakonu. Skąd pani to ma?

– Dziadek dał mi to, zanim umarł.

Teabing przebiegł palcami po krucyfiksie. Klucz do kościoła?

Sophie wzięła głęboki oddech.

– To daje dostęp do klucza sklepienia.

– To niemożliwe! – Potrząsnął gwałtownie głową, na twarzy miał wyraz niewiary. – Który kościół przeoczyłem? Szukałem we wszystkich kościołach Francji!

– Nie jest schowany w kościele – powiedziała Sophie. – W szwajcarskim banku depozytowym.

– Klucz sklepienia jest w banku? – Z twarzy Teabinga zniknął wyraz ekscytacji.

– W sejfie bankowym – podsunął Langdon.

– W sejfie bankowym? – Teabing potrząsał energicznie głową. – To niemożliwe. Klucz ma być ukryty pod znakiem róży.

– Jest – powiedział Langdon. – Umieszczono go w szkatułce z drewna różanego inkrustowanego różą o pięciu płatkach.

Teabing wyglądał, jakby uderzył w niego piorun.

– Widzieliście klucz sklepienia?

– Byliśmy w banku. – Sophie skinęła głową.

Teabing podszedł do nich, a w oczach płonął mu strach.

– Przyjaciele, musimy coś zrobić. Klucz sklepienia jest w niebezpieczeństwie! Mamy obowiązek go chronić. A jeżeli są jakieś inne klucze? Może ukradziono je zamordowanemu seneszalowi? Jeżeli Kościół zdoła dotrzeć do banku tak jak wy...

– Będzie za późno, nikt nic nie wskóra – powiedziała Sophie. – Zabraliśmy klucz sklepienia.

– Co! Zabraliście klucz sklepienia z miejsca, w którym go ukryto?

– Nie bój się – powiedział Langdon. – Jest dobrze schowany.

– Mam nadzieję, że naprawdę dobrze!

– No – powiedział Langdon, nie mogąc powstrzymać się od śmiechu – to zależy od tego, jak często sprzątasz pod kanapą.

Wiatr wiejący wokół Château Villette wzmógł się, a szata Sylasa łopotała w podmuchach, kiedy siedział skulony przy oknie. Chociaż niewiele usłyszał z toczącej się rozmowy, słowo klucz przeniknęło przez szkło już kilka razy.

Jest w domu.

W uszach brzmiały mu jeszcze słowa Nauczyciela. Wejść do Château Villette. Weź klucz sklepienia. Nikomu nie rób krzywdy.

Teraz Langdon i pozostali przeszli nagle do pokoju obok, gasząc światła w gabinecie. Jak gepard, który podkrada się do swojej ofiary, Sylas podczołgał się do szklanych drzwi. Okazało się, że są tylko przymknięte. Wśliznął się do środka i cicho zamknął je za sobą. Słyszał stłumione głosy z sąsiedniego pokoju. Wyciągnął z kieszeni pistolet, odbezpieczył go i powoli, krok za krokiem, ruszył korytarzem.

Porucznik Collet stał sam na skraju podjazdu do posiadłości Leigha Teabinga i spoglądał w górę na masywną budowlę. Dom stoi w odosobnieniu. Ciemno. Ogród daje dobrą osłonę. Collet przyglądał się, jak kilku agentów w milczeniu rozchodzi się wzdłuż ogrodzenia. W niespełna kilka minut mogliby być po drugiej stronie i otoczyć cały dom. Langdon nie mógł wybrać lepszego miejsca na niespodziewany atak dla ludzi Colleta.

Collet właśnie miał zadzwonić do Fache'a, kiedy jego telefon sam się odezwał. Fache nie wydawał się tak zadowolony z rozwoju wydarzeń, jak Collet sobie to wyobrażał.

– Dlaczego nikt mi nie powiedział, że macie zamiar na Langdona?

– Był pan zajęty rozmową telefoniczną i...

– Gdzie pan jest, poruczniku Collet?

Collet podał mu adres.

– Posiadłość należy do Brytyjczyka nazwiskiem Teabing. Langdon dość długo jechał, żeby się tu dostać, a pojazd jest po drugiej stronie chronionej systemem bezpieczeństwa bramy, nie ma oznak włamania, więc prawdopodobnie Langdon zna właściciela domu.

– Już tam jadę – powiedział Fache. – Nie róbcie żadnych ruchów. Zajmę się tym osobiście.

Collet aż otworzył usta.

– Ale, panie kapitanie, ma pan dwadzieścia minut drogi! Powinniśmy przystąpić do akcji natychmiast. Mamy go na widelcu. Jest nas tu ośmiu. Czterech ma karabiny snajperskie, a pozostali broń krótką.

– Czekajcie na mnie.

– Kapitanie, a jeżeli Langdon ma tam zakładnika? Jeżeli nas zobaczy i postanowi uciekać na piechotę? Musimy wchodzić natychmiast! Moi ludzie są na stanowiskach i gotowi ruszyć w każdej chwili.

– Poruczniku Collet, proszę poczekać z akcją na mnie. To jest rozkaz. – Fache wyłączył się.

Bezgranicznie zaskoczony porucznik Collet też wyłączył swój telefon. Dlaczego, do cholery, Fache każe mi czekać? Collet znał odpowiedź. Fache, chociaż był znany ze swoich instynktów i nosa policyjnego, był również chorobliwie ambitny. Fache chce dostać punkty za to aresztowanie. Fotografia Amerykanina ukazała się we wszystkich stacjach telewizyjnych, a teraz Fache chce, żeby i jego twarz stała się równie popularna. Zadanie Colleta polegało po prostu na utrzymaniu pozycji, aż pojawi się szef i – jak kawaleria amerykańska – wszystkich uratuje.

Stojącego przy ogrodzeniu Colleta naszała inna myśl, która mogłaby wyjaśniać tę zwłokę. Kontrola wyrządzonych szkód. W pracy policyjnej wahanie, czy aresztować zbiega, czy nie, pojawia się tylko wtedy, gdy zachodzi wątpliwość co do winy podejrzanego. Czy Fache ma wątpliwości, że Langdon jest winny? Ta myśl napełniła go przerażeniem. Kapitan Fache niemal wychodził dzisiaj ze skóry, żeby aresztować Roberta Langdona – podsłuch i nagrywanie rozmów, Interpol, a teraz telewizja. Nawet wielki Bezu Fache nie przeżyłby konsekwencji politycznych, gdyby się okazało, że omyłkowo rzucił znanego Amerykanina na pożarcie francuskim stacjom telewizyjnym, twierdząc, że to morderca. Jeżeli teraz zdał sobie sprawę, że popełnił błąd, rozkaz, by nie ruszać się z miejsca, bezsprzecznie miałby sens. Wzięcie szturmem prywatnej posiadłości niewinnego Brytyjczyka i wyprowadzenie Langdona pod lufami to ostatnia rzecz, której Fache teraz potrzebował.

Ponadto Collet zdał sobie sprawę, że jeżeli Langdon jest niewinny, to wyjaśni się jeden z najdziwniejszych paradoksów tej sprawy, a mianowicie, dlaczego Sophie Neveu, wnuczka ofiary pomagała domniemanemu zabójcy w ucieczce. Sophie musiała wiedzieć, że Langdon jest niesłusznie oskarżony. Fache miał wiele koncepcji wyjaśniających dziwne zachowanie Sophie, nie wyłączając takiej, że Sophie, jako jedyna spadkobierczyni Saunière'a, przekonała swojego sekretne go kochanka, Roberta Langdona, żeby wykończył Saunière'a dla pieniędzy, które ona odziedziczy. Saunière, jeżeli to podejrzewał, mógł zostawić policji wiadomość *PS. Znajdź Roberta Langdona*. Collet był prawie pewien, że w tym rozumowaniu coś nie gra. Sophie Neveu była osobą zbyt uczciwą, żeby się mieszać w coś tak odrażającego.

– Panie poruczniku? – W jego kierunku biegł jeden z agentów. – Znaleźliśmy samochód.

Collet szedł za agentem jakieś pięćdziesiąt metrów, oddalając się od podjazdu. Agent wskazał na szerokie pobocze po drugiej stronie drogi. Stało tam zaparkowane w krzakach, niemal niewidoczne, czarne audi. Miało tablice rejestracyjne wypożyczalni samochodów. Collet dotknął dłonią maski. Silnik był jeszcze ciepły. A nawet gorący.

– Pewnie w ten sposób Langdon się tutaj dostał – powiedział Collet. – Zadzwonić do firmy wynajmującej samochody. Dowiedźcie się, czy samochód nie jest kradziony.

– Tak jest, panie poruczniku.

Inny agent przywołał Colleta z powrotem i pokazał w kierunku ogrodzenia.

– Proszę spojrzeć, panie poruczniku. – Podał Colletowi noktowizor. – W kępcie drzew przy samym końcu podjazdu.

Collet skierował noktowizor na wzgórze i wyostrzył obraz pokrętem. Powoli zielonkawe kształty robiły się coraz bardziej wyraziste. Umieścił zakręt podjazdu i powoli prowadził soczewki noktowizora w górę, aż dotarł do kępki drzew. Potem mógł już tylko patrzeć. Tam właśnie, otoczona zielenią i krzewami, stała opancerzona furgonetka. Furgonetka identyczna jak ta, której minionego wieczoru Collet pozwolił wyjechać z Banku Depozytowego Zurychu. Modlił się, żeby to był jakiś dziwaczny zbieg okoliczności, ale wiedział, że to niemożliwe.

– To chyba oczywiste – powiedział agent – że to właśnie w tej furgonetce Langdon i Neveu uciekli z banku.

Colletowi odebrało mowę. Pomyślał o kierowcy furgonetki, którą zatrzymał przy linii blokady. Ten rolex. Ten pośpiech. Przecież nie sprawdziłem, co wiózł.

Nie mogąc uwierzyć w to, co widzi, Collet zdał sobie teraz wyraźnie sprawę, że ktoś w banku wyraźnie okłamywał funkcjonariusza DCPJ na temat miejsca pobytu Sophie i Langdona, a potem pomógł im uciec. Ale kto? I dlaczego?

Collet zastanawiał się, czy właśnie nie to jest powodem powściągliwości Fache'a i rozkazu, by nie podejmować na razie żadnych działań. Może Fache zdał sobie sprawę, że w tę całą historię wmieszani są jeszcze inni ludzie, nie tylko Langdon i Sophie. A jeżeli Langdon i Neveu przyjechali furgonetką, kto w takim razie prowadził audi?

Setki kilometrów na południe wycarterowany samolot typu Beechraft Baron 58 leciał z dużą prędkością na północ, w kierunku Morza Tyrreńskiego. Pomimo bezchmurnego nieba biskup Aringarosa trzymał kurczowo w rękach papierowy woreczek, pewien, że za chwilę zrobi mu się niedobrze. Rozmowa, którą odbył z Paryżem, nie była taka, jakiej oczekiwał.

Sam w niewielkiej kabinie, Aringarosa przekręcał złoty pierścień na palcu i próbował zapanować nad nieopuszczającym go poczuciem strachu i rozpaczy. Wszystko w Paryżu poszło bardzo źle. Zamykając oczy, Aringarosa zaczął się modlić, żeby Bezu Fache znalazł sposób, jak to naprawić.

Teabing siedział na sofie, kołysząc drewnianą szkatułkę na kolanach i patrząc z nieukrywaniem podziwem na skomplikowany wzór róży intarsjowany na wieku. To najdziwniejsza i najbardziej magiczna noc ze wszystkich dni i nocy mojego życia.

– Proszę unieść wieko – szepnęła Sophie, stając nad nim tuż obok Langdona.

Teabing uśmiechnął się. Nie poganiaj mnie. Spędziwszy ponad dziesięć lat w poszukiwaniu klucza sklepienia, chciał się nacieszyć każdą milisekundą tej chwili. Powiódł dłonią po powierzchni drewnianego wieka, wyczuwając koniuszkami palców strukturę intarsjowanego kwiatu.

– Róża – szepnęła.

Róża to Magdalena, to Święty Graal. Róża to kompas, który prowadzi wędrowców. Teabing poczuł się jak idiota. Przez lata podróżował między katedrami i kościołami całej Francji, płacił za specjalny dostęp, przyglądał się usilnie setkom luków ozdobionych kamiennymi różami, szukając zaszyfrowanego klucza sklepienia. *La clef de voûte* – klucz sklepienia pod znakiem róży.

Odsunął zasuwkę i powoli uchylił wieko.

Kiedy jego oczy w końcu spoczęły na zawartości pudełka, wiedział od razu, że to może być tylko klucz, którego szukał. Patrzył na kamienny cylinder złożony z łączących się ze sobą tarcz, na których widniały litery. To urządzenie wydało mu się nagle zadziwiająco dobrze znane.

– Dziadek zacerpnął pomysł tej konstrukcji z dzienników Leonarda da Vinci – powiedziała Sophie. – To było jego hobby.

Oczywiście – zdał sobie sprawę Teabing. Widział szkice i plany. Klucz do odnalezienia Świętego Graala leży wewnątrz tego kamienia. Podniósł ciężki krypteks, wyjął go ze szkatułki i trzymał delikatnie w dłoniach. Chociaż nie miał pojęcia, jak otworzyć cylinder, czuł, że w jego wnętrzu złożone jest jego przeznaczenie. W momentach porażek Teabing pytał sam siebie z niewiarą, czy jego życiowa misja kiedykolwiek zakończy się sukcesem lub choćby jakąś nagrodą. Teraz te wątpliwości znikły jak ręką odjął. Słyszał i widział oczyma duszy starożytne słowa... fundament legendy o Świętym Graalu:

*Vous ne trouvez pas le Saint-Graal, c'est le Saint-Graal qui vous trouve.*

Nie znajdziesz Graala, to Graal znajdzie ciebie.

Dziś w nocy całkiem niewiarygodnym zrządzeniem losu klucz do odnalezienia Świętego Graala przeszedł w czyjeś kieszeni wprost przez jego frontowe drzwi.

Kiedy Sophie i Teabing siedzieli nad krypteksem i rozmawiali o occie, o dyskach i wskazówkach i o tym, jakie może być hasło, Langdon zaniósł pudełko z drewna różanego przez pokój na dobrze oświetlony stół, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Coś, co Teabing właśnie powiedział, nie dawało mu spokoju. Klucz do Graala jest ukryty pod znakiem róży.

Langdon podniósł drewniane pudełko do światła i przyjrzał się dokładnie symbolowi róży. Chociaż jego znajomość sztuki nie obejmowała stolarstwa ani intarsji, przypomniał sobie właśnie słynny sufit w hiszpańskim klasztorze na skraju Madrytu, cały w kafelkach, gdzie trzy wieki potem, jak go zbudowano, kafelki z sufitu zaczęły odpadać, ujawniając święte teksty wypisane przez mnichów na warstwie tynku.

Langdon jeszcze raz przyjrzał się róży.

Pod różą.

*Sub rosa.*

Tajemnica.

Langdon usłyszał jakieś stuknięcie w holu, gdzieś z tyłu za nim, i odwrócił się. Nie zauważył nic oprócz cieni. Prawdopodobnie przechodził służący Teabinga. Wrócił więc do oglądania pudełka. Przesunął palcem po gładkiej krawędzi intarsji, zastanawiając się, czy da się wypchnąć tę różę w górę, ale robota rzemieślnicza była perfekcyjna. Między intarsją róży a dokładnie wyrzeźbione wgłębienie, w którym ją osadzono, nie weszłoby nawet ostrze żyłki.

Otworzył szkatułkę i przyjrzał się wewnętrznej stronie wieka. Było gładkie. Kiedy jednak ustawił je w innym położeniu, światło wydobyło wyraźnie coś, co było jakby małym otworem od spodu wieczka, umieszczonym dokładnie w jego środku. Langdon zamknął wieko i przyjrzał się intarsji róży od góry. Nie było żadnego otworu.

Nie przechodzi na zewnątrz.

Położył szkatułkę na stole, rozejrzał się po pokoju i zobaczył stos papierów, a na nich spinacz do papieru. Wziął spinacz, wrócił do szkatułki, otworzył ją i jeszcze raz przyjrzał się dziurce. Ostrożnie rozgiął spinacz i włożył koniec do otworka. Pchnął delikatnie. To, co zrobił, nie wymagało niemal żadnego wysiłku. Usłyszał, że coś prawie bezgłośnie stuknęło i spadło na stół. Langdon zamknął wieczko, żeby się dokładniej przyjrzeć. Był to mały kawałek drewna jak z układanki. Drewniana róża wyskoczyła z wieczka i spadła na biurko.

Langdon w zdumieniu przyglądał się pustemu miejscu na wieczku, gdzie przedtem była róża. Tam zobaczył wyrzeźbione w drewnie przepięknym ręcznym krojem pisma cztery linie tekstu w języku, z którym nigdy przedtem się nie zetknął.

Litery wydają się na pierwszy rzut oka jakby semickie – pomyślał, a jednak nie rozpoznają tego języka!

Jego uwagę zwróciło jakieś nagłe poruszenie tuż za nim. Potężny cios w głowę, jakby znikąd, powalił go na kolana. Upadając, przez chwilę pomyślał, że widzi białego ducha, który się nad nim unosi z bronią w ręku. Potem wszystko zamarło i zrobiło się ciemno.

## ROZDZIAŁ 65

Sophie Neveu, mimo że była pracownikiem organów ścigania, jeszcze nigdy, aż do dzisiejszej nocy, nie była na celowniku niczyjego pistoletu. Nie wiedziała niemal, jak do tego doszło, ale broń, na którą teraz patrzyła, trzymał mocno w rękę olbrzymi albinos z długimi białymi włosami. Patrzył na nią czerwonymi oczami, a z całej jego postaci biło coś przerażającego i bezcielesnego. Ubrany był w wełnianą szatę przewiązaną w pasie sznurem. Przypominał jej średniowiecznego kleroika. Sophie nie miała pojęcia, kim jest, odczuła jednak nagły szacunek dla podejrzeń Teabinga, że za tym wszystkim stoi Kościół.

– Wiecie, po co przychodzę – powiedział mnich pustym, dudniącym głosem.

Sophie i Teabing siedzieli na sofie z rękoma uniesionymi w górę, tak jak rozkazał napastnik. Langdon leżał, jęcząc, na podłodze. Wzrok mnicha natychmiast przykuł klucz sklepienia leżący na kolanach Teabinga.

W tonie głosu Teabinga słychać było obojętność.

– Nie będziesz umiał tego otworzyć.

– Mój Nauczyciel jest bardzo mądry – odparł mnich, zbliżając się krok za krokiem w ich kierunku, mierząc z pistoletu raz w Teabinga, a raz w Sophie.

Sophie zastanawiała się, gdzie jest lokaj Teabinga. Nie słyszał, jak Robert upada?

– Kim jest twój Nauczyciel? – spytał Teabing. – Może dojdziemy do jakiegoś porozumienia finansowego?

– Graal jest bezcenny. – Mnich był coraz bliżej.

– Krwawisz – zauważył Teabing chłodno, wskazując gestem głowy na prawą kostkę mnicha, miejsce, gdzie po jego nodze spływał strumyczek krwi. – I utykasz.

– Tak jak ty – odparł mnich, wskazując pistoletem na aluminiowe kule ustawione obok Teabinga. – Teraz daj mi klucz sklepienia.

– Wiesz, że to jest klucz sklepienia? – zapytał Teabing zdumiony.

– Nieważne, co ja wiem. Wstań powoli i podaj mi go.

– Trudno mi wstać.

– Właśnie. Wolałbym, żeby nikt nie próbował jakichś nerwowych ruchów.

Teabing przełożył prawą dłoń przez oparcie kuli i wziął cylinder w lewą. Wstał z impetem i stanął, trzymając ciężki przedmiot w lewej dłoni i opierając się niepewnie na kuli, którą trzymał w prawej.

Mnich zbliżył się już na odległość niecałych dwóch metrów, mierząc z pistoletu prosto w głowę Teabinga. Sophie przyglądała się temu, czując się bezradna, kiedy mnich sięgał po cylinder.

– Nie uda ci się – powiedział Teabing. – Tylko ten, kto jest tego godny, potrafi to otworzyć.

Bóg osądzi, kto jest godny – pomyślał Syłas.

– To jest dość ciężkie – powiedział mężczyzna o kulach; ręka mu drżała. – Boję się, że upuszczę, jeśli szybko nie odbierzesz. – Zachwiał się niebezpiecznie.

Syłas zrobił kilka pospiesznych kroków w przód, chcąc odebrać cylinder, a kiedy się zbliżał, mężczyzna o kulach stracił równowagę. Kula wysliznęła mu się spod ręki i zaczął padać na bok na prawą stronę. Nie! Syłas rzucił się, żeby ratować cylinder – jednocześnie obniżając broń – ale ten oddalał się teraz od niego. Kiedy mężczyzna upadał w prawo, lewą dłonią machnął do tyłu, a cylinder wypadł mu z ręki na kanapę. W tej samej chwili aluminiowa kula, która wyslizgiwała się spod niego, jakby przyspieszyła i skierowała się szerokim łukiem w powietrze, ku nodze Syłasa.

Iskry bólu rozdarły ciało Syłasa, kiedy kula uderzyła dokładnie w punkt i dotknęła jego *cilice*, wgniatając ostre kolce w bolącą już skórę i mięśnie. Składając się wpół, Syłas runął na kolana, a przez to pas na jego nodze jeszcze głębiej wpił się w ciało. Kiedy Syłas padał, pistolet wypalił z ogłuszającym hukiem, a kula utkwiała bezpiecznie w deskach podłogi. Zanim miał szansę podnieść broń i wystrzelić po raz drugi, stopa kobiety trafiła go dokładnie w kąt kości szczękowej.

Stojący u szczytu podjazdu Collet usłyszał wystrzał. Stłumiony odgłos strzału wprawił go w panikę. Fache był już w drodze, a Collet zdążył pożegnać się z nadzieją na to, że ktoś wyrazi mu uznanie za odnalezienie Langdona. Co gorsza, Collet byłby skończony, gdyby Fache zechciał postawić go przed ministerialną komisją śledczą za nieprzestrzeganie procedur.

Ktoś strzelał z broni w prywatnym domu! A ty czekałeś na podjeździe?

Collet wiedział, że okazja do niedostrzeżonego podejścia pod okna posiadłości już dawno przepadła. Wiedział też, że jeżeli jeszcze sekundę postoi tam bezczynnie, następnego dnia cała jego kariera będzie już historią. Spoglądając na żelazną bramę prowadzącą do posiadłości, podjął szybką decyzję.

– Przywiązać linę i pociągnąć.

Do odległego zakątka zmaconego umysłu Roberta Langdona dotarł wystrzał. Usłyszał również okrzyk bólu. Jego własny? Młot pneumatyczny wiercił mu dziurę w czaszce. Gdzieś niedaleko odezwały się jakieś głosy.

– Gdzieś, do cholery, był?! – wrzeszczał na całe gardło Teabing.

Lokaj wpadł pospiesznie do pokoju.

– Co się stało? O mój Boże! Kto to jest? Dzwonię na policję!

– Nie dzwoń na żadną policję, do jasnej cholery! Postaraj się na coś przydać, przynieś nam coś, żeby związać tego potwora.

– I trochę lodu! – krzyknęła za nim Sophie.

Langdon znów odpłynął. Jeszcze jakieś głosy. Ruch. Teraz ktoś go posadził na sofie. Sophie przykłada mu do głowy woreczek z lodem. Boli go czaszka. Kiedy w końcu wzrok zaczął mu się rozjaśniać, okazało się, że patrzy na czyjeś ciało leżące na podłodze. Mam halucynacje? Potężne ciało mnicha albinosa leżało związane, z ustami zaklejonymi taśmą. Miał przeciętą skórę na policzku, a habit powyżej prawego uda był przesiąknięty krwią. Wydawało się, że i on teraz zaczyna dochodzić do siebie.

– Kto to jest? Co... się stało? – zwrócił się Langdon do Sophie.

Przykuśtykał do nich Teabing.

– Uratował cię rycerz z Ekskaliburem w dłoni, wykonany przez firmę Acme Orthopedic.

Co takiego?

Langdon próbował usiąść.

Dotknięcie dłoni Sophie było trochę nerwowe, lecz łagodne.

– Poleż jeszcze chwilę, Robercie.

– Obawiam się – powiedział Teabing – że właśnie zademonstrowałem twojej pani jakąś korzyść z mego opłakanego stanu zdrowia. Jak się zdaje, nikt tu tego nie docenia.

Oparłszy głowę o sofę, Langdon patrzył na mnicha i próbował sobie wyobrazić, co się stało.

- Miał na sobie *cilice* – wyjaśnił Teabing.
- Co takiego?

Teabing wskazał dłonią na zakrwawiony skórzany pasek z nabitymi kolcami, który leżał na podłodze.

- Pas dyscypliny. Nosił go na udzie. Celowałem dokładnie.

Langdon potarł dłonią głowę. Wiedział, że istnieją pasy dyscypliny.

- Ale skąd... wiedziałeś?

Teabing uśmiechnął się szeroko.

- Chrześcijaństwo jest domeną moich badań, Robercie, a istnieją pewne sekty, których członkowie niczego nie ukrywają. – Wskazał kulą na krew sączącą się przez szatę mnicha. – Tak jak ten tutaj.
- Opus Dei – szepnął Langdon, przypominając sobie niedawny reportaż w telewizji na temat kilku prominentnych biznesmenów bostońskich, którzy należeli do Opus Dei. Wystraszeni współpracownicy rzucili na nich fałszywe publiczne oskarżenie o to, że pod eleganckimi garniturami noszą pasy *cilice*. Okazało się to nieprawdą. Podobnie jak wielu członków Opus Dei nie oddawali się praktykom umartwiania ciała. Byli żarliwymi katolikami, oddanymi ojcami rodzin i głęboko zaangażowanymi członkami społeczności miejskiej. Nic dziwnego, że media prześliznęły się nad ich duchowym zaangażowaniem, by przejść do bardziej szokujących relacji, opowiadając o przestrzegających surowszych reguł braciach zakonnych... takich jak mnich leżący teraz na podłodze przed Langdonem.

Teabing przyglądał się uważnie zakrwawionemu kawałkowi skózanego paska.

- Ale dlaczego Opus Dei chciało odnaleźć Świętego Graala?

Langdon czuł jeszcze zbyt wielki zamęt w głowie, żeby się nad tym zastanawiać.

- Co to jest, Robercie? – spytała Sophie, podchodząc do drewnianej szkatułki.

Trzymała w ręku małą intarsję róży, którą Langdon wypchnął z wieczka.

- Ten element przykrywał napis wyrzeźbiony na pudełku. Sądzę, że tekst może nam dać wskazówkę, jak otworzyć klucz sklepienia.

Zanim Sophie i Teabing mieli szansę coś odpowiedzieć, u podnóża wzniesienia wybuchło morze kolorów błękitnych i czerwonych kogutów policyjnych i ocean syren, i wąż samochodów zaczął wspinać się po prawie kilometrowym podejściu.

Teabing zmarszczył brwi.

- Przyjaciele, chyba musimy podjąć jakąś decyzję. I lepiej zróbmy to jak najszybciej.



## ROZDZIAŁ 66

Collet i jego agenci z pistoletami w dłoniach wpadli z impetem przez frontowe drzwi posiadłości sir Leigha Teabinga. Rozpierzchli się i zaczęli przeszukiwać wszystkie pokoje na najniższym poziomie. Znaleźli otwór po kuli w podłodze gabinetu, oznaki walki, plamy krwi, dziwny pas skórzany z kolcami i napoczętą rolkę taśmy klejącej. Wydawało się, że cały parter jest opuszczony. W chwili kiedy Collet miał podzielić swoich ludzi i zlecić im przeszukiwanie przyziemia i terenu wokół domu, usłyszał głosy na piętrze.

– Są na górze!

Pobiegli szerokimi schodami, przeskakując po dwa stopnie, a potem Collet i jego agenci przeszukiwali górę pokój po pokoju przez cały ogromny dom, zabezpieczając zaciemnione sypialnie i korytarze i zbliżając się do źródła ludzkich głosów. Wydawało się, że dźwięki wydostają się z ostatniej sypialni na końcu długiego holu. Agenci posuwali się krok za krokiem korytarzem, zamykając alternatywne drogi ucieczki.

Kiedy podeszli już do ostatniej sypialni, Collet zobaczył, że drzwi są szeroko otwarte. Głosy nagle ucichły i usłyszeli dziwne dudnienie, jakby pracę silnika.

Z pistoletem uniesionym w górę Collet dał sygnał. Dopadli w ciszy framugi drzwi, porucznik znalazł włącznik światła i w pokoju zrobiło się jasno. Wpadając do środka i mając za sobą swoich ludzi, Collet krzyczał i celował pistoletem w... pustkę.

Pusty pokój gościnnie. Nienagannie wysprzątany.

Dudniące dźwięki silnika samochodu wydobywały się z czarnej, elektrycznej płytki wmontowanej w ścianę przy łóżku. Collet widział też takie płytki w innych miejscach w domu. Jakiś domofon, system wewnętrznej telefonii? Podbiegł. Na płycie widniało kilka przycisków, każdy opisany:

GABINET... KUCHNIA... PRALNIA... PIWNICA...

Więc skąd, do cholery, słyszę samochód?

SYPIALNIA... SOLARIUM... STAJNIE... BIBLIOTEKA...

Stajnie! Collet był na dole w kilka sekund, biegł w kierunku tylnego wyjścia, zgarniając po drodze jednego ze swoich agentów. Obaj pędem przebiegli przez trawnik na tyłach domu i bez tchu stanęli przed zniszczoną wiatrem i deszczem starą stajnią. Nim weszli, Collet usłyszał oddalający się warkot silnika samochodowego. Z bronią w ręku wpadł do środka i zapalił światła.

Po prawej stronie stajni znajdowało się coś na kształt warsztatu i składziku – kosiarki do trawy, narzędzia samochodowe, nawozy i nasiona. Na przeciwległej ścianie domofonu widniała znajoma płytka. Jeden z guzików był wciśnięty i przekazywał sygnał.

POKÓJ GOŚCINNY 2

W Collecie aż się gotowało ze złości. Zwabili nas na górę domofonem! Przeszukał drugą stronę stajni i znalazł długi szereg boksów dla koni. Ale bez koni. Wydawało się, że właściciel domu wolał inny rodzaj transportu; stajnie przerobiono na imponujący garaż. Kolekcja samochodów była zadziwiająca – czarne ferrari, nienagannie utrzymany rolls-royce, zabytkowy sportowy aston martin, kolekcjonerski egzemplarz porsche 356. Ostatni boks był pusty. Collet podbiegł tam i zobaczył plamy oleju na podłodze. Nie uda im się wyjechać poza teren posiadłości. Podjazd i bramę blokowały dwa policyjne samochody patrolowe, aby zapobiec właśnie takiej próbie.

– Panie poruczniku! – Agent wskazał dłonią w kierunku końca boksów.

Tylne, przesuwne drzwi stajni były szeroko otwarte wprost na czarne, błotniste zbocze, strome i nierówne, ciągnące się gdzieś daleko w noc. Collet podbiegł do drzwi, próbując wyjrzeć w ciemność. Widział tylko nikiły zarys lasu gdzieś w oddali. Żadnych świateł. Zalesioną dolinę prawdopodobnie przecinały nieoznaczone na mapie drogi pożarowe i szlaki myśliwskie, ale Collet był pewny, że jego łup nie dojedzie nawet do granicy lasu.

– Niech ludzie wyjdą i zaczną przeszukiwać. Pewnie utknęli gdzieś niedaleko stąd. Te modne samochody sportowe nie zachowują się zbyt dobrze w otwartym terenie.

– Przepraszam pana, poruczniku? – Agent wskazał na deskę, na której wisiało kilka kompletów kluczyków do samochodów. Oznaczenia nad kluczami były znajome.

DAIMLER... ROLLS-ROYCE... ASTON MARTIN... PORSCHE...

Ostatnia pozycja była pusta. Kiedy Collet odczytał wypisaną nad nią nazwę, wiedział, że będzie miał kłopoty.

Range rover model java black pearl miał napęd na cztery koła, standardowy mechanizm przekładni, odporne na wstrząsy i uderzenia lampy z polipropylenu, solidne osłony tylnych świateł i kierownicę po prawej stronie.

Langdon był rad, że to nie on prowadzi.

Lokaj Teabinga, Rémy, na polecenie swojego chlebodawcy dokonywał niemal cudów, manewrując pojazdem przez oświetlone światłem księżycy pola na tyłach Château Villette. Bez świateł przejechał na ukos otwartą przestrzeń i posuwał się teraz w dół długim zboczem pagórka, coraz dalej i dalej od posiadłości. Wydawało się, że jedzie w kierunku poszarpanej linii lasu gdzieś w oddali.

Langdon, trzymając mocno w dłoniach klucz sklepienia, odwrócił się na fotelu pasażera i spojrzął na Teabinga i Sophie siedzących z tyłu.

– Jak tam twoja głowa, Robercie? – spytała Sophie z troską w głosie.

Langdon zmusił się do uśmiechu przez łzy.

– Dziękuję, lepiej. – Głowa dosłownie pękała mu z bólu.

Teabing siedzący obok Sophie spoglądał przez ramię na związanego i zakneblowanego mnicha leżącego w ciasnej przestrzeni na bagaż za tylnymi siedzeniami. Teabing miał na kolanach pistolet należący do mnicha i wyglądał jak postać ze starej fotografii. Brytyjczyk na safari pójający do fotografii nad swoją zdobyczą.

– Cieszę się, że postanowiłeś wpaść do mnie dzisiaj wieczór, Robercie – powiedział Teabing, uśmiechając się radośnie, jakby nie bawił się tak dobrze od lat.

– Wybacz, że cię w to wciągnąłem, Leigh.

– Co też ty mówisz?! Całe życie czekałem, żeby mnie ktoś wciągnął w coś takiego. – Teabing spojrzął ponad głową Langdona przez przednią szybę na cień wysokiego żywoplotu, postukał Rémy'ego po ramieniu. – Pamiętaj, żadnych świateł. Jeżeli musisz hamować, hamuj ręcznym. Musimy wjechać głębiej w las. Nie możemy ryzykować, że zobaczą nas z domu.

Rémy zwoolnił trochę i poprowadził range rovera wprost przez wyrwę w żywoplotcie. Kiedy samochód wpadł na porośniętą trawę i pełną korzeni ścieżkę leśną, drzewa, które wyrosły nad ich głowami, niemal natychmiast odcięły światło księżycy.

Nic nie widzę. Langdon wysilał wzrok, by rozróżnić jakieś kształty przed nimi. Było ciemno choć oko wykol. Gałęzie uderzały w lewą stronę samochodu, a Rémy odbił w przeciwnym kierunku. Trzymając kierownicę teraz mniej więcej prosto, przejechał może jeszcze z dziesięć metrów.

– Świetnie ci idzie, Rémy – powiedział Teabing. – Teraz już powinno być bezpiecznie. Robercie, mógłbyś nacisnąć ten mały błękitny guzik tuż pod nawiewem. Widzisz?

Langdon odnalazł guzik i nacisnął go.

Przytłumione żółte światło rozesało się na ścieżce tuż przed nimi. Z ciemności wyłoniły się gęste zarośla po obu stronach ścieżki. Reflektory przeciwmgielne, domyślił się Langdon. Dawały na tyle światła, żeby utrzymać samochód na ścieżce, ale nie wcinąły się głęboko w las, by zdradzić ich obecność.

– Cóż, Rémy – powiedział wesoło Teabing. – Zapaliliśmy światła. Nasze życie jest w twoich rękach.

– Dokąd jedziemy? – zapytała Sophie.

– Ta ścieżka jakieś trzy kilometry prowadzi przez las – powiedział Teabing. – Przechodzi przez teren posiadłości, a potem skręca łukiem na północ. Jeżeli nie natkniesz się na żadne bajoro ani na powalone drzewa, powinniśmy dotrzeć bez szwanku do pobocza autostrady numer pięć.

Bez szwanku. Głowa Langdona mówiła co innego. Skierował oczy na kolana, gdzie klucz sklepienia leżał bezpiecznie w drewnianej szkatułce. Intarsjowana róża na wieczku była znów na swoim miejscu i chociaż w głowie mu wciąż szumiało, nie mógł się powstrzymać, żeby nie spróbować raz jeszcze wyjąć intarsję i dokładnie przyjrzeć się wyrzeźbionemu pod nią literactwu. Odsunął zasuwkę na wieczku i zaczął je uchylać, kiedy poczuł za sobą na ramieniu rękę Teabinga.

– Cierpliwości, Robercie – powiedział Teabing. – Tu jest pełno wybojów i ciemno. Niech Bóg broni, żebyśmy coś stłukli. Jeżeli nie rozumiałeś tego języka przy świetle, w ciemności nie pójdziesz ci lepiej. Na razie lepiej trzymać wszystko w całości. Już niedługo.

Langdon wiedział, że Teabing ma rację. Kiwnął głową i zamknął szkatułkę.

Rzucony na tył samochodu mnich zaczął i walczył ze swoimi więzami. Nagle zaczął dziko kopać.

Teabing odwrócił się i wymierzył pistolet nad siedzenie.

– Nie wyobrażam sobie, na co pan się może skarżyć, sir. Zjawił się pan nieproszony w moim domu i nabił pan okropnego guza mojemu przyjacielowi. Miałbym absolutne prawo teraz pana zastrzelić i zostawić własnemu losowi, żebygnił pan w tych lasach.

Mnich ucichł.

– Jesteś pewien, że powinniśmy zabrać go ze sobą? – spytał Langdon.

– Diabło pewien! – wykrzyknął Teabing. – Jesteś poszukiwany za morderstwo, Robercie. Ten łotr jest twoim biletem do wolności. Policji chyba tak bardzo na tobie zależy, że śledziła cię aż do mojego domu.

– To mój błąd – powiedziała Sophie. – Furgonetka prawdopodobnie miała nadajnik.

– Nie o to chodzi – powiedział Teabing. – Nie dziwi mnie, że policja was znalazła, ale naprawdę jestem zdziwiony, że ten oprych z Opus Dei was namierzył. Z tego, co powiedzieliście, trudno mi sobie wyobrazić, jak mógł was śledzić aż do mojego domu, chyba że miał kontakt albo z francuską policją, albo z Bankiem Depozytowym Zurychu.

Langdon zaczął się nad tym zastanawiać. Miał wrażenie, że Bezu Fache za wszelką cenę chce znaleźć kozła ofiarnego i oskarżyć kogoś o te morderstwa. A Vernet zaatakował ich dość nagle, chociaż biorąc pod uwagę, że Langdona oskarżono o cztery morderstwa, ta niespodziewana zmiana postawy bankiera wydawała się zrozumiała.

– Mnich nie działa na własną rękę, Robercie – powiedział Teabing – i dopóki się nie dowiemy, kto za tym wszystkim stoi, będziecie oboje w niebezpieczeństwie. Jest i dobra wiadomość, a mianowicie taka, że teraz to wy macie nad wszystkim kontrolę. Ten potwór za moimi plecami już o tym wie, a ten, kto pociąga za sznurki, zaczyna się teraz denerwować.

Rémy jechał coraz szybciej, czując się z minuty na minutę pewniej na leśnym dukcie. Przejeżdżali przez kałuże wody, wdrapywali się na wzniesienia, a potem znowu zjeżdżali w dół.

– Bądź tak miły, Robercie, i podaj mi ten telefon. – Teabing wskazał na telefon samochodowy, którego słuchawka tkwiła w desce rozdzielczej. Langdon podał mu ją, a Teabing wybrał numer. Czekał bardzo długo, zanim ktoś odebrał po drugiej stronie. – Richard? Obudziłem cię? Jasne, że cię obudziłem. Głupie pytanie. Wybacz mi. Mam mały problem. Nie najlepiej się czuję. Musimy obaj z Rémym wyskoczyć na wyspy na kurację. Cóż, po prawdzie, to już zaraz. Przepraszam, że daję ci tak mało czasu. Czy mógłbyś przygotować Elizabeth w jakieś dwadzieścia minut? Wiem, wiem, zrób, co możesz. Do zobaczenia niebawem. – Rozłączył się.

– Elizabeth? – spytał Langdon.

– Mój samolot. Jej Królewska Mość kosztowała mnie bająnskie sumy.

Langdon odwrócił się na siedzeniu i spojrzął na niego pytająco.

– O co chodzi? Nie sądzicie chyba, że będziecie mogli zostać we Francji, kiedy całe Centralne Biuro Śledcze siedzi wam na karku. Londyn będzie znacznie bezpieczniejszy.

Sophie też odwróciła się do Teabinga.

– Myśli pan, że powinniśmy wyjechać z kraju?

– Przyjaciele, mam znacznie więcej wpływów w cywilizowanym świecie niż tutaj, we Francji. Ponadto panuje powszechne przekonanie, że Graal jest gdzieś w Wielkiej Brytanii. Jeżeli uda nam się otworzyć klucz sklepienia, jestem pewien, że odkryjemy mapę, która potwierdzi, że ruszyliśmy we właściwym kierunku.

– Wiele pan ryzykuje, pomagając nam – powiedziała Sophie. – Nie przysporzy to panu przyjaciół we francuskiej policji.

Teabing zdegustowany machnął ręką.

– Skończyłem już z Francją. Przeniosłem się tutaj, żeby znaleźć klucz sklepienia. Ten etap jest już za mną. Nie obchodzi mnie, czy jeszcze kiedyś zobaczę Château Villette.

– Jak przejdziemy przez system ochrony lotniska? – spytała Sophie.

Teabing zachichotał.

– Ja latam z Le Bourget – ekskluzywnego lotniska położonego niedaleko stąd, zarezerwowanego dla ludzi biznesu. Francuscy lekarze mnie denerwiają, więc co dwa tygodnie udaję się na północ, na kurację do Anglii. Płacę za specjalne przywileje na jednym i na drugim końcu. Kiedy już będziemy w powietrzu, możecie podjąć decyzję, czy zawiadomić kogoś z ambasady amerykańskiej, żeby nam zgotowali powitanie w Anglii, czy nie.

Langdon nie miał już ochoty na kontakty z ambasadą. Jego myśli krążyły wyłącznie wokół klucza sklepienia, napisu i pytania, czy doprowadzi ich do Graala. Zastanawiał się, czy Teabing miał rację co do Wielkiej Brytanii. Trzeba przyznać, że większość współczesnych legend umiejscawiała Graala gdzieś w granicach Zjednoczonego Królestwa. Teraz uważa się nawet, że mityczna wyspa króla Artura, bogaty w opowieści o Graalu Avalon, to nic innego jak Glastonbury w Anglii. Niezależnie od tego, gdzie spoczywa Graal, Langdon nigdy w najszmielejszych snach nie przypuszczał, że będzie go szukał. Dokumenty Sangreala. Prawdziwa historia Jezusa Chrystusa. Grobowiec Marii Magdaleny. Nagle poczuł, jakby się znalazł w jakimś śnie... W jakiejś rzeczywistości, do której realny świat nie ma dostępu.

– Sir? – powiedział Rémy. – Czy naprawdę myśli pan o powrocie do Anglii na dobre?

– Nie martw się, Rémy – pocieszył go Teabing. – Tylko dlatego, że wracam pod panowanie naszej dobrej królowej, nie zamierzam torturować swojego podniebienia parówkami i tłuczonymi ziemniakami przez resztę moich dni. Spodziewam się, że zostaniesz ze mną na stałe. Planuję kupno wspaniałej willi w hrabstwie Devonshire i natychmiast każemy przysłać tam wszystkie twoje rzeczy. Przygoda, Rémy. Powiadam ci, przygoda!

Langdon nie mógł powstrzymać uśmiechu. Kiedy Teabing perorował na temat triumfalnego powrotu do Wielkiej Brytanii. Nagle poczuł się jakby zarażony jego entuzjazmem.

Patrząc nieobecny wzrokiem za okno, obserwował, jak obok nich przesuwają się drzewa, białe niczym duchy w żółtym świetle lamp przeciwmgielnych. Boczne lustro było zgięte do środka, widocznie uderzyło o jakąś gałąź, i Langdon widział w nim odbicie Sophie siedzącej spokojnie na tylnym siedzeniu. Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę i poczuł niespodziewany przypływ satysfakcji. Pomimo wszystkich kłopotów i przygód tej nocy to szczęście, że dane mu było przebywać w tak dobrym towarzystwie.

Po kilku minutach, jakby wyczuwając, że spoczywa na niej czyjś wzrok, Sophie pochyliła się, położyła dłoń na jego ramionach i kilka razy zacisnęła palce.

– Wszystko w porządku?

– Tak – powiedział Langdon. – Jakby.

Sophie oparła się na tylnym siedzeniu i Langdon zobaczył, że przez jej usta przebiega cień uśmiechu. Zdał sobie sprawę, że on też się uśmiecha.

Zaklinowany w bagażniku range rovera Sylas z trudem oddychał. Ręce miał wykręcone do tyłu i mocno przywiązane do kostek sznurem do bielizny i taśmą klejącą. Każdy wstrząs przeszywał bólem jego wygięte ramiona. Dobrze, że jego prześladowcy przynajmniej zdjęli mu *cilice*. Nie mogąc oddychać przez taśmę zaklejającą mu usta, wciągał powietrze jedynie nosem, który powolutku się zatykał, bo część bagażowa terenowego samochodu, w którą był wciśnięty, była zakurzona. Zaczął kaszleć.

– Chyba się dławi – powiedział francuski kierowca z niepokojem w głosie.

Brytyjczyk, który uderzył Sylasa aluminiową kulą, teraz odwrócił się i ponad siedzeniem spojrzął na niego chłodno i surowo.

– Masz szczęście, że my Brytyjczycy, oceniamy szlachetność człowieka nie przez pryzmat jego współczucia dla przyjaciół, ale przez pryzmat jego współczucia dla wrogów. – Sięgnął dłonią w dół, chwycił taśmę zaklejającą usta Sylasa i zerwał ją jednym zdecydowanym ruchem.

Sylas miał uczucie, że ktoś nagle podpałił mu usta, ale powietrze wpływające do jego płuc było istnym darem bożym.

– Dla kogo pracujesz? – spytał ostro Brytyjczyk.

– Wykonuję Dzieło Boże – warknął Sylas przez falę bólu w szczękę w miejscu, w które kopnęła go kobieta.

– Należysz do Opus Dei – powiedział mężczyzna. To nie było pytanie.

– Nie wiesz nic o tym, kim jestem.

– Dlaczego Opus Dei chce przejąć klucz sklepienia?

Sylas nie zamierzał odpowiadać. Klucz sklepienia był łącznikiem, ogniwem wiodącym do Świętego Graala, a Święty Graal był kluczem do obrony wiary. Wykonuję Dzieło Boże. Jego Droga jest w niebezpieczeństwie.

Teraz, leżąc na podłodze range rovera i walcząc z więzami, Sylas obawiał się, że już na dobre zawiódł Nauczyciela i biskupa. Nie miał nawet jak się z nimi skontaktować i opowiedzieć im, jak niekorzystnie potoczyły się wydarzenia. Ci, którzy mnie pojмали, są w posiadaniu klucza! Dotrą do Graala, zanim nam się to uda! W duszących ciemnościach zaczął się modlić. Niech ból w jego ciele będzie napędem prośb, które wznosił.

Cud, o Panie. Potrzebny mi cud. Sylas nie mógł wiedzieć, że minie kilka godzin i cud się wydarzy.

– Robercie? – Sophie wciąż go obserwowała. – Widzę na twojej twarzy jakiś dziwny wyraz.

Langdon spojrzął na nią, zdając sobie sprawę, że szczęki ma zacisnięte, a serce wali mu jak młotem. Do głowy przyszło mu coś zupełnie niewiarygodnego. Czy rzeczywiście wyjaśnienie mogło być tak proste?

– Muszę zadzwonić z twojego telefonu komórkowego, Sophie.

– Teraz?

– Chyba na coś wpadłem.

– Na co?

– Powiem ci za chwilę. Potrzebny mi twój telefon.

Sophie była zaniepokojona.

– Wątpię, czy Fache go namierza, ale na wszelki wypadek postaraj się nie rozmawiać dłużej niż minutę. – Dała mu telefon.

– Jak zadzwonić do Stanów?

– Możesz rozmawiać tylko na koszt abonenta. Mój serwis nie obejmuje rozmów przez Atlantyk.

Langdon nacisnął zero, wiedząc, że następna minuta może mu dać odpowiedź na pytanie, które dręczyło go cały wieczór.

## ROZDZIAŁ 68

Nowojorski wydawca Jonas Faukman właśnie położył się spać. Zadzwonił telefon. Trochę późno na rozmowy, mruknął niechętnie, podnosząc słuchawkę.

Odezwwał się głos telefonistki.

– Czy mam połączyć rozmowę na pański koszt z panem Robertem Langdonem?

Zaskoczony Jonas zapalił światło.

– Aa... Oczywiście, proszę połączyć.

Coś szczyknęło na linii.

– Jonas?

– Robert? Budzisz mnie i jeszcze chcesz, żebym ja za to płacił?

– Wybacz, Jonas – powiedział Langdon. – Postaram się mówić krótko, ale naprawdę muszę znać odpowiedź. Ta praca, którą ci dałem. Czy ty...

– Przepraszam cię, Robercie, wiem, że obiecałem ci posłać poprawioną wersję w tym tygodniu, ale jestem zawalony robotą. W przyszły poniedziałek. Na pewno.

– Nie chodzi mi o korekty. Muszę wiedzieć, czy wysłałeś jakieś odbitki, by uzyskać notki reklamowe, nie informując mnie o tym.

Faukman zawahał się. Najnowsza praca Langdona – badanie historii kultu Wielkiej Bogini – zawierała wiele rozdziałów poświęconych Marii Magdalenie, które wprawia w zdumienie kilka osób. Chociaż cały materiał był dobrze udokumentowany i miał pokrycie w innych publikacjach, Faukman nie zamierzał drukować promocyjnych egzemplarzy książki Langdona bez przynajmniej kilku wyrazów uznania poważnych historyków i luminarzy sztuki. Jonas wybrał dziesięć najważniejszych nazwisk ze świata sztuki i wysłał wszystkim po kilka rozdziałów pracy wraz z uprzejmą prośbą o krótką wypowiedź na obwolucie książki. Faukman wiedział z doświadczenia, że takie osoby zazwyczaj chętnie korzystały z okazji, żeby zobaczyć swoje nazwisko w druku.

– Jonas? – naciskał Langdon. – Rozsyłałeś moją pracę, prawda?

Faukman zmarszczył brwi, wyczuwając, że Langdon nie jest zadowolony.

– Praca była bez zarzutu, Robercie, chciałem ci zrobić niespodziankę, zamieszczając na obwolucie kilka pochwalnych opinii.

Chwila milczenia.

– Czy posłałeś też jakieś fragmenty kustoszowi paryskiego Luwru?

– A jak myślisz? W twojej pracy są liczne odniesienia do zbiorów Luwru, zamieszczasz jego pozycje w bibliografii, a ten gość ma niezłe przełożenie na sprzedaż za granicą. Saunière bardzo by nam się przydał.

Cisza po drugiej stronie słuchawki trwała dość długo.

– Kiedy mu to wysłałeś?

– Jakiś miesiąc temu. Wspominałem również w liście, że będziesz wkrótce w Paryżu, i zaproponowałem, żebyście sobie pogadali. Zadzwonił do ciebie, żeby się z tobą umówić? – Faukman przerwał, przecierając oczy. – Chwileczkę, czy to nie właśnie w tym tygodniu miałeś być w Paryżu?

– Jestem w Paryżu.

Faukman usiadł na łóżku wyprostowany jak trzcina.

– Dzwonisz do mnie na mój koszt z Paryża?

– Odlicz to sobie od mojego honorarium, Jonas. Czy Saunière się do ciebie odezwwał? Podobają mu się moja praca?

– Nie wiem. Jeszcze się do mnie nie odezwał.

– Cóż, chyba nieprędko się odezwie. Muszę się rozłączyć, ale dużo mi wyjaśniłeś. Dziękuję.

– Robert... – ale Langdon już się rozłączył.

Faukman odłożył słuchawkę i potrząsał z niedowierzaniem głową. Autorzy – pomyślał. Nawet ci normalni to świry.

– Powiadasz, Robercie – parsknął Leigh Teabing – że napisałeś pracę, która porusza sprawy tajnego stowarzyszenia, a twój wydawca wysłał egzemplarz do tego właśnie tajnego stowarzyszenia?

– Na to wygląda. – Langdon opadł na siedzenie.

– Przypadek bywa okrutny, przyjacielu.

Przypadek nie ma tu nic do rzeczy – to Langdon wiedział na pewno. Poprosić Jacques'a Saunière'a, by napisał komentarz do książki na temat kultu Wielkiej Bogini, to był ruch tak oczywisty, jak poprosić Tigera Woodsa, żeby napisał parę zdań o książce na temat golfa. Poza tym z góry było wiadomo, że każda książka traktująca o kulcie Wielkiej Bogini będzie musiała nawiązać do Prieur de Sion.

– A oto pytanie za milion dolarów – powiedział Teabing, wciąż chichocząc. – Czy wyrażałeś się o zakonie życzliwie czy niezyczliwie?

Langdon zrozumiał podtekst pytania Teabinga. Wielu historyków miało zakonowi za złe, że wciąż trzyma dokumenty Sangreala pod kluczem. Niektórzy uważali, że już dawno powinien być podzielić się tymi informacjami z cywilizowanym światem.

– Nie wyrażałem żadnych opinii o działaniach zakonu.

– To znaczy o braku działań.

Langdon wzruszył ramionami. Teabing był najwidoczniej po stronie tych, którzy chcieli upublicznić dokumenty.

– Przedstawiłem historię bractwa i opisałem zakon jako czcicieli bogini, strażników Graala oraz opiekunów starożytnych dokumentów.

– Wspominałeś o kluczu sklepienia? – spytała Sophie.

Langdon mrugnął oczami. Owszem. Wielokrotnie.

– Pisałem o hipotetycznym kluczu sklepienia jako o przykładzie szczególnych środków ochrony dokumentów Sangreala.

– To chyba wyjaśnia *PS. Znajdź Roberta Langdona*.

Langdon wyczuwał, że w jego pracy było coś innego, co wzbudziło zainteresowanie Saunière'a, ale ten temat chciałby omówić z Sophie, kiedy będą sami.

– A więc – powiedziała Sophie po chwili – skłamałeś kapitanowi Fache'owi.

– Dlaczego?

– Powiedziałaś mu, że nigdy nie korespondowałeś z moim dziadkiem.

– Bo to prawda! Mój wydawca posłał mu fragmenty pracy.

– Pomyśl, Robercie. Jeżeli kapitan Fache nie znajdzie koperty, w której twój wydawca wysłał rękopis, będzie musiał dojść do wniosku, że to ty go wysłałeś. – Przerwała. – Albo, co gorsza, że dostarczyłeś mu materiał osobiście i nie powiedziałeś prawdy.

Dotarłszy na lotnisko Le Bourget, Rémy wjechał do niewielkiego hangaru na końcu pasa startowego. Kiedy podjeżdżali, wąsaty mężczyzna w pogniecionym lotniczym kombinezonie wybiegł z hangaru, pomachał do nich i pchnął w bok olbrzymie metalowe drzwi na rolkach, po czym wewnątrz ukazał się elegancki, wysmukły, biały odrzutowiec.

Langdon wpatrywał się w błyszczące wykończenia silników odrzutowych.

– To jest Elizabeth?

– Lepsza niż przeprawa przez ten cholerny kanał – zaśmiał się Teabing.

Mężczyzna w lotniczym kombinezonie szedł do nich pospiesznie, mrużąc oczy w świetle reflektorów samochodu.

– Jestem prawie gotowy, sir! – zawołał z wyraźnym brytyjskim akcentem. – Przepraszam za opóźnienie, ale trochę mnie pan zaskoczył i... – przerwał w pół słowa, kiedy cała grupa wylądowywała się z samochodu. Popatrzył na Sophie i Langdona, a potem na Teabinga.

– Moi współpracownicy i ja mamy bardzo pilne sprawy do załatwienia w Londynie – powiedział Teabing. – Nie mamy czasu do stracenia. Proszę przygotować maszynę do odlotu. – Mówiąc to, Teabing wyciągnął z samochodu pistolet i podał go Langdonowi.

Pilot wytrzeszczył oczy na widok broni. Podeszedł do Teabinga i szepnął:

– Proszę mi wybaczyć, sir, ale dokumenty lotu wystawione na przelot dyplomatyczny opiewają tylko na pana i pańskiego służącego. Nie mogę zabrać pańskich gości.

– Richardzie – powiedział Teabing, uśmiechając się ciepło. – Dwa tysiące funtów szterlingów i ten naładowany pistolet mówią wyraźnie, że możesz wziąć moich gości. – Zrobił gest głową w kierunku range rovera. – I tego biedaka tam, z tyłu, również.

Dwa silniki odrzutowe hawкера 731 zagrzmiały, a samolot wystrzelił w niebo jak z procy z siłą, która wcisnęła pasażerów w fotele. Za oknami lotnisko Le Bourget zniknęło w ciemnościach z zadziwiającą prędkością.

Uciekam z kraju – pomyślała Sophie, kiedy przyspieszenie wcisnęło jej ramiona w skórzany fotel. Do tej chwili wierzyła, że zdoła jakoś wytłumaczyć w Ministerstwie Obrony grę w kotka i myszkę z Fache'em. Próbowałam ochronić niewinnego człowieka. Próbowałam spełnić przedśmiertne życzenie mojego dziadka. Teraz ta ścieżka była dla Sophie zamknięta. Wyjeżdżała z kraju bez dokumentów, w towarzystwie człowieka poszukiwanego przez policję, a ponadto przewożącego związanego w kij zakładnika. Jeżeli kiedykolwiek istniała jakaś „linia zdrowego rozsądku”, to Sophie właśnie ją przekroczyła. Z prędkością dźwięku.

Sophie siedziała wraz z Langdonem i Teabingiem w przedniej części kabiny w odrzutowcu „specjalnie zaprojektowanym dla ludzi biznesu”, jak można było wyczytać na mosiężnej plakietce nad drzwiami. Pluszowe fotele obrotowe były przyśrubowane do szyn w podłodze – można je było przestawić i umocować wokół prostokątnego drewnianego stołu. Minisala konferencyjna. Ale to dostojne otoczenie z trudem przysłaniało znacznie mniej dostojną sytuację w tyle samolotu, gdzie w odrębnej części kabiny, tuż obok toalety, Rémy, lokaj Teabinga, z pistoletem w dłoni i z wyraźną niechęcią, na polecenie swojego chlebodawcy, pilnował zakrwawionego mnicha, który leżał związany u jego stóp.

– Zanim zajmimy się kluczem sklepienia – powiedział Teabing – chciałbym, jeśli pozwolicie, powiedzieć kilka słów. – W jego głosie brzmiała niepewność i lęk, jakby był ojcem, który ma wygłosić wykład o motylkach i pszczołkach przed gromadką swoich dzieci. – Przyjaciele, zdaję sobie sprawę, że jestem jedynie gościem w tej podróży, i poczytuję sobie to za wielki zaszczyt. Niemniej jednak jako ktoś, kto strawił życie na poszukiwaniu Świętego Graala, czuję, że mam obowiązek ostrzec was, że wstępujecie na ścieżkę, z której nie ma odwrotu, niezależnie od tego, jakie na niej czują niebezpieczeństwa. – Zwrócił się do Sophie. – Panno Neveu, pani dziadek dał pani krypteks, mając nadzieję, że będzie pani kultywować tajemnicę Świętego Graala.

– Tak.

– I oczywiście czuje się pani w obowiązku podążać tym śladem, dokądkolwiek miałby panią zaprowadzić.

Sophie przytaknęła, chociaż czerpała motywację z innego źródła, a to wciąż w niej biło. Prawda o mojej rodzinie. Pomimo zapewnień Langdona, że klucz sklepienia nie ma nic wspólnego z jej przeszłością, Sophie wciąż czuła, że w tę tajemnicę jest wpleciony jakiś element głęboko osobisty, jak gdyby krypteks, który jej dziadek stworzył własnymi rękoma, próbował do niej przemówić i podsunąć jakieś rozwiązanie, wypełnić pustkę, która dręczyła ją przez te wszystkie lata.

– Pani dziadek, jak i trzech pozostałych oddało życie dlatego – mówił dalej Teabing – że chcieli ustrzec klucz sklepienia przed zakusami Kościoła. Mnich z Opus Dei był dziś o mały krok od przejścia tej tajemnicy. Rozumiecie, mam nadzieję, że to nas stawia w położeniu niezwykle trudnym. Dano wam ogień, który macie nieść dalej. Płomień, który świeci od dwóch tysięcy lat, który trzeba chronić i nie dopuścić, by zgasł. Łuczywo nie może wpaść w niepowołane ręce. – Przerwał i popatrzył na szkatułkę z drewna różanego. – Zdaję sobie sprawę, panno Neveu, że nie zostawiono pani żadnego wyboru, ale zważywszy na stawkę, którą ryzykujemy, musi pani albo tę odpowiedzialność podjąć w pełni, albo... przekazać ją komuś innemu.

– Dziadek dał mi krypteks. Jestem pewna, że wierzył, iż podejmę tę odpowiedzialność.

Teabing przyjął jej wypowiedź jako zachęcającą, lecz niezupełnie przekonującą.

– Dobrze. Ważna jest i potrzebna silna wola. Niemniej ciekaw jestem, czy rozumie pani to, że jeżeli uda nam się otworzyć wrota, do których pasuje ten klucz, będziemy wystawieni na jeszcze większe próby.

– Jak to?

– Moja droga, proszę sobie wyobrazić, że nagle trzyma pani w ręku mapę, która wskazuje miejsce, gdzie spoczywa Święty Graal. Będzie pani posiadaniem prawdy, która może zmienić bieg historii. Będzie pani strażnikiem prawdy, której człowiek szukał od wieków. Na pani będzie spoczywała odpowiedzialność za ujawnienie tej prawdy światu. Osoba, która to uczyni, będzie się cieszyć uznaniem wielu, ale dozna też pogardy wielu. Pytanie brzmi, czy ma pani w sobie dość siły, aby to zadanie podjąć.

– Nie wiem, czy do mnie należy decyzja – powiedziała Sophie po chwili milczenia.

– Nie do pani? – Teabing uniósł brwi. – W takim razie od kogo, jeśli nie do osoby, która ma w swoim posiadaniu klucz sklepienia?

– Do bractwa, któremu przez tyle lat udawało się utrzymać tajemnicę.

– Mówi pani o zakonie? Jak to możliwe? Bractwo zostało rozbite. Odgłowie, jak to pani zgrabnie wyraziła. Nieważne, czy przeniknął do niego ktoś, kto podsłuchiwał, czy jakiś szpieg od dawna krył się w jego szeregach – tego się nigdy nie dowiemy – faktem jest, że ktoś do nich dotarł i odkrył tożsamość czterech najważniejszych osób. Ja nie ufałbym osobie, która teraz wyłoni się z bractwa i zbliży do pani.

– Co więc proponujesz? – spytał Langdon.

– Robercie, wiesz równie dobrze jak ja, że zakon chronił prawdę przez te wszystkie lata nie po to, aby po wsze czasy osiadał na niej kurz. Zakon czekał na właściwą chwilę w historii, żeby się podzielić tajemnicą. Na chwilę, kiedy świat będzie gotów ją przyjąć.

– I uważasz, że ta chwila właśnie nadeszła? – spytał Langdon.

– Absolutnie tak. To jest bardziej niż oczywiste. Wszystkie znaki historyczne są już tam, gdzie powinny być, a jeżeli zakon nie zamierzał ujawnić wkrótce swojej tajemnicy, dlaczego Kościół zaatakował właśnie teraz?

– Mnich nie zdradził nam jeszcze swojego celu – odparła Sophie.

– Cel mnicha jest zbieżny z celem Kościoła – przekonywał Teabing – zniszczyć dokumenty, które odkrywają ogromne oszustwo. Kościół dzisiaj zbliżył się do nich bardziej niż kiedykolwiek w swojej historii, a Zakon zaufał właśnie pani, panno Neveu. Częścią zadania, które polega na ratowaniu Świętego Graala, jest bezpieczne wykonanie ostatnich poleceń zakonu dotyczących podzielenia się tą prawdą z całym światem.

– Chwileczkę, Leigh – włączył się Langdon. – Prosić Sophie, żeby podjęła taką decyzję, to zrzucić spory ciężar na ramiona kogoś, kto zaledwie przed godziną dowiedział się, że istnieją gdzieś dokumenty Sangreala.

– Przepraszam, panno Neveu, że naciskam – westchnął Teabing. – Ja na pewno mogę powiedzieć o sobie, że zawsze wierzyłem, że te dokumenty należy upublicznić, ale koniec końców ta decyzja należy do pani, a ja po prostu czuję, jak ważne jest to, żeby pani zaczęła myśleć, co się stanie, jeżeli nam się uda trafić tam, gdzie poprowadzi nas klucz.

– Panowie – powiedziała Sophie mocnym i pewnym głosem. – Zacytuję teraz wasze słowa: „Nie znajdziesz Graala, to Graal znajdzie ciebie”. Zamierzam oprzeć się na tych słowach i zawierzyć, że Graal odnalazł mnie z jakiegoś powodu i jeżeli przyjdzie czas, będę wiedziała, co robić.

Obaj wyglądali na zdumionych.

– A zatem – powiedziała, wskazując na szkatułkę z różanego drewna. – Do dzieła!

## ROZDZIAŁ 70

Stojąc w pokoju frontowym Château Villette, porucznik Collet patrzył w ostatnie pełgające płomyki gasnącego ognia na kominku i czuł się rozczarowany i nieszczęśliwy. Przed kilkoma chwilami zjawił się kapitan Fache i był teraz w pokoju obok, wrzeszcząc coś do telefonu i próbując skoordynować nieudane próby odnalezienia range rovera.

Może być teraz wszędzie – pomyślał Collet.

Nie posłuchawszy bezpośrednich rozkazów Fache'a i zgubiwszy Langdona po raz drugi, Collet był wdzięczny, że policyjna ekipa techniczna znalazła dziurę po pocisku w podłodze, co przynajmniej potwierdziło słowa Colleta, że ktoś wystrzelił z broni palnej. Fache był jednak wciąż w podłym nastroju, a Collet wyczuwał, że kiedy kurz opadnie, reperkusje będą dla niego straszne.

Ślady, które odkrywali, jak się wydawało, nie rzucały niestety żadnego światła na to, co się działo ani kto w tym uczestniczył. Czarne audi, które znaleźli za ogrodzeniem, okazało się wynajęte na fałszywe nazwisko i opłacone fałszywą kartą kredytową, a odciski palców w samochodzie nie pasowały do żadnych w bazie danych Interpolu.

Kolejny agent wbiegł do pokoju i po jego oczach było widać, że ma do powiedzenia coś pilnego.

– Gdzie jest kapitan Fache?

Collet ledwie podniósł oczy od zarzających się węgielków na kominku.

– Telefonuje.

– Już nie telefonuje – rzucił krótko Fache, wchodząc sztywno do pokoju. – Co masz?

– Panie kapitanie – powiedział agent – André Vernet z Banku Depozytowego Zurychu właśnie skontaktował się z centralą. Chce z panem rozmawiać w cztery oczy. Wciąż zmienia swoją wersję.

– Tak? – spytał Fache.

Teraz Collet podniósł głowę.

– Vernet przyznaje, że Langdon i Neveu dzisiaj w nocy byli przez jakiś czas w banku.

– Domyślaliśmy się tego – powiedział Fache. – Dlaczego Vernet skłamał?

– Powiedział, że będzie rozmawiał tylko z panem, ale zgodził się na pełną współpracę.

– W zamian za co?

– Za to, że nie będziemy wymieniać nazwy banku w prasie i w telewizji i że pomożemy mu odzyskać coś, co z banku ukradziono. Wygląda na to, że Langdon i Neveu ukradli coś ze skrytki depozytowej Saunière'a.

– Co? – rzucił Collet. – Jak?

Fache zachował pokerową twarz, a oczy zwrócił na drugiego agenta.

– Co ukradli?

– Vernet nie mówił dokładnie, ale wygląda na to, że jest gotów zrobić wszystko, żeby to odzyskać.

Collet próbował sobie teraz wyobrazić, jak się to mogło stać. Może Langdon i Neveu przystawili pracownikowi banku pistolet do głowy? Może zmusili Verneta, żeby otworzył i udostępnił konto Saunière'a i pomógł im uciec w opancerzonej furgonetce? Wprawdzie to wszystko było możliwe, ale Colletowi trudno było sobie wyobrazić Sophie Neveu wplątaną w tego typu aferę.

Z kuchni inny agent wrzeszczał do Fache'a.

– Panie kapitanie! Przeglądam wszystkie numery szybkiego wybierania pana Teabinga w telefonie i właśnie się dodzwoniłem na lotnisko Le Bourget. Mam złe wiadomości.

Trzydzieści sekund później Fache już się pakował i przygotowywał do wyjazdu z Château Villette. Właśnie się dowiedział, że Teabing ma do dyspozycji prywatny odrzutowiec niedaleko stąd, na lotnisku Le Bourget, i że ten samolot wystartował jakieś pół godziny temu.

Przedstawiciel Le Bourget, który z nim rozmawiał telefonicznie, twierdził, że nie wie, kto jest w samolocie ani dokąd samolot odleciał. Start był niezapowiedziany i nie było raportu o planie lotu. Wysoce nielegalne, nawet jak na małe lotnisko. Fache był pewny, że jeżeli go odpowiednio przycisnie, otrzyma odpowiedzi, których szuka.

– Poruczniku Collet – warknął Fache, maszerując w kierunku drzwi. – Nie mam wyboru i muszę pana zostawić tutaj i zlecić panu nadzór nad pracą ekipy technicznej. Niech pan raz dla odmiany spróbuje coś zrobić dobrze.



Kiedy hawker wyrównał lot i ustawił nos na Anglię, Langdon ostrożnie podniósł szkatułkę z różanego drewna z kolan, gdzie trzymał ją cały czas, by chronić skarb podczas startu. Teraz, stawiając ją na stole, wyczuł, że Sophie i Teabing pochylają się do przodu z niecierpliwością. Langdon otworzył zasuwkę i podniósł wieczko pudełka, a potem skupił uwagę nie na pokrytych literami dyskach krypteksu, ale na maleńkiej dziurce od wewnętrznej strony wieczka. Za pomocą końcówki wkładu długopisu ostrożnie wypchnął i wyciągnął intarsjowaną różę i odsłonił kryjący się pod nią tekst. *Sub rosa* – powiedział sobie w duchu, z nadzieją, że świeże spojrzenie na tekst wkrótce pozwoli mu odkryć jego znaczenie. Skupiając całą energię na stojącym przed nim zadaniu, Langdon przyglądał się dokładnie dziwacznemu tekstowi.

Po kilku sekundach znów poczuł tę samą frustrację co przedtem, kiedy pierwszy raz zobaczył tajemnicze litery.

– Nie mam pojęcia, do czego to przypiąć, Leigh.

Z miejsca, gdzie siedziała przy stole, Sophie nie mogła dostrzec tekstu, ale fakt, że Langdon nie potrafił od razu nazwać tego języka, mocno ją zaskoczył. Mój dziadek mówił jakimś językiem tak dawnym i dziwnym, że nawet specjalista od symboli nie potrafił go rozpoznać? Szybko zdała sobie sprawę, że nie powinno jej to dziwić. Nie był to pierwszy sekret, który Jacques Saunière trzymał dla siebie i nie dzielił się nim z wnuczką.

Leighowi Teabingowi, siedzącemu po przeciwnej stronie stołu, puszczały nerwy. Aż się cały trząsł, nie mogąc się doczekać na swoją kolej, i raz po raz próbował spojrzeć nad ramieniem Langdona, który był pochylony nad szkatułką.

– Nie wiem – powiedział Langdon pokonany. – Pierwszą myśl miałem taką, że to jest jakiś język semicki, ale teraz nie jestem pewien. Większość podstawowych języków semickich zawiera *nekkudot*. Tu ich nie ma.

– Prawdopodobnie to bardzo stary język – podsunął Teabing.

– *Nekudot*? – spytała zdziwiona Sophie.

Teabing nie odrywał oczu od szkatułki.

– Większość współczesnych alfabetów semickich nie ma samogłosek i posługuje się *nekkudot* – kropkami i kreskami stawianymi pod albo w obrębie spółgłoski – by wskazać, jaka samogłoska ma towarzyszyć danej spółgłosce. Z punktu widzenia historii języków *nekkudot* to stosunkowo nowoczesne dodatki do języka.

Langdon wciąż nie mógł się oderwać od tajemniczych liter.

– Może to jakaś sefardyjska transliteracja...?

Teabing nie mógł już dłużej wytrzymać.

– Może gdybym ja... – Sięgnął ręką i odsunął szkatułkę od Langdona, przyciągając ją do siebie.

Langdon niewątpliwie dobrze znał popularne języki starożytne – grekę, łacinę i języki romańskie, ale Teabingowi na pierwszy rzut oka wydało się, że to coś bardziej specjalistycznego, myślał, że to może być pismo raszi albo STA'M z koronami.

Wziąwszy głęboki oddech, Teabing patrzył teraz zachłannie na rzeźbione litery. Przez dłuższy czas nic nie mówił. Z każdą mijającą sekundą czuł jednak, że jego wiara w siebie maleje.

– Jestem zdumiony – rzekł. – Ten język nie przypomina niczego, co kiedykolwiek widziałem.

Langdon opuścił bezradnie ręce.

– Mogłabym to zobaczyć? – spytała Sophie.

Teabing udawał, że jej nie słyszy.

– Mówiłeś przedtem, Robercie, że wydawało ci się, że coś takiego już kiedyś widziałeś.

– Takie miałem wrażenie. – Langdon był poirytowany. – Ale teraz już wiem. To pismo wydaje mi się jakby znajome.

– Panie Leigh? – powtórzyła Sophie, niezadowolona, że ją zostawiają poza nawiasem dyskusji. – Czy mogłabym rzucić okiem na szkatułkę, którą wykonał mój dziadek?

– Oczywiście, moja droga Sophie – powiedział Teabing, popychając szkatułkę w jej stronę. Nie chciał, żeby zabrzmiało to protekcyjnie, ale mimo swojej wiedzy Sophie Neveu była całe lata świetlne za nimi. W zupełnie innej lidze. Jeżeli nadworny historyk panującego domu Anglii i symboli z Harvardu nie potrafili nawet w przybliżeniu określić, co to za język...

– Aha – powiedziała Sophie po kilku sekundach przyglądania się pudełku. – Mogłam się od razu domyślić.

Teabing i Langdon podnieśli na nią głowy jednocześnie i przyglądali się dziewczynie w milczeniu.

– Czego się domyślić? – spytał Teabing.

Sophie wzruszyła ramionami.

– Mogłam się domyślić, że właśnie tym językiem posłuży się dziadek.

– Mówisz, że potrafisz przeczytać ten tekst?! – wykrzyknął Teabing.

– Z łatwością – odparła radośnie Sophie, bawiąc się teraz doskonale. – Dziadek nauczył mnie tego języka, kiedy miałam sześć lat. Władam nim biegle. – Pochyliła się nad stołem i utkwiała w Teabingu karcące spojrzenie. – I szczerze mówiąc, sir, zważywszy na pańskie związki z Koroną, jestem trochę zdziwiona, że pan go nie poznaje.

W ułamku sekundy Langdona olśniło.

Nic dziwnego, że to pismo wydawało mi się tak cholernie do czegoś podobne!

Kilka lat temu uczestniczył w imprezie zorganizowanej przez muzeum Fogga w Harvardzie. Bill Gates, który wyleciał kiedyś z Harvardu, wrócił do swojej *alma mater* i wypożyczył muzeum jeden ze swoich bezcennych nabytków – osiemnaście kartek papieru, które niedawno nabył na aukcji, kiedy wyprzedawano majątek Armand Hammer Estate.

Żeby wygrać, postawił prawie czterdzieści milionów dolarów.

Autorem tych stron był – Leonardo da Vinci.

Osiemnaście stron *in folio* – znanych teraz jako *Codex Leicester* Leonarda da Vinci, na cześć ich słynnego właściciela, hrabiego Leicester – to wszystko, co zostało z jednego z najbardziej fascynujących notatników Leonarda – esejów i rysunków przedstawiających jego odkrywcze teorie z dziedziny astronomii, geologii, archeologii i hydrologii.

Langdon nigdy nie zapomni swojej reakcji, kiedy już odczekał w kolejce i w końcu zobaczył na własne oczy bezcenny manuskrypt. Kompletnie rozczarowanie. Litery były zupełnie nieczytelne. Mimo to, że dokumenty były w nienagannym stanie i spisane starannie pięknym charakterem pisma – karmazynowym atramentem na kremowym papierze – kodeks wyglądał jak bełkot szaleńca. Początkowo Langdon pomyślał, że nie może tego odczytać, ponieważ Leonardo pisał swoje notatki jakąś archaiczną włoszczyzną. Kiedy przyjrzał im się dokładniej, zdał sobie sprawę, że nie potrafi rozpoznać ani jednego włoskiego słowa, ani jednej litery.

– Niech pan spróbuje tak, proszę pana – szepnęła pracownica biblioteki, stojąca przy przeszklonej gablocie. Wskazała gestem na ręczne lustro przymocowane do gabloty na łańcuszku. Langdon podniósł je i przyjrzał się tekstowi w lustrze. Wszystko było jasne w jednej chwili.

Langdon do tego stopnia nie mógł się doczekać zetknięcia z koncepcjami i pomysłami wielkiego myśliciela, że zapomniał o jednym z licznych talentów Leonarda, a mianowicie umiejętności pisania odwróconymi literami, które były praktycznie nieczytelne dla każdego oprócz niego samego. Historycy wciąż nie mogą się zgodzić, czy Leonardo pisał w ten sposób po prostu dla zabawy, czy też by nikt nie zaglądał mu przez ramię i nie kradł pomysłów, ale tak czy inaczej rozstrzygnięcie tej kwestii nie miało większego znaczenia. Leonardo robił to, co mu się podobało.

Sophie uśmiechnęła się do siebie, widząc, że Robert rozumie, co ma na myśli.

– Potrafię przeczytać kilka pierwszych słów – powiedziała. – To jest po angielsku.

Teabing wciąż nie mógł zrozumieć.

– O co tu chodzi?

– Tekst pisany wspak – powiedział Langdon. – Potrzebujemy lusterka.

– Nie, wcale nie potrzebujemy – powiedziała Sophie. – Założę się, że lakier jest dostatecznie cienki. – Wzięła szkatułkę i ustawiła wieko pod światło na ścianie, a potem przyjrzała się dokładnie wewnętrznej stronie wieczka. Jej dziadek nie potrafił pisać wspak, więc zawsze oszukiwał i pisał normalnie, a potem odwracał papier i odwzorowywał odwrócone litery. Sophie zgadywała, że wypalił normalny tekst w drewnianej desce, a potem obrabiał tylną część deski szlifierką tak długo, aż drewno stało się cienkie jak papier i litery można było zobaczyć przez warstwę drewna. Potem po prostu odwrócił obrobiony kawałek i wkomponował w pudełko.

Kiedy Sophie przybliżyła wieczko pudełka bliżej światła, przekonała się, że ma rację. Jasny promień przenikał przez cienką warstwę drewna, a pismo pojawiało się jako lustrzane odbicie na wewnętrznej stronie wieczka. Można je było bez trudu odczytać.

– Po angielsku – jęknął Teabing zawstydzony. – W moim ojczystym języku.

Siedzący z tyłu samolotu Rémy Legaludec nadstawał uszu, żeby podsłuchać rozmowę przez dudnienie silników, ale nie było słychać ani słowa z tego, co się dzieje z przodu. Wcale mu się nie podobał rozwój wypadków. Spojrzał na mnicha związanego u jego stóp. Mężczyzna leżał teraz zupełnie bez ruchu, jakby w niemej akceptacji tego, co się dzieje, albo jak ktoś pogrążony w cichej modlitwie o wybawienie.

Trzy tysiące metrów nad poziomem morza Robert Langdon czuł, że świat fizyczny znika zupełnie z jego myśli, które teraz skupiły się na napisanym przez Saunière'a wspaniałym wierszu, który przeświecał przez wieczko pudełka.

Mądrości słowo stare zdradzi zwój  
I zbierze rozproszony gdzieś ród twój  
Ten kamień czcili bracia – oto klucz  
A atbasz będzie światłem dla twych ocz

Sophie szybko znalazła kartkę papieru i przepisała wiersz normalnym krojem pisma. Kiedy skończyła, wszyscy we trójkę po kolei czytali tekst. Było to coś w rodzaju archeologicznej krzyżówki... Zagadka, której rozwiązanie miało pokazać, jak otwiera się krypteks. Langdon czytał powoli linijką po linijce: *Mądrości słowo stare zdradzi zwój... I zbierze rozproszony gdzieś ród twój... Ten kamień czcili bracia – oto klucz... A atbasz będzie światłem dla twych ocz.*

Zanim Langdon zaczął się w ogóle zastanawiać, jakie stare słowo, mające służyć za hasło dostępu, podpowiada wiersz, poczuł, że w jego duszy wibruje coś o wiele bardziej znaczącego – metrum tego wiersza, pentametr jambiczny.

Langdon spotykał się z tym metrum przez lata swojej pracy, kiedy badał działalność tajnych stowarzyszeń w Europie, między innymi przed rokiem, w tajnych archiwach Watykanu. W ciągu wielu wieków pentametr jambiczny był ulubionym metrum poetyckim literacko wykształconych twórców na całym świecie, począwszy od greckiego poety Archilocha po Szekspira, Milтона, Chaucera i Voltaire'a – ludzi odważnych, którzy decydowali się pisać komentarze na tematy społeczne, posługując się metrum, które przez wielu w tamtych czasach uważane było za posiadające własności mistyczne. Korzenie pentametru jambicznego są bowiem głęboko pogańskie.

Jamby. Dwie sylaby – akcentowana i nieakcentowana. *Yin i Yang*. Zrównoważona para. Ułożone w szeregi po pięć. Pentametr. Pięć jak w pięcioramiennym gwiazdździe Wenus, symbolu świętości żeńskiej.

– To pentametr! – powiedział Teabing, zwracając się do Langdona. – Po angielsku w *lingua pura*!

Langdon przytaknął.

Zakon Syjonu, tak jak wiele innych tajnych stowarzyszeń w Europie, które były w niezgodzie z Kościołem, przez całe wieki uważał angielski za jedyny czysty język. W odróżnieniu od francuskiego, hiszpańskiego i włoskiego, które były zakorzenione w łacinie – języku Watykanu – angielski był językowo odległy od maszyny propagandowej Rzymu, a więc stał się uświęconym, sekretnym językiem dla tych członków bractw, którzy byli na tyle wykształceni, by nim władać.

– Ten czterowiersz – powiedział Teabing ożywiony – ma odniesienie nie tylko do Graala, ale również do templariuszy i do rozproszonej rodziny Marii Magdaleny! Czegoż więcej moglibyśmy żądać?

– Słowa dostępu – powiedziała Sophie, patrząc znów na tekst. – Wygląda na to, że potrzebne nam jakieś starożytne słowo mądrości.

– Abrakadabra? – zaproponował żartobliwie Teabing.

Słowo złożone z pięciu liter – myślał Langdon, zastanawiając się nad tym, jak ogromna jest liczba starych słów, które można byłoby uznać za słowa mądrości – wzięte z mistycznych inwokacji, przepowiedni astrologicznych, rytuałów wprowadzania do tajnych stowarzyszeń, z inkantacji Wicca, z egipskich zaklęć magicznych, z pogańskich mantr – ich lista była nieskończona.

– Wydaje mi się – powiedziała Sophie – że słowo dostępu ma coś wspólnego z templariuszami. – Przeczytała tekst na głos. – *Ten kamień czcili bracia – oto klucz.*

– Leigh – powiedział Langdon – ty jesteś specjalistą od templariuszy. Masz jakiś pomysł?

Teabing przez kilka sekund myślał, a potem westchnął.

– Cóż, z pewnością chodzi tu o jakiś kamień grobowy. Być może słowa poematu odnoszą się do templariuszy, którzy czczą grób Magdaleny, ale to nam niewiele daje, ponieważ nie mamy pojęcia, gdzie on jest.

– Ostatni wers powiada – rozważała Sophie – że prawdę pomoże nam znaleźć atbasz. Znam to słowo. Atbasz.

– Nie dziwi mnie to – odparł Langdon. – Prawdopodobnie poznałaś je na studiach. Atbasz jest jednym z najstarszych kodów szyfrowych, jakie zna ludzkość.

Rzeczywiście! Słynny system kodowania Hebrajczyków.

Szyfr atbasz stanowił przeciwieństwo części wykształcenia Sophie w dziedzinie kryptologii. Szyfr stworzono pięćset lat przed Chrystusem, a obecnie używano go na zajęciach jako przykład podstawowego systemu podstawiania rotacyjnego. Szyfr atbasz to powszechna forma kryptografii żydowskiej – prosty kod podstawiania posługujący się dwudziestoma dwiema literami alfabetu hebrajskiego. W tym systemie pierwszą literę zastępowano literą ostatnią, drugą w kolejności literą drugą od końca i tak dalej.

– Atbasz jest tutaj jak najbardziej odpowiedni – powiedział Teabing. – Teksty zakodowane w atbaszu znajdziemy w całej Kabale, w zwojach znad Morza Martwego, a nawet w Starym Testamencie. Żydowski mistycy i nauczyciele do dziś odnajdują ukryte znaczenia, posługując się atbaszem. Zakon z pewnością w ramach edukacji swoich członków nauczał posługiwania się tym szyfrem.

– Problem w tym – powiedział Langdon – że nie mamy do czego zastosować tego szyfru.

Teabing westchnął.

– Słowo kodowe powinno być na grobowcu. Musimy znaleźć grób, który czcili templariusze.

Sophie wyczuła w ponurym spojrzeniu Langdona, że odnalezienie grobowca templariuszy to nie będzie bułka z masłem.

Atbasz jest kluczem – pomyślała Sophie. Ale nie mamy drzwi.

Trzy minuty później Teabing westchnął zniechęcony i potrząsnął głową.

– Przyjaciele, utknąłem w miejscu. Pozwólcie, że zastanowię się nad tym wszystkim, a tymczasem przyniosę wam coś do zjedzenia i sprawdzę, jak się mają Rémy i nasz gość. – Wstał i ruszył na tył samolotu.

Sophie poczuła się zmęczona, kiedy na niego popatrzyła.

Za oknem panowała absolutna ciemność przedświt. Sophie wydało się, jakby jakaś siła rzuciła ją bez celu w przestrzeń i nie miała pojęcia, gdzie wylądaje. Wyrastała, rozwiązując zagadki dziadka, i miała dziwne wrażenie, że ten wiersz, leżący właśnie przed ich oczami, zawiera informację, której jeszcze nie dostrzegli.

Tu jest coś więcej, powiedziała do siebie. Sprytnie ukryte... Ale jednak tam jest.

Dręczył ją również strach, że kiedy w końcu znajdą coś wewnątrz krypteksu, to nie będzie to po prostu „mapa, jak dotrzeć do Świętego Graala”. Pomimo poczucia pewności, którym emanowali Teabing i Langdon, że prawda leży w środku tego marmurowego cylindra, Sophie wiedziała, bo rozwiązała dość sporo zagadek dziadka prowadzących po tropie do skarbu, że Jacques Saunière łatwo nie ujawnia i nie oddaje ot, tak sobie, swoich sekretów.

## ROZDZIAŁ 73

Pracownik nocnej zmiany kontroli lotów na lotnisku Le Bourget przysypiał przed pustym ekranem radaru, kiedy kapitan Centralnego Biura Śledczego dosłownie wyłamał drzwi, wdzierając się do środka.

– Odrzutowiec Teabinga! – ryknął Bezu Fache, wparowując do niewielkiego pomieszczenia wieży kontroli lotów. – Dokąd poleciał?

Pierwszą reakcją kontrolera lotów była nieudolna próba ochrony prywatności Brytyjczyka – jednego z najbardziej szanowanych klientów lotniska. Próba skończyła się kompletnym fiaskiem.

– W porządku – powiedział Fache. – Aresztuję pana za zezwolenie na wylot prywatnego samolotu bez wpisania w rejestr planu lotów. – Fache kiwnął na funkcjonariusza policji, który podszedł z kajdankami, a kontroler lotów poczuł falę porażającego strachu. Przypomniał sobie artykuły w prasie poświęcone rozważaniom, czy kapitan policji znany przez wszystkich w kraju jest bohaterem, czy łotrem. On miał już odpowiedź na to pytanie.

– Czekajcie! – wyrwało się jak jęk z ust kontrolera na widok kajdanek. – To mogę wam powiedzieć. Sir Leigh Teabing często lata do Londynu na zabiegi medyczne. Ma hangar na lotnisku dla dyrektorów firm w Biggin Hill w hrabstwie Kent. Niedaleko Londynu.

Fache gestem dłoni kazał odejść policjantowi z kajdankami.

– Czy dzisiaj wieczorem też polecieł do Biggin Hill?

– Nie wiem – powiedział zgodnie z prawdą kontroler lotów. – Samolot wyleciał w tym kierunku co zwykle, a ostatni kontakt radarowy wskazywałby na Wielką Brytanię. Stawiałbym z dużym prawdopodobieństwem właśnie na Biggin Hill.

– Miał kogoś jeszcze na pokładzie?

– Daję słowo, kapitanie, że tego nie mógłbym wiedzieć. Nasi klienci wjeżdżają samochodami wprost do hangarów i ładują na pokład, co chcą. To, kto jest na pokładzie, jest już w gestii służby celnej na lotnisku, gdzie samolot ląduje.

Fache spojrział na zegarek i popatrzył na rozrzucone z przodu terminala samoloty odrzutowe.

– Jeżeli lecą do Biggin Hill, ile czasu zostało im jeszcze do lądowania?

Kontroler przeglądał swoje zapiski.

– To krótki lot. Jego samolot powinien być na miejscu około... szóstej trzydzieści. Za piętnaście minut.

Fache zmarszczył brwi i zwrócił się do jednego ze swoich ludzi.

– Załatwcie mi tu jakiś transport. Lecę do Londynu. I połączcie mnie z lokalną policją w hrabstwie Kent. Nie z brytyjskim MI5. Nie chcę rozgłosu. Z lokalną policją w hrabstwie Kent. Powiedźcie im, żeby zezwolili na lądowanie samolotu Teabinga. Potem chcę, żeby otoczyli samolot na płycie. I żeby nikt nie zszedł z pokładu, dopóki ja się tam nie pojawię.

## ROZDZIAŁ 74

– Nic nie mówisz – powiedział Langdon, patrząc na Sophie, siedzącą po drugiej stronie kabiny hawкера.

– Jestem zmęczona – odparła. – I ten wiersz. Sama nie wiem.

Langdon czuł się podobnie. Monotonny dźwięk silników i łagodne kołysanie samolotu miały hipnotyczne działanie, a głowa wciąż go bolała po uderzeniu. Teasing był jeszcze w tyle samolotu, a Langdon postanowił skorzystać z chwili samotności z Sophie i powiedzieć jej coś, o czym od dłuższego czasu myślał.

– Sądzę, że po części wiem, dlaczego twój dziadek nakłonił nas do współpracy. Chyba chciałby, żebym ci coś wyjaśnił.

– Historia Świętego Graala i Marii Magdaleny to nie dość?

Langdon nie wiedział, jak mówić o tym dalej.

– Ten rozdźwięk między wami. Powód, dla którego od lat z nim nie rozmawiałaś. Sądzę, że miał nadzieję, że ja jakoś będę mógł to wyprostować, wyjaśniając to, co was rozdzieliło.

Sophie poruszyła się w fotelu.

– Powiedziałaś ci, co nas rozdzieliło?

Langdon przyglądał się jej dłuższy czas.

– Byłaś świadkiem rytuału seksualnego. Prawda?

– Skąd wiesz? – Sophie skuliła się.

– Powiedziałaś mi, Sophie, że byłaś świadkiem czegoś, co cię przekonało, że twój dziadek należał do tajnego stowarzyszenia. A to, co zobaczyłaś, tak cię poruszyło, że od tamtego dnia się do niego nie odzywałaś. Wiem dość sporo o tajnych stowarzyszeniach. Nie trzeba być Leonardem da Vinci, żeby zgadnąć, co zobaczyłaś.

Sophie patrzyła przed siebie nieruchomym wzrokiem.

– Czy to było wiosną? – spytał Langdon. – W okolicach przesilenia wiosennego? W połowie marca?

Sophie wyjrzała za okno.

– Miałam przerwę wiosenną w zajęciach na uczelni. Przyjechałam do domu kilka dni wcześniej.

– Chcesz mi o tym opowiedzieć?

– Wolałabym nie. – Nagle odwróciła się do Langdona, a w oczach miała łzy. – Nie wiem, co zobaczyłam.

– Byli tam i mężczyźni, i kobiety?

Po chwili milczenia skinęła głową.

– Ubrani na biało i na czarno?

Wytarła oczy i znów przytaknęła. Wydawało się, że trochę się otwiera.

– Kobiety były w białych, zwiewnych szatach... miały na sobie złote buty. Trzymały w dłoniach złote kule. Mężczyźni mieli czarne tuniki i czarne buty.

Langdon z wysiłkiem utrzymywał emocje na wodzy, a jednak nie mógł uwierzyć w to, co słyszy. Sophie Neveu niechcący była świadkiem ceremonii sakralnej, która dokonuje się od dwóch tysięcy lat.

– Mieli maski? – spytał, usiłując nadać głosowi spokojne brzmienie. – Maski w kształcie ludzkich twarzy?

– Tak. Każdy miał maskę. Identyczną. Białe maski na twarzach kobiet. Czarne na twarzach mężczyzn.

Langdon czytał kiedyś opisy tej ceremonii i rozumiał jej mistycznie korzenie.

– Ceremonia ta nazywa się *hieros gamos* – powiedział cicho. – Ma ponad dwa tysiące lat. Kapłani i kapłanki egipskie odprawiali ją regularnie, by uczcić kobiecą moc rozrodu, zdolność dawania życia. – Przerwał i pochylił się do Sophie. – Ale jeżeli byłaś świadkiem *hieros gamos* bez przygotowania i zrozumienia jej znaczenia, domyślam się, że to, co zobaczyłaś, musiało być szokujące.

Sophie nic nie odpowiedziała.

– *Hieros gamos* to nazwa grecka – mówił dalej. – Oznacza święte małżeństwo.

– Rytuał, który widziałam, to nie było małżeństwo.

– Małżeństwo to zjednoczenie, Sophie.

– Seksualne.

– Nie.

– Nie? – Patrzyła na niego pytająco swoimi oliwkowymi oczami.

– No cóż... Tak – gimnastykował się Langdon. – W pewnym sensie. Ale nie w takim, jak my to rozumiemy dzisiaj.

Wyjaśnił, że chociaż to, co widziała, wyglądało jak rytuał seksualny, *hieros gamos* nie jest aktem erotycznym. To akt duchowy. Historycznie rzecz biorąc, stosunek jest aktem, przez który mężczyzna i kobieta doświadczają Boga. Starożytni wierzyli, że mężczyzna jest duchowo niekompletny, dopóki nie zjednoczy się w akcie płciowym z sakralnością kobiecą. Fizyczne zjednoczenie z kobietą było jedynym środkiem, dzięki któremu mężczyzna mógł się duchowo spełnić i ostatecznie uzyskać *gnosis* – poznać boskość. Od czasów Izydry uważano, że rytuały seksualne są dla mężczyzny jedynym pomostem z ziemi do nieba.

– Jednocząc się z kobietą – mówił Langdon – mężczyzna podczas szczytowania osiąga taki punkt, kiedy jego umysł staje się całkowicie pusty i wtedy może zobaczyć Boga.

– Orgazm jako modlitwa? – zauważyła cierpko Sophie.

Langdon wzruszył ramionami, chociaż Sophie w zasadzie miała rację. Z punktu widzenia fizjologii męskiemu szczytowaniu towarzyszy ułamek sekundy całkowitego wyzucia z myśli. Krótkotrwała umysłowa próżnia. Moment jasności, w którym można doznać Boga. Rozmaici guru medytacji osiągają podobne stany oczyszczenia umysłu z myśli inną, nieseksualną drogą i często opisują nirwanę jako niekończący się orgazm duchowy.

– Sophie – powiedział Langdon cicho – nie możemy zapominać, że u starożytnych poglądy na seks były całkowicie odmienne od naszych. Seks był początkiem nowego życia, był ostatecznym i największym cudem – a cudów dokonywali tylko bogowie. Kobięca zdolność dawania życia z łona uświęca ją. Ubóstwa. Stosunek uważano za zjednoczenie dwóch duchowych połówek człowieka – męskiej i kobiecej – dzięki któremu mężczyzna mógł dostąpić duchowego spełnienia i zjednoczenia z Bogiem. To, co zobaczyłaś, nie było aktem seksualnym, lecz aktem duchowym. Rytuał *hieros gamos* to nie perwersja. Jest to ceremonia głęboko sakralna.

Jego słowa chyba trafiły w jakiś czuły punkt. Sophie była całą noc wyjątkowo zrównoważona, a teraz Langdon zauważył, że jej równowaga zaczyna się załamywać. W oczach znów pokazały się łzy, a ona otarła je rękawem.

Dał jej jeszcze chwilę. Rzecz jasna, koncepcja seksu jako drogi do Boga może się początkowo wydawać odstręczająca. Żydowski studenci Langdona byli oszołomieni, kiedy mówił podczas wykładu, że we wczesnej tradycji żydowskiej uprawiano seks rytualny. Jeszcze w dodatku w Świątyni. Dawni wyznawcy judaizmu wierzyli, że Święte Świętych w Świątyni Salomona zamieszkuje nie tylko Bóg, ale również Jego żeńska połowa Szechina. Mężczyźni pragnący spełnienia duchowego odwiedzali kapłanki w Świątyni, *hierodule*, z którymi jednoczyli się w akcie

fizycznym i w ten sposób doświadczali boskości. Tetragram żydowski – YHWH – święte imię Boga – oznacza Jehowę, który stanowi androgeniczne połączenie fizyczne męskiego Yah i przedhebrajskiej Ewy, Hawa.

– Ojcowie Kościoła uważali – wyjaśniał Langdon cichym głosem – że seks jako droga do bezpośredniego doświadczania Boga to poważne zagrożenie dla katolickiego fundamentu władzy. Było to sprzeczne z koncepcją Kościoła jako jedynej drogi do Boga. Z oczywistych przyczyn Kościół pracował nad tym, by zdemonizować seks i przedstawić akt seksualny jako odstręczający i grzeszny. Inne wielkie religie uczyniły to samo.

Sophie milczała, ale Langdon wyczuwał, że zaczyna coraz lepiej rozumieć dziadka. Rzecz dziwna, Langdonowi zdarzyło się w tym semestrze wygłosić podobną uwagę podczas wykładu dla studentów.

– Czy to nie dziwne – powiedział – że kiedy myślimy o seksie, czujemy wewnętrzny konflikt? Nasza starożytna spuścizna i nasza fizjologia mówią nam, że seks to coś naturalnego – droga do spełnienia duchowego – a jednak współczesna religia postrzega seks jako coś wstydlivego i uczy, że powinniśmy się obawiać pragnień seksualnych, ponieważ są narzędziem szatana.

Langdon postanowił nie szokować studentów faktem, że na świecie istnieje wiele tajnych stowarzyszeń – również bardzo wpływowych – wciąż praktykujących rytuały seksualne i podtrzymujących starożytne tradycje. Bohater w filmie *Oczy szeroko zamknięte*, grany przez Toma Cruise'a, odkrywa to dość nieoczekiwanie, kiedy wkrada się do domu, w którym odbywa się prywatne zebranie ultraelitarnego sekty manhattanitów, i jest świadkiem obrzędu *hieros gamos*. Niestety, twórcy filmu popełnili wiele błędów rzeczowych w szczegółach przedstawienia głównego wątku – tajnego stowarzyszenia wspólnie przeżywającego magię związku seksualnego.

– Czy chce pan powiedzieć, panie profesorze – jakiś student z tylnych rzędów podniósł rękę, a w jego głosie brzmiała nieśmiała nuta nadziei – że zamiast chodzić do kościoła powinniśmy zażywać więcej seksu?

Langdon zaśmiał się krótko, ale nie zamierzał chwycić tej przynęty. Z tego, co słyszał o imprezach studenckich na Harvardzie, dzieciaki nie cierpiały tam na niedobór seksu.

– Panowie – powiedział, zdając sobie sprawę, że stąpa po grząskim gruncie – mam dla was pewną propozycję. Nie ośmielając się propagować seksu przedmałżeńskiego ani nie będąc tak naiwnym, by sądzić, że jesteście niewinni jak anioły, dam wam skromną radę na temat życia seksualnego.

Wszyscy studenci płci męskiej obecni na sali pochylili się do przodu, słuchając skwapliwie.

– Kiedy następnym razem znajdziecie się sam na sam z kobietą, wejrzyjcie w swoje serce i zastanówcie się, czy nie moglibyście podejść do seksu jako aktu mistycznego i duchowego. Postawcie przed sobą wyzwanie – odnaleźć tę iskierkę boskości, której mężczyzna może doświadczyć przez związek z sakralnością kobiecą.

Studentki uśmiechnęły się ze zrozumieniem, przytakując jego słowom.

Studentci, patrząc po sobie, chichotali i wymieniali jakieś stare dowcipy. Langdon westchnął. To jeszcze tylko duzi chłopcy.

Sophie poczuła chłód na czole, kiedy przycisnęła głowę do okna samolotu, i popatrzyła niewidzącym wzrokiem w pustkę i ciemność, próbując przetrwać to, co Langdon jej powiedział. Czowała w duszy powiew smutku. Dziesięć lat. Przypomniła sobie stopy nieotwartych listów od dziadka. Opowiem wszystko Robertowi. Nie odwracając się od okna, zaczęła mówić. Cicho. Niepewnie.

Kiedy zaczęła opisywać to, się wydarzyło tamtej nocy, poczuła, że cofa się w przeszłość... Wysiadła na skraju lasu gdzieś na obrzeżach małego dworku w Normandii... Przeszukuje pusty dom zdezorientowana... Słyszy gdzieś w dole głosy... A potem znajduje ukryte drzwi...

Zeszła po kamiennych schodach krok po kroku, powoli, do grotty pod poziomem piwnicy. Czowała zapach ziemi. Chłód i światło. Był marzec. Z cienia swojej kryjówki na schodach przyglądała się jakimś zupełnie obcym ludziom kołyszącym się w lewo i w prawo, w przód i w tył, śpiewającym inwokacje przy pełgającym świetle pomarańczowych świec.

Ja śnię – powiedziała do siebie Sophie. To jest sen. Cóż innego mogłoby to być?

Kobiety i mężczyźni stanowili przejmujący widok – na przemian postać czarna, biała, czarna, biała. Piękne, zwiewne szaty kobiet unosiły się w górę i płynęły, kiedy kobiety podnosiły w prawych dłoniach złote kule i wymawiały wszystkie razem to samo zdanie. „Byłam z tobą na początku, o poranku wszystkiego, co święte, wydałam cię ze swojego łona, nim zaczął się dzień”.

Kobiety opuściły trzymane w dłoniach kule. Wszyscy kiwali się w tył i w przód jak w transie. Składali hołd czemuś, co znajdowało się w środku kręgu. Co to jest?

Tempo wypowiedzianych słów było teraz szybsze. Słowa głośniejsze. Następujące jedno po drugim.

„Kobieta, którą pojmujesz, to miłość!” – zawołały znów kobiety, podnosząc w górę złote kule.

Mężczyźni odparli: „Zamieszkuje w kręgu wieczności!”.

Zaśpiew znów stał się bardziej monotony. Potem przyspieszył. Potem zabrzmiał jak grom burzy. Był coraz szybszy. Uczestnicy uroczystości zrobili krok do środka kręgu i uklękli.

Wtedy Sophie w końcu zobaczyła, na czym wszyscy koncentrują uwagę. Na niskim, bogato zdobionym ołtarzu w środku kręgu, leżał mężczyzna. Był nagi, leżał na plecach, na twarzy miał czarną maskę. Sophie natychmiast rozpoznała jego ciało i znamię na ramieniu. Już wrywało jej się z ust: *Grand-père!* Taki obraz wystarczyłby, żeby zaszokować Sophie, która stała jak zaczarowana, nie mogąc uwierzyć, że to prawda, ale to nie było wszystko.

Zobaczyła siedzącą okragiem na ciele dziadka nagą kobietę w białej masce i wypływające falą spod maski na ramiona piękne srebrne włosy. Była przysadzista, daleka od doskonałości, unosiła się w górę i w dół w rytm zaśpiewu – kochała się z dziadkiem Sophie.

Sophie chciała się odwrócić i uciekać, ale nie mogła. Kamiennie ściany grotty uwięziły ją tak, jak uwięziła ją śpiewna deklamacja gorączkowo przyspieszająca tempo. Wydawało się, że zebrani w kręgu uczestnicy ceremonii za chwilę zaczną krzyczeć, ich głosy rosły i potęgniały w szalonym crescendo. Nagle w chwili szczytowania całe pomieszczenie wybuchło jednym głosem. Sophie straciła oddech. Zdała sobie sprawę z tego, że cichutko pochlipuje. Odwróciła się i chwiejnym krokiem weszła po schodach, wyszła z domu i cała zaptakana i rozedrgana ruszyła z powrotem do Paryża.

## ROZDZIAŁ 75

Wynajęty turbośmigłowiec właśnie przelatywał nad migającymi i pełzającymi światełkami Monako, kiedy Aringarosa rozłączył się z Fache'em. Sięgnął po papierowy woreczek w oparciu fotela, ale był wyzuty ze wszystkiego, nie miał nawet siły wymiotować.

Niech to się już raz wreszcie skończy!

Najnowsze wieści, które dotarły od Fache'a, były trudne do pojęcia. Tej nocy prawie nic już nie miało sensu. Co się tu dzieje? Wszystko wymknęło mu się z rąk i krążyło jak jakiś gigantyczny cyklon. W co ja wplątałem Sylasa? W co wplątałem sam siebie!

Na drżących nogach Aringarosa przeszedł do kokpitu.

– Muszę zmienić kierunek lotu.

Pilot spojrzął na niego przez ramię i zaśmiał się.

– Rozumiem, że to żart, prawda?

– Nie. Muszę natychmiast udać się do Londynu.

– Ojczy, to jest lot czarterowy, a nie taksówka.

– Zapłacę panu oczywiście ekstra. Ile? Londyn to tylko godzina dalej na północ i nie wymaga zmiany kierunku, a więc...

– To nie kwestia pieniędzy, proszę księdza, są inne przeszkody.

– Dziesięć tysięcy euro. Już, natychmiast.

Pilot odwrócił się do niego, oczy miał szeroko otwarte.

– Ile? Jaki to ksiądz nosi przy sobie taką gotówkę?

Aringarosa poszedł na tył samolotu do swojej teczki, otworzył ją i wyciągnął jedną akcję na okaziciela. Podał ją pilotowi.

– Co to jest? – spytał pilot.

– Akcja na okaziciela na dziesięć tysięcy euro, wydana przez Bank Watykański.

Pilot nie był przekonany.

– To jest to samo co gotówka.

– Tylko gotówka to gotówka – powiedział pilot, oddając Aringarosie blankiet akcji.

Aringarosa poczuł się słabo i musiał się chwycić drzwi kokpitu.

– To kwestia życia i śmierci. Musi mi pan pomóc. Koniecznie muszę się dostać do Londynu.

Pilot spojrzął na złoty pierścień biskupa.

– To są prawdziwe diamenty?

– Z tym naprawdę nie mogę się rozstać.

Pilot wzruszył ramionami, odwrócił się w fotelu i skupił uwagę na przyrządach.

Aringarosa poczuł smutek. Spojrzął na pierścień. Wszystko, co reprezentował pierścień, biskup i tak miał utracić. Po dłuższej chwili zsunął pierścień z palca i położył delikatnie przed pilotem. Potem wyslizgnął się z kokpitu i wrócił na swoje miejsce. Po piętnastu sekundach poczuł, że pilot obraca maszynę o kilka stopni bardziej na północ.

Udało się, lecz Aringarosa wiedział, że krótki moment chwały ma już za sobą, a wszystko, co chciał zbudować, jest teraz jedną wielką ruiną.

Zaczęło się jak święta krucjata. Pięknie ułożony plan. Teraz wszystkie elementy przemyślnie skomponowanego planu walą się jak domek z kart... I nie widać końca.



Langdon widział wyraźnie, że Sophie wciąż nie może wrócić do równowagi po przywołaniu wspomnienia *hieros gamos*. Zdumiało go to, co usłyszał. Sophie nie tylko była świadkiem całego rytuału, ale jej dziadek był mistrzem ceremonii... Wielkim mistrzem Prieuré de Sion. Towarzystwo, w którym się znalazł, przyprowadziło o zawrót głowy. Leonardo da Vinci, Botticelli, Isaac Newton, Victor Hugo, Jean Cocteau, Jacques Saunière.

– Nie wiem, co mógłbym ci jeszcze powiedzieć – rzekł Langdon łagodnie.

Oczy Sophie były teraz intensywnie zielone, pełne łez.

– Wychowywał mnie jak własną córkę.

Langdon zrozumiał, jakie emocje w niej narastają i wyciskają łzy z oczu. To były wyrzuty sumienia. Odległe i tkwiące głęboko w duszy. Sophie Neveu odsunęła się od dziadka, a teraz zobaczyła go w zupełnie innym świetle.

Za oknem świt był coraz jaśniejszy – po prawej stronie zbierała się i rosła karmazynowa aura poranka. Ziemia pod nimi była wciąż czarna.

– Przekąska, moi drodzy? – Teabing przysiadł się do nich i wdzięcząc się, zaproponował im dwie puszki coli i paczkę starych krakersów. Prosił o wybaczenie, że asortyment jest tak ograniczony, ale częstuje tym, co ma. – Nasz przyjaciel mnich jeszcze nie zdecydował się mówić – ciągnął – ale dajmy mu trochę czasu. – Ugrzył krakersa i rzucił z ukosa okiem na wiersz. – A więc, moja droga, są jakieś postępy? – spojrzał na Sophie. – Co pani dziadek chce nam tym razem powiedzieć? Gdzie, u diabła, jest ten grobowiec? Grobowiec, który czcili bracia, czyli templariusze.

Sophie potrząsnęła przecząco głową i milczała.

Kiedy Teabing raz jeszcze wczytywał się w poetyckie wersy, Langdon otworzył puszkę coli i wyjrzał za okno; przed oczami ukazywały mu się coraz to nowe obrazy tajemnych rytuałów i nierozwiązywalnych kodów. *Ten kamień czcili bracia – oto klucz*. Cola była ciepła.

Rozmywająca wszystko czernią zasłona nocy szybko unosiła się w górę i kiedy Langdon przyglądał się temu spektaklowi przemiany natury, zobaczył połyskującą drobnymi falami wodę rozciągającą się pod nimi. Kanał La Manche. To już niedługo.

Langdon pragnął, by światło dnia przyniosło mu inną iluminację, ale im jaśniej się stawało za oknami, tym dalszy był od prawdy. Słyszał w uszach rytm pentametru jambicznego, zaśpiewy *hieros gamos* i świętych obrzędów, towarzyszące odgłosom silnika odrzutowego.

*Ten kamień czcili bracia.*

Samolot był znów nad lądem, kiedy Langdona uderzyła pewna myśl. Zdecydowanym ruchem postawił puszkę po coli na stoliku.

– Nie uwierzycie – powiedział, zwracając się do towarzyszy podróży – ale mam ten kamień, który czcili templariusze.

Teabing miał oczy jak spodki.

– Wiesz, gdzie on jest?

Langdon uśmiechnął się.

– Nie, gdzie jest. Wiem, czym jest.

Sophie pochyliła się, żeby lepiej słyszeć.

– Uważam, że to słowo oznacza kamienną postać – wyjaśnił Langdon, rozkoszując się uczuciem radości z rozwiązania problemu. – Ale nie nagrobną.

– Kamienna postać, mówisz? – zastanawiał się Teabing.

Sophie też jeszcze nie wiedziała, co Langdon ma na myśli.

– Posłuchaj, Leigh, w czasach inkwizycji Kościół oskarżał templariuszy o najprzeróżniejsze herezje, prawda?

– Oczywiście. Fabrykowano różne oskarżenia. O sodomie, bezczeszczenie krzyża moczem, kult diabła, lista była długa.

– Na tej liście było również oddawanie czci fałszywym bożkom, prawda? A konkretnie Kościół oskarżał templariuszy o odprawianie tajemnych rytuałów, podczas których modlili się do wyrzeźbionej w kamieniu głowy pogańskiego bożka.

– Tak, do Bafometa! – zawołał Teabing. – Mój Boże, Robercie, masz rację! Templariusze czcili kamienną głowę Bafometa.

Langdon pośpiesznie wyjaśnił Sophie, że Bafomet to pogański bóg płodności, kojarzony z twórczą mocą reprodukcji. Przedstawiano go jako postać z głową barana lub kozła, powszechnie uznawanego za symbol prokreacji i płodności. Templariusze oddawali hołd Bafometowi, krążąc w koło kamiennej repliki jego głowy i intonując modlitwy.

– Bafomet – cieszył się Teabing. – Ceremonia ku czci twórczej magii związku seksualnego. Papież Klemens uznał, że głowa Bafometa to w istocie głowa diabła, i w jego rękach stała się ona gwoździem do trumny templariuszy.

Langdon zgodził się z nim. Współczesne wierzenia i obrazy diabła z rogami zwanego szatanem można wywieść od Bafometa i od starych Kościoła przekształcenia rogatego bożka płodności w symbol zła. To się rzecz jasna udało, lecz nie do końca. Na tradycyjnym amerykańskim stole w Święto Dziękczynienia wciąż można znaleźć pogańskie symbole płodności z rogami. „Róg obfitości” jest pochwałą płodności Bafometa – wywodzi się od kozła, który ubódł Zeusa i odłamał sobie róg, a ten cudownym sposobem napełnił się owocami. Bafomet pojawia się również w fotografiach grupowych, kiedy jakiś żartowniś unosi dwa palce za głowę kolegi i przyprowadza mu rogi; z pewnością niewielu zdaje sobie sprawę, że ten szyderczy gest jest w istocie pochwałą wigoru męskiego ofiary.

– Tak, tak – mówił Teabing podekscytowany. – Z pewnością chodzi o Bafometa. Jego kamienny wizerunek, który czcili templariusze.

– W porządku – powiedziała Sophie – ale jeżeli kamień, który czcili templariusze, to Bafomet, wówczas mamy nowy dylemat – Bafomet ma przecież więcej liter niż pięć.

– Tu właśnie, moja droga, do gry wkracza szyfr atbasz. – Teabing uśmiechnął się szeroko.

## ROZDZIAŁ 77

Langdon był pod wrażeniem. Teabing właśnie skończył wypisywać cały dwudziestodwuliterowy alfabet hebrajski – *alef-bet* – z pamięci. Prawda, że nie pisał literami hebrajskimi, tylko ich odpowiednikami w alfabecie łacińskim, ale czytał alfabet na głos z nienaganną wymową.

A B G D H V Z Ch T Y K L M N S O P C Q R Sz Th

– *Alef, Bet, Gimmel, Dalet, He, Waw, Zain, Het, Tet, Jod, Kaf, Lamed, Mem, Nun, Samech, Ajin, Pe, Cade, Qof, Resz, Szin i Taw.* – Teabing dramatycznym gestem otarł czoło i brnął dalej. – W formalnym zapisie hebrajskim nie umieszcza się dźwięków oznaczających samogłoski. A zatem jeżeli zapiszemy słowo Bafomet alfabetem hebrajskim, utracimy trzy samogłoski i zostanie nam...

– Pięć liter – wtrąciła Sophie.

Teabing kiwnął głową i zaczął znów pisać.

– Dobrze, tutaj mamy nasz kamień zapisany właściwymi literami alfabetu hebrajskiego. Dla jasności wpisuję między nimi zbędne samogłoski.

B a P V o M e Th

– Pamiętajmy oczywiście – dodał – że po hebrajsku zazwyczaj piszemy od lewa do prawa, ale możemy i atbaszem posługiwać się w ten sposób. Teraz musimy tylko stworzyć schemat podstawiania liter, przepisując cały alfabet w odwrotnym porządku pod literami ustawionymi we właściwym porządku.

– Jest prostszy sposób – powiedziała Sophie, biorąc od Teabinga długopis. – To daje się zastosować do wszystkich szyfrów opartych na podstawianiu i odzwierciedlaniu znaków, do atbasza też. Taki trik, którego się nauczyłam w Royal Holloway. – Sophie wypisała pierwszą połowę alfabetu od lewej do prawej, a potem pod spodem drugą część, od prawej do lewej. – Kryptolodzy nazywają to zawinięciem. Może trochę skomplikowane, ale działa bez zarzutu.

A	B	G	D	H	V	Z	Ch	T	Y	K
Th	Sz	R	Q	C	P	O	S	N	M	L

Teabing przyjrzał się temu, co Sophie wypisała, i zachichotał.

– Rzeczywiście. Widzę, że chłopcy w Holloway robią dobrą robotę.

Patrząc na wzorec podstawiania, który stworzyła Sophie, Langdon czuł rosnący dreszcz oczekiwania, zapewne podobny temu, który towarzyszył odkryciu słynnej tajemnicy Szeszak. Badaczy tekstów religijnych od lat intrygowały biblijne wzmianki o mieście Szeszak. Miasto to nie występuje na żadnej mapie ani w żadnych innych dokumentach, tylko kilkakrotnie wspomina się o nim w Księdze Jeremiasza – mówi się tam o królu Szeszak, o mieście Szeszak, o ludziach z Szeszak. W końcu jakiś badacz zastosował do odcyfrowania tego słowa szyfr atbasz, a wyniki tego eksperymentu były zdumiewające. Dzięki szyfrowi odkryto, że Szeszak to w istocie słowo zakodowane, oznaczające inne bardzo znane miasto. Proces odszyfrowywania był prosty. Szeszak po hebrajsku zapisywano SZ-SZ-K.

SZ-SZ-K, podstawione pod odpowiednie litery tabeli podstawień, daje B-B-L.

B-B-L po hebrajsku to po prostu Babel. Tajemnicze miasto Szeszak okazało się miastem Babel. Wtedy zaczęło się szaleństwo przeglądania tekstów biblijnych. Wkrótce w Starym Testamencie odkryto wiele innych słów zakodowanych w atbaszu, ujawniając całą gamę ukrytych znaczeń, o których badacze tekstów biblijnych nie mieli pojęcia.

– Jesteśmy już blisko – szepnęła Langdon, nie mogąc opanować podniecenia.

– O milimetry, Robercie – powiedział Teabing. Spojrzał nad stołem na Sophie i uśmiechnął się. – Gotowa?

Przytaknęła.

– Dobrze więc. Bafomet zapisany po hebrajsku, bez samogłosek, daje B-P-V-M-Th. Teraz zastosujemy pani schemat podstawienia kodu atbasz, aby przełożyć te litery na nasze pięcioliterowe hasło.

Serce Langdona biło jak młotem. B-P-V-M-Th. Przez okno wlewało się teraz światło słoneczne. Spojrzał na tabelę podstawień, którą wypisała Sophie, i zaczął powoli dokonywać zamiany. B to jest Sz... P to V...

Teabing uśmiechał się jak dziecko, które ma dostać prezent pod choinkę.

– I po tym zabiegu otrzymujemy... – przerwał. – Dobry Boże. – Twarz mu zbieła.

Langdon podniósł głowę.

– Coś nie tak? – spytała Sophie.

– Nie uwierzycie. – Teabing spojrzał na Sophie. – A zwłaszcza pani.

– Co to ma znaczyć? – spytała.

– To jest... genialne – szepnęła. – Wprost genialne! – Raz jeszcze napisał litery na papierze. – Poproszę krypteks. Oto nasze hasło. – Pokazał im to, co napisał.

S z - V - P - Y - A

– Co to jest?! – zawołała Sophie.

Langdon też nie zrozumiał tego słowa.

Kiedy Teabing się odezwał, głos mu drżał.

– To, przyjacielu, w istocie jest stare słowo mądrości.

Langdon jeszcze raz odczytał litery. *Mądrości słowo stare zdradzi zwój.* Nagle go olśniło. Nigdy by nie pomyślał!

– Stare słowo mądrości.

– Najzupełniej dosłownie! – śmiał się Teabing.

Sophie spojrzała na słowo, a potem na krypteks. Langdon i Teabing nie zauważyli przecież poważnej przeszkody.

– Poczekajcie! To nie może być hasło. Tu nie występuje litera Sz. To jest tradycyjny alfabet łaciński.

– Przeczytaj to słowo – zachęcił ją Langdon. – Musisz pamiętać o dwóch rzeczach. W hebrajskim znak oznaczający dźwięk Sz można również rozumieć jako S, w zależności od akcentu. Tak jak litera P bywa w wymowie podobna do F.

SVFYA? Myślała, jeszcze nie rozumiejąc.

– Genialne! – zachwycał się Teabing. – Litera Waw jest często nośnikiem dźwięku samogłoskowego O!

Sophie znów spojrzała na litery i spróbowała odczytać je głośno.

– S... o... f... y... a.

Usłyszała dźwięk własnego głosu i nie mogła uwierzyć w to, co powiedziała.

– Sophia? Te litery układają się w słowo Sophia?

Langdon kiwał entuzjastycznie głową.

– Tak. Sophia to po grecku dosłownie mądrość. U podstaw twojego imienia, Sophie, leży najdosłowniej „słowo mądrości”.

Sophie nagle poczuła, jak bardzo brak jej dziadka. Zakodował klucz sklepienia zakonu moim imieniem. Poczła w gardle dławienie. Wszystko teraz gra idealnie. Kiedy jednak odwróciła wzrok i popatrzyła na pięć dysków krypteksu, zdała sobie sprawę, że wciąż jest problem.

– Ale czekajcie... Słowo Sophia ma przecież sześć liter.

Teabing nie przestawał się uśmiechać.

– Niech pani spojrzy jeszcze raz na wiersz. Dziadek napisał: „mądrości słowo stare”.

– No więc?

Teabing mrugnął okiem.

– W klasycznej grece mądrość brzmi S-O-F-I-A.

## ROZDZIAŁ 78

Sophie czuła, że ręce jej się trzęsą, kiedy trzymając delikatnie w dłoniach krypteks, dotknęła pierwszego dysku, by ułożyć litery we właściwej kolejności. *Mądrości słowo stare zdradzi zwój*. Wydawało się, że Langdon i Teabing przestali oddychać, patrząc na jej dłonie.

S... O... F...

– Ostrożnie – powiedział błagalnie Teabing. – Proszę, bardzo ostrożnie.

...I... A.

Sophie ustawiła ostatnią literę.

– Dobrze – szepnęła, patrząc na swoich towarzyszy. – Teraz pociągnę i otworzę go.

– Pamiętaj o occie – szepnął Langdon, jednocześnie rozbawiony i lekko przestraszony. – Bądź ostrożna.

Sophie wiedziała, że jeżeli ten krypteks był taki sam jak te, które otwierała w młodości, musiała tylko uchwycić obie zatyczki cylindra tuż za dyskami, pociągnąć i równomiernie przykładając siłę, ciągnąć powoli w przeciwnych kierunkach. Jeżeli dyski są odpowiednio ułożone, według właściwego słowa dostępu, wtedy jedna zatyczka krypteksu puści i ześlizgnie się – jak nasadka z obiektywu aparatu fotograficznego – a ona będzie mogła sięgnąć do środka i wyciągnąć zwinięty papierus, dokument, owinięty wokół fiołki z octem. Gdyby jednak słowo dostępu, które ułożyli, było niewłaściwe, wówczas siła, z jaką Sophie będzie rozciągała zatyczki krypteksu, przeniesie się poprzez zawias na specjalny drążek, który następnie okręci się wokół własnej osi ku pustej przestrzeni wewnątrz krypteksu i – jeśli Sophie pociągnie zbyt mocno – napierając na szklaną fiołkę, w końcu ją skruszy.

Ostrożnie, delikatnie, mówiła sobie.

Teabing i Langdon pochylili się, kiedy Sophie ujęła w dłonie zatyczki cylindra. W całym zamęcie i ekscytacji rozszyfrowywania zakodowanego słowa Sophie omal zapomniiała, co mają znaleźć w środku. To jest klucz sklepienia zakonu. Ma zawierać mapę prowadzącą do Świętego Graala, wskazującą miejsce pochówku Marii Magdaleny i skarb Sangreala... To poszukiwanie skarbu i krucjata prowadząca do ostatecznej prawdy.

Teraz, trzymając w rękach kamienny cylinder, Sophie raz jeszcze sprawdziła, że wszystkie litery są właściwie ułożone w linii, którą wyznaczał malutki wskaźnik. Potem powoli pociągnęła. Nic. Pociągnęła z większą siłą. Nagle cylinder rozsunał się jak precyzyjnie działający teleskop. Ciężka końcówka została jej w ręce. Langdon i Teabing niemal skoczyli na równe nogi. Sophie poczuła, że serce wali jej jeszcze szybciej, kiedy kładła kamienną zatyczkę krypteksu na stół i przechylała cylinder, by zajrzeć do środka.

Zwój!

Patrząc w otwór, Sophie zauważyła, że papier jest owinięty wokół jakiegoś cylindrycznego przedmiotu – jak przypuszczała fiołki z octem. Ale papier wokół naczynia z octem nie wyglądał, jak to zazwyczaj bywało, na delikatny papierus, lecz raczej na mocny pergamin. To dziwne – pomyślała, ocet nie rozpuszcza takiego pergaminu. Spojrzała raz jeszcze w otwór i zdała sobie sprawę, że przedmiot w środku zwoju to nie jest naczynie z octem. To było coś zupełnie innego.

– Co się stało? – zapytał Teabing. – Wyciągnij zwój.

Marszcząc czoło, Sophie złapała palcami pergamin i przedmiot, wokół którego był owinięty, i wyciągnęła wszystko z kamiennego pojemnika.

– To nie papierus – powiedział Teabing. – Za grube.

– Wiem. To wyściółka.

– Dla czego? Dla fiołki z octem?

– Nie. – Sophie rozwinęła zwój i pokazała im, co było w środku. – Dla tego.

Kiedy Langdon zobaczył przedmiot kryjący się w rolce pergaminu, poczuł, że serce przestaje mu bić.

– Boże, ratuj – powiedział Teabing, opadając na fotel. – Twój dziadek był architektem bez cienia litości.

Langdon patrzył zadziwiony. Saunière nie miał zamiaru niczego nam ułatwiać.

Na stole leżał drugi krypteks. Mniejszy. Zrobiony z czarnego onyksu. Był wewnątrz pierwszego. Pasja Saunière'a dla dualizmu. Dwa krypteksy. Wszystko w parach. Słowa o podwójnych znaczeniach. Męski i kobiecy. Czarny wewnątrz białego. Langdon czuł, że oplata go sieć symboli. Białe rodzi czarne.

Każdy człowiek wychodzi z łona kobiety.

Białe – to, co żeńskie.

Czarne – to, co męskie.

Langdon sięgnął dłonią i podniósł mniejszy krypteks. Wyglądał tak samo jak pierwszy, tyle że był czarny i o połowę mniejszy. Usłyszał odgłos przelewającego się płynu. Widać chlupotanie octu, które przedtem słyszeli, pochodziło z mniejszego krypteksu.

– Cóż, Robercie – powiedział Teabing, przesuwając w jego stronę kartkę pergaminu. – Będziesz rad, bo lecimy we właściwym kierunku.

Langdon przyjrzał się pergaminowej kartce. Wykaligrafowany ozdobnym pismem odręcznym, widniał na niej kolejny czterowiersz. Również pentametrami jambicznymi. Znaczenie wiersza było zaszyfrowane, ale wystarczyło przeczytać pierwszą linijkę, by zdać sobie sprawę, że zaaranżowana przez Teabinga podróż do Wielkiej Brytanii opłaci im się.

W Londynie leży rycerz dzielny chwyt.

Reszta wiersza wskazywała jasno, że słowo klucz do drugiego krypteksu można znaleźć, udając się na grób jakiegoś rycerza, gdzieś w stolicy Anglii.

Langdon podekscytowany zwrócił się do Teabinga:

– Czy masz pojęcie, o jakiego rycerza może chodzić w tym wierszu?

Teabing uśmiechnął się szeroko.

– Nie mam zielonego pojęcia. Ale wiem dokładnie, w której krypcie powinniśmy go szukać.

W tej samej chwili dwadzieścia kilometrów przed nimi sześć samochodów policyjnych hrabstwa Kent ruszyło mokrymi od deszczu ulicami w kierunku lotniska Biggin Hill.

## ROZDZIAŁ 79

Porucznik Collet poczęstował się perrierem z lodówki Teabinga i wracał na swój posterunek przez pokój frontowy. Nie pojechał z Fache'em do Londynu, tam gdzie się wszystko działo – teraz nadzorował ekipę techniczną rozproszoną po całym Château Villette.

Dowody, które odkryli do tej pory, były bez wartości: jedna kula tkwiąca w podłodze, kartka papieru z jakimiś symbolami i ze słowami „ostrze” i „kielich”, zakrwawiony pasek ze skóry z nabitymi kolcami, który, jak mu powiedział ktoś z ekipy, przypisuje się konserwatywnej grupie katolickiej Opus Dei, która ostatnio strasznie namieszała, kiedy program telewizyjny ujawnił jej agresywne metody rekrutacji w Paryżu.

Collet westchnął. Życząc szczęścia komuś, kto będzie chciał złożyć ten melanz do kupy.

Przemierzywszy imponujący korytarz, wszedł do wielkiej sali balowej, gdzie szef ekipy pędzelkował sprzęty i próbował znaleźć jakieś odciski palców.

Był to korpulentny mężczyzna w spodniach na szelkach.

– Jest coś? – spytał.

Funkcjonariusz potrząsnął głową.

– Nic nowego. Sporo odcisków, które pasują do reszty w całym domu.

– Są jakieś odciski na pasie *cilice*?

– Interpol wciąż nad tym pracuje. Przesłałem im wszystko, co dotąd znaleźliśmy.

Collet wskazał na dwie szczelnie zamknięte plastikowe torebeczki na biurku.

– A to?

– Siła przyzwyczajenia. Wsadzam do torebek wszystko, co mi się wydaje dziwne.

Collet podszedł bliżej. Dziwne?

– Ten Angol jest dziwny – powiedział funkcjonariusz. – Niech pan spojrzy na to. – Poszperał między torebkami na dowody, wybrał jedną i podał ją Colletowi.

Na zdjęciu było widać wejście do katedry gotyckiej – tradycyjne, zmniejszające się łuki, zwięzające się przez szereg ożebrowanych warstw ku niewielkiemu wejściu.

Collet przyjrzał się fotografiom i popatrzył na funkcjonariusza.

– To jest dziwne?

– Niech pan to odwróci na drugą stronę.

Z tyłu Collet znalazł notatki napisane pospiesznie po angielsku, opisujące długą, wąską nawę katedry jako sekretny hołd pogański oddawany kobiecemu łonu. To było trochę dziwne. Lecz naprawdę zdumiały go notatki opisujące wejście do katedry.

– Chwileczkę! – zawołał. – On myśli, że wejście do katedry jest odzwierciedleniem kobiecej...

Funkcjonariusz kiwnął głową.

– Tak, mamy pełny opis wraz z rozchylającymi się krawędziami warg i małym płatkim clitoris nad samym wejściem. – Westchnął. – Po czymś takim człowiekowi od razu chce się pójść do kościoła.

Collet wziął następną torebkę na dowody. Przez przezroczysty plastik zobaczył błyszczącą fotografię czegoś, co wyglądało na stary dokument. W nagłówku zobaczył: *Les Dossiers Secrets* – numer 4° lm<sup>1</sup> 249.

– Co to jest? – spytał Collet.

– Nie mam pojęcia. Znalazłem tu wiele odbitek tego zestawienia, więc włożyłem jedną do torebki.

Collet przyjrzał się bliżej dokumentowi.

### **PRIEURÉ DE SION - LES NAUTIONIERS/ WIELCY MISTRZOWIE**

JEAN DE GISORS	1188-1220
MARIE DE SAINT-CLAIR	1220-1266
GUILLAUME DE GISORS	1266-1307
EDOUARD DE BAR	1307-1336
JEANNE DE BAR	1336-1351
JEAN DE SAINT-CLAIR	1351-1366
BLANCE D'EVREUX	1366-1398
NICOLAS FLAMEL	1398-1418
RENÉ D'ANJOU	1418-1480
IOLANDE DE BAR	1480-1483
SANDRO BOTTICELLI	1483-1510
LEONARDO DA VINCI	1510-1519
CONNETABLE DE BOURBON	1519-1527
FERDINAND DE GONZAQUE	1527-1575
LOUIS DE NEVERS	1575-1595
ROBERT FLUDD	1595-1637
J. VALENTIN ANDREA	1637-1654
ROBERT BOYLE	1654-1691
ISAAC NEWTON	1691-1727
CHARLES RADCLYFFE	1727-1746
CHARLES DE LORRANE	1746-1780
MAXIMILIAN DE LORRAINE	1780-1801
CHARLES NODIER	1801-1844
VICTOR HUGO	1844-1885
CLAUDE DEBUSSY	1885-1918
JEAN COCTEAU	1918-1963

– Prieur de Sion? – zastanawiał się Collet.

– Panie poruczniku? – Inny agent zajrzał przez drzwi. – Centrala telefoniczna ma pilny telefon do kapitana Fache’a, ale nie mogą go złapać. Odbierze pan?

Collet wrócił do kuchni i podniósł słuchawkę. To był André Vernet.

Staranna wymowa bankiera na nic się nie zdała – w jego głosie bez trudu wyczuł nerwowość i napięcie.

– Zrozumiałem, że kapitan Fache powiedział, że do mnie zadzwoni, ale jeszcze się nie odezwał.

– Kapitan jest zajęty – odparł Collet. – Może ja będę mógł panu pomóc?

– Zapewniono mnie, że będę informowany o postępach śledztwa.

Colletowi przez chwilę się wydawało, że zna tembr głosu tego mężczyzny, ale nie potrafił go z nikim połączyć.

– *Monsieur Vernet*, ja teraz prowadzę dochodzenie w Paryżu. Jestem porucznik Collet.

W telefonie przez dłuższą chwilę panowała cisza.

– Poruczniku, mam tu drugi telefon. Przepraszam bardzo. Zadzwonię do pana później.

Collet jeszcze przez kilka sekund trzymał słuchawkę przy uchu. Wtedy go olśniło. Wiedziałem, że znam ten głos! To odkrycie zważyło go z nóg.

Kierowca opancerzonej furgonetki.

Z podróbką rolexa.

Zrozumiał, dlaczego bankier tak szybko odłożył słuchawkę. Vernet przypomniał sobie nazwisko porucznika – oficera policji, którego tak bezczelnie okłamał wczoraj wieczór.

Collet zastanawiał się nad skutkami tego dziwnego wydarzenia. We wszystko zamieszany jest Vernet. Instynkt podpowiadał mu, że powinien zadzwonić do Fache’a. Rozsądek, że ta nagła zmiana miejsc może być dla niego szansą, żeby w końcu zabłysnąć.

Natychmiast zadzwonił do Interpolu i zażądał wszelkich informacji z bazy danych na temat Banku Depozytowego Zurychu i prezesa jego rady nadzorczej, André Verneta.

– Proszę zapiąć pasy – obwieścił pilot, kiedy hawker 731 schodził do lądowania przez ponurą poranną mżawkę. – Będziemy lądować za pięć minut.

Patrząc na zamglone wzgórza hrabstwa Kent, rozciągające się szeroko pod podchodzącym do lądowania samolotem, Teabing czuł radość z powrotu do domu. Anglię dzieliła od Paryża niepełna godzina lotu, ale był to całkiem inny świat. Tego ranka wydawało mu się, że wilgotna wiosenna zieleń jego ojczystego kraju wita go szczególnie radośnie. Moje życie we Francji się skończyło. Wracam do Anglii z tarczą. Klucz sklepienia został odnaleziony. Pozostawało oczywiście pytanie, dokąd klucz ich w końcu poprowadzi. Graal jest gdzieś w Wielkiej Brytanii. A gdzie dokładnie, Teabing nie miał zielonego pojęcia, ale już czuł smak zwycięstwa.

Langdon i Sophie wyglądali przez okno, a Teabing wstał i poszedł w kierunku oddalonej części kabiny, potem odsunął płytę w ścianie i odstłonił dyskretnie schowany sejf. Wystukał kombinację cyfr, otworzył sejf i wyciągnął dwa paszporty.

– Dokumentacja dla mnie i dla Rémy'ego. – Potem wyciągnął gruby plik banknotów pięćdziesięciofuntowych. – Dokumentacja dla was dwojga.

Sophie spojrzała na niego niepewnie.

– Łapówka?

– Kreatywna dyplomacja. Lotniska przyjmujące prywatne samoloty idą na pewne ustępstwa. W moim hangarze przywita nas angielski celnik i poprosi o pozwolenie wejścia na pokład samolotu. Będę się starał wyperswadować mu to, powiem, że podróżuję ze znaną osobistością z Francji, która woli, żeby nikt się nie dowiedział, że jest w Anglii... prasa, wie pan... i zaproponuję sowity napiwek jako dowód wdzięczności za dyskrecję.

Langdon był zdumiony.

– I celnik to przyjmie?

– Nie od każdego, ale mnie tam znają. Nie jestem handlarzem bronią, na Boga! Otrzymałem tytuł szlachecki. – Teabing uśmiechnął się. – Członkostwo w klubie daje pewne przywileje.

Podszedł teraz do nich Rémy i stanął w przejściu między fotelami z pistoletem marki Heckler Koch w ręku.

– A moje zadanie, sir?

Teabing spojrział na służącego.

– Poproszę cię, żebyś został na pokładzie z naszym gościem. Nie możemy go ciągnąć ze sobą po całym Londynie.

– Leigh, mówiłam poważnie o tym, że zanim wylądujemy, francuska policja znajdzie samolot – powiedziała Sophie niespokojnie.

Teabing zaśmiał się głośno.

– Tak, proszę sobie wyobrazić ich zaskoczenie, kiedy wejdą na pokład i znajdą tam Rémy'ego.

Sophie zdziwiła jego ułańska fantazja.

– Panie Teabing, przewiózł pan związanego zakładnika przez granicę. To nie żarty.

– Moi adwokaci też nie są skłonni do żartów. – Podnosząc głos, zwrócił się do tyłu, gdzie leżał mnich. – To zwierzę włamało się do mojego domu i omal mnie nie zabiło. To fakt, a Rémy to potwierdzi.

– Ale go związałeś i przewiozłeś samolotem do Londynu! – powiedział Langdon.

Teabing podniósł prawą dłoń, jakby do przysięgi.

– Wysoki Sądzie, proszę wybaczyć ekscentrycznemu staremu szlachcicowi jego głupie przywiązanie do brytyjskiego systemu sądownictwa. Zdaję sobie sprawę, że powinienem był wezwać francuską policję, ale jestem snobem i nie wierzę, że Francuzi z ich *laissez-faire* zdołają właściwie go osądzić. Ten człowiek o mało mnie nie zamordował. Tak, rzeczywiście, poniosło mnie, kiedy zmusiłem służącego, by pomógł mi przywieźć go do Anglii, ale działałem w stanie silnego stresu. *Mea culpa. Mea culpa.*

– W twoich ustach, Leigh, brzmi to dość przekonująco – zauważył Langdon zdziwiony.

– Sir?! – zawołał z kokpitu pilot. – Właśnie dostałem wiadomość z wieży. Mają jakiś problem techniczny, coś się stało w pobliżu pańskiego hangaru i proszą mnie, żebym posadził samolot bezpośrednio na terminalu.

Teabing latał na lotnisko Biggin Hill prawie przez dziesięć lat i coś takiego nigdy mu się nie zdarzyło.

– Wspominali może, na czym polega ten problem?

– Kontroler nie wypowiadał się jasno. Jakiś wyciek benzyny przy stacji pomp? Prosił mnie, żebym zaparkował na wprost terminalu i żeby nikt nie wysiadał z samolotu, dopóki nie otrzymamy dalszych instrukcji. Względy bezpieczeństwa. Mamy nie schodzić na płytę, dopóki nie otrzymamy pozwolenia od władz lotniska.

Teabing był nieufny. To musiałby być naprawdę niezły wyciek. Stacja pomp była ponad sześćset metrów od hangaru.

– Sir, to mi wygląda wysoce podejrzanie – zaniepokoił się Rémy.

– Przyjaciele, mam wrażenie, że będziemy mieli powitanie – zwrócił się Teabing do Sophie i Langdona.

– Fache chyba wciąż uważa, że to mnie należy ująć – westchnął ciężko Langdon.

– Albo – powiedziała Sophie – za głęboko w to zabrnął, żeby się teraz przyznać do błędu.

Teabing nie słuchał. Niezależnie od nastawienia Fache'a, trzeba było szybko podjąć jakieś decyzje. Nie trać z oczu ostatecznego celu. Graal. Jesteśmy tak blisko. Usłyszał gdzieś pod sobą odgłos otwierających się klap i szczyk kół samolotu ustawiających się we właściwej pozycji.

– Leigh – powiedział Langdon w poczuciu winy. – Powinienem się oddać w ich ręce i wyjaśnić to wszystko *lege artis*. Nie powinienem cię w to wszystko mieszać.

– Dobry Boże, Robercie! – Teabing odsunął tę sugestię zniecierpliwionym gestem dłoni. – Naprawdę uważasz, że wszystkich poza tobą wypuszczą? To ja cię tutaj nielegalnie sprowadziłem. Panna Neveu pomagała ci w ucieczce z Luwru, a z tyłu samolotu mamy tego związanego mnicha. Daj spokój! Wszyscy tkwimy w tym po uszy.

– Może jakieś inne lotnisko? – podsunęła Sophie.

Teabing potrząsnął głową.

– Jeżeli teraz poderwiemy maszynę, to wszędzie, gdzie dostaniemy pozwolenie na lądowanie, w naszym Komitecie powitalnym będą czołgi.

Sophie opadła ciężko na fotel. Teabing czuł, że jeśli w ogóle istnieje jakaś szansa odsunięcia chwili konfrontacji z przedstawicielami władz brytyjskich o tyle, ile potrzebują, by znaleźć Graala, polega ona na śmiałym działaniu.

– Dajcie mi chwilę – powiedział, kuśtykając w kierunku kokpitu.

– Co chcesz zrobić? – spytał Langdon.

– Pogadać o interesach – powiedział Teabing, zastanawiając się, ile go będzie kosztowało przekonanie pilota, by wykonać pewien bardzo nieregularny manewr.

Hawker nareszcie podchodził do lądowania.

Simon Edwards, kierownik obsługi ruchu pasażerskiego na lotnisku Biggin Hill, spacerował nerwowo po wieży kontrolnej, niecierpliwie mrużąc oczy i starając się wypatrzeć coś na zadeszczonym pasie startowym. Nigdy nie lubił być budzony wcześniej w sobotni rano, ale dziś szczególnie było mu nie w smak, kiedy się dowiedział, że wzywają go, by nadzorował aresztowanie jednego z najlepszych klientów lotniska. Sir Leigh Teabing płacił na lotnisku Biggin Hill nie tylko za utrzymywanie prywatnego hangaru, ale opłatę za każde lądowanie, a latał często. Lotnisko było zazwyczaj zawiadamiane z wyprzedzeniem o zmianie planów i można było zastosować się do ściśle ustalonego protokołu podczas jego wizyt. Teabing miał taki styl i tak lubił załatwiać sprawy. Specjalnie dla niego zbudowany jaguar o wydłużonym profilu, którego trzymał w hangarze, miał być zatankowany do pełna, wypolerowany, a aktualny *London Times* miał leżeć na tylnym siedzeniu. Oficer służby celnej miał czekać na samolot w hangarze i przeprowadzić niezbędną kontrolę dokumentów i bagażu. Niekiedy celnicy przyjmowali spore napiwki od Teabinga za to, że przymykali oczy na przewożenie nieszkodliwych produktów organicznych – głównie luksusowych produktów spożywczych – francuskich ślimaków, dojrziałych serów typu roquefort prosto z farmy i świeżych owoców. Istniało przecież wiele absurdalnych przepisów celnych i gdyby zarząd Biggin Hill nie wśluchiwał się w prośby swych klientów, z pewnością chętnie wysłuchałyby ich konkurencyjne lotniska dla prywatnie czarterowanych i prywatnych samolotów. W Biggin Hill Teabingowi dawano to, czego chciał, a pracownicy lotniska spijali śmietankę.

Edwards, patrząc, jak odrzutowiec nadlatuje, czuł, że ma nerwy napięte jak struny. Zastanawiał się, czy czasem skłonność Teabinga do rozdawnictwa nie wpędziła go w jakieś kłopoty, skoro władze francuskie tak bardzo chciały go zatrzymać. Edwards jeszcze nie wiedział, jakie stawiają mu zarzuty, ale oczywiście musiały być poważne. Na prośbę władz francuskich policja hrabstwa Kent nakazała kontrolerowi lotów w Biggin Hill skontaktować się przez radio z pilotem hawkera i nakazać mu, by lądował bezpośrednio na terminalu, a nie kierował samolotu wprost do hangaru klienta. Pilot wyraził zgodę i chyba uwierzył w raczej mało wiarygodną historię o wycieku paliwa.

Chociaż brytyjska policja w zasadzie nie nosi broni, sytuacja była widać na tyle poważna, że zjawił się również uzbrojony oddział szybkiego reagowania. Teraz ośmiu policjantów wyposażonych w broń ręczną stało w budynku terminalu, czekając na chwilę, kiedy przestaną pracować silniki samolotu. Wtedy pracownik obsługi technicznej lotniska umieści kliny zabezpieczające pod oponami i samolot będzie unieruchomiony. Pokaże się policja i zatrzyma pasażerów, dopóki nie zjawi się policja francuska i przejmie kontrolę nad sytuacją.

Hawker był teraz nisko nad ziemią, wydawało się, że dotyka podwoziem wierzchołków drzew. Simon Edwards zszedł na dół, żeby z poziomu asfaltu popatrzeć, jak ląduje. Policjanci byli na stanowiskach, choć nie było ich widać, a mechanik czekał, gotowy do podstawienia klinów pod koła. Lądując na pasie startowym, hawker podniósł lekko nos do góry, koła dotknęły powierzchni pasa i utworzyły dwie małe chmurki dymu. Samolot przygotowywał się do zwalniania prędkości, przechylając się to w lewo, to w prawo i wytracając szybkość na wprost terminalu, a jego biały kadłub błyszczał kroplami deszczu. Ale zamiast zahamować i zawrócić do terminalu, odrzutowiec spokojnie przejechał przez linię dostępu i sunął w kierunku hangaru Teabinga na skraju lotniska.

– Powiedział pan przecież, że pilot się zgodził podejść do terminalu! – Policjanci rzucili się na Edwardsa.

Edwards nie mógł wyjść ze zdumienia.

– Bo tak było!

Kilka sekund później Edwards, wtłoczony w fotel, znalazł się w policyjnym wozie patrolowym, a kierowca puł przez nawierzchnię lotniska w kierunku odległego hangaru. Konwój samochodów policyjnych był jeszcze dobre pięćset metrów od hangaru, kiedy hawker Teabinga spokojnie wjechał do jego wnętrza i zniknął. Kiedy samochody w końcu tam dotarły i zahamowały z piskiem opon na wprost otwartych drzwi do hangaru, wysypali się z nich policjanci z bronią gotową do strzału.

Edwards też wyskoczył.

Hałas był ogłuszający.

Silniki hawkera cały czas ryczały, kiedy odrzutowiec kończył obrót wewnątrz hangaru i ustawiał się nosem na wprost drzwi, w gotowości do startu. Kiedy samolot skończył obrót o sto osiemdziesiąt stopni i podkołował w kierunku przedniej części hangaru, Edwards zobaczył twarz pilota, który wyglądał – co nie dziwiło – na zaskoczonego i przestraszonego, widząc barykadę z samochodów policyjnych.

Pilot zatrzymał w końcu samolot i wyłączył silniki. Policjanci wpadli do hangaru i zajęli pozycje wokół maszyny. Edwards szedł tuż obok nadkomisarza policji hrabstwa Kent, który niepewnie kierował się ku drzwiom samolotu. Po kilku sekundach otworzyły się drzwi. Gdy elektronicznie sterowane schody samolotu dotknęły podłogi hangaru, pojawił się Leigh Teabing. Wyjrzał na morze broni skierowanej wprost na niego, wsparł się na kulach i podrapał w głowę.

– Simon, czy wygrałem w jakiejś loterii policyjnej, kiedy mnie nie było? – W jego głosie brzmiała raczej nuta zdziwienia niż niepokoju.

Simon Edwards zrobił krok do przodu, starając się przełknąć gulę, którą czuł w gardle.

– Dzień dobry panu. Przepraszam za to zamieszanie. Mieliśmy wyciek paliwa i pański pilot powiedział, że podkołuje do terminalu.

– Tak, tak, ale ja mu kazałem przyprowadzić samolot tutaj. Już jestem spóźniony na spotkanie. Placę za ten hangar i wszystkie te bzdury, że mamy uważać na wyciek paliwa, to dla mnie strata czasu.

– Pańskie przybycie trochę nas wytrąciło z równowagi, sir.

– Wiem. Tym razem jestem tu bez zapowiedzi. Między nami mówiąc, to nowe lekarstwo w ogóle mi nie służy. Pomyślałem sobie, że przyjadę na lekkie podszlifowanie formy.

Policjanci spojrzeli po sobie niepewnie. Edwards zamrugał oczami.

– Rozumiem. Doskonale, sir.

– Sir – powiedział nadkomisarz policji, zbliżając się o krok. – Muszę pana poprosić, żeby pan został na pokładzie jeszcze jakieś pół godziny.

Teabing wyglądał na poirytowanego tą całą sytuacją, kiedy opierając się o kule, schodził po schodach.

– Obawiam się, że to niemożliwe. Mam umówioną wizytę u lekarza. – Doszedł na poziom płyty lotniska. – Nie mogę sobie pozwolić na to, by ją stracić.

Inspektor policji ustawił się tak, żeby zablokować Teabingowi dalszą drogę.

– Jestem tutaj na rozkaz francuskiego Centralnego Biura Śledczego. Francuzi twierdzą, że przewozi pan samolotem uciekinierów poszukiwanych przez policję.

Teabing przyglądał się nadkomisarzowi przez dłuższą chwilę, a potem wybuchnął śmiechem.

– Czy to jakiś program telewizyjny z ukrytą kamerą? To bardzo zabawne!

Inspektor ani drgnął.

– Mówię całkiem poważnie, sir. Francuzi twierdzą, że może pan również mieć na pokładzie zakładnika.

W drzwiach samolotu u szczytu schodów pojawił się Rémy, służący Teabinga.



– Czasami czuję się jak zakładnik, pracując u sir Leigha, ale mój chlebobdawca zapewniał mnie, że mogę odejść w każdej chwili. – Rémy spojrzął na zegarek. – Sir Leigh, naprawdę jesteście spóźnieni. – Skinął głową w kierunku jaguara, stojącego w narożniku hangaru. Olbrzymia limuzyna koloru hebanu miała przydymione szyby i białe opony. – Przyprawdę samochód. – Rémy zaczął schodzić po schodach.

– Przykro mi, ale nie mogę pozwolić panom stąd odjechać – powiedział nadkomisarz. – Proszę wrócić do samolotu. Obaj. Za chwilę będą tu przedstawiciele francuskiej policji.

Teabing spojrzął teraz na Simona Edwardsa.

– Simon, na Boga, to przestaje być śmieszne! Nie ma nikogo innego na pokładzie. Jesteśmy jak zwykle – Rémy, nasz pilot i ja. Może byś zechciał posłużyć jako mediator? Idź, rozejrzyj się po pokładzie samolotu i potwierdź, że jest pusty.

Edwards wiedział, że jest w pułapce.

– Tak jest, sir. Mogę pójść zobaczyć.

– Do cholery jasnej! – wrzasnął nadkomisarz policji, który z pewnością wiedział dość o małych, zacisznych lotniskach przyjmujących prywatne samoloty, by podejrzewać, że Simon Edwards może nie powiedzieć prawdy, aby utrzymać takiego dobrego klienta jak Teabing na lotnisku Biggin Hill. – Ja sam zobaczę.

Teabing pokręcił przecząco głową.

– Nie, nie zobaczy pan, komisarzu. To jest prywatna własność i dopóki nie pokaże pan nakazu przeszukania, pańska noga nie przestąpi progu mojego samolotu. Proponuję panu rozsądne rozwiązanie. Pan Edwards może dokonać inspekcji.

– Nie idę na taki układ.

Od Teabinga nagle powiało chłodem.

– Obawiam się, inspektorze, że nie mam czasu na pańskie gierki. Jest późno, a ja wyjeżdżam. Jeżeli to dla pana takie ważne, żeby mnie zatrzymać, będzie pan musiał mnie po prostu zastrzelić. – Teabing i Rémy obeszli nadkomisarza dookoła i udali się na ukos przez hangar w kierunku zaparkowanej limuzyny.

Nadkomisarz policji hrabstwa Kent czuł niesmak, kiedy Leigh Teabing niezręcznie opierając się o kule, obchodził go łukiem, nic sobie nie robiąc z jego słów. Uprzywilejowani tego świata zawsze mają poczucie, że są ponad prawem.

Ale nie są. Nadkomisarz policji odwrócił się i wymierzył pistolet w plecy Teabinga.

– Stać! Będę strzelał!

– Uprzejmie proszę – powiedział Teabing, nie zatrzymując się ani nie odwracając głowy. – Moi prawnicy zjedzą pańskie nerki na śniadanie. A jeżeli ośmieli się pan wejść na pokład mojego samolotu bez nakazu, usmażą jeszcze pańską wątrobę.

Inspektor nie pierwszy raz stykał się z taką demonstracją arogancji i władzy i nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia. Formalnie Teabing miał słuszość i bez nakazu policja nie mogła wejść na pokład samolotu, ale z uwagi na to, że lot zaczął się we Francji, i dlatego, że potężny Bezu Fache ręczył za to głową, nadkomisarz policji z hrabstwa Kent był pewien, że znacznie lepiej posłuży jego karierze, jeżeli przekona się, co jest w tym samolocie, a co Teabing tak bardzo chciał ukryć.

– Zatrzymać ich! – rozkazał komisarz. – Przeszukuj samolot.

Jego podwładni przebiegli parę metrów z wycelowaną bronią i fizycznie zablokowali Teabinga i jego służącego, tak że ci nie mogli dojść do limuzyny.

Teraz Teabing się odwrócił.

– Inspektorze, to moje ostatnie ostrzeżenie. Niech panu nawet przez myśl nie przejdzie, że może pan wejść na pokład samolotu. Będzie pan tego srodze żałował.

Nie zważając na ostrzeżenie, nadkomisarz wyciągnął pistolet i pomaszerował po schodkach samolotu. Doszedł do drzwi i zajrzał do środka. Po chwili wszedł do kabiny. Co, u diabła?

Z wyjątkiem przestraszonego pilota w kokpicie w odrzutowcu nie było nikogo. Był pozbawiony śladów życia. Sprawdziwszy szybko łazienkę, fotele, miejsce na bagaż, nadkomisarz nie znalazł nikogo, kto by się tam ukrywał... A już zwłaszcza kilku osób.

Co, u diabła, Bezu Fache sobie myśli? Wydaje się, że Leigh Teabing mówił prawdę.

Nadkomisarz policji hrabstwa Kent stał samotnie w opuszczonej kabynie i przełykał ślinę. Cholera jasna. Czuł, że twarz mu czerwienieje, ale wyszedł z powrotem na schody samolotu i popatrzył przez hangar na Leigha Teabinga i jego służącego, do których mierzyli z broni umundurowani policjanci.

– Puścić ich – powiedział. – Dostaliśmy zły cynk.

Z oczu Teabinga biło chłodem przez cały hangar.

– Może pan oczekiwać telefonu od moich prawników. A na przyszłość, niech pan sobie zapamięta, że francuskiej policji nie można ufać.

Mówiąc to, wszedł od samochodu, a służący przytrzymał tylne drzwi długiej limuzyny i pomagał swojemu niepełnosprawnemu panu usadowić się na siedzeniu. Potem służący przeszedł wzdłuż całej długości samochodu, siadł za kierownicą i przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik zagrał cicho, a policjanci rozproszyli się, kiedy jaguar wytaczał się z hangaru.

– Świetnie zagrane, mój dobry człowieku – odezwał się radośnie Teabing z tylnych siedzeń, kiedy limuzyna przyspieszała, wyjeżdżając z lotniska. Teraz odwrócił wzrok w kierunku słabo oświetlonej przedniej części przestronnego wnętrza jaguara. – Wszystkim wygodnie?

Langdon słabo skinął głową. On i Sophie wciąż siedzieli skuleni na podłodze obok związanego i zakneblowanego albinosa.

Kilka chwil przedtem, gdy hawker kołował w pustym hangarze i zatrzymał się nagle w połowie obrotu, Rémy otworzył drzwi samolotu. Policja była już blisko, ale Langdon i Sophie zdotali wyciągnąć mnicha na płytę hangaru po schodach samolotu i schować się wraz z nim za limuzyną. Wtedy silniki odrzutowca znów ryknęły i samolot dokończył obrotu, a samochody policyjne wpadały z poślizgiem do hangaru.

Teraz, kiedy limuzyna pędziła w kierunku Kentu, Langdon i Sophie wytaszczyli się na siedzenia w długim wnętrzu jaguara, zostawiając mnicha związanego na podłodze. Usadowili się na długim siedzisku na wprost Teabinga. Anglik, z chytrym wyrazem twarzy, otworzył drzwiczki barku.

– Czy można państwa poczęstować drinkiem? Jakieś przekąski? Chipsy, orzeszki, aspiryna?

Sophie i Langdon potrząsnęli przecząco głowami.

Teabing uśmiechnął się szeroko i zamknął bary.

– A więc, wracając do grobowca rycerza...

## ROZDZIAŁ 82

– Fleet Street? – zapytał Langdon, spoglądając uważnie na Teabinga. – Na Fleet Street jest jakaś krypta?

Jak dotąd Leigh był nieco tajemniczy i nie zdradzał, gdzie znajdują grobowiec rycerza, który zgodnie z treścią poematu ma im dać wskazówkę, jak odnaleźć słowo dostępu do mniejszego krypteksu.

Teabing uśmiechnął się szeroko i zwrócił się do Sophie.

– Panno Neveu, proszę jeszcze raz pokazać temu chłopcu z Harvardu wierszyk, dobrze?

Sophie pogrzebała w kieszeni i wyciągnęła czarny krypteks owinięty w pergamin. Wspólną decyzją postanowili zostawić szkatułkę i większy krypteks w sejfie samolotu, a wziąć ze sobą tylko to, czego potrzebowali – tekst wiersza i łatwiejszy do ukrycia mniejszy czarny krypteks. Sophie rozwinęła pergamin i podała go Langdonowi.

Chociaż Langdon już na pokładzie samolotu kilka razy czytał wiersz, nie potrafił na podstawie jego treści wyobrazić sobie żadnej konkretnej lokalizacji. Teraz czytał te słowa jeszcze raz, powoli i z największą uwagą, w nadziei, że na ziemi pentametrami łatwiej odsłoni przed nim swoje znaczenie.

W Londynie leży rycerz, dzielny chwát,  
A Papież go pogrzebał, w ziemię kładł,  
Owocem jego pracy Święty gniew,  
Brzemienna ma być kula, Róży krzew.

Treść wiersza wydawała się dość prosta. Jakiś rycerz jest pogrzebany w Londynie. Rycerz, który pracował nad czymś, co rozgniewało Kościół. Z jego grobem kojarzy się jakaś kula – i róży krzew – to oczywista aluzja do Marii Magdaleny.

Kto jednak miałby być tym rycerzem i gdzie został on pochowany? Ponadto, kiedy już zlokalizują ten grób, co z kulą, która „ma być brzemienna”?

– Coś świta? – Teabing niby był rozczarowany, ale Langdon miał wrażenie, że historyk rodziny królewskiej jest rad z tego, że teraz on wie coś więcej. – Panno Neveu?

Potrząsnęła głową.

– Co byście zrobili beze mnie? – spytał Teabing. – Dobrze, przeprowadzę was na drugą stronę. To jest w gruncie rzeczy proste. Kluczem są dwa pierwsze wersy. Mógłbyś je przeczytać?

Langdon przeczytał głośno.

– *W Londynie leży rycerz, dzielny chwát, A Papież go pogrzebał, w ziemię kładł.*

– No właśnie. Rycerz, którego w ziemię kładł papież. Co to dla ciebie znaczy?

Langdon wzruszył ramionami.

– Jakiś rycerz, którego pogrzebał papież? A może jakiś rycerz, którego ceremonię pogrzebową prowadził papież?

Teabing zaśmiał się w głos.

– Tak, to mi się podoba. Robert wieczny optymista. Spójrz na kolejną linijkę. Ten rycerz z pewnością zrobił coś, co wzbudziło święty gniew Kościoła. Pomyśl jeszcze raz o stosunkach między Kościołem a templariuszami. Rycerz, którego papież pogrzebał.

– Rycerz, którego papież zabił, zniszczył? – spytała Sophie.

Teabing uśmiechnął się i klepnął ją w kolano.

– Bardzo dobrze, moja droga. Rycerz, którego papież pogrzebał. Inaczej mówiąc, zniszczył.

Langdon pomyślał sobie, że w 1307 roku zginęło wielu templariuszy – w pechowy piątek, trzynastego, papież Klemens zabił i pogrzebał setki rycerzy zakonu templariuszy.

– Zapewne jest mnóstwo grobów rycerzy, którzy zginęli z woli papieża.

– Aha, właśnie że nie! – powiedział Teabing. – Wielu z nich spłonęło na stosach, a ich prochy bezceremonialnie wrzucono do Tybru. Tymczasem ten wiersz mówi, że rycerz został pochowany w Londynie. A w Londynie pogrzebano niewielu rycerzy. – Przerwał, patrząc na Langdona, jakby czekając, że go coś olśni. W końcu fuknął. – Robercie, na Boga! Kościół zbudowany w Londynie przez zbrojne ramię zakonu – samych templariuszy!

– Kościół Temple? – Langdon wziął głęboki oddech. – Ma kryptę?

– I dziesięć najstraszniejszych grobów, jakie kiedykolwiek w życiu widziałeś.

Langdon nigdy jeszcze nie był w kościele Temple, chociaż spotykał niezliczone wzmianki o tym kościele podczas badań nad historią zakonu templariuszy. Kiedyś kościół był głównym ośrodkiem działań templariuszy i zakonu w Wielkiej Brytanii, a nazwano go tak, żeby uczcić Świątynie Salomona, z której templariusze zaczerpnęli swoje własne miano, jak również dokumenty Sangreala, które dały im takie wpływy w Rzymie. Mówiło się wiele o rycerzach wykonujących dziwne, sekretne rytuały w murach tego niezwykle sanktuarium, jakim jest kościół Temple.

– Kościół Temple jest przy Fleet Street?

– Tuż obok Fleet Street, przy Inner Temple Lane. – Teabing miał na twarzy chytry uśmieszek. – Chciałem, żebyście się trochę pomęczyli, zanim wam wszystko powiem.

– Dziękuję.

– Żadne z was jeszcze tam nie było?

Sophie i Langdon potrząsnęli przecząco głowami.

– To mnie nie dziwi – powiedział Teabing. – Kościół teraz jest ukryty za znacznie od niego wyższymi budynkami. Niewiele osób w ogóle wie, że tam jest. Dziwaczna, stara budowla. Jego architektura jest pogańska aż po same fundamenty.

– Pogańska? – zdziwiła się Sophie.

– Jak sam Panteon! – wykrzyknął Teabing. – Kościół jest kulisty. Templariusze nic sobie nie robili z tradycyjnego planu krzyża, na jakim budowano tradycyjne kościoły chrześcijańskie, i zbudowali kościół idealnie okrągły, aby oddać cześć słońcu. – Jego brwi tańczyły jak dwa małe diabełki. – Nie byli tak subtelni jak chłopaki w Rzymie. Mogli sobie pozwolić na to, by odtworzyć megalityczny krąg Stonehenge w sercu Londynu.

– No a reszta tego wiersza? – Sophie spojrzała pytająco na Teabinga.

Teraz historykowi mina trochę zrzęda.

– Niestety to dla mnie zagadka. Musimy dokładnie zbadać każdy z dziesięciu grobów. Jeśli będziemy mieli szczęście, na jednym powinniśmy znaleźć rozwiązanie.

Langdon myślał o tym z nadzieją. Jeżeli grobowiec pozwoli im znaleźć hasło dostępu, będą mogli otworzyć drugi krypteks. Co znajdą w środku? Znów spojrzął na wiersz. Jakież mogłoby być fundamentalne słowo tej krzyżówki? Pięcioliterowe słowo, które mówi o Graalu? W samolocie już próbowali różnych rozwiązań – GRAAL, GREAL, WENUS, MARIA – ale cylinder ani drgnął. To zbyt oczywiste. Widać istniało jakieś inne słowo na pięć liter nawiązujące do brzemiennej kuli i róży. Fakt, że takie słowo nie przychodziło na myśl specjalistom klasy Leigha Teabinga, oznaczało dla Langdona, że nie był to prosty odnośnik do Graala.

– Sir Leigh?! – zawołał Rémy przez ramię. Patrzył na nich w lusterku wstecznym przez otwartą szybę oddzielającą kierowcę od pasażerów. – Powiedział pan, że Fleet Street jest niedaleko mostu Blackfriars?

– Tak. Jedź nad rzeką wzdłuż Victoria Embankment.

– Przepraszam, ale nie jestem pewien, gdzie to jest. Zazwyczaj jeździmy tylko do szpitala.

Teabing wznosił oczy w górę i zaczął narzekać.

– Mówię wam, czasami to gorsze niż opieka nad dzieckiem. Chwileczkę. Poczęstujcie się drinkami i paluszkami. – Zostawił ich i zaczął przesuwać się w kierunku otwartej szyby, za którą siedział Rémy.

Sophie teraz zwróciła się do Langdona głosem znacznie cichszym.

– Nikt nie wie, że jesteśmy w Anglii, Robercie.

Langdon zdał sobie sprawę z tego, że Sophie ma rację. Policja hrabstwa Kent powiadomi Fache'a, że samolot był pusty, i Fache pomyśli, że są wciąż we Francji. Jesteśmy niewidzialni. Scenka, którą odegrał Leigh, to dla nich bilet do wolności.

– Fache tak łatwo się nie podda – powiedziała Sophie. – Zbyt dużo teraz zależy od naszego aresztowania.

Langdon próbował nie myśleć o Fache'u. Sophie przyrzekła, że zrobi wszystko co w jej mocy, by go oczyścić, kiedy cała ta historia się skończy, ale on się obawiał, że to może na nic się nie zdać. Fache też może być uczestnikiem tej gry. Chociaż Langdonowi trudno sobie było wyobrazić, jak Francuskie Biuro Śledcze mogłoby się zaplatać w aferę ze Świętym Graalem, wyczuwał, że w całej tej sprawie było zbyt dużo zbiegów okoliczności, aby wyłączać Fache'a z ewentualnego uczestnictwa. Fache jest religijny, ma chęć przypisać mi te morderstwa. Z drugiej strony Sophie argumentowała, że Fache może za wszelką cenę chce kogoś aresztować. A wiele poszlak przemawiało przeciwko Langdonowi. Jego nazwisko poza tym, że było napisane na podłodze w Luwrze, widniało też w kalendarzu Saunière'a, a Langdon, jak się teraz okazuje, skłamał na temat swojej pracy, no i uciekł. Nawiasem mówiąc, za radą Sophie.

– Nie gniewaj się, Robercie, i wiedz, że bardzo mi przykro z powodu skutków, jakie ściągnęła na ciebie ta sprawa – powiedziała Sophie, kładąc dłoń na jego kolanie – ale jestem bardzo rada, że mi towarzyszysz.

Ta uwaga zabrzmiała bardziej pragmatycznie niż romantycznie, a jednak Langdon poczuł niespodziewaną iskrę i coś w rodzaju chemicznego przyciągania między nimi. Jego uśmiech zdradzał zmęczenie.

– Ze mną jest o wiele zabawniej, kiedy się wyśpię.

Sophie przez kilka sekund milczała.

– Dziadek prosił mnie, żebym ci zaufała. Cieszę się, że tym razem go posłuchałam.

– Twój dziadek nawet mnie nie znał.

– Mimo to uważam, że zrobiłeś wszystko, czego on by chciał. Pomogłeś mi odnaleźć klucz sklepienia, wyjaśniłeś wszystko, opowiedziałeś o Sangrealu, o rytuałach zakonu. – Zamilkła. – Jakoś tak... czuję się teraz bliższa dziadkowi, bliższa niż przez te wszystkie lata. Wiem, że to by go ucieszyło.

W oddali, za oknem, w porannym kapuśniaczkę, zaczęły się materializować ulice Londynu. Panorama miasta, nad którą kiedyś dominował Big Ben i Tower Bridge, teraz spoglądała w górę, na London Eye – gigantyczne supernowoczesne koło o wysokości stu trzydziestu pięciu metrów, z którego można oglądać zapierające dech w piersiach widoki metropolii, zbudowane dla uświetnienia obchodów nowego tysiąclecia. Kiedyś Langdon próbował na to wsiąść, ale tak zwane kapsuły widokowe przypominały mu zamknięte na głucho sarkofagi, wołał więc stapać po ziemi i cieszyć się widokami brzegów Tamizy.

Langdon poczuł, że ktoś go ściska za kolano, przywołując do rzeczywistości, i poczuł na sobie wzrok Sophie. Zdał sobie sprawę, że coś do niego mówi.

– A jak ty sądzisz, co powinniśmy zrobić z dokumentami Sangreala, jeżeli kiedyś je znajdziemy? – szepnęła.

– To, co ja sądzę, nie ma żadnego znaczenia – powiedział Langdon. – Twój dziadek dał krypteks tobie i ty powinnaś z nim zrobić to, co ci podpowiada intuicja.

– Proszę cię tylko o opinię. Na pewno napisałaś coś w tej swojej pracy i dzięki temu właśnie mój dziadek ci zaufał. Umówił się z tobą na prywatne spotkanie. A to mu się rzadko zdarzało.

– Może mi chciał powiedzieć, że się ze mną w najmniejszym stopniu nie zgadza.

– Jeśli nie podzielała twoich poglądów, dlaczego polecił mi, żebym cię odnalazła? Czy w pracy, którą dziadek dostał do przeczytania, opowiadasz się za tym, by dokumenty Sangreala ujawnić, czy za tym, żeby pozostały w ukryciu?

– Nie opowiadam się za żadnym z tych rozwiązań. Nie oceniam. Piśzę o symbolach utraconej świętości żeńskiej, śledzę jej ikonografię przez cały ciąg dziejów ludzkości. Na pewno z moich rozważań nie wynika, że wiem, gdzie znajduje się Graal, ani to, czy powinno się kiedyś ujawnić jego tajemnicę.

– A jednak piszesz o nim książkę, więc widać czujesz, że tymi informacjami trzeba się dzielić.

– Jest ogromna różnica między hipotetyczną dyskusją i omawianiem alternatywnej historii życia Chrystusa a... – przerwał.

– A czym?

– A pokazywaniem światu tysięcy starych dokumentów, jako naukowych dowodów, że Nowy Testament to fałszywe świadectwo.

– Ale sam mówiłeś, że Nowy Testament to materiał w dużej mierze sfabrykowany.

Langdon uśmiechnął się.

– Sophie, każda religia opiera się na fabrykacji. Taka jest istota wiary – wiara to przyjmowanie za prawdę tego, co sobie wyobrażamy jako prawdę, a czego nie możemy udowodnić. Każda religia opisuje Boga przez metaforę, alegorię i wyolbrzymienie – tak było od starożytnych Egipcjan aż do dzisiejszych szkółek niedzielnych. Metafora to sposób na wsparcie umysłu, który dzięki niej przetwarza to, co jest nieprzetwarzalne. Problemy pojawiają się wtedy, kiedy zaczynamy brać własne metafory zbyt dosłownie.

– To znaczy, jesteś za tym, żeby dokumenty Sangreala nigdy nie ujrzały światła dziennego?

– Jestem historykiem. Nie akceptuję niszczenia dokumentów i chciałbym, żeby badacze religii mieli więcej informacji i zastanawiali się dzięki nim nad wyjątkowością życia Jezusa Chrystusa.

– Dajesz argumenty na tak i na nie.

– Tak? Pismo Święte jest podstawowym przewodnikiem dla milionów ludzi na ziemi, podobnie jak Koran, Tora i kanon palijski są przewodnikami dla ludzi wyznających inną religię. Gdybyśmy na przykład mogli wyciągnąć skądś na światło dzienne dokumenty, które zaprzeczają świętym opowieściom islamu, judaizmu, buddyzmu czy jakiegokolwiek religii pogańskiej, czy powinniśmy to robić? Czy powinniśmy

machać do buddystów i opowiadać im, że mamy dowód na to, iż Budda nie urodził się z kwiatu lotosu? A katolikom, że Jezus nie urodził się dosłownie z dziewicy? Ci, którzy naprawdę rozumieją swoją wiarę, rozumieją również jej metafory.

– Moi przyjaciele – ciągnęła Sophie nieprzekonana – którzy są żarliwymi chrześcijanami, z pewnością wierzą, że Chrystus dosłownie chodził po wodzie, dosłownie zamienił wodę w wino i dosłownie urodził się z dziewicy.

– Otóż to – powiedział Langdon. – Alegoria religijna stała się częścią materii rzeczywistości. A życie w takiej rzeczywistości jest dla milionów ludzi łatwiejsze i czyni ich lepszymi.

– Ale z tego wynika, że ich rzeczywistość jest fałszywa.

Langdon zaśmiał się krótko.

– Nie bardziej fałszywa niż rzeczywistość matematyka kryptografa, który wierzy, że istnieje wyobrażona liczba „i”, ponieważ dzięki temu skuteczniej łamie kody i szyfry.

– To nie fair. – Sophie ściągnęła brwi.

– Więc o co pytałaś? – podjął Langdon po dłuższej chwili milczenia.

– Nie pamiętam.

– To zawsze działa – uśmiechnął się.

Na zegarku z Myszka Miki, który Langdon miał na nadgarstku, było prawie pół do ósmej, kiedy cała trójka wysiadła z limuzyny przy Inner Temple Lane i zanurzyła się w labiryncie budynków prowadzących do niewielkiego placu przed kościołem Temple. Grubo ciosany kamień, z którego zbudowano kościół, połyskiwał w deszczu, a nad ich głowami słychać było ukryte w zakamarkach gołębie.

Starożytny kościół Temple w Londynie jest zbudowany w całości z kamienia z Caen. Ogromna kolistą budowlą o przytłaczającej fasadzie, z wieżą pośrodku i wystającą nawą z jednej strony wygląda bardziej jak jakaś fortyfikacja wojskowa niż miejsce kultu religijnego. Konsekwował go dziesiątego lutego 1185 roku Herakliusz, patriarcha Jerozolimy, i od tego czasu przetrwał osiem wieków politycznych burz, wielki pożar Londynu, pierwszą wojnę światową i dopiero w 1940 roku zniszczyły go dość poważnie bomby zapalające Luftwaffe. Po wojnie został odbudowany w pierwotnym kształcie i całej swojej wspaniałości.

Oto prostota okręgu – pomyślał Langdon, podziwiając budowlę po raz pierwszy w życiu. Jego architektura była ciężka i prosta, przypominała raczej surowy rzymski Castel Sant' Angelo niż wytworny Panteon. Pudełkowata dobudówka przyklejona do prawej strony kościoła raziła swoją brzydota, ale nie zdołała zakłócić oryginalnego pogańskiego kształtu pierwotnej budowli.

– W ten wczesny sobotni rano – powiedział Teabing, ruszając w stronę wejścia – może nie natkniemy się na nabożeństwo.

Wejście do kościoła miało kształt zmniejszającej się i zwężającej w dół kamiennej niszy, w której osadzono duże drewniane drzwi. Na lewo od drzwi, zupełnie w niestosowny, wisiała wielka tablica ogłoszeń, a na niej program koncertów i rozkład nabożeństw.

Teabing, spojrzawszy na tablicę ogłoszeń, zasępił się.

– Nie otwierają kościoła dla zwiedzających tak wcześnie rano. – Podszedł do drzwi i spróbował je otworzyć. Ani drgnęły. Przyłożył ucho do drewnianego skrzydła i słuchał. Po chwili odsunął się z figlarnym wyrazem twarzy i wskazał na tablicę ogłoszeń. – Robercie, sprawdź plan mszy, dobrze? Kto w tym tygodniu odprawia nabożeństwa?

Wewnątrz młody kościelny już prawie skończył odkurzanie kłęczników, kiedy usłyszał pukanie do drzwi sanktuarium. Nie zwrócił na nie uwagi. Ksiądz Harvey Knowles ma własne klucze i przyjdzie dopiero za parę godzin. To prawdopodobnie jakiś ciekawski turysta albo bezdomny. Kościelny nie przerywał odkurzania, ale pukanie robiło się coraz głośniejsze. Nie umiesz czytać? Tabliczka na drzwiach mówiła wyraźnie, że kościół w sobotę otwierano dopiero o wpół do dziesiątej. Kościelny pracował dalej.

Nagle pukanie zamieniło się w potworne walenie, jak gdyby ktoś uderzał w drzwi metalową sztabą. Chłopak wyłączył odkurzacz i rozszoszczony pomaszerował do drzwi. Odsunął od wewnątrz zasuwę i otworzył jedno skrzydło. Na progu stały trzy osoby. Turyści.

– Otwieramy o pół do dziesiątej.

Mocno zbudowany mężczyzna, który wyglądał na ich przywódcę, zrobił krok do przodu, podpierając się metalowymi kulami.

– Jestem sir Leigh Teabing – powiedział z arystokratycznym brytyjskim akcentem. – Jak pan z pewnością wie, towarzyszę pani i panu Christopherowi Wren Czwartemu.

Przesunął się w bok, wskazując szerokim gestem ręki na atrakcyjną parę stojącą tuż za nim. Kobieta miała delikatne rysy i burzę włosów koloru burgunda. Mężczyzna był wysoki, ciemnowłosy i miał twarz, którą kościelny skądś jakby znał.

Młody kościelny nie wiedział, co powiedzieć. Sir Christopher Wren był najslawniejszym sponsorem i darczyńcą kościoła Temple, który zmarł na początku osiemnastego wieku.

– Cóż, to dla mnie zaszczyt poznać państwa.

Mężczyzna o kulach zmarszczył czoło.

– Dobrze, że nie pracuje pan w dziale sprzedaży, młody człowieku, ponieważ pana słowa nie brzmią przekonująco. Gdzie jest ksiądz Knowles?

– Dzisiaj sobota. Przychodzi dopiero później.

Ton wymówki w głosie mężczyzny o kulach był teraz jeszcze głębszy.

– To mi wdzięczność. Zapewniał nas, że tu będzie, a wygląda na to, że będziemy musieli sobie bez niego poradzić. Ale to nie potrwa długo.

Kościelny wciąż stał w drzwiach, blokując wejście.

– Przepraszam bardzo, ale co nie potrwa długo?

Gość zmrużył teraz oczy i nachylił się do przodu, szepcząc, jakby chciał oszczędzić wszystkim wstydu.

– Młody człowieku, widać, że jest pan tu nowy. Co roku potomkowie sir Christophera Wrena przynoszą szczyptę jego prochów i rozrzucają je w sanktuarium Temple. Tak postanowił w swoim testamencie. Nikomu się za bardzo nie chce tu jeździć, ale cóż?

Kościelny pracował tu już od paru lat, ale nigdy nie słyszał o tym zwyczaju.

– Lepiej by było, byście państwo poczekali do dziewiątej trzydzieści. Kościół nie jest jeszcze otwarty, a ja nie skończyłem odkurzać.

Mężczyzna o kulach spojrzął na niego rozszoszczony.

– Młody człowieku, może pan tu odkurzać tylko dlatego, że coś z tego budynku zostało, a to za sprawą tego dżentelmena, który jest w kieszeni tej pani.

– Przepraszam, nie rozumiem?

– Pani Wren – powiedział mężczyzna o kulach – czy byłaby pani uprzejma pokazać temu młodemu impertyntowi relikwiarz z prochami?

Kobieta zawahała się, po czym jak gdyby obudzona z jakiegoś transu sięgnęła do kieszeni swetra i wyciągnęła z niego niewielki cylindryczny pojemnik owinięty w miękki materiał.

– To właśnie to, widzi pan? – ripostował mężczyzna o kulach. – Teraz może pan albo okazać zrozumienie dla zmarłego i pozwolić nam rozsypanie jego prochy w sanktuarium, albo powiem księdzu Knowlesowi, jak nas tu potraktowano.

Kościelny wahał się, bo dobrze znał księdza Knowlesa i jego przywiązanie do tradycji... A co ważniejsze, znał jego wybuchowy temperament, który ujawniał się zawsze wtedy, kiedy w tej od wieków czczonej świątyni działo się coś, co przedstawiało ją w złym świetle. Może ksiądz Knowles po prostu zapomniał, że mają się tu znaleźć członkowie rodziny. Jeśli tak, kościelny bardziej ryzykował, odmawiając im wejścia, niż wpuszczając ich do środka. Powiedzieli, że to nie potrwa długo. Co złego może się stać?

Kiedy kościelny odsunął się o krok na bok i wpuścił całą trójkę do środka, mógłby przysiąc, że pan i pani Wren wyglądali na równie zaskoczonych i zdumionych tym wszystkim jak on. Zdezorientowany, wrócił do swoich zajęć, przypatrując się niespodziewanym gościom z ukosa.

Kiedy cała trójka była już w głębi kościoła, Langdon nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Stanowczo za dobrze kłamiesz, Leigh – szepnął.

Oczy Teabinga rozblęły.

– Uniwersytecki klub teatralny w Oksfordzie. Do dzisiaj mówi się tam o moim Juliuszu Cezarze. Jestem pewien, że nikt nigdy nie zagrał pierwszej sceny trzeciego aktu z większym poświęceniem.

– Zawsze myślałem, że w tej scenie Cezar jest martwy – zdziwił się Langdon.

– Tak – uśmiechnął się przewrotnie Teabing – ale kiedy upadłem, rozsunęła mi się toga i musiałem leżeć na scenie przez pół godziny z fajfusem na wierzchu. Mimo to ani jeden mięsień mi nie drgnął. Byłem bezkonkurencyjny, mówię ci.

– Szkoda, że nie widziałem – zauważył smętnie Langdon.

Kiedy przeszli przez prostokątną dobudówkę i kamienny łuk wiodący do głównego kościoła, Langdon nie mógł się oprzeć wrażeniu nagości i surowości ścian. Chociaż położenie ołtarza było podobne jak w kaplicach chrześcijańskich, wewnątrz kościoła było surowe i chłodne, nie było ani śladu tradycyjnej ornamentacji.

– Ponuro – szepnął.

– Kościół anglikański. Anglikanie piją religię bez żadnych domieszek – zażartował Teabing. – Nic nie może odrywać ich uwagi od poczucia nieszczęścia.

Sophie wskazała na szerokie przejście, które prowadziło do tej części kościoła, której mury były koliste.

– Wygląda to jak jakaś forteca – szepnęła.

Langdon zgodził się. Nawet stąd ściany sprawiały wrażenie niezwykle trwałych.

– Templariusze byli wojownikami – przypomniał im Teabing; odgłos aluminiowych kul odbijał się echem w kamiennym otoczeniu. – Stowarzyszenie religijno-militarne. Kościoły były jednocześnie fortecami, a nawet bankami.

– Bankami? – zdziwiła się Sophie.

– Ależ tak. Templariusze wymyślili koncepcję nowoczesnej bankowości. Dla europejskiej szlachty podróżowanie ze złotem było niebezpieczne, więc templariusze pozwalali szlachcom deponować złoto w najbliższym kościele zakonu, a potem wyciągać jego odpowiednią ilość z któregośkolwiek innego kościoła bractwa templariuszy w Europie. Potrzebna była tylko właściwie dokumentacja. – Mrugnął okiem. – No i niewielka prowizja. Templariusze byli jak pierwsze bankomaty. – Teabing wskazał na witrażowe okno, przez które prześwitywało słońce i rozświetlało postać ubranego na biało rycerza, który jechał na koniu koloru róży. – Alanus Marcel – powiedział. – Mistrz świątyni na początku trzynastego wieku. On i jego następcy zasiadali w fotelu parlamentarnym Primus Baro Angiae.

– Pierwszego Barona na Włóściach? – upewniał się Langdon.

– Mistrz świątyni, jak twierdzą niektórzy – wyjaśniał Teabing – miał większe wpływy niż sam król.

Gdy weszli w obręb kolistej nawy, Teabing spojrzął przez ramię na kościelnego, który gdzieś w oddali hałasował odkurzaczem.

– Proszę sobie wyobrazić – szepnął Teabing do Sophie – że podobno kiedyś Święty Graal został tu złożony na noc, było to wtedy, gdy templariusze przenosili go z jednej kryjówki do innej. Cztery skrzynie dokumentów Sangreala tu, na tej podłodze, a wraz z nimi sarkofag Marii Magdaleny! Kiedy o tym myślę, czuję gęsią skórkę.

Langdon również poczuł gęsią skórkę. Powiódł wzrokiem po zakolach murów z jasnego kamienia – wszystkie rzeźby gargulców, demonów, potworów i wizerunki ludzkich twarzy patrzyły do środka. Pod płaskorzeźbami wzdłuż całego obwodu okrągłej komnaty nawy biegła pojedyncza kamienna ława.

– Teatr w planie okręgu – szepnął Langdon.

Teabing podniósł aluminiową kulę i wskazał dalszą część pomieszczenia po lewej, a potem po prawej. Langdon też ich zobaczył.

Dziesięciu kamiennych rycerzy.

Pięciu po lewej. Pięciu po prawej.

Leżąc na plecach na podłodze, wyrzeźbieni z kamienia rycerze naturalnej wielkości odpoczywali w spokojnych pozach. Przedstawiono ich w pełnej zbroi, z tarczami i mieczami. Langdon, patrząc na te postacie, miał nieprzyjemne wrażenie, że ktoś się wkradł i podczas snu oblał rycerzy gipsem. Wszystkie rzeźby były mocno nadgryzione zębem czasu. Postacie różniły się między sobą szczegółami uzbrojenia, ułożeniem kończyn, wyrazem twarzy lub znakami herbowymi na tarczach.

*W Londynie leży rycerz, dzielny chwata.*

*A Papież go pogrzebał, w ziemię kładł.*

Langdon czuł, że trzęsą mu się nogi. To musi być tu.

W zaśmiecanej alejce, tuż obok kościoła Temple, Rémy Legaludec zatrzymał limuzynę marki Jaguar za rzędem wielkich plastikowych kubłów na śmieci. Wyłączył silnik i rozejrzał się dookoła. Nikogo. Wysiadł z samochodu, podszedł do tyłu i wszedł do głównej kabiny limuzyny, w której leżał związany mnich.

Czując obecność Rémy'ego, mnich na tyle auta wynurzył się z modlitewnego transu, a w jego oczach było więcej ciekawości niż lęku. Cały wieczór Rémy podziwiał spokój związanego w kij mężczyzny. Po kilku próbach walki w range roverze mnich chyba pogodził się ze swoim losem i przekazał go w ręce sił wyższych.

Rémy poluzował muszkę, rozpiął wysoki, ciasny, wykrochmalony biały kołnierzyk i poczuł, że po raz pierwszy od dłuższego czasu swobodnie oddycha. Przeszedł do barku alkoholowego wbudowanego w przegrodę limuzyny i nalał sobie kieliszek smirnoffa. Wychylił go jednym haustem, potem nalał sobie drugi.

Wkrótce będą się mógł pogрузić w słodkim nieróbstwie. Przeszukał bar i znalazł otwieracz do wina, chwycił go w palce i jednym ruchem wysunął mały ostry nożyk, zazwyczaj używany do przecinania folii na korkach butelek wina, ale tego ranka nożyk miał odegrać bardziej dramatyczną rolę. Rémy odwrócił się i spojrział na Sylasa, trzymając wysoko lśniące ostrze.

Teraz w czerwonych oczach albinosa załśnił strach.

Rémy uśmiechnął się i zrobił krok w kierunku tylnej części limuzyny. Mnich zaczął się szarpać, walcząc z więzami.

– Leż spokojnie – szepnął Rémy, podnosząc w górę ostrze.

Sylas nie mógł uwierzyć, że Bóg go opuścił. Nawet fizyczny ból, który sprawiały mu więzy, zamienił w ćwiczenie duchowe, starając się, by pulsowanie błagających o krew mięśni przypominało mu ból, który cierpiał Chrystus. Całą noc modliłem się o uwolnienie. Teraz, kiedy nóż opuszczał się coraz niżej, Sylas zamknął powieki.

Ostrze bólu jak strzał z bicia rozdarło mu łopatkę. Krzyknął głośno, nie mogąc uwierzyć, że tu właśnie umrze, na tylnym siedzeniu jakiejś limuzyny, pozbawiony możliwości obrony. Pracowałem dla Pana. Nauczyciel powiedział, że mnie będzie chronił.

Poczuł kłające ciepło, rozchodzące się po plecach i ramionach, i jak żywą wyobraził sobie swoją własną krew spływającą po ciele. Teraz poczuł przeszywający ból w nogach i udach, a potem dobrze mu znane uczucie dezorientacji – mechanizm obronny ciała przeciw bólowi.

Przez wszystkie mięśnie Sylasa płynęła fala gorąca. Jeszcze mocniej zacisnął powieki, pragnąc całym sercem, żeby ostatnim obrazem, jaki zobaczy na tym ziemskim padole, nie była twarz zabójcy. Wyobraził sobie więc biskupa Aringarosę jako młodego człowieka, stojącego przed małym kościółkiem w Hiszpanii... Kościółkiem, który razem zbudowali własnymi rękami. Początek mojego prawdziwego życia.

Sylas poczuł, że całe jego ciało płonie.

– Napij się – szepnął z francuskim akcentem mężczyzna w smokingu. – To pomaga na krązenie.

Zdumienie uniosło mu powieki. Sylas zobaczył pochylającą się nad nim sylwetkę o rozmytych kształtach, sylwetkę mężczyzny, który podawał mu kieliszek jakiegoś płynu. Zwitek poszarpanej taśmy leżał na podłodze obok noża, na którym nie było śladów krwi.

– Wypij to – powtórzył. – Ten ból to krew, która dotarła do twoich mięśni.

Sylas poczuł, że ogniste pulsowanie teraz przekształca się w kłujące igielki. Wódka miała okropny smak, ale wypił ją z wdzięcznością. Los przydzielił Syłasowi w uczciwej proporcji po równo i pecha, i szczęście, ale Pan Bóg rozwiązał wszystkie splątane nici jednym cudownym ruchem.

Pan mnie nie opuścił.

Sylas wiedział, jak by to nazwał biskup Aringarosa.

Boska interwencja.

– Chciałem cię wcześniej uwolnić – usprawiedliwiał się służący – ale nie dało rady. Do Château Villette przyjechała policja, a potem na lotnisku w Biggin Hill też się nie dało, dopiero teraz jest okazja. Rozumiesz to, prawda, Syłasie?

Sylas skulił się zdumiony.

– Wiesz, jak się nazywam?

Służący uśmiechnął się.

Sylas teraz usiadł, masując i rozcierając zeszywniałe mięśnie, a fala emocji, która się przez niego przelewała, była mieszaniną niewiary, wdzięczności i dezorientacji.

– Czy ty jesteś... Nauczycielem?

Rémy potrząsnął głową, śmiejąc się z tego przypuszczenia.

– Chciałbym mieć taką władzę. Nie, nie jestem Nauczycielem. Podobnie jak ty tylko mu służę. Ale Nauczyciel bardzo dobrze się o tobie wyraża. Nazywam się Rémy.

Sylas nie mógł wyjść ze zdumienia.

– Nie rozumiem. Jeżeli pracujesz dla Nauczyciela, to dlaczego Langdon przyniósł klucz sklepienia do twojego domu?

– Nie do mojego domu. Do domu znakomitego historyka Graala, sir Leigha Teabinga.

– Ale ty tam mieszkasz. Dlaczego...

Rémy uśmiechnął się i widać było, że nie ma żadnych trudności ze zrozumieniem pozornego zbiegu okoliczności.

– To wszystko było całkowicie przewidywalne. Robert Langdon był w posiadaniu klucza sklepienia i potrzebował pomocy. Czy mógłby znaleźć odpowiedniejsze miejsce schronienia niż dom Leigha Teabinga? A ja tam mieszkam, ponieważ Nauczyciel się do mnie zwrócił. – Przerwał. – Jak sądzisz, skąd Nauczyciel wie tyle o Graalu?

Sylas doznał olśnienia. Nauczyciel zaprzął do pracy służącego, który miał dostęp do wszystkich wyników badań sir Leigha Teabinga. To był genialny ruch.

– Dużo ci jeszcze muszę opowiedzieć – oznajmił Rémy, podając Syłasowi naładowany pistolet marki Heckler Koch. Potem sięgnął przez otwartą szybę oddzielającą kabinę kierowcy od reszty samochodu i ze schowka na dokumenty wyciągnął mały, mieszczący się w dłoni rewolwer. – Ale najpierw obaj mamy tu coś do zrobienia.

Kapitan Fache zszedł po schodkach samolotu transportowego na płytę lotniska Biggin Hill i teraz słuchał z niedowierzaniem tego, co ma do powiedzenia nadkomisarz policji hrabstwa Kent – opowieści o tym, co wydarzyło się w hangarze Teabinga.

– Osobiście przeszukałem samolot – upierał się nadkomisarz – i nie było nikogo w środku. – Ton jego głosu zdradzał zdenerwowanie. – I muszę dodać, że jeżeli sir Leigh Teabing wystąpi przeciw mnie z jakimś oskarżeniem, to...

– Czy przesłuchał pan pilota?

– Oczywiście, że nie. Jest Francuzem, a nasza jurysdykcja wymaga...

– Niech pan mnie zaprowadzi do samolotu.

Zjawiwszy się w hangarze, Fache w minutę znalazł dziwny ślad krwi na podłodze, gdzie stała zaparkowana limuzyna. Podeszedł do samolotu i zastukał głośno w stal kabiny.

– Jestem kapitan Fache z francuskiego Centralnego Biura Śledczego. Otwierać drzwi!

Przerażony pilot otworzył wąż i opuścił schody. Fache wszedł na górę. Trzy minuty później, z niewielką pomocą pistoletu służbowego, miał już pełne zeznanie, w tym opis zakneblowanego mnicha albinosa. Oprócz tego dowiedział się, że pilot widział, jak Langdon i Sophie zostawiają coś w sejfie Teabinga, jakieś drewniane pudełko. Chociaż pilot utrzymywał, że nie wie, co było w pudełku, przyznał, że było ono głównym obiektem zainteresowania Langdona podczas całego lotu do Londynu.

– Otwieraj sejf – zażądał Fache.

– Nie znam kombinacji cyfr – bronił się przerażony pilot.

– To niedobrze. Miałem zamiar zostawić panu licencję pilota.

Pilot załamał rękę.

– Znam tu kilku ludzi z obsługi lotniska. Może mogliby przewiercić drzwiczki?

– Ma pan pół godziny.

Pilot skoczył do swojego nadajnika radiowego.

Fache przeszedł na tył samolotu i nalał sobie mocnego drinka. Było wcześniej, ale przecież wcale nie spał, więc to nie było picie przed południem. Usiadł w pluszowym wyściełanym fotelu, zamknął oczy i starał się poukładać wszystko, co się wydarzyło, i jakoś to zrozumieć. Angielska policja dała plamę i to mnie może trochę kosztować. Wszyscy teraz szukali czarnej limuzyny marki Jaguar.

Zadzwoił telefon Fache'a, a on chciał mieć chwilę spokoju.

– Allo?

– Jestem w drodze do Londynu. – To był głos biskupa Aringarosy. – Będę za godzinę.

– Sądziłem, że jedzie ksiądz do Paryża. – Fache wyprostował się w fotelu.

– Jestem bardzo zaniepokojony. Zmieniłem plany.

– Nie należało.

– Udało się znaleźć Sylasa?

– Nie. Ci, którzy go ujeli, wymknęli się miejscowej policji, zanim wylądowałem.

W słowach Aringarosy słychać było gniew.

– Zapewniał mnie pan, że uda się zatrzymać samolot!

Fache ściszył głos.

– Księżo biskupie, zważywszy na sytuację, w jakiej ksiądz się znalazł, prosiłbym, aby ksiądz nie nadużywał dzisiaj mojej cierpliwości. Znajdę Sylasa i pozostałych tak szybko, jak się tylko da. Gdzie ksiądz ląduje?

– Chwileczkę. – Aringarosa zakrył mikrofon słuchawki i za chwilę znów dało się słyszeć jego głos. – Pilot próbuje dostać pozwolenie na lądowanie na lotnisku Heathrow. Jestem jedynym pasażerem, ale zmiana kursu była nieplanowana.

– Niech przyleci na lotnisko czarterowe Biggin Hill w hrabstwie Kent. Załatwię mu zezwolenie na lądowanie. Jeżeli mnie nie będzie, kiedy wyląduje, na księdza będzie czekał samochód.

– Dziękuję.

– Ale jak powiedziałem, księżo biskupie, proszę sobie zapamiętać, że nie jest ksiądz jedyny, któremu grozi utrata wszystkiego, co ma.



*Brzemienka ma być kula, Róży krzew.*

Każdy z wyrzeźbionych w kamieniu rycerzy w murach kościoła Temple leżał na plecach z głową opartą o prostokątną kamienną poduszkę. Sophie poczuła dreszcz. Słowa wiersza mówiące o kuli wywoływały obrazy tamtej nocy w podziemiu domu dziadka. *Hieros gamos*. Kule.

Sophie zastanawiała się, czy ten sam rytuał odbywał się w sanktuarium Temple. Okrągłe wnętrze kościoła wyglądało jakby specjalnie do tego stworzone. Kamienna ława, otaczająca pustą przestrzeń. Teatr w planie okręgu, jak go nazwał Robert. Wyobraziła sobie tę komnatę nocą, wypełnioną postaciami w maskach – śpiewają przy blasku łuczyw i przyglądają się „sakralnemu aktowi zjednoczenia duchowego”.

Wypchnąwszy tę wizję z wyobraźni, szła za Langdonem i Teabingiem w kierunku pierwszej grupy rycerzy. Mimo że Teabing nalegał, by badanie prowadzić powoli i drobiazgowo, Sophie poczuła w sobie nowy zapał i wysunęła się kilka kroków przed nich, a potem przeszła wokół pięciu rycerzy po lewej. Przyglądając się dokładnie pierwszym grobom, Sophie zauważyła podobieństwa i różnice między nimi. Wszyscy rycerze leżeli na plecach, ale trzech miało nogi wyciągnięte, a dwóch pozostałych skrzyżowane. Ten dziwny szczegół, jak się wydawało, nie miał żadnego związku z kulą. Przyglądając się ich ubraniom, Sophie zauważyła, że dwóch rycerzy miało na zbrojach tuniki, podczas gdy pozostali trzej mieli szaty sięgające do kostek. Z tego też nic nie wynikało. Sophie zwróciła uwagę na jedyną naprawdę istotną różnicę – układ rąk. Dwaj rycerze trzymali kurczowo miecze, dwóch się modliło, a jeden miał ręce wyciągnięte wzdłuż ciała. Sophie przyglądała się przez dłuższą chwilę ich dłoniom, potem wzruszyła ramionami, nie zauważając nigdzie żadnej aluzji do kuli.

Czując ciężar krypteksu w kieszeni swetra, spojrzała przez ramię w tył na Langdona i Teabinga. Obaj szli wolno, byli dopiero przy trzecim rycerzu, a ich miny mówiły, że też im się nie najlepiej wiedzie. Nie miała nastroju na czekanie, więc odwróciła się i podeszła do drugiej grupy rycerzy. Przechodząc przez otwartą przestrzeń kościoła, recytowała szeptem wiersz. Czytała go już tyle razy, że umiała cały na pamięć.

*W Londynie leży rycerz, dzielny chwyt,  
A Papię go pogrzebał, w ziemię kładł,  
Owoce jego pracy Święty gniew,  
Brzemienka ma być kula, Róży krzew.*

Druga grupa rycerzy okazała się podobna do pierwszej. Wszyscy leżeli w różnych pozycjach, w zbrojach, z mieczami u boku.

To znaczy wszyscy oprócz dziesiątego.

Podeszła pospiesznie i spojrzała w dół.

Nie ma poduszki. Nie ma zbroi. Nie ma tuniki. Nie ma miecza.

– Robert? Leigh?! – Krzyknęła, a jej głos obiegł echem wokół komnaty. – Tutaj czegoś brakuje.

Obaj podnieśli głowy i natychmiast ruszyli w jej kierunku.

– Kuli?! – zawołał podekscytowany Teabing. Jego kule stukały szybkim staccato po kamieniach, kiedy pospiesznie szedł przez kościół. –

Brakuje tam jakiejś kuli?

– Nie – powiedziała Sophie, marszcząc brwi nad dziesiątym grobem. – Chyba brakuje rycerza.

Jej współtowarzysze zjawili się i spojrzeli zdezorientowani na dziesiąty grób. Nie było tam rycerza leżącego jak inni w pustej przestrzeni, ten grób był zamkniętym kamiennym pudłem. Pudło miało kształt trapezu, węższego u podstawy, rozszerzającego się ku górze, z wiekiem w formie daszka.

– Czemu nie ma tu postaci rycerza? – spytał Langdon.

– Fascynujące – powiedział Teabing, gładząc się po policzku. – Zapomniałem o tym dziwnym szczególe. Nie byłem tu od lat.

– Ta trumna – powiedziała Sophie – wygląda, jakby ją wyrzeźbiono w tym samym czasie i tą samą ręką, co pozostałe dziewięć grobów.

Więc dlaczego ten rycerz jest wewnątrz trumny?

Teabing potrząsnął głową.

– To jedna z tajemnic tego kościoła. O ile pamiętam, nikt nigdy nie znalazł wyjaśnienia tego faktu.

– Przepraszam? – powiedział kościelny, zjawiając się tuż przy nich zaniepokojony. – Proszę mi wybaczyć, jeżeli to, co powiem, będzie niegrzeczne, ale powiedzieliście mi państwo, że chcecie rozrzucić prochy, a widzę, że zwiedzacie.

Teabing skrzywił się, patrząc na młodego mężczyznę, i zwrócił do Langdona.

– Panie Wren, widać z tego, że działalność filantropijna pana rodziny nie daje panu prawa do dłuższego przebywania w kościele, może wyjmijmy więc prochy i zróbmy, co do nas należy. – Teabing zwrócił się do Sophie. – Pani Wren?

Sophie weszła w rolę i wyciągnęła z kieszeni krypteksu owinięty w pergamin.

– A więc – zwrócił się Teabing do kościelnego tonem wyższości – mógłby nas pan na chwilę zostawić samych?

Młody człowiek nie ruszał się z miejsca. Przyglądał się teraz uważnie Langdonowi.

– Ja pana skądś znam.

– Może stąd, że pan Wren przyjeżdża tutaj co roku! – fuknął na niego Teabing.

Albo może stąd – pomyślała wystraszona Sophie, że widział Langdona w telewizji w zeszłym roku po aferze w Watykanie.

– Nigdy nie miałem możliwości poznać pana Wrena – stwierdził kościelny.

– Myli się pan – powiedział Langdon uprzejmie. – Sądzę, że spotkaliśmy się w przelocie w zeszłym roku. Wprawdzie ksiądz Knowles nie przedstawił nas oficjalnie, ale pana twarz wydaje mi się znajoma. Rozumiem, że było to w pewnym sensie wtargnięcie, ale jeżeli mógłby mi pan dać kilka minut, byłbym wdzięczny, bo pokonałem dość sporą odległość, żeby rozsytać prochy między tymi grobami. – Langdon wypowiedział swoją kwestię równie wiarygodnie jak przed chwilą Teabing.

Na twarzy kościelnego pojawił się jeszcze głębszy wyraz sceptycyzmu.

– To nie są groby.

– Przepraszam, nie rozumiem? – powiedział Langdon.

– Oczywiście, że to są groby – powiedział zdecydowanie Teabing. – O czym pan mówi?

Kościelny potrząsnął głową.

– W grobach znajdują się ciała. A to są tylko wyobrażenia postaci. Kamienne rzeźby, które wyobrażają prawdziwych ludzi. Pod tymi figurami nie ma żadnych ciał.

– To przecież jest krypta! – upierał się Teabing.

– Tylko w nieaktualnych książkach historycznych. Kiedyś sądzono, że to krypta, ale podczas renowacji w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku to się nie potwierdziło. – Znów zwrócił się do Langdona. – I sądzę, że państwo Wren by o tym wiedzieli. Szczególnie, że to właśnie ich rodzina odkryła ten fakt.

Zapadła pełna konsternacji cisza.

Przerwało ją trzaśnięcie drzwiami w dobudówce kościoła.  
– To musi być ksiądz Knowles – powiedział Teabing. – Może by pan poszedł sprawdzić?  
Kościelny miał wciąż wyraz niedowierzania w oczach, ale ruszył sztywnymi krokami ku dobudówce, pozostawiając na środku okrągłej nawy Langdona, Sophie i Teabinga, którzy patrzyli teraz na siebie ponuro.  
– Leigh – szepnął Langdon. – Nie ma ciała? O czym on mówi?  
Teabing był nie mniej poruszony.  
– Nie wiem. Zawsze sądziłem... Na pewno, to przecież musi być to miejsce. Chłopak chyba nie wie, co mówi. To nie ma sensu!  
– Mogę jeszcze raz spojrzeć na wiersz? – zwrócił się Langdon do Sophie.  
Sophie wyciągnęła krypteks z kieszeni i podała mu go ostrożnie.  
Langdon odwinął pergamin i trzymając krypteks, po raz kolejny czytał wiersz.  
– Tak, tu mamy bezspornie odniesienie do grobu. Nie do pomnika czy wyobrażenia.  
– Czy w wierszu mógłby być błąd? – rozważał Teabing. – Czy Jacques Saunière mógł popełnić ten sam błąd, który mnie się przytrafił?  
Langdon pomyślał przez chwilę i potrząsnął przecząco głową.  
– Nie, Leigh, przecież sam powiedziałeś. Ten kościół zbudowali templariusze, ramię zbrojne zakonu. Coś mi mówi, że wielki mistrz zakonu wiedziałby, gdyby tutaj byli pochowani rycerze.  
– Ale to idealne miejsce – próbował jeszcze bronić się oszołomiony Teabing. Znowu podszedł do rycerzy. – Może coś przeoczyliśmy.

Kiedy młody człowiek wszedł do dobudówki kościoła, rozejrzał się zdziwiony, bo nikogo tam nie było.  
– Proszę księdza? – Przecież słyszałem trzaśnięcie drzwiami, pomyślał, idąc naprzód, aż do wejścia do kościoła.  
Obok wejścia stał szczupły mężczyzna w smokingu, drapiąc się po głowie – wyglądał na zagubionego. Kościelny sapnął poirytowany i przypomniał sobie, że przecież nie zamknął drzwi za tą trójką. Teraz jakiś kretyn wszedł tu z ulicy, sądząc po jego stroju, pewnie zgubił się, szukając jakiegoś ślubu.  
– Bardzo przepraszam! – zawołał kościelny, przechodząc koło dużego filara. – Jeszcze zamknięte.  
Tuż za sobą usłyszał szelest jakiejś tkaniny i zanim zdążył się odwrócić, ktoś mu nagle wygiął głowę do tyłu, a silna dłoń zatkała usta i zdławiła okrzyk. Dłoń na twarzy kościelnego była biała jak śnieg. Poczł alkohol.  
Elegancki mężczyzna w smokingu spokojnie wyciągnął bardzo mały rewolwer, który po chwili wymierzył wprost w czoło kościelnego.  
Młody człowiek poczuł gorąco w kroczu i zdał sobie sprawę, że jego pęcherz nie wytrzymał napięcia.  
– Posłuchaj uważnie, chłopcze – szepnął mężczyzna w smokingu. – Wyjdiesz z kościoła po cichu i ruszysz biegiem przed siebie. Nie będziesz się zatrzymywał. Czy to jasne?  
Kościelny kiwnął głową na tyle, na ile pozwalała mu dłoń kneblująca usta.  
– Jeżeli zadzwonisz na policję... – Człowiek w eleganckim garniturze przycisnął lufę do jego skroni. – Znajdę cię.  
Chłopak pamiętał potem tylko tyle, że pędził co sił w nogach przez podwórko, a potem dalej i dalej przed siebie i nie miał zamiaru się zatrzymywać, dopóki mu starczy sił.

Cicho jak duch Sylas przesunął się za upatrzonego cel. Sophie Neveu wyczuła jego obecność zbyt późno. Zanim się zdołała odwrócić, Sylas przycisnął jej lufę pistoletu do kręgosłupa, objął potężnym ramieniem od tyłu na wysokości klatki piersiowej i przyciągnął, a potem przycisnął do swojego masywnego ciała. Krzyknęła zdumiona. Teabing i Langdon teraz się odwrócili, zaskoczeni i przerażeni.

– Co...? – wyduł z siebie Teabing. – Co zrobiłeś Rémy'emu?

– Powinieneś się tylko martwić o to – powiedział Sylas spokojnie – żebym wyszedł stąd z kluczem sklepienia. – Jego misja ratunkowa, tak jak to powiedział Rémy, była jasna i prosta: wejść do kościoła, weź klucz sklepienia i wyjdź; żadnego zabijania, żadnej walki.

Trzymając Sophie w żelaznym uścisku, Sylas przesunął dłoń niżej, w kierunku jej pasa, i buszował w kieszeniach jej swetra. Przez wyziewy alkoholu, który parował z każdym jego oddechem, czuł miękkiego zapach jej włosów.

– Gdzie to jest? – spytał.

Klucz sklepienia, miała go w kieszeni swetra. Gdzie jest teraz?

– Tutaj – głęboki głos Langdona dobiegł z drugiej części komnaty.

Sylas odwrócił się i zobaczył, że Langdon trzyma w ręce przed sobą czarny krypteks, porusza nim do przodu i do tyłu jak matador przed tępo patrzącym bykiem.

– Połóż go na ziemi – zażądał Sylas.

– Pozwól, żeby Sophie i Leigh wyszli z kościoła – odparł Langdon. – Załatwimy to między sobą.

Sylas odepchnął od siebie Sophie i wycelował broń w Langdona, idąc w jego kierunku krok za krokiem.

– Ani kroku dalej – powiedział Langdon. – Dopóki nie wyjdą.

– W swojej sytuacji nie możesz mi wydawać rozkazów.

– Mogę. – Langdon podniósł krypteks wysoko nad głowę. – Nie zawaham się rzucić tym o podłogę i zbić fiolkę, która jest w środku.

Chociaż Sylas zrobił taką minę, jakby ta groźba go rozśmieszała, odczuł wewnętrzny strach. Tego się nie spodziewał. Wymierzył broń w głowę Langdona i mówił głosem niewzruszonym jak ręka trzymająca pistolet.

– Nigdy nie rozbijesz klucza sklepienia. Pragniesz odnaleźć Graala tak samo jak ja.

– Mylisz się. Ty pragniesz tego bardziej. Udowodniłeś, że potrafisz z tego powodu zabić.

Kilkanaście metrów dalej, wyglądając zza ławek w dobudówce tuż za łukowatym wejściem do kościoła, Rémy Legaludec czuł coraz większy niepokój. Manewr się nie udał, nawet stąd widział, że Sylas jest niepewny, jak sobie poradzić z tą sytuacją. Na wyraźny rozkaz Nauczyciela Rémy zabronił Sylasowi strzelać.

– Wypuść ich – jeszcze raz zażądał Langdon, trzymając krypteks wysoko nad głowę i patrząc prosto w lufę pistoletu Sylasa.

W czerwonych oczach mnicha był gniew i frustracja. Rémy aż zamarł ze strachu, że Sylas mógłby strzelić do Langdona, trzymającego w rękach krypteks. Krypteks nie może upaść!

Krypteks był biletem Rémy'ego do wolności i dobrobytu. Nieco ponad rok temu Rémy Legaludec był tylko pięćdziesięcioletnim służącym mieszkającym w murach Château Villette, spełniającym życzenia i zachcianki wybrednego inwalidy, sir Leigha Teabinga. Potem otrzymał niezwykłą propozycję. Stałe towarzyszenie sir Leighowi Teabingowi – najznamieniszemu historykowi Świętego Graala na świecie – miało dać Rémy'emu wszystko, o czymkolwiek w życiu marzył. Od tamtej pory każda chwila spędzona w Château Villette zbliżała go do celu.

Jestem już tak blisko, mówił sobie Rémy, rozglądając się po wnętrzu kościoła Temple i patrząc na klucz sklepienia w ręce Roberta Langdona. Jeżeli Langdon go upuści, będzie po wszystkim.

Czy mam się im pokazać?

To znów było coś, czego Nauczyciel wyraźnie mu zabronił. Rémy był jedyną osobą, która знаła jego tożsamość.

– Jest pan pewien, że to właśnie Sylas ma wykonać to zadanie? – pytał Rémy Nauczyciela pół godziny wcześniej, kiedy otrzymał rozkaz wykradzenia klucza. – Sam to potrafię zrobić.

Nauczyciel był nieugięty.

– Sylas oddał nam wielką przysługę, załatwiając sprawę z czterema członkami zakonu. On odzyska klucz. Ty musisz pozostać anonimowy. Jeżeli cię zobaczą, to trzeba będzie ich wyeliminować, a dość już było zabijania. Nie pokazuj twarzy.

Moja twarz się zmieni – pomyślał Rémy. Z tymi pieniędzmi, które mi obiecałeś, będę zupełnie innym człowiekiem. Chirurgia plastyczna mogłaby nawet zmienić jego odciski palców, tak mówił Nauczyciel. Rémy Legaludec niedługo będzie wolny – będzie jeszcze jedną nierozpoznawalną piękną twarzą wystawiającą się do słońca gdzieś na tropikalnej plaży.

– Zrozumiałem – powiedział Rémy. – Będę przy Sylasie, ale nie wyjdę z cienia.

– Dla twojej wiadomości, Rémy – powiedział mu Nauczyciel – poszukiwany grób nie znajduje się w kościele Temple. Nie miej więc obaw. Oni patrzą w złą stronę.

– Pan wie, gdzie jest ten grób? – Rémy był zaskoczony.

– Oczywiście. Powiem ci później. Na razie musisz działać szybko i zdecydowanie. Jeżeli oni się zorientują, gdzie naprawdę znajduje się grób, i wyjdą z kościoła, zanim zdołasz odebrać im krypteks, stracimy Graala na zawsze.

Rémy'ego Graal obchodził mniej niż zeszłoroczny śnieg, ale Nauczyciel powiedział, że nie zapłaci, dopóki go nie znajdzie. Rémy czuł zawroty głowy za każdym razem, kiedy myślał o kwocie, która niedługo będzie jego. Jedna trzecia z dwudziestu milionów euro. Aż nadto, żeby zniknąć na zawsze. Rémy widział oczami wyobraźni miasteczka nadmorskie i plaże na Lazurowym Wybrzeżu, gdzie chciał dożywać swoich dni, wystawiając się na promienie słońca i pozwalając dla odmiany innym się obsługiwać.

Teraz jednak tutaj, w kościele Temple, kiedy Langdon groził, że rozbije klucz sklepienia, przyszłość Rémy'ego była pod znakiem zapytania. Niezdolny znieść myśli, że jest tak blisko i może wszystko utracić, podjął decyzję i postanowił wkroczyć do akcji. Zgrabny rewolwer, który trzymał w dłoni, to wprawdzie tylko małokalibrowa meduza typu J, ale z bliskiej odległości i ona zabijała.

Rémy wyszedł z półcienia i pomaszerował do kolistej nawy, a potem wymierzył broń wprost w głowę Teabinga.

– Długo na to czekałem, stary.

Serce sir Leigha Teabinga na chwilę przystanęło, kiedy zobaczył, że Rémy mierzy do niego z pistoletu. Co on robi! Teabing rozpoznał maleńką meduzę, którą trzymał dla bezpieczeństwa w limuzynie w schowku na dokumenty.

– Rémy? – Teabing nie mógł wyduśić z siebie słowa. – Co się dzieje?

Langdon i Sophie wyglądali na równie zaskoczonych. Rémy okrążył Teabinga i dźgnął go lufą pistoletu w plecy po lewej stronie, tuż za sercem.

Teabing poczuł, że mięśnie mu tężeją ze strachu.

– Rémy, ja nie...

– Powiem jasno – przerwał mu Rémy, patrząc na Langdona ponad ramieniem Teabinga. – Postaw to na podłodze albo pociągnę za spust. Langdon przez chwilę wyglądał jak sparaliżowany.

– Klucz sklepienia jest dla ciebie bez wartości – powiedział, jękając się. – Przecież nawet nie potrafisz go otworzyć.

– Aroganccy głupcy – zakpił Rémy. – Nie zauważyliście, że cały wieczór słuchałem, jak rozmawialiście o tych wierszach? Podzieliłem się z kimś wszystkim, co usłyszałem. Z kimś, kto wie więcej niż wy. Idioci, szukacie w złym miejscu. Grób jest zupełnie gdzie indziej!

Teabing poczuł falę paniki. Co on mówi?!

– Dlaczego tak bardzo chcesz Graala? – spytał Langdon. – Żeby go zniszczyć? Przed końcem dni?

Rémy krzyknął do mnicha.

– Syłas, weź klucz sklepienia od pana Langdona!

Kiedy mnich się do niego zbliżał, Langdon zrobił krok w tył i podniósł to, co miał w dłoni, wysoko, gotów roztrzaskać kamienny cylinder o ziemię.

– Wolę go rozbić – powiedział Langdon – niż oddać w złe ręce.

Teabing poczuł teraz, że przepływa przez niego fala potwornego strachu. Widział, że na jego oczach wysiłek całego życia idzie na marne. Wszystko, o czym marzył, miało się rozpaść w drobny mak.

– Robercie, nie! – krzyknął Teabing. – Nie rób tego! Trzymasz w ręku Graala! Rémy nigdy by mnie nie zastrzelił. Znamy się już od dziesięciu...

Rémy wymierzył w sufit i oddał strzał z meduzy. Huk był ogromny jak na broń tak małego kalibru, a wystrzał jak grzmot odbił się echem od kamiennych ścian.

Wszyscy zamarli.

– To nie jest zabawa – powiedział Rémy. – Następna kula utkwi w jego plecach. Oddaj to Syłasowi.

Langdon niechętnie wyciągnął przed siebie krypteks. Syłas zrobił krok i odebrał marmurowy cylinder, a w jego czerwonych oczach zaśniła radość, że teraz on jest górą. Wsunął krypteks do kieszeni habitu, odszedł kilka kroków, ciągle trzymając Langdona i Sophie na muszce.

Teabing poczuł, że ręka Rémy'ego zaciska się mocno na jego szyi, a potem służący zaczął się wycofywać z budynku, ciągnąc Teabinga ze sobą, z bronią wciąż przy jego plecach.

– Puść go – zażądał Langdon.

– Zabieramy pana Teabinga na przejazdkę – powiedział Rémy, nadal się wycofując. – Jeżeli zadzwonicie na policję, zrobię mu dziurę w głowie. Jeżeli zrobicie coś, żeby nam zmylić szyki, ja go bez namysłu rozwalę. Czy to jasne?

– Zabierzcie mnie – zażądał Langdon łamiącym się głosem. – Wypuście Leigha.

Rémy zaśmiał się w głos.

– Chyba nie. Wiele razem przeszliśmy. Poza tym może się jeszcze przydać.

Syłas teraz się wycofywał, trzymając na muszce Langdona i Sophie, podczas gdy Rémy włókł Teabinga w kierunku wyjścia, a jego kule ciągnęły się za nim po kamiennej podłodze.

– Dla kogo pracujesz? – rzuciła Sophie mocnym głosem.

– Zdziwiłaby się pani, *mademoiselle* Neveu – odparł Rémy z chytrym uśmieszkiem na twarzy, zbliżając się już do wyjścia.

Kominek w gabinecie właściciela Château Villette już wygasł, lecz Collet chodził tam i z powrotem przed zimnym paleniskiem, czytając fakсы, które przyszły z Interpolu.

Zupełnie nie to, czego się spodziewał.

André Vernet według służbowej kartoteki był modelowym obywatelem. Nie był notowany przez policję – nie zapłacił ani jednego mandatu za złe parkowanie. Wykształcony w prywatnym liceum, a potem na Sorbonie, z wyróżnieniem obronił dyplom z finansów międzynarodowych. Interpol donosił, że nazwisko Verneta pojawiało się od czasu do czasu w gazetach, ale zawsze w pozytywnym świetle. Okazuje się, że interesował się projektowaniem parametrów bezpieczeństwa, dzięki czemu Bank Depozytowy Zurychu stał się liderem w ultranowoczesnym świecie zabezpieczeń elektronicznych. Zapisy z jego kart kredytowych wskazywały na upodobanie do albumów malarstwa, drogiego wina i muzyki klasycznej, głównie Brahmsa, którego słuchał z najnowocześniejszego odtwarzacza stereo nabytego kilka lat temu.

Zero – westchnął Collet.

Jedynе światelko ostrzegawcze to przesłana przez Interpol dokumentacja z odciskami palców służącego Teabinga. Szef ekipy PTS przeglądał raport z Interpolu, siedząc wygodnie w fotelu po drugiej stronie pomieszczenia.

Collet spojrział na niego.

– Jest coś?

Agent wzruszył ramionami.

– Odciski należą do Rémy'ego Legaludeca. Poszukiwanego za drobne przestępstwa. Wygląda na to, że wylali go z uniwersytetu za podłączanie się do sieci telefonicznej – chciał rozmawiać za friko... Potem były jakieś drobne kradzieże. Włamania na posesje. Nie zapłacił rachunku za zabieg tracheotomii. – Agent podniósł oczy i zachichotał. – Alergia na orzeszki ziemne.

Collet skinął głową, przypominając sobie śledztwo prowadzone w restauracji, której właściciel zapomniał odnotować na karcie dań, że meksykańskie chili zawiera olej z orzeszków ziemnych. Niczego niepodejrzewający klient zadusił się na skutek obrzęku krtani przy stole po pierwszym kęsie tego dania.

– Legaludec prawdopodobnie zamieszkał tu na stałe, aby go nikt nie zgarnął. – Policjant miał rozbawioną minę. – To jego szczęśliwy wieczór.

Collet westchnął.

– Dobrze, najlepiej będzie, jak przekażesz te informacje kapitanowi Fache'owi.

Agent wyszedł, a do gabinetu wpadł jak bomba inny technik z ekipy PTS.

– Panie poruczniku! Znaleźliśmy coś w stajniach.

– Jakież ciało? – podsunęło Colletowi rozgorączkowane spojrzenie agenta.

– Nie, panie poruczniku. Coś bardziej... – zawahał się – nieoczekiwanego.

Collet przetarł zmęczone oczy i poszedł za agentem do stajni. Kiedy weszli do olbrzymiego budynku, w którym czuć było wilgocią i grzybem, agent pokazał dłonią na sam środek pomieszczenia, gdzie teraz stała drewniana drabina, wznosząca się w górę ku krokwiom, oparta o belkę wjazdu do składziku na siano wysoko nad ich głowami.

– Tej drabiny tu wcześniej nie było – powiedział Collet.

– Nie, panie poruczniku. Ja ją tutaj postawiłem. Szukaliśmy śladów i odcisków palców przy rolls-roysie, kiedy zobaczyłem tę drabinę na podłodze. Nie zwróciłbym na nią uwagi, gdyby nie to, że szczeble są wyrobione i zablocone. Po tej drabinie ktoś musiał często wchodzić na górę. Wydało mi się, że jej wysokość odpowiada wysokością stryżku na siano, więc ją podniosłem i wszedłem na górę, żeby się rozejrzeć.

Collet powiódł wzrokiem w górę po szczeblach drabiny. Ktoś miałby tam regularnie wchodzić? Stąd strych na siano wyglądał na zupełnie pusty, a jednak okazało się, że to, co tam było, z dołu było zupełnie niewidoczne.

Na szczycie drabiny pojawił się teraz inny, starszy stopniem technik z ekipy technicznej i spojrział w dół.

– Na pewno będzie pan to chciał zobaczyć, panie poruczniku – powiedział, przywołując Colleta dłonią w gumowej rękawiczce.

Znużony Collet kiwnął głową, podszedł do starej drabiny i chwycił dłońmi najniższy szczebel. Drabina była stara, zwięzająca się ku górze. Kiedy Collet był już blisko szczytu, niemal ześliznął się z najwyższego stopnia. Stajnia zawirowała pod nim jak w złym śnie. Teraz już rozbudzony i skoncentrowany, wspinał się dalej, a w końcu dotarł do samej góry. Stojący nad nim agent wyciągnął do niego rękę. Collet chwycił go za nadgarstek i stanął na drewnianej podłodze strychu.

– Tam – powiedział agent, wskazując na jakieś miejsce w głębi nienagannie wysprzątanego pomieszczenia. – Mamy tu odciski palców tylko jednej osoby. Niedługo będziemy wiedzieli czyje.

Collet, mrużąc oczy w półmroku, spojrział na odległą ścianę. Co, u diabła? O ścianę stał oparty wysokiej klasy terminal komputerowy – dwie wieże jednostek centralnych, monitor z płaskim ekranem i głośnikami, kilkanaście stacji twardych dysków i wielokanałowa konsola radiowa, która miała chyba własne, niezależne, filtrowane zasilanie.

Dłaczego, u licha, ktoś chciałby pracować tu na samej górze? Collet ruszył w kierunku elektroniki.

– Przyjrzelście się temu systemowi?

– To jest stacja podsłuchu.

– Ktoś tu prowadził nasłuch?

Agent skinął głową.

– Bardzo nowoczesna technologia. – Wskazał na długi stół roboczy zasłany częściami elektronicznymi, instrukcjami, narzędziami, kablami, lutownicami i innym sprzętem elektronicznym. – Ktoś tu na pewno wie, co robi. Sporo z tego sprzętu nie ustępuje naszemu. Miniaturowe mikrofony, fotoelektryczne, samoladujące się baterie, chipy RAM o dużej pojemności. Nawet kilka nowych dysków nano.

Collet był pod wrażeniem.

– To jest kompletny system – dopowiedział agent, wręczając Colletowi zestaw nie większy niż kieszonkowy kalkulator. Zwiślał z niego trzydziestocentymetrowy drucik z cienką jak pergamin metalową folią wielkości znaczka pocztowego na końcu. – Podstawą jest system nagrywania oparty na twardym dysku o wysokiej pojemności, z baterią, która ładuje się automatycznie. Kawałek folii na końcu drutu to kombinacja mikrofonu i samoladującej się komórki fotoelektrycznej.

Collet znał dobrze ten system. Te fotokomórkowe mikrofony wyglądające jak aluminiowa folia to był kilka lat temu przełom technologiczny. Teraz urządzenie zapisujące dźwięk na twardym dysku można zamocować na przykład za lampą, a mikrofon foliowy można wymodelować w jej kontur i pokryć odpowiednim kolorem, żeby się nie odróżniał od tła. Jeżeli mikrofon jest tak ustawiony, żeby łąpał chociaż kilka godzin światła słonecznego dziennie, komórki fotoelektryczne będą ładować cały system. Takie pluskwy mogą działać w nieskończoność.

– A sposób odbioru? – spytał Collet.

Agent wskazał na zaizolowany kabel elektryczny, który wychodził z tyłu komputera i biegł w górę po ścianie do otworu w dachu stodoły.

– Zwykle fale radiowe. I mała antena na dachu.

Collet wiedział, że takie systemy, umieszczane zazwyczaj w gabinetach, miały funkcję aktywacji głosowej po to, by oszczędzać miejsce na dysku. Zapisywały urywki rozmów w ciągu dnia, a potem przekazywały skompresowane pliki audio nocą, co było nie do wykrycia. Po transmisji twardy dysk sam wymazywał dane i był gotów do kolejnej operacji następnego dnia.

Collet skierował teraz wzrok na półkę. Zobaczył kilkaset kaset audio, ponumerowanych i opatrzonych datami. Ktoś tu nie próżnował. Zwrócił się znów do agenta.

– Wiecie może, kto był celem podsłuchu?

– Coś panu powiem, panie poruczniku – rzekł agent, podchodząc do komputera i włączając jakiś program. – Właśnie to jest najdziwniejsze...

Langdon był kompletnie wykończony, kiedy razem z Sophie przechodził przez bramkę w metrze na stacji Temple i zapuszczał się głęboko w gąszcz brudnych tuneli i peronów. Owładnęło nim poczucie winy.

Wciągnąłem w to Leigha – teraz jest w ogromnym niebezpieczeństwie.

Fakt, że Rémy też jest wmieszany, był dla niego wielkim szokiem, ale teraz wszystko układało się w jedną całość. Ten, kto podążał tropem Graala, posłużył się człowiekiem z wewnątrz. Znaleźli Teabinga z tego samego powodu co ja. Ludzie, którzy mieli wiedzę o Graalu, zawsze byli jak magnesy – przyciągali zarówno badaczy, jak i złodziei. To, że Teabing tak czy owak był na celowniku, powinno było złagodzić jego wyrzuty sumienia, ale Langdon nie ulegał takiej perswazji. Musimy odnaleźć Leigha i pomóc mu. Natychmiast.

Langdon szedł za Sophie na peron, z którego odchodziły pociągi metra linii District i Circle Line. Sophie pobiegła do telefonu, żeby zadzwonić na policję, mimo grózb i ostrzeżeń Rémy'ego, żeby tego nie robiła. Langdon siedział skruszony na obmalowanej sprayem ławce tuż obok.

– Najlepiej pomożemy Leighowi – mówiła Sophie, wykręcając numer – jeżeli natychmiast zgłosimy sprawę londyńskiej policji. Wierz mi.

Langdon początkowo nie akceptował tego pomysłu, ale w miarę jak wyłaniał się wspólny plan działania, logika argumentacji Sophie nabierała coraz większego sensu. Na razie Teabing był bezpieczny. Nawet jeżeli Rémy i pozostali wiedzą, gdzie znajduje się grób rycerza, będą chcieli zatrzymać Teabinga po to, aby odcyfrował wszystkie odniesienia do kuli. Langdona martwiło tylko to, co będzie, kiedy już znajdą Graala. Leigh stanie się dla nich ogromnym ciężarem.

Chcąc mieć jakąkolwiek szansę, by pomóc Leighowi czy też zobaczyć jeszcze klucz sklepienia, Langdon musiał pierwszy odnaleźć grób. Niestety, Rémy wyprzedza nas o kilka kroków.

Spowolnić jego ruchy – to było zadanie Sophie.

Znaleźć właściwy grobowiec – to zadanie przypadło Langdonowi.

Dzięki Sophie Rémy i Sylas będą teraz poszukiwani przez londyńską policję, będą się musieli ukrywać, albo jeżeli wszystko pójdzie po jej myśli, zostaną złapani. Plan Langdona był mniej pewny – pojechał metrem do King's College, słynącego z elektronicznej bazy danych w dziedzinie teologii. Nie ma lepszego narzędzia badawczego, usłyszał kiedyś Langdon. Natychmiastowa odpowiedź na każde pytanie z historii religii. Zastanawiał się, co w tej bazie danych znajdują na temat rycerza, którego „Papież... w ziemię kładł”.

Wstał i zaczął się przechadzać po peronie, modląc się w myślach, żeby pociąg się pospieszył.

Stojąca przy telefonie Sophie w końcu dodzwoniła się na policję londyńską.

– Komisariat policji w Snow Hill – powiedziała telefonistka. – Gdzie mam przełączyć rozmowę?

– Zgłaszam porwanie – Sophie wiedziała, że musi mówić zwięźle.

– Pani nazwisko?

Sophie na moment umilkła.

– Agentka Sophie Neveu z francuskiego Centralnego Biura Śledczego.

Wypowiedziane na głos funkcja i stopień służbowy Sophie odniosły właściwy skutek.

– Proszę bardzo. Zaraz przełączę panią do oficera śledczego.

Kiedy jej rozmowa była przełączana, Sophie zaczęła się zastanawiać, czy policja uwierzy w jej opis ludzi, którzy pojмали Teabinga. Męczyzna w smokingu. Czy można sobie wyobrazić kogoś, kogo łatwiej zidentyfikować? Nawet jeżeli Rémy się przebrał, był w towarzystwie mnicha albinosa. Trudno go nie rozpoznać. Ponadto mieli zakładnika i nie mogli poruszać się ani metrem, ani autobusami. Zastanawiała się, ile w Londynie jest limuzyn o wydłużonej linii marki Jaguar.

Łączenie do oficera śledczego trwało i trwało. Pospieszcie się! Słyszała, jak na linii coś stuka i buczy, jakby rozmowę gdzieś przekierowywano.

Minęło piętnaście sekund.

W końcu usłyszała w słuchawce męski głos.

– Agentka Neveu?

Sophie kompletnie zbита z pantałyku, natychmiast rozpoznała ten niechętny ton.

– Agentko Neveu – mówił Bezu Fache. – Gdzie pani, u diabła, jest?

Sophie zamurowało. Widać, że kapitan Fache poprosił policję londyńską, żeby dała mu znać, kiedy zadzwoni Sophie.

– Proszę posłuchać – Fache przeszedł teraz na francuski i mówił zwięźle. – Popeniłem straszny błąd. Robert Langdon jest niewinny.

Wycofano wszystkie zarzuty przeciwko niemu. Mimo to jednak oboje jesteście w niebezpieczeństwie. Musicie się zgłosić na policję.

Sophie nie miała pojęcia, jak się zachować. Fache nie był człowiekiem, który by kogokolwiek przeproszał.

– Nie powiedziała mi pani – mówił dalej Fache – że Jacques Saunière był pani dziadkiem. Chciałbym zapomnieć o pani niesubordynacji, którą kładę na karb stresu po jego śmierci. Teraz jednak pani i Langdon musicie poszukać schronienia w najbliższej komendzie policji londyńskiej.

Wie, że jestem w Londynie? Co jeszcze wie Fache? Sophie usłyszała coś, co zabrzmiało jak odgłos wiertła czy jakiejś maszyny gdzieś w tle. Usłyszała również dziwne stuknięcia na linii telefonicznej.

– Próbuje nas pan namierzyć, kapitanie?

Głos Fache'a był teraz zdecydowany.

– Musimy współpracować, agentko Neveu. Oboje mamy dużo do stracenia. Musimy powstrzymać dalsze straty. Wczoraj wieczór popełniłem błędy w ocenie i jeżeli moje błędy spowodują śmierć amerykańskiego naukowca i kryptologa DCPJ, moja kariera będzie skończona. Od kilku godzin staram się was uchronić od śmiertelnego niebezpieczeństwa.

Przez stację przesuwawa się teraz fala ciepłego powietrza, a gdzieś w tunelu słychać było coraz głośniejszy stukot nadjeżdżającego pociągu metra. Sophie miała szczery zamiar wejść do tego pociągu. Podobnie Langdon – zbierał się w sobie i szedł w jej kierunku.

– Człowiek, którego szukacie, to Rémy Legaludec – powiedziała Sophie. – To służący Teabinga. Właśnie porwał Teabinga w kościele Temple i...

– Agentko Neveu! – ryczał Fache po drugiej stronie słuchawki, kiedy pociąg metra z hukiem wjeżdżał na peron. – Tego nie możemy omawiać na otwartej linii. Pani i Langdon macie natychmiast zgłosić się na policję. Dla waszego własnego dobra! To jest rozkaz!

Sophie odwiesiła słuchawkę i pobiegła z Langdonem w kierunku otwartych drzwi wagonu.

Nieskazitelna kabina odrzutowca Teabinga była teraz zaśmiecona opiłkami metalu i śmierdziała mieszaniną sprężonego powietrza i propanu. Bezu Fache wszystkich odesłał i siedział samotnie z drinkiem w dłoni, trzymając przed sobą na kolanach ciężką drewnianą szkatułkę znaną w sejfie Teabinga.

Przesunął palcami po intarsjowanej róży i podniósł ozdobne wieczko. W środku znalazł kamienny cylinder, a na nim litery wyrzeźbione na dyskach. Pięć dysków ustawiono tak, by można było odczytać z nich słowo SOFIA.

Fache przez dłuższy czas przypatrywał się temu słowu, potem wyjął cylinder z miękkiego wnętrza szkatułki, podniósł je i badał dokładnie każdy cal. W końcu powoli pociągnął za jego nasadki i zdjął jedną. Cylinder był pusty.

Fache odłożył go do pudełka i patrzył nieobecny wzrokiem przez iluminator odrzutowca na hangar, myśląc raz jeszcze o krótkiej rozmowie z Sophie oraz o informacji, którą otrzymał od ekipy dochodzeniowej z Château Villette.

Z letargu obudził go dźwięk telefonu.

Dzwonił dyżurny DCPJ. Przepraszając, informował go, że prezes Banku Depozytowego Zurychu dzwonił kilkakrotnie, a choć za każdym razem mówiono mu, że kapitan pojechał do Londynu w ważnych sprawach, ten wciąż dzwonił i dzwonił. Fache tonem wymówki kazał dyżurnemu połączyć rozmowę.

– *Monsieur* Vernet – powiedział Fache, zanim bankier otworzył usta. – Proszę mi wybaczyć, że nie zadzwoniłem wcześniej. Byłem zajęty. Tak, jak obiecywałem, nazwa pańskiego banku nie pojawi się w mediach. Czy jest więc jeszcze coś, co pana niepokoi?

W głosie Verneta słychać było irytację, kiedy mówił Fache'owi, jak Langdon i Sophie wyciągnęli z jego banku drewniane pudełko, a potem przekonali Verneta, żeby pomógł im w ucieczce.

– Potem, kiedy usłyszałem w radio, że to przestępcy – mówił Vernet – zatrzymałem samochód i zażądałem od nich zwrotu pudełka, ale zaatakowali mnie i ukradli furgonetkę.

– Martwi się pan o to pudełko – powiedział Fache, patrząc kątem oka na intarsję róży na wieczku i raz jeszcze je otwierając, żeby spojrzeć na biały cylinder. – Czy może mi pan powiedzieć, co jest w tym pudełku?

– Jego zawartość jest bez znaczenia – odparł Vernet. – Martwię się jedynie o reputację naszego banku. Nigdy jeszcze nie mieliśmy żadnego włamania. Nigdy. Będziemy zrujnowani, jeżeli nie uda mi się odzyskać własności zdeponowanej tam przez mojego klienta.

– Powiedział pan, że agentka Neveu i Robert Langdon mieli hasło dostępu i klucz. Co pana skłania do tego, by podejrzewać, że ukradli to pudełko?

– Minionej nocy zamordowali przecież kogoś. I dziadka Sophie Neveu. Klucz i hasło dostępu na pewno uzyskali podstępem.

– Panie Vernet, moi ludzie pogrzebali trochę w pana przeszłości i w interesach. Jest pan bez wątplenia człowiekiem wielkiej kultury i wrażliwości. Rozumiem, że jest pan również człowiekiem honoru. Podobnie jak ja. A więc powiadam panu, że daję swoje słowo jako szef DCPJ, że pańskie pudełko, jak również reputacja pańskiego banku, są bezpieczne i w dobrych rękach.



## ROZDZIAŁ 90

Wysoko na poddaszu stajni, gdzie kiedyś składowano siano na potrzeby Château Villette, Collet patrzył bezgranicznie zdumiony na ekran komputera.

- Ten system podsłuchuje we wszystkich tych pomieszczeniach?
  - Tak – powiedział agent. – Wygląda na to, że dane zbierano tutaj ponad rok.
- Kiedy Collet czytał listę nazwisk, niemal odebrało mu mowę.

COLBERT SOSTAQUE – przewodniczący  
Conseil Constitutionnel  
JEAN CHAFFÉE – kustosz  
Musée du Jeu de Paume  
EDOUARD DESROCHERS – główny archiwista  
w Bibliotece im. Mitterranda  
JACQUES SAUNIÈRE – kustosz  
Muzeum Luwru  
MICHEL BRETON – szef DAS  
(francuskiego wywiadu wojskowego)

Agent wskazał na ekran.

- Nas najbardziej interesuje numer cztery.

Collet jak w transie kiwnął głową. Dla niego też to było oczywiste. Jacques'a Saunière'a ktoś podsłuchiwał. Przyjrzał się pozostałym nazwiskom na liście. Jak ktoś mógł podsłuchiwać osoby na takich stanowiskach?

- Przesłuchiwał pan jakieś taśmy z nagraniami?

– Kilka. Tu mamy najświeższą. – Agent wystukał coś na klawiaturze komputera. Głośniki z trzaskiem obudziły się do życia. – *Capitaine, un agent du Département de Cryptographie est arrivé.*

Collet nie mógł uwierzyć własnym uszom.

- To ja! To mój głos! – Przypomniał sobie, że siedział przy biurku Saunière'a i zawiadamiał Fache'a przez radio, że przysła Sophie Neveu.

Agent kiwnął głową.

- Sporo z naszego dzisiejszego dochodzenia w Luwrze dałoby się usłyszeć na tych taśmach, gdyby ktoś chciał w tym pogrzebać.

- Posłaliście kogoś, żeby sprawdził, gdzie jest pluskwa?

– Nie ma potrzeby. Wiem doskonale, gdzie jest. – Agent podszedł do stosu starych notatek i planów technicznych leżących na stole roboczym. Wybrał jakąś kartkę i podał ją Colletowi. – Poznaje pan?

Collet był zdumiony. Trzymał w ręku kserokopię starego schematu technicznego opisującego jakąś maszynę. Nie potrafił odczytać ręcznie wpisanym włoskim opisów, ale wiedział, co ma przed oczyma. Model w pełni ruchomego średniowiecznego rycerza francuskiego.

Rycerza, który stoi na biurku Saunière'a!

Wzrok Colleta powędrował na marginesy, gdzie ktoś nabazgrał na kserokopii notatki czerwonym markerem. Notatki były po francusku i wyglądało, że jest to pomysł, jak najlepiej umieścić urządzenie podsłuchowe wewnątrz rycerza.

## ROZDZIAŁ 91

Sylas siedział na fotelu pasażera w zaparkowanej limuzynie marki Jaguar niedaleko kościoła Temple. Czuł, że pocą mu się ręce, które złożył na kluczu sklepienia. Czekał, aż Rémy w tyle samochodu skończy kneblować i wiązać Teabinga liną, którą znaleźli w bagażniku.

W końcu Rémy wyłonił się z limuzyny, przeszedł dookoła i wśliznął się na siedzenie kierowcy obok Sylasa.

– Zabezpieczony? – spytał Syllas.

Rémy zachichotał, strząsając z siebie krople deszczu, i spojrział przez ramię na otwartą szklaną szybę oddzielającą kierowcę od reszty samochodu na związanego Leigha Teabinga, którego ledwo było widać w zaciemnionej tylnej części auta.

– Tak. On się już nigdzie nie wybiera.

Sylas słyszał zduszone okrzyki protestu Teabinga i zorientował się, że Rémy użył też kawałków starej taśmy, którą przedtem był spętany Syllas.

– *Ferme ta gueule!* – wrzasnął Rémy przez ramię do Teabinga. Sięgnął do rozbudowanej tablicy rozdzielczej jaguara i nacisnął jakiś guzik. Za nimi zaczęła się podnosić ukośna szyba oddzielająca ich od reszty samochodu. Teabing zniknął, a jego głosu już nie było słychać. Rémy spojrział na Sylasa. – Już dość się nasłuchałem tego jęczenia.

Kilka minut później, kiedy jaguar o wydłużonej sylwetce pędził przez ulice miasta, zadzwonił telefon komórkowy Sylasa. Nauczyciel. Syllas odpowiedział podekscytowany.

– Halo?

– Syllas, to ty? – spytał Nauczyciel znanym mu francuskim akcentem. – Kamień z serca, że słyszę twój głos. To znaczy, że jesteś bezpieczny.

Syllas również ucieszył się, że słyszy Nauczyciela. Minęło już kilka godzin i w pewnej chwili operacja wymknęła im się z rąk. Teraz wydawało się, że znów wszystko jest na dobrej drodze.

– Mam klucz sklepienia.

– To świetna wiadomość – powiedział Nauczyciel. – Jest z tobą Rémy?

Syllas był zaskoczony, że Nauczyciel wymienił imię Rémy'ego.

– Tak. Rémy mnie uwolnił.

– Takie miał ode mnie polecenie. Nie gniewaj się, że musiałeś tak długo wytrzymać tę niewolę.

– Cierpienie fizyczne nie ma znaczenia. Najważniejsze, że klucz jest nasz.

– Tak, muszę was prosić o dostarczenie mi go natychmiast. Teraz najważniejszy jest czas.

Syllas bardzo chciał spotkać Nauczyciela twarzą w twarz.

– Tak jest, sir. Będę zaszczycony.

– Syllas, chciałbym, żeby Rémy mi go przyniósł.

– Rémy? – Syllas był zdruzgotany. Po tym wszystkim, co zrobił dla Nauczyciela, sądził, że to on wręczy mu zdobycz. Nauczyciel woli Rémy'ego.

– Wyczuwam w twoim głosie rozczarowanie – powiedział Nauczyciel. – To znaczy, że nie rozumiesz moich intencji. – Zniżył głos do szeptu. – Musisz wiedzieć, że wolałbym oczywiście, żebyś to właśnie ty mi przekazał klucz – człowiek służący Bogu, a nie kryminalista – ale muszę się porachować z Rémy'm. Nie posłuchał moich rozkazów i popełnił poważny błąd, przez co nasza cała misja stoi pod znakiem zapytania.

Syllas poczuł chłód i spojrział z ukosa na Rémy'ego. Porwanie Teabinga nie leżało w ich planach, a decyzja, co z nim zrobić, stanowiła nowy problem.

– Ty i ja jesteśmy w służbie Boga – szeptał Nauczyciel. – Nic nie może nas odwieść od wyznaczonego celu. – Zapadła znacząca cisza. – Z tego właśnie powodu poproszę Rémy'ego, żeby mi dostarczył klucz. Rozumiesz?

Syllas wyczuł gniew w głosie Nauczyciela i był zdziwiony, że nie wykazuje on więcej zrozumienia sytuacji. Rémy nie mógł uniknąć ujawnienia się – pomyślał. Zrobił to, co musiał zrobić. Uratował klucz sklepienia.

– Rozumiem – w końcu Sylasowi udało się wypowiedzieć te słowa.

– Dobrze. Dla własnego bezpieczeństwa musisz natychmiast zniknąć z ulic miasta. Policja będzie niedługo szukać limuzyny i nie chcę, żeby cię złapano. Opus Dei ma dom dla braci w Londynie, prawda?

– Oczywiście.

– I chętnie cię tam przyjmą?

– Jak swojego.

– Więc udaj się tam i pilnuj, żeby cię nikt nie widział. Zadzwonię do ciebie, kiedy już będę miał klucz w rękach i rozwiążę ten najbardziej palący problem.

– Jesteś w Londynie?

– Rób to, co mówię, a wszystko będzie dobrze.

– Tak jest, sir.

Nauczyciel głośno westchnął, jakby to, co musiał teraz zrobić, robił z wielkim żalem.

– Teraz muszę porozmawiać z Rémy'm.

Syllas podał Rémy'emu telefon, czując przez skórę, że to prawdopodobnie ostatnia rozmowa, którą Rémy Legaludec odbędzie w swoim życiu.

Kiedy Rémy wziął telefon do ręki, wiedział, że ten biedny, pokręcony mnich nie ma pojęcia, jaki go czeka los, kiedy już wykonał swoje zadanie.

Nauczyciel cię wykorzystał, Syllasie.

A twój biskup to pionek w grze.

Rémy wciąż podziwiał zdolność przekonywania Nauczyciela. Biskup Aringarosa uwierzył we wszystko. Zaślepiła go własna desperacja. Aringarosa za wszelką cenę chciał uwierzyć. Chociaż Rémy nie bardzo lubił Nauczyciela, czuł dumę z tego, że zyskał jego zaufanie i tak bardzo mu pomógł. Zasłużyłem na swoją zapłatę.

– Słuchaj uważnie – powiedział Nauczyciel. – Zawieź Syllasa do londyńskiej kwatery Opus Dei, wysadź go kilka ulic wcześniej. Potem jedź do St. James's Park. To niedaleko Parlamentu i Big Bena. Możesz zaparkować limuzynę przy Horse Guards Parade. Tam porozmawiamy.

Na tym rozmowa się skończyła, a połączenie przerwano.

Wydział Teologii i Religioznawstwa King's College, uczelni założonej w 1829 roku przez króla Jerzego IV, mieści się w budynkach uniwersyteckich sąsiadujących z Parlamentem, na gruntach oddanych uniwersytetowi w użytkowanie przez Koronę. Wydział ten szczyli się nie tylko stu pięćdziesięcioletnim doświadczeniem dydaktycznym i badawczym, ale i tym, że w 1982 roku powołano tam do życia Instytut Badawczy Teologii Systematycznej, który ma najbogatsze i najbardziej nowoczesne zbiory biblioteczne z dziedziny religioznawstwa na świecie.

Langdon czuł się wciąż roztrzęsiony, kiedy razem z Sophie, wydostawszy się ze strumieni deszczu, schronili się pod dachem biblioteki. Główna sala, poświęcona badaniom źródłowym, wyglądała tak, jak ją opisywał Teabing – ośmiokątna komnata jak ze starego zamczyska, wyposażona w olbrzymi okrągły stół, wokół którego z pewnością czuliby się dobrze król Artur i jego rycerze, gdyby nie to, że stało na nim dwanaście komputerów z płaskimi ekranami. W drugiej części pomieszczenia bibliotekarka nalewała sobie właśnie herbatę z czajniczka, przygotowując się do kolejnego dnia pracy.

– Piękny poranek – powiedziała radośnie nienagannym brytyjskim akcentem, zostawiając na chwilę herbatę i podchodząc do nich. – Czy mogę państwu pomóc?

– Tak, bardzo byśmy prosili – odparł Langdon. – Nazywam się...

– Robert Langdon – uśmiechnęła się do niego łagodnie. – Wiem, kim pan jest.

Przez chwilę bał się, że Fache pokazuje go też w angielskiej telewizji, ale uśmiech bibliotekarki mówił coś innego. Langdon wciąż jeszcze nie przyzwyczał się do nieoczekiwanych dowodów swojej popularności. Z drugiej jednak strony ktoś miałby rozpoznać jego twarz, jeśli nie bibliotekarka w bibliotece wydziału religioznawstwa?

– Nazywam się Pamela Gettum – powiedziała bibliotekarka, wyciągając do niego rękę. Miała sympatyczną, szczerą i mądrą twarz i przyjemnie brzmiący głos. Okulary w rogowej oprawie wiszące na łańcuszku na jej szyi były bardzo grube.

– Bardzo mi miło – powiedział Langdon. – To jest moja znajoma, pani Sophie Neveu.

Kobiety przywitały się, a Pamela Gettum zwróciła się do Langdona.

– Nie wiedziałam, że państwo się tu wybieracie.

– My też nie wiedzieliśmy. Jeśli nie sprawimy kłopotu, chcielibyśmy poprosić panią o pomoc w wyszukiwaniu pewnych informacji.

Widać było, że Pamela Gettum czuje się trochę niezręcznie, bo miała niepewny wyraz twarzy.

– Zazwyczaj wykonujemy usługi biblioteczne wyłącznie po złożeniu przez osobę zainteresowaną zamówienia i po uprzednim umówieniu się na termin, chyba że jest pan gościem kogoś, kto pracuje tutaj, na naszym wydziale?

Langdon pokręcił przecząco głową.

– Niestety, obawiam się, że zjawiamy się tu bez zapowiedzi. Mój przyjaciel bardzo pochlebnie się o pani wyrażał. Zna pani sir Leigha Teabinga. – Langdon poczuł falę bólu, kiedy wymawiał jego nazwisko – historyka rodziny królewskiej?

Twarz Pameli Gettum teraz pojaśniała w uśmiechu.

– Ależ tak. Oryginał. Fanatyk! Zawsze kiedy tutaj przychodzi, szuka tego samego. Graal, Graal i Graal. Pędzej umrze, niż zaprzestanie swoich poszukiwań. – Puściła oko do Langdona. – Ma czas i pieniądze i może sobie pozwolić na taki niewinny luksus, prawda? To prawdziwy donkiszot.

– Mogłaby nam pani jakoś pomóc? – spytała Sophie. – To dla nas dość ważne.

Pamela Gettum rozejrzała się po opuszczonej sali bibliotecznej i teraz puściła perskie oko do nich obojga.

– Cóż, nie można powiedzieć, żebym była bardzo zajęta, prawda? Proszę się tylko wpisać do księgi, chyba nikt nie będzie miał nic przeciwko temu. Czegoż to więc szukacie?

– Próbujemy odnaleźć pewien grób w Londynie.

Pamela Gettum popatrzyła na nich powątpiewająco.

– Mamy tu około dwudziestu tysięcy grobów. Można by trochę to uściślić?

– Jest to grób rycerza. Nie znamy niestety jego nazwiska.

– Rycerza. Aha, to zawęża nasze poszukiwania. Grób rycerza to rzecz znacznie mniej powszechna.

– Nie mamy zbyt wielu informacji na temat rycerza, którego szukamy – powiedziała Sophie. – Wiemy tyle. – Podała Pameli Gettum kawałek papieru, na którym napisała tylko pierwsze dwa wersy wiersza.

Obawiając się pokazywać obcej osobie cały wiersz, postanowili podzielić się z bibliotekarką tylko dwoma pierwszymi wersami, tymi, które mówiły o rycerzu. Kryptografia rozczłonkowana – jak powiedziała Sophie. Kiedy agencja wywiadu przejmuje jakiś kod zawierający bardzo utajnione dane, każdy z kryptografów pracuje nad odrębną częścią kodu. Dzięki temu, kiedy go już złamią, żaden kryptograf nie dysponuje całą rozszyfrowaną wiadomością.

W tej sytuacji podjęte środki ostrożności były prawdopodobnie przesadne, bo nawet gdyby bibliotekarka zobaczyła cały wiersz, zdołała odnaleźć grób rycerza i wiedziała, co to za kula, ta informacja byłaby beużyteczna bez krypteksu.

Wyraz twarzy amerykańskiego naukowca wskazywał, że sprawa jest pilna, niemal jak gdyby szybkie odnalezienie tego grobu było kwestią życia i śmierci. Kobieta o zielonych oczach, która przysłała wraz z nim, również wydawała się czymś bardzo przejęta.

Pamela Gettum, zaciekawiona, założyła okulary i przyjrzała się kartce papieru, którą jej właśnie wręczono.

W Londynie leży rycerz, dzielny chwát,  
A Papier go pogrzebał, w ziemię kładł.

– Co to jest? – Spojrzała na swoich gości. – Jakaś harwardzka zagadka, jakieś poszukiwanie skarbu?

– Tak, coś w tym guście. – Langdon zmusił się do uśmiechu.

Pamela Gettum oderwała się na chwilę od kartki, czując, że nie mówią jej wszystkiego. Niemniej była zaintrygowana i znów dłuższą chwilę przypatrywała się tekstowi.

– Czy to się pani z czymś kojarzy?

Pamela Gettum ruszyła w kierunku jednego z komputerów.

– Nic mi się nie narzuca, ale zobaczmy, co da się wyczytać z bazy danych.

W ciągu ostatnich dwudziestu lat instytut badawczy w King's College używał oprogramowania skanującego znaki i zapisującego je w postaci elektronicznej, by skatalogować ogromne zbiory tekstów – encyklopedii religii, biografii religijnych, Pisma Świętego w dziesiątkach języków; listów watykańskich, dzienników prowadzonych przez kleryków, wszystkiego, co kwalifikowało się jako dokumenty dotyczące duchowości człowieka. Z uwagi na to, że olbrzymia kolekcja była teraz w formie bajtów i kilobajtów, dostęp do wszystkich danych był znacznie łatwiejszy.

Pamela Gettum usiadła przy jednym z komputerów, spojrzała jeszcze raz na kartkę papieru i zaczęła stukać w klawiaturę.  
– Zaczniemy od prostego zapytania katalogowego, w które wpisujemy kilka oczywistych słów kluczowych, i zobaczymy, co to da.  
– Świetnie.  
Pamela Gettum wpisała pierwsze kilka słów.

Londyn, Rycerz, Papież

Nacisnęła guzik „Szukaj” i poczuła, jak jeden z potężnych komputerów piętro niżej zaczyna wibrować i buczeć, skanując dane z prędkością pięćset megabajtów na sekundę.

– Zleciłam systemowi, aby wyszukał te dokumenty, których kompletny tekst zawiera wszystkie te trzy kluczowe słowa. Pokaże się znacznie więcej, niżbyśmy tego chcieli, ale będziemy mieć jakiś punkt wyjścia.

Na ekranie zaczynały się już pokazywać pierwsze wyniki wyszukiwania.

*Wizerunki papieża. Zebrane portrety sir  
Joshuy Reynoldsa. London University Press.*

Pamela Gettum potrząsnęła głową.  
– Chyba nie tego szukamy. – Podeszła do następnego hasła.

*Zapiski londyńskie Alexandra Pope’a  
pióra G. Wilsona Knighta.*

Znów potrząsnęła głową.

W miarę jak system przerabiał dane, kolejne hasła pojawiały się szybciej niż przedtem. Ich oczom ukazywały się dziesiątki różnych tekstów – wiele z nich dotyczyło osiemnastowiecznego pisarza angielskiego Alexandra Pope’a, którego antyrelijijna, szydercza poezja epicka zawierała liczne odniesienia do rycerzy i do Londynu.

Pamela Gettum rzuciła okiem na pole u dołu ekranu, gdzie pojawiały się cyfry. Komputer, obliczając aktualną liczbę odnalezionych haseł i mnożąc przez procent bazy danych, który trzeba jeszcze przeszukać, dawał wstępną informację, ile znajdzie haseł. Te poszukiwania prawdopodobnie dadzą nieprzychylnie wielką liczbę danych.

Przewidywana liczba odnalezionych haseł:  
2692.

– Musimy jeszcze bardziej uściślić parametry – powiedziała Pamela Gettum, zatrzymując przeszukiwanie. – Czy to wszystkie informacje, jakie macie o tym grobie? Nie ma nic innego, na czym moglibyśmy się oprzeć?

Langdon spojrzął na Sophie niepewnie.

To nie jest sztabackie poszukiwanie skarbu – wyczuła Pamela Gettum. Słyszała tu i ówdzie pogłoski o tym, co Robert Langdon przeżył poprzedniego roku w Rzymie. Temu Amerykaninowi udostępniono najściślej strzeżoną bibliotekę na ziemi – tajne archiwa Watykanu. Zastanawiała się, czego Langdon mógł się doszukać i czy jego obecne desperackie polowanie na tajemniczy grób w Londynie może mieć jakiś związek z informacjami, które uzyskał w murach Watykanu. Pamela Gettum już dość długo była bibliotekarką i wiedziała, dlaczego niektórzy badacze przyjeżdżają do Londynu, szukając rycerzy. Święty Graal.

Uśmiechnęła się i poprawiła okulary.

– Jesteście znajomymi sir Leigha Teabinga, jesteście w Anglii i szukacie rycerza. – Założyła ręce na piersiach. – Mogę tylko przypuszczać, że chodzi o Świętego Graala.

Langdon i Sophie spojrzeli na siebie zdziwieni.

Pamela Gettum zaśmiała się perliście.

– Przyjaciele, moja biblioteka to mekka poszukiwaczy Graala. Leigh Teabing jest jednym z nich. Chciałabym mieć choć pensja z każdego wyszukiwania w komputerze haseł takich jak róża, Maria Magdalena, Sangreal, Merowingowie, Zakon Syjonu i tak dalej, i tak dalej. Wszyscy kochamy spiski. – Zdjęła okulary i spojrzała na nich. – Potrzebuję więcej danych.

W panującej ciszy Pamela Gettum odczuła, że chęć zachowania dyskrecji topnieje i jej goście bardzo chcą szybko uzyskać jakiś rezultat.

– W takim razie dobrze – wyrzuciła z siebie Sophie Neveu. – To wszystko, co wiemy. – Wzięła od Langdona długopis, napisała na kawałku papieru jeszcze dwa wersy i podała je bibliotekarce.

*Owoce jego pracy Święty gniew,  
Brzemienne ma być kula, Róża krzew.*

Pamela Gettum uśmiechnęła się do siebie. A więc naprawdę chodzi o Graala – pomyślała, zauważając odniesienia do róży i do brzemiennego łona.

– Chyba mogę wam pomóc – powiedziała, spoglądając znad kawałka papieru. – Mogłabym zapytać, skąd pochodzi ten wiersz? I dlaczego szukacie kuli?

– Mogłaby pani – powiedział Langdon, uśmiechając się przyjaźnie – ale to długa historia, a my mamy bardzo mało czasu.

– To brzmi jak uprzejma prośba, żebyśmy pilnowała własnego nosa.

– Będziemy pani wiecznymi dłużnikami, Pamela – powiedział Langdon – jeżeli uda się pani dowiedzieć, kim jest ten rycerz i gdzie jest pochowany.

– Doskonale – powiedziała bibliotekarka, znów wystukując coś na klawiaturze. – Wchodzę w to. Jeżeli to odnosi się do Graala, powinniśmy zderzyć wasze hasła ze słowami kluczowymi dla Świętego Graala. Dodam parametr bliskości i usunę z zapytania ograniczenia dotyczące tytułów. To zredukuje wyszukiwanie tylko do tych sytuacji, kiedy słowa kluczowe z tekstu pojawią się w pobliżu słowa, które ma związek z Graalem.

Szukaj:

RYCERZ, LONDYN, PAPIEŻ, GRÓB

W odległości stu słów od:

GRAAL, RÓŻA, SANGREAL, KIELICH

– Ile czasu to zajmie? – spytała Sophie.

– Poszukiwanie kilkuset terabajtów z uwzględnieniem wielu indeksowanych pól? – Oczy Pameli Gettum zaśniły, kiedy stuknęła w przycisk SZUKAJ. – Nie więcej niż piętnaście minut.

Langdon i Sophie milczeli, ale Pamela Gettum zrozumiała, że to dla nich jak wieczność.

– Herbatki? – spytała, wstając i kierując się ku imbryczkowi, który wcześniej zalała wrzątkiem. – Leigh przepada za moją herbatką.

## ROZDZIAŁ 93

Londyńska siedziba Opus Dei to skromny budynek z cegły przy Orme Court numer 5, na wprost North Walk w Kensington Gardens. Sylas nigdy tu nie był, ale zbliżając się do tego przybytku czuł, że niedługo będzie bezpieczny i otrzyma upragniony azyl. Pomimo padającego deszczu Rémy wysadził go w pewnej odległości, żeby nie wyjeżdżał limuzyną na główne ulice. Sylas chętnie się przespaceruje. Deszcz był oczyszczający.

Zgodnie z sugestią Rémy'ego Sylas wytarł odciski palców z rewolweru i wyrzucił go do kratki ściekowej. Był zadowolony, że się go już pozbył. Czuł się lżejszy. Nogi wciąż go bolały po więzach, ale Sylas nosił już większy ból. Zastanawiał się jednak, co będzie z Teabingiem, którego Rémy zostawił związanego w tyle limuzyny. Anglikowi na pewno teraz jest ciężko.

– Co z nim zrobisz? – spytał Sylas Rémy'ego, kiedy jechali.

Rémy wzruszył ramionami.

– Decyzja należy do Nauczyciela – ton jego głosu był dziwnie ponury.

Teraz, kiedy Sylas dochodził już do budynku Opus Dei, deszcz zaczął padać jeszcze mocniej, mocząc jego ciężką szatę, obmywając bolesne rany poprzedniego dnia. Był gotów zapomnieć o grzechach ostatnich dwudziestu czterech godzin i oczyścić duszę. Jego dzieło było skończone.

Sylas przeszedł przez mały podwórzec do frontowych drzwi i wcale go nie zdziwiło, że nie są zamknięte. Pchnął je i wszedł do maleńkiej recepcji. Kiedy postawił stopę na dywanie, na górze rozległ się stłumiony dźwięk elektrycznego dzwonka. Dzwonek był powszechnym urządzeniem w tych kwaterach dla mnichów, gdzie ich mieszkańcy spędzali większą część dnia w celach na modlitwie. Sylas usłyszał nad głową jakiś ruch i skrzypienie drewnianych podłóg. Na dół zszedł mężczyzna w habitcie.

– W czym mogę pomóc? – Miał łagodne, dobre oczy, które nawet chyba nie odnotowały przedziwnego wyglądu fizycznego Sylasa.

– Dziękuję. Nazywam się Sylas. Jestem członkiem Opus Dei.

– Amerykanin?

Sylas skinął głową.

– Jestem w mieście tylko przez jeden dzień. Czy mogę tu odpocząć?

– Nie musisz nawet pytać. Na trzecim piętrze są dwa puste pokoje. Przynieść ci herbaty i chleba?

– Tak, bardzo dziękuję. – Sylas był głodny jak wilk.

Poszedł na górę do skromnego pokoiku z oknem, gdzie zdjął mokrą szatę i uklęknął, żeby pomodlić się w samej bieliźnie. Słyszał, jak jego gospodarz wchodzi na górę i kładzie tacę przed drzwiami. Sylas skończył modlitwy, zjadł posiłek i położył się spać.

Trzy piętra niżej zadzwonił telefon. Mnich Opus Dei, który otworzył drzwi Sylasowi, podniósł słuchawkę.

– Tu komenda policji – powiedział rozmówca. – Szukamy mnicha albinosa. Dostaliśmy cynk, że może być u was. Widział go pan?

Brat zakonny był zdziwiony.

– Tak, jest tutaj. Coś się stało?

– Jest teraz u was?

– Tak. Jest na górze, modli się. O co chodzi?

– Proszę mu nie mówić, niech się dalej modli – polecił oficer policji. – I nikomu innemu ani słowa. Posyłam tam swoich ludzi.

St James's Park to morze zieleni w samym środku Londynu, park miejski graniczący z pałacami Westminster, Buckingham i St James's. Kiedyś król Henryk VIII kazał go ogrodzić i wypuścić sarny dla myśliwych. Teraz park jest dostępny dla publiczności. W niedzielne popołudnia londyńczycy urządzają sobie pikniki pod wierzbami i karmią pelikany, które są stałymi rezydentami parkowego stawu – ich przodkowie przybyli tu jako dar ambasadora rosyjskiego dla króla Karola II.

Nauczyciel dzisiaj nie widział pelikanów. Sztormowa pogoda zapędziła tu mewy z oceanu. Trawa była nimi dosłownie usłana – setki białych ptaków, zwrócone w tym samym kierunku, próbowały cierpliwie przeczekać podmuchy wilgotnego wiatru. Pomimo porannej mgły widok z parku na Parlament i na Big Bena był wyśmienity. Patrząc przez rozległe przestrzenie trawy, przez staw z kaczkami i delikatne sylwetki płaczących wierzb, Nauczyciel ujrzał wieżę budowli, która kryła w sobie grób rycerza – bo to był prawdziwy powód, dla którego wyznaczył Rémy'emu spotkanie w tym miejscu.

Kiedy Nauczyciel podszedł do przednich drzwi limuzyny od strony pasażera, Rémy pochylił się, wyciągnął rękę i otworzył je od wewnątrz. Nauczyciel przez chwilę jeszcze nie wsiadał, pociągnął łyk koniaku z piersiówki, którą miał ze sobą. Potem, wytarłszy usta, wśliznął się do samochodu, usiadł koło Rémy'ego i zamknął drzwi.

Rémy podniósł do góry klucz sklepienia jak trofeum.

– Już się nam prawie wysliznął z rąk.

– Dobrze się spisałeś – powiedział Nauczyciel.

– Obaj dobrze się spisaliśmy – odparł Rémy, powierając klucz niecierpliwym dłoniom Nauczyciela.

Nauczyciel podziwiał go przez chwilę, uśmiechając się.

– A broń? Wytarłeś ślady?

– Jest w schowku, tam skąd ją wziąłem.

– Doskonale. – Nauczyciel jeszcze raz pociągnął koniaku z piersiówki i podał ją Rémy'emu. – Koniec jest blisko.

Rémy z wdzięcznością przyjął butelkę. Koniak smakował troszkę słono, ale jemu to nie przeszkadzało. On i Nauczyciel byli teraz prawdziwymi partnerami. Czuł, że życie stoi przed nim otworem. Nigdy już nie będę służącym. Kiedy patrzył na wznoszącą się w górę linię trawy i staw z kaczkami w parku, Château Villette wydawało mu się odległe o całe wieki.

Pociągnął jeszcze raz z piersiówki i poczuł, że koniak rozgrzewa mu krew. Ale ciepło w jego gardle szybko zmieniło się w nieprzyjemne gorąco. Poluzował muszkę i poczuł dziwne drapanie w gardle.

– Chyba już mam dosyć. – Jego głos zabrzmiał słabo.

Odbierając piersiówkę, Nauczyciel powiedział:

– Wiesz o tym, Rémy, że jesteś jedyną osobą, która zna moją twarz. Ufałem ci bezgranicznie.

– Tak, wiem – odparł, czując falę gorączki i coraz gwałtowniej starając się poluzować ciasną muszkę. – Twoja tożsamość pójdzie ze mną do grobu.

Nauczyciel milczał dłuższą chwilę.

– Wierzę ci. – Schował klucz sklepienia i piersiówkę do kieszeni, sięgnął do schowka w samochodzie i wyjął małe rewolwer Meduza. Rémy poczuł falę strachu, ale Nauczyciel po prostu włożył rewolwer do kieszeni spodni.

Co on robi? Rémy'ego oblała nagle fala potu.

– Wiem, że przyrzekłem ci wolność – powiedział Nauczyciel, a w jego głosie słychać było nutę żalu. – Jednakże zważywszy na okoliczności, to jest jedyne, co mogę zrobić.

Gardło Rémy'ego zaczęło puchnąć gwałtownie, to było jak trzęsienie ziemi. Zwalił się ciężko na kierownicę, trzymając się za gardło i czując, że w coraz ciasniejszym przełyku zbierają mu się wymiociny. Nie mógł nawet krzyknąć, tylko jęknął, ale na pewno nie było go słychać na zewnątrz. Teraz uzmysłowił sobie, co oznaczał słony smak koniaku.

On mnie morduje!

Nie mogąc uwierzyć w to, co się dzieje, Rémy odwrócił się i zobaczył Nauczyciela, który siedział spokojnie tuż przy nim i patrzył przed siebie przez przednią szybę samochodu. Rémy miał mgłę przed oczami i nie mógł złapać tchu. Wszystko mu ułatwiłem! Jak mógł mi to zrobić! Rémy już się nigdy nie dowie, czy Nauczyciel od początku chciał go zlikwidować, czy też jego działania w kościele Temple sprawiły, że stracił do niego zaufanie. Opanował go strach i wściekłość. Próbował rzucić się na Nauczyciela, ale jego sztywniejące mięśnie nie wydały z siebie żadnego ruchu. Uwierzyłem ci we wszystkim!

Rémy próbował podnieść ściśnięte pięści, żeby zatrzeć, ale tylko opadł na bok, potoczył się na siedzenie i leżał tak obok Nauczyciela, trzymając się kurczowo za gardło. Zaczęło mocniej padać. Rémy już niczego nie widział, ale czuł, że jego mózg, któremu nagle zabrakło tlenu, stara się przytrzymać ostatnie blade strzępy światła. Kiedy jego świat powoli zniknął, Rémy Legaludec mógłby przysiąc, że słyszy miękkie dźwięki fal omywających piasek na francuskiej Riwierze.

Nauczyciel wysiadł z limuzyny zadowolony, że nikt nie patrzy w jego kierunku. Nie miałem wyjścia – powiedział sobie, zdziwiony, że nie czuje ciężkich wyrzutów sumienia po tym, co właśnie zrobił, Rémy przypieczętował własny los. Nauczyciel cały czas się bał, że trzeba będzie wyeliminować Rémy'ego, kiedy misja się skończy, ale jego samowolne wejście do akcji w kościele Temple przyspieszyło dramatycznie tę konieczność. To, że Robert Langdon niespodziewanie zjawił się w Château Villette, było dla Nauczyciela pomyślnym zrządzeniem losu, lecz jednocześnie stanowiło głęboki dylemat. Langdon rzucił klucz sklepienia wprost w środek operacji, co było przyjemną niespodzianką, ale z drugiej strony sprowadziło mu na kark policję. W Château Villette wszędzie były odciski palców Rémy'ego, podobnie jak w stacji nasłuchów urządzonej w stajni, gdzie Rémy pilnował podsłuchów. Nauczyciel wieszował sobie, że tak dbał, by nie wiązać się w żaden sposób z tym, co robił Rémy. Nikt nie mógł mu nic zarzucić, chyba żeby Rémy zaczął sypać, ale o to już nie ma obawy.

Trzeba doprowadzić do końca jeszcze jedną rzecz – pomyślał Nauczyciel, przechodząc teraz na tył limuzyny. Policja nie będzie miała pojęcia, co się wydarzyło... i nie będzie żadnego żyjącego świadka, który mógłby cokolwiek powiedzieć. Rozejrzał się dookoła, upewniając się, czy nikt nie patrzy, otworzył drzwi i wszedł do przestronnego wnętrza samochodu.

Kilka minut później Nauczyciel przechodził przez St James's Park. Zostało tylko dwoje. Langdon i Neveu. Z nimi sprawa była bardziej skomplikowana. Ale coś się wymyśli. Teraz jednak Nauczyciel musi się zająć sprawą krypteksu.

Patrząc triumfalnie na drugą stronę parku, ujrzał cel swojej wędrówki. *W Londynie leży rycerz, dzielny chwata...* Kiedy tylko Nauczyciel usłyszał wiersz, wiedział, że zna odpowiedź. A to, że oni się nie domyślili, nie dziwiło go. Miałem fory. Przysłuchując się od miesięcy rozmowom Saunière'a, Nauczyciel usłyszał kiedyś, jak wielki mistrz wspomina w rozmowie słynnego rycerza, wyrażając dla niego podziw niemal taki, jaki miał dla Leonarda da Vinci. Odniesienie do rycerza w wierszu było prostackie, ale dopiero wtedy kiedy się je już odkryło –

trzeba oddać sprawiedliwość inteligencji Saunière'a – wciąż jednak pozostawało tajemnicą, w jaki sposób grobowiec zdradzi ostatnie hasło dostępu.

*Brzezienna ma być kula, Róży krzew.*

Nauczyciel jak przez mgłę przypominał sobie fotografię słynnego grobu, a w szczególności jego najbardziej charakterystyczną cechę. Wspaniałą kulę. Ogromna kula umieszczona na szczycie grobowca była niemal tak wielka jak grób. Obecność kuli wydawała się Nauczycielowi zarówno napawająca otuchą, jak i kłopotliwa. Z jednej strony wydawała się kierunkowskazem, ale jednak z wiersza wynikało, że brakujące ogniwo to kula, która powinna być, a niekoniecznie, która jest. Liczył na to, że kiedy się bliżej przyjrzy grobowcowi, odpowiedź nasunie się sama.

Deszcz padał teraz coraz mocniej i aby osłonić krypteks przed wilgocią, włożył go głębiej do prawej kieszeni. W lewej trzymał małą meduzę, żeby jej nikt nie widział. Parę minut później przekraczał próg cichego sanktuarium największej, dziewięćsetletniej budowli Londynu.

Kiedy Nauczyciel wychodził spoza zasięgu deszczu, biskup Aringarosa właśnie w niego wchodził. Wyłonił się z samolotu i zszedł na mokrą płytę lotniska Biggin Hill, trzymając rękami sutannę i podnosząc ją do góry, aby zupełnie nie zamokła. Miał nadzieję, że powita go kapitan Fache, tymczasem zamiast niego pojawił się oficer policji angielskiej z wielkim czarnym parasolem.

– Biskup Aringarosa? Kapitan Fache musiał wyjechać. Poprosił mnie, żebym się panem zajął. Zasugerował, żebym zabrał pana do Scotland Yardu. Myślał, że tam będzie najbezpieczniej.

Najbezpieczniej? Aringarosa spojrzął na ciężką teczkę pełną obligacji watykańskich, którą trzymał w ręku. Niemał o niej zapomniał.

– Tak, dziękuję bardzo.

Aringarosa wszedł do samochodu patrolowego, zastanawiając się, gdzie też może być Sylas. Kilka minut później skaner policyjny z trzaskiem zakłóceń dał mu odpowiedź.

Orme Court 5.

Aringarosa natychmiast rozpoznał ten adres.

Siedziba Opus Dei w Londynie.

Obrócił się do kierowcy jak nakręcany pajacyk.

– Proszę mnie tam natychmiast zawieźć!



## ROZDZIAŁ 95

Odkąd bibliotekarka wprowadziła do systemu zapytanie, Langdon nie spuszczał oczu z ekranu komputera.

Pięć minut. Tylko dwie odpowiedzi. Obie bez związku.

Zaczynał się martwić.

Pamela Gettum była w sąsiednim pokoju zajęta parzeniem herbaty i kawy. Zapytali niemądrze, czy jeżeli robi herbatę, mogłaby też zrobić odrobinę kawy, a z odgłosów kucharki mikrofalowej w pomieszczeniu obok Langdon wnioskował, że ich prośba zaowocuje neską.

W końcu komputer piknął radośnie.

– Wygląda na to, że macie jeszcze jedną odpowiedź! – zawołała Pamela Gettum. – Co się pokazało?

Langdon przyjrzał się dokładnie ekranowi.

*Alegoria Świętego Graala w literaturze średniowiecznej.*

*Traktat o sir Gawainie i Zielonym Rycerzu.*

– Alegoria Zielonego Rycerza – odpowiedział.

– To niedobrze. Nie mamy wielu mitologicznych zielonych gigantów pochowanych w Londynie – odparła Pamela Gettum.

Langdon i Sophie siedzieli cierpliwie przed ekranem i przeczekali dwa kolejne wątpliwe hasła. Kiedy komputer znowu piknął, to, co się pokazało na ekranie, było zupełnie nieoczekiwane.

Die Opern von Richard Wagner

– Opery Wagnera? – spytała Sophie.

Bibliotekarka wyjrzała zza drzwi z paczką rozpuszczalnej kawy w rękę.

– To dziwna odpowiedź. Czy Wagner był rycerzem?

– Nie – powiedział Langdon zaintrygowany. – Ale był znanym masonem. – Podobnie jak Mozart, Beethoven, Shakespeare, Gershwin, Houdini, Disney. Napisano już tysiące stron na temat związków między masonami a templariuszami, Zakonem Syjonu i Świętym Graalem. – Chciałbym się temu przyjrzeć. Jak się ogląda pełny tekst?

– Niepotrzebny nam pełny tekst! – odrzyknęła Pamela Gettum. – Trzeba kliknąć na hipertekst. Komputer pokaże słowa kluczowe w kontekście jednego lub kilku słów poprzedzających i następujących.

Langdon nie miał pojęcia, o czym ona mówi, ale kliknął.

Pokazało się nowe okno.

...mitologiczny **rycerz** zwany Parsifalem, który...

...metaforyczne poszukiwanie **Graala**, które...

...w **londyńskiej** Filharmonii w 1855...

...opera Rebeki **Pope Diva**...

...Wagnera **grób** w Bayreuth w Niemczech...

– Nic z tego – powiedział Langdon rozczarowany.

Niemniej był pod wrażeniem, jak łatwo korzysta się z systemu. Słowa kluczowe wraz z kontekstem przypomniały mu, że opera Wagnera *Parsifal* była hołdem dla Marii Magdaleny i rodu Jezusa Chrystusa wyrażonym za pośrednictwem opowieści o młodym rycerzu, który wyruszył na poszukiwanie prawdy.

– Cierpliwości – powiedziała Pamela Gettum. – To taka gra w numerki, niech maszyna mieli dalej.

Przez kilka następnych minut komputer pokazywał wiele kolejnych odniesień do Graala, między innymi tekst o trubadurach – słynnych wędrownych minstrelach Francji. Langdon wiedział, że podobieństwo fonetyczne słów „minstrel” i „minister” nie jest przypadkowe, że słowa te mają wspólne korzenie. Trubadurzy byli wędrownymi służącymi, czyli „ministrami” Kościoła Marii Magdaleny i za pomocą muzyki popularyzowali motyw sakralności kobiecej wśród ludu. Dzisiejsi trubadurzy w swoich pieśniach też wychwalają cnoty „naszej Pani” – tajemniczej pięknej kobiety, której oddali serca na zawsze.

Sprawdził pospiesznie hipertekst, ale nic nie znalazł.

Komputer znowu piknął.

RYCERZE, WALECI, PAPIEŻE I GWIAZDY.

HISTORIA ŚWIĘTEGO GRAALA W TAROCIE.

– To mnie nie dziwi – powiedział Langdon do Sophie. – Nasze słowa kluczowe są takie jak nazwy niektórych kart tarota. – Sięgnął po myśkę, żeby kliknąć na odnośnik. – Nie wiem, czy twój dziadek kiedyś ci o tym mówił, kiedy grałaś z nim w tarota, ale ta gra to „katechizm karciany”, historia Zagubionej Panny Młodej i jej podporządkowania przez zły Kościół.

– Nie słyszałam o tym.

– Właśnie. Nauczając przez grę metaforyczną, wyznawcy Graala ukrywali swój przekaz przed ciekawskimi oczami Kościoła. – Langdon nieraz się zastanawiał, ilu współczesnych graczy w karty zdaje sobie sprawę z tego, że cztery kolory – piki, kiery, trefle i kara – są symbolami, które mają odniesienie do Graala, pochodzącymi bezpośrednio z czterech kolorów tarota: mieczy, pucharów, buław i monet.

*Piki to miecze – ostrze. Pierwiastek męski.*

*Kiery to puchary – kielich. Pierwiastek kobiecy.*

*Trefle to buława – ród królewski. Zakwitająca drewniana laska.*

*Kara to monety – Wielka Bogini. Świętość żeńska.*

Cztery minuty później, kiedy Langdon zaczynał już tracić nadzieję, komputer pokazał im następny fragment informacji.

Prawo ciążenia geniuszu.

Biografia współczesnego rycerza.

– *Prawo ciężenia geniuszu?* – zawołał Langdon w kierunku Pameli Gettum. – Biografia współczesnego rycerza?  
– Bardzo współczesnego? – Pamela wychyliła głowę. – Proszę mi tylko nie mówić, że to sir Rudy Giuliani. Osobiście uważam za przesadę nadanie tego tytułu burmistrzowi Nowego Jorku.

Langdon miał własne obiekcje wobec nowo uszlachconego sir Micka Jaggera, ale nie był to moment na debatę o polityce nadawania szlachectwa w Wielkiej Brytanii.

– Spójrzmy. – Langdon przywołał kluczowe słowo hipertekstu.

...Szlachetny **rycerz**, sir Isaac Newton...

...W **Londynie** w 1727 i...

...jego **grób** w Opactwie Westminsterskim...

...Alexander **Pope**, przyjaciel i współpracownik...

– Współczesność jest pojęciem względnym – powiedziała Sophie do Pameli Gettum. – To stara książka. O sir Isaacu Newtonie.

Pamela pokręciła głową, wciąż stojąc w drzwiach.

– To nie to. Newtona pochowano w Opactwie Westminsterskim, w samym sercu anglikanizmu. Niepodobna, aby była przy tym obecna głowa Kościoła katolickiego. Śmietanka i cukier?

Sophie skinęła głową.

Pamela Gettum czekała.

– A pan, Robercie?

Serce Langdona waliło jak młotem. Oderwał oczy od ekranu komputera i wstał.

– Sir Isaac Newton to nasz rycerz.

– Co ty mówisz? – Sophie siedziała niewzruszona.

– Newton jest pochowany w Londynie – powiedział Langdon. – Jego odkrywczе prace naukowe wywołały gniew Kościoła. Był wielkim mistrzem Prieuré de Sion. Czego jeszcze możemy chcieć?

– Czego jeszcze? – Sophie wskazała palcem na wiersz. – A co z papieżem? Słyszałaś, co powiedziała pani Gettum. W pogrzebie Newtona nie mógł uczestniczyć papież.

Langdon sięgnął po myszkę.

– A kto mówi, że uczestniczył? – Zaczernił słowo „Pope” i pojawiło się całe kompletne zdanie.

Ceremonii pogrzebowej sir Isaaca Newtona, którą zaszczylicili swoją obecnością królowie i szlachetnie urodzeni, przewodniczył Alexander Pope, przyjaciel i współpracownik, który wygłosił poruszającą serca mowę pogrzebową, po czym rzucił na trumnę grudkę ziemi.

Langdon spojrział na Sophie.

– Mieliliśmy odpowiedź już w drugim trafieniu. Nasz papież to Alexander Pope. A. Pope.

Sophie wstała. Jacques Saunière, mistrz szarady, jeszcze raz udowodnił, że był diabło bystrym człowiekiem.

Sylas nagle zerwał się ze snu.

Nie miał pojęcia, co go wyrwało ani jak długo spał. Coś mi się śniło? Usiadł na sienniku i słuchał spokojnego rytmu oddechu domu, wsłuchiwał się w ciszę, którą zakłócał tylko pomruk modlitwy gdzieś z sąsiedniej celi. Te dobrze znane odgłosy powinny go uspokoić. A jednak czuł się nieswojo. Coś go gnębiło.

Wstał i nie ubierając się, podszedł do okna. Czy ktoś mnie śledzi? Podwórzec poniżej był pusty, taki jak go zapamiętał, kiedy wchodził. Słuchał. Ciszka. Więc czemu jestem taki zdenerwowany? Już dawno Sylas nauczył się ufać intuicji. Intuicja utrzymywała go przy życiu, kiedy był dzieckiem na ulicach Marsylii, jeszcze długo przed więzieniem... Długo przedtem, zanim narodził się powtórnie w ramionach biskupa Aringarosy. Wyglądając przez okno, teraz zobaczył niejasny kontur samochodu za żywoplotem. Na dachu samochodu był policyjny kogut. W korytarzu zaskrzypiała podłoga. Poruszyła się klamka w drzwiach. Sylas zareagował instynktownie, przebiegł przez pokój i zatrzymał się w poślizgu za drzwiami, kiedy ktoś wylał je od zewnątrz. Do środka wpadł policjant z bronią, którą skierował w lewo, potem w prawo i rozglądał się po pomieszczeniu, które wydawało się puste. Zanim sobie zdał sprawę, gdzie jest Sylas, ten rzucił się w drzwi, miażdżąc w nich drugiego policjanta, który wchodził do środka. W momencie, gdy pierwszy policjant okręcał się wokół własnej osi, żeby strzelić, Sylas rzucił się do jego nóg. Broń wypaliła, ale kula przeszła nad głową Sylasa właśnie wtedy, kiedy ten dopadł kostek policjanta, szarpnął i poderwał mu nogi, powalając go na ziemię. Policjant uderzył głową o podłogę. Drugi próbował się podnieść w przejściu. Sylas kopnął go kolanem w kroczce, a potem przeszedł ponad wijącym się z bólu ciałem na korytarz.

Prawie nagi rzucił się w dół po schodach. Wiedział, że ktoś go zdradził, ale kto? Kiedy doszedł do recepcji, przez drzwi frontowe wpadali kolejni policjanci. Sylas zawrócił i zapuścił się głębiej w korytarze. Wejście dla kobiet. Każdy budynek Opus Dei ma takie wejście. Schodząc w dół wąskimi korytarzami, Sylas przemknął przez kuchnię obok przerażonych pracowników, którzy pryskali na boki, żeby uniknąć kontaktu z nagim albinosem, przewracającym miski i sztucce na swojej drodze, a potem wpadł do ciemnego korytarza obok kotłowni. Zobaczył teraz drzwi, których szukał, bo na końcu korytarza świeciło światelko oznaczające wyjście.

Wybiegając z pełną prędkością przez drzwi prosto w deszcz, Sylas skoczył z niskiego murku i zobaczył policjanta, który pojawił się z przeciwnej strony, ale było już za późno. Zderzyli się w pędzie, a szerokie, nagie ramię Sylasa uderzyło w mostek mężczyzny z miażdżącą siłą. Przewrócił policjanta na chodnik i wylądował wprost na nim. Broń policjanta wyslizgnęła się, stukając po kocich łbach. Sylas słyszał teraz ludzi i krzyki z korytarza. Przetoczył się po ziemi, chwycił pistolet i podniósł go, akurat gdy w drzwiach pojawili się kolejni policjanci. Od strony schodów padł strzał, a Sylas poczuł rozdzierający ból pod żebrami. Z niepohamowaną wściekłością otworzył ogień do trzech ścigających go policjantów – ich krew rozprysnęła się na ścianie.

Gdzieś z tyłu, nie wiadomo skąd, wyłonił się jakiś cień. Gniewne dłonie chwyciły go za nagie ramiona z taką siłą, jakby miały w sobie moc samego diabła.

– SYLASIE, NIE!

Sylas odwrócił się błyskawicznie i wystrzelił. Oczy tych dwóch nagle się spotkały. Kiedy biskup Aringarosa padał na mokry od deszczu chodnik, Sylas wydał z siebie krzyk grozy.

W Opactwie Westminsterskim, w grobach lub w relikwiarzach, leżą prochy trzech tysięcy osób. Gigantyczne wnętrza wypełniają doczesne szczątki królów, polityków, naukowców, poetów i muzyków. Ich groby, upchnięte w każdej najmniejszej niszy i w każdym zakamarku, na skali przepychu sytuują się od prawdziwie królewskich mauzoleów – jak mauzoleum królowej Elżbiety I, której sarkofag pod baldachimem mieści się w jej prywatnej kaplicy – do najskromniejszych metalowych płyt, na których wieki i stopy przechodniów zatarły wyrzeźbione napisy i tylko wyobraźnia podpowiada, czyje szczątki mogłyby leżeć w krypcie.

Zaprojektowanego w stylu wielkich katedr Amiens, Chartres i Canterbury Opactwa Westminsterskiego nie uważa się ani za katedrę, ani za kościół parafialny. Nosi ono miano *royal peculiar*, miejsca kultu podległego tylko monarsze. Od dnia koronacji Wilhelma Zdobywcy w Boże Narodzenie 1066 roku mury tego przepięknego sanktuarium były świadkiem niezliczonych ceremonii królewskich i uroczystości państwowych – od kanonizacji Edwarda Wyznawcy do ślubu księcia Andrzeja i Sary Ferguson, pogrzebów Henryka V, królowej Elżbiety I i lady Diany.

Robert Langdon, mimo że był pod wrażeniem ogromu katedry, nie myślał teraz o jej wielowiekowej historii, skupiał się tylko na jednym – na pogrzebie brytyjskiego rycerza, sir Isaaca Newtona.

*W Londynie leży rycerz, dzielny chwata...*

Langdon i Sophie szli pospiesznie przez wielki portyk północnego ramienia transeptu świątyni. Napotkali służbę ochrony i poproszono ich uprzejmie, żeby przeszli przez olbrzymi wykrywacz metalu – ostatnio zainstalowany w opactwie, podobnie jak w większości historycznych budowli Londynu. Oboje przeszli na drugą stronę, nie wzniesając alarmu, i udali się do głównego wejścia do katedry.

Przechodząc przez próg bazyliki, Langdon poczuł, jakby świat zewnętrzny ulotnił się i nagle zapadła cisza. Nie docierają tu odgłosy ruchu ulicznego. Nie słychać deszczu. Tylko ogłuszająca cisza, która odbijała się od ścian katedry, jakby stare mury szeptały coś do siebie.

Langdon i Sophie, podobnie jak niemal każdy ze zwiedzających, wzniesli oczy w górę, gdzie otchłań katedry zdawała się eksplodować ku niebu. Kolumny z szarego kamienia pięły się w górę jak potężne sekwoje, wyginały wdzięcznie nad oszalałymi przestrzeniami, po czym spływały z powrotem w dół do kamiennej podłogi. Przed nimi rozpościerała się szeroka aleja północnego ramienia transeptu jak głęboki kanion otoczony z dwóch stron skałami z witrażowych okien. W słoneczne dni na podłodze katedry można było zobaczyć pryzmatyczną układankę ze światła. Dzisiaj deszcz i ciemność nasycali tę potężną przestrzeń aurą niesamowitości, która i tak, z natury rzeczy, panowała w tej krypcie.

– Właściwie zupełna pustka – szepnęła Sophie.

Langdon był rozczarowany. Miał nadzieję, że będzie tu, jak w miejscu publicznym, więcej zwiedzających. Wcześniejsze doświadczenia z pustego kościoła Temple zniechęcały do powtórki z takich sytuacji. W tak popularnym i chętnie odwiedzanym przez turystów miejscu spodziewał się poczucia bezpieczeństwa, ale jego wspomnienia tłumy ludzi w dobrze oświetlonej katedrze pochodziły ze szczytu sezonu letniego. Dziś zaś był deszczowy kwietniowy poranek. Langdon nie widział ani tłumów, ani pełgających światła wpadających przez witraże, widział jedynie bezkresne przestrzenie kamiennej podłogi i puste, zanurzone w cieniu boczne ołtarze.

– Musieliśmy przejść przez wykrywacze metalu – przypomniała mu Sophie, wyczuwając jego obawy. – Jeżeli ktoś tu jest, to na pewno nie z bronią.

Langdon skinął głową, ale wciąż był nieufny. Miał ochotę sprowadzić tu londyńską policję, ale obawy Sophie co do tego, kto może być w to wszystko zamieszany, skłoniły go do rezygnacji z tego pomysłu. Musimy odzyskać krypteks, nalegała Sophie. To klucz do wszystkiego.

Rzecz jasna, miała rację.

Klucz do tego, by Leigh wrócił żywy.

Klucz do odnalezienia Świętego Graala.

Klucz do wykrycia, kto za tym wszystkim stoi.

Niestety, ich jedyną szansą odzyskania klucza sklepienia było odnalezienie go tu i teraz... Przy grobie Isaaca Newtona. Ten, kto ma teraz krypteks, musi odwiedzić grób, by odszyfrować ostatnią wskazówkę i jeżeli już nie przyszedł i nie wyszedł, Sophie i Langdon zamierzali mu to uniemożliwić.

Ruszyli wzdłuż lewej ściany, by nie być na widoku, a potem weszli w zacienioną boczną nawę, ukrytą za rzędem pilastrów. Langdon nie mógł pozbyć się obrazu porwanego Leigha Teabinga, który prawdopodobnie związany było prosię leży w tyle swojej limuzyny. Ten kto wydał rozkaz wymordowania elity zakonu, nie zawahał się przed wyeliminowaniem wszystkich pozostałych stojących mu na drodze. Cóż za okrutna ironia, że Teabing – współczesny brytyjski rycerz – stał się zakładnikiem w poszukiwaniach swojego pobratymca, sir Isaaca Newtona.

– Gdzie teraz? – zapytała Sophie, rozglądając się dookoła.

Grób. Langdon nie miał pojęcia.

– Powinniśmy znaleźć jakiegoś przewodnika i zapytać.

Langdon wiedział, że to lepsze niż kręcenie się tak w kółko. Opactwo Westminsterskie to połączone zakamarki mauzoleów, odległych komnat i nisz. Podobnie jak w Wielkiej Galerii Luwru i tu dla zwiedzających było tylko jedno wejście – przez które właśnie przeszli – łatwo wejść, ale prawie niemożliwe znaleźć drogę wyjścia. Prawdziwa pułapka na turystów, jak powiedział jeden z kolegów Langdona. Zgodnie z tradycją architektoniczną, bazylikę zbudowano na planie olbrzymiego krzyża. Jednakże w przeciwieństwie do większości kościołów tu wejście było z boku, a nie od frontu, od głównej nawy. Ponadto dobudowano wiele rozległych krużganków. Jeden fałszywy krok nie pod tym łukiem, co trzeba, i już turysta ginie w labiryncie wewnętrznych przejść otoczonych wysokimi ścianami.

– Przewodnicy mają czerwone narzutki – powiedział Langdon, dochodząc do środka świątyni. Wyjrzał na ukos, przez olbrzymi, górujący nad wszystkim złożony ołtarz, w kierunku południowego ramienia transeptu, i zobaczył kilka osób czołgających się na kolanach i rękach. Taka nabożna pielgrzymka to zwykły widok w Zakątku Poetów, chociaż jej cel nie jest aż tak modlitewny, jak by się wydawało. Turyści kalkujący napisy nagrobne.

– Nie widzę żadnego przewodnika – powiedziała Sophie. – Może się nam uda na własną rękę znaleźć Newtona?

Langdon poprowadził ją kilka kroków w kierunku środka katedry i wskazał na prawo.

Sophie spojrzała w nawę i teraz dopiero doceniła doskonale stąd widoczny ogrom budowli.

– Ach – powiedziała. – To lepiej poszukajmy przewodnika.

W tej samej chwili w nawie, sto metrów dalej – niewidoczny, bo przysłonięty chórem – imponujący grobowiec sir Isaaca Newtona oglądał jedyny zwiedzający. Nauczyciel badał wzrokiem pomnik od dobrych dziesięciu minut.

Grób składa się z masywnego sarkofagu z czarnego marmuru, na którym sylwetka sir Isaaca Newtona w klasycznym stroju wspiera się dumnie o stos jego dzieł – *Divinity, Chronology, Optics i Philosophiae naturalis principia mathematica*. U stóp Newtona stoją dwa uskrzydłone cherubinki, trzymające w rękach zwój pergaminu. Za postacią wspartego o stos książek Newtona wznosi się surowa piramida. Chociaż sama piramida wydaje się dziwna, to najbardziej zaintrygował Nauczyciela olbrzymi kształt umieszczony w połowie odległości do szczytu piramidy.

Kula.

Nauczyciel zastanawiał się nad zadziwiającą zagadką Saunière'a. Brzemienna ma być kula. Olbrzymia kula wylaniająca się z boku piramidy była pokryta płytkami reliefami wyobrażającymi przeróżne ciała niebieskie – konstelacje, znaki zodiaku, komety, gwiazdy oraz planety. Ponad nią widniał wizerunek Bogini Astronomii pod konstelacją gwiazd.

Nieskończona liczba kul.

Nauczyciel był przekonany, że kiedy już znajdzie grób, łatwo będzie odnaleźć kulę, o którą chodzi. Teraz nie był tego pewien. Spoglądał na skomplikowaną mapę nieba. Czy brakowało tu gdzieś jakiejś planety? Czy jakaś astronomiczna kula została pominięta w jakiejś konstelacji? Nie miał pojęcia. Mimo to podejrzewał, że rozwiązanie będzie genialnie proste i jasne. Jakiej kuli mam szukać? Głęboka wiedza w dziedzinie astronomii z pewnością nie była warunkiem koniecznym, by znaleźć Świętego Graala.

*Brzemienna ma być kula, Róży krzew.*

Uwagę Nauczyciela rozproszyło kilku nadchodzących turystów. Wsunął krypteks z powrotem do kieszeni i przyglądał się niechętnie turystom, którzy podeszli do pobliskiego stołu, wrzucili kilka monet do kubeczka na datki i zaopatrzyli się w akcesoria służące do odwzorowywania napisów nagrobnych. Uzbrojeni w węgiel rysunkowy i wielkie kartki grubego papieru, skierowali się prawdopodobnie do popularnego Zakątka Poetów, aby oddać cześć Chaucerowi, Tennysonowi oraz Dickensowi, z zapalem odbijając na kartkach napisy na ich płytach nagrobnych. Nauczyciel był znów sam i teraz podszedł bliżej do grobu, przyglądając mu się dokładnie od góry do dołu. Zaczął od kamiennych, szponiastych nóg sarkofagu, pojechał wzrokiem w górę po sylwetce Newtona, po jego dziełach, obejmując wzrokiem dwóch cherubinów ze zwojami pergaminu wypełnionymi symbolami matematycznymi, po boku piramidy aż do wielkiej kuli z jej konstelacjami, a w końcu doszedł do baldachimu z gwiazd.

Jaka kula powinna tu być? Dotknął krypteksu w kieszeni, jakby miał nadzieję na uzyskanie telepatycznego przekazu z marmurowego arcydzieła Saunière'a. Tylko pięć liter dzieli mnie od Graala.

Podszedł teraz do narożnika balustrady prezbiterium i wziął głęboki oddech, a potem spojrzął w głąb głównej nawy, na główny ołtarz mieniący się w oddali. Jego wzrok spoczął na złoceniach ołtarza, a potem na jasnoczerwonej narzutce przewodnika, do którego machały dwie bardzo dobrze mu znane postacie.

Langdon i Neveu.

Nauczyciel spokojnie wycofał się za balustradę prezbiterium. Są szybcy. Przewidywał, że Langdon i Sophie w końcu rozszyfrują znaczenie wiersza i zjawią się przy grobie Newtona, ale stało się to prędzej, niż przypuszczał. Wziął głęboki oddech, a potem rozważył wszystkie możliwości. Już się przyzwyczaił do radzenia sobie z niespodziankami. To ja mam krypteks.

Sięgnął do kieszeni i dotknął drugiego przedmiotu, który wzmagił jego pewność siebie. Meduza. Jak się można było spodziewać, wykrywacz metalu zawył, kiedy Nauczyciel przechodził z ukrytą bronią. I jak się również można było spodziewać, ochroniarze wycofali się natychmiast, kiedy spojrzeli na nich niechętnie i z góry, a potem pokazał swoje dokumenty. Oficjalny tytuł zawsze przywołuje ludzi do porządku.

Chociaż początkowo Nauczyciel miał nadzieję, że sam rozwikła zagadkę krypteksu i uniknie dalszych komplikacji, teraz czuł, że pojawienie się Langdona i Neveu było w zasadzie dobrą wiadomością. Na razie nie zdołał odnaleźć odniesień do kuli, więc być może uda się wykorzystać ich wiedzę. W końcu, jeśli Langdon odkrył znaczenie wiersza, które doprowadziło ich do grobowca, była spora szansa, że wie też coś o kuli. A gdyby Langdon znał hasło, byłaby to tylko kwestia zastosowania właściwego nacisku.

Oczywiście nie tutaj.

Gdzieś na osobności.

Nauczyciel przypomniał sobie niewielkie ogłoszenie, które zobaczył w drodze do katedry. Natychmiast go ołśniło, że to jest idealne miejsce, w które można ich zwabić.

Pozostawało jednak pytanie... Jakiej użyć przynęty.

Langdon i Sophie szli powoli północną stroną nawy głównej, trzymając się w półcieniach za olbrzymimi filarami, które oddzielały ich od otwartej przestrzeni nawy. Wprawdzie byli już w połowie wysokości nawy, ale wciąż nie widzieli w całości grobu Newtona. Sarkofagu umieszczonego w niszy, nie było wyraźnie widać z tego miejsca.

– Dobrze, że nikogo tam nie ma – szepnęła Sophie.

Langdon kiwnął głową i poczuł, że trochę mu lżej na duszy. Cała przestrzeń nawy wokół grobu Newtona była pusta.

– Ja podejść – szepnął. – Zostań w ukryciu na wypadek gdyby ktoś...

Sophie już wyszła z cienia i podążała w kierunku otwartej przestrzeni.

– ...nas obserwował – westchnął Langdon i przyspieszył kroku, żeby się z nią zrównać.

Przeszli po przekątnej nawy w ciszy i wymyślny grobowiec ukazał im się w całym swoim ogromie... Sarkofag z czarnego marmuru... Oparta o stos książek postać Newtona... Dwa uskrzydłone cherubiny... olbrzymia piramida... Ogromna kula.

– Wiedziałeś o tym? – spytała Sophie zdziwiona.

Langdon potrząsnął przecząco głową równie zdumiony jak ona.

– Patrz na te konstelacje wyrzeźbione na kuli – powiedziała Sophie.

Kiedy podchodzili do niszy, Langdon czuł, że tonie. Grobowiec Newtona był pokryty kulami – gwiazdami, kometami, planetami. *Brzemienna ma być kula, Róży krzew?* Może się okazać, że szukają igły w stogu siana.

– Ciała niebieskie – powiedziała Sophie zmartwiona. – I to całkiem sporo.

Langdon zmarszczył brwi. Jedyne łączenie między planetami a Graalem, który sobie Langdon w tej chwili potrafił wyobrazić, to był pentagram, ale przecież próbowali już związane z nim hasła po drodze do kościoła Temple.

Sophie podeszła blisko do sarkofagu, ale Langdon trzymał się z dala od grobowca, uważnie obserwując przestrzeń wokół nich.

– *Divinity* – powiedziała Sophie, przechylając głowę i odczytując tytuły książek, o które wspierała się sylwetka Newtona. – *Chronology, Optics, Philosophiae naturalis principia mathematica*. – Zwróciła się do Langdona. – Coś ci się kojarzy?

Langdon podszedł bliżej, zastanawiając się. *Principia mathematica* to dzieło, które ma coś wspólnego z grawitacją... Planety z pewnością są kulami, ale to chyba zbyt odległe skojarzenie.

– A co powiesz o znakach zodiaku? – spytała Sophie, wskazując na konstelacje na kuli. – Rozmawialiśmy o Rybach i Wodniku, prawda?

Koniec dni – pomyślał Langdon. Koniec ery Ryb i początek ery Wodnika miały jakoby być historycznym kamieniem milowym, chwilą, w której zakon zamierzał ujawnić światu dokumenty Sangreala. Jednak nowe tysiąclecie zaczęło się bez żadnych szczególnych incydentów, a historycy wciąż nie są pewni, kiedy przyjdzie właściwa chwila na słowo prawdy.

– Mówiłeś – ciągnęła Sophie – że wyznaczenie momentu ujawnienia przez zakon prawdy na temat róży i jej płodnego łona ma związek z układem planet, czyli kul.

Langdon skinął głową, dostrzegając w tym rozumowaniu pewne możliwości. Ale intuicja mówiła mu, że astronomia nie jest kluczem. Poprzednie hasła wielkiego mistrza miały wymowne, symboliczne znaczenie – *Mona Liza, Madonna ze skał, Sofia*. Takiej symboliki z pewnością nie było w koncepcji planet o kulistym kształcie i w zodiaku. Na razie Jacques Saunière udowodnił, że jako autor kodów myśli niezwykle precyzyjnie, i Langdon zakładał, że jego ostatnie słowo dostępu – te pięć liter, które otworzą drogę do ostatecznego sekretu zakonu – nie tylko idealnie wpisze się w symbolikę, ale będzie również krystalicznie jasne. Jeżeli to rozwiązanie miałoby być podobne do pozostałych, kiedy się odsłoni, okaże się boleśnie oczywiste.

– Patrz! – Sophie, wstrzymując oddech i przywołując do rzeczywistości, chwyciła go za ramię. Langdon wyczuł w jej geście lęk i sądził, że ktoś się zbliża, ale kiedy się do niej odwrócił, patrzyła blada na róg czarnego marmurowego sarkofagu. – Ktoś tu był – szepnęła, wskazując miejsce na sarkofagu obok wyciągniętej prawej stopy Newtona.

Langdon nie rozumiał jej przejęcia. Jakiś nieuważny turysta zostawił na wieku sarkofagu, koło stopy Newtona, węgiel rysunkowy do odwzorowania napisów przy grobach poetów. Langdon wyciągnął po niego rękę, ale kiedy się pochylił, światło zmieniło kąt padania na wypolerowaną marmurową płytę i Langdon zamarł. Nagle zobaczył i zrozumiał, czego Sophie tak się przeraziła.

Na sarkofagu, tuż przy stopach Newtona, wypisana była czarnym węglem ledwo widoczna wiadomość:

M a m T e a b i n g a .  
I d ź c i e p r z e z K A P I T U L A R Z ,  
p o ł u d n i o w y m w y j ś c i e m d o o g r o d ó w .

Langdon przeczytał te słowa dwa razy. Serce waliło mu jak młotem.

Sophie odwróciła się i rozejrzała po nawie.

Langdon zadrżał, kiedy zobaczył te słowa, ale potem powiedział sobie, że to dobra wiadomość. Leigh żyje. Pojawił się i inny wniosek.

– Oni też nie znają hasła – szepnął.

Sophie skinęła głową. Inaczej po co by się ujawniali.

– Może będą chcieli wymienić Leigha za hasło.

– Albo to jest pułapka.

Langdon potrząsnął głową.

– Chyba nie. Ogrody są na zewnątrz, poza murami kościoła. To miejsce publiczne.

Langdon był już kiedyś w słynnym ogrodzie opactwa – był to niewielki sad owocowy i grządki z ziołami; ogród przetrwał od czasów, kiedy mnisi hodowali tu zioła do wyrobu naturalnych leków. Sad szczycił się najstarszymi owocującymi drzewami w Wielkiej Brytanii i turyści bardzo lubili tam chodzić.

– Sądzę, że skierowanie nas na zewnątrz jest wyrazem zaufania. Żebyśmy się poczuli bezpiecznie.

– Na zewnątrz, gdzie nie ma wykrywaczy metalu?

Langdon rozumiał. Miała rację.

Rzucając raz jeszcze okiem na grobowiec, na którym kul było w nadmiarze, Langdon żałował, że nie wpadł mu do głowy żaden pomysł na słowo otwierające krypteks... miałby coś w ręku, jakiś argument przetargowy. Ja wciągnąłem w to Leigha i zrobię wszystko, co będę musiał zrobić, jeżeli jest cień szansy, żeby mu pomóc.

– Napis mówi, że mamy iść przez Kapitularz i południowe wyjście – powiedziała Sophie. – Może właśnie z tego wyjścia będziemy mogli zobaczyć, co się dzieje w ogrodzie? Moglibyśmy wtedy ocenić sytuację, zanim wyjdziemy i narazimy się na jakieś niebezpieczeństwo.

To był dobry pomysł. Langdon przypomniał sobie jak przez mgłę, że Kapitułarz to wielka, ośmioboczna komnata, w której obradował kiedyś Parlament brytyjski, zanim zbudowano obecną siedzibę. Był tam przed wielu laty i pamiętał, że idzie się jakoś przez krużganek. Odszedł kilka kroków od grobu, obrzucił wzrokiem balustradę prezbiterium i spojrzał w prawo, na drugą stronę nawy.

W pobliżu zobaczył przejście w grubym kamiennym murze, na którym była tablica informacyjna:

**DROGA DO:  
KRUŻGANKÓW  
DZIEKANATU  
BUDYNKÓW KOLEGIUM  
MUZEUM  
KAPLICY PYXU  
KAPLICY ST FAITH'S  
KAPITUŁARZA**

Langdon i Sophie puścili się pędem, mijając w biegu tablicę informacyjną, zbyt szybko, by zauważyć niewielkie ogłoszenie mówiące o tym, że pewne rejon są zamknięte z powodu prac renowacyjnych, za co opactwo przeprasza.

Wyłonili się wprost na podwórku otoczonym wysokimi ścianami, gdzie zaciął poranny deszcz. Ponad nimi wiatr wył między ścianami, nisko, jakby ktoś dmuchał, przystawivszy usta do butelki. Kiedy Langdon wszedł w wąskie niskie krużganki, które graniczyły z podwórcem, poczuł dobrze znany niepokój, który zawsze opadał go w zamkniętych przestrzeniach. Te krużganki zwane były *cloisters* i Langdon zauważył z niepokojem, że te konkretne *cloisters* wykazują związki leksykalne z łaciną i przypominają swoim brzmieniem słowo „klaustrofobia”.

Otrząsnął się i skoncentrował na widniejącym w oddali końcu tunelu krużganka; szli za znakami wskazującymi Kapitułarz. Deszcz padał teraz z ukosa, a przejście było zimne i mokre, gdyż wiatr niósł strumienie wody między filarami dziurawej ściany, która stanowiła też jedyne źródło światła w kamiennym krużganku. Jakaś inna para przemknęła obok nich w drugą stronę, spiesząc się, aby jak najszybciej wydostać się spod strumieni deszczu. Krużganki wyglądały na opuszczone i chyba były ostatnim obiektem w opactwie, który przy panującej pogodzie mógłby kogoś skusić.

Kiedy przeszli około czterdziestu metrów wschodnim krużgankiem, po ich lewej stronie ukazał się kamienny łuk prowadzący do kolejnego korytarza. To było przejście, którego właśnie szukali, ale zobaczyli tam barierkę i urzędowy napis:

KAPLICA PYXU  
KAPLICA ST FAITH'S  
KAPITUŁARZ  
**ZAMKNIĘTE NA OKRES RENOWACJI**

Długi, pusty korytarz za barierką był zaśmiecony fragmentami rusztowań i szmatami, których używali malarze. Zaraz za barierką Langdon zobaczył wejścia do Kaplicy Pyxu i Kaplicy St Faith's, jedno po prawej, a drugie po lewej stronie. Wejście do Kapitułarza było znacznie dalej, na drugim końcu długiego korytarza. Nawet stąd Langdon widział, że ciężkie drewniane drzwi są szeroko otwarte, a przestronne ośmioboczne wnętrze wypełnia naturalne szare światło padające z olbrzymich okien tego pomieszczenia, wychodzących na ogród. *Idźcie przez Kapitułarz, południowym wyjściem do ogrodów.*

– Właśnie wyszliśmy ze wschodniego krużganka – powiedział Langdon – a więc południowe wyjście do ogrodów powinno być tu, w prawo.

Sophie już przechodziła nad barierką i szła dalej.

Kiedy pospiesznie przemierzali ciemny korytarz, odgłosy deszczu i wiatru z otwartego kamiennego przejścia stawały się coraz cichsze i zniknęły gdzieś z tyłu. Kapitułarz to budowla doczepiona do opactwa – wolno stojąca, dobudowana na końcu długiego holu, skonstruowana tak, by zapewnić izolację posiedzeniom Parlamentu, gdy się tam kiedyś zbierał.

– Ależ potężna – szepnęła Sophie, kiedy podchodzili bliżej.

Langdon zapomniał już, jak wielka to komnata. Nim wszedł, zobaczył szeroką przestrzeń podłogi, a dalej zapierające dech w piersiach okna po drugiej stronie ośmiobocznego pomieszczenia, które pięły się na wysokość pięciu pięter, aż do małego kamiennego sufitu w szczycie. Stąd na pewno będzie widoczny cały ogród.

Kiedy przeszli przez próg, okazało się, że muszą zmrużyć oczy. Po ciemnych i ponurych kamiennych korytarzach w Kapitułarzu czuli się jak w solarium. Weszli na jakieś cztery metry w głąb komnaty, szukając południowej ściany, kiedy zdali sobie sprawę, że wyjście, które tam miało być, nie istnieje.

Stali w ogromnym ślepym zaułku.

Odwrócili się, słysząc skrzypienie zawiasów za sobą, a potem ciężkie drzwi zatrzęsły się z hałasem, echo odbijało się od ściany do ściany, a zasuwę ze szczękiem zamknęła je naглуcho. W postawie człowieka, który stał przed drzwiami, był absolutny spokój. Mierzył do nich z małego rewolweru. Był to postawny mężczyzna wsparty na dwóch aluminiowych kulach.

Przez chwilę Langdon myślał, że to zły sen. To był Leigh Teabing.

Sir Leigha Teabinga wypełniało uczucie smutku, kiedy patrzył na Roberta Langdona i Sophie Neveu, mierząc do nich ze swojej meduzy.

– Przyjaciele – powiedział. – Od chwili, kiedy wczoraj wieczorem weszliście do mojego domu, robiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby nie narażać was na niebezpieczeństwo. Jednak wasz upór stawia mnie teraz w bardzo trudnej sytuacji.

Widział na twarzach Sophie i Langdona szok i poczucie zdrady, był jednak pewien, że oboje wkrótce zrozumieją, jak układał się łańcuch wydarzeń, które doprowadziły całą trójkę do tego nieprawdopodobnego zderzenia.

Tyle jeszcze muszę wam powiedzieć... Tak wielu rzeczy nie rozumiecie.

– Wiercie, proszę – powiedział Teabing. – Nie chciałem was w to wplątywać. To wy przyszliście do mojego domu. Wy znaleźliście mnie.

– Leigh? – W końcu Langdonowi udało się wydobyć z siebie jakieś słowo. – Co ty, do cholery, robisz? Myśleliśmy, że jesteś w niebezpieczeństwie. Przyszliśmy cię ratować!

– Wiedziałem, że tak zrobicie – powiedział. – Mamy wiele do omówienia.

Langdon i Sophie nie mogli oderwać oczu od rewolweru, z którego w nich mierzył.

– To tylko dla skupienia waszej uwagi – powiedział Teabing. – Gdybym was chciał skrzywdzić, już dawno byście nie żyli. Kiedy wczoraj wieczór weszliście do mojego domu, zaryzykowałem wszystko, co miałem, by wam uratować życie. Jestem człowiekiem honoru i przyrzekłem sobie w swoim sumieniu poświęcać tylko tych, którzy zdradzili Sangreala.

– O czym ty mówisz? – spytał Langdon. – Kto zdradził Sangreala?

– Odkryłem straszliwą prawdę – powiedział Teabing, wzdychając. – Już wiem, dlaczego nie ujawniono światu dokumentów Sangreala. Dowiedziałem się, że zakon postanowił w końcu, żeby nie ujrzały światła dziennego. Właśnie dlatego przełom tysiącleci minął spokojnie, dlatego nic się nie wydarzyło, kiedy weszliśmy w koniec dni.

Langdon wziął powietrze w płuca i już miał zaprotestować.

– Zakon – mówił dalej Teabing – miał święty obowiązek podzielić się prawdą. Ujawnić dokumenty Sangreala, kiedy nadejdzie koniec dni. Przez całe wieki ludzie tacy jak Leonardo da Vinci, Botticelli czy Newton ryzykowali wszystko, żeby chronić te dokumenty, a potem wypełnić obowiązek. A teraz, kiedy nadeszła chwila prawdy, Jacques Saunière zmienił zdanie. Człowiek zaszczycony największą odpowiedzialnością w nowożytnej historii zaniedbał swoje obowiązki. Postanowił, że chwila nie nadeszła. – Teabing zwrócił się do Sophie. – Zawiódł Graala. Zawiódł zakon. I zawiódł pamięć wszystkich pokoleń, które pracowały dla tej chwili.

– Ty? – Zielone oczy Sophie wbijały się w niego z wściekłością w pełnej świadomości sytuacji. – Ty odpowiadasz za śmierć mojego dziadka?

Teabing prychnął.

– Twój dziadek i jego seneszale byli zdrajcami Graala.

Sophie poczuła furję wypelzającą z jej wnętrza. On kłamie!

– Twój dziadek zaprzedał się Kościołowi – ciągnął Teabing nieubłaganie. – To oczywiste, że naciskali na niego, żeby nie ujawniał prawdy.

Sophie potrzęsnęła głową.

– Kościół nie miał żadnego wpływu na mojego dziadka!

– Moja droga – zaśmiał się Teabing zimno. – Kościół ma dwa tysiące lat doświadczenia w wywieraniu presji na tych, ze strony których groziło mu ujawnienie jego kłamstw. Od czasów Konstantyna skutecznie ukrywa prawdę o Marii Magdalenie i Jezusie. Nie powinno nas dziwić, że teraz jeszcze raz znalazł sposób, by utrzymywać świat w niewiedzy. Kościół nie zatrudnia już krzyżowców, którzy mordują niewiernych, ale jego wpływ jest nie mniej silny. I nie mniej podstępny. – Przerwał, jakby chciał podkreślić wagę tego, co teraz powie. – Panno Neveu, od jakiegoś czasu pani dziadek chciał powiedzieć pani prawdę o rodzinie.

– Skąd pan wie?

– To nie ma znaczenia. Ważne, żeby pani to zrozumiała raz na zawsze. – Wziął głęboki oddech. – Śmierć pani matki, ojca, babci, dziadka nie była przypadkowa.

Te słowa uwolniły emocje. Sophie otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale nie mogła wykrztusić słowa.

– Co ty opowiadasz?! – zawołał Langdon, potrząsając głową.

– Wszystko jest jasne, Robercie. Układanka złożona. Historia się powtarza. Kościołowi zdarzało się mordować, kiedy trzeba było uciszyć Sangreala. Kiedy się zbliża koniec dni, zabicie najbliższych wielkiego mistrza to jasny przekaz. Bądź cicho, bo ty i Sophie będziecie następni.

– To był wypadek samochodowy – wyjąkała Sophie, czując, że ból, który chowa w sobie od dzieciństwa, nagle z niej wypływa. – Wypadek!

– Bajki na dobranoc, żeby panią chronić – powiedział Teabing. – Proszę zważyć, że nie tknięto tylko dwóch członków rodziny – wielkiego mistrza zakonu i jego jedynej wnuczki – to idealna para, dzięki której Kościół może kontrolować bractwo. Mogę sobie wyobrazić terror Kościoła wobec dziadka w ostatnich latach, groźby, że zabiją panią, jeśli ośmieli się ujawnić tajemnicę Sangreala, że rozpoczęte dzieło zostanie dokończone, chyba że Saunière wpłynie na zakon, by jeszcze raz przemyślał swoją odwieczną przysięgę.

– Nie powiesz przecież, Leigh – odezwał się Langdon poruszony – że masz jakiś dowód, że Kościół miał coś wspólnego ze śmiercią tych ludzi albo że wpłynął na decyzję zakonu.

– Dowód? Chcesz dowodu, że decyzja zakonu była wymuszona? Nowe tysiąclecie nadeszło, a świat pozostaje w niewiedzy. Czy to nie jest dowód?

Jakby echem słów Teabinga w pamięci Sophie odezwał się inny głos. Sophie, muszę ci powiedzieć prawdę o twojej rodzinie. Zdała sobie sprawę, że drży. Czy to mogła być prawda, którą chciał jej powiedzieć dziadek? Że jej rodzina została zamordowana? Co właściwie wiedziała o wypadku, który odebrał jej rodzinę? Znała tylko kilka niejasnych szczegółów. Relacje w gazetach też były niejasne. Wypadek? Bajki na dobranoc? Sophie nagle przypomniały się przejawy nadopiekuńczości dziadka, nigdy nie zostawiał jej samej, kiedy była mała. Nawet kiedy Sophie już była dorosła i studiowała, miała poczucie, że dziadek jakoś ma na nią baczenie. Zastanawiała się, czy przez całe jej życie nie było gdzieś w cieniu członków zakonu, którzy nad nią czuwali.

– Podejrzewałeś, że ktoś nim manipulował – powiedział Langdon, patrząc na Teabinga niedowierzająco – więc go zamordowałeś?

– Nie ja pociągnąłem za spust. Saunière był martwy od lat, od chwili gdy Kościół ukrał mu rodzinę. Był skłonny do ustępstw. Teraz jest wolny od bólu, wolny od wstydu, niemożności udźwignięcia świętego obowiązku. Rozważ wszystkie możliwości. Coś trzeba było zrobić. Czy świat ma na zawsze pozostać w niewiedzy? Czy mamy pozwolić, żeby Kościół po wsze czasy utrwał swoje kłamstwa w naszych księżkach historycznych? Czy mamy pozwolić Kościołowi bez końca wymuszać decyzje morderstwami? Nie, coś trzeba było zrobić! A teraz my jesteśmy naznaczeni, by przejąć spadek po Saunièrze i naprawić zło. – Zamilkł. – My troje. Razem.

Sophie nie mogła uwierzyć w to, co słyszy.

– Jak możesz przypuszczać, że zechcemy ci pomóc?

– Mogę, ponieważ, moja droga, to pani jest powodem, dla którego zakon nie ujawnił dokumentów. Miłość dziadka do pani nie pozwoliła mu rzucić wyzwania Kościołowi. Strach przed konsekwencjami i przed zemstą nad jedyną osobą z rodziny, która mu pozostała, okaleczyły go. Nie



miał okazji, by wyjaśnić prawdę, ponieważ pani go odrzuciła, a to związało mu ręce i kazało czekać. Teraz pani jest winna światu prawdę. Winna jest to pani przez pamięć swojego dziadka.

Langdon porzucił już próby uporządkowania obrazu sytuacji. Pomimo atakującej go lawiny pytań, myślał teraz tylko o jednym – wydostać stąd Sophie żywą. Poczucie winy wobec Teabinga – jak się okazało bezzasadne – przeniosło się na Sophie. To ja ją zawiozłem do Château Villette. Ja jestem odpowiedzialny.

Nie mógł sobie wyobrazić, że Leigh Teabing byłby zdolny zabić ich z zimną krwią tutaj, w Kapitularku, jakkolwiek jednak z pewnością był zamieszany w inne morderstwa podczas swoich obłądnych poszukiwań. Langdon miał przykre przeczucie, że wystrząły z broni w tym otoczonym ze wszystkich stron grubymi ścianami pomieszczeniu, zwłaszcza w tym deszczu, byłyby niesłyszalne. A Leigh właśnie przyznał się przed nami do winy.

Langdon spojrzał ukradkiem na Sophie, która nie mogła się otrząsnąć. Kościół wymordował rodzinę Sophie, żeby wymóc na zakonie milczenie? Langdon wiedział z całą pewnością, że dzisiejszy Kościół nie morduje ludzi. Musi być jakieś inne wyjaśnienie tej sprawy.

– Pozwól Sophie odejść – powiedział, patrząc śmiało na Leigha. – Omówmy to sami.

Teabing zaśmiał się nienaturalnie.

– Obawiam się że to byłby wyraz zaufania, na który mnie w tej chwili nie stać. Ale mogę ci zaproponować coś innego. – Oparł się teraz całym ciężarem na kulach, wciąż trzymając Sophie na muszce, i wyjął z kieszeni klucz sklepienia. Pochylił się trochę, wyciągając go do Langdona. – To jest wyraz zaufania, Robercie.

Robert, niepewny, stał w miejscu. Leigh oddaje nam klucz?

– Weź go – powiedział Teabing, wyciągając ponownie do niego rękę.

Langdonowi przychodził do głowy tylko jeden powód, dla którego Teabing mógłby oddać klucz sklepienia.

– Już otworzyłeś krypteks, tak? Wyciągnąłeś mapę.

Teabing potrząsnął głową.

– Gdybym rozwiązał zagadkę klucza, Robercie, zniknąłbym, aby znaleźć Graala bez ciebie. Nie, nie znam odpowiedzi. Przyznaję to szczerze. Prawdziwy rycerz uczy się pokory w obliczu Graala. Uczy się rozpoznawać i postępować zgodnie ze znakami, które mu są dane. Kiedy zobaczyłem, jak wchodzić do opactwa, zrozumiałem. Przyszliście tam z jakiegoś powodu. Aby pomóc. Nie szukam chwały dla siebie. Służę znacznie potężniejszej sile niż moja duma. Prawdzie. Ludzkość zasługuje na to, żeby znać prawdę. Graal wszystkich nas tu odnalazł i teraz prosi, błaga, żeby go ujawnić. Musimy pracować razem.

Pomimo próśb Teabinga o współpracę i zaufanie jego broń wciąż była wycelowana w Sophie, kiedy Langdon zrobił krok i wziął w rękę zimny kamienny cylinder. Ocet, który znajdował się w środku, zachlupotał. Dyski były wciąż ustawione w przypadkowym położeniu, a krypteks zamknięty.

Langdon spojrzał na Teabinga.

– Skąd wiesz, że go teraz nie rozbiję?

Śmiech Teabinga zabrzmiał jak niesamowity chichot.

– Już w kościele Temple zdałem sobie sprawę, że to z twojej strony pusta groźba. Robert Langdon nigdy by nie rozbił krypteksu. Jesteś historykiem, Robercie. Trzymasz w ręku klucz do dwóch tysięcy lat historii ludzkości – zaginiony klucz do Sangreala. Czujesz ducha rycerzy, którzy spłonęli na stosach, by chronić jego tajemnicę. Pozwolisz im umrzeć na marne? Nie, ty ich pomścisz. Dołączysz do wielkich, których podziwiasz – Leonarda da Vinci, Botticellego, Newtona – każdy z nich byłby zaszczycony, gdyby mógł się teraz znaleźć na twoim miejscu. Zawartość tego krypteksu woła do nas wielkim głosem. Tęskni, żeby się wydostać na wolność. Nadszedł czas. Przeznaczenie doprowadziło nas wszystkich do tego miejsca i czasu.

– Nie mogę ci pomóc, Leigh. Nie mam pojęcia, jak to otworzyć. Widziałem grób Newtona tylko przez chwilę. A nawet gdybym znał słowo dostępu... – Langdon przerwał, zdając sobie sprawę, że powiedział za dużo.

– Nie powiedziałbyś mi? – Teabing westchnął. – Jestem rozczarowany i zdziwiony, Robercie, że nie doceniasz, do jakiego stopnia jesteś moim dłużnikiem. Moje zadanie byłoby znacznie prostsze, gdybyśmy od razu wyeliminowali was oboje, gdy weszliście do Château Villette. Tymczasem ja zaryzykowałem wszystko, żeby przestawić ster na bardziej szlachetny kurs.

– To jest szlachetne? – zapytał Langdon, skierowując wzrok na broń.

– To wina Saunière'a – powiedział Teabing. – On i jego seneszale skłamałi Syłasowi. W przeciwnym razie, gdyby tego nie zrobili, dotarłbym do klucza bez komplikacji. Jak mogłem sobie w ogóle wyobrazić, że wielki mistrz pokusi się o to, by mnie oszukać i przekazać klucz swojej wnuczce, z którą nie rozmawiał od lat? – Teabing spojrzał na Sophie pogardliwie. – Komuś o tak niskich kwalifikacjach, że potrzebuje opiekuna, znawcy symboli, żeby zrobić krok. – Teabing popatrzył znowu na Langdona. – Na szczęście, Robercie, twoje zaangażowanie okazało się łaskawym zrządzeniem losu. Nie dopuściłeś, by klucz sklepienia na zawsze pozostał w banku depozytowym, wyciągnąłeś go i ujawniłeś się w moim domu.

Gdzieś indziej miałbym się udać? – pomyślał Langdon. Społeczność historyków Graala jest mała, a z Teabingiem już coś kiedyś przeżyłem.

– Kiedy dowiedziałem się, że Saunière przed śmiercią zostawił ci wiadomość – ciągnął Teabing – miałem już wyrobione zdanie i wiedziałem, że jesteś w posiadaniu wartościowych informacji na temat zakonu. Nie byłem pewien, czy masz klucz sklepienia, czy informacje, gdzie go znaleźć. Policja jednak deptała ci po piętach i podejrzewałem, że być może zjawisz się na moim progu.

– A gdybym się nie zjawił? – Langdon popatrzył na niego niechętnie.

– Już sobie planowałem, jak wyciągnąć do ciebie pomocną dłoń. Tak czy inaczej, klucz miał trafić do Château Villette. To, że rzuciłeś go wprost w moje ręce, dowodzi tylko, że działałem w słusznej sprawie.

– Co?! – Langdon nie mógł wyjść ze zdumienia.

– Syłas miał się włamać i ukraść ci krypteks już w Château Villette – to miało usunąć cię z równania, nie krzywdząc nikogo, a mnie postawić poza wszelkim podejrzeniem o współdziałanie. Kiedy jednak zobaczyłem, jak skomplikowane są kody Saunière'a, postanowiłem włączyć was w moje poszukiwania na dłużej. Kazałem Syłasowi ukraść klucz sklepienia później, kiedy już będę wiedział dostatecznie dużo, żeby podążać dalej sam.

– W kościele Temple – powiedziała Sophie, a w tonie jej głosu słychać było głęboki niesmak.

Zaczyna im coś świtać – pomyślał Teabing. Kościół Temple nadawał się idealnie do tego, żeby wykraść klucz, a jego z pozoru olbrzymie znaczenie w świetle wiersza Saunière'a było doskonałym pretekstem. Rémy miał jasne rozkazy – trzymać się z daleka i nie pokazywać, gdy Syłas będzie odyskiwać klucz. Niestety, Langdon zagroził, że rozbije krypteks o kamienną podłogę kaplicy, i Rémy wpadł w panikę. Szkoda, że Rémy się pokazał, myślał z żalem Teabing, przypominając sobie jego udawane porwanie. Przez Rémy'ego można przecież było do mnie dojść, a on pokazał wszystkim swoją twarz!

Na szczęście Syłas nie wiedział, kim jest Teabing, łatwo dał się ogłupić i wciągnąć w sfingowane wywlekanie z kościoła, a potem w całej naiwności obserwował, jak Rémy wiąże zakładnika w tylnej części limuzyny.

Kiedy dźwiękoszczelna szklana szyba oddzieliła kabinę pasażera od kierowcy, Teabing mógł zadzwonić do Sylasa, siedzącego z przodu, i używając francuskiego akcentu Nauczyciela, skierować Sylasa do domu Opus Dei. Anonimowy telefon na policję wystarczył, żeby usunąć Sylasa ze sceny.

Jeden kłopot z głowy.

Drugi był większy. Rémy.

Teabing długo walczył ze sobą i nie mógł podjąć żadnej decyzji, ale w końcu Rémy sam udowodnił, że jest tylko przeszkodą. Każda wyprawa po Świętego Graala wymaga poświęceń. Najprostsze rozwiązanie nasunęło się Teabingowi, kiedy zobaczył barek w limuzynie – piersiówkę, koniak i puszkę orzeszków ziemnych. Proszek na dnie tej puszki wystarczył aż nadto, żeby wywołać u Rémy'ego śmiertelną alergię. Kiedy Rémy zaparkował limuzynę na Horse Guards Parade, Teabing wstał z tylnego siedzenia, wyszedł z samochodu, podszedł do drzwi pasażera i usiadł z przodu, tuż przy Rémy. Kilka minut później znów wysiadł z samochodu, wszedł do tyłu, usunął ślady i dowody i w końcu wyłonił się ponownie, by przeprowadzić ostatni akt swojej misji.

Opactwo Westminsterkie było tylko kilka kroków stamtąd. Jednak kule Teabinga oraz broń wzbudziły impuls w wykrywaczu metalu, a ochroniarze nie wiedzieli, co robić. Mamy mu kazać ściągać obejmy z nóg i przeczołgiwać się przez bramkę? Będziemy obszukiwać jego kalekie ciało? Teabing podsunął zdeorientowanym strażnikom łatwiejsze rozwiązanie – opatrzony herbem identyfikator, mówiący niedwuznacznie, że jest szlachcicem nobilitowanym przez samą królową. Biedacy, omal się nie przewracali z przejęcia, kiedy go zapraszali do środka.

Teraz, patrząc na zdziwionych Langdona i Neveu, Teabing opierał się pokusie, by powiedzieć im, jak genialnie udało mu się wciągnąć Opus Dei w swój błyskotliwy plan, który już wkrótce doprowadzi cały Kościół do ruiny. To jednak musi jeszcze poczekać. Teraz miał coś innego do zrobienia.

– *Mes amis* – powiedział Teabing bezbłędną francuszczyzną – *vous ne trouvez pas le Saint-Graal, c'est le Saint-Graal qui vous trouve.* – Uśmiechnął się. – Ścieżka, którą kroczymy razem, nie mogła być szersza ani prostsza. Graal nas odnalazł.

Cisza.

Teraz mówił do nich szeptem.

– Posłuchajcie. Słyszycie? Graal przemawia do was przez wieki. Prosi, żebyśmy go uwolnili od szaleństwa zakonu. Błagam, zrozumcie, że to niepowtarzalna okazja. Jedynie nasze skojarzone myślenie może złamać ostatni kod i otworzyć krypteks. – Teabing przerwał i oczy mu zaświeciły. – Musimy sobie poprzysiąc. Poprzysiąc sobie zaufanie. Dać sobie rycerskie słowo, że razem odkryjemy prawdę i ujawnimy ją światu.

Sophie spojrzała prosto w oczy Teabinga i odparła chłodnym tonem:

– Nigdy nie przysięgnę niczego zabójcy mojego dziadka. Mogę co najwyżej przysiąc, że zrobię wszystko, żeby go posłać do więzienia.

Teabing poczuł chłód w sercu, a potem powiedział zdecydowanie:

– Bardzo mi przykro, że pani tak myśli, *mademoiselle*. – Odwrócił się i wymierzył broń w Langdona. – A ty Robercie? Jesteś ze mną czy przeciwko mnie?

Ciało biskupa Manuela Aringarosy znało różne rodzaje bólu, ale piekący ból rany od kuli w piersi był mu z gruntu obcy. Głęboki, ciężki ból, bliższy raczej bólowi duszy niż ciała.

Otworzył oczy, próbując coś dostrzec, ale deszcz padający na twarz rozmywał obraz. Gdzie jestem? Czuję, że trzymają go silne ramiona, że ktoś go niesie jak szmacianą lalkę, że jego czarna sutanna łopoce w porywach wiatru.

Podniósł bolące ramię i przetarł oczy. Człowiekiem, który go niósł, był Sylas. Olbrzymi albinos z trudem posuwał się zlanym wodą chodnikiem, krzycząc głośno, że potrzebny jest szpital, a w jego głosie słychać było rozdzierające serce cierpienie. Czerwone oczy skierował przed siebie, a po jego bladej, zakrwawionej twarzy płynęły łzy zmieszane z kroplami deszczu.

– Synu – szepnął Aringarosa – jesteś ranny.

Sylas spojrział w dół, twarz miał wykrzywioną cierpieniem.

– Tak mi przykro, ojcze. – Cierpienie odbierało mu zdolność mówienia.

– Nie, Sylasie – odparł Aringarosa. – To mnie jest przykro. To moja wina. – Nauczyciel przyrzekł mi, że nie będzie żadnego zabijania, a ja ci kazałem we wszystkim być mu posłusznym. – Za mocno pragnąłem. Za bardzo się bałem. Obu nas oszukano. – Nauczyciel nigdy nie zamierzał dopuścić nas do tajemnicy Świętego Graala.

W ramionach człowieka, którego przyjął do siebie tyle lat temu, biskup Aringarosa czuł, jakby cofał się w czasie. Hiszpania. Skromne początki, budowa niewielkiego kościoła w Oviedo przy pomocy Sylasa. A potem Nowy Jork, gdzie olbrzymi ośrodek Opus Dei przy Lexington Avenue głosił chwałę Boga.

Pięć miesięcy temu Aringarosa otrzymał fatalne wieści. Cała praca jego życia była zagrożona. Przypominał sobie żywo, w szczegółach, spotkanie w Castel Gandolfo, które zmieniło jego życie... I wiadomość, która zapoczątkowała całe to nieszczęście.

Aringarosa wszedł do Biblioteki Astronomicznej w Castel Gandolfo, trzymając głowę wysoko, spodziewając się, że powita go łańcuch wyciągniętych dłoni, że wszyscy będą chcieli gratulować i poklepywać go po plecach w uznaniu jego zasług dla katolicyzmu w Ameryce.

Było tam jednak tylko trzech ludzi.

Sekretarz watykański. Tłusty. Ponury.

Dwóch wysokich rangą kardynałów włoskich. Świętoszkowatych. Gładkich.

– Księżę sekretarzu? – Aringarosa był zaskoczony.

Okrągłych kształtów hierarcha, do którego obowiązków należało pilnowanie spraw prawnych Watykanu, potrząsnął dłonią Aringarosy i zaprosił go ruchem ręki, by siadł na fotelu na wprost niego.

– Proszę, niech się ksiądz biskup rozgości.

Aringarosa usiadł, czując, że coś jest nie tak.

– Nie mam wprawy w pogawędkach o niczym, księżę biskupie – powiedział sekretarz watykański – więc będę szczery i powiem wprost, jakie są powody księdza obecności w tym miejscu.

– Proszę mówić otwarcie. – Aringarosa spojrział kątem oka na dwóch kardynałów, którzy mierzyli go wzrokiem, już z góry osądziwszy.

– Jak ksiądz doskonale wie – powiedział sekretarz watykański – Jego Świątobliwość i inne osobistości w Rzymie ostatnio bardzo się martwią skutkami politycznymi kontrowersyjnych praktyk Opus Dei.

Aringarosa czuł, że dostaje gęszej skórki. Już rozmawiał o tym kilkakrotnie z nowym gospodarzem na Stolicy Piotrowej, który – ku wielkiemu rozczarowaniu Aringarosy – okazał się gorącym zwolennikiem liberalnych zmian w Kościele.

– Chcę księdza zapewnić – powiedział szybko sekretarz watykański – że Jego Świątobliwość nie chce niczego zmieniać w metodach, jakimi ksiądz biskup prowadzi swoją posługę.

Mam nadzieję!

– O co więc chodzi?

Potężny mężczyzna westchnął.

– Księżę biskupie, nie wiem, jak to powiedzieć delikatnie, więc powiem to wprost. Dwa dni temu Rada Sekretariatu Stanu przegłosowała jednomyślnie wycofanie paragrafa Watykanu dla Opus Dei.

Aringarosa był pewien, że się przesłyszał.

– Nie bardzo rozumiem.

– Mówiąc wprost, za sześć miesięcy od dzisiaj Opus Dei nie będzie już traktowana jako papieska prałatura personalna. Będziecie kościołem niezależnym, niezwiązanym ze Stolicą Świętą tak jak teraz. Jego Świątobliwość akceptuje to i już zaczęliśmy przygotowywać odpowiednie dokumenty prawne.

– Ale... to niemożliwe!

– Wprost przeciwnie, to całkiem możliwe. I konieczne. Wasze agresywne metody rekrutacji i praktyki umartwiania ciała stawiają Jego Świątobliwość w niezręcznej sytuacji. – Przerwał. – Jak również wasza polityka w kwestii kobiecej. Mówiąc szczerze, Opus Dei nam ciąży i staje się kłopotliwe.

Biskup Aringarosa osłupiał.

– Staje się kłopotliwe?

– Nie powinien się ksiądz biskup dziwić, że do tego doszło.

– Opus Dei to jedyna organizacja katolicka, której szereg i rosła. Mamy teraz ponad tysiąc stu księży!

– To prawda. Bardzo nas to martwi.

Aringarosa zerwał się na równe nogi.

– Proszę zapytać Jego Świątobliwość, czy Opus Dei było równie kłopotliwe w tysiąc osiemset osiemdziesiątym drugim roku, kiedy wsparliśmy Bank Watykański!

– Watykan zawsze będzie wam wdzięczny – powiedział sekretarz pojednawczym tonem – ale są i tacy, którzy do dziś uważają, że wasza ówczesna szczodrość finansowa dała wam uprzywilejowany status papieskiej prałatury personalnej.

– To nieprawda! – Ta insynuacja była dla Aringarosy głęboko obraźliwa.

– Jakkolwiek było, zamierzamy działać na zasadzie dobrej woli. Planujemy, że warunki odłączenia będą obejmować zwrot tych kwot. Będą one wypłacone w pięciu ratach.

– Chcecie mnie kupić? – spytał poirytowany Aringarosa. – Spłacić mnie, żebym sobie poszedł, milcząc? Podczas gdy w dzisiejszym świecie Opus Dei jest jedynym głosem rozsądku!

Jeden z kardynałów podniósł wzrok.

– Przepraszam, czy ksiądz biskup powiedział: rozsądek?

Aringarosa pochylił się nad stołem i trochę podniósł głos.

– Czy zastanawialiście się, dlaczego katolicy odchodzą od Kościoła? Proszę się rozejrzeć wokół siebie, księżę kardynale. Ludzie tracą szacunek. Zasady wiary to już przeszłość. Doktryna zamieniła się w kolejkę do lady, z której można wybierać. Abstynencja seksualna, spowiedź, komunie, chrzest, msza – proszę wybierać – bierz taką kombinację, jaka ci odpowiada, i nie zwracaj uwagi na całą resztę. Jakież to przewodnictwo duchowe proponuje dzisiaj Kościół?

– Zasad wywodzących się z trzeciego wieku – powiedział drugi kardynał – nie można stosować w odniesieniu do współczesnych wyznawców Chrystusa. Te reguły w dzisiejszym społeczeństwie nie działają.

– No cóż, jak widać, w Opus Dei działają!

– Biskupie Aringarosa – powiedział sekretarz watykański, kończąc dyskusję. – Z szacunku dla związku waszej organizacji religijnej z poprzednim papieżem Jego Świątobliwość daje Opus Dei sześć miesięcy na dobrowolne odłączenie się od Watykanu. Proponuję, żeby Opus Dei podało jako powód różnicę zdań ze Stolicą Świętą i określiło się jako niezależna organizacja chrześcijańska.

– Odmawiam! – oświadczył Aringarosa. – I powiem to osobiście.

– Obawiam się, że Jego Świątobliwość nie życzy sobie już spotykać się z księdzem biskupem.

Aringarosa wstał.

– Nie ośmieli się unieważnić prałatury personalnej ustanowionej przez poprzedniego papieża!

– Przykro mi. – Spojrzenie sekretarza watykańskiego było twarde. – Pan daje i Pan odbiera.

Aringarosa wyszedł z tego spotkania na chwiejnych nogach, zaskoczony i przerażony tym, co się stało. Wrócił do Nowego Jorku i całe dni patrzył w horyzont – rozczarowany i odrącony, pogrążony w smutku na myśl o przyszłości chrześcijaństwa.

Kilka tygodni później otrzymał telefon, który wszystko zmienił. Dzwoniący miał francuski akcent i przedstawił się jako Nauczyciel – tytuł powszechnie stosowany w prałaturze. Powiedział, że wie o watykańskich planach wycofania poparcia dla Opus Dei.

Skąd może o tym wiedzieć? – zastanawiał się Aringarosa. Miał nadzieję, że tylko garstka watykańskich mocodawców wie, że Opus Dei czeka zniesienie przywilejów. Widać, wieść się rozeszła. Jeśli idzie o rozprzestrzenianie się plotek, nie ma na świecie tak przepuszczalnych murów jak mury Watykanu.

– Mam uszy wszędzie, księżę biskupie – szeptał Nauczyciel. – Dzięki tym uszom udało mi się pozyskać pewną wiedzę. Z pomocą Waszej Eminencji mogę odkryć miejsce, gdzie przechowuje się święty zabytek, który da księdzu olbrzymią władzę... Tak wielką, że Watykan się przed księdzem ukorzy. Tak wielką, że zdoła uratować prawdziwą wiarę. – Przerwał. – Nie tylko uratować ją dla Opus Dei. Ale dla nas wszystkich.

Pan odbiera... i Pan daje. Aringarosa zobaczył promień nadziei.

– Opowiedz, jaki masz plan.

Kiedy drzwi szpitala Świętej Marii otworzyły się, biskup Aringarosa był nieprzytomny. Sylas wpadł do przedsionka skrajnie wyczerpany. Padł na kolana i krzyczał o pomoc. Oczekujący w szpitalnym korytarzu ze zdziwieniem patrzyli na półnagięgo albinosa, niosącego w ramionach zakrwawionego księdza.

Lekarz, który pomagał Sylasowi położyć nieprzytomnego biskupa, miał ponury wyraz twarzy, kiedy badał puls Aringarosy.

– Stracił wiele krwi. Słaba nadzieja.

Aringarosa zamrugał oczami, wrócił na chwilę do rzeczywistości i skierował wzrok na Sylasa.

– Mój synu...

Duszę Sylasa ośmiadnęły wyrzuty sumienia i wściekłość.

– Ojczy, nawet gdybym miał poświęcić na to życie, znajdę tego, co nas oszukał, i zabiję.

Aringarosa potrząsnął głową, patrząc smutno wokół siebie, kiedy lekarze przygotowywali go do przewiezienia na salę operacyjną.

– Sylasie... Jeśli nie nauczyłeś się niczego ode mnie, proszę... przyjmij teraz tę naukę. – Wziął dłoń Sylasa w swoje dłonie i mocno ją ścisnął.

– Przebaczenie to największy dar od Boga.

– Ale, ojczy...

Aringarosa zamknął oczy.

– Módl się, Sylasie.

Robert Langdon stał pod pnącą się wysoko kopułą pustego Kapitularza i patrzył wprost w wylot lufy broni Leigha Teabinga.

Jesteś ze mną, czy przeciwko mnie, Robercie? Słowa historyka rodziny królewskiej Wielkiej Brytanii odbijały się echem w ciszy umysłu Langdona.

Na to pytanie nie było dobrej odpowiedzi, to wiedział. Jeśli odpowie – z tobą, to sprzeda Sophie. Jeśli odpowie – przeciwko tobie, wtedy Teabing nie będzie miał innego wyjścia, jak tylko zabić ich oboje.

Lata nauczania nie wyposażyły Langdona w umiejętność stawiania czoła broni, ale dały mu umiejętność mierzenia się z paradoksalnymi pytaniami. Kiedy nie ma dobrej odpowiedzi na pytanie, pozostaje odpowiedź szczerą.

Szara strefa pomiędzy tak a nie.

Milczenie.

Wpatrując się w krypteks w swoich dłoniach, Langdon postanowił zastosować unik.

Nie podnosząc wzroku, zrobił krok do tyłu, ku olbrzymiej pustej przestrzeni. Neutralny teren. Miał nadzieję, że skupienie uwagi na krypteksie zasygnalizuje Teabingowi, że jakaś forma współpracy jest możliwa, a milczenie zasygnalizuje Sophie, że jej nie opuszcza.

Kupuję sobie czas, żeby pomyśleć.

Właśnie o przemyślenia, jak podejrzewał Langdon, chodziło Teabingowi. Dlatego dał mi do ręki krypteks. Żebym mógł poczuć wagę swojej decyzji. Historyk rodziny królewskiej miał nadzieję, że dotknięcie krypteksu wielkiego mistrza pomoże Langdonowi zrozumieć w pełni znaczenie tego, co zawiera, wyzwoli jego akademicką dociekliwość i przekona, że jeśli nie uda mu się otworzyć krypteksu, będzie to strata dla historii.

Sophie stała pod muszką po drugiej stronie pomieszczenia i Langdon myślał ze strachem, że ulotne słowo dostępu jest dla niego jedyną nadzieją na uwolnienie jej. Jeśli uda mi się wydobyć mapę, Teabing będzie negocjował. Zmuszając umysł do wykonania tego najważniejszego zadania, Langdon powoli szedł w kierunku olbrzymich okien... Przez jego mózg przepływały niezliczone skojarzenia astronomiczne odnoszące się do grobu Newtona.

Brzemienna ma być kula, Róży krzew.

Podszedł bliżej do strzelistych okien, szukając inspiracji na kolorowych witrażach. Bez skutku.

Postaw się w położeniu Saunière'a, mówił sobie, patrząc na ogród za oknami. Jaka to kula według niego powinna być na grobie Newtona? Wyobrażenia gwiazd, komet i planet migotały w padającym deszczu, ale Langdon czuł, że nie tędy droga. Saunière nie był człowiekiem nauk ścisłych. Był humanistą, artystą i historykiem. Sakralność kobieca... Kielich... róża... Wygnana Maria Magdalena... Kres Wielkiej Bogini... Święty Graal.

Legenda przedstawiała Graala jako piękną kobietę, która tańczy gdzieś w cieniu, niedosięga dla oczu, szepcze do ucha, kusi i zwodzi, a potem rozplywa się we mgle.

Patrząc na szumiące drzewa w ogrodzie, Langdon czuł jej radosną obecność. Znaki były wszędzie. Jak zwodnicze postacie wyłaniające się z mgły, gałęzie najstarszej jabłoni w Anglii, obsypane pięciolistnymi białymi kwiatami, błyszczały jak gwiazdy. Bogini Wenus była teraz w ogrodzie. Tańczyła w deszczu, śpiewała odwieczną pieśń, wyglądała spoza obsypanych kwieciami gałęzi, jakby chciała przypomnieć Langdonowi, że rosnący owoc wiedzy jest tuż-tuż.

Po drugiej stronie komnaty sir Leigh Teabing przyglądał się z ufnością Langdonowi wyglądającemu przez okno, jakby był pod działaniem jakiegoś zaklęcia.

Tak jak przewidywałem – pomyślał Teabing. Zaraz na to wpadnie.

Od dłuższego czasu Teabing podejrzewał, że Langdon ma klucz do Graala. Nie przypadkiem Teabing wprowadził w życie plan tego wieczoru, kiedy Langdon miał się spotkać z Jacques'em Saunière'em. Prowadząc nasłuch rozmów kustosa, Teabing był pewien, że jego chęć spotkania się prywatnie z Langdonem może oznaczać tylko jedno. Tajemnicza praca Langdona dotknęła czulego miejsca zakonu. Langdon jest bliski prawdy, a Saunière boi się jej ujawnienia. Teabing był przekonany, że wielki mistrz chce skłonić Langdona do milczenia.

Prawda była skrywana już dość długo!

Teabing wiedział, że musi działać szybko. Atak Sylasa miał spełnić dwa cele. Zapobiec rozmowie Saunière'a z Langdonem, i dać Teabingowi szansę na ewentualną pomoc Langdona, który wciąż jeszcze będzie w Paryżu, gdy klucz sklepienia znajdzie się już w rękach Teabinga.

Zaaranżowanie tego brzemiennego w skutki spotkania między Saunière'em a Sylasem okazało się niewiarygodnie proste. Dzięki ściśle tajnym informacjom dotyczącym najgłębszych lęków Saunière'a. Wczoraj po południu Sylas zadzwonił do kustosa Luwru i udał, że jest zagubionym duchownym.

– *Monsieur Saunière*, proszę mi wybaczyć, ale muszę z panem natychmiast porozmawiać. Nie wolno mi łamać tajemnicy spowiedzi, ale tym razem czuję, że muszę. Właśnie wyspowiadał mi się pewien człowiek, który twierdzi, że zamordował kogoś z pana rodziny.

Reakcja Saunière'a była żywa, choć ostrożna.

– Moja rodzina zginęła w wypadku. Raport policji nie pozostawia co do tego żadnych wątpliwości.

– Tak, wypadek samochodowy – powiedział Sylas, jakby łapiąc haczyk. – Człowiek, który ze mną rozmawiał, powiedział, że zepchnął samochód z drogi do rzeki.

Saunière milczał.

– *Monsieur Saunière*, nigdy bym do pana nie zadzwonił wprost, ale ten człowiek powiedział coś takiego, że teraz boję się o pańskie bezpieczeństwo. – Przerwał. – A także pańskiej wnuczki Sophie.

Dźwięk imienia Sophie podziałał jak katalizator, skłonił Saunière'a do działania. Kazał Sylasowi przyjść natychmiast do siebie i umówił się z nim tam, gdzie jak sądził, będzie najbezpieczniej – w jego gabinecie w Luwrze. Następnie zadzwonił do Sophie, żeby ją ostrzec, że może być w niebezpieczeństwie. Spotkanie z Robertem Langdonem nie doszło do skutku.

Teraz, kiedy Teabing miał Langdona i Sophie osobno, w odległych częściach komnaty, czuł, że udało mu się ich rozdzielić. Sophie Neveu była cały czas oporna, ale Langdon widział z pewnością wszystko w szerszej perspektywie. Próbował znaleźć hasło i otworzyć krypteks. On rozumie, że znalezienie Graala oznacza również uwolnienie Sophie.

– Nie otworzy go dla pana – powiedziała zimno Sophie. – Nawet jeśli potrafi.

Teabing przyglądał się Langdonowi, cały czas trzymając Sophie na muszce. Był teraz prawie pewien, że będzie musiał użyć broni. Chociaż ta myśl nie była mu miła, wiedział, że się nie zawaha, jeżeli zajdzie konieczność. Dałem jej wiele dróg wyjścia. Graal jest większy niż każdy z nas tu obecnych.

W tej chwili Langdon odwrócił się od okna.  
– Grobowiec... – powiedział, a w jego oczach zalsniła nieśmiała iskierka nadziei. – Wiem, gdzie patrzeć na grobowcu Newtona. Tak, chyba uda mi się znaleźć hasło!

Teabing poczuł, że serce mu rośnie.

– Gdzie, Robercie? Powiedz!

– Nie, Robercie! – krzyknęła Sophie przerażona. – Przecież mu nie pomożesz, prawda?

Langdon podszedł do nich pewnym krokiem, trzymając przed sobą krypteks.

– Nie – powiedział i popatrzył twardo na Teabinga. – Nic nie powiem, chyba że cię wypuści.

– Jesteśmy już tak blisko, Robercie. – Zapal Teabinga zgasł. – Niech ci nie przychodzą do głowy żadne gierki!

– To nie są gierki – powiedział Langdon. – Schowaj broń. Wtedy pójdziemy do grobu razem i otworzymy krypteks.

– Ja nigdzie nie idę – powiedziała stanowczo Sophie, mrużąc oczy z wściekłości. – Krypteks dał mi mój dziadek. Nie jest wasz, żebyście go sobie otwierali.

Langdon odwrócił się do niej z lękiem.

– Proszę cię, Sophie. Jesteś w niebezpieczeństwie. Chcę ci pomóc!

– Ale jak? Odkrywając tajemnicę, dla której umarł mój dziadek? Zaufał ci, Robercie. I ja ci ufam.

W niebieskich oczach Langdona ukazał się strach, a Teabing tylko się uśmiechał, kiedy tych dwoje zjeżyło się na siebie. Wysiłki Langdona, żeby zachować się po rycersku, były żałosne. Stoi u wrót jednej z największych tajemnic ludzkości i chce mu się zawracać głowę kobietą, która udowodniła, że jest niegodna uczestnictwa w poszukiwaniu Świętego Graala.

– Sophie – błagał Langdon. – Proszę cię... Musisz wyjść.

Potrząsnęła głową.

– Nie wyjdę, chyba że oddasz mi krypteks albo rozbijesz go o podłogę.

– Co takiego? – Langdon nie potrafił ukryć zdumienia.

– Robercie, mój dziadek wolałby, żeby jego tajemnica poszła z nim do grobu, niż żeby dostała się człowiekowi, który go zamordował. – Sophie opanowała wzruszenie i patrzyła Teabingowi prosto w oczy. – Zabij mnie, jeżeli musisz. Nie zostawię dziedzictwa mojego dziadka w twoich rękach.

No cóż, dobrze. Teabing wycelował.

– Nie! – krzyknął Langdon, podnosząc w górę rękę i zawieszając krypteks niebezpiecznie nad kamienną podłogą. – Jeśli tak, Leigh, to ja to puszczam.

Teabing się zaśmiał.

– To był blef, w który uwierzył Rémy. Ale nie ja. Znam cię lepiej.

– Czyżby, Leigh?

Tak, żebyś wiedział. Musisz popracować nad pokerową twarzą, przyjacielu. Wystarczyło mi kilka sekund, żeby się zorientować, że kłamiesz. Nie masz pojęcia, gdzie jest odpowiedź na grobie Newtona.

– Rzeczywiście, Robercie? Wiesz, gdzie szukać na grobie Newtona?

– Tak.

Teabing zauważył ślad niepewności w oczach Langdona. Wyczytał w nich kłamstwo. Desperacka, śmieszna intryga, żeby uratować Sophie. Czuł się głęboko rozzarowany Robertem Langdonem.

Jestem samotnym rycerzem otoczonym przez niegodnych. I będę musiał sam rozszyfrować hasło do klucza sklepienia.

Langdon i Neveu byli teraz dla Teabinga tylko zagrożeniem. A także zagrożeniem dla Graala. Choć rozwiązanie było przykre, wiedział, że zastosuje je z czystym sumieniem. Trzeba tylko jakoś przekonać Langdona, żeby postawił krypteks na podłodze, wówczas Teabing spokojnie zakończy tę szaradę.

– Znak zaufania – powiedział Teabing, opuszczając broń. – Postaw krypteks na podłodze, a będziemy rozmawiać.

Langdon wiedział, że jego kłamstwo nie poskutkowało.

Widział teraz na twarzy Teabinga jakieś mroczne postanowienie i wiedział, że nadeszła dla nich chwila prawdy. Kiedy postawię krypteks, zabije nas oboje. Nawet nie patrząc na Sophie, słyszał milczące wołanie jej serca. Robercie, ten człowiek nie jest wart Graala. Proszę, nie oddawaj go w jego ręce. Za żadną cenę.

Langdon podjął decyzję już kilka minut temu, kiedy stojąc samotnie, patrzył w okno wychodzące na ogród.

Uratować Sophie.

Uratować Graala.

Langdon niemal krzyknął w skrajnej rozpacz. Ale jak!

Bolesne rozzarowanie przyniosło ze sobą jasność umysłu, jakiej nie czuł jeszcze nigdy. Prawda jest tuż-tuż, przed twoimi oczyma, Robercie. Nie wiedział, skąd przyszło to olśnienie. Graal nie szydzi z ciebie, woła do ciebie, bo jesteś go godny.

Teraz, schyliwszy się kilka metrów przed Leighem Teabingiem, Langdon trzymał krypteks w odległości kilku centymetrów od kamiennej podłogi.

– Tak, Robercie – szepnął Teabing, mierząc do niego z pistoletu. – Postaw go.

Langdon podniósł oczy ku niebu, ku ogromnej pustce kopuły Kapitularka. Przykucnął i skierował oczy na broń Teabinga, której lufa mierzyła prosto w niego.

– Wybacz mi, Leigh.

Jednym płynnym ruchem poderwał się, jednocześnie wyrzucając ręce ku niebu, a krypteks poszybował prosto w górę, ku starej kopule.

Leigh Teabing nie czuł, jak naciska na spust, ale meduza wypaliła z ogłuszającym hukiem. Langdon, który przed chwilą kucał tuż przy ziemi, teraz był w powietrzu, wyprostowany jak struna, a pocisk eksplodował na podłodze tuż u jego stóp. Teabing, dzieląc uwagę, próbował mierzyć i wystrzelić jeszcze raz w przypływie złości, ale historyk wziął w nim górę. Podniósł wzrok w górę.

Klucz sklepienia!

Wydawało się, że czas stanął w miejscu, jak we śnie, kiedy cały świat Teabinga przeistoczył się w płynący w powietrzu krypteks. Patrzył, jak osiąga najwyższy punkt wznoszenia... zastyga niepewnie na ułamek sekundy w próżni... a potem spada, obracając się, ku kamiennej podłodze.

Wszystkie nadzieje i marzenia Teabinga za chwilę legną w gruzach. Nie może uderzyć o podłogę! Muszę go złapać. Ciało Teabinga zareagowało instynktownie. Wypuścił broń i rzucił się naprzód, kule upadły na podłogę, a on wyciągając ze wszystkich sił ramiona i palce, zdołał uchwycić krypteks w powietrzu w miękkie wypięlgnowane dłonie.

Dzierżąc zwycięsko klucz sklepienia w rękach, Teabing upadł do przodu. Wiedział, że spada za szybko i nic nie może zamortyzować tego upadku – przewrócił się z rękami wyciągniętymi do przodu, a krypteks uderzył twardo o podłogę.

Słychać było brzęk tłukącego się szkła.

Przez pełną sekundę Teabing nie oddychał. Leżał na zimnej, kamiennej podłodze, patrząc wzdłuż swoich wyciągniętych rąk na kamienny cylinder w dłoniach i modlił się, żeby szkło fiołki w jego wnętrzu wytrzymało. Po chwili w powietrzu rozszedł się kwaśny odór octu, a Teabing poczuł, jak chłodny płyn wypływa przez dyski krypteksu na jego dłonie.

Ogarnęła go dzika rozpacz. NIE! Ocet spływał teraz po palcach, a Teabing wyobraził sobie, że we wnętrzu krypteksu papierus rozplywa się jak wata. Robert, ty dumniu! Tajemnica przepadła na zawsze!

Teabing czuł, że opanowuje go niekontrolowany szloch. Nie ma już Graala. Wszystko stracone. Trzęsąc się i wciąż nie wierząc w to, co zrobił Langdon, próbował otworzyć krypteks, pragnąc chociaż dotknąć przeblýsku historii, zanim rozpadnie się na zawsze. Ku jego zdumieniu, kiedy pociągnął za nasadki, cylinder otworzył się gładko.

Westchnął ze zdumienia i zająztał do środka.

Pusto. Zobaczył tylko kawałki mokrego szkła. Nie było rozpadającego się papierusu. Teabing przewrócił się na plecy i spojrzął na Langdona. Tuż przy nim stała Sophie, mierząc teraz w Teabinga z jego własnej broni. Nie mógł wyjść ze zdumienia. Spojrzął raz jeszcze na klucz sklepienia i wreszcie zrozumiał. Układ pięciu dysków krypteksu nie był przypadkowy. Odczytał słowo JABŁKO.

– Kula, jabłko ma kształt kuli, a Ewa ugryzła jabłko – powiedział Langdon chłodno – ściągając na siebie święty gniew Boga. Grzech pierworodny. Symbol upadku sakralności kobiecej.

Teabing poczuł, że prawda spada na niego w całej swojej potwornej prostocie. Kula, która powinna być na grobowcu Newtona, nie mogła być niczym innym jak jabłkiem w różnym kolorze, które spadło z nieba i uderzyło Newtona w głowę – było inspiracją do pracy całego jego życia. *Owoce jego pracy Święty gniew. Brzemienne ma być kula. Róży krzew.*

– Robercie – wymamrotał Teabing, nie mogąc dojść do siebie. – Otworzyłeś krypteks. Gdzie jest... mapa?

Mrugnąwszy okiem, Langdon sięgnął do wewnętrznej kieszeni tweedowej marynarki i ostrożnie wyciągnął delikatny, zwinięty papierus. Kilka metrów od miejsca, w którym leżał Teabing, Langdon rozwinął go i spojrzął. Po chwili na jego twarzy pojawił się uśmiech zrozumienia.

On wie! Duszę Teabinga trawiła ciekawość. Marzenie jego całego życia było tuż przed nim.

– Powiedz mi! – zażądał Teabing. – Proszę! Boże jedyny, błagam! Jeszcze nie jest za późno!

W korytarzu prowadzącym do Kapitularda rozległ się dźwięk ciężkich kroków, a Langdon spokojnie zwinął papierus i wsunął go z powrotem do kieszeni.

– Nie! – zawołał Teabing, próbując bezskutecznie wstać.

Otworzyły się drzwi i Bezu Fache wpadł do środka jak byk na arenę, a jego wściekłe, rozbiegane oczy szukały celu – Leigha Teabinga, który leżał bezradny na podłodze. Fache odetchnął z ulgą, włożył swój pistolet marki Manurhin do kabury i zwrócił się do Sophie.

– Agentko Neveu, kamień spadł mi z serca, że pani i pan Langdon jesteście bezpieczni. Powinniście się byli zgłosić na policję, kiedy was o to prosiłem.

Zaraz za Fache'em zjawiała się policja brytyjska. Policjanci złapali nieszczęsnego więźnia i założyli mu kajdanki.

– Jak pan nas znalazł? – zwróciła się do Fache'a zdumiona Sophie.

Fache wskazał na Teabinga.

– Popęlnił błąd, pokazując dokumenty, kiedy wchodził do opactwa. Strażnicy słyszeli komunikat policyjny i wiedzieli, że go szukamy.

– To jest w kieszeni Langdona – wrzeszczał Teabing jak szaleniec. – Mapa do Świętego Graala! – Kiedy podnoszono go w górę i wyciągano na zewnątrz, odrzucił głowę do tyłu i zawył: – Robercie! Powiedz mi, gdzie on jest!

Langdon spojrzął mu prosto w oczy.

– Graala odnajdzie tylko ten, kto jest godzien, Leigh. Sam mnie tego uczyłeś.

## ROZDZIAŁ 102

W Kensington Gardens mgła opadła i wisiała na trawie. Sylas szedł, kulejąc. Teraz ukrył się w zagłębieniu gruntu tak, żeby go nie było widać. Ukląkł na mokrej trawie i poczuł ciepły strumień krwi płynącej z rany od kuli poniżej linii żeber. Nieruchomo patrzył wprost przed siebie.

W otaczającej go mgle poczuł się jak w niebie. Unosząc zakrwawione dłonie do modlitwy, patrzył, jak krople deszczu pieszczą jego palce i obmywają z czerwieni. Kiedy deszcz zaczął zacinać mocniej i poczuł go na plecach i na ramionach, wydało mu się, że jego ciało znika, stopniowo roztopiając się we mgle. Jestem duchem.

Poczuł lekki powiew bryzy, a w nim nutę bijącego od ziemi zapachu nowego życia. Każdą komórką swojego zdruzgotanego ciała Sylas modlił się do Boga. Modlił się o wybaczenie. Modlił się o łaskę. A przede wszystkim modlił się za swojego mentora... Biskupa Aringarosę... Aby Pan nie zabierał go do siebie, zanim czas jego nadejdzie. Ma jeszcze tyle do zrobienia.

Mgła wokół niego wirowała teraz na wietrze, a Sylas czuł się tak lekki, że jej strzępy z pewnością za chwilę uniosą go ze sobą w górę. Zamknął oczy i zmówił ostatnią modlitwę.

Gdzieś z głębi białej chmury, która go otaczała, usłyszał szept Manuela Aringarosy.

Nasz Pan jest miłosierny.

Ból zaczął w końcu powoli zanikać, a Sylas wiedział, że biskup ma rację.



Było późne popołudnie, kiedy londyńskie słońce przedarło się przez miasto i wszystko zaczęło schnąć. Bezu Fache poczuł zmęczenie – opadło go, kiedy wyszedł z pokoju przesłuchań i podnosił rękę, żeby zatrzymać taksówkę. Sir Leigh Teabing stanowczo oświadczył, że jest niewinny, a z jego nieskładnego bełkotu na temat Świętego Graala, tajnych dokumentów i tajemniczych bractw zakonnych Fache wnosił, że sprytny historyk przygotowuje grunt dla prawników, którzy będą chcieli przyjąć niepoczytalność jako linię obrony.

Z pewnością – pomyślał Fache. Niepoczytalny. Teabing wykazał niezwykłą precyzję w konstruowaniu planu, który w każdej sytuacji miał wykazać jego niewinność. Wykorzystał zarówno Watykan, jak i Opus Dei – instytucje, jak się okazało, zupełnie niewinne. Brudną robotę wykonywali za niego nieświadomi sytuacji fanatyczny mnich i zdesperowany biskup. Jeszcze większego sprytu dowiódł, umieszczając centrum podsłuchowe w miejscu, do którego nie mógł dotrzeć człowiek niepełnosprawny. Podслуchiwał jego służący, Rémy – jedyna osoba, która знаła prawdziwą tożsamość Teabinga – teraz jakże wygodnie dla niego rażona śmiertelną reakcją alergiczną.

Trudno byłoby to nazwać działaniami kogoś, komu brakuje piątej klepki – pomyślał Fache.

Z informacji nadchodzących od Colleta z Château Villette wynikało, że mactwa Teabinga były tak przemyślane, że sam Fache mógłby się czegoś od niego nauczyć. Aby ukryć pluskwy w gabinetach najbardziej wpływowych ludzi Paryża, brytyjski historyk sięgnął po inspirację do Greków. Konie trojańskie. Osoby, które Teabing namierzał, otrzymywały bezcenne dzieła sztuki w prezencie, inni nieświadomie kupowali je na aukcjach, na których Teabing oferował bardzo konkretne obiekty. Jeśli idzie o Saunière'a, otrzymał on zaproszenie na kolację do Château Villette, aby omówić możliwości ufundowania przez Teabinga w Luwrze nowego skrzydła poświęconego Leonardowi da Vinci. Zaproszenie zawierało pozornie niewinne postscriptum, które wyrażało fascynację Teabinga robotem w postaci rycerza, którego, jak mówiono, Saunière sam zbudował. Proszę go przywieźć na kolację – poprosił Teabing. Saunière tak właśnie zrobił i pozostawił rycerza bez opieki na tak długo, że Rémy Legaludec zdołał dodać do niego niewielki element, nie wzbudzając niczyich podejrzeń.

Teraz, siedząc w tyle taksówki, Fache zamknął oczy. Jest jeszcze jedna rzecz, której muszę dopilnować, zanim wrócę do Paryża.

Sala pooperacyjna w szpitalu Świętej Marii była wypełniona słońcem.

– Jesteśmy wszyscy pod wrażeniem – powiedziała pielęgniarka radośnie. – Można powiedzieć, że to prawie cud.

Biskup Aringarosa uśmiechnął się blade.

– Nieodgadnione są ścieżki Pana.

Pielęgniarka skończyła rutynowe czynności przy jego łóżku i zostawiła go samego. Światło słońca rozlewało się ciepłem po jego twarzy. Poprzednia noc była najciemniejszą nocą jego życia. Rozgoryczony i zasmucony pomyślał o Sylasie, którego ciało odnaleziono w parku. Wybacz mi, mój synu.

Aringarosa chciał, żeby Sylas włączył się w jego wspólny plan. Wczoraj wieczorem jednak Aringarosa odebrał telefon od Bezu Fache'a, w którym ten pytał biskupa o związki z zakonnicą, którą zamordowano w Saint-Sulpice. Aringarosa zdał sobie wtedy sprawę, że wypadki tego wieczoru niespodziewanie zmieniły bieg i potoczyły się w przerażającym tempie. Wieści o czterech pozostałych morderstwach zmieniły jego przerażenie w głęboki ból. Coś ty zrobił, Sylasie! Biskup nie był w stanie nawiązać kontaktu z Nauczycielem, wiedział, że wszelkie więzy łączące go z nim zostały odcięte. Wykorzystał cię. Jedynym sposobem zatrzymania przerażającego łańcucha zdarzeń, które pomógł wprawić w ruch, było wyznać wszystko Fache'owi i od tego momentu Aringarosa i Fache rzucili się w pościg, żeby dotrzeć do Sylasa i zrównać się z nim, zanim Nauczyciel każe mu znowu kogoś zabić.

Potwornie zmęczony Aringarosa zamknął oczy i słuchał relacji telewizyjnej na temat aresztowania ogólnie znanego brytyjskiego historyka, któremu królowa nadała tytuł szlachecki, sir Leigha Teabinga. Nauczyciel był nagi i wszyscy mogli go zobaczyć. Teabing dowiedział się, że Watykan dąży do rozłączenia z Opus Dei, i wybrał Aringarosę jako idealne narzędzie do wykonania swojego planu. W końcu kto szybciej rzuci się na ślepo szukać Świętego Graala, niż człowiek taki jak ja, który ma wszystko do stracenia? Graal dałby potężną władzę każdemu, kto wszedłby w jego posiadanie.

Leigh Teabing bardzo zmyślnie osłaniał swoją tożsamość – udając francuski akcent i religijność, żądając jako zapłaty jednej jedynej rzeczy, której nie potrzebował – pieniędzy. Aringarosa był zbyt zaangażowany w plan, żeby cokolwiek podejrzewać. Cena, którą Nauczyciel wyznaczył – dwadzieścia milionów euro – była niczym w porównaniu z nagrodą, jaką jest Graal, i niczym w porównaniu z wypłaty watykańskiej dla Opus Dei za niezależność, a zatem od tej strony wszystko układało się bardzo zgrabnie. Ślepy widzi to, co chce zobaczyć. Największą obrazą ze strony Teabinga było oczywiście żądanie wypłaty w obligacjach watykańskich, tak aby w razie czego śledztwo skierowało się ku Rzymowi.

– Cieszę się, że widzę Waszą Eminencję w dobrym zdrowiu.

Aringarosa rozpoznał głos mężczyzny stojącego w drzwiach, ale takiej twarzy się nie spodziewał – twarz o poważnym wyrazie, zdecydowanych oczach, mężczyzna o czarnych, gładko zaczesanych do tyłu włosach i byczym karku, który rozpychał kołnierzyk koszuli, i ramionach niemal rozrywających ciemny garnitur.

– Kapitan Fache? – spytał Aringarosa. Współczucie i troska, którą kapitan okazał Aringarosie i jego krucjacie poprzedniego wieczoru, zrodziły w jego wyobraźni obraz twarzy o znacznie łagodniejszych rysach.

Kapitan podszedł do łóżka i postawił na krześle dobrze mu znaną ciężką czarną teczkę.

– To chyba należy do księdza.

Aringarosa spojrział na teczkę wypełnioną obligacjami i natychmiast odwrócił oczy, czując wstyd.

– Tak... Bardzo dziękuję. – Przerwał, gniotąc palcami prześcieradło, a potem powiedział: – Długo o tym myślałem, panie kapitanie, i chcę pana poprosić o pewną przysługę.

– Proszę bardzo.

– Rodziny tych osób w Paryżu, które Sylas... – przerwał, przełykając ślinę i opanowując emocje. – Zdaję sobie sprawę, że żadna suma nie może im niczego wynagrodzić, ale jednak, gdyby pan był tak uprzejmy i rozdzielił zawartość tej teczki pomiędzy nich... Rodziny zmarłych.

Ciemne oczy Fache'a spoczęły na biskupie.

– Szlachetny gest, Wasza Eminencjo. Dopilnuję, żeby życzenie księdza zostało spełnione.

Zapadła ciężka cisza.

W telewizji pokazywano szczupłego oficera francuskiej policji podczas konferencji prasowej zorganizowanej przed frontem olbrzymiej posiadłości. Fache zobaczył, kto to jest, i zaczął się przyglądać.

– Poruczniku Collet – mówiła reporterka BBC, a w jej głosie słychać było oskarżycielski ton. – Poprzedniego wieczoru pański przełożony, kapitan francuskiej policji, publicznie oskarżył dwoje niewinnych ludzi o morderstwo. Czy Robert Langdon i Sophie Neveu będą żądać zadośćuczynienia od policji? Czy kapitan Fache straci stanowisko?

W uśmiechu Colleta było widać zmęczenie, ale odpowiedział spokojnie.

– Z doświadczenia wiem, że kapitan Bezu Fache rzadko popełnia błędy. Jeszcze z nim o tym nie rozmawiałem, ale znając jego metody pracy, podejrzewam, że nagłośnione w mediach poszukiwanie agentki Neveu i pana Langdona było częścią planu prowadzącego do wyciągnięcia z kryjówki prawdziwego mordercy.

Reporterzy popatrzyli na siebie zdziwieni. Collet mówił dalej:

– Nie wiem, czy pan Langdon i agentka Neveu byli świadomymi uczestnikami tej gry. Kapitan Fache nie opowiada nikomu o swoich kreatywnych strategiach śledztwa. W tej chwili mogę powiedzieć tylko tyle, że kapitan dokonał aresztowania osoby odpowiedzialnej za te wszystkie zbrodnie, a pan Langdon i agentka Neveu są oczyszczeni z zarzutów i bezpieczni.

Fache poczuł, że jego usta układają się w słaby uśmiech i zwrócił się do Aringarosy:

– Porządny chłop z tego Colleta.

Minęło kilka kolejnych chwil. W końcu Fache podniósł rękę do czoła, wygładził włosy dłonią i spojrzął na Aringarosę.

– Wasza Eminencjo, zanim wrócę do Paryża, muszę jeszcze omówić z księdzem pewną sprawę... improwizowany lot do Londynu. Ksiądz przekupił pilota, żeby zmienił kurs. Tak czyniąc, złamał ksiądz wiele przepisów prawa międzynarodowego.

Aringarosa opadł na poduszkę.

– Byłem w rozpacz.

– Tak. Podobnie jak pilot, kiedy przesłuchiwali go moi ludzie. – Fache sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej pierścień z purpurowym ametystem i dobrze biskupowi znanym symbolem jego władzy.

Aringarosa czuł, że łzy napływają mu do oczu, kiedy przyjmował pierścień i wkładał go z powrotem na palec.

– Był pan dla mnie tak wyrozumiały. – Wyciągnął rękę i uściśnął dłoń Fache'a. – Bardzo dziękuję.

Fache tylko machnął ręką, podchodząc do okna i wyglądając na ulice miasta. Widać było, że jest myślami gdzieś bardzo daleko. Kiedy się odwrócił, w jego głosie słychać było nutę niepewności.

– Dokąd dalej, Wasza Eminencjo?

To samo pytanie, które Aringarosa usłyszał, wychodząc z Castel Gandolfo poprzedniego wieczoru.

– Podejrzewam, że moje ścieżki są na razie tak samo niepewne jak pańskie.

– Tak. – Fache przerwał. – Myślę, że niedługo pójdę na emeryturę.

Aringarosa uśmiechnął się ciepło.

– Wiara czyni cuda, panie kapitanie. Odrobina wiary.

Kaplica Rosslyn, często zwana Katedrą Kodów, znajduje się w Szkocji siedem mil na południe od Edynburga, gdzie kiedyś stała starożytna świątynia Mithraic. Zbudowana przez templariuszy w 1446 roku, kaplica jest pokryta oszalałymi mozaiką symboli zapożyczonych z tradycji religii żydowskiej, chrześcijańskiej, egipskiej, masońskiej i pogańskiej.

Geograficznie kaplica leży dokładnie na linii południka, który przebiega przez Glastonbury. Ta długość geograficzna, zwana linią róży, w tradycji jest znacznikiem wyspy króla Artura, Avalonu. Uważana jest też za główny filar uświęconej geometrii Brytanii. To właśnie od tej opiewanej w legendach linii róży bierze swoją nazwę Rosslyn – której nazwa w pierwotnym kształcie brzmiała Roslin.

Wieże kościelne Rosslyn rzucały długie wieczorne cienie, kiedy Langdon i Sophie Neveu zatrzymali wynajęty samochód na trawiastym parkingu u stóp wzgórza. Krótki lot z Londynu do Edynburga był spokojny, chociaż żadne z nich nie spało, nie mogąc się doczekać tego, co się wydarzy. Patrząc na surową budowlę, wznoszącą się ku zasnutemu chmurami niebu, Langdon czuł się jak Alicja z Krainy Czarów, spadająca głową w dół do nory królika. To musi być sen. Ale przecież ostatnia wiadomość Saunière'a mówiła najwyraźniej.

Pod starą Roslin Świąty Graal czeka.

Langdon wyobrażał sobie, że „mapa Świątego Graala”, którą pozostawił Saunière, będzie jakimś schematem, na którym krzyżyk będzie oznaczał miejsce, a tymczasem ostateczna tajemnica zakonu ukazała się przed ich oczyma w takiej samej formie, w jakiej Saunière przemawiał do nich od początku. Prosty wiersz. Cztery jasno sformułowane linijki, które bez żadnych wątpliwości wskazywały to miejsce. Oprócz tego, że Rosslyn została nazwana po imieniu, wiersz mówił o kilku elementach architektonicznych niedawno odbudowanej kaplicy.

Pomimo całej jasności przekazu Saunière'a Langdon czuł się raczej zaskoczony niż oświecony. Kaplica Rosslyn wydawała mu się lokalizacją zanadto oczywistą. Przez całe wieki szepty o Świątym Graalu odbijały się echem wśród murów tego kamiennego kościoła. W ostatnich dziesięcioleciach te szepty zamieniły się w krzyki, kiedy radar badający podziemia ujawnił istnienie pod kaplicą przedziwnej krypty – ogromnej podziemnej komnaty. Ten kamienny sejf nie tylko imponował swoim ogromem – był znacznie większy niż sama kaplica – ale wydawało się, że nie ma do niego ani wejścia, ani wyjścia. Archeolodzy skierowali do władz prośbę o umożliwienie wysadzenia części skał pod kaplicą, by dotrzeć do tajemniczej komnaty, ale Fundacja Rosslyn bardzo stanowczo zabroniła jakichkolwiek wykopalisk w tym świętym miejscu. To oczywiście tylko wyzwoliło falę spekulacji. Co chce ukryć Fundacja Rosslyn?

Rosslyn stała się teraz miejscem pielgrzymek poszukiwaczy tajemnic. Jedni twierdzili, że przyciąga ich tu potężne pole magnetyczne, inni, że przyjechali zbadać zbrocze wzgórza i odnaleźć ukryte wejście do kamiennego skarbcza, ale większość przyznawała, że jest tu po prostu po to, aby się przechadzać po okolicy, chłonąć atmosferę i próbować zrozumieć tradycję Świątego Graala.

Chociaż Langdon nie był jeszcze w Rosslyn, zawsze uśmiechał się, gdy słyszał, że ktoś mówi, iż kaplica to aktualne miejsce spoczynku Świątego Graala. Trzeba przyznać, że kiedyś, dawno temu mogła gościć Graala... Ale na pewno już nie teraz. Rosslyn przyciągnęła za dużo uwagi w ostatnich dziesięcioleciach i prędzej czy później ktoś mógłby znaleźć sposób na to, by włamać się do skarbcza.

Prawdziwi badacze Graala zgadzali się co do tego, że Rosslyn ma za zadanie odciągnąć uwagę od Sangreala – że kaplica jest jednym z przemysłnych ślepych zaułków stworzonych przez zakon. Teraz jednak, mając w ręku klucz sklepienia zakonu, a w nim wersety prowadzące dokładnie w to miejsce, Langdon niczego już nie był pewien. Cały dzień pochłaniało go pytanie: Dlaczego Saunière uczynił tak wielki wysiłek, żeby nas doprowadzić do miejsca tak oczywistego?

Była na to chyba tylko jedna logiczna odpowiedź.

W kaplicy Rosslyn jest coś, co dopiero będziemy musieli zrozumieć.

– Robercie? – Sophie stała koło samochodu i patrzyła na niego. – Idziesz?

Trzymała w rękach szkatułkę z różanego drewna, którą kapitan Fache im zwrócił. Wewnątrz były oba krypteksy jeden w drugim, tak jak je znaleźli. Wiersz na papirusie leżał bezpiecznie w drugim krypteksie – brakowało, rzecz jasna, tylko zbitej fiołki z octem.

Langdon i Sophie wspinali się po długiej zwirowej ścieżce. Po chwili znaleźli się obok słynnej zachodniej ściany kaplicy. Przypadkowi zwiedzający sądzą, że ta dziwnie wystająca ściana jest częścią niedokończony kaplicy. Prawda zaś, jak sobie przypominał Langdon, była znacznie bardziej intrygująca.

Zachodnia ściana Świątyni Salomona.

Templariusze zaprojektowali kaplicę w Rosslyn dokładnie według wzorca Świątyni Salomona w Jerozolimie – razem z zachodnią ścianą, wąskim, prostokątnym sanktuarium i podziemnym skarbcem, jak Święte Świętych, w którym dziewięciu rycerzy po raz pierwszy wykopało swój bezcenny skarb. Langdon musiał przyznać, że istnieje intrygująca symetria w zamyśle templariuszy, by zbudować dla Graala miejsce spoczynku, które jest repliką miejsca pierwotnego ukrycia skarbu.

Wejście do kaplicy Rosslyn było skromniejsze, niż Langdon oczekiwał. Niewielkie drewniane drzwi zamocowano na dwóch żelaznych zawiasach. Można było na nich odczytać prosty, rzeźbiony w dębie napis.

## ROSLIN

Stara ortografia, jak Langdon wyjaśniał Sophie, jest świadectwem pochodzenia od nazwy południka linii róży, w którego przebiegu leży kaplica, lub – jak woleli wierzyć badacze Graala – od linii róży w znaczeniu starożytnego rodu Marii Magdaleny.

Było późno, więc kaplicę pewnie wkrótce zamkną dla zwiedzających. Kiedy Langdon otwierał drzwi, wionęło ze środka ciepłym powietrzem, jakby starożytna budowla wypuszczała z płuc oddech pod koniec długiego, męczącego dnia. Łuki nad wejściem do kaplicy były ozdobione rzeźbionymi w kamieniu płatkami róży.

Róże. Łono bogini.

Weszli oboje do środka. Oczy Langdona wędrowały po ścianach słynnego sanktuarium, wchłaniając wszystko naraz. Chociaż już czytał sporo na temat zadziwiająco przemysłnej sztuki kamieniarskiej i płaskorzeźb pokrywających ściany Rosslyn, kiedy zobaczył to wszystko na własne oczy, wrażenie było przejmujące.

Raj dla badaczy symboli – powiedział o kaplicy jeden ze współpracowników Langdona.

Całą powierzchnię wewnętrznych ścian pokrywały symbole – chrześcijańskie krzyże, żydowskie gwiazdy Dawida, masońskie pieczęcie, krzyże templariuszy, rogi obfitości, piramidy, znaki astrologiczne, motywy roślin, warzyw, pentagramy i róże. Templariusze byli mistrzami kamieniarstwa, stawiali kościoły w całej Europie, ale Rosslyn uważano za najwspanialsze dzieło miłości i uwielbienia. Mistrzowie kamieniarstwa nie zostawili ani jednego kamienia bez rzeźby. Kaplica Rosslyn była świątynią wszystkich wyznań... Wszystkich tradycji... A przede wszystkim świątynią natury i Wielkiej Bogini.

Świątynia była właściwie pusta, tylko gdzieś z boku stało kilkoro zwiedzających, którzy słuchali młodego człowieka, oprowadzającego ostatnią grupę turystów tego dnia. Prowadził ich gęsiego dobrze znaną trasą – niewidoczną ścieżką łączącą sześć punktów architektonicznych

wnętrza. Całe pokolenia odwiedzających przechodziły wzdłuż linii łączących te punkty, a ich niezliczone kroki wyrzeźbiły na podłodze olbrzymi symbol.



Gwiazda Dawida – pomyślał Langdon. Nie ma tu nic przypadkowego. Heksagram, znany również jako pieczęć Salomona, kiedyś stanowił sekretny symbol kapłanów spoglądających w gwiazdy, a potem przejęli go królowie izraelscy – Dawid i Salomon.

Przewodnik zauważył Langdona i Sophie wchodzących do środka i chociaż kaplicę miano już wkrótce zamknąć, uśmiechnął się do nich sympatycznie i dał znak ręką, żeby się rozejrzeli, gdzie chcą.

Langdon podziękował skinieniem głowy i ruszył głębiej w kierunku wnętrza kościoła. Sophie zaś stała jak przykuta do progu, a na twarzy miała wyraz bezbrzeżnego zdumienia.

– Co ci się stało? – spytał Langdon.

Sophie objęła wzrokiem kaplicę.

– Ja chyba tu... już kiedyś byłam.

– Mówiłaś, że nigdy nawet nie słyszałaś o Rosslyn.

– Nie słyszałam – jeszcze raz obrzuciła wzrokiem wnętrze i rozejrzała się dookoła niepewnie. – Dziadek musiał mnie tu przywieźć, kiedy byłam jeszcze bardzo mała. Sama nie wiem. To wszystko wygląda jakoś znajomo. – Kiedy jej wzrok przebiegał po ścianach kaplicy, zaczęła z coraz większą pewnością kiwać głową. – Tak. – Wskazała ręką na część kościoła bliżej ołtarza. – Te dwa filary... Już je kiedyś widziałam.

Langdon spojrzął na dwie przepięknie rzeźbione kolumny na końcu sanktuarium. Białe kształty i linie wyrzeźbione w kamieniu tonęły w czerwonej poświacie wieczornego słońca, które wpadało przez zachodnie okno. Filary – ustawione tam, gdzie normalnie byłby ustawiony ołtarz – dziwnie do siebie nie pasowały. Lewy filar był rzeźbiony w proste, pionowe linie, a prawy ozdobiła bogata, kwietna spirala.

Sophie już tam szła. Langdon pospieszył za nią, a kiedy doszli do filarów, Sophie kiwała głową z niedowierzaniem.

– Tak, jestem absolutnie pewna, że już je widziałam.

– Nie wątpię – odparł Langdon – ale niekoniecznie tutaj.

– To znaczy?

– Te dwa filary są najczęściej kopiowanymi fragmentami architektury świata. Wszędzie istnieją ich repliki.

– Repliki Rosslyn?

– Nie. Filarów. Pamiętasz, mówiłem ci, że Rosslyn też jest repliką – Świątyni Salomona? Te dwa filary to dokładne repliki filarów, które stały przy wejściu do Świątyni Salomona. – Langdon wskazał na filar po lewej. – Ten nazywa się *Boaz*, czyli Filar Mistrza, a ten *Jachin*, czyli Filar Czeladnika. Każda świątynia masońska na świecie ma takie dwa filary jak te tutaj.

Langdon opowiadał jej o mocnych związkach historycznych templariuszy ze współczesnymi tajnymi stowarzyszeniami masońskimi, których pierwsze stopnie – adepta, czeladnika i mistrza – wywodzą się z początków zakonu templariuszy. Ostatni wiersz, który napisał dziadek Sophie, odnosił się bezpośrednio do mistrzów wolnomularskich, którzy ozdabiali Rosslyn swymi pracami kamieniarskimi, stanowiącymi dar dla świątyni. W wierszu można było też przeczytać, że największy sufit kaplicy Rosslyn jest pokryty płaskorzeźbami przedstawiającymi gwiazdy i planety.

– Nigdy w życiu nie byłam w świątyni masońskiej – powiedziała Sophie, nie spuszczając oczu z filarów. – Jestem niemal pewna, że widziałam te tutaj. – Znów zwróciła oczy na kaplicę, jakby szukając czegoś, co może poruszyć wspomnienia.

Reszta zwiedzających już wychodziła, a przewodnik z uśmiechem na twarzy szedł przez kaplicę w ich kierunku. Był to przystojny młody człowiek około trzydziestki, mówiący szkockim akcentem, o jasnych włosach.

– Już miałem zamykać. Czy mogę państwu w czymś pomóc, czy państwo czegoś szukają?

Owszem, Świętego Graala – chciał odpowiedzieć Langdon.

– Kod – odezwała się nagle Sophie, jakby czymś olśniona. – Tutaj jest kod.

Przewodnika ucieszył taki wybuch entuzjazmu.

– Tak, tu jest kod, proszę pani.

– Na suficie – powiedziała, zwracając się w kierunku ściany po prawej stronie. – Gdzieś... gdzieś tam.

– Widzę, że już była pani u nas w Rosslyn. – Uśmiechnął się.

Kod, pomyślał Langdon. Zapomniał już o tym niewielkim fragmencie spuścizny historycznej. Wśród licznych zagadek i tajemnic Rosslyn był półkolisty łuk, z którego wystawały setki małych kamiennych elementów wypuszczonych w dół i tworzących dziwną wielopłaszczyznową powierzchnię. Na każdym elemencie wyrzeźbiony był jakiś symbol, jak się wydawało przypadkowy, ale całość tworzyła niezgłębiany szyfr. Niektórzy wierzyli, że szyfr kryje tajemnicę wejścia do podziemnego skarbcza pod świątynią. Inni znów byli przekonani, że opowiada prawdziwą legendę Graala. Tak czy owak, kryptografowie od wieków próbowali rozszyfrować jego znaczenie. Do dziś dnia Fundacja Rosslyn oferuje sporą nagrodę każdemu, kto potrafiłby odnaleźć ukryte znaczenie szyfru, ale jak dotąd nikomu się to nie udało.

– Chętnie państwu pokażę...

Głos przewodnika gubił się gdzieś za nią.

Mój pierwszy kod – pomyślała Sophie, idąc już sama jak w transie w kierunku pokrytego szyfrem łuku. Oddała szkatułkę Langdonowi i teraz czuła, że na chwilę zapomina o Świętym Graalu, Zakonie Syjonu i wszystkich tajemnych zdarzeniach poprzedniego dnia. Kiedy dotarła pod pokryte szyfrem sklepienie i zobaczyła symbole tuż nad swoją głową, wspomnienia wróciły do niej jak fala. Przypomniała sobie teraz swoją pierwszą bytność tutaj i – co dziwne – poczuła niespodziewany smutek.

Była małą dziewczynką... Przyjechali tu może rok lub dwa po tragicznej śmierci jej rodziny. Dziadek przywiózł ją do Szkocji na krótkie wakacje. Przyjechali obejrzeć kaplicę Rosslyn przed powrotem do Paryża. Był już późny wieczór i kaplica była zamknięta. Ale oni wciąż byli w środku.

– Jedźmy już do domu, *Grand-père* – mówiła błagalnym głosem Sophie, czując się senna i zmęczona.

– Zaraz pojedziemy, kochanie, już za chwilę – słyszała w jego głosie smutek. – Muszę tu jeszcze coś zrobić. Może byś poczekała w samochodzie?

– Musisz zrobić coś dorosłego?

Skinął głową.

– Zrobię to szybciej. Przyrzekam.

– Mogę jeszcze zobaczyć kod pod łukiem? Jest bardzo zabawny.  
– No, nie wiem. Ja będę musiał wyjść na dwór. Nie będziesz tu się sama bała?  
– Pewnie, że nie! – odparła, prychając. – Jeszcze nie jest całkiem ciemno!  
– No, to dobrze. – Uśmiechnął się i poprowadził ją do wymyślnie zdobionego łuku, który jej wcześniej pokazywał.  
Sophie klapnęła na kamienną podłogę, potem położyła się na plecach i zaczęła się wpatrywać w płataninę tajemniczych znaków w górze.  
– Złamię ten kod, zanim wrócisz!  
– W takim razie ścigamy się. – Pochylił się, ucałował ją w czoło i podszedł do bocznych drzwi nieopodal. – Będę tu, na dworze. Zostawię otwarte drzwi. Gdybyś mnie potrzebowała, po prostu zawołaj. – Wyszedł na zewnątrz, wprost w miękkie światło wieczoru.  
Sophie leżała na podłodze, wpatrując się w kod. Powieki jej się zamykały i były coraz cięższe. Po kilku minutach symbole zaczęły się mieszać i zlewać w jedno. A potem znikły.  
Kiedy się zbudziła, czuła chłód bijący od podłogi.  
– *Grand-père?*  
Nikt się nie odezwał. Wstała, otrzepała się i wygładziła sukienkę. Boczne drzwi były wciąż otwarte. Na dworze robiło się coraz ciemniej. Wysłała na zewnątrz i zobaczyła dziadka na ganku małego domu z kamienia, stojącego za kościołem. Dziadek rozmawiał cicho z osobą, którą ledwo było widać w drzwiach domu.  
– *Grand-père?* – zawołała.  
Dziadek odwrócił się do niej i pomachał ręką, dając gestem znak, żeby poczekała jeszcze chwilę. Potem powoli wypowiedział kilka słów w kierunku osoby stojącej w środku i posłał pocałunek ku wprost przymkniętym drzwiom. Szedł do Sophie z oczami pełnymi łez.  
– Czemu płaczesz, dziadku?  
Wziął ją na ręce i przytulił.  
– Wiesz, Sophie, ty i ja musimy się pożegnać w tym roku z kilkoma bardzo ważnymi osobami. A to jest niełatwe.  
Sophie pomyślała o wypadku, o tym, że musiała się pożegnać ze swoją mamą i tatą, z babcią i z małym braciszkiem.  
– Jeszcze się z kimś żegnasz?  
– Tak. Żegnam się z kimś bardzo mi drogim, kogo kocham ogromnie – odparł głosem nabrzmiałym uczuciem. – I obawiam się, że tej osoby już długo, długo nie zobaczę.

Langdon stał w kaplicy obok przewodnika i oglądał jej ściany, mając poczucie, że opada go coraz większe zmęczenie, bo znalazł się w ślepych zaułku. Sophie odeszła, żeby przyjrzeć się kodowi, a Langdon trzymał w ręku szkatułkę z mapą do Świętego Graala, która teraz wydawała się zupełnie bezużyteczna. Chociaż wiersz Saunière'a niedwuznacznie wskazywał Rosslyn, Langdon nie wiedział, co mają tutaj robić. W wierszu była również mowa o „ostrzu i kielichu”, których Langdon nigdzie nie widział.

Pod starą Roslin Święty Graal czeka.  
Ostrze i kielich pilnują wieka.

Langdon znów poczuł, że jest jakiś aspekt tej tajemnicy, który się jeszcze nie ujawnił.  
– Przepraszam, że tak obcesowo pytam – powiedział przewodnik, spoglądając na szkatułkę w rękach Langdona. – Czy... ta szkatulka... Czy mógłbym spytać, skąd ją pan ma?  
Langdon zaśmiał się i usłyszał w swoim śmiechu zmęczenie.  
– To jest wyjątkowo długa historia.  
Młody człowiek wahał się przez chwilę, nie spuszczać wzroku ze szkatułki.  
– To niesłychanie dziwne. Moja babcia ma dokładnie taką samą szkatułkę, trzyma w niej biżuterię. Identycznie polerowane drewno różane, ta sama intarsjowana róża, a nawet zawiasy wyglądają identycznie.  
Langdon był pewien, że młody człowiek się myli. Jeżeli kiedykolwiek istniała na świecie szkatulka jedyna w swoim rodzaju, to właśnie była to ta, wykonana specjalnie po to, by przechowywać w niej klucz do sklepienia Prieuré de Sion.  
– Może są podobne, ale...  
Boczne drzwi trzasnęły i obaj równocześnie spojrzeli w bok. Sophie wyszła bez słowa i teraz wędrowała ścieżką na wzgórzu w kierunku stojącego w pobliżu kaplicy domu murowanego z miejscowego kamienia. Langdon patrzył na nią. Dokąd ona idzie? Odkąd weszli do kaplicy, zachowywała się bardzo dziwnie. Zwrócił się do przewodnika.  
– Wie pan, czyj to dom?  
Skinął głową, również zdziwiony, że Sophie tam idzie.  
– To jest plebania. Tam mieszka kustosz kaplicy. Sprawuje również nadzór nad Fundacją Rosslyn. – Przerwał. – Poza tym jest moją babcią.  
– Pańska babcia sprawuje pieczę nad Fundacją Rosslyn?  
Młody człowiek skinął głową.  
– Mieszkam z nią na plebanii. Pomagam utrzymywać kaplicę w przyzwoitym stanie i oprowadzam wycieczki. – Wzruszył ramionami. – Mieszkam tu całe życie. Babcia tu mnie wychowywała, właśnie w tym domu.  
Zaniepokojony o Sophie, Langdon szedł przez kaplicę w kierunku drzwi, żeby na nią zawołać. Był zaledwie w połowie drogi, kiedy się zatrzymał. Coś, co powiedział młody człowiek, dopiero teraz do niego dotarło.  
Wychowywała mnie babcia.  
Langdon wyjrzał na Sophie wciąż wędrującą w górę wzniesienia, a potem spojrzął na szkatułkę, którą trzymał w rękach. To niemożliwe. Powoli Langdon odwrócił się do młodego człowieka.  
– Powiedział pan, że babcia ma szkatułkę taką jak ta?  
– Prawie identyczna.  
– A skąd ją ma?  
– Dziadek ją dla niej zrobił. Umarł, kiedy byłem dzieckiem, ale babcia wciąż o nim mówi. Powiada, że dziadek to istna złota rączka. Robił różne przedmioty.  
Langdonowi nagle przed oczami wyobraźni otworzyły się wrota na niewyobrażalną sieć połączeń.  
– Mówi pan, że wychowywała pana babcia. Przepraszam, że spytam, ale co się stało z pańskimi rodzicami?  
– Zmarli, kiedy byłem małym dzieckiem – odpowiedział młody człowiek. – W tym samym dniu co mój dziadek.  
Langdonowi zabiło serce.  
– Zginęli w wypadku samochodowym?  
Młody człowiek odsunął się przerażony o krok, a w jego oliwkowozielonych oczach było widać niedowierzenie.

- Tak. W wypadku samochodowym. Cała moja rodzina zginęła. Straciłem dziadka, rodziców i... – zawahał się i popatrzył na podłogę.
- I siostrę – powiedział Langdon.

Dom z surowo ciosanych kamieni na wzgórzu był taki, jak go zapamiętała Sophie. Zapadała teraz noc, a z wnętrza biła ciepła, przyjazna aura. Przez półotwarte drzwi Sophie czuła zapach chleba, a z okien padały promienie złocistego światła. Kiedy podeszła bliżej, usłyszała ze środka ciche łkanie.

Przez szparę w drzwiach zobaczyła starszą kobietę w holu. Była odwrócona plecami do niej, ale Sophie wiedziała, że płacze. Kobieta miała długie srebrzyste włosy, których widok potrafił ją tam ciągnąć, i weszła na schody prowadzące na ganek. Kobieta trzymała w zaciśniętych dłoniach oprawioną fotografię jakiegoś mężczyzny i dotykała czubkami palców jego twarzy z miłością i tęsknotą.

Była to twarz, którą Sophie dobrze знаła.

*Grand-père.*

Smutne wieści o jego śmierci z pewnością dotarły do niej poprzedniego wieczoru.

Jakaś deska skrzypnęła pod stopą Sophie i kobieta odwróciła się powoli, a jej wypełnione bezbrzeżnym smutkiem oczy odnalazły oczy Sophie. Sophie chciała się odwrócić i uciec, ale stała jak zamurowana. Pełne żalu spojrzenie kobiety nie odrywało się od Sophie, kiedy odkładała fotografię na stolik i podchodziła do półprzymkniętych drzwi. Wydawało się, że mija cała wieczność. Obie patrzyły na siebie w milczeniu. Potem, jak powoli zbierająca się na oceanie fala, na twarzy kobiety rosły emocje... niepewność... niewiara... nadzieja... a w końcu niepohamowana radość. Kobieta jednym ruchem ręki otworzyła drzwi, wyszła, wyciągając do Sophie delikatne dłonie, po chwili tuląc w nich oniemiałą twarz Sophie.

– Moje dziecko najmilsze... Niech no ci się przyjrzę!

Chociaż Sophie jej nie rozpoznawała, wiedziała, kim jest.

Próbowała coś powiedzieć, ale nawet nie mogła odetchnąć.

– Sophie – kobieta, łkając, całowała jej czoło.

Słowa Sophie wyrywały się z jej gardła zduszonym szeptem.

– Ale... *Grand-père* powiedział, że ty już...

– Wiem. – Kobieta położyła czułym gestem dłoń na ramionach Sophie i patrzyła na nią jakże znajomymi oczami. – Twój dziadek i ja byliśmy zmuszeni mówić różne rzeczy. Zrobiliśmy to, co uważaliśmy za słuszne. Tak mi przykro. Wszystko dla twojego bezpieczeństwa, księżniczko.

Sophie usłyszała ostatnie słowo i pomyślała o dziadku, który przez tyle lat nazywał ją księżniczką. Teraz wydawało jej się, że dźwięk jego głosu odbija się echem od starożytnych kamiennych murów Rosslyn, opada na ziemię i brzmi głuchym pogłosem w nieznanym pustym przestrzeniach pod kaplicą.

Kobieta zarzuciła ramiona na szyję Sophie i teraz łzy popłynęły szybciej.

– Twój dziadek tak bardzo chciał ci o wszystkim opowiedzieć, kiedy między wami wszystko się popsuło. Tak mu na tym zależało i próbował. Musimy sobie wiele wyjaśnić. Tyle ci muszę opowiedzieć. – Jeszcze raz pocałowała czoło Sophie, a potem szepnęła jej do ucha: – Nie będzie więcej sekretów, księżniczko. Już czas, żebyś się dowiedziała prawdy o swojej rodzinie.

Sophie i babcia siedziały na ganku, obejmując się i szlochając, kiedy młody przewodnik z kaplicy biegł po trawiastym zboczu dzielącym kościół od domu. W jego oczach lśniła nadzieja i niewiara.

– Sophie?

Sophie przytaknęła przez łzy i wstała. Nie poznawała jego twarzy, ale kiedy się objęli, poczuła zew krwi krążącej w jego żyłach... Krwi – tego już była pewna – ich wspólnych przodków.

Langdon szedł niespiesznie w ich kierunku. Sophie trudno sobie było wyobrazić, że jeszcze wczoraj była na świecie sama. A teraz, cudownym zrządzeniem losu, w tym zupełnie obcym dla niej miejscu, w towarzystwie trojga ludzi, których ledwo знаła, czuła się wreszcie jak w domu.

Nad Rosslyn zapadła noc.

Robert Langdon stał sam na ganku kamiennego domu, uśmiechając się do siebie. Słyszał odgłosy śmiechu i rozmów ludzi, którzy znów byli razem, dobiegające zza uchylonych drzwi. Kubek mocnej brazylijskiej kawy podarował mu kilka godzin jasności umysłu i uwolnił go od narastającego zmęczenia, czuł jednak, że ta fala dobrego samopoczucia niedługo odpłynie. Zmęczenie przenikało go do kości.

– Wymknął się pan tak cicho – powiedział głos tuż za nim.

Odwrócił się. Wyłoniła się babcia Sophie, której srebrzyste włosy lśniły w świetle księżyca. Nazywała się, przynajmniej przez ostatnich dwadzieścia osiem lat, Marie Chauvel.

Langdon posłał jej zmęczony uśmiech.

– Pomyślałem, że zostawię rodzinę na chwilę samą. – Przez okno widział Sophie rozmawiającą z bratem.

– Panie Langdon – Marie podeszła i stanęła tuż przy nim. – Kiedy usłyszałam o zamordowaniu Jacques'a, przeraziłam się, bałam się o bezpieczeństwo Sophie. Widząc ją w drzwiach domu, doznałam największej ulgi i największej radości, jaka mnie mogła spotkać. Nie wiem, jak panu dziękować.

Langdon nie miał pojęcia, co odpowiedzieć. Chciał dać Sophie i babci czas, żeby porozmawiały same, ale Marie poprosiła go, żeby został i posłuchał. Mój mąż na pewno panu ufał, panie Langdon, więc ja również mogę panu zaufać.

A więc Langdon został, stał tuż obok Sophie i słuchał w niemym zdziwieniu opowieści Marie o niezwykłych rodzicach Sophie. Zdziwiająco było to, że oboje pochodzili z rodzin Merowingów – byli w prostej linii potomkami Marii Magdaleny i Jezusa Chrystusa. Rodzice i przodkowie Sophie, dla ochrony i bezpieczeństwa, zmienili nazwiska rodowe Plantard i Saint-Clair. Ich dzieci, jako potomkowie rodziny królewskiej, były bardzo dobrze strzeżone przez zakon. Kiedy rodzice Sophie zginęli w wypadku, którego przyczynę trudno było ustalić, powstała obawa, że ktoś odkrył ich tożsamość.

– Twój dziadek i ja – wyjaśniała Marie głosem zdławionym bólem – musieliśmy podjąć bardzo poważną decyzję. Samochód twoich rodziców odnaleziono w rzece. – Otarła łzę chusteczką. – Tego wieczoru cała nasza szóstka, wraz z wami, dwojgiem wnuków, miała jechać tym samochodem. Na szczęście w ostatniej chwili zmieniliśmy plany i twoi rodzice pojechali sami. Kiedy Jacques i ja usłyszeliśmy o wypadku i nie można się było dowiedzieć, co właściwie zaszło... ani czy to naprawdę był wypadek, nie wiedzieliśmy, co zrobić. Wiedzieliśmy jedno – że musimy chronić swoje wnuki, a więc zrobiliśmy to, co uważaliśmy za najlepsze. Jacques zgłosił na policję, że twój brat i ja również byliśmy w samochodzie... I nasze ciała na pewno porwał nurt rzeki. Potem twój brat i ja ukrywaliśmy się i żyliśmy w konspiracji pod opieką zakonu. Jacques, który był człowiekiem znanym i sławnym, nie miał możliwości korzystania z luksusu anonimowości. Logiczne było, że Sophie, jako starsza, zostanie w Paryżu i że będzie ją wychowywał i uczył Jacques, bo Paryż był blisko serca zakonu i tam będzie pod jego opieką. – Teraz mówiła szepem. – Rozdzielenie rodziny było najtrudniejszą decyzją, jaką kiedykolwiek musieliśmy podjąć. Jacques i ja widywaliśmy się bardzo rzadko i zawsze w miejscach bardzo odludnych, a nasze spotkania były utajnione... Pod opieką i ochroną zakonu. Istnieją pewne ceremonie, którym bractwo jest wierne.

Langdon czuł, że Marie nie mówi wszystkiego, ale wiedział również, że nie wszystko jest przeznaczone dla jego uszu, postanowił więc wyjść. Teraz, przyglądając się wieżom kaplicy Rosslyn, nie mógł wyzbyć się myśli o nierozwiązanej tajemnicy tego miejsca. Czy Graal rzeczywiście jest tutaj, w Rosslyn? Jeżeli tak, to gdzie jest ostrze i kielich, o których mówił Saunière w swoim wierszu?

– Mogę wziąć? – spytała Marie, wyciągając rękę do Langdona.

– O, dziękuję bardzo – Langdon podał jej pusty kubek po kawie.

Spojrzała na niego.

– Miałam na myśli tę drugą rękę, panie Langdon.

Langdon spuścił wzrok i zdał sobie sprawę, że trzyma w ręce papirus Saunière'a. Wyciągnął go raz jeszcze z krypteksu, mając nadzieję, że zobaczy coś, czego wcześniej nie dostrzegł.

– Oczywiście, przepraszam.

Marie z rozbawionym wyrazem twarzy wzięła od niego papier.

– Znam pewnego bankiera w Paryżu, który bardzo by chciał, żeby ta szkatułka z różanego drewna wróciła do skarbcza. André Vernet był drogim sercu Jacques'a przyjacielem, a Jacques wierzył mu bezgranicznie. André zrobiłby wszystko, żeby dotrzymać danego słowa i spełnić żądania Jacques'a, który powierzył mu tę szkatułkę.

Nie wyłączając zabicia mnie, przypomniał sobie Langdon i postanowił nie wspominać w rozmowie, że prawdopodobnie złamał temu biednemu człowiekowi nos. W związku z Paryżem Langdon pomyślał o trzech senezalach, których zabito poprzedniego wieczoru.

– A zakon? Co teraz będzie?

– Koła zostały już puszczone w ruch, panie Langdon. Bractwo przetrwało przez wieki i przeżyło niejedną kryzys, więc ten też przeżyje. Zawsze znajdują się ludzie, którzy czekają, by wkroczyć i wszystko odbudować.

Przez cały wieczór Langdon podejrzewał, że babcie Sophie łączą silne więzi z działaniami zakonu. W jego szeregach zawsze były kobiety. Czterokrotnie pełniły rolę wielkich mistrzów. Seneszałe byli zgodnie z tradycją mężczyznami – strażnikami – ale kobiety miały w zakonie wysoki status i mogły dojść do najwyższych funkcji z każdej pozycji w zakonie.

Langdon pomyślał o Leighu Teabingu i Opactwie Westminsterkim. Cała ta historia wydawała mu się odległa o wieki.

– Czy Kościół naciskał na pani męża, żeby nie ujawniać świata dokumentów Sangreala, kiedy nadejdzie koniec dni?

– Na Boga, skądże. Koniec dni to legenda. W doktrynie zakonu nie ma nic, co by wskazywało na jakąś datę, kiedy dokumenty Graala powinny być ujawnione. W gruncie rzeczy zakon zawsze opowiadał się za tym, by nie odsłaniać przed światem Graala.

– Nigdy? – Langdon był zdumiony.

– Naszym duszom, panie Langdon, służą tajemnice i cudowności otaczające Graala, a nie on sam jako taki. Piękno Graala leży w jego nieuchwytnym istocie. – Marie Chauvel patrzyła teraz na kaplicę Rosslyn. – Dla jednych Graal jest kielichem, który przyniesie im życie wieczne. Dla innych poszukiwaniem zaginionych dokumentów i tajnych wątków historii. A dla większości z nas Graal chyba jest po prostu wspaniałą ideą... Pełnym chwały, nieosiągalnym skarbem, który nawet w naszym świecie pełnym chaosu inspiruje nas i daje natchnienie.

– Jeżeli jednak dokumenty Sangreala pozostaną w ukryciu, historia Marii Magdaleny zniknie na zawsze – powiedział Langdon.

– Czyżby? Proszę rozejrzeć się wokół siebie. Jej historię opowiada malarstwo, muzyka i książki, codziennie, coraz głośniejsze. Wahadło zostało puszczone w ruch. Zaczynamy rozumieć zagrożenia. Lekcje płynące z naszej historii... że wchodzimy na ścieżki prowadzące do zagłady. Zaczynamy czuć potrzebę odrodzenia sakralności kobiecej. – Przerwała. – Podobno pracuje pan nad książką poświęconą symbolom świętości żeńskiej.

– Tak, rzeczywiście.

– Proszę więc doprowadzić dzieło do końca, wyśpiewać jej pieśń. Świat potrzebuje trubadurów. – Uśmiechnęła się.

Langdon zamilkł, czując wagę tego, co mu powiedziała. Popatrzył na drzewa i ujrzał księżyc w nowiu wschodzący ponad ich ciemną, poszarpaną linią. Potem zwrócił wzrok na Rosslyn i poczuł chłopięcą ciekawość, nieopanowaną żądzą odkrycia sekretów kaplicy. Nie pytał, mówił sobie.

To nie jest dobry moment. Spojrzał na papirus w dłoni Marie, a potem znów na Rosslyn.

– Niech pan wreszcie wydusi z siebie to pytanie, panie Langdon – powiedziała Marie rozbawiona. – Ma pan przecież do tego prawo.

Langdon poczuł, że się czerwieni.

– Chciałby pan wiedzieć, czy Graal jest tutaj, w Rosslyn.

– Może mi pani powiedzieć?

Westchnęła, udając irytację.

– Dlaczego mężczyźni nie potrafią po prostu zostawić Graala w spokoju? – Zaśmiała się i widać było, że dobrze się bawi. – Dlaczego sądzi pan, że jest akurat tutaj?

Langdon wskazał na papirus.

– Wiersz pani męża mówi o Rosslyn, ale wspomina też o kielichu i ostrzu, które czuwają nad Graalem. Nie widziałem w kaplicy żadnych symboli ostrza ani kielicha.

– Kielich i ostrze? – spytała Marie. – A jak one wyglądają?

Langdon wyczuł, że się z nim bawi, ale podjął grę i pokrótce opisał symbole.

– Ach tak, oczywiście. Ostrze symbolizuje to, co męskie. Chyba się je przedstawia w ten sposób. – Palcem wskazującym nakreśliła kształt na wnętrzu dłoni.



– Tak – powiedział Langdon.

Marie narysowała mniej powszechny zamknięty kształt ostrza, chociaż Langdon znał ten symbol przedstawiany na oba sposoby.

– A odwrotność – powiedziała, znów rysując na dłoni – to kielich, który reprezentuje pierwiastek kobiecy.



– Tak jest – powiedział Langdon.

– Powiada pan, że w setkach symboli, które mamy tutaj na ścianach kaplicy Rosslyn, te dwa elementy się nie pojawiają?

– Nie widziałem ich.

– A jeżeli panu je pokażę, czy pójdzie się pan przespać?

Zanim Langdon zdążył odpowiedzieć, Marie Chauvel zeszła po schodach z ganku i ruszyła w kierunku kaplicy. Langdon pospieszył tuż za nią. Wchodząc do historycznego budynku, Marie zapaliła światła i wskazała na sam środek podłogi sanktuarium.

– Proszę bardzo, panie Langdon. Oto ostrze i kielich.

Langdon wpatrywał się w nierówną kamienną posadzkę. Była pusta.

– Nic tu nie ma...

Marie westchnęła i ruszyła wzdłuż słynnej, wytartej stopami pielgrzymów ścieżki na podłodze kaplicy. Langdon objął już wzrokiem gigantycznych rozmiarów symbol, wciąż jednak jeszcze nie kojarzył.

– Ale to jest gwiazda Dawi...

Urwał w pół słowa, kiedy wreszcie to do niego dotarło.



Ostrze i kielich. Zespolone w jedno.

Gwiazda Dawida... Idealny związek kobiety i mężczyzny... Pieczęć Salomona... Święte Świętych, gdzie miały mieszkać bóstwa – męskie i kobiece – Jahwe i Szechina.

Langdon zbierał myśli.

– Wiersz rzeczywiście wskazuje na Rosslyn. Wszystko zgadza się idealnie.

– Na to wygląda.

– To znaczy, że Święty Graal jest w skarbcu tuż pod nami?

– Tylko duchem. – Zaśmiała się Marie. – Jednym z najstarszych, wywodzącym się z mroków historii zadań zakonu było przywieźć kiedyś Graala do Francji, do ojczyzny, gdzie będzie mógł spocząć na wieczność. Przez całe wieki ciągnano go tu i tam, żeby mu zapewnić bezpieczeństwo. Bardzo to niegodne. Zadaniem Jacques'a, kiedy został wielkim mistrzem, było przywrócić Świętemu Graalowi honor i sprowadzić go do Francji, a potem zbudować iście królewskie miejsce spoczynku.

– I udało się?

Teraz na twarzy Marie zagościła powaga.

– Panie Langdon, zważywszy na to, co pan dzisiaj dla mnie zrobił, jako prezes Fundacji Rosslyn mogę panu powiedzieć na pewno, że Graala już tu nie ma.

Langdon postanowił ją trochę nacisnąć.

– Ale klucz sklepienia ma wskazywać miejsce, w którym Święty Graal ukryty jest teraz. Dlaczego wskazuje na Rosslyn?

– Może źle pan interpretuje jego znaczenie. Proszę pamiętać, że Graal może mamić i zwodzić. Tak jak i mój świętej pamięci mąż.

– Ale czy można to powiedzieć jaśniej? Stoimy pod sufitem z gwiazd, otoczeni sztuką mistrzów masonskich, na podłodze naznaczonej ostrzem i kielichem, pod którą znajduje się podziemny skarbiec. Wszystko tu mówi o Rosslyn.

– Cóż, jeśli pan tak twierdzi... Proszę mi pokazać ten tajemniczy wiersz.

Rozwinęła papirus i przeczytała głośno i dobitnie.

Pod starą Roslin Święty Graal czeka  
Zdobny największych mistrzów dziełami.  
Ostrze i kielich pilnują wieka.



Nad nim niebo usiane gwiazdami.

Kiedy skończyła, jej twarz przez chwilę była nieruchoma, ale prawie natychmiast na ustach pojawił się uśmiech zrozumienia.

– Och, Jacques.

Langdon patrzył na nią, oczekując, co powie.

– Rozumie to pani?

– Jak pan widzi na przykładzie podłogi w naszej kaplicy, panie Langdon, rzeczy bardzo proste można przedstawić na wiele sposobów.

Langdon starał się z całych sił zrozumieć. Wszystko, co dotyczy Jacques'a Saunière'a, ma podwójne znaczenie, a jednak dalej nic nie pojmował.

Marie ziewnęła, zmęczona.

– Coś panu wyznam, panie Langdon. Nigdy oficjalnie nie powiedziano mi, gdzie obecnie znajduje się Święty Graal. Ale oczywiście byłam żoną człowieka o olbrzymich wpływach... I mam bardzo niezłą kobiecą intuicję. Bardzo mi przykro, że pańska ciężka praca nie zostanie uwieczniona sukcesem i wyjedzie pan z Rosslyn bez ostatecznych odpowiedzi. Jednak coś mi mówi, że w końcu znajdzie pan to, czego pan szuka. Kiedyś to do pana dotrze. – Uśmiechnęła się. – A kiedy już tak się stanie, wierzę, że pan, jak nikt, potrafi uszanować tajemnicę.

Od drzwi usłyszeli, że ktoś wchodzi.

– Gdzie zniknęliście? – spytała Sophie.

– Już wracam. – Babcia podeszła do stojącej przy drzwiach dziewczyny. – Dobranoc, księżniczko. – Pocałowała wnuczkę w czoło. – Nie męcz pana Langdona za długo.

Langdon i Sophie patrzyli, jak idzie do domu z polnych kamieni.

– Nie takiego zakończenia się spodziewałam – odezwała się Sophie.

To jest nas już dwoje – pomyślał Langdon. Widział, że Sophie jest przytłoczona wagą zdarzeń. To, czego się właśnie dowiedziała, zmieniło wszystko w jej życiu.

– Jak się czujesz? Pewnie niełatwo ci to wszystko ogarnąć.

– Mam rodzinę... – Łagodny uśmiech rozświetlił jej twarz. – Od tego się zaczyna. Kim jesteśmy i skąd pochodzimy – to przyjdzie.

Langdon milczał.

– Zostaniesz z nami trochę dłużej? – spytała Sophie. – Chociaż parę dni?

Langdon westchnął, bo niczego innego nie pragnął.

– Powinnaś mieć czas dla rodziny, Sophie. Ja jutro rano jadę do Paryża.

Była rozczarowana, ale chyba wiedziała, że tak trzeba. Oboje milczeli dłuższą chwilę. W końcu Sophie wzięła go za rękę i wyprowadziła z kaplicy. Powędrowali na wzniesienie w kierunku domu i stanęli na płaskiej skałce. Stąd rozciągał się przed nimi widok na krajobraz Szkocji, nasycony bladym światłem księżyca, które przesiąkało przez żeglujące po wieczornym niebie chmury. Stali w ciszy, trzymając się za ręce, walcząc z coraz większym zmęczeniem.

Właśnie pojawiły się pierwsze gwiazdy, a na zachodzie mały punkcik światła jaśniał mocniej niż wszystkie inne. Langdon uśmiechnął się, kiedy go zobaczył. To Wenus. Starożytna Wielka Bogini świeciła z nieba na ziemię równym, cierpliwym światłem.

Noc robiła się coraz chłodniejsza, przenikliwy wiatr wiał gdzieś z dolin. Po chwili Langdon spojrzał na Sophie. Oczy miała zamknięte, a na ustach spokojny, pozbawiony napięcia uśmiech. Langdon czuł, że powieki mu opadają coraz ciężiej. Ścisnął jej dłoń.

– Sophie?

Powoli otworzyła oczy. Jej twarz była przepiękna w świetle księżyca. Uśmiechnęła się do niego sennie.

– Dobranoc.

Langdon poczuł niespodziewany smutek, kiedy sobie zdał sprawę, że będzie musiał wrócić do Paryża bez niej.

– Może mnie już nie będzie, kiedy się obudzisz. – Poczł ściskanie w gardle. – Przepraszam cię, ale nie jestem za dobry w...

Sophie wyciągnęła rękę i dotknęła delikatnie jego twarzy. Potem, pochylając się, pocałowała go czule w policzek.

– Kiedy cię znowu zobaczę?

Langdonowi zakreśliło się w głowie, utonął w jej oczach.

– Kiedy? – Myślał intensywnie. – Wiesz co, w przyszłym miesiącu mam wykład podczas konferencji we Włoszech. We Florencji. Będę tam przez cały tydzień i nie będę miał wiele do roboty.

– Czy to zaproszenie?

– Będziemy mieszkać w luksusie. Dają mi pokój w Brunelleschi.

Sophie uśmiechnęła się zaczepnie.

– Śmiało pan sobie poczyna, panie Langdon.

Skulił się w sobie – źle to zabrzmiało.

– Miałem na myśli...

– O niczym bardziej nie marzę, Robercie, niż o tym, żeby spędzić z tobą tydzień we Florencji. Ale pod jednym warunkiem – mówiła teraz poważnie. – Żadnych muzeów, żadnych kościołów, żadnych grobów, sztuki ani relikwii.

– We Florencji? Przez tydzień? Przecież tam nie ma nic innego do roboty.

Sophie pochylała się i znów go pocałowała, tym razem w usta. Przytulili się do siebie, najpierw delikatnie, a potem z całej siły. Kiedy się od niego oderwała, jej oczy błyszczały nadzieją.

– Dobrze – powiedział Langdon z trudem. – W takim razie jesteśmy umówieni.

## Epilog

Robert Langdon obudził się, nie wiedząc, czy to sen, czy jawa. Coś mu się śniło. Na szlafroku leżącym obok jego łóżka zobaczył wyhaftowane słowa HOTEL RITZ PARIS. Białe światło przenikało przez żaluzje okienne. Czy to wieczór, czy świt? – zastanawiał się.

W ciepłym łóżku czuł się rozluźniony i wypoczęty. Spał prawie dwa dni. Teraz usiadł powoli na łóżku i zrozumiał, co go obudziło... Bardzo dziwna myśl. Zauważył, że jego umysł skupia się na czymś, czego przedtem w ogóle nie brał pod uwagę, próbując uporządkować zalew informacji.

Czy to możliwe?

Zamarł na dłuższą chwilę.

Wyszedł z łóżka i przeszedł do wykładanej marmurem łazienki. Wszedł pod prysznic i odkręcił mocno wodę, silne strumienie masowały mu ramiona. Ta myśl wciąż nie dawała mu spokoju.

Nie może być.

Dwadzieścia minut później Langdon wychodził z hotelu Ritz na plac Vendôme. Zapadała noc. Przespane kamiennym snem dni wybiły go z rytmu, zagubił się w czasie... Ale myśli miał przedziwne jasne. Obiecywał sobie, że przed wyjściem z hotelu zatrzyma się na dole na kawę z mlekiem, żeby rozjaśnić umysł, ale nogi same go poniosły wprost do wyjścia na ulicę, w paryski zmrok.

Szedł na wschód rue des Petites Champs. Czuł rosnące podniecenie. Skręcił na południe w rue Richelieu, gdzie poczuł w powietrzu słodki zapach kwitnących jaśminów z pobliskich ogrodów królewskich.

Szedł dalej na południe, aż zobaczył to, czego szukał – słynną królewską arkadę – błyszczący bezmiar polerowanego czarnego marmuru. Poszedł dalej i przemierzał wzrokiem powierzchnię pod stopami. W parę sekund znalazł to, co miało tam być – kilka brązowych medalionów wtopionych w chodnik w idealnie prostej linii. Każdy miał około trzydziestu centymetrów średnicy i wygrawerowane litery N i S.

*Nord. Sud.*

Odwrócił się na południe i spojrzał w przód, tak by jego wzrok rysował przedłużającą się linię wyznaczoną przez brązowe medaliony. Ruszył dalej tą trasą, nie spuszczać wzroku z chodnika. Kiedy minął narożnik koło Comédie-Française, zobaczył pod stopami kolejny brązowy medalion. Tak!

Ulice Paryża, czego Langdon dowiedział się już wiele lat temu, przyozdabiało sto trzydzieści pięć takich medalionów zatopionych w chodnikach, na dziedzińcach, w jezdniach; wyznaczały one oś miasta północ-południe. Szedł już kiedyś odcinkiem, który poprowadził go od Sacré-Coeur, na północ w kierunku Sekwany, a w końcu dotarł do historycznego Obserwatorium Paryskiego. Tutaj odkrył znaczenie pradawnej ścieżki, którą podążał.

Pierwszy południk ziemski.

Pierwsza długość geograficzna zero na kuli ziemskiej.

Starożytna linia róży Paryża.

Teraz, kiedy Langdon pospiesznie szedł dalej rue de Rivoli, czuł, że cel jego wędrówki jest już blisko. Tylko o przecnicę stąd.

Pod starą Roslin Święty Graal czeka.

Teraz go olśniło. Zrozumienie przychodziło falami. Saunière napisał słowo Roslin w dawnej formie... Ostrze i kielich... Grobowiec zdobny dziełami sztuki mistrzów.

Czy to dlatego Saunière chciał ze mną rozmawiać? Czy niechcący odkryłem prawdę?

Teraz puścił się pędem, czując pod stopami linię róży, która go prowadziła, ciągnęła w kierunku ostatecznego przeznaczenia. Kiedy wszedł w długi tunel Passage Richelieu, poczuł gęsią skórę, ośladło nim oczekiwanie. Wiedział, że na końcu tego tunelu jest najbardziej tajemniczy z pomników Paryża – pomnik, którego wizję stworzył i którego budowę zlecił w latach osiemdziesiątych sam Sfinks – François Mitterrand, człowiek, który jak mówiono, porusza się w kręgach tajnych stowarzyszeń, człowiek, którego spuścizną i ostatnim darem dla Paryża było miejsce, gdzie Langdon był zaledwie parę dni temu.

W innym życiu.

W przypływie energii wypadł z podziemnego przejścia na dobrze sobie znany podwórzec i tam się zatrzymał. Nie mogąc złapać tchu, podniósł wzrok powoli, nie dowierzając, na mieniącą się w wieczornym świetle budowlę tuż przed nim.

Piramida Luwru. Połyskująca w ciemnościach.

Podziwiał ją tylko przez chwilę. Bardziej interesowało go to, co znajduje się po jego prawej stronie. Odwrócił się i poczuł, że jego stopy znów przemierzają niewidzialną ścieżkę wytyczoną przez starożytną linię róży, wiodącą do Carrousel du Louvre – porośniętego trawą kręgu, otoczonego po obrzeżach starannie przyszyronymi krzewami – kiedyś było to miejsce, gdzie odbywały się uroczystości ku czci Matki Natury... Radosne rytuały na cześć płodności Wielkiej Bogini.

Wchodząc ponad krzewami na trawiastą przestrzeń, Langdon poczuł się tak, jakby wkraczał do innego świata. To uświęcone miejsce wyróżniał teraz jeden z dziwniejszych pomników miasta. W samym środku, wtopiona w ziemię jak kryształowa przepaść, widniała ogromna odwrócona piramida ze szkła, którą oglądał kilka dni temu, stojąc na wysokim parterze Luwru.

*La pyramide inversée.*

Przejęty, podszedł do jej brzegu i rzucił okiem w dół na rozciągający się poniżej podziemny kompleks Luwru, oświetlony bursztynowym światłem. Nie zatrzymując uwagi na odwróconej piramidzie, powędrował wzrokiem niżej i zobaczył to, co znajduje się bezpośrednio pod nią. Tam, na podłodze komnaty pod powierzchnią ziemi, stała miniaturowa budowla... Kompozycja, o której Langdon wspominał w swojej pracy.

Przenikał go ożywczy dreszcz przed spotkaniem z niewyobrażalną możliwością. Raz jeszcze podniósł wzrok na Luwr i poczuł, że olbrzymie skrzydła muzeum... sale, wypełnione największymi dziełami sztuki świata, obejmują go jak ramiona.

Leonardo... Botticelli...

Zdobny największych mistrzów dziełami.

Ogarnięty podziwem, popatrzył znów przez szkło na maleńką kompozycję poniżej.

Muszę tam zejść.

Ruszył pospiesznie przez dziedziniec w kierunku potężniejszej pod niebo piramidy wejścia do Luwru. Ostatni zwiedzający tego dnia wąskim strumykiem wylewali się z muzeum.

Langdon pchnął drzwi obrotowe i szedł po spiralnych schodach w głąb piramidy. Poczuł, że powietrze robi się chłodniejsze. Kiedy dotarł na sam dół, skierował się do długiego tunelu prowadzącego pod dziedzińcem Luwru ku *la pyramide inversée*.

Znalazłszy się na końcu tunelu, wszedł do obszernego pomieszczenia. Wprost nad jego głową zwisała w dół i błyszczała odwrócona piramida – zapierająca dech w piersiach szklana figura w kształcie litery V.

Kielich.

Wzrok Langdona wędrował coraz niżej, wzdłuż zwięzających się, skośnych linii piramidy, zwisającej niecałe dwa metry nad poziomem podłogi. Wprost pod nią stała druga, miniaturowa piramida. Jej wysokość nie przekraczała metra. Jedyne obiekty zbudowane w małej skali w tym kolosalnym kompleksie architektonicznym.

W swojej pracy Langdon, omawiając przebogata kolekcję sztuki poświęconej Wielkiej Bogini, zamieścił krótką uwagę na temat tej skromnej piramidy. *Ta miniaturowa budowla przebija się przez podłogę, jakby była czubkiem góry lodowej – szczytem jakiegoś ogromnego piramidального skarbcza, zatopionego w głębi jak tajemna komnata.*

Oświetlone miękkim światłem opustoszałej teraz góry dwie piramidy wskazywały na siebie nawzajem, ich osie były ustawione w idealnie prostej linii, a ich czubki niemal się stykały. Kielich powyżej. Ostrze poniżej.

Ostrze i kielich pilnują wieka.

Langdon usłyszał słowa Marie Chauvel. Kiedyś to do pana dotrze.

Stał pod starożytną linią róży, otoczony arcydziełami mistrzów. Czyż jest gdzieś miejsce lepsze niż to, pod czujnym okiem Saunière'a? Teraz w końcu poczuł, że rozumie, co wielki mistrz chciał powiedzieć w swoim czterowerszu. Podniósł oczy ku niebu i spojrzął w górę, przez warstwę kryształowego szkła, w rozgwieżdżoną, rozświetloną gwiazdami noc.

Nad nim niebo usiane gwiazdami.

Jak z pomroki dziejów gdzieś z ciemności usłyszał odbijające się echem, zapomniane słowa.

Poszukiwanie Świętego Graala to w dosłownym znaczeniu poszukiwanie szczątków Marii Magdaleny, by móc przed nimi uklęknąć. To podróż, którą podejmujemy, by się pomodlić u stóp wygnanej...

Langdon poczuł falę religijnego uniesienia i coś rzuciło go na kolana.

Przez krótką chwilę wydawało mu się, że słyszy kobiecy głos... mądrość wieków... który szepce z otchłani, z głębi ziemi.

## Posłowie od wydawcy polskiego

Tajemnica ściga tajemnicę, zbrodnia podąża za zbrodnią. Zło przybiera rozmaite maski i kostiumy, podszywa się pod dobro i sprawiedliwość. Jest cyniczne i bezlitosne, zna każdy podstęp i nie waha się przed najokrutniejszą przemocą. Posługuje się sztyletem, intrygą, bogactwem, władzą. Siega po sekretne symbole wiary i kultury, używa najbardziej zawikłanych szyfrów. Ale ostatecznie dobro zwycięża, prawda wychodzi na jaw, maski zła zostają odarte, a kara wymierzona. Tajemnica, obnażona przez jasne światło prawdy i sprawiedliwości, przestaje być tajemnicą.

Wszystko więc w książce Dana Browna dzieje się – zdawałoby się – jak należy. Zgodnie z najlepszymi regułami gatunku, które kiedyś wyznaczali Artur Conan Doyle i Maurice Leblanc, a obecnie określają powieści Roberta Ludluma czy filmowe opowieści o Indianie Jonesie. Czytamy więc ten kryminał „jednym tchem”.

W wielu miejscach tej książki czytelnik, zwłaszcza polski, może jednak poczuć się zaniepokojony.

Oto bowiem staje wobec złowieszczej, a konsekwentnie przez autora głoszonej idei, że zbrodnia ta jest dziełem pewnych struktur i pewnych ludzi Kościoła katolickiego. Że – co więcej – te nieprawe działania są na trwałe wpisane w dzieje tej instytucji i w znacznej mierze budują jej tożsamość. Słowem, katolicyzm staje się w oczach autora udziałowcem światowego spisku przeciw ludzkości i przeciw rzeczywistości, „ludowemu” chrześcijaństwu, chrześcijaństwu kobiet i ubogich. Staje się grabieżcą, który zagarnął, znieprawił i zniekształcił obraz Jezusa oraz sens jego duchowego pośłania.

W przeszłości narzędziami owego religijnego spisku, motywowanego jedynie żądzą władzy, byli krzyżowcy, inkwizytorzy i jezuici, dziś jego narzędziem zostało Opus Dei.

Jedną z sił napędowych książki Browna staje się więc osławiona „teoria spiskowa”, w wersji mocno pokrewnej zarówno *Protokołom mędrców Syjonu* (wedle których władzę nad światem zagarniają Żydzi), jak sensacyjnemu romansowi Eugeniusza Sue *Żyd, wieczny tułacz* (gdzie, przeciwnie, w takiej roli występują jezuici).

Ale u podstaw pomysłów Browna leży coś innego jeszcze – coś, z czego w Polsce na ogół nie zdajemy sobie sprawy. Chodzi mianowicie o atawistyczny, nierozumny już dzisiaj lęk anglosaskich protestantów przed „rzymską wiarą”, przed „papizmem”. Miał on, owszem, pewne podstawy w szesnastym stuleciu, kiedy Anglia zrywała boleśnie z katolicyzmem i – próbując obronić swą nową, protestancką tożsamość religijną – czuła się zagrożona od wewnątrz i od zewnątrz. Dzisiaj jest zaś tylko anachronizmem, niedobrym dziedzictwem tamtych odległych czasów. Szkoda więc, że pokutuje ono także w książce Browna.

Owe złe emocje dają znać o sobie na rozmaite sposoby. Oto – na przykład – w oryginale (zostało to skorygowane w polskim wydaniu) nieustannie nazywa Brown papieństwo – nawet starożytne i średniowieczne – „Watykanem”, chcąc tym samym podkreślić „odwieczną” ciągłość brutalnej polityki Kościoła, gdy tymczasem świecka władza papieska została ograniczona do obrębu watykańskich murów w 1870 roku, w chwili zjednoczenia Włoch. Oto, dalej, nieustannie wypomina katolicyzmowi tylko jego ciemne strony: dyskryminację kobiet, inkwizycję, krucjaty, prześladowania heretyków, innowierców czy czarownic. Zapomina przy tym absolutnie zarówno o jasnych przejawach tej odmiany chrześcijaństwa, takich choćby jak wspaniały nurt franciszkański (o którym w *Imieniu róży*, patronującym skądinąd powieści Browna, pamięta Umberto Eco), jak i o brutalnych zbrodniach protestantyzmu, którego przeszłość jest też obciążona niejedną winą. Wystarczy wspomnieć tylko, że w niemieckich krajach protestanckich rzekome czarownice były tak samo, o ile nie mocniej i nie dłużej, tępiące jak w państwach katolickich, że amerykańscy purytanie mają na sumieniu nieszczęśników z Salem, podejrzanych o konszachty z diabłem, że angielski protestantyzm okrutnie prześladował katolików i odmawiał im elementarnych praw (stopniowo odzyskali je dopiero w XIX i XX stuleciu), że Kalwin urządził w swej Genewie religijne państwo totalne i palił tam na stosie heretyków (na przykład hiszpańskiego lekarza, Michała Serveta), że Luter obrzucał swych przeciwników najgorszymi inwektywami i wzywał niemieckich książąt, by rozprawili się ze zbuntowanymi chłopami jak z „wściekłymi psami”, że czescy husyci wydatnie przyczynili się do pomnożenia liczby świętych męczenników katolicyzmu, że...

Nie chodzi jednak o to, aby licytować się w zbrodniach. Chodzi o to, by nie posługiwać się prostymi, czarno-białymi schematami, w których zło i zbrodnia istnieją tylko w jednym nurcie chrześcijaństwa, drugi zaś całkowicie wolny jest od winy i królują w nim jasna prawda oraz rozumna sprawiedliwość. Dzieje religii, jak wszystkie zresztą ludzkie sprawy na tym „najlepszym ze światów”, są bowiem bardziej złożone, niż to się wydaje zwolennikom takiej lub innej „teorii spiskowej”.

W książce Browna współczesnym narzędziem owego „katolickiego podstępu” jest Dzieło Boże, Opus Dei (właściwa, pełna nazwa: Prałatura Świętego Krzyża i Opus Dei), instytucja założona 2 października 1928 roku przez hiszpańskiego księdza, błogosławionego José Marię Escrivę de Balaguera, i wyniesiona w roku 1982 przez papieża Jana Pawła II do rangi jedynej w Kościele katolickim prałatury personalnej – czyli swoistej eksterytorialnej diecezji. Statut Opus Dei został opublikowany, a obecnie kieruje nią biskup José Echeveria, jak się można domyślić – prototyp jednego z „czarnych” charakterów powieści. Opus Dei tworzą zarówno księża, jak i katolicy świeccy, przy czym ci ostatni we wszystkich sprawach, z wyjątkiem szczególnych dobrowolnych zobowiązań wobec Dzieła, podlegają Kościołom lokalnym i biskupom – ordynariuszom miejsca. Katolicy świeccy stają się członkami Opus Dei na mocy dwustronnego porozumienia, które ustala ich powinności duchowe i misyjne, a także sposób i formę życia, określaną m.in. przez zobowiązania rodzinne (około 70 procent z nich pozostaje w związkach małżeńskich). Opus Dei ma nie tylko własne duchowieństwo – ściśle z nim związane jest Stowarzyszenie Kapłańskie Świętego Krzyża, organizacja księży diecezjalnych, którzy – formalnie – mają w organizacji takie same prawa i obowiązki jak katolicy świeccy (stowarzyszenie to w ostatnich latach związało z Opus Dei wielu wpływowych ludzi Kościoła, także kardynałów o wysokich godnościach watykańskich).

Podstawowe swoje cele Opus Dei określa jako wezwanie do stałej modlitwy i pokuty, do nieustannego pogłębiania formacji duchowej. Dlatego członkowie Dzieła zobowiązani są do konsekwentnych praktyk pobożnych – kontemplacji, codziennego uczestnictwa w mszy, odmawiania różańca, częstej spowiedzi, rekolekcji. Ważne miejsce zajmuje też w Opus Dei szczególne „nabożeństwo” do Najświętszej Maryi Panny. Gorliwość religijnej musi jednak w Opus Dei towarzyszyć szczególne zaangażowanie społeczne, zawodowe, intelektualne. Członkowie Opus Dei chcą być – i rzeczywiście są – członkami nowej katolickiej elity. Ich działalność publiczna wyraża się zatem przede wszystkim w sferze opiekuńczej, wychowawczej, edukacyjnej – przez tworzenie uniwersytetów, ośrodków kształcenia zawodowego, szkół, przychodni i szpitali. Ale nie angażują się bezpośrednio w działalność medialną, nie prowadzą wydawnictw, nie zakładają czasopism, stacji radiowych czy telewizyjnych. Nie stronią jednak wcale od polityki – na przykład ostatni rząd frankistowski, technokratyczny i przygotowujący łagodne przejście od reżymu ku demokracji, tworzyli prawie wyłącznie ludzie powiązani z Dziełem (ale byli oni także i wśród liderów demokratycznej, antyfrankistowskiej opozycji).

Przed 1945 rokiem Opus Dei istniało jedynie w Hiszpanii. Od chwili przeniesienia się założyciela do Rzymu rozpoczęło jednak swą światową karierę. Dziś Opus Dei ma osiemdziesiąt pięć tysięcy członków (w tym blisko dwa tysiące księży) w około osiemdziesięciu krajach. Najliczniejsze są organizacje Opus Dei w Hiszpanii, Meksyku, Włoszech. W Polsce, gdzie oficjalnie Opus Dei może działać od 1989 roku, liczy ono około trzech tysięcy członków (w tym ledwie siedmiu księży).

Istnieje oczywiście i „czarna legenda” Opus Dei, której Dan Brown jest efektownym wyrazicielem. Nieufność budzą oczywiście ogromne wpływy Dzieła w Kościele i poza Kościołem. Mówi się zwłaszcza o niebывалym znaczeniu, jakie nabrało ono pod rządami Jana Pawła II. Podnosi się konserwatyzm i żelazną dyscyplinę Opus Dei, to, że wyparło – w spełnianiu tradycyjnej roli „żołnierzy Chrystusa” – zakon jezuicki,

reprezentujący w wielu sprawach katolicyzm otwarty i liberalny. Podkreśla się też elitaryzm i sekretność rozmaitych działań Dzieła, formalnie kierującego się tutaj pragnieniem naśladowania „ukrytego życia Jezusa Chrystusa w Nazarecie”. W związku z tym – a zwłaszcza przy okazji rozmaitych skandali, związanych z osobami należącymi do Opus Dei – padają takie określenia, jak „katolicka mafia”, „sekciarze Chrystusa” (niedawno zresztą oficjalny dokument władz francuskich wymienił Dzieło pośród tzw. sekt niebezpiecznych).

Prawda jest zapewne mniej sensacyjna. W każdym razie nie wydaje się, by była ona aż tak złowieszca, jak chce Dan Brown. Nie znosi się też na tak absolutne, nawet – jak przypuszczam – za rządów następnego papieża, odsunięcie Opus Dei od Kościoła. Rzym zresztą ma w tym względzie całkiem inne od opisanych w książce rozwiązania, nie tak krańcowe i bezwzględne.

U Browna Opus Dei pojawia się przede wszystkim jako instrument Kościoła rzymskiego w jego porachunkach z rzeczywistym obrazem Jezusa i w walce z dopominającą się jednak ciągle o swoje zatraconą świętością kobietą.

Swoją wizję Jezusa, mocno wspartą na dwóch sensacyjnych, choć nieźle udokumentowanych książkach z lat osiemdziesiątych – *Święty Graal*, *święta krew* i *The Woman with the Alabaster Jar* („Kobieta z alabastrową czarą”, Wydawnictwo Albatros, 2004, w przygotowaniu) – buduje Brown jednak i na tradycji, która nie jest w tym przypadku użyteczna. Chodzi o tradycję tak zwanych zwojów gnostyckich z Nag Hammadi nad Nilem, odnalezionych przypadkowo przez egipskiego wieśniaka w 1945 roku. Widzi przy tym ich związek z rękopisami z Qumran w Izraelu, które odkrył trzy lata później pewien beduiński pasterz. Na dodatek twierdzi, że teksty owe stara się zniszczyć, a przynajmniej utajnić Kościół rzymski.

Nic błędniejszego. Jeśli ktoś niszczył rękopisy z Nag Hammadi, to tym kimś była matka znalazcy, która użyła części cennego znaleziska do podpałki. Zwoje z Nag Hammadi są stopniowo, krok po kroku, rozwijane i odczytywane, publikowane – także w katolickich wydawnictwach. Nie istnieje żaden „watykański spisak” w tej kwestii.

Nie są też one rękopisami, które mogłyby wspierać obraz Jezusa historycznego – cielesnego, żyjącego w małżeństwie z Marią Magdaleną i mającego z nią potomstwo. Teksty te nie są też aż tak dawne, by mogły być bezpośrednim świadectwem z czasów Jezusa. Najdawniejsze ich treści, starsze od samych zapisów, nie są zresztą w ogóle chrześcijańskie, lecz pogańskie – wiążą się z kultem egipskiego Seta i tylko dla zachowania pewnych pozorów zostały tu i ówdzie okraszone chrześcijańskimi wrętami.

Większość z owych zwojów została spisana w języku koptyjskim (w dwóch jego odmianach, saidzkiej i dworskiej) dopiero w II i III wieku naszej ery przez chrześcijańskich gnostyków z kilku sekt. Nie były to wcale nurty chrześcijaństwa, jak chce Brown, „ludowe”. Przeciwnie, gnostycyzm to odmiana chrześcijaństwa bardzo elitarna, wymagająca osobliwego wtajemniczenia, sekretnej inicjacji. Wymagająca wprowadzenia w *gnosis*, czyli wiedzę poufnie – zwykle w czterdzieści dni po zmartwychwstaniu – przekazaną przez Chrystusa wybranej niewieście czy wybranemu apostołowi.

Istotą tej wiedzy jest jednak potępienie – jako siedliska zła – wszelkiej materii, także ciała. Według bardzo złożonych mitów gnostyckich, które muszę z konieczności przedstawić w uproszczeniu, za stworzenie owej materii odpowiada niższy, zły Bóg – Demiurg (utożsamiany przez gnostyków z żydowskim Bogiem Starego Testamentu, Jahwe, z Lucyferem, z demonom Jadalbaothem, z Księciem Archontów, „panem tego świata”). Zazdroszcząc bowiem Ojcu – świetlistemu Bogu Najwyższemu, niedostępnemu i niepoznawalnemu Bogu Światła i Dobra – jego królestwa. Demiurg targnął się na jego królestwo i zrabował stamtąd iskry światła (wymagało ich wszelkie stworzenie), po czym uwięził je w materii. Także ludzkie dusze – Demiurg potrzebował poddanych – zawierają w sobie owe iskry światłości.

Zbawienie wymaga zatem zniszczenia materii i ciała – po to, aby światło mogło powrócić do swego pierwotnego królestwa. Do boskości. Gnostycyzm zna jednak aż dwóch zbawców. Pierwszy i niższy to człowiek – Jezus z Nazaretu – który przygotowuje nadejście prawdziwego Zbawcy, Chrystusa, lecz zginie w walce z siłami zła, materii i ciemności (po śmierci zostanie zaś osadzony w sferze księżycowej). Chrystus, prawdziwy Syn Ojca, dopełni zatem zbawienia – zniszczy materię. Ale skoro jest ona zła – nie może on skalać się żadnym z nią związkiem. Gnostycy wyznają zatem doketyzm (od greckiego *dokeo*, „wydawać się, być pozornym”). Oznacza on, że – także według rękopisów z Nag Hammadi – Chrystus przyszedł na świat w ciele pozornym („spłynął na świat przez kanał, zwany Marią”, „przez anioła, zwanego Marią”), pozornie cierpiał mękę i pozornie tylko umarł na krzyżu. Dlatego powiada się, że wśród wysokich jest on wysoki, wśród niskich – niski itp. Dlatego w rękopisach z Nag Hammadi i innych tekstach gnostyckich pojawiają się iście przerażające wizje śmiejącego się z ukrzyżowania – krzyżowany jest bowiem nie on, lecz „człowiek archontów”, inny człowiek (np. Judasz albo Szymon z Cyreny).

Taki Chrystus nie mógł być oczywiście kimś cielesnym, nie mógł być ani mężem Marii Magdaleny, ani ojcem żadnego dziecka. Gnostycyzm potępiał bowiem wszelkie płodzenie, stronił też od obrazów dziecięcego Chrystusa. Aby do płodzenia przyznawał tylko niewtajemniczonym masom – „ludziom cielesnym”, którzy „umrą jak ludzie” (czyli zostaną ztraceni). Szansę natomiast mieli niektórzy „ludzie psychiczni” – jeśli przyjmą wiedzę, czyli gnozę, jeśli przystaną do najwyższej kategorii, jedynej, która dostąpi zbawienia: gnostyków. Nie w tej zatem tradycji powinien szukać Brown. Powinien raczej sięgnąć do innych apokryfów – tekstów niekanonicznych, odrzuconych przez tradycję kościelną, takich jak choćby *Arabska ewangelia dzieciństwa*. Tam bowiem, nie gdzie indziej, znalazłby rzeczywistego, cielesnego – aż do przesady – Jezusa, Jezusa „ludowego” prawdziwie, nie w domniemaniu.

Nie powinien też powoływać się na przekaz rękopiśmienny z Qumran. To bowiem dziedzictwo żydowskiej sekty esseńczyków, istniejącej jeszcze przed Jezusem (zginęli po śmierci Jezusa, podczas wojny żydowskiej z Rzymem w 70 roku naszej ery). Tyle tylko, że znajdują się w owych esseńskich rękopisach pewne idee Jezusowi bliskie, że pojawia się tam m.in. postać Nauczyciela Sprawiedliwości oraz mesjańska figura Syna Człowieczego.

Pewnych uściśleń wymaga też wzmiankowane przez Browna pojęcie Szechiny. Nie jest ona bynajmniej małżonką Jahwe, ale Mądrością Bożą – w wizjach chrześcijańskich gnostyków odpowiada jej, istotny dla powieści, motyw Sophii, w wyniku upadku której narodził się właśnie niższy, zły Bóg, Demiurg. Ale rozumiem, że wymagała tego powieściowa intryga, a także po części przyświecająca jej idea.

Zasadniczą ideą, którą wyraża intryga powieści Browna, jest idea zatraconej świętości żeńskiej (sakralności kobiecej). Brown postępuje tu za niektórymi obiegowymi koncepcjami feminizmu. Sprzyja zwłaszcza ważnemu w pewnych nurtach feminizmu kultowi Marii Magdaleny, czemuś, co nazwać by można kulturą magdaleńską. Ale „poprawnościowe politycznie” dowartościowywanie takiego feministycznego motywu ma pewne skutki ideologiczne – prowadzi do oskarżenia wyłącznie katolickiego chrześcijaństwa o zniszczenie pierwotnej, matriarchalnej religii Śródziemnomorza, o wyparcie w mroki podświadomości i w labirynty kultur oraz tajemnych wiar archaicznego kultu Wielkiej Bogini, pani płodności i śmierci. Tymczasem zarówno choćby znana autorowi *Biała Bogini* Gravesa, jak i – przede wszystkim – fundamentalne studia włoskiego historyka religii, Pestalozzy, pokazują, że był to proces bardziej rozległy, bardziej złożony i dramatyczny. Kult Wielkiej Bogini, żyjącej w tylu rozmaitych wcieleniach, które zresztą przypomina autor, był bowiem przez religię patriarchalną, męską, zniekształcany stopniowo przez tysiące lat, poczynając od czasów głęboko przedchrześcijańskich, głęboko pogańskich. Kościół tu raczej zwiędził dziecko, niżli go dokonał.

Wreszcie – na koniec – jedna sprawa. Brown porusza się w obrębie anglosaskiej (i w ogóle zachodniej) tradycji ezoterycznej (tajemnej, okultystycznej). Tradycji bardzo żywotnej, szeroko rozgałęzionej, bogatej w doświadczenia i pojęcia. W Polsce podobnego zjawiska do niedawna nie doświadczaaliśmy, polski ezoteryzm – jeśli już – biegł bardzo wąską ścieżką. Dlatego też tłumaczenie powieści musiało trafić na rozmaite bariery terminologiczne. Przykładem może być chociażby pojęcie „pentagram” – w oryginale przywołuje się termin „pentakl”, służący w środowiskach okultystycznych określeniu właśnie pentagramu, w kulturze potocznej kojarzonemu naiwnie z satanizmem. Dobrze zresztą,

trzeba to wyraźnie powiedzieć, że Brown rozprawia się z tym obiegowym, fałszywym i diabolicznym rozumieniem owego złożonego i bogatego w znaczenia symbolu.

Zbigniew Mikołajko